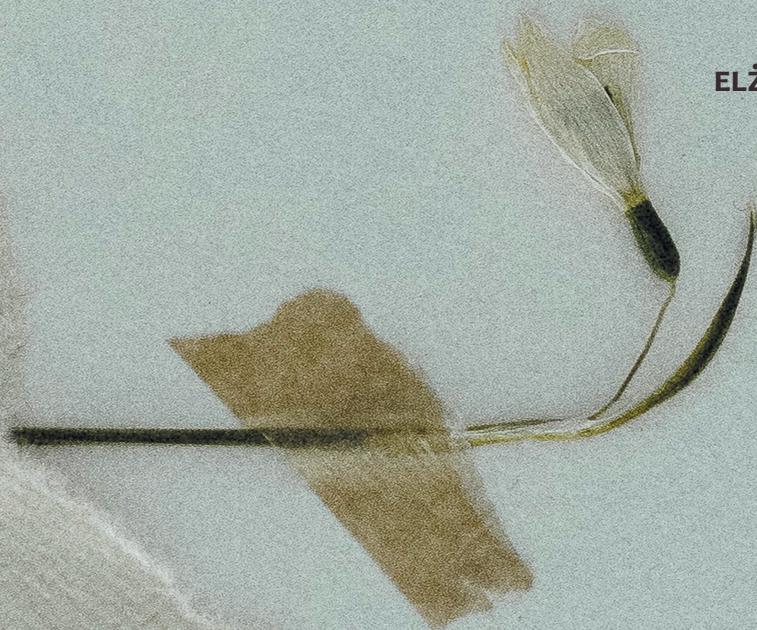


NATALIA HAN-ILGIEWICZ

Wspomnienia i refleksje pedagoga

WSTĘP I OPRACOWANIE
ELŻBIETA UMIŃSKA-TYTOŃ



Wspomnienia i refleksje pedagoga



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

NATALIA HAN-ILGIEWICZ

Wspomnienia i refleksje pedagoga

WSTĘP I OPRACOWANIE
ELŻBIETA UMIŃSKA-TYTOŃ

Elżbieta Umińska-Tytoń (ORCID: 0000-0001-9422-6438)
Anna Lenartowicz-Zagrodna (ORCID: 0000-0001-8500-6476)
— Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny
Instytut Filologii Polskiej i Logopedii
Zakład Historii Języka Polskiego
90-236 Łódź, ul. Pomorska 171/173

Recenzenci

Leonadra Mariak, Jacek Kulbaka

Redaktor inicjująca

Urszula Dzieciatkowska

Skład i łamanie

Anna Lenartowicz-Zagrodna

Korekta techniczna

Katarzyna Woźniak

Projekt okładki

Monika Rawska

Źródło ilustracji wykorzystanej na okładce: Annie Spratt / Unsplash.com

Wydrukowano z gotowych materiałów
dostarczonych do Wydawnictwa UŁ

© Copyright by Authors, Łódź 2025

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2025

Publikacja została dofinansowana przez
Wyższe Seminarium Duchowne w Łodzi

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons
Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0
(CC BY-NC-ND)

<https://doi.org/10.18778/8331-854-7>

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Wydanie I. W.11794.25.0.K
Ark. druk. 32,75

ISBN 978-83-8331-853-0
e-ISBN 978-83-8331-854-7

Spis treści

.....

Wstęp	7
O Autorce	9
O tekstach	25
Zasady redakcji tekstu	34
 Wspomnienia i refleksje pedagoga	 39
Nauczycielka	41
<i>Lata dziecinne</i>	43
<i>Studia</i>	65
<i>Tułaczka</i>	97
<i>W kraju</i>	129
<i>Szkoła nr 137 (A)</i>	157
<i>Szkoła nr 137 (B)</i>	192
<i>Przy Ostrobramskiej</i>	220
<i>Wojna</i>	245
<i>Niewola</i>	252
 Idziemy wzwyż (gawędy)	 275
Wstęp	277
Nauczyciel	281
Kształcenie nauczycieli	290

<i>Trudności, z którymi walczyć musi nauczyciel</i>	301
<i>Trudności związane z warunkami naszej pracy</i>	323
<i>Trudności, które łączą się z organizacją szkolnictwa i wadami społeczeństwa</i>	349
<i>Środki, które ułatwiają zwalczanie trudności</i>	362
<i>Bilans pracy</i>	389
 <i>Listy do męża</i>	 411
<i>Do Ciebie, mój Rusieńku, moje Ty szczęście i życie...</i>	413
 Bibliografia prac Natalii Han-Ilgiewicz (w układzie chronologicznym)	 511
Spis ilustracji	519
Podziękowania	523

Wstęp

.....

O Autorce

.....

Autorka prezentowanych tekstów przyszła na świat jako drugie dziecko małżeństwa Michałowskich. Ojciec jej — Józef Michałowski (1867–1921), syn Wincentego i Ludwiki — po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Kijowskim pracował kilka lat jako sędzia w Kozielcu — małym miasteczku na Ukrainie w guberni czernihowskiej nad rzeką Oster. Tam poznał i poślubił Helenę z Rudzkich (1863–1952), córkę Bazylego Rudzkiego, marszałka szlachty w Czernihowie, i Praskowii ze Stradomskich z Czernihowa. Helena z Rudzkich Michałowska, osoba utalentowana, o dużej wrażliwości muzycznej, ukończyła kurs wyższy fortepianu Instytutu Muzycznego Warszawskiego i w dniu 17 czerwca 1888 roku otrzymała świadectwo nauczyciela muzyki II klasy w zakresie gry fortepianowej. W cztery lata po urodzeniu się syna Michała przyszła na świat w dniu 21 maja 1895 roku Natalia. Podróż do odległej Warszawy jej matka odbyła wyłącznie po to, by córka miała jako miejsce urodzenia wpisaną stolicę Polski. Zaraz też została ochrzczona według obrządku rzymskokatolickiego w kościele parafialnym św. Barbary w Warszawie. Było to konieczne, gdyż zgodnie z przepisami obowiązującymi w Rosji córka przyjmowała wyznanie matki. Ta zaś jako mieszkanka Ukrainy była prawosławna. Tymczasem państwo Michałowscy zdecydowali się wychowywać swe dzieci w wierze katolickiej. Gdy Natalia miała 7 lat, na świat przyszedł jej młodszy brat Leon. Wkrótce państwo Michałowscy postanowili przenieść się do Dorpatu. Przyczyny tej decyzji nie są w pełni jasne. Być może zaważyły na niej antypolskie nastroje na Uniwersytecie Kijowskim, w którym sędzia Michałowski bezskutecznie ubiegał się o pracę. Natomiast w Dorpacie istniał uniwersytet rosyjski, skupiający w swych murach zarówno wykładowców, jak i studentów narodowości polskiej. Pobyt w Dorpacie nie trwał

długo. Wkrótce sędzia Michałowski za wydanie niezawisłego wyroku i odmowę jego zmiany na żądanie ministerstwa sprawiedliwości został zesłany za krąg polarny. Dzięki staraniom ówczesnego ministra oświaty hrabiego Siergieja Wittego decyzję zmieniono na osiedlenie w Tomsku. Było to jedno z najstarszych miast Syberii. W końcu XIX wieku miasto liczyło około 65 tysięcy mieszkańców i prezentowało się lepiej niż wiele innych grodów syberyjskich. Posiadało kilka budowli sakralnych — zbor protestancki, meczet, a także wzniesiony staraniem miejscowej kolonii polskiej kościół rzymskokatolicki, ponadto były tu seminarium duchowne, gimnazjum męskie i żeńskie, tak zwana szkoła realna, muzeum przyrodnicze, biblioteka i teatr. Największym wydarzeniem w życiu kulturalnym Tomsk i całej Syberii było otwarcie w 1878 roku uniwersytetu. Początkowo uczelnia dysponowała jednym wydziałem medycznym, po dziesięciu latach uruchomiono również fakultet prawa. W tej sytuacji dla sędziego Michałowskiego istniała możliwość kontynuowania pracy naukowej. Wkrótce po ulokowaniu rodziny w Tomsku w 1904 roku zrezygnował ze stanowiska sędziego, by objąć Katedrę Prawa Karnego w tej uczelni. Przez następne lata wykładał historię filozofii prawa, encyklopedię prawa, ogólną naukę o państwie, prawo kryminalne, proces kryminalny i cywilny. Opublikował około 50 prac w języku rosyjskim, wśród których za najważniejsze uważał *Szkice filozofii prawa*. W Tomsku Natalia spędziła dzieciństwo i młodość. W mieście znajdowała się dość liczna i prężna kolonia polska. Skupiała się wokół kościoła katolickiego, przy którym działało Katolickie Towarzystwo Dobroczynności. Organizowane przez nie przedstawienia, koncerty, bale były potężnym czynnikiem krzewienia polskości wśród Polaków urodzonych na Syberii. Rozwojowi Towarzystwa sprzyjał coraz większy napływ inteligencji polskiej do Tomsk. W związku z reformą sądownictwa na Syberii w 1896 roku rozpoczął swe czynności Sąd Okręgowy w Tomsku. Przybywające tu kolejne rodziny polskie szybko włączyły się w życie kolonii. Być może z tego właśnie powodu udało się zmienić miejsce zesłania sędziego Michałowskiego na Tomsk. O ile Towarzystwo Dobroczynności działało głównie siłami starszego społeczeństwa, o tyle młodzież grupowała się w tajnych organizacjach uczniowskich. W efekcie ich

.....

aktywności powstały dwie czytelnie polskie. W sumie polska młodzież szkolna wyrastała w atmosferze polskości. Po złożeniu matury Natalia podjęła studia w Uniwersytecie Tomskim na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych, gdzie później była asystentką przy Katedrze Filozofii Prawa.

Krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej, w styczniu 1914 roku Natalia wyszła za mąż za Rosjanina Włodzimierza Hana, absolwenta Instytutu Technologicznego. W dniu 22 grudnia 1915 roku przysła na świat córeczka Terenia, zaś ojciec dziecka wkrótce został zmobilizowany i wysłany na front, skąd już nie wrócił. Natalia na lata wojny i zawieruchy rewolucyjnej została sama z małą córeczką. W marcu 1917 roku drogą telegraficzną nadeszła do Tomsku wiadomość o zwycięstwie rewolucji. Miasto stało się stolicą syberyjskich separatystów. W grudniu 1917 roku powołali Syberyjską Dumę Obwodową, która pełniła funkcję rządu regionalnego. W następnym miesiącu Duma ogłosiła niepodległość Syberii i składowy oficjalnego rządu. W nocy z 7 na 8 lutego 1918 roku tomska Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich złożona z bolszewików rozpędziła Dumę, uznała ją za kontrrewolucyjną i aresztowała jej członków. Władza radziecka nie zdołała się jednak długo utrzymać w Tomsku. Dnia 31 maja 1918 roku bolszewicy opuścili miasto. Do końca lata 1918 roku na całym obszarze Syberii władza radziecka została obalona. Rozpoczęła się wojna domowa. Pod koniec 1919 roku siły białogwardystów były na wyczerpaniu. Po upadku Rządu Kołczakowskiego i przeniesieniu go do Irkucka, wśród burżuazji i ziemiaństwa zgrupowanego na Syberii wybuchła panika. Masa uciekinierów starała się jak najszybciej dotrzeć do Irkucka. Znalazła się wśród nich także Natalia, która z małą Tereską zmierzała do Czyty, do stryja. Podróż jednak zakończyła się w Irkucku. Tu chwyciła się różnych zajęć, by utrzymać siebie i dziecko. Na koniec trafiła do Komisji do Walki z Przestępczością Nieletnich. Zorganizowała wówczas i prowadziła kolonię eksperymentalną dla nieletnich przestępców nad Bajkałem. Swe doświadczenia pedagogiczne wyniesione z „bajkałskiej przygody” opisała później w książce *W poszukiwaniu dróg resocjalizacji* (Warszawa 1967). Po zakończeniu kolonii nad Bajkałem Natalia powróciła do Tomsku.

Zastała tu znaczne zmiany. Wielu dawnych znajomych nie było już w mieście, w Uniwersytecie brakowało części profesorów; ciężko chory ojciec po aresztowaniu przebywał u swego przyjaciela, dawnego ucznia, w Barokówce, położonej w połowie drogi między Tomskiem a Irkuckiem. Natalia po złożeniu końcowych egzaminów na Uniwersytecie pracowała jako „pozostawiona przy uniwersytecie”. Prof. Nikołaj Fioletow¹, opiekun naukowy początkującej asystentki, bardzo wysoko cenił jej pracę, wiedzę i walory umysłu. W opinii napisał:

Okazicielka niniejszego, pozostawiona przy Uniwersytecie Tomskim celem przygotowania się do stopnia profesora przy Katedrze Filozofii Prawa, Natalia, córka Józefa, Han, po ukończeniu Wydziału Prawnego Uniwersytetu Tomskiego prowadziła pod moim kierunkiem w ciągu roku akademickiego 1920/1921 seminarium zastosowane do programu opracowanego przez profesorów E.N. Trubeckiego² i P.J. Nowgorodcewa³ dla składających egzaminy magisterskie z encyklopedii i historii filozofii prawa przy Uniwersytecie Moskiewskim. Gruntowne filozoficzne i prawnicze przygotowanie naukowe, jakie N.J. Han otrzymała jeszcze przed pozostawieniem jej przy uniwersytecie (w znacznej mierze pod bezpośrednim kierownictwem obecnie zmarłego ojca jej, profesora Uniwersytetu Tomskiego J.W. Michałowskiego, jednego z przedstawicieli szkoły filozofii prawa Borysa Nikołajewicza Cziczeryna⁴), dało możliwość w bieżącym okresie poświęcić się studiowaniu z pierwowrótł klasyków filozoficznej i prawniczej myśli oraz monograficznemu, samodzielnemu opracowaniu specjalnych tematów z najbardziej istotnych działów filozofii prawa i dyscyplin posiłkowych. W szczególności z wielką gruntownością, uwagą i zamięłowaniem opracowywane były przez N.J. Han tematy związane z problemami „prawodawstwa dla nieletnich i świadomości prawa” oraz sytuacją prawną dzieci w państwie (zagadnienia wychowania społecznego, dziecięcej przestępczości i walki z nią, stosunek rodziny do państwa i inne) oraz

¹ Nikołaj Nikołajewicz Fioletow (1891–1943) — profesor prawa w Uniwersytecie Permskim. W latach 1919–1920 wraz z Uniwersytetem został ewakuowany do Tomska, gdzie pracował dydaktycznie.

² Jewgienij Nikołajewicz Trubeckoj (1863–1920) — rosyjski filozof i działacz społeczny.

³ Paweł Iwanowicz Nowgorodcew (1866–1924) — filozof prawa i społeczeństwa, także historyk prawa. Profesor w Uniwersytecie Moskiewskim; od 1920 r. dziekan Wydziału Prawa w nowo powstałym Uniwersytecie w Pradze.

⁴ Borys Nikołajewicz Cziczeryn (1828–1904) — określany jako jeden z dwóch największych rosyjskich filozofów prawa.

z historią nauk socjalnych Kościoła rzymskokatolickiego. W pracach swoich za ubiegły okres N.J. Han wykazała nie tylko dobrą znajomość literatury filozoficznej i prawniczej, ale i orientację w metodach pracy naukowej oraz oryginalność i samodzielność myśli. Poza samodzielnymi pracami naukowymi N.J. Han w roku bieżącym brała czynny udział w kierowanych przeze mnie oraz S.A. Hessena seminariach, i tu wykazując dużą jasność myśli i zdolności pedagogiczne⁵.

Dnia 5 marca 1921 roku zmarł ojciec Natalii. Fakt ten wzmógł chęć powrotu do kraju. Brat Leon wraz z matką został w Tomsku w oczekiwaniu na potrzebne dokumenty. Do kraju jednak nie wrócił. Został wywieziony do Kazachstanu. Starszy brat Michał od roku przebywał gdzieś w Ukrainie, skąd nie nadchodziły o nim żadne wiadomości. Po latach okazało się, że został profesorem botaniki i matematyki w Uniwersytecie w Charkowie. Droga do kraju wiodła przez Piotrogród, gdzie trzeba było się zatrzymać na pewien czas w oczekiwaniu na miejsce w jednym z eszelonów wyruszających do kraju. Aby utrzymać się wraz z dzieckiem, od 1 sierpnia 1921 roku podjęła pracę nauczycielki w Państwowej Szkole dla Dzieci Niewidomych, równocześnie będąc wychowawczynią internatu przy szkole, w którym sama z córeczką zamieszkała. W pierwszych dniach stycznia 1922 roku nadeszło pismo z Permu z propozycją pracy w charakterze pracownika naukowego w Katedrze Prawa Publicznego tamtejszego Uniwersytetu. Chęć powrotu do kraju kazała jednak odmówić. Na początku lutego 1922 roku odbył się w Piotrogradzie kongres defektologii. Dotyczył on aktualnego stanu placówek dla dzieci odbiegających od normy. W jednej z komisji omawiano eksperyment bajkalski. Wzbudził on wówczas duże zainteresowanie i spowodował ożywioną dyskusję. Na obradach był także Antoni Makarenko⁶. Doświadczenia Natalii Hanowej bardzo go zainteresowały i odniósł się do nich z dużym uznaniem. W pierwszych dniach marca 1922 roku Natalia Hanowa

⁵ Tekst opinii prof. Fioletowa o asystentce Natalii Hanowej znajduje się w zbiorach Muzeum Oświaty Ziemi Łódzkiej w Łodzi.

⁶ Antoni Makarenko (1888–1939) — radziecki pedagog i pisarz, twórca systemu wychowania komunistycznego — teorii i metodologii wychowania w samorządowych kolektywach dziecięcych. W latach 1920–1935 organizował w Połtawie i Charkowie placówki opiekuńczo-wychowawcze dla bezdomnej i wykołejonej młodzieży.

z córeczką po długiej, uciążliwej podróży towarowym pociągami znalazły się na granicy Polski. Jako miejsce stałego pobytu wybrała Wilno. Tu z dniem 1 sierpnia 1922 roku podjęła pracę nauczycielki w Zakładzie Wychowawczo-Poprawczym w Wielucianach, niewielkiej miejscowości położonej 5 km od stacji kolejowej Nowa Wilejka. W tym czasie wróciła do kraju matka Natalii i zamieszkała z córką i wnuczką w Wielucianach. W końcu sierpnia 1923 roku Natalia wyjechała wraz z matką i Terenią do stolicy, by tam podjąć pracę w Towarzystwie Opieki nad Ociemniałymi. Po wakacjach zaczęła uczęszczać na wykłady w Instytucie Pedagogiki Specjalnej, coraz mocniej bowiem odczuwała braki w wiedzy, głównie z dziedziny metodyki i dydaktyki. Zapisła się więc jako wolna słuchaczka i odtąd była na wszystkich wykładach, by 10 stycznia 1926 roku otrzymać dyplom nauczyciela moralnie upośledzonych i natychmiast podjąć wykłady na tej uczelni z kryminologii nieletnich. Z twórczynią Instytutu, a potem jego kierowniczką Marią Grzegorzewską połączyła Natalię głęboka i wierna przyjaźń.

Już w czasie wakacji w 1925 roku nadarzyła się okazja podjęcia pracy w szkole dla moralnie upośledzonych. Natalia chętnie z niej skorzystała, bowiem w tym kierunku szły główne jej zainteresowania pedagogiczne. Z powstałą we wrześniu 1924 roku szkołą dla dzieci moralnie zaniedbanych przy ul. Złotej 24 Natalia Hanowa zapoznała się, będąc jeszcze słuchaczką Instytutu Pedagogiki Specjalnej, dla którego była to szkoła ćwiczeń. Wkrótce została nauczycielką w tej szkole, a od 1926 roku, po uzyskaniu dyplomu Instytutu, objęła jej kierownictwo. Była to placówka zupełnie nowego typu, nie miała żadnych wzorów do naśladowania i musiała sama odnajdować właściwą drogę postępowania. Doświadczenia dziesięcioletniej pracy w tej szkole zawarła w książce *W naszej szkole. Reminiscencje o warszawskiej szkole dla chłopców społecznie niedostosowanych* (Warszawa 1962). W sierpniu 1935 roku przeniosła się Natalia do Wilna, gdzie objęła kierownictwo szkoły specjalnej. W dniu 26 czerwca 1937 roku Natalia wyszła za mąż za porucznika Wojska Polskiego Piotra Ilgiewicza (1896–1970), syna Jana i Wiktorii z Siemaszków, wdowca z trojgiem dzieci (Janiną, Wandą i Zbigniewem), które otoczyła matczyną opieką.

.....

W tym czasie rozpoczęła pracę nad rozprawą doktorską pod kierunkiem wybitnego specjalisty od prawa karnego prof. Bronisława Wróblewskiego w Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie. W rezultacie we wrześniu 1939 roku uzyskała stopień doktora prawa karnego i nauk społecznych za rozprawę *Konflikt dziecka z prawem karnym*. Praca ta w poszerzonej wersji, początkowo w formie powielonej, a potem książkowej (*Dziecko w konflikcie z prawem karnym*, Warszawa 1965) stała się popularnym podręcznikiem uniwersyteckim, na którym kształciły się kadry wychowawców zakładów poprawczych i wychowawczych, a także sędziów dla nieletnich. Było to pierwsze w naszym piśmiennictwie repetytorium poświęcone kryminologii nieletnich.

Dramatyczne lata drugiej wojny światowej spędziła rodzina Ilgiewiczów w Wilnie. Miasto przeżyło trzy zmiany władzy. We wrześniu 1939 roku wkroczyła do Wilna Armia Czerwona. Niemal natychmiast rozpoczęły się aresztowania elity polskiego społeczeństwa, a więc polityków przedwojennych, ludzi nauki, kultury, wojskowych, policjantów, prawników, słowem inteligencji. W ciągu 40 dni okupacji sowieckiej aresztowano ponad 500 osób. Dnia 10 października 1939 roku władze sowieckie podpisały układ z Litwinami o przekazaniu im Wilna i części województwa wileńskiego. Po wkroczeniu armii litewskiej do Wilna zaczęto zaprowadzać nowe porządki. Polegały one na litwinizowaniu wszystkiego, co polskie. Wszelkie formy działalności patriotycznej spotykały się z ostrą reakcją litewskiej policji. Zapełniało się więzienie na Łukiszkach. W sumie podczas okupacji litewskiej, aczkolwiek krótkiej, znalazło się w łukiskim więzieniu aż 1500 Polaków⁷. Szczególnie ciężki dla rodziny Ilgiewiczów był rok 1940. 15 czerwca tego roku Armia Czerwona ponownie wkroczyła do Wilna oraz na przyległe terytorium części Wileńszczyzny. Nastął czas zagrożenia ponownymi aresztowaniami i wywózkami. W pierwszych miesiącach panowania w Wilnie NKWD aresztowało pojedyncze osoby związane z konspiracją lub uważane za „rażących” wrogów władzy ludowej, tj. „obszarników” i „kapitalistów”, a także tych,

.....

7 H. Pasierbska, *Wileńskie Łukiszki*, Gdańsk: nakładem własnym 2003.

.....

którzy walczyli z bolszewikami w 1920 roku. Piotr Ilgiewicz jako oficer Wojska Polskiego, uczestnik wojny 1920 roku, też trafił na Łukiszki w dniu 11 lipca 1940 roku, zapewne w ramach akcji deportacyjnej prowadzonej aż do wycofania się Sowietów z Wilna. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej NKWD rozpoczęło ewakuację więźniów. Jednak dzięki akcji polskich kolejarzy ostatnia z wywozek z wileńskiego dworca w nocy z 23 na 24 czerwca 1941 roku tylko częściowo się powiodła. W panującym zamieszaniu polscy maszyniści ukryli się i nie było komu prowadzić składów. Natomiast inni kolejarze odczepili od lokomotywy kilka wagonów z więźniami⁸. Wraz z innymi uratował się także Piotr Ilgiewicz. Z chwilą odejścia bolszewików zaczęła się okupacja niemiecka w Wilnie. Starsze dzieci Ilgiewiczów — Zbyszek i Wanda — zostali wywiezieni do Niemiec na roboty. Natalia włączyła się w tajne nauczanie. Wraz z mężem zmagала się z trudnościami bytowymi, znanymi wszystkim, którzy przeżyli wojnę. Dnia 13 lipca 1944 roku po kilkudniowych zaciętych walkach Wilno zostało zdobyte przez oddziały radzieckie i współdziałające z nimi oddziały partyzanckie Armii Krajowej. Dom i rodzina Ilgiewiczów przetrwały szczęśliwie zdobycie Wilna. Natomiast dom córki Teresy został zburzony w czasie działań wojennych.

Ilgiewiczowie pozostali w Wilnie do marca 1945 roku. Dnia 25 marca Natalia z rodziną wyjechała z Wilna do kraju. Z rodziną na razie niekompletną: Wanda i Zbyszek nie wrócili jeszcze z Niemiec. Także córka Teresa jechała sama z małym synkiem Andrzejkiem. Jej mąż Edward Csató (1915–1968) jako żołnierz AK w latach 1942–1944 został wywieziony do Kaługi, skąd wrócił do Polski pod koniec kwietnia 1945 roku. Większość repatriantów udawała się na Ziemię Odzyskane. Państwo Ilgiewiczowie, a także Teresa odłączyli się w Łowiczu. Tu Natalia umieściła bliskich w schronisku PUR-u⁹ i wyruszyła na poszukiwanie

.....

⁸ S. Koper, T. Stańczyk, *Ostatnie lata polskiego Wilna*, Warszawa: Fronda 2020, s. 428.

⁹ Państwowy Urząd Repatriacyjny powołany z mocy dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego 7 października 1944 r. Jego zadaniem była początkowo organizacja repatriacji ludności na pojańskim terytorium Polski. Następnie zakres zadań został zwiększony. Dekret

.....

miejsca do osiedlenia. Wiele miast w owym czasie oferowało kuszące możliwości pracy. Nie było jednak mieszkań. Wybór padł na Łódź, w której Natalia znalazła się 9 kwietnia 1945 roku. Zamieszkali wraz z mężem i matką przy ul. Piotrkowskiej 39, w małym mieszkaniu na poddaszu. Mąż został zatrudniony w Urzędzie Likwidacyjnym, córka Teresa podjęła pracę w PUR-ze, Nina, córka Piotra Ilgiewicza, zaczęła uczęszczać do liceum ogólnokształcącego. Natalia rozpoczęła pracę 18 kwietnia jako nauczycielka w publicznej szkole powszechnej nr 68. W marcu 1946 roku przeszła do publicznej szkoły powszechnej dla chłopców moralnie zaniedbanych nr 78. Niedługo jednak pracowała w tej szkole, bowiem stale była delegowana do pełnienia obowiązków w Departamencie Opieki nad Dzieckiem. Od początku 1946 roku Natalia rozpoczęła podróże po Polsce. Z polecenia Ministerstwa Oświaty była delegowana w celu zapoznania się z zakładami dla dzieci odbiegających od normy. Przez rok jeździła więc po kraju, przemierzając nieraz znaczne odległości to ciężarówką, to chłopską furmanką, nierzadko w dużej części pieszo. Wreszcie w 1947 roku, po blisko dwuletnich zabiegach i pracach przygotowawczych, udało się powołać do życia placówkę obserwacyjną dla dzieci o trudnościach charakterologicznych. Zakład ten powstał w Reymontówce pod Łodzią jako publiczna szkoła specjalna dla dzieci trudnych do prowadzenia nr 95. Z dniem 1 maja 1947 roku Natalia Han-Ilgiewicz została jej kierowniczką. Był to wówczas jedyny zakład obserwacyjno-leczniczy dla dzieci trudnych w Polsce i jeden z trzech działających w Europie.

Jednocześnie uczestniczyła w odbudowywaniu szkolnictwa wyższego. W grudniu 1945 roku wznowiła przerwane wojną wykłady z kryminologii nieletnich w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej. W tym samym czasie odradzał się po sześcioletniej przerwie Państwowy Instytut Higieny Psychicznej w Warszawie. Dr Natalia Han-Ilgiewicz w znacznym

.....

z 7 maja 1945 r. rozszerzył zakres działania PUR-u o migracje wewnątrz terytorium państwa, nakazując jego kierownictwu organizowanie powrotu wysiedlonych przez niemieckiego okupanta do poprzednich miejsc zamieszkania oraz przesiedlenia na tereny ziem odzyskanych ludności z innych terenów państwa polskiego.

stopniu przyczyniła się do utworzenia łódzkiej filii tego Instytutu, a także powołanego przezeń Studium Higieny Psychiczej. Przez pewien czas była kierownikiem łódzkiej filii. Zorganizowała tu i kierowała Pracownią Pedokryminologiczną. Była też wykładowcą Studium — zarówno w Warszawie, jak i w Łodzi. Gdy w maju 1946 roku rozpoczął działalność Polski Instytut Służby Społecznej kierowany przez prof. Helenę Radlińską, dr Ilgiewicz nie zabrakło w szeregach jego współpracowników.

W tym samym czasie, gdy zakład w Reymontówce zaczynał funkcjonować, dość radykalnie zmienił się profil pracy łódzkiej filii Państwowego Instytutu Higieny Psychiczej. Proponowany temat zbiorowej pracy badawczej mocno odbiegał od zainteresowań naukowych Natalii Han-Ilgiewicz. Tym chętniej skorzystała z nadarzającej się okazji podjęcia pracy w Uniwersytecie Łódzkim. Z dniem 1 października 1947 roku została adiunktem w Katedrze Psychologii Ogólnej i Eksperymentalnej Uniwersytetu Łódzkiego. Jest rzeczą charakterystyczną, że Natalia nigdy nie godziła się na utratę etatu nauczycielskiego. Równolegle z pracą naukową uczyła w szkołach specjalnych. Nie chciała, by jej dociekania naukowe przybrały zbyt teoretyczny charakter. Toteż gdy 1 października 1947 roku zrezygnowała z kierowania Reymontówką, przyjęła pracę w szkole specjalnej dla chłopców społecznie niedostosowanych przy ul. Łucji 12/16 w niepełnym wymiarze godzin. Z Reymontówką zachowała kontakt, czyniąc ją miejscem praktyk dla studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Oprócz pracy naukowej i nauczycielskiej brała udział w międzynarodowych kongresach. Z inicjatywy grupy Szwajcarów powstał w 1944 roku Komitet Kongresu poświęconego dzieciom — ofiarom wojny. Komitet ten zorganizował w Zurychu w okresie od 1 do 28 września 1945 roku Tygodnie Studiów nad Dzieckiem — Ofiarą Wojny. Na kongres ten z ramienia Instytutu Higieny Psychiczej delegowana została między innymi Natalia Han-Ilgiewicz. Brała udział w pracach sekcji prawnej, omawiającej stan potrzeb w dziedzinie profilaktyki, zwalczania przestępczości młodocianych i sądownictwa dla nieletnich. Wygłosiła również referat *Psychika dziecka trudnego w okresie okupacji*. Członkowie sekcji odbyli też liczne wycieczki do instytucji przeznaczonych dla dzieci trudnych, do zakładów

wychowawczych, więzień dla młodocianych i innych. Kongres umożliwił cenne kontakty osobiste, w wyniku których Natalia Han-Ilgiewicz w latach 1945–1949 była członkiem komitetu redakcyjnego „Revue de L'Education — Surveill'e” i współpracownikiem „Sauvegarde”, wychodzących w Paryżu czasopism poświęconych pedagogice specjalnej. W maju 1948 roku odbyła się kolejna konferencja SEPEG, tym razem w Otwocku. Natalia przygotowała referat *Dzieci moralnie zaniedbane przed wojną a obecnie*. W sierpniu tego roku wyjechała do Budapesztu na konferencję Departamentu Oświaty przy Światowej Federacji Związków Zawodowych. Referat na tę konferencję na temat *Dziecko — ofiara wojny* oparła na międzynarodowej ankiecie. Na jej nazwisko napływały stopy korespondencji z wielu krajów Europy, by stać się podstawą do szerokiej analizy. Jej wystąpienie wzbudziło duże zainteresowanie i żywą dyskusję.

Najbliższe lata to czas niezwykle intensywnego wysiłku: praca w szkole, działalność naukowo-dydaktyczna w Uniwersytecie Łódzkim, wyjazdy do Warszawy na wykłady w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej i Wyższej Szkole Higieny Psychiczej, własna praca naukowa, współpraca z sądem dla nieletnich, udział w międzynarodowych zjazdach wypełniały szczerze kalendarz. Jednocześnie czas ten obfitował w przykre, wyczerpujące przeżycia. Pod kołami tramwaju zginął na oczach babci w 1948 roku jedyny wnuczek Andrzejek, 4 lutego 1950 roku umarła matka Natalii, a jej córka po stracie syna wpadła w głęboką depresję i ciężko zachorowała. Wszystko to podkopało i tak już mocno nadwreżone zdrowie Natalii. W rezultacie 5 lutego 1952 roku znalazła się w szpitalu na trzytygodniowym leczeniu. Zalecenia lekarzy nie były łatwe do zrealizowania — zwłaszcza te, które dotyczyły zmiany trybu życia na mniej wyczerpujący. Terminarz Natalii Han-Ilgiewicz wciąż był wypełniony po brzegi, choć od października 1951 roku nie pracowała już w Uniwersytecie Łódzkim, bo nie przedłużono z nią umowy na następny rok akademicki.

Z dniem 1 kwietnia 1952 roku przeszła ze szkoły specjalnej na stanowisko kierownika sekcji dydaktyczno-naukowej opieki nad dzieckiem w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Kadr Oświatowych w Łodzi. Jakkolwiek praca ta mocno ją

absorbowała i pozwalała na gromadzenie ciekawego materiału empirycznego do własnych badań naukowych, to jednak niespodziewanie po roku Natalia przeszła na emeryturę. Rozważała taką ewentualność wcześniej, bo w grudniu 1951 roku pisała o swych planach w liście do Marii Grzegorzewskiej:

Chcę rozpocząć starania o emeryturę. Niech to będzie nawet bardzo mało, nie boję się tego. Umieć żyć więcej niż skromnie. Ale za to będę mogła posiedzieć i popisać. Wiesz, mam wciąż takie uczucie jakiegoś wstydu, że nie robię tego, co powinnam. Tyle się nagromadziło doświadczenia, wspomnień, refleksji, a tu życie może dobiec kresu i nikomu tego nie przekażę, chyba tylko fragmentarycznie. Po przekroczeniu 50-ki umysł pracuje szczególnie intensywnie i jakoś globalnie. Trzeba rzucić to, co męczy, wymaga niepotrzebnej pisaniny, kompromisów, a zabrać się do prawdziwej pracy¹⁰.

Pogarszający się stan zdrowia był zapewne także jedną z przyczyn decyzji o przejściu na emeryturę. Przyczyniła się do niej również ogólna atmosfera panująca w uczelniach i placówkach oświatowych. Prowokacje, donosy, nastrój podejrzliwości i nieufności, w którym Natalia nigdy nie potrafiła się odnaleźć, z pewnością sprawiły jej wiele bólu i musiały wywoływać poczucie krzywdy. Z Uniwersytetu Łódzkiego zaczęto usuwać profesorów, którzy nie podporządkowali się zarządzeniom i nie rezygnowali ze swego światopoglądu. Zwolniono prof. Stefanę Skwarczyńską, prof. Helenę Radlińską, Aleksandra Kamińskiego, przełożonego Natalii prof. Alberta Dryjskiego; jak wspomniano, Natalii także w październiku 1951 roku nie przedłużono zatrudnienia. W rezultacie z dniem 30 listopada 1953 roku Natalia została przeniesiona na emeryturę.

Pierwsze miesiące okazały się bardzo trudne. Mąż po drugim zawale był w trakcie wyrabiania sobie renty inwalidzkiej. Jego zasiłki chorobowe i emerytura Natalii ledwie wystarczały na bieżące wydatki. Państwo Ilgiewiczowie postanowili więc złożyć podanie o przyjęcie do Domu Rencistów w Wiśniowej Górze pod Łodzią. Temu pomysłowi gwałtownie sprzeciwiła się Maria Grzegorzewska. Zaproponowała Natalii większą liczbę godzin

¹⁰ Cyt. za: E. Tomasik, „Ocalić od zapomnienia” Maria Grzegorzewska w relacjach ze współczesnymi, Warszawa: Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej 1998, s. 241.

.....

wykładowych w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej, udział w praktykach studentów i domagała się zwiększenia wkładu pracy w czasopiśmie „Szkoła Specjalna”. Zupełnym zaskoczeniem była złożona przez ks. bpa Michała Klepacza propozycja objęcia wykładów z charakterologii w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi; za tym przykładem poszło następnie Seminarium Duchowne w Płocku. Wykłady cieszyły się wśród alumnów dużym zainteresowaniem. Już w pierwszym roku ukazały się w formie powielonej, a po kilku latach na ich podstawie Autorka opracowała skrypt, który również w formie powielaczowej ukazał się w 1957 roku. Wkrótce pojawiły się kolejne propozycje pracy dydaktycznej na wyższych uczelniach. Jesienią 1957 roku podjęła pracę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Początkowo były to zlecone wykłady z psychologii wychowawczej oraz seminarium z tego przedmiotu. Następnie od 1 lutego 1958 roku uzyskała etat wykładowcy, a później zastępcy profesora, kierując nowo powstałą Katedrą Psychologii Wychowawczej. W tym samym roku akademickim 1957/1958 również Uniwersytet Łódzki zaangażował ją do prowadzenia wykładów i ćwiczeń z psychologii na Wydziale Zaocznym. W czasie pracy w KUL wypromowała około 40 magistrów. Dała się też poznać rzeszom duchownych jako autorytet naukowy, biorąc udział w organizowanych przez KUL wakacyjnych cyklach wykładów dla duchowieństwa i siostr zakonnych. Wśród prowadzących wykłady było wielu pracowników KUL, między innymi ks. bp Karol Wojtyła. Lata pracy w KUL pozwoliły bliżej poznać się tym ludziom o niepospolitych osobowościach. Ks. bp Karol Wojtyła wysoko cenił autorytet naukowy Natalii Han-Ilgiewicz, o czym świadczy fakt, że zwrócił się do niej z prośbą o krytyczne przeczytanie maszynopisu jego pracy *Miłość i odpowiedzialność*. Intensywna praca dydaktyczna, ciągłe podróże do Warszawy, Płocka i Lublina mocno nadwerżyły zdrowie Natalii. Toteż wyjazdy do Lublina i Płocka wkrótce zastąpiła pracą w Łodzi. Przez blisko 10 lat prowadziła wykłady i ćwiczenia z psychologii ogólnej i rozwojowej w Państwowej Szkole Medycznej Pielęgniarstwa nr 1 przy ul. Ciołkowskiego, a przez rok w Państwowej Szkole Pracowników Socjalnych w Łodzi. Opracowała wtedy, na prośbę Departamentu Średnich Szkół Medycznych Ministerstwa Oświaty i Opieki Społecznej,

projekt programu nauczania przedmiotu „pedagogika społeczna — dziecko trudne” dla szkoły higienistek szkolnych. Wkrótce posypały się propozycje współpracy ze strony wielu czasopism pedagogicznych takich jak „Rodzina i Szkoła”, „Przyjaciel Dziecka”, „Problemy Opiekunczo-Wychowawcze” itp. Dzięki znajomości kilku języków obcych Natalia śledziła obce piśmiennictwo naukowe ze swej specjalności i prezentowała na łamach „Szkoły Specjalnej” nowe, interesujące pozycje, referując ich zawartość polskiemu czytelnikowi. Przybywało obowiązków, zwłaszcza że coraz więcej czasu zajmowała praca pisarska. W latach 1958–1970 powstało 10 książek, które cieszyły się znaczną poczytnością. Część z nich miała kilka wydań. Oparte na bogatym materiale empirycznym zawierały rezultat doświadczeń zdobytych w toku długoletniej pracy, prezentowały najnowszy stan polskiej i światowej myśli naukowej z zakresu psychologii i pedagogiki. Rosnąca popularność Natalii Han-Ilgiewicz jako Autorki zajmujących książek dla wychowawców i rodziców stworzyła jeszcze jedno forum kontaktów z ludźmi — spotkania autorskie z czytelnikami. Jeździła po całej Polsce, wszędzie serdecznie witana. Szybko przełamywała bariery oficjalności i po krótkim czasie rozmowa toczyła się żywo. Niezwykle po spotkaniu znalazła się godzinka na osobistą rozmowę ze stroskaną matką, zmartwionym ojcem, z wychowawcą szukającym rady i pomocy w swych posunięciach wychowawczych. Każdego Natalia słuchała z takim zajęciem, jak gdyby także dla niej ta właśnie sprawa była najważniejsza na świecie. Napływały także zamówienia z całej Polski na odczyty, wykłady, udział w kursach organizowanych dla różnych grup zawodowych związanych z wychowaniem. Przez wiele lat wygłosiła niezliczoną liczbę odczytów organizowanych przez Komisję Popularyzacji Wiedzy Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, brała udział w spotkaniach w Łódzkim Domu Kultury, w Miejskiej Bibliotece Publicznej, w wykładach Uniwersytetu dla Rodziców, była aktywnym członkiem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Działalność na rzecz upowszechniania wiedzy zaprowadziła Natalię Han-Ilgiewicz w progi radia, telewizji, a także do wytwórni filmowej. Na prośbę Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi

.....

konsultowała i przygotowywała dokumentację, recenzowała scenariusze popularnonaukowych filmów o wychowaniu. Kilka lat trwała współpraca z Łódzką Rozgłośnią Polskiego Radia. Na podstawie realizowanych z redaktor Janiną Krzywopiszyną audycji z cyklu *Mówi pedagog* powstała książka *Gawędy o wychowaniu* (Warszawa 1970). Dr Natalia Han-Ilgiewicz występowała także przed kamerami telewizji. Brała udział w kilku audycjach Telewizyjnego Programu dla Nauczycieli. Była zapraszana do udziału w nich obok między innymi Marii Grzegorzewskiej, Bohdana Suchodolskiego, Wincentego Okonia, Jana Konopnickiego, Ireny Wojnar i wielu innych znanych pedagogów.

Mimo trwających kłopotów ze zdrowiem Natalia nie rezygnowała z nowych inicjatyw i aktywności zawodowej. W 1961 roku włączyła się w prace Łódzkiej Rady do Spraw Wychowania Dzieci i Młodzieży. Zgodnie ze swą specjalnością Natalia działała w Sekcji do Spraw Przestępczości Nieletnich. W latach 1962/1963 i 1965/1966 wykladała na Uniwersytecie Warszawskim kryminologię nieletnich i przez dwa lata prowadziła takie wykłady na Studium Zaocznym Uniwersytetu Łódzkiego. W 1966 roku dr Natalia Han-Ilgiewicz wyjechała do Francji, do Evian na trzeci Międzynarodowy Kongres Pedagogiczny UMOSEA. Udział w naukowych dyskusjach, kuluarowych rozmowach, wycieczkach po Francji i Szwajcarii połączonych ze zwiedzaniem instytucji przeznaczonych do wychowania re-educacyjnego dał wiele materiału do przemyśleń i utwierdził w przekonaniu, że problemy dotyczące młodzieży społecznie niedostosowanej na całym świecie są do siebie podobne.

Następne lata naznaczone były nasilającymi się kłopotami ze zdrowiem. Silnym przeżyciem była śmierć najbliższej przyjaciółki Marii Grzegorzewskiej. Z Warszawy dochodziły przygnębiające wiadomości o nienajlepszym stanie zdrowia córki Teresy, który stopniowo się pogarszał. W domu mąż po drugim zawale wymagał troskliwej opieki. Wkrótce przyszedł trzeci zawał i jednostronny paraliż. Piotr Ilgiewicz kilka miesięcy spędził w szpitalu, a następnie w domu pielęgowany przez żonę. Zmarł dnia 4 maja 1970 roku. W kilka tygodni później zmarła córka Teresa.

Po śmierci bliskich Natalia nie zaprzestała pracy. Już w połowie czerwca włączyła się w działania Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowego Sympozjum na temat *Funkcji wychowawczych rodziny w świecie współczesnym*. Przygotowała też komunikat *Zjawisko wychowalności i jego zastosowanie w pedagogice rodzinnej*, który wygłosiła na tym sympozjum w Warszawie w listopadzie 1970 roku. Stopniowo zmuszona była jednak zmniejszać liczbę obowiązków. Odeszła z Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej, z łódzkiej szkoły medycznej, wreszcie z Wyższego Seminarium Duchownego, w którym wykładała najdłużej. Alumni przywozili i odwozili Panią Doktor użyczonym przez władze uczelni na ten cel autem.

Natalia stawała się coraz bardziej znana, coraz częściej dzwiczłał telefon z prośbą o poradę, coraz chętniej w małym pokoiku na drugim piętrze gromadzili się młodzi ludzie na rozmowy o charakterologii. Powoli mieszkanie przy ul. Kopernika 2 zamieniało się w prywatną poradnię charakterologiczną. W ciasnym przedpokoju mijali się przyjaciele, koledzy i ludzie całkiem sobie nieznani. Przychodzili różni ludzie mający problemy z własnym życiem rodzinnym. Przychodziła również zaprzyjaźniona młodzież korzystać z porady i wsparcia, ale też świadczyć pomoc w różnych sprawach życia codziennego. I choć z czasem coraz większą trudność sprawiało jej poruszanie się i wychodzenie z domu, to jednak wciąż była aktywna i potrzebna. Jej wieloletnia praca spotykała się z nielicznymi, ale bardzo cennymi dowodami uznania. W dniu 10 kwietnia 1933 roku otrzymała srebrny krzyż zasługi, a 1 stycznia 1939 roku przyznano jej brązowy medal za długoletnią służbę. W 1957 roku otrzymała odznaczenie papieskie *Pro Ecclesia et Pontificae*. W rok później, w dniu 22 listopada, gdy po raz pierwszy obchodzono Dzień Nauczyciela, otrzymała odznakę Zasłużony Nauczyciel PRL. Wśród odznaczonych był także prof. Tadeusz Kotarbiński. Najwięcej radości sprawiło jej przyznanie w 1971 roku Orderu Uśmiechu.

Ostatnie lata życia spędziła wśród przyjaciół, pod troskliwą opieką siostr urszulanek. Zmarła dnia 13 sierpnia 1978 roku.

O tekstach

.....

Niniejszy tom zawiera trzy nieopublikowane rękopisy z lat 1941–1942. Pierwszy z nich stanowią wspomnienia z 30-letniej pracy nauczycielskiej. Spisane zostały na kartkach A5, zasadniczo czytelnym, starannym pismem. Zachował się także brudnopis z datą ukończenia 6 stycznia 1942 roku. Nosi on ślady pewnych zmian kompozycyjnych i uzupełnień. Całość opatrzone tytułem *Nauczycielka* i podzielono na 9 rozdziałów obejmujących chronologicznie następujące po sobie okresy życia. Są to: 1) *Lata dziecinne*; 2) *Studia*; 3) *Tułaczka*; 4) *W kraju*; 5) *Szkoła nr 137 (A)*; 6) *Szkoła nr 137 (B)*; 7) *Przy Ostrobramskiej*; 8) *Wojna*; 9) *Niewola*. Na stronie tytułowej umieszczono dedykację: „Ojcu memu poświęcam”.

Drugą część stanowi cykl gawęd zawierających rozważania dotyczące warunków pracy nauczyciela. Zatytułowany został *Idziemy wzwyż* i składają się nań następujące gawędy: 1) *Wstęp*; 2) *Nauczyciel*; 3) — (niestety, brakuje składki nr 3, zatem również tego fragmentu tekstu); 4) *Kształcenie nauczycieli*; 5) *Trudności, z którymi walczyć musi nauczyciel*; 6) *Trudności związane z warunkami naszej pracy*; 7) *Trudności, które łączą się z organizacją szkolnictwa i wadami społeczeństwa*; 8) *Środki, które ułatwiają zwalczanie trudności*; 9) *Bilans pracy*. Gawędy pisane były na identycznych kartkach jak część pierwsza wspomnień. Data ukończenia to 15 sierpnia 1942 roku.

Oba teksty były pomyślane jako podsumowanie dotychczasowej pracy nauczycielskiej i być może w dalszej przyszłości przeznaczone do publikacji. Świadczyć o tym może zamieszczony na końcu spis treści zawierający obok dwu pierwszych tekstów także rozprawę doktorską *Konflikt dziecka z prawem karnym* oraz szkice *Nieznosni chłopcy*, które z czasem ukazały

się w wersji książkowej. Wymieniony na końcu zbiór szkiców psychologicznych *My i oni* nie zachował się ani w rękopisie, ani w wersji drukowanej.

Zamieszczone w niniejszym tomie dwa teksty zdecydowano uzupełnić trzecim, o zupełnie innym charakterze i przeznaczeniu. Jest to dramatyczny i niezwykle osobisty dokument — dziennik notujący kolejne dni uwięzienia Piotra Ilgiewicza, męża Natalii Han-Ilgiewicz. Następnego dnia po aresztowaniu męża Natalia sięgnęła po brulion formatu A4 i na pierwszej stronie ukosem wpisała: „Do Ciebie, mój Rusieńku, moje Ty szczęście i życie”. W pierwszym zapisie wyjaśnia się charakter tekstu i jego funkcja. Czytamy m.in.: „Muszę chociaż pisać do Ciebie, jakkolwiek nie wiem, kiedy przeczytasz moje słowa. Wczoraj i dziś cały dzień szukaliśmy Ciebie: nikt nic powiedzieć nie mógł, czy też nie chciał. Dano do zrozumienia, że wywieźli Was” (13 VII). Krótsze lub dłuższe liściki, pogawędki adresowane do nieobecnego ukochanego męża zajęły 134 strony brulionu i zakończyły się zapisem: „24 czerwca [1941 roku — przyp. EUT] wrócił mój Ukochany! Bogu Najwyższemu niech będą dzięki!”. Wynika stąd jasno, że tekst był pisany z wyraźnym przeznaczeniem. Utrwalał dla męża wydarzenia z życia rodziny z czasu jego nieobecności, ale przede wszystkim był środkiem terapeutycznym, pozwalającym uporządkować własne myśli, lęki, obawy; dającym ujście uczuciom miłości, tęsknoty, nierzadko rozpacz. Dukt pisma odzwierciedla stan ducha Autorki, niekiedy zapisy noszą ślady łez. Autorka pozwalała sobie na nie jedynie w samotności. Nie ujawniała własnych słabości. Z tego względu fragmenty zawierające treści intymne przeznaczone wyłącznie dla adresata, którym był mąż, zostały w tym wydaniu przemilczane i oznaczone w tekście znakiem [...].

Natalia od dziecka aż do chwili powrotu do kraju przebywała w środowisku obcojęzycznym. W życiu publicznym, na uczelni, w urzędach, w szkole dominował język rosyjski. Po zawarciu małżeństwa z Rosjaninem, język rosyjski wszedł także do domu młodego małżeństwa, gdzie zawsze było wielu przyjaciół i znajomych Włodzimierza Hana. Były też w użyciu języki niemiecki, angielski i francuski, których Natalia nauczała

.....

w szkołach oraz na rozmaitych kursach. Wiele też w tych językach czytała. Językiem polskim posługiwano się zapewne jedynie w domu rodzinnym i wśród znajomych z grona inteligencji polskiej przebywającej w Tomsku. Nie wiemy, jaka była polszczyzna matki Natalii. Pochodziła ona z Ukrainy, być może istniały w jej idiolekcie jakieś interferencje. Natalia miała świadomość niedoskonałości swej polszczyzny. Po powrocie do kraju pozostaje w stałym kontakcie z regionalną polszczyzną wileńską. Gwarą wileńską posługują się często jej wychowankowie i ich rodzice. Oryginalną wymowę wileńską zachowała Natalia do końca życia. W wykładach uniwersyteckich, audycjach radiowych, wystąpieniach telewizyjnych, a także prywatnych rozmowach brzmiała swoista, wileńska fonetyka. Jednakże w piśmie cechy wschodniej fonetyki odzwierciedliły się w nielicznych przykładach, bowiem do poprawnej pisowni polskiej przywiązywała dużą wagę. W zakresie wokalizmu częstym zjawiskiem jest redukcja *e* do *i* w mianowniku liczby mnogiej rzeczowników męskich i żeńskich miękkotematowych. W badanych rękopisach niemal powszechną formą jest postać *ludzi* (np. *ludzi nauki; jak żyją ludzi; sami ludzi* itd.), a także rzadziej spotykane: *trzy miesięcy; dwa tygodni; lekkomyślni nauczycieli; spotkali się przedstawicieli; rzezi i prześladowania*. Stare *e*, niewyrównane do *o*, pojawia się tylko w jednym rzeczowniku wielokrotnie powtarzanym w tej formie: *z marsem na czele; kreślę krzyżyk na Twym czele* itd. Pojedynczy przykład zaświadcza odmienną niż w polszczyźnie literackiej realizację oboczności *-o-* || *-ó-*: *zdolności do psót*. W zakresie konsonantyzmu dla polszczyzny wileńskiej charakterystyczne są wahania spółgłosek szeregu syczącego, ciszącego i szumiącego. Cecha ta, jakkolwiek obecna w wymowie Autorki wspomnień, w piśmie zaznaczyła się w kilku zaledwie przykładach: *na przyźbie; przeszlę pocztą; przyszlę*. Przypomnijmy, że formy typu *przyszlę* traktowane były jako właściwość kresowa¹.

.....

¹ I. Bajerowa, *Kształtowanie się systemu polskiego języka literackiego w XVIII wieku*, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1964, s. 214.

Na płaszczyźnie **fleksji** zaznaczają się wpływy wschodnio-słowiańskie charakterystyczne dla polszczyzny północno-kresowej². Są to:

- nieodróżnianie form męskoosobowych od niemęskoosobowych: *malcy w pierwszej i drugiej klasie nagle zaczynały wołać przestraszonymi głosami; Czyż zresztą można wymienić wszystkie motywy, które wpłynęły na powzięcie decyzji?; Nieobce nam były i teatry warszawskie, gdzie moi „rzezimieszki” zachowywali się ze wzorową godnością; Dzieci są w nich rozkochani;*
- właściwa polszczyźnie północnokresowej odmienność rodzajowa rzeczowników: *piec* jako rzeczownik rodzaju żeńskiego wystąpił w miejscowniku w formie *na piecy*;
- stosowanie dłuższych form zaimków osobowych: *Radziłam się jego*. Ta cecha ma nieliczne poświadczenia w badanych tekstach;
- formy czasowników, które na wzór bezokolicznika utrzymują w temacie czasu teraźniejszego sufiksy *-wa-*, *-ywa-*, *-iwa-*, *-owa-*; rzadsza jest zmiana przyrostka na *-j-*, *-uj-*. Zjawisko to ilustrują następujące przykłady: *Pokonywając trwogę; aresztowują;*
- wahania w użyciu zaimków *się*, *sobie*, np.: *Mogłam mu więc odwdziżyć, czytając razem z nim bądź wielkie dzieła z dziedziny jego specjalności, bądź artykuły ukazujące się w fachowych czasopismach niemieckich; patrzyła na twarze sprzecających osób; śpieszyliśmy do domu; śniłam cię; Profesor wchodzi i dostaje z szafy potrzebną sobie książkę*. Wpływem języka rosyjskiego należy także tłumaczyć umiejscowienie zaimka *się* tuż po czasowniku: *A może jej się u nas [...] nie spodoba się; Azji nie trzeba bać się dziecko. Azję trzeba lubić i wielu rzeczy nauczyć się od niej;*

² Z. Kurzowa, *Język polski Wileńszczyzny i Kresów północno — wschodnich XVI–XX wieku*, Warszawa–Kraków: Wydawnictwo Naukowe PWN 1993, s. 161–209.

- formy osobowe czasownika w czasie teraźniejszym z odpowiednim zaimkiem osobowym: *Lubię ja tego urwisa*.

Niewiele jest osobliwości **słowotwórczych**. Polszczyzna północnokresowa nasycona jest zdrobnieniami w znacznie większym stopniu niż język ogólny. W badanych tekstach zjawiska tego się nie obserwuje. Jedyny przykład to regularnie używana nienacechowana forma żonka 'żona'. Natomiast nieco liczniejsze przykłady ilustrują wahania przyrostków przysłówkowych -e || -o. Zdaniem badaczy formacje na -o są w dialekcie wileńskim rezultatem wpływu języków ruskich, formy na -e zaś — archaizmami³. Są to np. *podobnie* 'podobno'; *dostateczno* 'dostatecznie'; *specjalno* 'specjalnie': *Mówił spokojnie i smutnie*.

Ważnym zjawiskiem **składniowym** w polszczyźnie wileńskiej są różnego rodzaju wahania i przekształcenia rekcji czasownika. Występuje dopełniacz zamiast biernika (np. *U wielu spośród naszych znajomych chowano niedźwiadków, które przybłąkały się latem*) lub biernik zamiast dopełniacza (np. *Ją słuchali wszyscy. Ze mną próbował Tadzio jeszcze wyklócać się, ale jakoś bez przekonania*). Biernik pojawia się także w kontekstach zawierających przeczenie (np. *Natuškę nikt nie bije; Nie można zobaczyć Bajkał i nie pokochać go całym sercem*).

Odmienne od języka ogólnego jest użycie przyimków:

- do zamiast w: *palce zanurzone do niej, drętwiąją; Z wielkim trudem udało mi się namówić go, by nadal uczęszczał do zajęć, uczyłam go oddzielnie;*
- za zamiast o: *do piekącego, ani na chwilę nieustającego bólu spowodowanego tęsknotą za Tobą i trwogą za Ciebie, [...] dochodzą jeszcze takie momenty;*
- za zamiast z: *Za wyjątkiem kilku chłopców — reszta na pograniczu normy i niedorozwoju⁴;*

³ Tamże, s. 116–160.

⁴ Zdaniem Danuty Buttler to kalka z języka rosyjskiego (D. Buttler, *Nowsze zapożyczenia rosyjskie w języku polskim*, „Zeszyty Naukowo-Dydaktyczne Filii UW w Białymstoku. Humanistyka” 1973, t. II, z. 6, s. 18).

- na zamiast *po*: *Co prawda ten, kto nie miał czasu lub energii do tego, by od świtu biec i zajmować miejsce w kolejce na chleb, na sól, na śledzie itd. źle wychodził na tym*. Niekiedy przyimek pojawia się w miejscu struktury syntetycznej: *na ranku* ‘rankiem’, *reminiscencje o tym* zamiast *tego* (zapewne przez analogię do ros. *вспоминать о ком чём*): *Będą nią reminiscencje o tym, jak to przy innym traktowaniu w otoczeniu innych ludzi było się też innym, lepszym, co zaś najważniejsze — było się chwalonym*.

Przejawem oddziaływania składni rosyjskiej są też zmiany szyku wyrazów w zdaniu. Zjawiskiem częstym w badanych rękopisach jest przesuwanie zaimka względnego *który* na dalszą pozycję w zdaniu podrzędnym, np. *Może dlatego tak chętnie korzystaliśmy również z rozrywek, o dostarczanie których nasza dyrekcja bardzo dbała; Może przeszkadza jesienne słońce, w świetle którego brzozy naprzeciw okna naszej klasy są zupełnie złote; oto były cele, realizacja których całkowicie absorbowała nasze siły i możliwości* itd. Podobne konstrukcje niezgodne z normą polskiego szyku zdaniowego występowały dość powszechnie w tekstach pisarzy dziewiętnastowiecznych (np. u Stefana Żeromskiego⁵, Teodora Tomasza Jeża⁶).

Do osobliwości polszczyzny wileńskiej należą konstrukcje z modyfikatorem kontynuującym, podtrzymującym i wzmacniającym wypowiedź *tak i*, np. *a okienka tak i nie otworzono*.

Zasadniczo Autorka w badanych tekstach nie używa **leksyki** regionalnej, unika także rusycyzmów. Te pojawiły się bardzo nielicznie: *dostać* (ros. *достать*) ‘wyjąć, wydobyć’; *order* (ros. *ордер*) ‘asygnata, kwit, rewers’; *poznać się* (ros. *познакомиться*) ‘zapoznać się’; *jeden i ten sam* (ros. *один и тот же*) — jest to struktura częsta w tekstach Natalii Han-Ilgiewicz.

⁵ H. Kurkowska, *Młody Żeromski a język rosyjski*, w: H. Kurkowska, *Polszczyzna ludzi myślących*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN 1991, s. 71–86.

⁶ W. Doroszewski, *Język Teodora Tomasza Jeża (Zygmunta Miłkowskiego)*. Studium z dziejów języka polskiego XIX wieku, Warszawa: Towarzystwo Naukowe Warszawskie 1949, s. 58.

Oprócz wpływów wschodniosłowiańskich język Autorki cechuje obecność zjawisk odzwierciedlających stan użycia językowego początków XX wieku. Częste są konstrukcje składniowe z orzecznikiem przymiotnym w narzędniku. W omawianych tekstach konsekwentnie orzecznik w orzeczeniu imiennym stoi w narzędniku, np. *Chopin był wewnątrznie bogatym*. Struktury takie, jako wariant regularnej, sankcjonowanej normą postaci orzecznika przymiotnego, były w użyciu w polszczyźnie ogólnej jeszcze do połowy XX wieku. Wartościowano je jako literackie, wyszukane, staranne⁷. U wielu dziewiętnastowiecznych autorów były bardzo częste. W opracowaniach wymienia się Juliusza Słowackiego, Aleksandra Chodźkę, Teodora Tomasza Jeża, Maksymiliana Fredrę, Elizę Orzeszkową.

Dla obszarów językowych peryferycznych typowa jest skłonność do zachowywania form archaicznych. Toteż spośród końcówek równoległych częściej wybierane są te starsze, wycofujące się stopniowo z użycia, np. *ze szpitalu; moich uczni; pożegnać uczni*. Jako archaizm należy potraktować formę *duże album*. Autorka omawianych rękopisów dokładała wszelkich starań, by wyeliminować ze swego języka różnorodne naleciałości z języków wschodniosłowiańskich. Konsekwentnie unikała ruseizmów leksykalnych. Chętnie natomiast odwoływała się do języków obcych w celach stylistycznych. Cytaty obcojęzyczne pełniły różne funkcje:

- nazywały obce realia. Przytoczone w tym celu wyrazy zwykle Autorka ujmuje w cudzysłów, niekiedy objaśnia ich znaczenie w nawiasie lub przypisie. W ten sposób przybliża czytelnikowi opisywaną rzeczywistość, np. *Kazał nazywać siebie „dieduszką”; częstował mlekiem, miodem i świeżymi „szańgami”* (tu w przypisie wyjaśnia: *Białe placki na drożdżach, smarowane przed wsadzeniem do pieca gęstą warstwą śmietany*); *rekołeksje, tzw. „gowienie”* (ros. *зобемь* ‘spowiadać się’); *W kilku miejscach cerkwi ustawiono „anałaje”, przy których*

7 D. Buttler, H. Kurkowska, H. Satkiewicz, *Kultura języka polskiego*, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1971, s. 327.

dziewczynki miały spowiadać się (ros. анолаў 'rodzaj konfesjonału'); przybył nowy transport „bieżeńców” ('uchodźców');

- ewokowały wrogość, obcość, ilustrowały zmieniające się nastroje polityczne: *Bardzo szybko wdzierać się zaczęły do szkoły piosenki rosyjskie „Katiusza”, „Jesli zawtra wojna”; Coraz częściej używano na wpół żartobliwie zwrotu „bat’ka Stalin”; otrzymałam z frontu lakoniczne powiadomienie o tym, iż mąż mój „propał bez wiesti” itp.*;
- przybliżały rzeczywisty przebieg komunikacji. W tej funkcji częściej pojawiają się wtręty angielsko- lub francuskojęzyczne ilustrujące komunikowanie się podczas zagranicznych podróży;
- wyrażały komizm wynikający ze zderzenia różnych języków. Dobrym przykładem jest scena śpiewania kolęd w wigilijny wieczór: *Zamiast „W żłobie leży” mała Wieroczka wykrzykiwała radośnie „w szlapię lie-e-zi”, nie posiadając się ze szczęścia* (ros. шляпа 'kapelusz');
- były świadectwem wykształcenia Autorki, która wiele tekstów poznawała w obcych wersjach językowych, np. *dał mi do przeczytania „Confessiones” św. Augustyna w przekładzie francuskim* (łac. *confessiones* 'wyznania'); *Czytam „Педагогическая поэма” Makarenki. To jest coś dla mnie. Przywoływała znane cytaty, np. czujni na odruch tego, co Kant nazwał „das moralische Gesetz in mir”* (niem. 'prawo moralne we mnie') *czy ponury napis dantejskiego piekła: „Lasciate ogni speranza voi ch'entrate”* (wł. 'porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić'). Stosowała utrwalone w polszczyźnie zwroty obcojęzyczne typu łac. *in statu nascendi* 'w stanie powstawania', wł. *con amore* 'z zamiłowaniem, upodobaniem' itp.;
- należały do terminologii specjalistycznej, np. szwed. *slöjd* 'biegłość' oznacza szwedzki system wychowawczy polegający na wyrabianiu zręczności przez rzemieślnicze prace ręczne (zwłaszcza wyrzynanie w drewnie), wprowadzony w końcu XIX wieku do nauczania szkolnego;

- jako katoliczka znała łacińskie teksty liturgiczne, np. *Confiteor*; „*ego vos absolvo*” (łac. *absolvere* ‘uwalniać’); *in articulo mortis* (łac. ‘w godzinę śmierci’).

Zazwyczaj teksty o charakterze wspomnieniowym reprezentują język potoczny, prywatny, nasycony ekspresywnością. Wspomnienia Natalii Han-Ilgiewicz są uporządkowane, staranne, noszą znamiona tekstu literackiego. Nieco inny charakter ma dziennik z czasu aresztowania męża. To intymny, emocjonalny zapis zdarzeń i uczuć sporządzany każdego dnia, często pod wpływem wewnętrznych przeżyć i nastroju chwili. Tu częściej zdarzy się przykład kolokwialnej składni emocjonalnej (*a okienka tak i nie otworzono*) czy wschodnia forma żonka. Jednakże takich przykładów jest mało. W obu tekstach Autorka posługuje się polszczyzną literacką. Widoczna jest dbałość o poprawność i staranność językową.

Zasady redakcji tekstu

.....

W niniejszym wydaniu postanowiono zachować oryginalny kształt językowy prezentowanych tekstów, ograniczając ingerencję redaktora do minimum. W tym celu przyjęto następujące zasady modernizacji tekstu.

Pisownia

Uwspółcześniam pisownię łączną i rozłączną typu *jakto*; *nie-ma*; *spodełba*; *tymbardziej*; *wogóle* itd.

Uwspółcześniam użycie wielkiej litery, pozostawiając zapisy motywowane względami emocjonalnymi, np. *nasz Biskup*.

Usuвам oczywiste pomyłki, np. *bo* zamiast *by*, powtórzony wyraz, pomylenie liter rosyjskiego i polskiego alfabetu, np. *za-guma* zam. *zaduma*; *znowu* zam. *znouu*; *czemy* zam. *czemu*.

Uwspółcześniam archaiczne zapisy typu: *Jakób*; *módz* itp.

Pozostawiam bez zmian zapisy obcych nazw własnych i zapożyczeń, wyróżniając je kursywą: *Bruxelles*; *foot-ball*; *cow-boy*; *novenna*; *ex-wychowanek*. Kursywą zaznaczam też obcojęzyczne cytaty, np. *modus vivendi*; *malum necessarium* itd.

Zostawiam bez zmian zapisy liczebników porządkowych i zbiorowych typu *6-ty*, *20-tu* itd.

Rozwiązuję inicjały imion i skróty typu: *b.* = *bardzo*; *p.* = *pan*; *pani*; *t°* = *temperatura*.

Uwspółcześniam interpunkcję, uznaję również znaki *!* oraz *?* za sygnał końca zdania, po którym następuje wielka litera.

Dopiski zanotowane na marginesie umieszczam w przypisie z informacją, że to dopisek marginesowy.

Stosuję przypisy dolne. Przypisy pochodzące od Autorki oznaczam gwiazdką * przy numerze, jeśli jednak zawierają opisy bibliograficzne, uzupełniam je (m.in. o nazwę wydawnictwa, nazwisko tłumacza) bez sygnalizowania tej ingerencji.

Podawane przez Autorkę lokalizacje cytatów biblijnych zmieniam na współcześnie stosowane (np. *Łuk XXII — 31.39 — Łk 22,31–39*).

Wiele dziennych zapisów kończy znak krzyża †, którym Autorka żegna męża, powierzając go opiece Boskiej. Znak ten zachowuję.

Miejsca nieczytelne oznaczam w następujący sposób: [...?].

Fonetyka

Zostawiam bez zmian zapisy odzwierciedlające cechy wschodniej fonetyki Autorki, to jest:

- zredukowane *-e* do *-i*: *ludzi* zamiast *ludzie*; *nauczycieli* zamiast *nauczyciele*; *przedstawicieli* zamiast *przedstawiciele*; *dwa tygodni* zamiast *dwa tygodnie* itd.;
- stare *-e* niewyrównane do *-o-*: *na czele* zamiast *na czole*;
- odmienną niż w polszczyźnie literackiej realizację oboczności *o* do *ó*: *zdolności do psót*;
- wahania spółgłosek syczących, ciszących i szumiących: *na przyźbie*; *przyszle*; *wyszle* itp.

Fleksja

Pozostawiam bez zmian zjawiska fleksyjne charakterystyczne dla polszczyzny północnokresowej:

- nieodróżnianie form męskoosobowych od niemęskoosobowych: *malcy zaczęły*; *motywy, które wpłynęły*; *dzieci są rozkochani*; *moi rzezimieszki*; *którzy śpiewały*; *nauczyły się poprzednicy* itd.;
- stosowanie dłuższych form zaimków osobowych: *radziłam się jego*; *obchodzi jego* itd.;

- formy czasowników, które na wzór bezokolicznika utrzymują w temacie czasu teraźniejszego sufiksy *-wa-*, *-ywa-*, *-iwa-*, *-owa-*: *Pokonywając trwogę; aresztowując;*
- wahania w użyciu zaimków *się, sobie*: *śniłam cię; twarze sprzecających osób; uprzytomniły się* itp.;
- umiejscowienie zaimka *się* w postpozycji: *nie spodoba się; nie trzeba bać się; od niej nauczyć się* itd.;
- formy osobowe czasownika w czasie teraźniejszym z odpowiednim zaimkiem osobowym: *lubię ja tego urwisa;*
- odmienność rodzajową rzeczowników, np. *ta piec*.

Pozostawiam też bez zmian dawne formy fleksyjne typu: *ze szpitalu; moich uczni; mieszkańce; dnie; śmieli się rozgrzeli; duże album; lekcyj; informacji* itd.

Słowotwórstwo

Bez zmian pozostawiam:

- wahania przyrostków przysłówkowych *-e || -o*, np. *podobnie* ‘podobno’; *dostateczno* ‘dostatecznie’; *specjalno* ‘specjalnie’; *smutnie* ‘smutno’ itd.;
- deminutywa o zneutralizowanym nacechowaniu emocjonalnym, np. *żonka* ‘żona’.

Składnia

Nie ingeruję w składnię tekstu. Pozostawiam bez zmian:

- konstrukcje z orzecznikiem przymiotnym w narzędniku: *był bogatym; był widzianym; jest odpowiedzialnym* itd.;
- zdania złożone z zaimkiem względnym *który* przesuniętym na dalszą pozycję w zdaniu podrzędnym: *cele, realizacja których* itd.;

- odmienne od języka ogólnego użycie przymków: *uczęszczać do zajęć; tęsknota za tobą; kolejka na chleb; w kierunku do korytarza; trwoga za ciebie* itd.;
- wahania w zakresie rekcji czasownika: *ją słuchali wszyscy; Natuškę nikt nie bije; nie można zobaczyć Bajkał* itd.;
- nieliczne rusycyzmy: *u mnie brakowało; tak mi się chce* itp.

Leksyka i frazeologia

Zostawiam wszelkie ustabilizowane związki wyrazowe (np. *sam jeden; jeden i ten sam; proszę panią*) oraz słownictwo archaiczne (np. *zadowolnić; kładnij się*) i regionalne (np. *shuścić* ‘zniszczyć’, *czystka* ‘pranie’). W razie potrzeby objaśniam znaczenie w przypisie.

***Wspomnienia
i refleksje pedagoga***



Nauczycielka

.....

Ojcu memu poświęcam

Lata dzieciinne

.....

Kozielec¹

Drewniany parterowy dom. Za nim ciągnie się olbrzymi (a może takim tylko wydawał się?) dziedziniec porośnięty drobną, jakąś kędzierzawą trawką. W głębi — drugi drewniany domek, zwany w języku otoczenia „kamerą”. Dalej — park, częściowo zamieniony w ogród owocowy, przerzynany łąką, pagórkami i gęstymi zaroślami.

Z parku nam, dzieciom, wolno było korzystać bez zastrzeżeń, budować szałas, łązić po drzewach. Wśród ich koron układaliśmy pomiędzy gałęzmi poprzeczne deski, na których można było siedzieć długo, niewidzialnym dla tych, którzy przechodzili dołem.

„Kamera” natomiast była czymś tajemniczym i, zdaje się, zakazanym. Zupełnie nie przypominam sobie rozkładu mieszkania tam znajdującego się. Jak przez mgłę widzę niewielki pokój prawie pusty, gdzie stoi biurko i kilka krzeseł. Musiałam tam chyba zajrzeć tylko, bo wspomnienie jest niejasne i przelotne. Nie było dobrze widzianym, byśmy bawili się w rannych godzinach na podwórzu w pobliżu. Może dlatego tym jaskrawiej zarysowuje się w pamięci następujący obrazek: Na przyźbie² „kamery” siedzi dwóch znajomych policjantów, którzy nieraz przychodzą w jakichś sprawach do mego ojca. Obok nich jest kilka postaci ludzkich w szarych brezentowych ubraniach i dziwacznych małych czapeczkach na krótko ostrzyżonych głowach. Wiem, że są to „aresztanci”.

.....

¹ Kozielec — miejscowość na Ukrainie w obwodzie czernihowskim.

² Przyźba — ława usypana z gliny, z piasku, z ziemi wzdłuż zewnętrznej ściany domu.

Tego dnia Michaś, brat mój, siedział widocznie z książką w kryjówce wśród gałęzi i trzeba było bawić się bez niego. Podchodził do policjantów. Jest wśród nich stary Moroz, który umie naśladować głosy rozmaitych ptaków. Dziś nie daje się jednak namówić do popisów. Mówi do mnie tonem dość suchym:

— Nie trzeba, panienczko, tu podchodzić. Tu są źli ludzie, których tatuś będzie sądził.

Przypomniałam sobie nagle to, co ojciec musiał mawiać nieraz; tylko dotychczas nie wydawało się to ważnym i dopiero obecnie nabrało potrzebnego znaczenia.

— Nie, oni nie są źli, tylko bardzo nieszczęśliwi.

Na to jeden z aresztantów schwycił moją rękę, zaczął całować i z płaczem mówił:

— Twój ojciec, gołąbeczku, to taki człowiek, taki człowiek, że gdyby więcej było takich jak on, to i świat byłby innym.

Zupełnie nie mogę przypomnieć sobie dalszego ciągu tego zdarzenia. Żywo stoi mi jednak przed oczami domek — „kamera” na tle słonecznego dnia. Patrzę na niego już inaczej: wiem, że w tym jest mój ojciec i że on w jakiś sposób pomaga ludziom nieszczęśliwym, którzy do niego przychodzą.

W pokoju jest półmrok. Siedzę przykucnięta w kącie z największą swą lalką, która ma na twarzy wąsy i ubrana jest w mundur huzarski. To jest mój mąż, ojciec innych lalek. Bardzo tę lalkę kocham, więcej od wszystkich innych, prawdopodobnie dlatego, że w miłości tej jest spora domieszka poczucia winy. Mnie tatuś nigdy nie karze za moje przewinienia. Twierdzi, że prawnie za żonę odpowiedzialnym jest jej mąż i w wypadkach, gdy coś przeskrobałam, zabiera mi go i wsadza do aresztu, „żeby sobie pomyślał sam jeden nad tym, jakby poprawić swoją Natuszkę”. Zwykle skruszona żona ani na krok nie odchodzi wtedy od drzwi improwizowanego więzienia i po zwróceniu jej biednego małżonka stara się umilić mu życie, jak tylko umie.

.....

Michaś karany bywa inaczej. Musi wtedy stanąć koło wysokiego pulpitu ojca i czytać na głos niemiecki podręcznik prawa karnego. Smutny chłopięcy głosik czyta:

— *Strafrecht ist eine Wissenschaft, welche...*³

Ale teraz nikt nie jest ukarany. W pokoju oprócz mnie i męża jest tylko tatuś. Siedzi przy fortepianie i gra... Muzyki u nas w domu jest dużo. Godzinami grywa mama, i jej gra jest żywa i wesoła. Można łatwo śpiewać te melodie, które ona wydobywa z instrumentu. Tego, co gra ojciec, nie da się zaśpiewać. Mama trochę nie lubi muzyki ojczulka. Mówi nieraz:

— Zawsze ten Bach.

Ale przyjemnie jest w pokoju, gdy tatko gra. Wtedy dobrze można bawić się, bo wiadomo, że nikt nie przerwie, nie wejdzie: tatuś nie znosi, by mu przeszkadzano.

Dziś to, co on gra, podoba mi się. Zostawiam męża i podchodzę do fortepianu. Stoję cicho i słucham. Gdy dźwięki ustały, proszę:

— Jeszcze, tatulku!

Przyciąga mnie do siebie:

— Podoba ci się?

— Bardzo, graj jeszcze, proszę.

— To nazywa się *Nocturn* i napisał to Chopin. To był taki człowiek, który słyszał to, czego inni ludzie nie słyszą. Jemu grała noc.

— A czemu noc nie wszystkim gra?

— Dlatego, córeczko, że Chopin był wewnętrznie bogatym. U niego w sercu było pięknie i czysto, tak jak Pan Bóg chce, żeby było wszędzie. A w nagrodę za to, że zachował czyste serce, dał mu Bóg taki podarunek — talent. I dlatego słyszał on muzykę tam, gdzie my jej nie słyszymy.

.....

³ Niem. 'Prawo karne jest nauką, która...'

Duże album *Pismo Święte w obrazach*⁴. Nad stołem w pokoju jadalnym pali się wisząca lampa naftowa. Mama zajęta jest czerowaniem pończoch. My z Michasiem oglądamy obrazki. Zawsze jednakową zgrozę budzi scena z potopu. Lwica ze swymi małymi w zębach tak samo boi się śmierci jak ludzi... Samson z pustymi oczodołami, stojący pomiędzy kolumnami w sali biesiadnej wywołuje sprzeczne uczucia. Michaś pełen jest podziwu dla jego siły. Mnie robi się smutno na myśl, że za chwilę zginie i on, i wszyscy ci ludzie, którym teraz jest tak wesoło. W ogóle w Starym Testamencie tak dużo strasznego i smutnego.

Zupełnie inaczej ogląda się drugą część albumu, gdzie jest Chrystus Pan. Najładniej wygląda jako 12-letnie pacholę wśród doktorów w świątyni... Jak żal tych trędowatych! Ale oni zaraz będą uzdrowieni, jak tylko poproszą. Pod obrazkiem napisane są słowa, którymi oni wołają: „Jezusie, Nauczycielu, zmiłuj się nad nami!” (Łk 17,13).

— Michasiu, dlaczego napisano „nauczycielu”? Czy Pan Jezus był nauczycielem w szkole?

— Dawniej tak zawsze mówili do mądrych ludzi.

— Mamusiu, czy to prawda, że na każdego mądrego człowieka mówili „nauczycielu”? Dlaczego, mamusiu?

— Nie do każdego, dziecińko, ale teraz ci trudno jeszcze wytłumaczyć różnicę. Będiesz starsza, to zrozumiesz.

Przeglądamy album dalej, ale tamta sprawa nie przestaje absorbować. Pokonywając trwogę przed dużym nieoświetlonym pokojem, mijam „gościenny” i cichutko otwieram drzwi do ojczulka. Stoję na progu i czekam, aż mnie zauważy. O, już odwrócił się i patrzy z uśmiechem.

Gdy wracam po kwadransie, już wiem. Wcale nie wszystkich mądrych ludzi nazywali tak. A nauczyciel niekoniecznie musi uczyć w szkole czytać, pisać i rachować. Najważniejszą nauką

⁴ *Pismo Święte w obrazach* — wydanie zawierające ponad 220 grafik ilustrujących sceny z Nowego i Starego Testamentu; rycinę przygotował Gustav Dore (1832–1883), wybitny francuski artysta XIX w., wraz z grupą współtwórców. Każdej z nich towarzyszy cytaty biblijny.

.....

jest nauczyć ludzi, jak mają żyć. Chrystus Pan właśnie tego nauczył wszystkich ludzi. I dlatego najczęściej ze wszystkich na świecie ma prawo do tej najładniejszej nazwy: nauczycielu!

Dorpat⁵

Mam osiem lat. Wiele rzeczy zmieniło się w naszym życiu. Urodził się braciszek Leon. Mieszkamy już nie w małym miasteczku na Ukrainie, tylko w Dorpacie. Jest tu bardzo czysto i porządknie. Większość moich nowych małych przyjaciółek mówi po niemiecku i po estońsku, ma gładko uczesane włosy, nakrochmalone białe fartuszki i za przewinienia bywa karana różgą. Mocno zaniepokoiło mnie zdanie matki małej Ady, która po wymiarze kary narzekała, płacząc, że: „Natuškę nikt nigdy nie bije”. Powiedziała ona:

— Tak, ale z niej też na pewno nic dobrego nie urośnie.

Smutna siedzę na tarasie. Ze mną jest *Frau*⁶ Nocking, właścicielka domu, w którym mieszkamy. Często przychodzę do niej na pogawędkę przy popołudniowej kawie z *Wasserkringel'ami*^{7*}. Zwierzam jej się ze swych obaw o własną przyszłość. Staruszka długo milczy, wreszcie odzywa się:

— Tak, małeńka moja, rodzice dobrze robią, gdy karzą swoje dzieci, o ile inaczej nie mogą sobie poradzić z nimi. Bywają i takie dzieci, które chcą być dobrymi z wewnątrz, same. Tych karać nie trzeba, trzeba im tylko wytłumaczyć. Twój rodzice ciebie dobrze chowają i z pewnością nie zmarnujesz się. Ale niektóre dzieci trzeba bić. Może ty daleko inną jesteś, żeś ty Polka, a nie Niemka. Nasze niemieckie dzieci bez różgi trudno wychować.

.....

⁵ Dorpat — obecnie Tartu, drugie co do wielkości miasto Estonii.

⁶ Niem. *Frau* ‘pani’.

^{7*} Niem. *Wasserkringel* ‘pieczywo w rodzaju obwarzanków’.

Na wiosnę zrobiło się u nas smutno. Ojciec często był zajęty, kilkakrotnie wzywali go do ministerstwa i jeździł wtedy do Petersburga. Mama martwiła się i płakała. Wreszcie dowiedzieliśmy się z Michasiem, że tatuś nie może dłużej pozostać w Dorpacie, tylko jedzie do Tomsku, daleko na Syberię. Tam będzie, tak samo jak i tutaj, sędzią. Michaś szeptem wtajemniczał mnie w to, co się stało. Ojczulek rozpatrywał w sądzie sprawę jakiegoś Estończyka, oskarżonego o stawianie oporu władzom. Podczas rozprawy wyjaśniło się, że biedak był najzupełniej w porządku. Gonił złodzieja uciekającego z jego paltem, został zatrzymany przez policjanta, wyrywał mu się, chcąc dopędzić tamtego. Wreszcie, gdy policjant Rosjanin, nie zważając na jego perswazje i prośby, nie tylko nie puścił go, ale jeszcze zaczął go bić — uderzył go również. Ojciec uniewinnił oskarżonego, policjantowi zaś udzielił *reprimendy*, wzywając go, by na przyszłość roztropniej pełnił swe obowiązki. W ministerstwie dopatrzono się w tym wyroku obniżenia *prestigé'u* władz rosyjskich i zaproponowano zmianę wyroku. Ojciec kategorycznie odmówił, w wyniku czego nastąpiło przeniesienie go do Tomsku. Byłam mocno wstrząśnięta. Jak to? Tatuś przecież rozsądził sprawiedliwie. A z drugiej strony przecież koniecznie trzeba słuchać rozkazów tych, co mają władzę, co rządzą. Jak to pogodzić? Nowe światło na sprawę rzuciły słowa Michasia:

— To nie są nasze władze, tylko obce, rosyjskie. Ich niekoniecznie trzeba słuchać, bo oni wcale nie chcą, by ludziom było dobrze.

— Ależ oni za nieposłuszeństwo mogą ukarać!

— Właśnie dlatego, rozumiesz, musimy być dumnymi z naszego ojca, że on woli mieć przykrości, niż wydać niesprawiedliwy wyrok.

Ojciec wyjechał sam. Mama bała się dla nas, szczególnie zaś dla małego Leonka, ostrego klimatu syberyjskiego i postanowiła jeszcze jedną zimę spędzić w Dorpacie. Przenieśliśmy się do małego mieszkanka na poddaszu, bo tego, co zarabiał ojciec, musiało teraz wystarczyć na prowadzenie dwóch domów.

.....

Zaczęłam chodzić do klasy podwstępnej prywatnego gimnazjum *Fräulein*⁸ Horn. Jasne, miłe wspomnienia. Dużo śmiechu, radości, dobre oczy dyrektorki, troskliwość nauczycielek.

Przykrą niespodzianką było to, że musiałam chodzić na lekcje religii prawosławnej. Wyjaśniło się, że ponieważ mama, jako Ukrainka, była prawosławna, ja również należę do tego wyznania i religii będzie mnie uczył batiuszka razem z małymi Rosjankami. Był to zresztą bardzo dobry staruszek i zamiast lekcyj opowiadał nam śliczne bajki.

Miesiąc spędzony w rodzinie lekarza przyjaciela w miejscowości podmiejskiej Elwa⁹. Ogromny bór, wśród którego znajdują się rozrzucone mniejsze i większe jeziora. Wraz z przyjaciółką swą Käthe odbywałyśmy dalekie przechadzki, wracając z nareczami kwiatów i wrażeniami, którymi dzieliłyśmy się z *Tante*¹⁰ Jessy, przemiłą krewną tej rodziny.

Wpadamy do niej rozpromienione. Widziałyśmy gniazdko jakiegoś ptaka w krzakach. Młody zajęczek stanął naprzeciwko nas i zabawnie tupał łapką, jakby chcąc nas nastraszyć. Proszę zobaczyć, jakie cudne nenufary rosną koło Stille See (cichego jeziora). A ile poziomek zjadłyśmy. Ot, takie duże były i słodkie jakby z cukrem. Ciotka słucha uważnie:

— Tak, dzieci, dużo, dużo radości dał wam dziś dobry Bóg.

Opowiadamy dalej, jak to, wracając przez wioskę, widziałyśmy małego chłopczyka dźwigającego wielkie wiadro pełne wody.

— I pomogliście mu?

Patrzymy na siebie. Nie, miałyśmy ręce zajęte... śpieszyłyśmy do domu. Ciotka już nie patrzy na nas. Mówi, jakby do siebie:

.....

⁸ Niem. *Fräulein* ‘panna’.

⁹ Elva — miasto w południowo-wschodniej Estonii.

¹⁰ Niem. *Tante* ‘ciotka’.

— Moje dziewczynki zmarnowały dziś rano. Mogły pomóc człowiekowi dźwigać ciężar i nie zrobiły tego.

Tomsk

Podróż *ekspressem* syberyjskim. Oprócz nas w pociągu są przeważnie wojskowi jadący na front japoński. Rozpieszczają nas, dzieci, bardzo. Na stacjach pociąg stoi długo. Chodzimy wtedy do straganów zbudowanych wzdłuż toru przy każdym budynku dworcowym. Świeże bułeczki, ciastka z konfiturami, różne jagody, miód, doskonałe mleko, gęste i żółte jak najlepsza śmietanka, pieczone kury, gęsi i kaczki — czego tam tylko nie ma?

Wysoki słup z białego marmuru. Z jednej strony napis „Europa”, z drugiej „Azja”. Mama wybucha płaczem. Stary oficer rosyjski patrzy poważnie na mnie i mówi:

— Azji nie trzeba bać się, dziecko. Azję trzeba lubić i wielu rzeczy nauczyć się od niej.

Michaś, chcąc zaakcentować patriotyzm i zaimponować wiadomościami, protestuje:

— My, Polacy, nie mamy za co kochać Azji: tylu tam naszych zginęło.

— Nie tylko waszych. Najlepsi Rosjanie też na Syberię trafiali. A potem nauczyli się kochać ten kraj. I wy go pokochacie całym sercem.

O kilka godzin przed celem naszej podróży spotkał nas ojciec. Siedzę przytulona do niego i wypytuję się o nowe życie. Ojciec jest na ogół zadowolony, uspokaja mamę. Jak zwykle opowiada wiele ciekawych rzeczy. Nikt na świecie nie umie chyba tak opowiadać jak ojczulek.

— Tatusiu, proszę opowiedzieć bajkę o Syberii — prosi mały Leonek.

— Nie, dzieci! Syberię same poznacie, nie z bajki. Lepiej opowiem wam coś o naszej ojczyźnie, o tym, jak żyli i uczyli się zacy w Krakowie.

Bohater opowiadania nosił imię Leosia, miał jasne kędzierzawe włosy, duże szafirowe oczęta, mówił i zachowywał się zupełnie jak nasz Leonek. Śledząc jego dalsze losy, czuliśmy się związanymi z nim jak z najdroższą istotą. Toteż gdy wiele lat później byłam w Krakowie, patrzyłam na Sukiennice, na Barbakan, podwórze biblioteki uniwersyteckiej jak na dobrze znanych przyjaciół, z którymi przecież żyło się od dzieciństwa. Bezwiednie szukałam wzrokiem miejsc, gdzie poruszał się i działał mały żak Leoś, nieodłącznie zrośnięty w wyobraźni z postacią ukochanego braciszka.

Trudno nie pokochać przyrody Syberii. Jej łąki nie mają równych sobie. Przepych kwiatów o nieznanym, dziwacznych kształtach i wspaniałych barwach. Gatunki storczyków, gdzie indziej w starym świecie niespotykane, lilie, irysy, „ogniki” — duże pomarańczowe kulki na wysokich łodygach — któż je wszystkie wyliczy?

Uroczysta cisza gęstej, trochę mrocznej tajgi i radosny ruch w tonach cedrowych, gdzie drzewa stoją niezbyt blisko siebie, ziemia pokryta jest soczystą, zieloną murawą, na gałęziach zaś skaczą żywe, odznaczające się niesłychaną ciekawością „burunduki”. Są to bliskie krewne wiewiórek, tylko znacznie ciemniejsze, o czarnych pręgach, z ogonkiem niezadartym w górę. Od czasu do czasu rozlega się głucho stuknięcie. To spadła z drzewa szyszka pełna słodkich orzechów cedrowych.

W wędrówce swej przez Syberię latem człowiek nie zginie z głodu. Prócz orzechów i grzybów czekają go ciągnące się kilometrami obszary krzewów maliny i czarnych porzeczek. Nieraz spotka się tam z dobrodusznym niedźwiedziem spokojnie zjadającym jagody. Śladem jego trafi do dziupli pełnej miodu dzikich pszczół.

A jeżeli ma ze sobą wędkę, to z każdej rzeki wyłowi bajeczne okazy ryb, jakich my w Europie wcale nie znamy. Nelmy¹¹,

¹¹ Nelma — gatunek dużej ryby łososiokształtnej, zaliczany do siejowatych; ceniona za smakowite mięso i rozmiar — dorasta do kilkudziesięciu kilogramów.

moksuny¹² o tłustym, białym mięsie bez ości są tak wielkie, że wymagają specjalnie mocnej linki i odpowiedniego haczyka. Za to w strumykach aż roi się od „chariusów”¹³ (gatunku pstrągów), w mniejszych rzekach pełno sterledzi¹⁴ i karpów.

A w dalszym ciągu swej podróży zatrzyma się wędrowiec nieraz na skraju polanki, patrząc ze zdumieniem na bladoróżową przestrzeń przed sobą. Nie od razu zda on sobie sprawę, że to są dzikie truskawki, które można by zbierać wagonami. Lecz przeważnie nikt ich nie zrywa, bo ludzie nieczęsto zabłądzą tutaj. Dziwaczne żarty przyrody w postaci wydrążonych w wapiennym gruncie basenów o geometrycznie okrągłych kształtach, połączonych wąskimi strumykami, żwawo śpieszącymi po białym twardym dnie. Źródłka o niezbadanych właściwościach leczniczych z wodą słoną, kwaśną, siarkową, niekiedy gorącą jak war, innym znów razem tak zimną, że palce zanurzone do niej drętwieją.

Gdy z nadejściem lipcowych upałów powstają nieraz ogromne pożary leśne, okolica na przestrzeni dziesiątków kilometrów otulona jest dymem. Zwierzyna, wystraszona i potulna, ucieka wtedy z kniei i przychodzi do miast, ufnie szukając ratunku u człowieka. Rozsypywaliśmy wtedy na ścieżkach ogrodu mnóstwo orzechów dla wiewiórek i burunduków. Wczesnym rankiem można było widzieć cwałujące ulicami sarny, które dawały się dość łatwo zwabić i zamieszkiwały potem w podwórzach i ogrodach prywatnych domów i z niezrównanym wdziękiem psotnego malca uprawiały harce i zapasy z dziećmi.

Kazał nazywać siebie „dieduszką”. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. Wiadomym było, że odbył katorgę jako więzień polityczny. Lubił dzieci i często zabierał nas na wielogodzinne wędrowki po okolicy. Kiedyś zaprowadził nas z Michałem do dalekiej, ukrytej w tajdze, pasieki. Mieszkał tam starzec ubrany zawsze w białe płótno, o białej brodzie i długich śnieżnych

¹² Moksun — gatunek ryby z rodziny łososiowatych.

¹³ Charius — gatunek pstrąga żyjący w wodach Syberii.

¹⁴ Ros. стерлядь ‘sterlet’ — ryba kostołuska, jesiotrowata.

.....

włosach, spadających mu na ramiona. Ucieszył się szczerze na nasz widok, zaprosił do stołu zbudowanego pod ogromną czeremchą, częstował mlekiem, miodem i świeżymi „szańgami”^{15*}. Dieduszkę widocznie znał od dawna, bo obaj zaczęli snuć wspólne wspomnienia o katordze.

— Pan też był politycznym zesłańcem? — spytałam z szacunkiem.

— Nie, dziecinko mała, jak nie polityczny, ja — morderca. Tą oto ręką ja człowieka zabiłem. I to nie dla dobra czyjegoś, nie w gniewie nagłym, a po prostu dla chciwości — mówił spokojnie i smutnie. Przycichliśmy z Michasiem. Taki śliczny staruszek, jak z obrazka... uśmiecha się, dobry taki, gościnny. I tu nagle — zabójca? Czułam, że jestem bardzo czerwona, nie śmiałam podnieść głowy, zerkając tylko spode łba na Michasia, który chrząkał i uważnie przyglądał się deskom stołu.

— Tak, bracie — zaczął mówić dieduszka — to niewesoła rzecz. To, coś zrobił, to i jednej godziny nie trwało, a tyle lat kary odbyłeś za tą godzinę złą. A po karze, co ludzie na ciebie nałożyli, to jeszcze wciąż sam siebie karzesz. Żyjesz tu na odludziu, wszystkim, co masz, dzielisz się. A pamiętasz te dwie kobiety, coś w zeszłym roku podczas powodzi wyratował z toni?... Czy i w tym roku ptaki żywić będziesz?

— A jakże! — ożywił się pszczelarz — w tej oto izdebce ich się parę setek zmieści. Już ziarno dla nich przygotowałem. I siano mam dla sarenek. Przychodzą i z ręki mi jedzą, takie miłe. I zające bieluchne w krąg domku skaczą, bo wiedzą, że durny stary je kocha, chi chi chi.

Wstaliśmy, żeby już wracać. Ze zdziwieniem zobaczyłam, że Michaś, żegnając się ze starym, dwa razy serdecznie pocałował go w rękę, w tę samą rękę!

— Dobrze zrobiłeś, chłopcze — mówił po drodze do domu dieduszka — żeś mu rękę ucałował. Dawno już na niej śladu zbrodni nie pozostało. Zmyła go nie kara, tylko cierpienie, a najwięcej miłość tego człowieka do całego świata. I do ludzi, i do zwierząt, i do roślin. Czysta jest jego ręka i godna czci.

.....

^{15*} Białe placki na drożdżach, smarowane przed wsadzeniem do pieca gęstą warstwą śmietany.

Uczyliśmy się w domu. Po części lekcyj udzielał nam ojciec, trochę mama, przychodzili też nauczyciele. Szczególną uwagę zwracała mama na lekcje języków, twierdząc, iż znajomość obcej mowy rozszerza świat. Niemieckiego uczyłam się wspólnie z dziećmi profesora politechniki¹⁶ Molien¹⁷ od ich matki. Korzystałam na tych godzinach bardzo wiele, gdyż pani M. była wybitnie zdolnym pedagogiem. Nauczyła nas samodzielnie wyciągać wnioski z przeczytanych utworów, prowadzić dyskusję, bronić swego punktu widzenia. Rozwinęła też poczucie piękna. Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, kiedy rozpoczęła się nauka francuskiego. Wydaje mi się, że wprost od niemowlęctwa zaczęłam poznawać wyrazy zarówno ojczystej mowy, jak języka francuskiego i odkąd tylko pamiętam siebie — zawsze z ła-twością mówiłam tym językiem. W Tomsku nasza nauczycielka, dobroduszna stara Szwajcarka potrafiła zaprzyjaźnić między sobą swe uczennice i wpłynąć na to, i we wspólnych rozmowach i zabawach posługiwałyśmy się wyłącznie jej mową, co trwało i wiele lat po jej śmierci. Wolnego czasu mieliśmy jednak pod dostatkiem. Często bywaliśmy na koncertach. Zresztą u nas w domu kilka razy w miesiącu zbierali się przyjaciele ojca, profesorowie wyższej szkoły muzycznej i urządzali wieczory muzyki kameralnej.

Michaś wcześniej obrał sobie specjalność — przyrodoznawstwo i całkowicie zanurzył się w niej. W jego pokoju pełno było herbariów, hodowli roślin. W słoikach siedziały karaluchy, żuki, srodze oburzające zwykle naszą służbę domową. Najgorzej jednak działo się, gdy skupił swe zainteresowania na chemii. Kiedyś wytworzył jakiś okropny swąd, tak że pomimo 40 przeszło stopniowego mrozu trzeba było w zimie otwierać okna, by pozbyć się potwornego smrodu. On zaś szalał z radości, że udało mu się doświadczenie.

¹⁶ Tomski Politechniczny Uniwersytet — założony w 1896 r. początkowo jako Tomski Instytut Technologiczny im. cara Mikołaja II.

¹⁷ Theodor Molien (1861–1941) — pierwszy profesor matematyki na Syberii. Do Tomska przybył z Uniwersytetu w Dorpacie w 1900 r.

— To jest mer-kap-tan!¹⁸ Rozumiecie — mer-kap-tan! — powtarzał raz po raz. A wszyscy domownicy chodzili źli i wymyślali, co go zresztą nie bardzo martwiło.

Kilkuletni Leonek zdradzał wielkie zdolności do muzyki i jeszcze większe do psót. Prowadzą go kiedyś do domu z okrzykami oburzenia. Mama jest czerwona ze wstydu, jakieś znajome pannie nie przestają ubolewać nad nią i oburzać się na tego okropnego dzieciaka. W dużym sklepie dostał się do okna wystawowego i pozamieniał etykiety z cenami. Na samym zaś środku ułożył zdechłą mysz, nad którą ulokował cenę 2 rubli. Siedział skruszony aż do wieczora. W nocy przybiegł do mego łóżka.

— Natus! Czy wiesz, co ci powiem? Mamusia i tatuś siedzieli wieczorem w gabinecie i śmieli się okropnie z tego, co ja zrobiłem. I tatuś powiedział, że jestem wspaniałym okazem. Co ty na to? Ci dorośli są dziwni: za to samo to krzyczą, to zachwycają się. Nigdy nie wiadomo, jak z nimi postępować.

Prawie cały swój wolny czas — poza lekcjami i zabawą z lalkami, które kochałam namiętnie, używałam na czytanie. Czytałam dużo i chaotycznie. Matka moja usiłowała przeprowadzić selekcje książek odpowiednich dla mego wieku. W rezultacie czytałam właśnie to, co było zabronione. Jako 12- 13-letnia dziewczynka pochłaniałam Maupasanta obok *Trylogii*, dzieł Tołstoja i Shakespeare'a. Z zachwytem czytałam *Decamerone* obok książek dla młodzieży w rodzaju Marka Twaina lub Coopera. Ilekroć ojciec zastawał mnie nad lekturą, która by oburzyła mamę, zwykle mawiał:

— Ano, zobaczymy, co potrafisz znaleźć ładnego tam, gdzie pomieszane są perły, nawóz i pajęczyna.

W czasie długich zimowych wieczorów niejedną godzinę spędziłam w naszej kuchni. Często pisywałam listy dla służby domowej, czasami do ich rodzin, nieraz do narzeczonych. Jakoś samo przez się układało się tak, że dziewczęta zaczynały uczyć się pisać i czytać. Zdaje się, że dość szybko opanowywały tę umiejętność.

¹⁸ Merkaptan — związek siarki o nieprzyjemnym, ostrym zapachu zgniłej kapusty.

Trudno mi określić, co wpływało na fakt, że tak chętnie przeżywałam w kuchni ze służbą, lub — gdy wyjeżdżaliśmy na letnisko — z wieśniaczkami i ich dziećmi. Sądzę, że pewną rolę odgrywała doza snobizmu, przyjemność płynąca z tego, iż mogłam imponować swą wiedzą, nauczać, że byłam zwykle bardzo lubianą w tym środowisku. Jednocześnie zaś rozmowy z tymi kobietami były dla mnie naprawdę czymś miłym i ciekawym, o wiele ciekawszym niż przysłuchiwanie się gawędom pań odwiedzających nas. Można było bez obawy, że narażę się na śmiech lub przesadny zachwyt ze strony słuchającego, opowiedzieć o tym, co żywo obchodziło i ciekawiło.

— Powiedz mi, Duniu — pytałam naszej kucharki — czemu to narzeczeni zawsze kochają się, a mąż z żoną tak często kłócą się i nawet rozwodzą się nieraz?

— Nie wiem ja, panienczko — odpowiadała Dunia, która właśnie zamierzała wstąpić w związek małżeński — ale chyba tak musi być, bo jakby zanadto mocno kochali się po ślubie, to mniej by dzieci patrzyli, może dla dzieci tej miłości zabrakłoby. Po ślubie ja chcę tylko, żeby on dla mnie dobry był i żałował¹⁹, to i będę szczęśliwa.

Lubiłam bardzo układać opowiadania. I tu najwdzięczniejszym audytorium był również personel kuchenny. Stanowił on pewnego rodzaju probierz wartości utworu. Zwykle trzymałam otwartą książkę w ręku, patrzyłam na jej kartki i improwizowałam powiastki. Dopiero w wypadkach, gdy zyskiwały one aprobatę słuchaczek, zapisywałam je. Wyczuwając zapotrzebowanie odbiorczyń swych nowelek, robiłam często bohaterkami ich pracownice służby domowej, aż wywołało to zdziwienie:

— Nie myślałam nigdy, że tyle książek napisali ludzie o kucharach i pokojówkach — mówiły, kiwając głowami.

— To dlatego, że bardzo dużo służących wykształciło się i później opisywało swoje życie — skłamałam bez zająknienia. Potym jednak zaczęłam wprowadzać do opowiadań i inne postacie, przeważnie jednak ze sfery niezamężnej (praczki, wieśniaczki, krawcowe itd.). Treści tych powiastek teraz nie potrafiłabym

¹⁹ Ros. жаловать 'być życzliwym, przychylnym, szanować'.

.....

odtworzyć. Żywiej przypominam sobie dzieje jakiegoś biednego nauczyciela, obarczonego liczną rodziną, który chodzi do prywatnych domów, udzielając korepetycji. Spotykają go tam rozmaite przykrości. Idzie więc niechętnie, tym bardziej że w domu zostawił chore dziecko, na dworze zaś jest straszliwy mróz. Właśnie czytałam w kuchni opis tego mroźnego dnia, kiedy nawet dym po wyjściu z komina zatrzymywał się w powietrzu, jakby zastanawiając się, czy lecieć dalej, czy raczej zawrócić z powrotem, gdy przechodząca przez kuchnię mama odezwała się:

— Co ty tam za brednie wycytujesz. Przeczytaj lepiej coś z Gogola.

Byłam okropnie speszona. Nie przyznałabym się za nic do autorstwa tych „bredni”; i na kilka lat zupełnie zaniechałam wszelkich prób literackich.

Chcąc zrobić rodzicom niespodziankę na „gwiazdkę”, nauczyłam czytać i pisać w języku ojczystym i niemieckim również i małego naszego Leonka, któremu w ogóle poświęcałam dużo czasu, uważając go niemal za swoją wyłączną własność. Mama bowiem źle znosiła ostry klimat Syberii i często zapadała na zdrowiu.

Pomimo wielkiej różnicy wieku (7 i pół lat) łączyła nas z Leonkiem gorąca przyjaźń. Dziwny to był chłopczyk. Niekarny i samowolny, pełen figlarnych pomysłów, do których wciągał rówieśników. Kiedyś dowiedział się z rozmowy prowadzonej przy stole o ciężkim położeniu materialnym pewnej rodziny, która straciła ojca. Tegoż wieczoru gromadka dzieciaków w wieku od 6–10 lat огоłociła swe ogrody, następnego zaś dnia przerażone matki dowiadywały się od zgorszonych przyjaciółek, że synek ich sprzedawał kwiaty na ulicy. Przyparty do muru Leonek przyznał się, że istotnie w ten sposób zarobili kilkanaście rubli, które przekazali osieroconej rodzinie. Muzykę kochał żywiołowo i zdradzał zupełnie nieprzeciętne zdolności w tym kierunku.

Znał na pamięć szereg ulubionych oper ojca. Gdy szkoła muzyczna w Tomsku postanowiła wystąpić na popisie z *Rigoletto*²⁰, tatuś zażartował, iż braknie wykonawcy głównej roli i zapytał Leonka, czy nie podjąłby się jej. Chłopak podówczas 6-letni z całą powagą odpowiedział, że musiałby zastanowić się chwilkę. Poszedł do sąsiedniego pokoju, nucił, nucił, poczem stanął przed ojcem, oznajmiając z ulgą:

— Mogę!

Partię błazna znał istotnie doskonale, jak wiele innych zresztą.

Gdy zaczął uczęszczać do przedszkola, biedna mama musiała raz po raz przychodzić do kierowniczkki, by wysłuchiwać skarg na niesforne malca.

— Czemu nie chcesz właściwie odpowiadać, jeżeli ci każe to zrobić twoja wychowawczyni? — pytałam swego ulubieńca.

— Ależ chyba sama rozumiesz, jakie to nudne powtarzać znane rzeczy. I dla niej, i dla mnie, i dla wszystkich dzieciaków. Jak tak odpowiadam na jej pytania, albo słucham, jak ona pyta i pyta innych, to wszystko, co mi się przedtym podobało, staje się nieciekawym... Ty ją poproś, żeby ona sama dużo opowiadała, a nas nie pytała. Wtedy, gdy ona opowiada, ja ją bardzo lubię, a gdy pyta — chce mi się na złość jej robić.

²⁰ *Rigoletto* — opera Giuseppe Verdiego.



Ilustracja 1. Bazyli Rudzki, ojciec Heleny z Rudzkich
Michałowskiej, dziadek Natalii



Ilustracja 2. Wincenty Michałowski, dziadek Natalii (1891 r.)

.....



Ilustracja 3. Wincenty i Ludwika Michałowscy,
dziadkowie Natalii (1901 r.)



Ilustracja 4. Józef Michałowski, ojciec Natalii

.....



Ilustracja 5. Józef Michałowski, ojciec Natalii



Ilustracja 6.
Helena z Rudzkich,
matka Natalii



Ilustracja 7. Helena Michałowska z dziećmi.
Od lewej: Michał, Helena, Leon i Natalia (Dorpat, ok. 1903 r.)

W Gimnazjum

W domu uczyłam się aż do czwartej klasy włącznie. Później uprosiłam rodziców, bym mogła — tak jak inne dziewczęta — uczęszczać do gimnazjum. Oddano mnie więc do prywatnego gimnazjum imienia Mirkowicz¹. Na czele jego stał profesor uniwersytetu, wykładały siły naprawdę wybitne. Metoda pracy w znacznej mierze oparta była na samodzielnej twórczości dziewcząt. Referaty, dyskusje, dokładne opracowanie tematów z różnych dziedzin, kółka samokształceniowe, wycieczki — wszystko to znalazło swoje miejsce w życiu naszej uczelni, którą każda z nas wspomina z najgłębszą wdzięcznością. O wzajemnym stosunku personelu i uczennic oraz nastroju, jaki panował w gimnazjum, świadczy chociażby następujące wspomnienie, wzięte na chybił trafił. Tyle ich bowiem jest.

Może przeszkadza jesienne słońce, w świetle którego brzozy naprzeciw okna naszej klasy są zupełnie złote... A może jest to jeden z tych dni, kiedy człowiekowi nie chce się wykonywać zbytniego wysiłku ruchu naprzód, kiedy ciągnie terażniejszość i całkowicie pochłania uwagę? Znaczna większość z trzydziestu dziewcząt w klasie niezbyt interesuje się tym, co dzieje się na

.....

¹ Gimnazjum im. Olgi Mirkowicz w Tomsku — pierwsze gimnazjum żeńskie w Tomsku; od 1902 r. funkcjonowało jako prywatna instytucja edukacyjna dla dziewcząt, zaś w 1905 roku przekształcono je w prywatne gimnazjum żeńskie. Oprócz sal lekcyjnych z czasem pojawiły się tam pracownia przyrodnicza, pracownia fizyki i biblioteka uczniowska. Uczęszczały do niego głównie córki profesorów z Tomska.

lekcji. Prowadzi ją sam dyrektor, wtajemniczając nas w system obiegu krwi. Barwne tablice, wyobrażające człowieka naturalnej wielkości, gliniany model serca wraz z aortą, na bocznym stoliku mikroskop, przez który oglądałyśmy na poprzedniej godzinie tętniące serce umieszczonej pod nim i rozplątanej żywej żabki zachloroformowanej — wszystko to mało nas dziś obchodzi.

Właściwie słucha z natężeniem tylko wzór pilności Luba P., sąsiadka jej, śliczna Ormianeczka Nalzia K., ustawicznie żyjąca w obawie, by nie sprawić komu przykrości, a więc w danym wypadku dyrektorowi, no i jedna z prymusek klasy Lola D-ska. Druga prymuska Natasza S-wa udaje tylko pracę; pod pulpitem zaś coś kreśli, pokazuje to sąsiadce. Katia Cz-na całkiem otwarcie trzyma na swej ławce tom Dostojewskiego, w którym zanurzyła się. Prawy tylny róg klasy, gdzie siedzą nasze elegantki, jak zwykle pochłonięty jest potajemnymi zabiegami kosmetycznymi: pudrowaniem nosów, poprawianiem kunsztownej fryzury i polerowaniem różowych paznokci. Mają one swoje odrębne życie, na które my patrzymy z odczuciem ironicznej pobłażliwości. Żenia P. podobnie² jest zaręczona i niedługo zakończy swą edukację, by pogrążyć się w kłopoty rodzinne.

— Wiesz, ja chyba nigdy nie wyjdę za mąż — zwierza się urocza Ania Szcz-wa, z którą od pewnego czasu siedzę razem — zostanę pielęgniarzką w szpitalu i będę się opiekowała nieuleczalnie chorymi. Będę im czytała Żywoty świętych i Ewangelie, porobię w pokojach ołtarzyki, przed ubranymi będą się paliły lampadki³. Wieczorami będzie tam cicho, cicho. Ja w lekkich pantofelkach, ubrana na biało, będę bezszelestnie przesuwawa się pomiędzy łózkami i to jednemu, to drugiemu położę lekką dłoń na czoło.

— Ależ to okropne! — wzdrygam się gwałtownie. — Ich trzeba rozbawić, rozweselić, nie dać wciąż myśleć w tej ciszy o sobie i swej chorobie, bo zwariują. Wiesz, co zrobimy? Ja będę przecież

² Podobnie — podobno.

³ Ros. *лампада* 'lampka'.

.....

artystką dramatyczną. Odkąd byłam na występach Komisarzewskiej⁴, to już zdecydowane. Uproszę najlepszych aktorów od Stanisławskiego⁵, przyjedziemy do was i zagramy chorym najładniejsze rzeczy. Pamiętasz? — tak jak w Studium⁶ w Moskwie: bez sceny, pośrodku sali szpitalnej. Może nawet ułożymy jakąś sztukę o chorych, gdzie któryś z nich popełnia czyn bohaterski. Oni rozumieją, że nie można ustawicznie myśleć tylko o swoim bólu. Zaczną żyć wspomnieniami aż do następnego naszego przyjazdu. O dobrej sztuce można myśleć miesiącami. Ja dotąd nie mogę zapomnieć, jak to Kaczałow⁷ schodził ze sceny. Czekaj, pokażę ci.

Korzystając z tego, że dyrektor stał odwrócony bokiem, wyskoczyłam z ławki i zaczęłam demonstrować ruchy wielkiego artysty. Po klasie przemknęły uśmiechy, co mnie pobudziło do zainscenizowania postawy innego członka zespołu. Wtedy drzwi bezszelestnie otworzyły się i pani przełożona wywołała mnie na salę [rekreacyjną]. Okazało się, że od dłuższej już chwili stała przed oszklonymi drzwiami klasy.

— I znowu ty, Natuśko! W zeszłym tygodniu dopiero, pędząc jak szalona, przewróciłaś na schodach inspektora z kuratorium. Przedwczoraj pozaszywałaś rękawy w płaszczach nauczycielskich, tak że nikt swego nie mógł włożyć i powstało zamieszanie w szatni. A dawno to była ta sprawa z zamknięciem nauczyciela w gabinecie fizycznym, skąd całą godzinę nie mógł się wydostać i przepadła lekcja w siódmej klasie? — Drobną, pomarszczoną twarzyczką naszej przełożonej wyraża wielką troskę i oburzenie. — I zawsze ciebie muszą się trzymać jakieś

.....

⁴ Wiera Fiodorowna Komissarzewska (1864–1910) — rosyjska aktorka, jedna z najwybitniejszych i najbardziej lubianych aktorek w Rosji swojej epoki.

⁵ Konstantin Siergiejewicz Stanisławski (1864–1938) — rosyjski reżyser teatralny, aktor, wykładowca, twórca pierwszego systemu gry aktorskiej.

⁶ Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny — założony w 1898 r. przez Władimira Niemirowicza-Danczenkę i Konstantego Stanisławskiego, późniejszy MChAT.

⁷ Wasilij Iwanowicz Kaczałow (1875–1948) — czołowy rosyjski aktor teatralny trupy Konstantina Stanisławskiego.

dziwne pomysły — gdera dalej, poprawiając mi jednocześnie matczynym ruchem biały kołnierzyk, który, oczywiście, znów posunął się na bok. — Co z ciebie wyrośnie? Chcesz być aktorką? Zmarnujesz się z całą pewnością. Może jeszcze namyślisz się? Ale prawie pewna jestem, że życie swoje ułożysz w sposób awanturniczy.

— A dobrze by było — wtrąciła stojąca tuż obok „dama klasowa” — by Nata została nauczycielką i na własnej skórze przekonała się, jak to miło mieć takiego kozaka jak ona w klasie. Zobaczysz, skarże cię Bóg za nas — dodaje, śmiejąc się — będziesz ty nauczycielką.

Głośno śmieję się z niedorzecznego pomysłu. Śmieje się i przełożona, całuje mnie, odsyłając do klasy, i mówi na odchodnym:

— Nie, Anno Wasiliwna! Na nauczycielkę ona zupełnie nie nadaje się, ale mimo wszystko lubię ja tego urwisa.

Szczególnie silny wpływ wywierały na nas lekcje literatury prowadzone przez panią Katarzynę Striżkową. Oprócz objętej programem literatury rosyjskiej opracowyaliśmy dość gruntownie utwory wielu pisarzy zachodnioeuropejskich. Zbieraliśmy się w tym celu dodatkowo co niedzielę w ciągu dwóch ostatnich lat nauki. Chociaż zajęcia te nie były obowiązkowe, uczęszczała na nie znaczna większość klasy.

Kiedyś mnie w udziale przypadło opracowanie tematu *Dusza inteligenta polskiego według utworów Tetmajera*. Wtedy to, czytając po raz pierwszy dzieła tego pisarza, odczułam całe piękno gwary góralskiej. Uparłam się, by czytać Tetmajera w oryginale, nie zaś w rosyjskim przekładzie, znajdującym się w bibliotece szkolnej. Sprawilo mi to wielką trudność, gdyż — jak większość Polaków na Syberii — bardzo źle władałam mową ojczystą, robiąc kardynalne błędy. Tym trudniej było mi poradzić sobie ze zwrotami regionalnymi, tak charakterystycznymi dla autora *Na skalnym Podhalu*.

Sprawiało mi to czytanie (nieraz wspólnie z mamą) jednak wielką satysfakcję. Gdy zaś ojciec przyniósł mi szczegółową mapę Tatr i Podhala, wyszukiwałam na niej mozolnie Ludźmierz, Klikuszową, Lepetnicę⁸, obiecując sobie odnaleźć je kiedyś w rzeczywistości.

Ze względu na wyznanie matki figurowałam w dokumentach jako prawosławna, jakkolwiek od najwcześniejszych lat moim wychowaniem religijnym kierował ojciec. W gimnazjum obowiązywały mnie lekcje religii prowadzone przez batiuszkę, zresztą człowieka bardzo światłego i wykształconego, profesora teologii Uniwersytetu Tomskiego. Zaczynał staruszek doskonale zdawał sobie sprawę z istotnej sytuacji. Na lekcjach swych dużo czasu poświęcał różnicom pomiędzy kościołem wschodnim a łacińskim, nie uraził przy tym nigdy moich uczuć. Tylko nieraz, gdy odpowiedziałam lepiej od Rosjanek, mruczał półgłosem:

— Aż szkoda, że tak wszystko umie, a jednak...

W okresie Wielkiego Postu całe gimnazjum miało odbyć rekollekcje, tzw. „*gowienie*”⁹. Przekonałam rodziców, by i mnie nie robiono trudności i pozwolono brać udział w tych ćwiczeniach duchowych. Nastrojowe nabożeństwa w ładnej, dobrze ogrzanej kaplicy uniwersyteckiej, tonącej w kwiatkach z cieplarni, doskonały chór, przejęcie się koleżanek — wszystko to wywarło dość silne wrażenie.

Nadszedł dzień spowiedzi. W kilku miejscach cerkwi ustawiono „*anataje*”¹⁰, przy których dziewczynki miały spowiadać się. Czułam pewne skrępowanie w stosunku do dobrze znanego profesora, który bywał u nas w domu. Podeszłam więc do jakiegoś nieznanego mi duchownego. Zupełnie nie wiedziałam, jak się zachować. Chciałam ukłęknać, jak widziałam to przy

⁸ Lepietnica — dopływ Czarnego Dunajca.

⁹ Ros. *говеть* ‘spowiadać się’.

¹⁰ Ros. *аналай* ‘rodzaj konfesjonału’.

konfesjonałach w kościele katolickim, do którego co niedzielę chodziłam z ojcem. Okazało się, że należy stać. Zmieszana nie wiedziałam, jak rozpocząć spowiedź, do której przygotowałam się starannie. Batuszka zniecierpliwiony przynaglił:

— Nu, powiedz, że zgrzeszyłaś przeciw wszystkim przykazaniom, że żałujesz i dam ci rozgrzeszenie.

— Kiedy... wcale nie przeciwko wszystkim — próbowałam oponować.

— To tak się tylko mówi... no i więcej nie grzesz już.

Rozpłakałam się. Nie tak wyobrażałam sobie spowiedź, nie tego pragnęłam, było mi smutno i źle.

— Nu, nu, tak bardzo nie trzeba znów przejmować się i żałować. Bóg dobry, przebaczy ci — znudzonym głosem powiedział spowiednik i nakrył mi stulą głowę, udzielając rozgrzeszenia. Następnego dnia rano nie poszłam do cerkwi. Po południu przybiegła zatroskana Nadzia K.

— Jakże teraz będzie z tobą? Jeżeli byłaś u spowiedzi, to straszny grzech i wstyd nie iść do komunii. Tak wszystkie mówią.

Dopiero interwencja mego ojca, który dokładnie wyjaśnił nam znaczenie żalu doskonałego, skruchy i absencji, uspokoiło nas. Odchodząc, Nadzia oznajmiła, że gdy tylko dorośnie, pojedzie do innego miasta, gdzie jej nikt nie zna i zostanie katoliczką.

— Bo tak jakoś radośnie i spokojnie się robi, gdy wierzyć po waszemu.

Lubię wspominać swoje gimnazjum. Nie tylko strona nauczania była na istotnie wysokim poziomie. O wzajemnym stosunku personelu i uczennic wspomniałam już przedtem. To, co charakteryzowało naszą uczelnię, był panujący w niej duch prawości, uczciwego podejścia do obowiązków. Wprost nie do pomyślenia był fakt „ściągnięcia”, podpowiadania lub innych wykrętów, tak chętnie praktykowanych gdzie indziej. Pracowałyśmy na ogół sumiennie. Może dlatego tak chętnie korzystałyśmy również

z rozrywek, o dostarczanie których nasza dyrekcja bardzo dbała. Nigdy i nigdzie nie „bawiłam się” tak wspaniale jak na wieczorach, jakie dla nas tam urządzano. Były to prawdziwe święta, na które czekałyśmy niecierpliwie, starannie obmyślając drobne szczegóły projektowanego programu, listę zaproszonych gości. Pod granatowym mundurkiem szkolnym, który nie przestawał obowiązywać i wtedy (uzupełniony zresztą wytwornym kołnierzykiem i wspaniałą kokardą na włosach), żywiej biło serce na myśl, że przyjdzie ten lub ów uczeń męskiego gimnazjum, z którym co rano wymieniało się ukłon połączony z uśmiechem w chwili wzajemnego mijania się. Przez długie tygodnie myśl wracała do tych przemiłych uroczystości, gdzie bywało tak beztrosko, tak naprawdę wesoło i radośnie. Lubiłam wtedy tańczyć i zapamiętałam cieszyłam się ruchem walca lub modnej wtedy polka — *parisienne*¹¹.

Podróże

Żyłkę podróżniczą odziedziczyłam chyba po matce. Gdy tylko nie była ona zajęta sprawami gospodarstwa, którego nie lubiła, oddawała się z prawdziwą pasją jednemu z trzech ulubionych zajęć: czytała, grała na fortepianie albo w najgłębszym skupieniu schylała się nad mapami geograficznymi.

W wyniku tego trzeciego zamięłowania już od dzieciństwa często miałam możliwość odbywania dalekich podróży. Zwiedziłam więc kolejno Austrię z Tyrolem, Szwajcarię, Niemcy, Danię, Szwecję, Norwegię, Turcję i Grecję. Oprócz tego jeździliśmy do miejscowości leżących wówczas wewnątrz granic imperium rosyjskiego — Finlandii, wybrzeży Morza Bałtyckiego nad Zatoką Nyską, do Kaukazu, Krymu. Gdy przypominam sobie wrażenie, jakie odnosiłam z tych wędrówek, na pierwszy plan wysuwają się krajobrazy górskie. Mama szczególnie rozmiłowana była w Szwajcarii, toteż tam nad Lemanem¹² przebywaliśmy najczęściej. Podczas licznych wycieczek, jakie odbywaliśmy z naszego pensjonatu, jaskrawo zaznaczyły się

¹¹ *Gaîté parisienne polka* — kompozycja Jacquesa Offenbacha.

¹² Leman — francuska nazwa Jeziora Genewskiego.

różnice trzech osób podróżujących: matki naszej, małego Leonka i mnie. (Ojciec najczęściej jeździł osobno, spędzając czas wakacyj albo w bibliotece przy British Museum, albo w ulubionym swym Heidelbergu¹³. Michaś zaś dał się namówić jedynie na podróż do Skandynawii. Jego jako przyrodnika znacznie więcej interesowała flora i fauna Azji, toteż dołączał się do ekspedycji naukowej Tomskiego Uniwersytetu i zwiedzał Mongolię, pustynię Gobi lub pieszo wędrował po górach Uralu i okolicach jeziora Turgajak¹⁴).

Wracam do naszej niedobranej trójki. Mama, powodowana istnym głodem wrażeń, chciała jechać coraz dalej i dalej, zwiedzić możliwie dużo, poznać *maksymalną* ilość miast, miasteczek i miejscowości z ich zabytkami, szczególnie zaś dziełami sztuki.

Leonek gwałtownie protestował. On albo pragnął spokojnej zabawy w ogrodzie pensjonatu, ciesząc się z kupionych mu zabawek, albo w najbardziej przemyślny sposób przedostawał się tam, gdzie była muzyka, pod urok której podpadał mocno. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach odnalazłyśmy 5-letniego brzdąca w *Stephansdomie* wiedeńskim¹⁵, gdzie siedział cichutko, czekając, czy nie usłyszy znów mozartowskiej mszy świętej, urywek której usłyszał rano. Wymknął się z hotelu, wypytawał się przechodniów i odnalazł świątynię, gdzie przeżył piękne emocje przed kilku godzinami. Bardzo często bywał najzwyczajszym urwisem i korzystając z tego, iż wypłakał sobie pozostawienie go w domu, wyprawiał „najdziksze swawole” ku wielkiemu zgorszeniu pocziwych Szwajcarów. Gdy pozamieniał wszystkie wizytówki na drzwiach pokoiów, zepsuł winę i po rynn timer zjechał z drugiego piętra, właścicielka pensjonatu w Chevalleyres¹⁶ ostrożnie napomknęła mamie, iż zna dobry zakład leczniczo-psychiatryczny dla chorych dzieci.

¹³ Heidelberg — miasto w południowych Niemczech.

¹⁴ Turgajak (ros. Тургояк) — jezioro w obwodzie czelabińskim w Rosji, w pobliżu miasta Miass; drugie co do wielkości jezioro w regionie, znane z czystej wody i malowniczego otoczenia.

¹⁵ Stephansdom — Katedra św. Szczepana w Wiedniu.

¹⁶ Chevalleyres — miejscowość z licznymi willami i pensjonatami w pobliżu Lozanny.

.....

Ja zaś oprócz wrażeń związanych z krajobrazem i architekturą gotycką, która od najwcześniejszych lat miała dla mnie nieodparty urok, najwięcej pragnęłam dowiedzieć się dokładnie, jak żyją ludzi w mijanych przez nas wioskach i domach. Pod różnymi pretekstami zatrzymywałam się po drodze — bądź żeby napić się mleka koziego, bądź odpocząć w cieniu drzew wiśniowych i z zainteresowaniem patrzyłam na życie ludzi, wnętrza ich domków, pracę. Najszczęśliwszą byłam, gdy udawało mi się na dłużej porozmawiać z rówieśnikami o ich życiu.

Wracamy z wyprawy do jakichś starożytnych ruin w górach nad Smirną¹⁷, które mnie stosunkowo mało obchodziły, bo jakoś nie lubiłam historii. Uparłam się koniecznie, by pozwolono mi zwiedzić wnętrze haremu. Przewodnik zastukał do bramki, coś klarował po turecku, poczem młode Turczynki zaczęły w wysoce oryginalny sposób robić mi honory domu. Aż wyjaśniło się (jedna dobrze mówiła po francusku), że nasz *guide*¹⁸ opacznie wytłumaczył sobie moje życzenie potrzebą fizjologiczną i w odpowiedni sposób poinformował gospodynię o niej. Patrzymy na siebie z uśmiechem:

— *Vous êtes russe, mademoiselle?*¹⁹

— *Mais non! Je suis polonaise, vous savez de ce pays, qui n'existe plus sur les cartes géographiques*²⁰.

Dalej nie trzeba było mówić. Otoczyły mnie wszystkie z oznakami najżywszej sympatii. Głaskały po głowie i rękach, częstowały, czem tylko mogły. Wyszłam obdarowana ślicznym woreczkiem ze złocistej tkaniny, słodyczami i... małą szyszką sosnową.

.....

¹⁷ Smyrna — miasto portowe położone nad zatoką u stóp góry Pagos. „Starożytne ruiny”, o których Autorka wspomina, to zapewne pozostałości twierdzy zbudowanej niegdyś na szczycie tej góry nad miastem.

¹⁸ Ang. *guide* ‘przewodnik’.

¹⁹ Fr. ‘Panienka jest Rosjanką?’

²⁰ Fr. ‘Ależ nie! Jestem Polką, wie Pani — z tego kraju, którego nie ma już na mapach’.

— *C'est très rare, cela! Ma mère en avait plusieurs et les tenait entre les doigts en mourant. Prenez, ça vous portera bonheur, chère polonaise*²¹.

Trzymałam dar między palcami z uczuciem głębokiego wzruszenia. Kim była zmarła matka Turczynki z haremu, że aż tak ceniła szyszki z dalekiego północnego drzewa? Chyba że sama pochodziła stamtąd. Może rodaczka?

Przesuwają się przed oczyma fragmenty widzianych obrazów, to, co wywołało w swoim czasie zachwyt, a więc pozostawiło jakiś ślad dodatni w psychice.

Smukła *Votivkirche*²² o nieskazitelnie czystych liniach... i tegoż wieczoru zabawa ludowa w Praterze²³. Mały statek na Achen-see²⁴. Grupa Tyrolczyków daje nam możliwość posłuchać słynnego jodelu²⁵, dźwięki którego zostają odbite wielokrotnym echem przez góry. Krowy z olbrzymimi dzwonami na szyjach budzą nas o świcie w Interlaken²⁶, z którego nie chce się wyjeżdżać, bo nigdy nie dość jest patrzeć na mieniącą się różnymi odcieniami Jungfrau²⁷ przy zachodzie słońca. Targ w Verrey²⁸, gdzie ogromne jak koła młyńskie kręgi sera leżą wprost na bruku. Poszukiwanie zaginionego miłego pastora angielskiego, gościa naszego pensjonatu i przywiezienie odnalezionych zwłok jego

²¹ Fr. 'To bardzo rzadkie! Moja matka miała ich kilka i trzymała je w palcach, kiedy umierała. Proszę wziąć — to Pani przyniesie szczęście, droga Polko'.

²² *Votivkirche* — neogotycki Kościół Wotywny w Wiedniu z XIX w.

²³ Prater — duży park w Wiedniu, miejsce relaksu i rozrywki z licznymi atrakcjami, np. diabelskim młynem Wiener Riesenrad z 1897 r.

²⁴ Achensee — największe jezioro w Tyrolu, na zachodzie Austrii.

²⁵ Niem. *jodeln* 'jodłować, śpiewać na wzór Tyrolczyków'.

²⁶ Interlaken — gmina w Szwajcarii w kantonie Berno.

²⁷ Jungfrau — część masywu Wielkiej Trójki w Alpach Berneńskich. Składa się na niego Eiger, Mönch i Jungfrau.

²⁸ Właściwie: Verrey — mała szwajcarska wioska w kantonie Valais, w gminie Nendaz.

.....

w nocy, w największej tajemnicy, by wieścią o nieszczęśliwym wypadku nie psuć nastroju turystom. Zabawne wybryki pijanych korporantów²⁹ w Heidelbergu i ich śpiew: *Alt Heidelberg, du fe-ei-ne...*³⁰ — wieczorami. Postać *Münchner Kindl*³¹, która na Leonku zrobiła znacznie większe wrażenie niż Pinakoteka³².

W Chrystianii (nie nazywała się wtedy jeszcze Oslo) statek Wikingów wprost oczarował moich braci. Tym razem i Michał był z nami. Dalej rozpoczęła się jakaś fantasmagoria, bo tak chyba tylko można nazwać podróż bądź kolejką elektryczną, bądź wózkiem, gdzie woźnica siedzi wysoko z tyłu, aby nie zasłaniać widoku, i gdzie przy każdej stromej górze w wielu językach przeczytać można apel do podróżujących, by okazali współczucie koniowi i pieszo przeszli ten odcinek drogi.

Statkiem po fiordach. Hotelik w Vatnahalsen³³, tuż przy jeziorze, które spada w dół wspaniałym wodospadem, i gdzie podają dziwne a smaczne potrawy o ostrym zapachu igliwia sosnowego. W Bergen³⁴, po powrocie z malowniczego targu rybnego, spostrześliśmy, że mama, pakując bagaż w hoteliku christiańskim, wyrzuciła przez nieuwagę wraz z niepotrzebnymi papierkami cały nasz zapas banknotów przeznaczonych na podróż. Szybkie zmiany nastrojów następujących po sobie: przerażenie, smutek, niepokój, radość przy otrzymaniu w niespełną godzinę po wysłaniu zapytania telegraficznej odpowiedzi:

— *Yes, found on the floor*³⁵.

.....

²⁹ Korporant — członek korporacji akademickiej.

³⁰ Niem. *Alt Heidelberg, du feine* ‘Stary Heidelbergu, tyś wspaniały’ — pierwsze słowa niemieckiej studenckiej piosenki na cześć uczelni w Heidelbergu; muzyka: s. Anton Zimmermann, tekst: Joseph Victor von Scheffel.

³¹ Niem. *Münchner Kindl* ‘dziecko monachijskie’ — nazwa symbolu na herbie miasta Monachium.

³² Pinakoteka — muzeum sztuki w Monachium założone przez króla Ludwika I Wittelsbacha w 1853 r.

³³ Vatnahalsen — hotel z widokiem na Aurlandsfiord i góry Flamsdalen.

³⁴ Bergen — miasto w Norwegii.

³⁵ Ang. ‘Tak, znalazłam na podłodze’.

Po powrocie do stolicy Norwegów odczuliśmy wielkie zdetonowanie³⁶, gdy pokojówka nasze gorące podziękowanie przyjęła jako obrazę (bo jakże można dziękować człowiekowi za to, że nie jest złodziejem i pracuje starannie?) i nie od razu nam darowała.

Sympatyczne mieszane towarzystwo międzynarodowe w wagonie. Mała Angielka zapytana, czy nie będzie miała trudności, ponieważ u nich rok szkolny już rozpoczął się, ona zaś wróci ze znacznym opóźnieniem, spojrzała na mnie ze zdumieniem:

— Ależ ja właśnie najlepiej uczę się tutaj i pomogę wszystkim z geografii po powrocie. *I don't care for sitting in the school-room. I care for learning*³⁷.

Pocziwi Niemcy, którzy właśnie wracali z Kopenhagi zwiędzałej przez nas w roku ubiegłym trochę zgorszyli mamę. Zapytali mianowicie, jak nam podobała się (istotnie wspaniała!) sala tańców w Tivoli, zwana Rosenduft ('zapach róż'). Ponieważ jednak nie wymawiali *r*, pytanie o zabawie w ogrodzie brzmiało:

— *Aber der Hosenduft* ('zapach spodni') *hat Ihnen wohl am meisten gefallen?*³⁸

Nie zapomnę skamieniałej z oburzenia twarzy matki i taczającego się wprost ze śmiechu Leonka. Czy można w ogóle znaleźć słowa dość piękne, by opisać Ateny i wrażenie z (niech będzie rzekoma tylko) ciemnicy Sokratesa? Bazar w Konstantynopolu, kręcone, brudne i jakże piękne uliczki Stambułu, podziemia, do których dostaję się wraz z młodymi uczniami szkoły marynarskiej odesskiej, by uzyskać amulet od starego czarodzieja. Mam już szesnasty rok, jestem zakochaną w kilku absolwentach szkoły naraz i dlatego amulet, który ma zapewnić mi szczęście w życiu osobistym, wydaje się szczególnie ważnym. Dziwne były czary i wróżby, wyczyniane przez starca nad małym talizmanem, pogrążanym przez niego w oparach jakiegoś dymu.

³⁶ Zdetonowanie — zmieszanie, zaskoczenie, onieśmienie.

³⁷ Ang. 'Nie mam nic przeciwko siedzeniu w sali lekcyjnej. Zależy mi na tym, żeby się uczyć'.

³⁸ Niem. 'Ale zapach spodni chyba spodobał się Pani najbardziej?'.

Jeszcze dziwniejszymi wydały mi się jednak słowa, jakie wypowiedział on, wręczając mi zabawkę:

— Największą moc ma ten obrazek, który leży w Twojej podróźnej torbie przy boku.

Wtedy nosiło się takie torebki skórzane, przywieszone przez ramię, na długim rzemieniu. Leżał tam istotnie mały wizerunek Najświętszej Panny Ostrobramskiej, włożony przez ojca mego przy pożegnaniu.

Półnaczy chłopcy o oczach jak gwiazdy sprzedają na uliczkach przylegających do portu bosforskiego migdały smażone z solą i orzechy w miodzie. Wszyscy całkiem dobrze mówią po francusku, bo język ten objęty jest programem szkolnym. Mówimy takiemu, by zatrzymał sobie resztę. Obraził się. Nie jest żebrakiem. Obecny przy tym kapitan statku wypomina mu, że sam widział, jak on oszukał kogoś na wadze. Pogardliwe wzruszenie ramion:

— Ależ to zupełnie co innego — oszukać głupca albo przyjąć jałmużnę. Czy pan tego naprawdę nie rozumie?

Klasa ósma (pedagogiczna)

Zima, która nastąpiła po podróży do Grecji i Turcji, bardzo różniła się od poprzedzających ją lat szkolnych. Byłam, co prawda, jak i przedtem, uczennicą gimnazjum, ale już ósmej, tak zwanej pedagogicznej klasy. Można było obrać sobie specjalność, chodziło się na hospitacje do klas młodszych i trzeba było prowadzić lekcje próbne oraz obserwacje nad powierzoną sobie dziewczynką. Nauczycielki traktowały nas prawie jak młodsze koleżanki, a nowo wstępujące dzieciaki z klasy wstępnej nieraz dygały, witając się z nami.

Było zresztą jeszcze coś, co zasadniczo zmieniło pogląd na samą siebie, stwarzając pewność, że lata dziecinne już minęły. Podczas podróży statkiem po Morzu Czerwonym zaręczyłam się z jednym z absolwentów odesskiej szkoły morskiej

i korespondencja z narzeczonym, który pisał górnolotne listy do mnie, utrzymywała mnie w nastroju dorosłej panny. Matka moja była bardzo niezadowolona z tych zaręczyn. Nie ominęła ona żadnej sposobności, by przekonywać mnie o tym, jak nie-szczęśliwymi bywają żony marynarzy. Podsunęła mi nawet do przeczytania nowelkę Kupryna³⁹ *Choroba morską*⁴⁰, łudząc się nadzieją, że treść tego utworu zupełnie zdyskwalifikuje w moich oczach przedstawicieli zawodu żeglarskiego. Wszystkie te starannie przemyślane machinacje jedynie budziły we mnie ducha sprzeciwu i utwierdzały w powziętych zamiarach.

Jakim sposobem udało się ojcu pokierować sprawą tak, że obraz pana Andrzeja coraz bardziej zanikał w mej pamięci — do-prawdy trudno mi byłoby ustalić. Nie tylko nie oponował, nie zabraniał korespondencji, ale przeciwnie: sam zachęcał do pi-sania listów. Tylko że działo się to najczęściej wtedy, gdy wszy-sczy wybierali się do teatru lub na koncert. Z miną konspiratora oświadczał mi, że udało mu się przekonać mamę, by nie urzą-dzała projektowanego dla młodzieży kuligu, bo „dla młodej narzeczonej to nie jest odpowiednia rozrywka”. Chwalił mego wybranego w sposób niedopuszczający sprzeciwu, przy czym podkreślał zwykle cechy charakteru i wypływające z nich możliwości na przyszłość, które zupełnie nie pokrywały się z moimi marzeniami i zamiłowaniem. W rezultacie miałam po kilku miesiącach całej tej sprawy zupełnie dość i odetchnęłam z wyraźną ulgą, gdy korespondencja nasza urwała się.

Hospitacje w młodszych klasach i sam program klasy ósmej dawały dużo ciekawych przeżyć. Psychologii, dydaktyki, meto-dyki nauczania języka rosyjskiego wykładała zdolna i bardzo popularna wśród uczennic pani E. Riazanowa, gorąco kochają-ca swoją specjalność i — dlatego może — bardzo wymagająca.

³⁹ Aleksandr Iwanowicz Kuprin (1870–1938) — autor utworów społeczno-obyczajowych o miłości i autobiograficznych.

⁴⁰ A. Kuprin, *Szał namiętności. Choroba morską*, Białystok: Wydawnic-two M. Prużańskiego 1925.

Kiedyś, w czasie dyskusji dotyczącej odbytej lekcji próbnej, jedna z moich koleżanek użyła zwrotu:

— Wszystkie dzieci lubią, żeby na nie zwracać uwagę i chwalić je.

— Lizo! Po co tobie właściwie ta ósma klasa? — wybuchła pani R. — Tyle jest innych zacnych i potrzebnych zawodów na świecie. A z ciebie żadna wychowawczyni. Nie może być wychowawcą człowiek, który już we wczesnej młodości z tupetem generalizuje, ujednastajnia, podciąga pod jeden wspólny mianownik to, co jest najciekawszego na świecie: dzieci. Użyłaś zwrotu „wszystkie dzieci”. Zrozum, że każdy człowiek, a już tym bardziej każde dziecko jest inne, jest sobą, ma własne oblicze. I te właściwości trzeba umieć dostrzec, uszanować, rozwijać, żeby nie było nudnych szablonów o połamanych i pokaleczonych dążeniach. A ty w dodatku chcesz jeszcze chwalić! Jak już zaczniesz używać tej trucizny chwalenia, to dalej niewiele uzyskasz. Z dziecka uczynisz niewolnika, który nie z przekonania, nie z własnej chęci, nie dla ciebie nawet, tylko dla tej tandety, jaką jest pochwała, będzie robił nie dobro, lecz jedynie *surrogat*⁴¹ dobra.

Z dziećmi klas przez nas hospitowanych i traktowanych jako ćwiczeniówka czułam się dobrze. Kontakt nawiązywał się łatwo, stosunki wzajemne układały się jak najlepiej. Istniało to, co w późniejszych latach moi chłopcy określali mianem „sztama”. Małe uważały nas za „swoje”, czemu nie można się dziwić. Przecież pierwszo- i drugoklasistki pamiętały nas dobrze z ubiegłego roku, gdy jeszcze byliśmy zwyczajnymi uczennicami. Miały więc jeszcze w pamięci nasze wybryki i psoty oraz uwagi, jakie otrzymywałyśmy od wychowawczyń lub dyrektorki. O bezwzględnej karności, opartej na naszym autorytecie nie mogło być mowy; czułyśmy to bardzo dobrze. Stąd — od pierwszych godzin pracy z dziećmi zaczynałyśmy szukać dróg porozumienia poprzez nawiązanie wzajemnej sympatii. Obecność personelu pedagogicznego, doświadczonej wychowawczyni klasy, do której jednakowy szacunek odczuwały zarówno wstępniaczki, jak i ośmioklasistki, ład i porządek w całej szkole, samo przez

⁴¹ Surogat (łac. *surrogare*) ‘podróbka, rzecz zastępcza używana jako namiastka’.

się złączyły nas w grupę przyjazną sobie. Interesy skierowane były równolegle, nie krzyżowały się ze sobą, tym bardziej zaś nie były sprzeczne. Toteż wspomnienia z tego wstępnego okresu pracy pedagogicznej są tylko jasne i pogodne. Zajęcia w klasie były przyjemnością, czymś, czego było raczej za mało.

Nie miałam wtedy najmniejszego zamiaru obrania zawodu nauczycielskiego. Wahałam się wtedy pomiędzy zamiarami matrymonialnymi, sceną lub studiami medycznymi. Byłam zbyt młodą, by powziąć rozstrzygającą decyzję lub wyjechać na studia. Wstąpiłam do klasy ósmej, by przeżyć ten rok, czegoś się nauczyć i przedłużyć pobyt w lubianym gimnazjum. Nie dziwiłam się jednak wcale koleżankom, które od razu zdecydowały się na trwały związek z pedagogiką. Nadzia K. była najgorętszą entuzjastką pracy w szkole wiejskiej — takiej, gdzie można było działwie dać możliwie dużo niedostępnych jej dotąd przeżyć i wiedzy. Miła nasza idealistka zrezygnowała z tego powodu z gry na fortepianie i brała dodatkowe lekcje śpiewu. Błagała mnie, bym zdecydowała się na medycynę i bodaj drogą korespondencji ułatwiała jej leczenie przyszłych pupiłków.

— Tyle, tyle rzeczy trzeba umieć, by dobrze pracować tam, na wsi — utyskiwała, podnosząc głowę znad książek i patrząc na nas z troską. — Żebyż to każdy chciał w miarę możliwości bodaj trochę dopomóc nauczycielowi, życie byłoby cudowne.

Z trudem dawała się namówić do wzięcia udziału w naszych zabawach szkolnych, urządzanych dla nas kilka razy do roku. Bardzo nieśmiało — myśmy nazywali ją wprost „dzikusiem” — unikała wszelkiego kontaktu z chłopcami. Z odcieniem dezaprobaty przyjmowała zwierzenia zakochanych przyjaciółek i... dawała się uprosić, by układać ładne, pełne wdzięku i poezji listy, które nasze flirciarki potem tylko przepisywały i wysyłały we własnym imieniu.

Gdy na wiosnę zaręczyłam się z Włodzimierzem, Nadzia była szczerze zmartwiona:

— To już i na studia nie pojedziesz i nie będziesz mi pomagała.

Pierwsze samodzielne kroki w klasie

Narzeczeństwo

Nadzia miała rację. Na studia istotnie nie pojechałam. Ślub nasz został wyznaczony na styczeń⁴². Lato spędziłam z mamą i braćmi w wiosce tatarskiej na Krymie, gdzie gorąco przywiązałam się do malutkiej córeczki naszego gospodarza, małej, czteroletniej Dżawair. Dziecko odpłacało moje uczucie równym przywiązaniem. Byłam świadkiem przymusowych zaręczyn jej starszej dziesięcioletniej siostrzyczki Emine z czterdziestoletnim „starcem” (takim, rzecz jasna, wydawał się opasły, szpakowaty narzeczoną, na którego patrzyłyśmy z niekłamanym obrzydzeniem). Postanowiłam uchronić swoją ulubienicę od podobnego losu i zaczęłam błagać mamę, by pozwoliła mi zabrać ją ze sobą i wychowywać. Rodzice jej bowiem zgodziliby się na to bez namysłu: wszak była to tylko dziewczynka. Mama odpowiedziała, że w tej sprawie decydować nie może, nie zamierza bowiem po moim ślubie wychowywać obcego dziecka. Nawet jej rodzona córka w wyniku siedemnastoletnich starań nie uważa za potrzebne liczyć się ze zdaniem rodziców przy wyborze męża. Czegoż mogłaby oczekiwać od dziecka zupełnie obcego? O ile po ślubie zamierzam mieć dziewczynkę przy sobie — należy uzyskać zgodę mego przyszłego męża. Biedny Włodzimierz był bardzo zakłopotany. Ostrożnie usiłował w listach swych przekonać mnie o tym, jakie to ogromne ryzyko brać do siebie cudze dziecko, prosił poczekać z decyzją, obiecywał, że po naszym ślubie razem przyjedziemy do Partenitu⁴³ i wtedy postanowimy definitywnie, jak należy uczynić. Byłam bardzo niezadowolona z jego stanowiska, czułam się dotknięta brakiem entuzjazmu z jego strony, smuciłam się myślą o mającym nastąpić rozstaniu z małą pieścioszką swą i wobec tego gotowa byłam nawet zrezygnować z projektów matrymonialnych.

Najniespodziewaniej rozstrzygnął całą sprawę Leonek, który podówczas nie miał jeszcze dziesięciu lat. Wydawało mi się, że w ogóle go nie obchodziły wszystkie pertraktacje na temat

⁴² Rok 1914.

⁴³ Partenit — osiedle na południowym brzegu Krymu.

Dżawair, bawił się w ogrodzie albo siedział nad brzegiem morza, budując fortece. Aż tu nagle wyciągnął mnie na przechadzkę i wyłożył mi swój punkt widzenia:

— Ty się na mnie nie gniewaj, ale mnie się strasznie nie podoba to, co ty chcesz zrobić. Zabierać dziecko od matki, to jest straszny grzech. I jeżeli to zrobisz, to ciebie na pewno spotka za to kara.

— Ależ, Leonku, wszak ty sam widzisz, co ją czeka u tej matki.

— Ona jest Tatarką i ten sam los czeka wszystkie Tatarki. A może jej u nas jeszcze więcej nie spodoba się. Pamiętasz, jak ja chciałem nauczyć naszego kota jeść czekoladę? Mnie smakowało, a on aż drapał i gryzł, żebym mu jej nie podawał do pyska. Może nasze życie dla tej Dżawair to takie się wyda jak czekolada dla kota?

Byłam wstrząśnięta. Długo myślałam, nieraz popłakałam, w rezultacie zaś przyznałam braciszkowi rację. Nie zerwałam z Włodzimierzem, Dżawair zaś pozostała w swej wiosce. Po powrocie do Tomsku czułam się jednak bardzo nieswojo bez określonego zajęcia. Nie uczyłam się. Tak zwana wyprawa jakoś mało mnie obchodziła, gdyż zawsze byłam dość obojętna względem strojów. Codzienne odwiedziny narzeczonego i spacer z nim wypełniały mi wieczory. Ale ranki wydawały się zupełnie pustymi.

Toteż z wielką radością zgodziłam się na prośbę dyrektorki naszego gimnazjum, by zastąpić na przeciąg kilku miesięcy chorą nauczycielkę języka niemieckiego, potem zaś znów młodą nauczycielkę francuskiego, która wyjechała na złożenie egzaminu dyplomowego. W tym okresie zrozumiałam, jak wielkie znaczenie ma wpływ osobowości nauczyciela na powierzoną mu klasę.

W klasie

Zastępowanie pogodnej, sprawiedliwej i bardzo lubianej przez dzieci pani Zelmy nie sprawiało mi żadnych trudności. Po prostu pracowałyśmy z dziewczynkami dalej, starając się przerobić materiał możliwie dobrze i unikając zrobienia sobie wzajemnie jakiegokolwiek przykrości. Natomiast lekcje języka francuskiego

.....

w klasach, gdzie przedtem uczyła młoda, bardzo arbitralna, znająca swój przedmiot raczej powierzchownie, poniekąd szły o wiele trudniej. Dzieci były przyzwyczajone do tego, by na polecenia, propozycje i wskazówki reagować postawą oporną. Karność wywalczona przez moją poprzedniczkę okazała się jedynie formą zewnętrzną, ulotniła się też szybko. Z lekcji wracałam więc zmęczoną, zniechęconą, a nieraz i z uczuciem żalu do małych winowajczyń. Co dziwiło i bolało najwięcej — był fakt, że moje innowacje, jak na przykład wprowadzenie gier, zabaw, piosenek, ciekawych bajek, do zrozumienia których trzeba było nauczyć się w przeddzień potrzebnych słówek i które wywoływały tyle radości i zadowolenia w klasach pani Zelmy, tutaj nie dawały wyników. Dziewczynki wołały pracę szablonową, pragnęły, by dano im spokój i pozwolono mniej lub więcej biernie siedzieć w ławkach.

Wojna

Półtora roku nie byłam w klasie. Wysłałam za męża. Małe nasze gospodarstwo było bardzo nieskomplikowane, gdyż obiady jadalśmy u rodziców moich. A jednak absorbowało ono mnie mocno. Lubiłam nakarmić głodną „paczkę” studentów, kolegów męża, który właśnie kończył swe studia w Instytucie Technologicznym⁴⁴. Schodziło się to całe bractwo do nas wieczorami — bądź dla wspólnego przygotowania się do egzaminów, bądź to po to, by omówić wiadomości, jakie nadchodziły z frontu. Wojnę Tomsk odczuł stosunkowo mało. Ten i ów z dawnych kolegów zabaw dziecinnych został powołany do wojska. Z rzadka nadeszła smutna wieść o śmierci. Formowały się komitety pań, które wspólnie szyły bieliznę dla żołnierzy. Później zaczęto przywozić rannych i zaludniać nimi istniejące i nowopowstające szpitale. Na ogół jednak życie płynęło prawie normalnym trybem. Czytając wiadomości z placu boju, nie wyobrażał sobie człowiek jednak prawdziwego oblicza wojny. Zdarzały się

.....

⁴⁴ Instytut Technologiczny — Tomski Politechniczny Uniwersytet.

chwile, gdzie odczuwałam wyraźne rozdwojenie dążeń i przekonañ. W domu u rodziców okres oblężenia Przemyśla, potem zaś jego upadek był czasem poważnej trwogi i zasmucenia. Gdy zaś do nas wpadła nasza zwykła „banda” z okrzykami żywej radości: „*Peremyśl wzięty!*”⁴⁵, usłyszałam w przedpokoju przyciszony głos Włodzimierza:

— Cicho! Nie krzyczcie o tym! Pamiętajcie, że żonę moją to martwi.

— Ot, tobie masz! — zmartwił się wesoły zawsze Żenia Krasnoszczokin. — Cemuż to miałyby jej zrobić przykrość? Im więcej zabierzemy, tym pręcej skończy się wojna i może nie zdążą ciebie zabrać do wojska.

Skończyłam kilkumiesięczne kursy dla siostr pielęgniarek i rozpoczęłam pracę w szpitalu dla jeńców. Musiałam jednak zrezygnować z niej, bo urodziła się nasza mała Tereska. Opieka nad dzieckiem, karmienie jej w regularnych odstępach czasu, szczególnie obawa, by nie przynieść do domu jakiej infekcji ze szpitalu, zrobiły swoje. Podjęłam się natomiast kilku godzin lekcji języka niemieckiego w młodszych klasach męskiego gimnazjum realnego. Zajęcie to uważałam za tymczasowe, jedynie na czas wojny i nieobecności męża, który został wysłany do wojskowej szkoły inżynierskiej. Bezczynność męczyła, większość koleżanek wyjechała na studia lub pracowała. Mała moja była tak spokojna i zdrowiutka, że zupełnie nie absorbowwała poza ustalonymi godzinami posiłków, kąpieli i wynoszenia na spacer. Zresztą, dziadkowie, z którymi zamieszkałam razem po wyjeździe Włodzimierza, opiekowali się czule, bywali nawet nieraz formalnie zazdrosnymi o jej względy.

Z chłopcami praca od razu potoczyła się gładko. Nie było tam zachwytów, uwielbień i nadszakiwań, jakimi darzyły życzliwe klasy szkoły żeńskiej w swoim czasie. Były natomiast szczere, pogodne i serdeczne stosunki. Lubiliśmy

45 Ros. *Перемысль взят!* ‘Przemyśl wzięty!’.

.....

nasze wspólne godziny. Dyrektor, zacny pan Pigulewski, trochę krzywił się na wybuchy śmiechu i hałas, jaki dolatywał z klasy pod koniec lekcji, kiedy to urządzaliśmy sobie zabawy albo śpiewaliśmy wesołe piosenki, ale nie przeszkadzał. Któregoś dnia na takie zakończenie lekcji wpadł wizytator z kuratorium. Bawiliśmy się właśnie w „*Adam hatte sieben Söhne*”⁴⁶ (coś w rodzaju naszej gry *Ojciec Wirgiliusz*). Z olimpijskim marsem na czele⁴⁷ przyglądał się naszym harcom. Po lekcji zaś zaprosił mnie do gabinetu dyrektorskiego i zaczął udzielać reprimendy. Mówił o powadze szkoły, szacunku do nauczyciela i pracy, obniżaniu swego autorytetu przez lekkomyślnych nauczycieli itd. Słuchałam na razie zdetonowana, zafrasowana. Co tu robić? Tak dobrze było dotychczas, tyle radości dostarczały chłopakom zabawy i naprawdę pomagały w nauce. Jeżeli zabronią mi tego — lekcje stracą wszelki urok zarówno dla dzieci, jak dla mnie samej.

Gdy po raz drugi usłyszałam zwrot „lekkomyślni nauczycieli” uczułam nagły przypływ gniewu i od razu odzyskałam cały swój tupet. Śmiało spojrzałam w oczy tęgiemu jegomościowi o obwisłym podbródku.

— Dobrze! Mogę zrezygnować z zabaw. Ale w takim razie trzeba zmienić cały system. W szkole Berlitz⁴⁸ w Lozannie największy nacisk kładziono na czasowniki i wprowadzano je właśnie za pomocą takich gier. System genewski zaś w pierwszym roku nauczania wymaga gier i piosenek przez przeszło połowę godziny lekcyjnej. O ile teraz w połowie roku zmienię system — zupełnie nie ręczę za skutek. Proszę dać mi na piśmie zarządzenie zmiany systemu i może wskazać, dlaczego metoda Berlitz jest wadliwa. Będę za to bardzo wdzięczna. Jak tylko będę w Szwajcarii, będę mogła dyskutować z Berlitzem o tym, opierając się na powadze pana wizytatora.

.....

⁴⁶ Niem. ‘Adam miał siedmiu synów’.

⁴⁷ Na czele — na czole.

⁴⁸ Maksymilian Delphinus Berlitz (1852–1921) — twórca systemu nauczania języka obcego, a następnie założyciel szkół językowych w całym USA i wielu krajach za granicą.

O dziwo! Nadęta, skrzywiona fizjonomia wizytatora w czasie mej tyrady zupełnie zmieniła wyraz. Zjawił się uśmiech, patrzył dobrotliwie, a głos brzmiał już zupełnie po ojcowsku, gdy mówił:

— Ależ, kochana pani, gdzieżbym chciał krytykować ten system. Uważam, że stosuje go pani prześlicznie. Obawiałem się tylko, czy... tego... czy nie męczy on zanadto nauczyciela, a raczej takiej młodziutkiej, miłej nauczycielki. Słowo daję, zazdrościć muszę pani uczniom. Żeby oni tylko nie przemęczyli pani, kochane dziecko.

Rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie. Pan wizytator nigdy nie dowiedział się, że stosowałam swój własny system, niewzorowany na nikim. Oparty on był jedynie na pragnieniu uprzyjemnienia dzieciom pracy. Chciałam uniknąć znużenia, jakie wyniknąć musi z wielokrotnego powtarzania wyrazów obcego języka, których wszak koniecznie trzeba nauczyć się „na pamięć”. Nie przyznałam się nikomu z kolegów, że nigdy przedtem nie słyszałam o żadnym systemie genewskim i nie znałam osobiście twórcy metody Berlitz’a z tej prostej przyczyny, że wtedy już nie żył. Przesłuchiwałam podczas przerwy w podróży jedynie parotygodniowy kurs języka francuskiego w Lozannie, gdzie największy nacisk kładziono wcale nie na metodykę, lecz na dobrą wymowę. Wystąpieniem swoim zyskałam sobie jednak wielkie uznanie i później powtarzano mi zdanie wizytatora, który w innych gimnazjach mawiał:

— Radzę kiedyś przyjrzeć się, jak w drugiej realnej szkole wprowadzaną jest w życie metoda genewska. Jeżeli chodzi o zrozumienie i opanowanie czasowników, nie daje się ona niczym zastąpić.

Na uniwersytecie

Na uniwersytet trafiłam właściwie przypadkowo. Zamażpójście, potem urodzenie się Tereski, zdawałoby się, zupełnie przesunęło punkt ciężkości mego życia do innego ośrodka. Pracę w szkole traktowałam jako miłą rozrywkę. Naprawdę zaś pochłaniało wszystkie myśli i uczucia dziecko. Książka, koncerty, nawet teatr, który zawsze kochałam żywiołowo, stawiając go ponad

wszelkie inne zainteresowania — wszystko to odeszło gdzieś na dalszy plan. Każdy ruch dziecka, wypowiedziany przezeń dźwięk artykułowany, drobna czynność świadcząca o rodzącej się myśli i samodzielności, stanowiły dla mnie w tym okresie zdarzenia o olbrzymim znaczeniu. Krąg znajomych, z którymi utrzymywałam bliższe stosunki, zacieśnił się do kilku rozmówianych w swoich dzieciach matek, z którymi godzinami mogłam dzielić się przeżyciami wywołanymi przez obserwowanie dzieciny. Mała była dzieckiem pogodnym, spokojnym, doskonale umiejącym bawić się samodzielnie. Toteż gdy zdałam sobie sprawę z tego, że półtoraroczna panna najlepiej potrafi wypełnić swój czas bez interwencji dorosłych, sięgnęłam znów po książki, które czytałam, siedząc niedaleko od córki i zerkając ciekawie na to, co ona robi.

Przerwa w pracy umysłowej sprawiła, że z pewnego rodzaju chciwością rzuciłam się na bibliotekę ojca. Szopenhauer⁴⁹ był dla mnie prawdziwym objawieniem. Być może jemu zawdzięczam krytyczny stosunek do wad kobiecych, który pozostał we mnie już na zawsze. Bezpośrednio potem miejsce autora *Parerga i Paralipomena*⁵⁰ zajął słoneczny Włodimir Sołowiow⁵¹.

Wróciły do życia długie gawędy z ojcem o przeczytanych dziełach. Przez kilkanaście miesięcy ojczulek zadowalał się⁵² rozmowami z dziedziny pedologii, które wyłącznie pochłaniały moją uwagę. Któregoś wieczoru przygotowywał właśnie ojciec swój wykład na dzień następny i przeczytał mi kilka urywków.

— Jeszcze, tatuśku! To ogromnie ciekawe.

⁴⁹ Arthur Schopenhauer (1788–1860) — niemiecki filozof, przedstawiciel pesymizmu w filozofii.

⁵⁰ *Parerga i Paralipomena* — zbiór refleksji filozoficznych Arthura Schopenhauera opublikowany w 1851 r.

⁵¹ Włodimir Sołowiow (1853–1900) — rosyjski, prawosławny myśliciel i poeta, przedstawiciel rosyjskiego renesansu religijno-filozoficznego i słowianofilski mesjanista, nazywany „filozofem wiecznej kobiecości”.

⁵² Zadowalać się — dawna forma zadowalać się.

— A czemu to moja pani nie miałyby wysłuchać jutro wykładu w całości? Przyjdź, córuś, do audytorium i siądź tak, bym mógł cię widzieć. Sprawi mi to wielką przyjemność.

Byłam nazajutrz i na wykładzie ojca, i na błyskotliwej, porywającej swą formą zewnętrzną prelekcji prof. Tellberga⁵³, wykładającego historię prawa rosyjskiego. Zaczęłam uczęszczać regularnie. W gromadzie słuchaczy i słuchaczek — prawników z pierwszego roku — od razu poczułam się dobrze. Studentek było zresztą bardzo niewiele, zaledwie kilkanaście.

W jednym z pierwszych tygodni pobytu w murach uniwersyteckich zapadła w naszej grupce uchwała skrupulatnego unikania wszystkiego, co mogłoby bodaj przypominać flirt lub romans z kolegami. Stosunki nosiły charakter naprawdę koleżeński, jakkolwiek pod tą osłoną zrodziło się niejedno szczere i gorące uczucie, łączące dobrą, zdrową przyjaźń i współpracę z przeżyciami bardziej osobistymi. W okresie wiosennego przygotowywania się do egzaminów wola do pracy brała jednak górę nad chęcią do uzewnętrzniania innych uczuć, które wpływały na łączenie się takimi właśnie, a nie innymi gromadkami do wspólnej nauki.

Jednym z silniejszych przeżyć był egzamin składany u rodzono ojca, zakończony w dodatku stopniem niedostatecznym. Wywołało to wielkie oburzenie u nas w domu. Do obiadu siadłam z czerwonymi od płaczu oczami, tym bardziej że starszy mój brat zdążył natychmiast po powrocie moim z niefortunnego egzaminu zaopatrzyć podręcznik ojca w ponury napis dantejskiego piekła: *„Lasciate ogni speranza voi ch'entrate”*⁵⁴. Leonek zerkał ukradkiem szelmowskim swym spojrzeniem na wszystkich domowników spożywających posiłek w ponurym milczeniu. Przyczynił się do niego jeszcze i ten fakt, że matka moja zadysponowała w tym dniu wyłącznie potrawy bardzo nie lubiane przez ojczulka. Po kilku miesiącach egzamin z tegoż przedmiotu (filozofii prawa) złożyłam u innego profesora

⁵³ Gieorgij Gustawowicz Telberg (1881–1954) — rosyjski prawnik i działacz polityczny. Minister sprawiedliwości w rządzie Kołczaka; profesor w Katedrze Historii Prawa Rosyjskiego Uniwersytetu Tomskiego.

⁵⁴ Wł. ‘Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie’.

z wynikiem celującym. Bożyszczem studentów był profesor Nowombergski⁵⁵, człowiek o zupełnie nieprzeciętnych zdolnościach narracyjnych. Umiał on wytworzyć nastrój łączący niewątpliwy szacunek do niego z wielkim zaufaniem i serdecznością. W zawiłych sprawach osobistych szliśmy do niego właśnie po radę i wskazówki.

— ... On nie tylko nie podziela moich zainteresowań i dążeń, ale wyraźnie wrogo usposobiony jest do moich studiów w ogóle. Wychodząc za niego za mąż, nie miałam osiemnastu lat. Teraz widzę swoją omyłkę... Z Arkadiuszem rozumiemy się doskonale. Łączą nas wspólne ideały, możliwość wspólnej pracy w przyszłości.

— Moje drogie, kochane dziewczątko. Tak bym chciał móc dać pani tę radę, po którą pani do mnie przyszła. Odejść od męża, wziąć rozwód i połączyć swe życie z tym przemiłym i, nawiasem mówiąc, tak ładnym młodzieńcem. Tylko, widzi pani, takich momentów jak ten, co pani przeżywa obecnie, może być w życiu — zarówno pani, jak i jego — bardzo dużo. Dziś odpowiadacie sobie i snujecie wspólne idealne plany. Dalej każde z was rozwijać się będzie swoją własną, jemu przeznaczoną drogą. I niezawodnie nastąpi chwila, kiedy jednemu z was znów wyda się, że omylił się, że tamta nowa istota, z którą zetknęło was życie, to jest naprawdę ów człowiek wymarzony, dla niego przeznaczony. A dalej zaczyna się śliska droga. Proszę mi wierzyć, że człowiek, który wyrzeka się możliwości osiągnięcia szczęścia osobistego przez zamianę partnera, zawsze wygrywa na tym. Przekona on się prędzej czy później o tym i osiąga wyżyny, do których nie doszedłby nigdy, gdyby dał folgę instynktom... — nie obrazi się pani na mnie?... — zoologicznym przybranym w piękne pióra niby to wspólnego zrozumienia i ideałów. A w panią ja od jej dzieciństwa wierzę i wydaje mi się, że na coś lepszego zasługuje niż na kontredans ze zmianą tancerzy. Proszę szukać siły w sobie samej i nie mieć żalu do mnie za szczerość! Do widzenia, moje dziecko.

Aczkolwiek z trudem, z wielkim buntem wewnętrznym przyznałam mu rację i nie żałowałam tego później nigdy.

55 Nikolai Nowombergski (1871–1949) — historyk medycyny.

Lubiliśmy wykłady profesora Anasowa⁵⁶ zmuszające do myślenia i dociekań. Po jednym z nich tłumnie obścapiłmy prelegenta.

— Ależ proszę nam dopowiedzieć do końca, co jest lepszym, słuszniejszym. Profesor tak nam sprawę przedstawił, że trudno wywnioskować, gdzie jest prawda.

— To sobie, kochani moi, zaangażujcie guwernantkę. Taka zawsze i nieomylnie wie, gdzie jest prawda i umie ją innym narzucać. Ja mogę najwyżej wskazać ścieżki, na których jej szukać będziecie. A czy znajdziecie i ilu z was znajdzie, to już nie moja rzecz. Niańką nie jestem.

Seminarium prawa karnego. Głosem spokojnym, nieco monotonnym mówi profesor o zagadnieniu odpowiedzialności w prawie karnym poruszonym w referacie jednego z kolegów. Słuchamy jego zdania o teorii Pietrażyckiego⁵⁷, notujemy tytuły prac, które należy przestudiować dodatkowo. Myśl ucieka uparcie do miłych chwil wczorajszej wycieczki za miasto. Raz po raz wraca wspomnienie o serdecznym spojrzeniu pewnych ciemnoszafirowych oczu i głosie, który z taką ciepłą nutką zapewniał, iż dzieje się z nim obecnie coś niezwykłego, czego nigdy dotąd nie przeżywał. Wiem, że wystarczy z lekka odwrócić oczy, by zobaczyć subtelny profil tego, kto zamącił spokój i zmusza do roztargnienia. Nie robię tego jednak. Nie patrzy i on. Jesteśmy w murach uniwersyteckich i tu nas obowiązuje etykieta wzajemnej obojętności. A szkoda... Taki ładny, tak bardzo go lubię...

Zgodnie z wymogami polityki kryminalnej będziemy traktować odrębnie nieletnich. Stanowią oni zupełnie swoisty typ przestępcy, o charakterze, który nie zdążył jeszcze definitywnie ukształtować się i skostnieć. Uwaga całkowicie skupia się

⁵⁶ Właściwie: Josif Isajewicz Anosow (1880–1934) — od 1916 r. profesor prawa karnego na Uniwersytecie Tomskim, od 1919 r. dziekan Wydziału Prawa. Po klęsce Białego Ruchu na Syberii był zmuszony opuścić Tomsk.

⁵⁷ Leon Pietrażycki (1867–1931) — polski prawnik, socjolog prawa, etyk; twórca psychospołecznej teorii prawa.

na temacie. Przestaje obchodzić otoczenie, przeżycia osobiste. Ważnym jest jedynie to, o czym mówi prof. Anasow. Budzi się coś nowego, coś, co ma znaczenie zasadnicze, co wywrze wpływ na całe życie. Po raz pierwszy jasno zdaje sobie sprawę z tego, iż należyte potraktowanie tego zagadnienia — postępowania z „nieletnim przestępcą” — jest sprawą, od której zależy całość etyki społecznej, polityki kryminalnej. Po wykładzie idę do profesora. Mówimy długo. Nie zgadzam się z niektórymi poglądami jego. Wydaje mi się, że jest inaczej. On zresztą wcale nie żąda, bym podzielała jego punkt widzenia.

— Proszę popracować nad tym zagadnieniem, przemyśleć je głębiej. Ja osobiście na to dotychczas nie znalazłem czasu. Ale chętnie służyć, czym mogę.

Wykłady prof. Sergiusza Hessena⁵⁸ dawały szczególnie dużo. Audytorium bywało zawsze szczelnie natłoczone. Cyklu o Kancie słuchali nie tylko studenci wydziału prawnego i humanistycznego, ale często i medycy. Widać było zwykle nawet kilka mundurów Instytutu Technologicznego. Wzruszający widok przedstawiał sobą sędziwy starzec Grigorij Nikołajewicz Potanin⁵⁹, senior sybiroznawstwa, który również zjawiał się od czasu do czasu na te wykłady. Woźny Jegor nie mógł się nadziwić, kilkaset ludzi siedzi tak cicho i sam profesor też mówi niegłośno. Nasz zdolny, błyskotliwy ulubieniec Leon Arnoldi klarował mu, że dzieje się tak dlatego, iż każdy słuchacz na wykładzie tym czuje, jak mu rośnie i polepsza się mózg, a wtedy człowiek siedzi bardzo cicho. Żywa zaś jak iskra Wieroczka W. przerwała mu niecierpliwie:

— Nie słuchajcie wy go, Jegor Iwanowicz! Nie o mózg wcale chodzi. Na wykładach prof. Hessena coś w sercu zmienia się, a to jest najważniejszym.

Dużo godzin zabierały mi „wagary” na wykłady wydziału lekarskiego. Po zetknięciu się na godzinach medycyny sądowej z prosektozium wciągnęłam się do atmosfery panującej wśród medyków, głęboko zainteresowałam się ich pracą i nieraz zastanawiałam się nad tym, czy nie przetrzymać się oficjalnie do

⁵⁸ Sergiusz Hessen (1887–1950) — polski i rosyjski pedagog i filozof.

⁵⁹ Grigorij Potanin (1835–1920) — rosyjski podróżnik, geograf i etnograf.

tej gałęzi wiedzy. Powstrzymywało mnie z jednej strony to, że część wykładów prawniczych naprawdę mocno interesowała, jak na przykład prawo karne i proces, po drugie zaś pewne zobowiązania wobec Włodzimierza, który był wielkim przeciwnikiem mego pobytu na uniwersytecie i podczas jednego urlopu swego spędzonego w Tomsku dał się przekonać do względnej zgody na moje dalsze studia jedynie argumentem, iż wydział prawniczy zajmuje mi minimum czasu. Przekonał się, iż nasza mała nie była nic a nic pokrzywdzona przez to, iż kilka godzin dziennie byłam poza domem.

Zdawałam sobie jasno sprawę z tego, iż będąc słuchaczką medycyny, musiałabym zanurzyć się z głową w naukę. Musiałabym zrezygnować z ulubionych popołudniowych godzin spędzanych z Tereską. Nie byłabym również w stanie zarobkować, co było koniecznym, gdyż tego, co mógł przysyłać mi mąż, zupełnie nie wystarczało na utrzymanie moje, dziecka i niańki. Wobec tego, iż małżeństwo moje w swoim czasie spotkało się z ujemną reakcją ze strony moich najbliższych, zależało mi specjalnie na utrzymaniu swej niezależności materialnej.

Pozostałam więc „juristką”, uciekając w wolnych chwilach i przerwach pomiędzy niektórymi wykładami, niekiedy zaś w zastępstwie takich godzin, jak prawo wekslowe czy skarbowe do klinik, gdzie z zapartym oddechem przyglądałam się pracy kolegów i słuchałam wykładów. Nie opuściłam prawie żadnej godziny psychiatrii i chorób nerwowych, korzystając poza tym z uprzejmości prof. Toporkowa⁶⁰, który poświęcił mi niejedną dodatkową godzinę na omówienie indywidualnie tego, co było niejasnym, i uzupełnienie niezbędnych wiadomości podstawowych. Mocno przyczyniła się do tego okoliczność, że miał on pewne trudności z językiem niemieckim. Mogłam mu więc odwdziżyć, czytając razem z nim bądź wielkie dzieła z dziedziny jego specjalności, bądź artykuły ukazujące się w fachowych czasopismach niemieckich.

⁶⁰ Nikołaj Nikołajewicz Toporkow (1873–1935) — neurolog, psychiatra. Od 1908 r. dyrektor Tomskiego Szpitala Psychiatrycznego. Od 1912 r. profesor Katedry Nauczania Systematycznego i Klinicznego Chorób Nerwowych i Psychicznych na Uniwersytecie Tomskim. W latach 1918–1919 wykładał kurs psychopatologii sądowej studentom medycyny i prawa.

.....

Wiele godzin spędziłam też na wykładach chorób dziecięcych prof. Timanowa, przy czym posunęłam się nawet do tego, iż stanęłam do egzaminu z tego przedmiotu w zastępstwie pewnej niezbyt przygotowanej medyczki i otrzymałam stopień bardzo dobry. Wywołało to zresztą głębokie oburzenie mego ojca, któremu musiałam przyrzec, iż nigdy więcej nie popełnię podobnie hańbiącego *alma mater*⁶¹ czynu.

Przez dwie zimy uczyłam języka niemieckiego w starszych klasach szkoły kolejowej. Trudności wypływające z braku odpowiedniego podręcznika i znikomej liczby godzin lekcyjnych tygodniowo miały jako skutek to, że uczniowie moi nauczyli się, moim zdaniem, zbyt mało, co mnie bardzo martwiło. Władze szkolne jednak okazały absolutny brak zainteresowania przeszkodami, na które zwracałam im uwagę. Najmilszym wspomnieniem z tego okresu pozostały mi godziny, podczas których uczyłam nie swego przedmiotu, tylko zastępowałam chorego nauczyciela geografii. Wtedy osiągnęłam *maximum* zżycia się z klasą i satysfakcję płynącą ze świadomości, iż uczniowie interesują się lekcją, korzystają z niej i lubią ją. W ciężkim dla mnie okresie, gdy otrzymałam z frontu lakoniczne powiadomienie o tym, iż mąż mój „*propał bez wiesti*”⁶², okazali mi młodzi moi uczniowie bardzo dużo współczucia i serca. Przyszłam do nich nazajutrz po otrzymaniu tej wiadomości i zmusiłam się do prowadzenia lekcji w sposób niczym nie różniący się od poprzednich. Chłopcy również nie dali poznać po sobie tego, iż zostali uprzedzeni przez dyrektora o moim przeżyciu. W kieszeni płaszcza swego znalazłam zaadresowaną na moje imię kopertę z adnotacją: „Prosimy przeczytać w domu”. Wewnątrz zaś było kilka zdań, w których zapewniali mnie, że rozumieją i dzielą mój smutek, oraz prośba, bym pamiętała o tym, jak mnie lubią. Uczyłam ich jeszcze przez kilka tygodni aż do chwili ukończenia przez nich zakładu naukowego.

.....

⁶¹ Łac. *alma mater* ‘matka karmicielka’ — uroczyste określenie uczelni wyższej.

⁶² Ros. *пропал без весту* ‘przepadł bez wieści’.

W ciągu zaś następnej zimy nie pracowałam w klasie. Zanurzyłam się w pracy oświatowej organizujących się w Tomsku ośrodkach YMCA⁶³. Zakładało się punkty dożywiania dla młodzieży uniwersyteckiej, kursy języka angielskiego, półkolonie i świetlice dla dzieci Polaków uchodźców. Po raz pierwszy zetknęłam się wtedy z jaskrawą nędzą. Dla stałej mieszkanki Syberii, gdzie sprawa aprowizacji ludności przedstawiała się wprost luksusowo, gdyż wieśniak miewał codziennie świeże pszeniczne bułki na stole, gdzie mleko kupowano wiadrami, cena zaś mięsa wynosiła kilka kopiejek na funt, pojęcie ubóstwa sprowadzało się do przejawów biedy studenckiej, kiedy koledzy nieraz rezygnowali z obiadu, mieli jednak zawsze pod dostatkiem herbaty z mlekiem i chleba. Zresztą nędza akademicka z jej nieodłącznymi towarzyszami — dobrym humorem i niezłomną nadzieją na lepszą przyszłość — ma w sobie swoisty urok. To zaś, co zobaczyłam w barakach dla uchodźców, było wielkim wstrząsem. Toteż akcja YMCA, która istotnie hojnie zaopatrywała potrzeby biedaków, pochłaniała całą energię i ciągnęła bardzo.

Złoty mur z lekka tylko poruszanych wiatrem gałęzi brzoźowych na tle błękitnego nieba bez chmurki. Gdzieniegdzie jaskrawe krzaki jarzębiny. Sierpniowe słońce dobrze jeszcze grzeje, a baraki dla uchodźców są położone o kilka kilometrów za miastem. Trzeba jednak koniecznie pójść tam i uprzedzić nasze wychowawczynie kolonij, że jutro przyjedzie lekarz. Niech więc nie oddalają się zbyt z dziećmi i w ogóle przedstawia mu swe troski i dezyderaty. Przyspieszam kroku. Nie byłam w barakach przeszło tydzień. Słyszałam tylko, że w międzyczasie przybył nowy transport „bieżeńców”⁶⁴. Koło tych ciemnych sosen trzeba skrócić na lewo i jest się prawie na miejscu. Czyżbym

⁶³ Ang. Young Men's Christian Assotiation 'Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej' — międzynarodowa ekumeniczna organizacja propagująca program oparty na wartościach chrześcijańskich. Głównym celem organizacji jest służenie harmonijnemu rozwojowi fizycznemu, umysłowemu i duchowemu.

⁶⁴ Ros. беженец 'uchodźca, uciekinier'.

.....

się pomyliła jednak? Nie pamiętam tych drobnych pagóreczków. A może to piwnice? Tylko skądże? Co robiłyby piwnice, o ile w pobliżu nie ma domów? A jednak cała powierzchnia dobrze znanej mi polanki pokryta jest kopcami wysokości $\frac{1}{2}$ –1 metra. Pomiędzy nimi krzątają się postacie ludzkie. Wyjaśniło się, że uchodźcy przybyli ostatnio nie wszyscy zmieścili się w barakach. Część zresztą od razu nie zechciała się tam lokować. Wykopali sobie głębokie ziemianki, które przykryli darniną. Wstawili okienka wyjęte ze starych wagonów kolejowych, pobudowali niewielkie piecyki z cegły i zamierzają w ten sposób spędzić zimę.

— Czyż nie lepiej wam było, matko, razem ze wszystkimi w barakach? Choć ciśnieć, ale za to cieplej, weselej. I dzieci dopatrzyć łatwiej, bo tam i szkołę, i świetlicę urządzimy.

— Że cieplej, paniusiu, to być może. Ale Bóg da i tutaj nie zamrzniemy. Drzewa, chwalić Boga, pod dostatkiem naokoło. A o wesołości, to ja inaczej myślę. W ciasnocie nie wesołość, tylko złość, gniew i grzech wychodzą. My, ludzie spokojni, i do tej niezgody nie pchamy się.

— Ale dzieci? — próbuję znów. Kobięcina patrzy na mnie długo, wreszcie mówi:

— Nie gniewajcie się, moja panienko złota, że po swojemu otwarcie powiem. Ale skąd my możemy wiedzieć, jaka tam będzie ta szkoła i świetlica. Może dobra, gdzie po bożemu nauczą nie tylko czytać albo rachować, ale jak uczciwie sumiennie życie przeżyć, żeby nikogo nie skrzywdzić. To do takiej szkoły i po śniegu pobiegną dzieciśka. A nuż, uchowaj Boże, będzie taka szkoła, że tylko głowa zmadrzeje, a dusza w niej uschnie, dzieci Boga odstąpią, rodziców nie uszanują, tylko dla siebie żyć zechcą. Od takiej szkoły trzeba dzieci daleko trzymać. Bo na Sądzie Ostatecznym ja Panience Najświętszej i w oczy nie ośmielę się popatrzeć. „Sama — powie — na zgubę dzieci posyłałaś”. A my tu w swej norce cichusienko, po dobremu przesiedzimy, aż nasza bieda skończy się i wolno będzie do ojcowizny wracać.



Ilustracja 8. Legitymacja studencka Natalii Hanowej,
studentki III roku prawa na Uniwersytecie Tomskim



Ilustracja 9.
Natalia po uzyskaniu
stopnia doktora
obojga praw
(wrzesień 1939 r.)

Tułaczka

.....

Fala uciekinierów przed zbliżającą się Czerwoną Armią zaniośła tysiące ludzi na wschód. W ciągu kilku godzin musiałam zebrać najniezbędniejsze rzeczy i wraz ze swą kruszyną wyjechać z pracownikami YMCA.

Eszelony¹ Czechów, Misja Amerykańska, przedstawicielstwa państw obcych przy rządzie Kołczaka², ludność cywilna, której mogły grozić represje ze strony bolszewików za działalność polityczną — wszystko to porusza się w jednym i tym samym kierunku. Dopychają jedni drugich, spędzają wspólne chwile i godziny, jedna grupa wyprzedza drugą, potem znów spotykają się ze sobą, by wkrótce na nowo rozstać się. Pociągi posuwają się niezmiernie wolno. Jedna lokomotywa podciąga kolejno naprzód kilka pociągów. Nieskończenie długo węże wagonów stoją nieraz tygodniami na bocznych torach. Nigdy nie wiadomo, kiedy następne posunięcie ani jak daleko podwiozą.

Z wąskich okienek wagonów towarowych, w których urządziliśmy sobie mniej lub więcej wygodne *locum*, widać niekiedy makabryczne obrazki. Na słupach telegraficznych wiszą ludzie, do ludzi już niepodobni..., stosy trupów, zgłiszcza...

Parę miesięcy trwała podróż, która w normalnych warunkach odbywała się w kilka dni. Wreszcie, mimo troskliwych starań

.....

¹ Eszelon (fr. *echelon*) — nazwa wojskowej jednostki transportowej, jak kolumna wozów, samochodów lub wagonów kolejowych z zaopatrzeniem.

² Aleksander Kołczak (1874–1920) — rosyjski oficer marynarki wojennej w stopniu admirała i badacz polarny. W latach 1916–1917 dowódca Floty Czarnomorskiej. W okresie rosyjskiej wojny domowej był jednym z głównych dowódców antybolszewickiego ruchu. Na skutek zdrady aresztowany przez bolszewików; stracony 7 lutego 1920 r. w Irkucku.

*mister*³ Alexandra, kierownika naszej placówki YMCA, zaczęło coraz bardziej braknąć żywności. Trzeba było zapuszczać się na nartach na dalekie wędrówki do odległych wsi, by za ubranie, bieliznę itd. zdobyć nieco produktów.

Po kilku godzinach męczącej drogi dobrnęliśmy któregoś dnia do wielkiej, typowo syberyjskiej, rozległej wsi o solidnych, zażywnych domkach i obejsiach. Z daleka już uderzyła dziwna cisza i bezruch. Nie dymił ani jeden komin. Na ulicach i podwórzach biel śniegu ciągnęła się nienaruszona, bez kolein lub śladów stóp. Nie szczekały psy ani wyłaziły ze swych bud. Gdy na pukanie do drzwi nikt nam nie otworzył, spróbowaliśmy zajrzeć przez okna, ale szyby zasnuwane gęstym szronem strzegły tajemnicy. Mój towarzysz podróży zdecydował się pchnąć drzwi, które okazały się niezamkniętymi i ustąpiły pod naporem jego ręki. Spojrzał i cofnął się natychmiast. Potem jednak wszedł sam, prosząc, bym zaczekała na dworze. To samo przy drugiej, trzeciej, którejś tam z kolei izbie. Później zaglądałam i ja. Wreszcie w milczeniu ruszyliśmy dalej. W całej wsi nie było ani jednej żywej istoty — wszystko wymarło na tyfus plamisty. Leżeli na łóżkach, na ławach, wprost na białej, na Syberii zawsze idealnie czystej podłodze. Zwierzęta domowe widocznie zginęły z głodu w swych stajniach i oborach.

Na stacjach, przez które przejeżdżaliśmy, widać było ogromnie różnorodne ugrupowania ludzi. Raz byli to Czesi, to znowu partyzanci Kołczaka, w biało-zielonych kokardach na piersiach. Innym razem migwały czerwone gwiazdy pięcioramienne. Na dworze panował mróz dochodzący do 40 stopni Réaumure'a⁴,

³ Ang. *mister* 'pan'.

⁴ Skala Réaumura — skala termometryczna wprowadzona przez francuskiego fizyka René Réaumura, używana w Cesarstwie Rosyjskim i Królestwie Polskim. Według tej skali temperatura zamarzania wody to 0°, a wrzenia wody 80°. Zatem 1°C odpowiada 0,8°Ré.

.....

toteż każdy dążył do budynków stacyjnych. Tam w poczekalni spotykali się przedstawiciele najróżniejszych narodów i obozów politycznych, złączeni jednym pragnieniem: ogrzać się. Spoglądali na siebie z daleka, nieufnie, bo nikt nie wiedział, ilu jest tamtych i czy człowiek nie znalazł się w niewoli u przeciwnika.

Boże Narodzenie w tych warunkach miało szczególny urok. Dla Tereski urządzono małe drzewko. Do ozdoby jego przyczynili się wszyscy mieszkańcy wagonu. Robili to tym chętniej, że jeszcze przed tygodniem wydawało się, że dziecko nie przeżyje silnej gorączki i upiornego, szczekającego kaszlu, jaki zjawiał się wskutek przeziębienia. (Wyprawa moja na nartach do kopalni węgla w okolicy, skąd spodziewałam się otrzymać pomoc lekarską, co się zresztą nie udało, należy do najsmutniejszych moich wspomnień). Toteż łązy rozrzewnienia stały w oczach niejednego z nas, gdy mała na widok płonących świeczek i szopki, którą dla niej zmajstrował żołnierz czeski, próbowała pełna zachwytu całować to kłujące gałązki choinki, to siano, na którym leżało Dzieciątko, pracowicie wymodelowane ze świecy stearynowej.

— Małeńka, poproś Dzieciątko, żeby każdy z nas na drugi rok był w swej rodzinie, w swoim kraju — powiedział jeden z obecnych.

Dziewczynka spojrzała na niego poważnie:

— Ono śpi. Nie można budzić. Jak obudzi się, to mu Matka Boska powtórzy, co ty mówiłeś.

A Lenoczka, moja koleżanka z uniwersytetu, która w wagonie zaręczyła się z *mister Alexandrem*, dodała:

— Poza tym nie zawsze to się da pogodzić — swój kraj i swoją rodziną. Niech każdy z nas sam poprosi o to, czego pragnie.

Irkuck

Po dwuipółmiesięcznej drodze pociąg nasz dotarł wreszcie do Irkucka. Dworzec był przepełniony do ostatnich granic ludźmi, którzy tutaj wysiedli z wagonów i potem już nie mogli do nich wrócić. Zostały one bowiem przesunięte gdzieś indziej. Rwetes, niepokój, krzyki. Na bocznych torach setki wagonów natłoczonych uchodźcami. Dalej eszelony już nie szły. Po kilkudniowych staraniach i bieganiu *mister* Alexander oznajmił nam, że odtąd podróż będzie można odbywać już tylko indywidualnie, usiłując dostać się przebojem do odchodzących na wschód pociągów. Nie udało mu się uzyskać zgody na doczepienie do któregośkolwiek pociągu naszego wagonu, wobec czego będzie on musiał pozostać w Irkucku i stać będzie na bocznicy przez tydzień. Pocciwy Amerykanin obiecywał w dalszym ciągu w miarę możliwości opiekować się nami, zaznaczał jednak, że nie potrafi ręczyć za to, iż warunki, w jakich będzie się odbywała nasza wędrówka, okażą się zadowalającymi. Widziałam, jak dziesiątki ludzi odjeżdżali, stojąc na stopniach wagonów, kurczowo trzymając się poręczy, albo też leżąc na dachach wagonów. W tych warunkach, przy okrutnym mrozie, nie mogłam ryzykować życiem dziecka, które dopiero co przeszło ciężką chorobę. Pozostałam w Irkucku.

Wspomnienia z tego okresu układają się trochę chaotycznymi obrazami. Chodzę od domu do domu, starając się znaleźć nie mieszkanie już, nie pokój nawet, ale bodaj ką, gdzie pozwolono by ustawić kufer, a na nim ulokować małą. Wszędzie otrzymuję odpowiedź odmowną. Przeludnione są istotnie przedpokoje, kuchnie, łazienki, nawet klozety.

Nogi odmawiają posłuszeństwa, szukać zaś trzeba, bo zawiaadowca stacji zapowiedział, iż za parę dni wagon zabiera, gdyż potrzebuje go bardzo. Plebania przy kościele katolickim. Jakiś ksiądz otwiera drzwi. Po raz setny, a może tysięczny pytam o to samo. Wprowadza mnie do pokoju.

— Ależ pani zziębnięta i zmęczona jest strasznie.

.....

Za chwilę piję gorącą kawę, ksiądz Wańkowicz⁵ zaś w sąsiednim pokoju kogoś gdzieś posyła, pisze jakieś kartki, denerwuje się, wraca, żeby dolać mi smakowitego płynu. Gdy usiłuję dziękować, gniewa się:

— Patrzcie! Sine to, nędzne, a w salony chce się bawić.

Za kilka godzin jestem zainstalowana. Mieszkać będziemy w letnim domku ogrodowym na przedmieściu. Ściany są nieco za cienkie, ale oprócz dużego chlebowego pieca jest jeszcze i piecyk żelazny, który w ciągu pół godziny podnosi temperaturę w pokoju z -3°R (tyle wykazuje termometr rano, gdy się budzimy) do $+20^{\circ}$.

Mam pracę u notariusza. Ale już na drugi dzień podczas urzędowania robi mi się tak niedobrze, że odwożą mnie do domu. Tegoż wieczoru zostaję zabrana do szpitalu zakaźnego. Mam tyfus plamisty.

Choroba trwa długo. Przez tydzień⁶ przeszło odzyskuję przytomność tylko od czasu do czasu na krótką chwilę. Wtedy nieraz widzę postać w sutannie koło siebie. Raz jest w stule i komży, palą się świece. Gdy po kryzysie robi mi się lepiej, dowiaduję się, że ksiądz Wańkowicz wraz z grupą oddanych sobie ludzi nieustannie opiekował się nie tylko mną, ale przez kilka dni całym szpitalem. Podczas bombardowania bowiem Irkucka przez nadchodzącą armię sowiecką cały personel uciekł, pozostawiając chorych na łasce losu i apostolsko dobrego ojca Kazimierza.

.....

⁵ Ks. Kazimierz Wańkowicz (1879– po 1952) — dziekan irkucki; po 1945 r. powrócił do diecezji łódzkiej.

⁶ Ros. *через неделю* ‘po tygodniu’.

Nawet podziękować mu należycie nie mogłam. W kilka dni po moim wyjściu ze szpitalu on musiał uciekać. Dowiedział się o mającym nastąpić aresztowaniu jego. Zdążył jednak jeszcze umieścić Tereskę jako przychodzącą pensjonariuszkę do katolickiej ochronki mieszczącej się pod kościołem oraz zapewnić nam opiekę ze strony swych przyjaciół. Szczególnie mocno odczułam ją w dniu, gdy oficjalnie przeszłam z prawosławia na katolicyzm.

Znaleźć pracę jest trudno. Mój były patron notariusz siedzi w więzieniu. Jako niepracująca nie otrzymuję żadnego deputatu żywnościowego. Zapasy pozostawione przez YMCA stopniały szybko i obecnie są na wykończeniu. Wreszcie udaje mi się otrzymać zatrudnienie w charakterze stróża nocnego przy jakimś rozpoczętym budynku. Żeby nie bać się samotnego pobytu na ulicy w nocy, co dla tak młodej kobiety istotnie było niebezpiecznym, przywiązywałam sobie siwą brodę, nakładałam ciemne okulary i głęboko nasuwałam czapkę na czoło — i jakoś wytrzymałam przez całe 10 tygodni.

Na wiosnę, gdy głód dokuczał szczególnie mocno, bo wynagrodzenie stróżowskie wystarczało zaledwie na wykupienie najniezbędniejszych artykułów deputatu żywnościowego, postanowiłam sprzedać do teatru miejskiego swój wspaniały strój ukraiński, podarowany mi kiedyś przez matkę. Po pieniądze za niego trzeba było iść do Ludowego Komisariatu Oświaty. Przy tej okazji poznałam się⁷ tam z kilkoma osobami i w rezultacie otrzymałam pracę w biurze. Drobna kancelistka, potem zastępczyni protokolanta, który miał poważne trudności z ortografią rosyjską, nawet uproszczoną, przez krótki czas przydzielona do zakładu dla ociemniałych jako instruktorka gospodarstwa (ja i gospodarstwo!). Wreszcie zostałam członkiem Komisji Walki z Przestępczością Nieletnich. Tu poczułam się naprawdę w swoim żywiole.

7 Ros. *познакомиться* 'zapoznać się'.

Na przeżycie wraz z dzieckiem wynagrodzenie, jakie otrzymywałam, nie mogło jednak żadną miarą wystarczyć. Toteż przed urzędowaniem od godziny 6 do 8 rano musiałam uczyć czytać i pisać kandydatów *krasných kamandirów*⁸. Wieczorami zaś prowadziłam nauczanie języka angielskiego w uniwersytecie ludowym. Miałam tam grupę zaawansowanych. Z trzydziestu przeszło słuchaczy tylko kilku miało wykształcenie średnie, resztę stanowili absolwenci wyższych zakładów naukowych. Któregoś dnia na moją lekcję przyjechała grupa komisarzy. Posiedzieli, posłuchali, na odchodnym zaś jeden z nich rzekł:

— Tak! Nasz brat prędko uczy się. To nie burzuje. Jak będę miał urlop, przyjadę do was nauczyć się tego języka. Dwóch tygodni dla mnie z pewnością wystarczy.

W skład irkuckiej Komisji do Walki z Przestępczością Nieletnich wchodziły trzy osoby: prawnik, pedagog i lekarz. Do jej dyspozycji była instytucja patronatu, członkowie którego dokonywali wywiadów, badań wstępnych oraz sprawowali opiekę nad nieletnimi po sądzie w tych wypadkach, gdzie nie nastąpiło umieszczenie ich w odpowiednim zakładzie. Wzorowana była komisja na Sądzie dla Nieletnich istniejącym w jednym ze stanów USA.

Przez pewien czas byłam członkiem kompletu sądującego, później zaś przeszłam do pracy w patronacie. Dawało to bliższy kontakt z najciekawszym dla mnie materiałem — z nieletnimi nie w momencie rozprawy sądowej, tylko wcześniej i w okolicznościach, kiedy łatwiej było o poznanie ich psychiki. To, czego dowiadywałam się od swoich „przestępców”, było nieraz dla mnie wprost rewelacją i absorbowało do tego stopnia, że pracy swej oddawałam większą część doby.

— Więc tego ranka poszłicie sobie na przechadzkę. Dokąd najczęściej chodzicie?

⁸ Ros. *красный камандир* ‘czerwony dowódca; dowódca w Armii Czerwonej’.

— Lubimy siedzieć na moście kolejowym, kiedy nie ma pociągów i patrzeć w dół na łąkę. A jak idzie pociąg i strażnik nas przedtem nie zauważy, to most pod nami kołysze się zupełnie tak, jak okręt na morzu... Ja na morzu nie byłem, ale tak na pewno jest.

— A jak było tamtego ranka?

— Pociągów żadnych długo nie było. Siedzieliśmy z Griszą i Saszą i patrzyliśmy, jak to po łące chodzą krowy. A jeść chciało się, że strach. Tak ja i powiedziałem: „Ot, na dole mleko pasie się”. A Grisza powiedział, że nie tylko mleko, ale i mięso. Wtedy żartowaliśmy sobie, że i kotlety, i rosół, i gotowane mięso, i różne różności tam chodzą. A Sasza dodał, że i pieniądze tam chodzą. Jak on o tych pieniądzach powiedział, to już długo mówiliśmy, ile i co za taki pieniądz, co krowa kosztuje, można by kupić. A mnie do głowy przyszła myśl, że wszystko to chodzi, to prawda, tylko nie dla nas, a dla kogoś innego. I zły zrobiłem się. I oni też milczeli, i też źli byli, że ktoś to wszystko może mieć, a nie my. A potem Sasza powiedział, że jak mądrze zrobimy, to właśnie dla nas będzie. Zeszliśmy na dół, zaczęliśmy się bawić na łące blisko takiej jednej krowy, co najbliżej lasu była. I tak ją pomału do lasu wpędziliśmy. A później Griszka pobiegł do Chiryczka, co u nich na ulicy mięsem handluje, bo podobno zawsze dobry dla niego był przedtem. Ale tym razem to fałszywy okazał się, jak zbój krowę zabrał, pieniędzy nie dał, tylko tę krowę popędził do cyrkułu. Niedobry człowiek okazał się.

Zabawna mała dziewczynka o wyblakłych niebieskich oczach, sterczących brudno-blond włosach i zadartym nosku. Gruby plik papierów z dochodzeń policyjnych. Wszędzie mniej więcej ta sama historia. W dżdżysty wieczór rozlega się u drzwi pukanie czy dzwonek. Dziecinny głosik pyta, czy mieszka tu pani taka a taka. Wchodzi nasza mała.

— Och, jaka szkoda, że tu nie mieszka! Zgubiłam jej adres. Teraz już nie odnajdę. Ale jutro rano dla niej przywiozą tutaj masło, jaja i twaróg. I to po takiej niskiej cenie! Co tu robić, bo dałam wieśniakowi właśnie ten adres i obiecałam, że tu na niego czekać będą... A może państwo kupiliby?

.....

Zachwyceni gospodarze skwapliwie zgadzają się. (Walka o zdobywanie produktów żywnościowych stawała się w tym okresie już dość ostrą). Małą faktorkę pozostawiają na noc, a że jej ubranie — zupełnie zresztą porządne — jest przemoczone, ubierają ją w swoje. Rano gościa nie ma, a razem i pożyczonej sukienki. Swoje pozostawiła, także w gruncie rzeczy nie skrzywdziła nikogo. A za kilka dni w innej dzielnicy miasta — to samo.

— Dlaczego? Bo nie lubię tej samej sukienki długo nosić. Nakarmiłam zawsze dobrze. Kolację mam za darmo. Wszyscy grzeczni są. A przecie — tu uśmiecha się szelmowsko — jeszcze bardzo lubię oszukać starszych. Oni zawsze władzę mają, rozkazują, oszukują też często, wolno im karać dzieci. A tu ich się nabiera. Oj, jak ja się nieraz śmieję, gdy pomyślę o ich zdziwieniu na ranku⁹.

Przepustka udzielona mi przez komisję pozwalała swobodnie wchodzić do więzień i rozmawiać z każdym nieletnim. Personel więzienny niezbyt łaskawym okiem patrzył na gości błąkających się po ich terenach. Ale na papierze opatrzonym w potrzebne pieczęcie i podpisy stało wyraźnie: „dozwolony jest o każdej porze wstęp i rozmowa z nieletnimi, znajdującymi się w więzieniu”.

Wędruję w asyście ponurego strażnika po długich korytarzach równie ponurego gmachu. Mam w ręku kartkę, na której są numery potrzebnych mi cel. Przykuwa uwagę kilka okratowanych okienek wychodzących na korytarz, nie zaś na podwórze, tak że w celach tych panować musi półmrok i światło elektryczne nigdy nie jest wyłączane.

— To pomieszczenia gospodarcze, tylko chwilowo na czas remontu zajęte przez więźniów — informuje mnie dozorca.

Zaglądam i widzę wśród innych małą szczupłą postać. Bardzo niechętnie wywołuje mój przewodnik wskazanego chłopca. Ma lat 15–16, jest drobny, o regularnych rysach twarzy, orlim nosie, olbrzymich szafirowych oczach, które wydają się nienormalnie

.....

⁹ Ukr. *ранок* ‘rankiem’.

wielkimi na tej wychudłej twarzyczce. Z początku rozmowa nie klei się. Chłopaczyna jest nieufny, hardy, obcesowo pyta się, kto ja jestem i czy należę do „nich”. Strażnik patrzy spode łba, wrogo. Na szczęście ktoś go odwołał. Zostawił więc nas na przeciąg dziesięciu, piętnastu minut samych. Poszło łatwiej. Pawełek Mamontow jest synem oficera rozstrzelanego przez bolszewików. Matkę jego zgwałcono i ona sama odebrała sobie życie. Starszy brat to „sobaka”. Dla interesu zmienił przekonanie. On zaś — niech go zabiją, zadręczą — ale on pozostanie zawsze takim, jakim był. Cały aż drży z podniecenia i rwie się do czynu, do cierpienia, byle wywołanego przez jego protestującą postawę. Pytam go, czy niepotrzebne narażanie swego życia uważa za bohaterstwo, czy też sądzi, że lepiej zachować siły do czasu, gdy mogą być potrzebne.

— Pani tak jakoś do mnie mówi jak do swego, do bliskiego. Kto pani jest? — Schwycił za rękę. Oczy patrzą badawczo.

— Nie mylisz się. Jesteś mi bliskim. Brat mój, w tym samym wieku, co i ty, taki sam, ja i ty szlachetny, siedzi w więzieniu w Mariińsku¹⁰.

Szczupła, gorąca ręka chłopięca mocniej zaciska się na mej dłoni.

— Ja tak czułem. Przepraszam, że zrazu byłem grubiański, ale nie wiedziałem.

Dalej zwierza mi się, że przy najbliższej okazji uderzy w twarz naczelnika więzienia, bo niedawno powiedział, że każdy rosyjski oficer to był złodziejem i szubrawcem, a więc... przecież ojciec był oficerem. Ledwie udaje mi się uprosić, by zaniechał tego zamiaru.

— Mogę tylko obiecać, że nie zrobię tego do następnego przyjścia pani. Chcę panią jeszcze raz zobaczyć. Przyjdzie pani za tydzień?

Gdy jednak po sześciu dniach pytałam o Pawła, nie znaleziono go w spisach więźniów. Potem zaś poinformowano krótko, że umarł na zapalenie płuc. Jak było naprawdę, pozostanie jedną z milionów tajemnic więzienia sowieckiego. Kto by zresztą

¹⁰ Mariińsk — miasto w okręgu Tomsk nad rzeką Kija.

.....

chciał doszukiwać się na prośbę młodej idealistki, i to wyraźnie niepewnej pod względem przekonań, danych dotyczących losu jakiegoś tam chłopaczyska, kiedy właśnie rozgrywał się ostatni akt tragedii Kołczaka, który wraz z Piepielajewym¹¹ i innymi został w tym czasie stracony?

Bajkał

Nie można zobaczyć Bajkał i nie pokochać go całym sercem. Bezdenna głębia wody tak czystej, że — o ile nie ma wiatru i fal — siedzącemu w łodzi może się wydać, iż tkwi w powietrzu, po którym pod nim suną od czasu do czasu ryby. Dookoła jeziora, na stromych stokach gór ciemne lasy. Wyżej orgia kolorów łąki syberyjskiej, która dalej przechodzi w wieczną biel szczytów. Danym mi było spędzić kilka tygodni na statku o zepsutej maszynierii wraz z kolonią tzw. nieletnich przestępców. Personel, któremu powierzono grupę czterdziestu kilku wyrostków, wynosił dwie osoby: ja i inwalida o drewnianej nodze, stary Wasilij Pietrowicz.

Stało się to tak. Likwidowano reformatorium i do czasu zorganizowania nowego zakładu, budynek którego wymagał naprawy, miano umieszczać chłopaków w więzieniu.

— Jak to? Teraz, w najpiękniejszej porze roku chłopcy mają siedzieć w dusznym, ciemnym i wilgotnym więzieniu?

— Jesteście niepoprawną idealistką, Natalia Josifowna. Ale tylko jeżeli chodzi o dzieci. Przecież wychowawca też chce odpocząć. Podczas gdy nasi „baszybuzuki”¹² posiedzą w więzieniu, oni będą

.....

¹¹ Wiktor Nikołajewicz Piepielajew (1884–1920) — rosyjski polityk, działacz partii kadetów, ostatni premier Białego Rządu Rosyjskiego przy admirale Aleksandrze Kołczaku. Decyzją komitetu rewolucyjno-wojskowego bez sądu wraz z Kołczakiem rozstrzelany.

¹² Baszybuzucy (tur. *başıbozuk* ‘szalony’) — w XIX i XX w. żołnierze nieregularnych wojsk tureckich, pochodzących z ochotniczego naboru. Przenośnie nazywano tak kogoś zawadiackiego, samowolnego, niesfornego, zwłaszcza w odniesieniu do dzieci.

mieli urlop. Na opłacenie dodatkowych sił wychowawczych nasz budżet nie może sobie pozwolić. Moglibyśmy zaangażować najwyżej jednego człowieka. A sami rozumiecie, że to zbyt mało. Nikt by się nie podjął takiej pracy nad siły.

A jednak stary Wasilij Pietrowicz podjął się. Udało nam się zdobyć pozwolenie zamieszkania na statku, dostaliśmy produktów na trzy tygodni, oznajmiono mi, że za ucieczkę lub jaskrawe wykroczenie naszej bandy odpowiadam ja — i wyruszyliśmy.

Po drodze w wagonie miałam chwilę, gdy gotowa byłam zawrócić i zrezygnować z „szalonego” przedsięwzięcia, tak okropnie zachowywali się nasi chłopcy. Gdy jednak stanęliśmy nad brzegiem jeziora, wszystko się zmieniło. Nie można nie wierzyć w czarodziejską moc piękna i przyrody. Postawiliśmy sprawę jasno: tyle a tyle mamy gotówki i produktów. Za nich odpowiadamy my dwoje, z których jeden jest chory, a drugi — bardzo niedoświadczony. Egzekutywy nie mamy żadnej.

Zamiast trzech tygodni byliśmy nad Bajkałem półtora miesiąca, bo chłopcy pracą u okolicznych mieszkańców zdobyli dużo żywności *in natura*¹³. Nie uciekł ani jeden. Okradli jeden tylko sklepik i to wyłącznie z tytoniu, cukierków i kwasu¹⁴. Za to pracowaliśmy na rzecz właściciela przez pięć dni i zdaje mi się, że nie uważał on tego za najgorszy interes. Tonęło trzech, ale dało się ich wyratować. Lekarza wezwaliśmy poza tym jeden raz, gdy koloniści, rozwścieczeni tym, że dyżurny kucharz rozczystany w *Księżcu Srebrnym*¹⁵ posolił krupnik chyba z kilkanaście razy, kazali mu przemocą zjeść cały kubek soli. Zrobiono płukanie żołądka i obeszło się dobrze.

Ale za to nie wyobrażam sobie bardziej troskliwej i subtelnej opieki niż ta, jaką otaczali nas chłopaki. Zaczny staruszek budził się codziennie i wymyślał, widząc, że leży przykryty kilkoma kocami — noce bowiem na Bajkale są chłodne, a on miał ze

¹³ Łac. *in natura* ‘w naturze, bez pieniędzy’.

¹⁴ Kwas chlebowy — napój wytwarzany przez fermentację chleba, popularny w Rosji oraz krajach wschodniej i północnej Europy.

¹⁵ *Księżcu Srebrny* — powieść Aleksego Tołstoja, związana fabularnie z okresem panowania Iwana Groźnego.

.....

sobą tylko jakąś wyświechtaną derkę. Ja zaś miewałam codziennie najwspanialsze kwiaty, które zjawiały się w mej kabine, nie wiedzieć skąd. Raz spotkałam dryblasę, który właśnie kładł je na stole. Był wprost zrozpaczony i przysięgał się, że to tylko dziś, pierwszy raz, że on takimi głupstwami nigdy, naprawdę nigdy nie zajmuje się. Dobrze były wakacje.

Niektóre strzępy wspomnień wydają się czasem fragmentami gdzieś przeczytanej powieści. Tyle w nich przypadkowości i niespodziewanych zdarzeń, że po prostu nie odnajduję tam samej siebie, wracając do nich myślą.

Spotykam dawnych kolegów z uniwersytetu. Buriatów. Decyduję się błyskawicznie i jadę końmi do odległej o paręset kilometrów od miasta siedziby. Jest mi dobrze wśród dziwnych ludzi o szerokich, powiedziałabym, ultra-mongolskich twarzach. Są gościnni, dobrzy, łagodni. Chcą, żebym im pomagała, o ile zajdzie potrzeba przeczytania lub napisania pisma urzędowego, bo nawet i w odległej jurcie buriackiej nie można być wolnym od kontaktu z urzędami, ankietami, podatkami i nagłymi najazdami speców to z tej, to z innej dziedziny.

— Ty uczona, ty potrafisz z takimi gośćmi mówić i oni gniewać się nie będą. Bo na nas strasznie krzyczą i nam wtedy wstyd, że nie umiemy z gośćmi po dobremu załatwić. — Prosili także: — Mów nam prawdę. My do ciebie przyjdziemy, a ty nam mów prawdę... Ależ o wszystkim, co chcemy wiedzieć, mów prawdę, czemu drzewo usycha, jeżeli korę pierścieniem zdjąć naokoło, czemu słońce zimą nie tak grzeje jak latem, dlaczego trzeba starszych szanować. Wszystko, czego nie rozumiemy, ty nam tłumacz.

Nie wolno było tylko nikogo leczyć. Był to wyłączny przywilej ich kapłana. Ja zaś jako przedstawicielka innej wiary („twoja wiara bardzo, bardzo ładna i twój Bóg wielki i możny”) mogłabym raczej zaszkodzić niż pomóc, bo życie, zdrowie, śmierć i choroba, to nie są sprawy ludzkie. Leczyć samo ciało nie razem z duszą, to tak niebezpiecznie. Bo już były wypadki, że taki

wyleczony człowiek potem był zły jak szatan. A to dlatego, że zdrowie ciała oddali mu ludzie, a nie Bóg. Nie odważyłam się jednak przywieźć Tereski do warunków higienicznych, jakie tam zaobserwowałam, i narazić ją na wysoce oryginalne leczenie ze strony ich kapłana. Po tygodniu wyjechałam żegnana przez nich jak najbliższa krewna i hojnie obdarowana.

Wśród komunistów, z którymi stykałam się przy swej pracy, było tak samo dużo różnorodnych ludzi jak wszędzie. Okrutni fanatycy, marzyciele, karierowicze, śliczne postacie wiecznie szukające prawdy i czujni na odruch tego, co Kant nazwał „*das moralische Gesetz in mir*”¹⁶. Byłabym niesprawiedliwą, gdybym chciała podciągnąć pod jeden mianownik komisarza brutalą, współpraca z którym dla młodej kobiety okazała się niemożliwą, i weterankę idei komunistycznej Olę Patłych, z którą spędziłam niejedną godzinę na gawędzie.

— Macie rację. Dużo jest takich osób wśród naszych, że można zwątpić dzięki nim co do samego komunizmu. Ale to przeważnie z tych, którym już się „opłaciło” zostać członkami partii. Oni dla naszej idei nie cierpieli i nie narażali się, to u nich i przekonania są takie tanie. Darmocha już zawsze taka bywa.

Gdy miałam jednak całego tego urzędu oświatowego dość, ona pomogła mi otrzymać posadę bileterki w teatrze dla dzieci. Przez pewien czas szłam podeszwy sznurkowe do obuwia. „Dorabiać” trzeba było ciągle. Kiedyś przez parę dni pisałam babulkom żebraczkom karteczki „za zdrowie” i „za spokój” (intencje za żywych lub zmarłych), które one z okazji Zielonych Świąt zносиły do cerkwi. Byłam zdumiona i olśniona hojnymi honorariami w postaci słoja z konfiturami „jeszcze z bożych, niesobaczych czasów” i worka orzechów cedrowych.

.....

¹⁶ Niem. ‘prawo moralne we mnie’.

Po otrzymaniu spóźnionej o przeszło pół roku wiadomości o aresztowaniu ojca i Leonka skorzystałam z życzliwości moich dawnych współkolegów oświatowców i wyjechałam do Tom-ska. O samej podróży i jej perypetiach można by pisać niejeden rozdział. Migają wspomnienia groźne, zabawne, rzewne — za-leżnie od tego, z jakimi ludźmi zetknęła ta lub inna chwila. Nie mogę nie powtórzyć wypowiedzianego już zdania, że w całym tym kalejdoskopie z trudem jedynie odnaleźć mogę samą siebie.

Tomsk 1920 rok

Znowu jeden rok w Tomsku. Ojciec mój po ataku apopleksji, któ-ry przeżył w więzieniu sowieckim, spędził kilka miesięcy na wsi u księdza przyjaciela. Później przez pewien czas leżał w kli-nice uniwersyteckiej i zmarł na kilka dni przed ponownym rozkazem aresztowania go. Starszy brat mój Michał był daleko, gdzieś na Ukrainie i od roku przeszło nie było żadnych wia-domości o nim¹⁷. Leon siedział wraz z innymi nieletnimi prze-stępcami politycznymi (w wieku od 14 do 18 lat) w mariińskim więzieniu. Zwolniono go wreszcie wskutek amnestii w związku ze świętem rewolucji październikowej.

Wszystko zmieniło się. Mieszkaliśmy w jednym jedynym pokoju, otrzymanym na „order”¹⁸ w cudzym mieszkaniu. Takich narzuc-o-nych współlokatorów dużego mieszkania było kilkunastu. Można sobie wyobrazić ilość konfliktów i komplikacji wynikających z po-wodu wspólnej kuchni, łazienki itd. Wielu z dawnych znajomych i przyjaciół nie zastałam już w mieście. W Uniwersytecie zaszły wielkie zmiany. Część profesorów jednak pozostało i to ułatwi-ło mi zabranie się do pracy. Pracowałam jako tzw. „pozostawio-na przy Uniwersytecie” w celu przygotowania się do profesury. Uczelnia korzystała ze względnej autonomii, toteż mogłam obrać sobie dowolnie interesujące mnie tematy i zająć się nimi. Zdecydo-wałam się na opracowanie zagadnienia przestępczości nieletnich. Jako przedmiot dodatkowy wzięłam filozofię ze szczególnym uwzględnieniem kierunków kościoła w wieku IV (św. Augustyn).

¹⁷ Po latach okazało się, że trafił do Charkowa, gdzie został profesorem botaniki i matematyki na tamtejszym Uniwersytecie.

¹⁸ Ros. *опдел* ‘asygnata, kwit, rewers’.

Dużo czasu pochłaniała akcja pomocy więźniom. Było wśród nich kilku bliskich nam osób, między innymi prof. Anasow, Iwanow¹⁹ i inni. Trzeba było więc godzinami stać pod więzieniem (do którego obecnie już nie miałam wstępu urzędowego), by doręczyć kosz z wiktuałami i bielizną. Samo zdobywanie apro wizacji, multum drobnych spraw gospodarczych, jak pranie itd. męczyło i wymagało wielu godzin dodatkowego czuwania.

Gdy moja mała zaczęła mocno zapadać na zdrowiu, podjęłam się na przeciąg kilku miesięcy pracy w zimowej kolonii leczni- czej dla dzieci, położonej o kilkanaście kilometrów od Tomska.

W dużym pokoju jest ciepło. Żar bucha od pieca, w którym pali się od rana. Dzieciaki wróciły niedawno z nart. Właściwie pra- wie cały czas, dopóki świeci słońce, spędzają one na nartach, ubrani jak Eskimosi od stóp do głowy w futrzane kombinezy złączone z takimi pończochami, rękawicami i kapturem. Przód, przez który włożą do tego schronienia — od wewnątrz rów- nież futrzanego — zamyka się poza tym jeszcze jedną klapką. U boku kapturka — po dwa guziczki. Do nich przypina się bia- łą włóczkowe prostokąty, przez które mogą swobodniej oddy- chać mroźnym powietrzem. Wychowawczynie co kwadrans zmieniają zwilgotniałe od oddechu i następnie stwardniałe od mrozu chusteczki na świeże. Narty mocno przymocowane są do nóg i małe postacie, łudząco podobne do niedźwiadków, dłu- gimi godzinami baraszkują po śniegu, ucząc się rozpoznawać liczne tropy zwierzyny, która przechodziła tędy.

Teraz wysłuchały codziennego opowiadania przy płonącym kominku i wypoczęte zaczynają znowu bawić się. Dziewczynki chcą jak zwykle urządzić balet. Naciągają długie, białe nocne koszulki na sukienki i wykonując bosymi nóżkami powiewne „pas”, śpiewają ulubioną piosenkę o białych śnieżyczkach spada- jących na ziemię. Chłopcom nudzi się, dokuczają więc po trochu dziewczuszkom, trochę łażą sobie z kąta w kąt, szukając czegoś

¹⁹ Borys Pawłowicz Iwanow (1888–1933) — profesor w Katedrze Prawa Rzymskiego Uniwersytetu w Tomsku.

zajmującego. Jeden zawędrował do sypialni wychowawców obok sali i po chwili wraca podniecony:

— Znowu są? Siedzą i patrzą w okna.

Gromadka przerywa zabawę, pędzi do sąsiedniego, słabo oświetlonego pokoju i odpędzając się wzajemnie od szyb, przyciska do nich nosy. Tak, nie ulega wątpliwości. Sfora, zgraja wilków siedzi wpatrzona w okna. Zdarza się to dość często, ale dziś jest ich więcej niż zwykle. Pan Władek (wychowawca) bardzo lubi za imponować wszystkim, szczególnie zaś gdy patrzy na to śliczną 17-letnią Ania, córka naszej gospodyni. Chwyta więc z pieca żarzącą się głównię i wybiega. Przez okno widać, jak wpada, wymachując swą pochodnią w sam środek zwierząt. Ania, a za nią małe dziewczynki, popiskują trochę ze strachu, trochę z zachwytu. Nagle ogólny wrzask przerażenia. Pan Władek musiał się potknąć i upadł. Głównia trafiła do śniegu i zgasła. Drugi wychowawca, o kilkanaście lat starszy od tamtego, jednym uderzeniem buta wybija szybę w podwójnym oknie. Chwyta lampę ze stołu, pędzi do leżącego. W samą porę, bo już go osaczają wilki. Po chwili obaj panowie są już z nami. Gospodyni zatyka siennikiem i poduszkami wytłuczone okno. Ania trzyma pana Władka za rękę i patrzy w niego jak w tęczę. Starszy zaś wychowawca spokojnie stawia lampki na swoje miejsce, podchodzi do Władka, bierze go za ucho, prawą zaś ręką wymierza mu kilka tęgich klapsów poniżej pasa. Warczy przy tym:

— A, szczeniaku! Jak mi jeszcze coś podobnego zmagajstrujesz, ani jednego dnia razem nie będziemy. Bohater zasmarkany!

I jakoś wszystkie dzieci od razu zrozumiały, że pan Władek postąpił strasznie głupio. Ania chyba też zrozumiała. Gdy zaś w kilkanaście dni później znaleziono rano w okolicy naszej kolonii ogryzione kości ludzkie i końskie obok wozu z drzewem, zrozumiał to z całą pewnością i młody ryzykant.

Pragnienie wydostania się z tych dziwnych warunków, w jakich żyło się od lat, już rosło coraz więcej. Wszystko było tymczasowe, chwilowe. Wciąż zdawało się, że ta karykatura istnienia

ludzkiego wreszcie zmieni się i nastanie jakieś prawdziwe życie. Po śmierci ojca, który na kilka godzin przed zgonem powiedział ze smutkiem: „Ja już do kraju nie pojadę”, przyszło dziwne samopoczucie: zrozumienie, że dalej czekać nie można, że możliwym jest, iż nikt z nas nie wydostanie się z tego „raju”, o ile nie zakrzętnę się energicznie w tej sprawie. Ojciec od roku 1918 miał pismo zapraszające go do Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Od razu nie wyjechał. Potem stało się to już niemożliwością. Wreszcie było za późno. Nieraz zastanawiałam się nad tym, czemu w ciągu całego roku siedziałam w Tomsku, prawie nic nie robiąc w kierunku wyjazdu. Wpływało prawdopodobnie nie tylko to, że technicznie było bardzo trudno uzyskać potrzebne dokumenty i zezwolenia. Po prostu z chwilą znalezienia się w Tomsku, gdzie przeżyło się tyle lat i gdzie było tak wiele osób bliskich i przyjaznych, poczuł się człowiek więcej u siebie. Czekali na zmianę ku lepszemu wszyscy naokoło. Czekano się więc razem z nimi, snując marzenia, jak to dobrze będzie kiedyś, gdy skończy się cały ten koszmar i każdy znajdzie się u siebie.

Aż przysłała chwila wstrząsu. Ojciec nie doczekał. Skąd pewność, że doczekamy my? Trzeba wydostawać się samej, ruszyć z miejsca, otrząsnąć się z dziwnego, a tak powszechnego wtedy odrętwienia. Wraz z kilkoma profesorami Uniwersytetu Tomskiego i ich rodzinami wyjechałam latem 1921 roku do Petersburga, biorąc ze sobą dziecko. Mama z Leonem mieli pozostać chwilowo, aż przysła im potrzebne papiery²⁰.

Ostatnie odwiedziny cmentarza, gdzie ustawiliśmy na grobie ojca sosnowy krzyż, własnoręcznie sporządzony przez Leona, który pozwolił mi jedynie na wykonanie napisu.

— Wiesz, dobrze jednak jest, gdy rodzina stale mieszka gdzieś u siebie — powiedział w zadumie mój brat. — Nie rozrzuca się wtedy po świecie samotnych mogił. Podczas pobytu w więzieniu często myślałem o mogiłach. To jednak nie jest wszystko jedno, gdzie kto z nas leżeć będzie. Dobrze jest wiedzieć, że przyjdą bliscy i zatrzymają się chociaż przez parę chwil nad grobem.

²⁰ Brat nie wrócił z matką do kraju, bowiem został wywieziony do Kazachstanu.

Gdy pociąg przepełniony do granic możliwości ludźmi, którym udało się zdobyć przepustkę uprawniającą do jazdy, ruszył z miejsca, usłyszałam raz jeszcze wołanie głosu chłopięcego:

— Natusko, zawołaj do mnie: „hip, hip, hura”! Chcę zapamiętać na długo Twój głos.

W drodze przejeżdżaliśmy przez miejscowości szczególnie mocno dotknięte głodem. Często widziało się na stacjach postacie podobniejsze do widma niż żywego człowieka. Niekiedy klękały, wyciągając błagalnie ręce ku oknom pociągu. O kęs danej żywności biły się i gryzły wzajemnie. Na pewnej stacji w chwili odejścia pociągu młoda kobieta, której nic nie dostało się z dawanych przez podróżnych wiktuałów, cisnęła swe kilkumiesięczne dziecko pod koła pociągu i zawyla zwierzęcym skowytom. Później, gdy już mineliśmy obszary nieurodzaju, ludzie byli zdenerwowani, źli i kłótniwi. Tereska przysłuchiwała się podnieconym głosom, patrzyła na twarze sprzecających osób, aż wreszcie wspięła się na palce i szepnęła mi na ucho:

— Mamusku! Wracamy do Syberii. Tu ja się boję ludzi. Wszyscy gniewają się i ja wcale nie wiem, o co.

Niestety, dziecko miało rację. Wraz z opuszczeniem granic Syberii z jej spokojnym dostojeństwem trzeba było przyzwyczaić się do innego sposobu bycia, do innych form współżycia. Kulturalna Europa to nie dzika Azja.

Petrograd

W Petrogradzie nie poszło tak łatwo. Delegatura polska badała bardzo dokładnie akty każdego kandydata do repatriacji, poczym sprawa szła do mieszanej komisji, która zatwierdzała lub odrzucała wnioski. Wreszcie długo — nieraz i rok cały — trzeba było czekać na miejsce w jednym z eszelonów wyruszających do kraju. Przez dwa tygodni mieszkalam w domu noclegowym, korzystając z obiadów w stołówce i sprzedając rzeczy. Potem udało mi się dostać do zakładu dla dzieci niewidomych jako nauczycielka wychowawczyni.

Duży, ładny gmach przy ulicy Piaskowej. Widać, ile myśli i troski włożyli w urządzenie zakładu jego organizatorzy. Wspaniała sala gimnastyczna, widne, słoneczne klasy, bogata kaplica, obecnie służąca za skład rupieci. Za domem — gęsty, stary park, drzewa którego bezlitośnie rąbano w ciągu zimy na opał. Nie dawało to wprawdzie wiele ciepła. Mokre polana syczały, pokoje napełniały się dymem, a spod drzwiczek pieców kapały „łzy drzew”, jak mówiły do siebie dzieci.

Łez było pod dostatkiem i bez tego. Dzieci ustawicznie głodne — otrzymywały bowiem na obiad słonawą ciecierz, w której pływały kawałki rozgotowanej dyni i słodkich, przemarzniętych ziemniaków. Czasem bywało drugie danie: kartofle polewane tranem. Jeszcze rzadziej dawano nam po twardej, suszonej rybie „woble”²¹, którą można było nabijać sobie wzajemnie guzy. Porcje chleba były tak mikroskopijne, że chłopcy demonstracyjnie pakowali całodzienny swój przydział do ust jako jeden kęs. Praktyczniejsze dziewczuszki dzieliły go na okruszynki, długo trzymając każdą w ustach, by przedłużyć przyjemność. W sypialniach panował taki chłód, iż po nocy przeszło czwarta część łóżek bywała mokra, gdyż dzieci nie mogły zdecydować się wstać na porę, by załatwić potrzeby fizjologiczne. Ranne budzenie wychowanek było czynnością nad wyraz trudną. Na „dzień dobry” odpowiadały tylko nieliczne głosiki. Większość dzieci leżała cicho, cicho, prawie nie oddychając, by choć trochę jeszcze przedłużyć względne ciepło pobytu w pościeli. Palce kurczowo trzymały kołderki, usta bywały zaciśnięte, wyrazy twarzy wrogie. Dyżurny wychowawca wyczuwał, iż jest w danej chwili istotą prawie znienawidzoną, reprezentantem brutalnej siły, która powiększa cierpienia. Spuchnięte, popękane palce nóg nie pozwalały włożyć obuwia, toteż stopy owijane bywały różnej czystości gałganami. Najtroskliwiej otulały dzieci jednak dłonie rąk, broniąc je przed odmrożeniem. Twierdziły, że o ile spuchną im końce palców, „oślepną”, gdyż nie będą w stanie czytać ani rozpoznawać w razie potrzeby przedmiotów. Ponieważ sala jadalna wcale nie była opalana, nie sposób było zapobiec temu, by dzieci, którym trudno było utrzymać

²¹ Wobła kaspijska — gatunek płoci żyjącej w Morzu Kaspijskim.

łyżkę w grubo owiniętej dłoni, nie jadły wprost ustami z misek. Nauka szkolna odbywała się najczęściej w pokoikach wychowawców. W większości wypadków dawaliśmy poza pracą w zakładzie jeszcze lekcje prywatne dzieciom mieszkającym w sąsiedztwie, opłacane *in natura* kilkoma polanami drzewa, co pozwalało utrzymać temperaturę 5–7° powyżej zera. Lekcje sprowadzały się prawie wyłącznie do wykładów i pogadanek, gdyż ze względu na chłód dzieci nie były w stanie czytać ani pisać lub za pomocą dotyku zaznajomić się z eksponatami, których w muzeum szkolnym na początku roku było bardzo dużo. Później liczba ich stopniała. Natomiast spotykało się na kołnierzu kubraka posługaczki dobrze znane futerko lisa, który niedawno jeszcze stał w szafie muzealnej. Znikł wypchany wilk. Za to gwałtownie przytył jeden z chłopców, który skórę jego użył na coś, co przypominać mogło serdak i nosił go pod kurtką.

Względnie znośne warunki egzystencji miały dzieci z przedszkola, które mieściło się w przytulnym mieszkanku o niewielkich pokoikach w cieplejszym końcu budynku nad kuchnią internatową. Było prowadzone inteligentnie systemem Montessori²² przez panią Helenę, wybitną znawczynię i entuzjastkę metody. Tam też spędzała całe dnie moja córeczka, gdyż pani H. właśnie przeprowadzała próbę wspólnego wychowywania dzieci niewidomych z widzącymi. Przemiłe wspomnienia pozościawiła po sobie jako współpracownicze pani Tekla Ch. Bliższe stosunki nasze rozpoczęły się w dniu, kiedy w chwili, gdy rozpoczynałam naukę katechizmu z Tereską, nagle otworzyły się drzwi i w nich stanęła postać nieznanej mi dotąd pani, spod ciemnych okularów której płynęły łzy.

— Jak, jak powiedzieliście? Pan Bóg jest wszędzie: na niebie, na ziemi i w każdym miejscu? Proszę to jeszcze raz powtórzyć.

Pokój jej sąsiadował z moim. Przez nieszczelnie zamknięte drzwi usłyszała wyrazy, które wywarły ogromne wrażenie.

²² Maria Montessori (1870–1952) — włoska lekarka, twórczyni systemu wychowawczego kładącego nacisk na swobodny rozwój dzieci. Przeciwstawia się systemowi szkolnemu, tłumiącemu aktywność dzieci, którego symbolem była dla Marii Montessori „szkolna ławka”.

Był w zakładzie jeszcze jeden Polak, mały Staś. Wilię²³ mieliśmy wobec tego spożyć we czwórkę: pani Tekla, on i my z Tereską. Udało się zdobyć śledzi, ziemniaków, kapusty, grzybów, mąki, suszonych owoców i maku, przystroić małe drzewko. Gdy dzieci położyły się spać, co zwykle następowało o godzinie 7–8 po południu, zasiedliśmy do naszej wieczerzy. Po przełamaniu się opłatkiem i złożeniu sobie wzajemnie życzeń, pani Tekla zaintonowała półgłosem *Bóg się rodzi*. Staś, matka którego umarła przed rokiem, umiał kolędę doskonale, pani Tekla pamiętała tylko początkową zwrotkę, toteż śpiewała dalej tylko samą melodię bez słów. Jakiś szelest u drzwi zwrócił na siebie naszą uwagę. Otwieram. Na korytarzu, owinięte w kołdry stoją wszystkie moje dziewczynki (przeszło 30), ciche, zasłuchane. Jakoś zmieściła się w pokoiku cała gromadka i każda dostała bodaj po łyżeczkę tradycyjnych potraw. Potem rozległy się jedyne w swoim rodzaju kolędy, które brzmiały bardzo oryginalnie. Zamiast *W żłobie leży* mała Wieroczka wykrzykiwała radośnie „*w szliapie lie-e-żi*”²⁴, nie posiadając się ze szczęścia. A gdy opowiedziałam im o pasterce, świętym Franciszku z Asyżu, o zwyczajach wigilijnych polskich, zawsze szorstka i nieco ordynarna Mania pogłaskała mnie po ręce:

— Wam, Polakom dobrze żyć na świecie. Dlaczego wszyscy ludzi na świecie nie wierzą tak jak wy?

W styczniu roku 1922 przywieziono do nas kilkadziesiąt niewiomych z likwidowanego zakładu w Charkowie. Wiele wśród tych dziewcząt było dawnymi wychowankami petersburskiej szkoły i teraz wracały radosne i wzruszone „do siebie”. Trudno opisać ich rozczarowanie, gdy zastały wszystko zmienionym, takim jakim stało się obecnie. Do goryczy rozczarowania dołączyło się jeszcze uczucie wstydu wobec koleżanek, którym tyle opowiadało się o cudach „naszego” zakładu. Tamte teraz dopytywały się, gdzież to wszystko się podziało. Wypadkową smutnego rozwiania się iluzji i wstydu stały się gniew i niechęć do nas — nowego, nieznanego im personelu, któremu przypisywało się wszystkie ujemne zmiany. Toteż od razu stanęłyśmy

²³ Wilia — Wigilia.

²⁴ Ros. *шляпа* ‘kapelusz’.

ze sobą na stopie wojennej. Każde zarządzenie lub uwaga spotykała się z brutalnością, wyraźnym nieposłuszeństwem lub drwinami.

— Dzień dobry, dziewczynki! Wstawać. Za chwilę śniadanie.

Z łóżka, gdzie leży jedna z prowodyrek opozycji Katia, rozlega się ironiczne:

— Prooszę! Jaka dobra! Śniadanie nam ze swej kieszeni funduje widocznie czy co — że zaprasza?

Śmiech dookoła. Udaję, że nie słyszałam uwagi. Obchodzę łóżka, pomagam przy ubieraniu młodszym, usiłuję żartować. Katia leży ostentacyjnie. Nie ma rady. Gdy już podeszłam do jej łóżka, wyczułam wyraźnie, że jest to chwila ważna, wstęp do bitwy, przez przeciwnika przewidzianej i przygotowanej. Trzeba coś na to zaradzić i to bezzwłocznie.

— Czy źle czujesz się, Katiusza, że jeszcze leżysz?

— Chyba że źle, jak od samego rana taka cholera jak ty chodzi i spać nie daje.

Dookoła zrobiło się bardzo cicho. Wszystkie słuchają uważnie. Dziewczynki, zwykle tak bardzo życzliwe w stosunku do mnie, są dziś skonfundowane, niewyraźne. Zachowują neutralność.

— Ano trudno, Katiu! Ja ciebie wychowywać nie mam zamiaru. Za parę tygodni i tak rozstaniemy się ze sobą?

— Cóż to? Grozisz mi wyrzuceniem? Zobaczymy, kto kogo wyrzuci, ty przybłędo!

— Mylisz się, dziewczynko. Wcale nie grożę ci wyrzuceniem. Ale tłumaczyć się przed tobą nie będę. Chodźmy, dzieci.

Po drodze do jadalni dziewczynki usiłowały zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie na mnie mogła wywrzeć ich neutralność, lecz nie dopuściłam do tego tematu. Katia do śniadania przysłała spóźniona i przez cały następny dzień unikała mnie. Po południu przyszedł dyrektor z wiadomością, że 25-ro dziewcząt może pójść na koncert do sąsiedniego zakładu imienia Kudziura (dla zarobkujących starszych dziewcząt ociemniałych). Poprosił mnie o wyznaczenie kandydatek. Jednym z wymienionych

nazwisk było nazwisko Katii, która gęsto zarumieniała się, ale nie odezwała się ani słówkiem. Podczas koncertu siedziałam tuż za nią i w przerwach pomiędzy numerami programu możliwie barwnie opisywałam wygląd zewnętrzny artystów, stroje pań itd. Po arii Violetty z ostatniego aktu *Traviaty*²⁵ opowiedziałam pokrótce treść tej opery.

— Ona była ładna i widząca, to jej łatwiej przyszło być szlachetną i subtelną — rzuciła gdzieś w przestrzeń Katia. Pogłaskałam ją po czuprynie. Przycichła bardzo. Gdy wróciłyśmy do domu, przyszła do mnie.

— Wy nie gniewajcie się na mnie, *gołubuszka*²⁶. Ja sama wiem, że po świńsku zrobiłam i niedobra jestem, ale tak mi się sprzykrzyło żyć! Jak pies bezdomny i nikomu niepotrzebny.

Gdy wracam myślą do tej zimy w Petersburgu z jej trudnościami materialnymi i moralnymi, najjaśniejszymi chwilami są niewątpliwie godziny spędzone w domu arcybiskupa Cieplaka²⁷. Na dworze zawieja i chłód. Skostniałe palce z trudem dźwigały paczkę książek, którą po przeczytaniu trzeba zwrócić właścicielowi. Toteż z prawdziwą rozkoszą rozgrzewałam je w przedpokoju przy piecu, gawędząc jednocześnie ze starym lokajem Grzegorzem. Dziś jest on rozmowniejszy niż kiedykolwiek. Opowiada, wypytuje, znajduje różne preteksty, by mnie dłużej zatrzymać. Wreszcie pocziwie przyznaje się, że chciał, bym do pokoju Jego Ekscelencji weszła zupełnie ogrzana, nie wnosząc ze sobą mroźnego powietrza.

— Bo jakby z lekka zachrypnięty był dzisiaj z rana.

²⁵ *Traviata* — opera Giuseppe Verdiego z 1853 r. oparta na *Damie kameliowej* Aleksandra Dumasa.

²⁶ Ros. *голубушка* ‘gołubeczka, pieśczośliwie kochanie’.

²⁷ Ks. Jan Cieplak (1857–1926) — arcybiskup, organizator życia katolickiego w Rosji; od 1925 r. metropolita wileński, sufragan mohylewski. Pochoowany w katedrze wileńskiej jako pierwszy metropolita Wilna.

.....

Arcybiskup tego dnia dał mi do przeczytania *Confessiones*²⁸ św. Augustyna w przekładzie francuskim.

— To pani dużo da. Ja osobiście ogromnie lubię biografię i uczciwe autobiografie. Daje to czytelnikowi możliwość prześledzić całą linię życia innej istoty. A to zawsze jest bardzo pouczające. Odrywa od własnych, drobnych kłopotów i trosk, wskazuje na szersze widnokreśli. Dobrze byłoby, żeby każdy, najbardziej bodaj szary pracownik, mógł w drugiej połowie swego życia zsumować i zafiksować to, co przeżył. Niejednemu to ułatwiłoby doprowadzić jakąś jemu samemu dotąd może niejasną ideę do skutku. Dałoby też materiał innym, pracującym w tej samej dziedzinie.

— A Wasza Ekszelencja pisze swą biografię?

Filuterny uśmiech na dobrej twarzy.

— A czyż to ja już dojrzałem do drugiej połowy swego życia? Bardzo proszę mnie nie postarzać, moja pani! Pomówimy o tym kiedyś później, gdy spotkamy się u nas w kraju i znowu siądziemy ot tak przy skromnej herbatce.

Wyjazd swój do Polski zawdzięczam przede wszystkim interwencji Arcybiskupa i jego pomocy. Zostałam przydzielona do jednego z pierwszych eszelonów wyruszających do kraju w lutym 1922 roku. Gdy przed odjazdem, dziękując, przywarłam ustami do drogich rąk, nakreślił nade mną i nad dzieckiem znak krzyża i uroczyście powiedział:

— Wy wcześniej jedźcie do domu niż ja. Zawieźcie tam dużo Miłości. Tego nigdy nie za dużo. Wiedzy, bogactwa, potęgi — tego wszystkiego może być pod dostatkiem. Miłości zawsze trzeba więcej a więcej. Ci, co do Ojczyzny wracają, muszą wkra-
czać do Niej z wolą do tego, by kochać każde napotkane na drodze dziecko, każdą pamiątkę, każdą swą pracę i wysiłek dla Jej dobra. Ja na razie z daleka miłować Ją mogę tylko, ale ta Miłość do kraju podtrzyma mnie w każdej trudnej chwili.

.....

²⁸ *Confessiones* (Wyznania) — najśłynniejsze dzieło św. Augustyna nale-
żące do światowej klasyki literatury duchowej.

Jakiś smutek ścisnął serce. Może było to przeczucie tych mężczyzn, jakie oczekiwały tego świetlanego człowieka wśród obcych, na tle wrogiego mu ustroju?

Pozostawiłam za sobą w Petrogradzie poza tym jeszcze kilka bliskich mi osób. Lubiłam bywać u sędziwego prokuratora Aleksandra Koni²⁹, wielbicelką talentu którego byłam od chwili, gdy przeczytałam zbiór jego mów wygłoszonych przed sądem „*sudiebnyje riecz*”. Gdy zdobyłam jego adres petersburski, postanowiłam zobaczyć osobiście tego człowieka, który był dla każdego studenta prawnika objawieniem. Będąc z natury swej raczej nieśmiałą, obmyślałam długo sposób zawarcia znajomości i wymyśliłam jakiś pretekst, który pozwoli mi pójść do niego. Byłam ze swego sprytu bardzo zadowolona. Gdy jednak na mój dzwonek otworzył mi drzwi on sam, tak się zdetonowałam, że absolutnie nie mogłam sobie przypomnieć ułożonego starannie kłamstwa, jakie zamierzałam wypowiedzieć. Coś tam bełkotałam, aż spojrzałam w jego uczciwe oczy i przyznałam się do wszystkiego. Dużo ciekawego opowiadał mi nieraz ze swej niesłychanie bogatej praktyki. Między innymi zawdzięczam mu wiele cennych wskazówek natury pedo-kryminologicznej. Wyrażał niejednokrotnie głęboką troskę o los dziewcząt wykołejonych i kładł wielki nacisk na potrzebę szeroko zakrojonej akcji profilaktycznej.

— Chłopak to metal. Jego trzeba kuć. Miejsce spojenia jest nieraz jeszcze mocniejsze niż takie, które nie pękło. Dziewczyna zaś — to szkło, kryształ. Tam naprawić trudno, pozostaje rysa, znak smutny, przynoszący wstyd temu, kto nie potrafił uchronić od skazy arcydzieła.

²⁹ Anatolij Fiedorowicz Koni (1844–1927) — rosyjski prawnik, sędzia i działacz publiczny; honorowy członek Akademii Nauk w Petersburgu (1900), doktor prawa karnego na Uniwersytecie Charkowskim, profesor Uniwersytetu Piotrogrodzkiego. Odegrał kluczową rolę w liberalizacji rosyjskiego prawa karnego. Dzięki jego wpływom pod koniec XIX w. złagodczono wyroki więzienia i wprowadzono specjalne zakłady dla nieletnich przestępców. Autor *Mów sądowych 1868–1888* (Судебные речи 1868–1888), wydanych w Petersburgu w 1888 r.

.....

Z żalem żegnałam również i ojca Zerczaninowa³⁰ od Świętej Katarzyny. Jego niezrównany humor i talent narracyjny pozwoliły mi przeżyć niejedno ciekawe popołudnie w jego towarzystwie. Ulubionym tematem była historia jego stopniowego nawrócenia z prawosławia na katolicyzm. Miałam możliwość przeczytania wyjątkowo barwnie i ciekawie napisanej przez niego autobiografii, gdzie motywem przewodnim były poszukiwania, zrywy, wzloty i wreszcie odnalezienie upragnionej Prawdy.

Na kilka tygodni przed odjazdem naszego transportu repatriantów otrzymałam z Permi³¹ powiadomienie, iż zostałam obraną przez uniwersytet jako „*nauczająca sotrudnica*” (współpracownica naukowa) przy Katedrze Filozofii Prawa. Odpisałam odmownie, gdyż sprawa mego wyjazdu była czymś, co całkowicie zaabsorbowało mnie.

Na dworcu żegnali liczni przyjaciele. Wzruszające przejawy życzliwości i troskliwości, głosy obawy o nasz los, szczery smutek spowodowany rozstaniem, tysiące wspólnie przeżytych chwil, wspomnienia lat dziecięcych i pierwszej młodości — to wszystko mocno wiązało z grupą zacnych ludzi, którzy odprowadzali. Pociągi odchodziły bez żadnego rozkładu. Nasz stał na stacji przez dwa dni i odszedł zupełnie niespodziewanie bez dzwonek ani gwizdków, tak że część repatriantów pozostała na dworcu i dopędziła nas gdzieś w drodze. Przez długie godziny oczekiwania na odjazd doznawałam więc raz jeszcze tej szczerzej, prostej dobroci, która cechuje Rosjan względem ich przyjaciół. Byłam im głęboko wdzięczna, wzruszona, żal było mi rozstawać się z nimi. A jednak w chwili, gdy pociąg wytoczył się poza budynki stacyjne, ogarnęła jakaś nieopisana radość.

— Tereńku! Jedziemy do domu! Rozumiesz, będziemy już u siebie.

.....

³⁰ Aleksiej Zerczaninow (1848–1933) — jeden z pierwszych księży katolickich w obrządku bizantyńskim w Piotrogradzie.

³¹ Perm — miasto w europejskiej części Rosji nad rzeką Kamą, u stóp Uralu.



Ilustracja 10. Włodzimierz Han, pierwszy mąż Natalii

.....



Ilustracja 11. Włodzimierz Han, pierwszy mąż Natalii



Ilustracja 12. Włodzimierz Han, pierwszy mąż Natalii

.....



Ilustracja 13. Natalia Hanowa z córką Terenią (1917 r.)



Ilustracja 14. Natalia Hanowa z córką Terenią (1917 r.)

W kraju

.....

Dwa i pół tygodnia podróży wagonem towarowym. Szykany, utrudnienia na każdym kroku, wstrętne rewizja na granicy... Wreszcie — powitanie przez naszych już tam, u siebie. Dzieci od razu zabrały pod opiekę jakieś przeziębione uśmiechnięte dziewczuszki z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu. Wkrótce siedziały nasze pociechy w prowizorycznej szopie przy długich niskich stołach, na których piętrzyły się stosy białych bułeczek. Jakaś jedna rączka wyciągnęła się po smakołyk, ale kilkuletni sąsiad natychmiast ofuknął jej właściciela:

— Jeszcze kuponów nie wycinali z kartek. Nie wiadomo, po ile na osobę dadzą.

Można było jeść do syta. Poza tym dostały dzieci jeszcze do picia nieznaną jakiś słodki brązowy płyn i dowiedziały się, że ten nektar nazywa się kakao.

— Szkoda, że tak nieładnie — powiedział w zadumie jakiś głosik.

Nas również zgromadzono, by wysłuchać przemówienia jakiegoś pułkownika, który witał nas w wolnej Ojczyźnie i podkreślił konieczność rzetelnej i ofiarnej pracy dla Niej. Na chwilę odczułam coś, jakby lekki żal do mówcy. Czy o tych rzeczach trzeba mówić? Czy słowa dadzą coś do tego uczucia, jakim przepełnione jest serce? Raczej osłabiają, prowadzą do znanego skądinąd nastroju ciekawego zebrania, gdzie ocenia się zdolności oratorskie, będąc przede wszystkim słuchaczem. Kwarantanna w Baranowiczach¹ trwała kilka dni. Pozwoliło to odnaleźć znajdującego się w okolicy na probostwie księdza Wańkowicza. W zniszczonej przez wojnę i zdziczałej miejscami okolicy rozwinął on prawdziwie apostołską pracę.

.....

¹ Baranowicze — miasto na terenie Białorusi.

— Dokąd Ojciec radzi nam jechać?

— Chyba do Wilna... Tam odetchniecie, nabierzesz sił i rozpędu do urzędu swego życia. Urodzona jesteś w Warszawie, ale nie śpiesz się od razu tam. Pojedziesz później, gdy odpoczniesz i znajdziesz swoją drogę. Wilno nie przynagla, nie zmusza do biegu. Proszę rozejrzeć się dobrze, popatrzeć na życie, ludzi, na samą siebie. Taki przyjazd do kraju, to coś jakby drugie narodziny. Ano, niech was Bóg prowadzi.

Wilno

Pociąg nasz wtoczył się na stację późnym wieczorem w dniu 4-go marca. Pomimo późnej godziny, zostawiając rzeczy w wagonie pod opieką przyjaciół z podróży, wyrwałam się z niewielką grupą ludzi do Ostrej Bramy. Odsłonięto dla nas obraz. Jakaś kobiecina podarowała mojej małej duże „kaziukowe” serce²:

— Żeby ją tutaj szczęście spotkało.

Bezpłatne obiady w stołówce dla inteligencji trwały niedługo. Już po dwóch tygodniach byłam kierowniczką ochrony dziennej przy ulicy Wilkomierskiej. Miałam do pomocy dwie bardzo zdolne i inteligentne przedszkolanki. Dziś nie mogę sobie przypomnieć ich nazwisk, wiem jednak, że szczególnie panna Monika była jednym z najzdolniejszych pedagogów, z jakimi zetknęłam się w pracy. Bogata inicjatywa, pełne artyzmu pomysły wychowawcze i dekoracyjne, wielki takt i do tego prostota i skromność tej przemiłej panienki sprawiły to, że do dziś dnia wspominam ją z rozrzewnieniem jako człowieka, od którego niejednego nauczyłam się.

² Kaziukowe serca — pierniki w kształcie serca wypiekane i sprzedawane na dorocznym jarmarku 4 marca, tj. w dniu św. Kazimierza Królewicza. Były podarunkiem dla bliskiej osoby. Dochód z ich sprzedaży przekazywany był potrzebującym.

Stosunek wilnian do nas, repatriantów, był głęboko wzruszający. Toteż w krótkim okresie nawiązały się i wzmocniły więzy szczerzej przyjaźni, które trwały później przez lata całe. Polska Macierz Szkolna³ zorganizowała dzięki inicjatywie Marii Reutówny⁴ kursy, mające za zadanie oczyścić mowę naszą z naleciałości i rusycyzmów. Polszczyzna nasza była istotnie fatalną i przy zetknięciu z gwarą wileńską groziło jej poważne niebezpieczeństwo przerodzenia się w niesamowity *volapück*⁵. Znacznie później dopiero zrozumiałam, dlaczego przeznaczny ksiądz prałat Sadowski⁶ miał podczas rozmowy ze mną taki wyraz rozbawienia w oczach. Niekiedy zaś wybuchał szczerym śmiechem, jak na przykład w owym dniu, gdy widząc lekki ślad sady na jego czole i w okolicy ust, powiadomiłam go z uprzejmą miną, że on ma „łeb i gębę zapaćkane”.

Bardzo wiele zawdzięczam wyjątkowej serdeczności i staranności pani Marii Kiersnowskiej⁷, która nie ograniczyła się do zajęć w grupie, lecz zaproponowała mi dodatkowe godziny lekcji prywatnych. Dzięki nim wkrótce nie raziałam już otoczenia *barbarizmami* i błędami, jakkolwiek moja ówczesna zwierchniczka pani Adolphowa nieraz jeszcze musiała korygować sprawozdania przeze mnie pisane, co zresztą czyniła bardzo delikatnie.

Pierwsze święta Wielkiej Nocy były jedną nieprzerwaną manifestacją gościnności i dobroci względem nas, nowo przybyłych.

3 Polska Macierz Szkolna — organizacja kulturalno-oświatowa powstała w Warszawie w 1905 r.

4 Maria Jadwiga Reutt (1863–1942) — polska pisarka dla młodzieży, pedagog, działaczka oświatowa. Działała w Zarządzie Polskiej Macierzy Szkolnej Ziem Wschodnich w Wilnie.

5 Volapück — dosłownie język (ogólno)światowy od ang. *world* ‘świat’ i *speak* ‘mowa’. Język sztuczny opracowany w 1879 r. przez niemieckiego księdza Johanna Martina Schleyera. Powstał w oparciu o łacinę, niemiecki, francuski i angielski, przy czym najwięcej elementów pochodzi z języka angielskiego.

6 Ks. Jan Sadowski (1860–1933) — prałat, dziekan Kapituły Metropolitalnej Wileńskiej, sekretarz kurii biskupiej.

7 Być może Maria Kiersnowska (1869–1958) — późniejsza żona Stanisława Wojciechowskiego, prezydenta Polski.

Przesuwają się twarze i sylwetki ludzkie, budzące odruch gorącej wdzięczności: siostry szarytki, u których w domu przy ulicy Subocz czułyśmy się tak bardzo u siebie, panie Kościałkowska⁸, Kalkstejnowa, Sławińska⁹. Miłe wieczory spędzone w estetycznym wnętrzu domu księdza Legusa, skromny pokoik pani Kobran gdzieś na najwyższym piętrze na Zarzeczu, skąd patrzyło się na całe miasto, słuchając barwnych opowiadań o jego przeszłości sędziwej właścicielki. Miał rację ks. Wańkowicz. W Wilnie urodziłam się po raz wtóry. Nic też dziwnego, że musiała tam znaleźć się i rodzina. W skład jej weszło wiele różnych osób, tych drogich „krewnych z wyboru”, kontakt z którymi pozostaje niezmiennym i trwałym.

Na czoło w szeregu drogich postaci wysuwa się osoba księdza prałata Michałkiewicza¹⁰. Od pierwszego zetknięcia się z nim dom jego stał się dla nas z Tereską jakby drugim domem rodzinnym. Nie można było nie przyjść, by podzielić się tam każdą radością i każdą troską. W domu nr 4 przy ul. Zamkowej mieszkała dobroć, życzliwość względem ludzi i stworzeń, prawość niezłomna, głęboka mądrość, połączona z subtelnym dowcipem i niewymuszoną wesołością. Toteż przez osiemnaście lat, od chwili poznania tego człowieka aż do jego zgonu, nie było zdarzenia w moim życiu, o którym by on nie wiedział. Radziłam się jego, przyznawałam mu się do każdego błędu, zwierzałam się z zamierzeń, szłam po pociechę zarówno przy kratkach konfesjonału, jak w prywatnym gabinecie.

Wieluciany

Wieluciany — jak twierdzą zaś niektórzy Wieliczany — jeszcze przed pierwszą wojną europejską były zakładem karnym dla tak zwanych małoletnich przestępców. Przez pewien czas mieściła się tam żydowska szkoła rolnicza. W roku 1921

⁸ Być może Margarita z domu Pouillet Kościałkowska — przybyła z Lotaryngii jako nauczycielka języka francuskiego.

⁹ Irena Sławińska (1913–2004) — teatrolog, historyk i teoretyk literatury.

¹⁰ Ks. Kazimierz Mikołaj Michałkiewicz (1865–1940) — duchowny katolicki, od 1923 r. biskup pomocniczy wileński. Prowadził działalność charytatywną i oświatową wśród Polaków na Wileńszczyźnie.

Ministerstwo Sprawiedliwości znów zorganizowało tam Zakład Wychowawczo-Poprawczy dla chłopców skazanych przez wyrok sądu grodzkiego.

Duży murowany gmach. Kilka mniejszych drewnianych domków dla personelu, kuźnia, nieco dalej za jarem budynki folwarczne, ogromny ogród owocowy, plantacje jarzyn. Przy bramie wjazdowej na pagórku ładne, jakkolwiek wybitnie bizantyjskie kapliczki. Całość otoczona polami, lasami, z jednej zaś strony łąką o podkładzie torfowym. W chwili mego przyjazdu do zakładu liczył on około sześćdziesięciu wychowanków w wieku od dziesięciu do osiemnastu lat, od analfabetów do uczniów starszych klas gimnazjalnych włącznie. Dyrektor, administrator majątku, jego zastępca, dwie siły w kancelarii, magazynier, felczer, ogrodnik, dwóch kowali, sześciu dozorców, dwie kucharki, do dziesięciu robotników folwarcznych, czyli około trzydziestu osób personelu technicznego i gospodarczego. Do tego jedna jedyna nauczycielka, zadaniem której jest uczyć, wychowywać i prostować zniekształcone charaktery na typy dodatnie. Poprzednik mój pracował przez kilka miesięcy, ukrywając fakt, iż jest wyznania mojżeszowego, oraz to, że nie posiada on żadnych kwalifikacji nauczycielskich. Otrzymał polecenie przygotowania chłopców do pierwszej komunii. Związał w przeddzień tej uroczystości o godzinę wcześniej, niż przyjechał ksiądz, żeby spowiadać jego wychowanków. Dopiero wtedy wyjaśniło się, że chłopaki nie posiadają najelementarniejszych pojęć religijnych.

Gdy przypominam sobie warunki życia w Wielucianach, zdaję sobie sprawę, że były one dość ciężkie. Mieszkanie składało się z bardzo skąpo oświetlonego pokoju i małej sionki, w której wbudowana była kuchenka, zresztą prawie nie nadająca się do użytku, tak że gotować trzeba było w piecu pokojowym. Wodę ze studni trzeba było przynosić z bardzo znacznej odległości. Sprawa opału przedstawiała się fatalnie, bo okoliczni wieśniacy żądali wygórowanych cen za drzewo, które poza tym dostarczali, akcentując, że wyświadczają tym wielką łaskę.

Uposażenie, szczególnie w pierwszych miesiącach pracy, było minimalne. Tymczasem zarówno my z Tereską, jak i matka moja, która niedawno przyjechała do mnie, przybyliśmy

z „raju sowieckiego” bez najniezbędniejszych rzeczy i trzeba było prawie wszystko nabywać na nowo. A jednak nie tylko nie mam z tego okresu smutnych wspomnień, lecz przeciwnie — przedstawia mi się on jako coś wyjątkowo jasnego i miłego. Czułam się naprawdę szczęśliwą, bo o ile życie osobiste toczyło się w warunkach nieco trudniejszych, teren pracy uważałam za wspaniały. Przede wszystkim samo uprzytomnienie sobie tego, że pracuje się „u siebie”, w kraju, było czymś, co łatwo zrozumie każdy, kto długo był poza ojczyzną. Poza tym, mimo iż pracy było bardzo dużo, warunki, w jakich ona się odbywała, uważam za wyjątkowo dodatnie. Miałam wielką swobodę działania. Jako zakład podległy Ministerstwu Sprawiedliwości były Wieluciany zupełnie niezależne od zarządzeń i wpływów władz szkolnych. Żadnych okólników, wizytacji, zebrań ani konferencji! Dyrektor zakładu pan Pawłowicz był wybitnym specjalistą w swej dziedzinie (pomologii¹¹) i jako człowiek gruntownie znający swój dział pracy miał istotny szacunek do innych gałęzi wiedzy. Nie pretendował on do jakiegokolwiek wyższości lub akcentowania swej władzy. Miałam nie tylko kompletne zaufanie z jego strony, ale — co najważniejsze — jasno wyrażoną przez niego pewność, że zrobię swoje dobrze. Mogłam więc zupełnie swobodnie dobierać sobie metody, układać program pracy szkolnej i wychowawczej, eksperymentować, obserwować i znów zmieniać szczegóły. Praca była naprawdę twórcza. (Ułatwiało mi ją bardzo, że matka moja całkowicie zajęła się gospodarczą stroną życia, biorąc na siebie wszelkie troski i kłopoty z tej dziedziny oraz gwarantując należyłą troskliwą opiekę małej). Do ułatwień w pracy należało jeszcze i to, że miałam otwarty kredyt w księgniarni i mogłam kupować dla zakładu najrozmaitsze pomoce naukowe, książki, wyposażyć świetlicę itd., jednym słowem nabywać wszystko, co tylko wydawało mi się potrzebnym.

Chłopców podzieliłam na kilka grup, pracując z każdą po dwie-trzy godziny dziennie. Rozpoczynałam zajęcia szkolne o godzinie piątej rano i kończyłam je przed samą kolacją, przerywając je tylko na czas posiłków. Niedzielę zabierała świetlica, którą

¹¹ Pomologia (łac. *pomum* ‘owoc’) — dział sadownictwa, nauka o budowie, pochodzeniu i pokrewieństwie, funkcjonowaniu oraz właściwościach użytkowych odmian drzew i krzewów owocowych.

.....

jednakowo lubiliśmy i ja, i chłopcy, gdyż bawiliśmy się wtedy naprawdę szczerze. To, że chłopców w grupach było stosunkowo niewiele, pozwalało mi gruntowniej poznać każdego wychowanka, jego przeszłość, a nawet nawiązać kontakt z rodziną jego. Zarówno dla chłopaków, jak i dla mnie godziny pracy w klasie były czymś, czego nigdy nie było za dużo. Dla nich szkoła była najjaśniejszym punktem w ich życiu, które przebiegało w atmosferze dość ciężkiej pracy fizycznej w ogrodzie, warsztacie, przy kopaniu torfu itd., w towarzystwie ostrych, nieraz brutalnych dozorców. Ja zaś byłam zawsze bardzo wrażliwą na stosunek otoczenia do siebie. Toteż bardzo cieszyłam się, dostrzegając przejawy życzliwości i przywiązania ze strony moich „poprawczaków”. Nie odczuwałam zmęczenia. Sama młodość i zapał do pracy znaczyły bardzo dużo. Poza tym zorganizowałam odpowiednio chwilę swego wypoczynku. Jeden dzień w tygodniu miałam zupełnie wolny. Wyjeżdżałam wtedy po lekcjach do Wilna, by zaczerpnąć tam powietrza kulturalnego i nabrać sił oraz entuzjazmu do dalszej pracy. Nocleg w miłym pokoiku na Zarzeczcu, gdzie gawędziło się tak dobrze. Rano — ten jeden raz w tygodniu rano był wyjątkowo późnym — trzeba było porobić niezbędne zakupy. Potym odwiedzałam kilka przyjacielskich domów, spędzałam kilka godzin w towarzystwie ks. bp. Michałkiewicza, który żywo interesował się naszą placówką i umiał cierpliwie i uważnie słuchać moich niekończących się relacji o niej. Wtrącał od czasu do czasu subtelną krytykę, wskazówkę lub aprobatę, która jeszcze więcej zapalała do dalszej pracy. Wieczorem teatr, kino albo koncert i powrót późną już nieraz nocą do domu, dźwigając worki i paczki z żywnością na tydzień. Sprawa aprowizacji personelu napotykała bowiem na poważne trudności i trzeba było prawie wszystko przywozić z miasta.

Gromada moich urwipołciów z tego okresu pracy szczególnie mocno wrażyła mi się w pamięć. Z wielką łatwością odtwarzam ich twarze, imiona, nazwiska, niemal dźwięk głosu. Grupa najmłodszych chłopców pilnie pracuje w klasie. Elementarz ma wielkie powodzenie. Cieszą się ogromnie z każdego nowego wyrazu, jaki uda im się odczytać. Większość uczniów jest w wieku

dziesięciu–jedenastu lat. Do szkoły nigdy przedtym nie uczęszczali, wszystko bawi i zajmuje ich szczerze. Nieco starszy jest Michaś M., czemuś przezwany przez ogół „Pietuchem”¹². Ale zarówno on, jak i czternastoletni Żydek K. czują się wśród młodszych o wiele lepiej niż z rówieśnikami w starszej grupie i zawsze starają się przedłużyć godziny lekcyjne. Od kilku dni siedzi w klasie jeszcze jeden nowo przysłany analfabeta, rośli, barczysty Andrzej, wyglądający na lat szesnaście–siedemnaście. Ile ma naprawdę, sam nie wie, papierów nie posiada żadnych. Cieszy się ze wszystkiego w klasie. Bawią go kredki kolorowe, obrazki w książce. Wyprosił pozwolenie, by parę ilustracyj swego egzemplarza pokolorować i właśnie starannie trzyma się równym zabarwianiem kota. Po chwili przestaje i uważnie przygląda się tekstowi pod obrazkiem. Radosny uśmiech zjawia się na szerokiej twarzy:

— Pani, ja umiem przeczytać, co tu pisze — i głośno, niskim basem wygłasza: — ma-ma ma ko-ta!

Niepowstrzymany wybuch homerycznego śmiechu malców i zjadliwe uwagi jednego z nich:

— A co ma kota? — zaskoczyły biedaka. Nim zdążyłam interweniować, cisnął swą książkę o ławkę i oznajmił, że więcej uczyć się nie będzie. Z wielkim trudem udało mi się namówić go, by nadal uczęszczał do zajęć, uczyłam go oddzielnie. Posiadł sztukę czytania, potrafił coś niecoś napisać. Nigdy jednak już nie widziałam u niego owego zapału i radości przy procesie poznawczym jak w chwili, gdy czytał niefortunne zdanie o „maminym kocie”.

Pyszna była żyta grupa małych złodziejaszków, przyłapanych podczas libacji w piwnicy na wpół opuszczonego domu. Od dawna już tam mieszkali po kryjomu, znosząc „do domu” swe łupy. Urządzili się nawet wcale wygodnie, zawieszając nagie mury zdobytymi kocami i dywanami. Gdy jednak udało im się „zarobić” nieco więcej gotówki i kupić butelkę wódki, humorzy dopisały tak, że zaczęły śpiewać na całe gardło. Starowinki

¹² Ros. nemyx ‘kogut’.

.....

mieszkające nad nimi żegnały się tylko trwożliwie, posądzając złą siłę o wyprawianie hałasu, aż objawami demonizmu zainteresowała się policja. W wyniku dochodzenia cała czwórka znalazła się u nas.

W Wielucianach miałam okazję obserwowania jaskrawego przedstawiciela *moral insanity*¹³. Bardziej klasycznego okazu nie spotkałam nigdy w późniejszej swej praktyce. Dziesięcioletni mały, krępy, o głęboko osadzonych chytrych oczkach i łukowatym, [z] zupełnie miękkim podbródkiem Franek był synem nałogowego pijaka. Dowiedziałam się od matki, iż został on poczęty w stanie zamroczenia alkoholowego. Był znienawidzony przez chłopców, którym obrzydzał życie w sposób wysoce wstrętny: podkładał kawałki swych wydzielin do miski z zupą, bez żadnego powodu niszczył ich rzeczy, rzucał na nich nieumotywowane oszczerstwa, oszukiwał na każdym kroku. Wobec tego został Franek izolowany i mieszkał w szpitaliku, gdzie spędzałam z nim po kilka godzin dziennie. Wykazał zainteresowanie do robót ręcznych, drobnego *slöjdu*¹⁴. Dostarczyłam mu włóczki, drobnych drucików, dykty — i chłopak całymi dniami wypłatał kolorowe pudełeczka i podstawki o krzyczących kontrastach kolorów. Z wielkim ożywieniem zakomunikował mi, że nad jego oknem jest gniazdko jaskółek i że on się bardzo z tego cieszy. Po tygodniu dozorca opowiedział, że „coś mu się z tymi jaskółkami nie podoba, bo stare czemuś niespokojne są i piszczą”. Przystawiono drabinę. Okazało się, że pisklęta miały wydłubane oczy i były najeżone drucikami wsadzonymi w ich ciała. Franek patrzył na nas z dozorcą z udanym spokojem i zaraz potem zaczął chlipać:

— Ot, na pewno na mnie powiedzą i całą biedę zrzucą. A może to sam pan dozorca zrobił? Biedny ja, biedny!

.....

¹³ *Moral insanity* — zaburzenie psychiczne, na które składają się nieprawidłowe emocje i zachowania przy widocznym braku upośledzeń intelektualnych, urojeń lub halucynacji.

¹⁴ Szw. *slöjd* ‘zręczność, biegłość’ — system nauczania prac ręcznych w drewnie, metalu, tekturze, wiklinie.

Zwyrodnienie sięgało nawet do zmysłu smaku. Zjadał z prawdziwą przyjemnością surowe dżdżownice, rozgryzał tabletki sacharyny, za drobną opłatą od chłopców zjadł w ich oczach¹⁵ mysz z futerkiem, wypływając tylko kosteczki. Umarł na anemię, mając lat 12.

Żywo stoi mi w pamięci wysoki szczupły Michaś B., syn pułkownika. Rodzina wyrzekła się go zupełnie, kiedy wyjaśniło się, że kradzieże, które zdarzały się u nich w ciągu kilku miesięcy, za które wydaloną służącą, posądzano sąsiadów itd., popełnił on. Na ławie oskarżonych obok Michasia siedziało trzech dorosłych. W ciągu badania z całą wyrazistością odtworzoną została tragedia chłopca. Znajomość z opryszkami, którzy go początkowo częstowali ulubionymi smakołykami, potem namówili do przyniesienia z domu kilku drobnych rzeczy. Później opisywali mu w groźnych barwach katusze, jakie stosowane bywają względem nieletnich w komisariacie i w więzieniu. Wreszcie szantażem, groźbą zadenuncjowania go zmuszali swą ofiarę do przynoszenia im coraz to bardziej wartościowych rzeczy z domu.

Przez kilka tygodni był u nas Józik M., duży, mocno upośledzony umysłowo chłopak. W sądzie on przyznał się do zastrzelenia z karabinu młodej i hożej służącej gospodarza, u którego był pastuszkciem. Opowiadał o swym czynie zawsze w ten sam stereotypowy sposób:

— Wziąłem strzelbę, pociągnąłem cyngiel, trach! Ona upadła i już nie żyła.

Matka odwiedzała go co niedziela. Opowiadała o jego łagodności, dobroci i posłuszeństwie. Do niej był przywiązany w sposób wzruszający. Bez jego zarobku wątłej i chorowitej kobiecie było bardzo ciężko. Spostrzegłam, jak łatwo Józikowi można

.....
¹⁵ W ich oczach — na ich oczach.

.....

wmówić każdą rzecz. Po obserwacji i drobnych próbach przeprowadziłam w obecności dyrektora i lekarza zakładowego następujący eksperyment. Podczas zajęć w klasie podeszłam do Józka, wzięłam gumkę i położyłam sobie do kieszeni. Popatrzył nieco zmartwiony, ale nie protestował. Po chwili zapytałam go, gdzie jest gumka i nie dając mu czasu na odpowiedź, szybko i z naciskiem powiedziałam:

— Wyrzuciłeś ją za okno, prawda? Ot, tak, wziąłeś i wyrzuciłeś?

Przy pierwszym pytaniu chłopiec chciał wskazać, gdzie leży wymieniony przedmiot, potym na twarzy odmalowało się lekkie zdziwienie, które ustąpiło miejsca zakłopotaniu. Gdy swoje twierdzenie powtórzyłam jeszcze kilka razy, zupełnie uspokoił się i później sam radośnie i niezmiennie odpowiadał na pytanie o gumkę, że „ot, tak, wyrzucił ją za okno”. Próby dyrektora przekonania go, że gumkę zabrałam ja, nie odniosły skutku. Dyrektor bowiem mówił bez nacisku i spotkał się z absolutną pewnością chłopca, iż było właśnie tak, jak on mówi. Nowe dochodzenie przeprowadzone w sprawie zabitej dziewczyny wykryło, że zastrzelił ją sam gospodarz, gdyż była w ciąży. Niedorozwój Józka morderca wykorzystał, by skierować śledztwo na fałszywe tory.

Jednym z najmilszych był głuchoniemy chłopaczek, którego imienia i nazwiska nikt nie znał. Przyłapano go gdzieś w Wielucianach, zdaje się, na niewinnej kradzieży, o ile w ogóle można to określenie zastosować w danym wypadku. Wlaź przez okno jakiegoś mieszkania, siadł przy nakrytym do obiadu stołu [!] i zaczął skwapliwie zajadać. Na żądanie właścicielki mieszkania został aresztowany, badany i skierowany do nas. Chłopaczyna był niesłychanie zręczny i zgrabny, doskonale tańczył na rozpiętej linie, artystycznie żonglował kilkoma piłeczkami, robił skomplikowane *salto mortale*¹⁶ w powietrzu, słowem zdradzał gruntowne wykształcenie cyrkowe. Panicznie bał się Cyganów,

.....

¹⁶ Wł. *salto mortale* ‘skok śmierci’ — niebezpieczny skok z dużej wysokości połączony z koziołkowaniem w powietrzu.

.....

placząc na sam widok obrazków ich przedstawiających. Pokazywał przy tym na swoje uszy i krzywił się. Wychowankowie nasi wywnioskowali stąd całą skomplikowaną historię o tym, jak to Cyganie ukradli Kazia (tak nazywaliśmy małego) rodzicom, przekłuli mu bębenki w uszach, jak zmuszali do popisów. Twierdzili, że później dzieciak uciekł od nich i znalazł się sam jeden głodny w miasteczku. Jak było naprawdę — tego nie dowiedzieliśmy się. Kazio był zdolny, sprytny i bardzo serdeczny. Do personelu przywiązał się mocno. Na kolegów wywierał wpływ bardzo dodatni, gdyż najmniejsza nieuczciwość doprowadzała go do rozpacz. Płakał wtedy rzewnie, dając mimiką do zrozumienia, jak brzydko postąpił winowajca, który w rezultacie zawstydzony stawał przed nim z oznakami skruchy, żegnał się i dawał do zrozumienia, że tego więcej nie uczyni. Kazio cieszył się i powracał do dobrego humoru.

Któregoś dnia przysłano nam z więzienia łukiskiego¹⁷ osiemnastoletniego, ponurego młodzieńca A-czo, który oskarżony był o szereg ciężkich występków do zgwałcenia małej dziewczynki włącznie. Dyrektor zarządził, by ulokowano go w separacie i rozpoczął staranie o umieszczenie go w innym zakładzie. W najbliższą niedzielę chłopcy jak zwykle zebrali się w świetlicy, gdzie w ciągu kilku godzin mogliśmy bawić się, rysować, czytać itd. Odosobnienie A-cza wydało mi się zbyt okrutnym. Nie zasięgając zgody dyrektora, który zresztą nigdy nie przeszkadzał mi w moich poczynaniach, wydałam zarządzenie, by przyprowadzono i tego nowego. Parę godzin upłynęły nam bardzo szybko. „Nowy” rysował z zapałem, wykazując nieprzeciętne zdolności do karykatur, czym szczerze bawił gromadkę. Gdy wszyscy wrócili już do swoich cel, on jeszcze ociągał się, marudził, w rezultacie czego zostałam z nim w pokoju sam na sam. Okna były szeroko otwarte, nieokratowane (udało mi się uzyskać zgodę na to). W sąsiedniej sali też było pusto i dopiero

.....

¹⁷ Więzienie na Łukiszkach — najstarsze więzienie na Litwie, położone w śródmieściu Wilna. Jedno z najokrutniejszych miejsc odosobnienia Polaków w rosyjskim i radzieckim systemie represji.

na korytarzu znajdował się dyżurny dozorca. Uczułam nagle jakiś niepokój, spojrzałam na A-cza i zatrwożyłam się jeszcze więcej. Twarz jego miała jakiś sinawy odcień i była wykrzywiona dziwnym grymasem. Podeszedł do mnie i powiedział, powoli cedząc wyrazy:

— A co by pani zrobiła, gdybym ja panią u-du-sił?

Ogromnym wysiłkiem woli opanowałam chęć wołania o pomoc. W pamięci stanęły słowa prof. Toporkowa z wykładów psychiatrii: „nie wolno okazywać lęku lub przerażenia wobec chorych, znajdujących się w stanie anormalnego podniecenia”. Zmusiłam się do wesołego śmiechu i wypowiedzenia zdania:

— Ależ głupstwo powiedziałeś. Przecież jeżeli mnie udusiłbyś, nic już nie robiłabym, tylko byłabym trupem.

Jednocześnie śmiejąc się nadal głośno, szybko poszłam w kierunku do korytarza. Chłopiec powoli, ociężale szedł za mną. Nic nie powiedziałam dozorczy, który zamknął go z powrotem do separatki. Wybiegłam do ogrodu i chodziłam tam i z powrotem po ścieżkach, usiłując uspokoić wzburzone nerwy i drżenie kończyn oraz powstrzymać łzy. Niedługo jednak potem z gmachu zakładowego doleciały do mnie jakieś krzyki i dało się zauważyć zamieszanie. Jak się okazało, A-cz zaczął kołatać w drzwi, żądając odprowadzenia go do pewnej ubikacji. Gdy dozorca otworzył, rzucił się na niego, usiłując chwycić zębami za gardło. Tylko okoliczność, iż dyżurował silny, barczysty i bardzo wysoki mężczyzna, zapobiegła katastrofie. Chory bowiem zdołał jedynie wygryźć mu dość głęboką ranę poniżej krtani.

Dziewczynki. Było ich u nas zaledwie kilka, w wieku od lat dziewięciu do piętnastu. Trafiły do zakładu przypadkowo. Dyrektor nie mógł oprzeć się naleganiom ze strony prokuratora, który prosił przyjąć je bodaj na czas jakiś. Miały być zabrane po kilku tygodniach, ale ustawicznie coś stawało na przeszkodzie i tak trwało całe miesiące. Mieszkały w osobnej, niezbyt wielkiej sali. Do nich została przydzielona panna Helena, córka kucharki zakładowej, miła i inteligentna panienka. W budzecie

zakładu nie było przewidziano na nie ani grosza. Toteż ubrane były w groteskowe grube spódniczki z resztek koców więziennych, męskie koszule zamiast bluzek oraz czasem we „własne” sukienki, z których dawno powyrastały. Rej wodziła Wercia. Pokraczne małe stworzonko o wielkich wypukłych ciemnych oczach. Na czaszce olbrzymi guz wielkości dużej przypłaszczonej pomarańczy. Przed zatrzymaniem jej przez policję była postrachem ulic Wilna. Sprzedawała kwiaty, formalnie terroryzując swych klientów.

— Pan! Kupić kwiatek dla pani! — natrętnie powtarzała swą propozycję, która wkrótce przybierała charakter żądania. O ile nie odnosiła skutku, uciekała się do najrozmaitszych sposobów wymuszania. Była bardzo sprytna i spostrzegawcza. Toteż większość upatrzonych przez nią ofiar wprost bała się jej.

— Nie kupi pan? A jak wczoraj w Bernardynce całowali się, wtedy nie skąpy był! — Cel osiągnięty. Para skonfundowana, przechodnie śmieją się. Albo:

— Dlaczego „odczep się”? Patrzaj, jaki ważny! A kogo to tatuś niedawno pasem walił, że w drugim domu słychać było. Wtedy jęczał i przepraszał, a teraz jaki dumny zrobił się? — Zrozpaczony sztubak gotów zapaść się pod ziemię i na drugi raz bez wahania kupuje od małej jej zwiędnięty, zmiętoszony bukietek.

Jeszcze bardziej obawiali się jej panowie, zachowanie których poza rodziną pozostawiało do życzenia:

— A czemuż to dla żonki nie kupuje? Ot jaki! Dla panienki tamtej i lody fundował i w oczy patrzył jak piesek, a dla żony żałuje, sobaka.

W wypadkach, gdy Wercia nie miała w pogotowiu argumentów obliczonych na szantażowanie klienta, potrafiła ona po prostu obrzucić go błotem, stekiem wyzwisk lub plunąć na jego ubranie, by potem z niebywałą chyżością uciec, kryjąc się gdzieś w cudzym podwórku.

Dwie siostry, Hela i Jadzia (10 i 11 lat), stanowiły jej kontrast. Śliczne, małe blondyneczki o czystej, delikatnej jak porcelana cerze, ujmującym uśmiechu i bardzo uprzejme w obejściu.

.....

Wprost wierzyć się nie chciało, że obie zatrzymane zostały jako prostytutki na ulicy, czego zresztą zupełnie nie ukrywały:

— Starsza nasza siostra tak samo pracuje, ale jej jednej trudno. Musowo trzeba było jej pomóc — tłumaczyła Hela z tą rozbrajającą powagą dziecka, która mimo potwornej przeszłości pozostała dzieckiem.

Kiedy indziej rzeczowo i z istotną znajomością psychologii wta jemniczała koleżanki, jak należy rozmawiać z różnymi mężczyznami, żeby im się podobać:

— Jak młody jest, to trochę żartować, świństwa gadać, samej na kolana wleźć i zaczepiać. A jak starszy, to najlepiej wstydzić się i mówić, że się boisz. Wtedy ochoty nabiera i co tylko zechcesz, to da.

Biedna panna Helena, która usłyszała te zwierzenia, usiłowała interweniować, zawstydzić, mówiąc:

— Jakże możesz takie rzeczy nawet wymawiać?

Na to młodsza odrzekła, broniąc siostry:

— Ona nie myślała, że pani usłyszysz. A dziewczynkę to nie ma czego wstydzić się. One wszystko wiedzą, nie skonfużą¹⁸ się jak pani. Bardzo przepraszamy.

Mania S. lat 14. Była wychowanką internatu prowadzonego przez zakonnice. Wspomina o nich z wielką czułością. Opiekuje się młodszymi koleżankami z troskliwością naprawdę wzruszającą. Ubiera się starannie i czysto. Ma dwie własne sukienki, które ustawicznie pierze i reperuje. Są bardzo krótkie, wypłowiałe, połatane, jednak zawsze wzorowo czyste. Gdy któraś z dziewczynek zwróciła jej uwagę na to, że przy pracy w ogrodzie i tak zaraz pobrudzi się i nie warto tak starannie pracować, oburzyła się:

— Nic ty nie rozumiesz, ty *nieriacha*¹⁹. Jak ja mam czystą sukienkę, to mi się chce być dobrą i miłą. A jak mam na sobie brudną „trapkę”²⁰ (łachman), to zaraz taka zła i ordynarna będę, że sama siebie wtedy nienawidzę.

.....

¹⁸ Skonfużyć się — skonfundować się, poczuć zakłopotanie.

¹⁹ Ros. *неряха* ‘niechluj, flejtuch’.

²⁰ Ros. *тряпка* ‘szmata, łach’.

Pod koniec lata Mania zaczęła tęsknić do wolności. Coraz częściej opowiadała o tym, jak dobrze jest na wsi u ciotki, jak tam bywa wesoło. Wreszcie któregoś dnia uciekła. Natychmiast rozesłano dozorców, żeby sprowadzić zbiega z powrotem. Pytali spotkanych przechodniów o dziewczynkę w szarej sukience. Ale tylko jeden widział taką. O pół kilometra dalej przechodziła dziewczuszka mająca na sobie suknię granatową. Dalej opowiedano o kimś ubranym w szarą spódniczkę i granatową bluzkę z wiankiem na głowie. Potem widziano kulejącą istotę z głową owiniętą w szary materiał. Po dwóch dniach Mania wróciła sama. Ciotka przyjęła ją niegościnnie, znudziła samodzielna wyprawa, postanowiła więc wrócić. Opowiadała ze śmiechem, jak to ona co pewien czas przebierała się w krzakach i jak się tym bawiła, gdy dozorca jej nie poznał, bo gdy on mijał ją, ona pilnie zaczęła plec grzędę w zagrodzie, przez którą właśnie przechodziła.

Krótko była u nas Marysia N. (lat 15). Okazało się, że jest w ciąży. Zajął się nią personel więzienny. Z jej opowiadań wynikało, iż sprawcą jej macierzyństwa był policjant, który ją aresztował, gdy zmęczona nieludzkim obchodzeniem się z nią macochy, uciekła z domu i nocowała w „Cielętniku”²¹. Początkowo wierzyłam w to, co dziewczynom opowiadała, domagałam się dochodzenia, jeździłam do Wilna do prokuratora. Gdy wyjaśniło się, że ciąża jest o kilka miesięcy wcześniejszą niż aresztowanie, na nowo z łatwością uwierzyłam, że ona jeszcze raz przed tym uciekała, tylko o tym nikt nie wiedział, bo wróciła do domu niepostrzeżenie i macocha nie zauważyła. Kręciła bardzo, ja zaś zastanawiałam się głęboko nad tym, jak późno u dzieci krystalizuje się pojęcie czasu i dokładność zeznań, patrzyłam wrogo na prokuratora i w żaden sposób nie chciałam zrozumieć, że nieszczęście Marysi jest o wiele głębsze i bardziej tragiczne niż zewnętrzny splot ciężkich wydarzeń, o których ona mówiła. Tkwiło ono bowiem w niej samej, polegało na głębokim wykołajeniu jej natury, zmysłowość której zaczęła się (sądząc ze słów ojca wzywanego jako świadek) przejawiać w ósmym roku życia.

²¹ Cielętnik — fragment parku zamkowego w Wilnie.

Późną jesienią dziewczynki zostały skierowane do Puszcy Mariańskiej koło Studzieńca²². Odwiozłam je tam, nie mogłam jednak dokładnie zaznajomić się z pracą i duchem tego zakładu, bo krótko przedtem nastąpiła zmiana dyrektorki i dawnego personelu. Miało to jako skutek gruntowne przekształcenie wszystkich tradycji i systemu instytucji. Był właśnie okres podwyższonej temperatury, dreszczów i walki organizmu z zastrzykami — zjawisko typowe dla rewolucyjnych zmian życia zbiorowego. Toteż odjechałam bez określonego wrażenia.

Zatrzymałam się na czas jakiś w Warszawie, co pozwoliło mi zawrzeć znajomość z panią Natalią Narbuttową, długoletnią, dopiero co zdymisjonowaną dyrektorką Puszcy Mariańskiej. Po kilku godzinach znajomość przerodziła się w przyjaźń. Był już jasny dzień, kiedy przerwałyśmy naszą gawędę, rozpoczętą wczoraj przy wieczornej herbatce. Głęboki szacunek do indywidualności ludzkiej, szczerą i czynną jej miłość do każdego, kto potrzebował lub mógł bodaj potrzebować pomocy, przejawiały się w każdym słowie tego niezwykłego człowieka. Kilkadziesiąt lat pracy dla innych, pracy cichej, ofiarnej z częstym narażeniem siebie. Nie lubiła mówić o sobie. W kilka lat później szłam za jej trumną w dużej gromadzie szarych ludzi o wytartym ubraniu, kobiet w chustkach na głowach obok modnie — zbyt modnie i wyzywająco! — ubranych młodych dziewcząt, które zalewały się łzami. Dowiedziałam się wtedy ze słyszanych urywków rozmów wielu nieznanych mi dotąd szczegółów bądź o konspiracyjnej pracy niepodległościowej w carskiej Rosji, bądź jakże tajnej (bo przekraczającej wielokrotnie całomiesięczny budżet tej kobiety) pomocy udzielanej zwolnionemu z więzienia. Usłyszałam o małym schronisku zorganizowanym przez Zmarłą i utrzymywanym dzięki wielu staraniom i poniżeniom, dokąd mogła zgłosić się, zamieszkać każda z jej dawnych uczennic, chwilowo znajdująca się w potrzebie.

²² W 1876 r. powstał w Studzieńcu zakład poprawczy dla chłopców, a w kilka lat później w 1890 r. w Puszcy Mariańskiej — dla dziewcząt. Drugim dyrektorem zakładu dla dziewcząt była Natalia Narbuttowa, która część dochodów ze swych włości przeznaczała na utrzymanie tego zakładu.

Głośne szlochanie obok mnie i hałaśliwe wycieranie nosa każe mi spojrzeć w tę stronę. Idą tu nieco podejrzanego wyglądu dziewczęta. Jedna ma oczy suche i strofuje płaczące:

— Czego tu mazać się. Starłybyście lepiej farbę z fizji. Przecież nie na „robotę” przyszłaś, a na Pani pogrzeb.

— Oj, prawda, zapomniałam. — I mokrą chustką od nosa ściera sobie szminę z policzków, poczym znów wychodzi z płaczem:

— Pani, moja Pani jedyna! Nie gniewaj ty się na mnie, że inaczej poszłam. Kochałam Ciebie, a Ciebie już nie ma.

Wystarczyło dziewczęciu zobaczyć łzę na moim policzku wobec trumny opuszczonej w dół, a ruchem serdecznym pogłaskała mnie po ramieniu:

— Dziękuję, że i pani ją kochała.

Jasne, ufne oczy, a dookoła ust, obecnie nabrzmiałych po płaczu jak u dziecka, rysy od ciągłego, profesjonalnego, „znaczącego” uśmiechu. Tego uśmiechu, co tak szpeci twarz, a który nauczyły się naśladować kobiety stojące niby to nieskończenie daleko od tej swojej siostry, której w życiu nie powiodło się.

Krótki ten pobyt w Warszawie pozwolił mi zetknąć się z ludźmi, którzy w znacznej mierze wpłynęli na kierunek mego życia w następnych latach. Zwiedzając instytucje dla dzieci anormalnych, trafiłam do Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi²³. Ubogi zakład przy ul. Polnej²⁴, ludzi tam pracujący, ich entuzjazm do pracy, porywający zapał, wiara w to, co robią, wywarły na mnie silne wrażenie. Im byli potrzebni pracownicy. Szkoła nie miała kierownictwa. Bez dłuższego namysłu zgodziłam się na propozycję objęcia tej placówki. Tegoż dnia

²³ Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi w Laskach — stowarzyszenie mające na celu otaczanie niewidomych i ociemniałych wszechstronną opieką w zaspokajaniu ich potrzeb edukacyjno-wychowawczych, rehabilitacyjnych, socjalnych i religijnych, założone przez hrabiankę Różę Czacką w 1911 r.

²⁴ W 1918 r. Towarzystwo wynajęło przy ul. Polnej 40 lokale dla 21 niewidomych dziewcząt i ochronki dla 9 dzieci.

.....

w Ministerstwie Oświaty poznałam dr Marię Grzegorzewską²⁵, która zaproponowała mi wykłady metodyki nauczania niewidy-
momych w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej.

Gdy jednak po powrocie do Wielucian napomknęłam chłop-
com o swej decyzji przeniesienia się do Warszawy, spotkałam
się z tak gwałtowną reakcją z ich strony, że zrezygnowałam
ze swego zamiaru. Wydało mi się, że tu jestem niezbędna,
niezastąpiona. Świadomość taka daje kobiecie bardzo wiele.
Z nowym zapałem zabrałam się do pracy. W tym okresie dużo
wysiłku poświęciłam zagadnieniu obserwacji wychowanków,
układaniu ich charakterystyk oraz organizacji rozrywek i za-
jęć poza godzinami pracy obowiązkowej. Utworzyłam również
komplet dla dzieci funkcjonariuszów zakładu. Kilkukilometro-
wa odległość zarówno od Nowej Wilejki, jak od Czetyrników²⁶,
gdzie była czteroklasówka, utrudniała malcom korzystanie
ze szkoły. Moja Tereska właśnie w tym komplecie rozpoczęła
swoją edukację. Była co prawda zbyt małą na systematyczną
naukę szkolną, bywała jednak obecną na lekcjach i nauczyła się
czytać wcześniej od swych starszych kolegów. Przyjeżdżał tam
również Wacek Markiewicz z Łożnik, co zapoczątkowało moją
wieloletnią przyjaźń z tą rodziną.

W grudniu przeżyły Wieluciany ostry kryzys: zmianę dyrekto-
ra. Rzecz jasna, że bardzo dobrze jest, gdy zaprowadza się ład
i porządek w kancelarii, inwentarzu, powiększa się listę biu-
ralistów, aktów. Dobrze jest, gdy dyrektor, chociaż nie jest pe-
dagogiem i nie ma w tym kierunku odpowiednich warunków,
interesuje się szkołą i daje wskazówki. Tylko bywają takie na-
uczycielki, które wtedy tracą nie tylko zapał, ale i zwykłą chęć
do pracy. Bywają zakłady, gdzie wtedy robi się nie tak pogodnie
i serdecznie, patriarchalnie — jak było dotychczas; zapanowu-
je sztywność, nieszczerłość, formalizm.

.....

²⁵ Maria Grzegorzewska (1888–1967, według niektórych źródeł
1887–1967) — twórczyni polskiej pedagogiki specjalnej. Założycielka
w 1922 r. Instytutu Pedagogiki Specjalnej, pierwszej polskiej uczelni
przygotowującej nauczycieli dla szkolnictwa specjalnego.

²⁶ Czetyrniki — wioska, dawniej folwark więzienia Łukiszki, skąd do-
starczano żywność dla więźniów.

Wtedy nauczyciel indywidualista nieumiejący dostosować się do samego tylko zlecenia, któremu nie może przyznać żadnej głębszej racji, nauczyciel dostrzegający wielkie błędy nowo prowadzonej organizacji, niekiedy zaś rzeczy przez niego uważane za zgubne dla młodzieży tam wychowywanej, mówi sobie: „Trzeba stąd wiać!”. W ostatnim dniu sierpnia wyjechałam z matką i swą Tereską do Warszawy, by pracować w Towarzystwie Opieki nad Ociemniałymi.

W stolicy

Laski — Polna

— Przez Krzyż — do nieba! — Głosy dziecięce, starcze, kobiece i męskie wymawiają te wyrazy tak, jak mówi się hasło i odzew. Wypowiada je każdy wchodzący do pokoju. Przez niewielką salę jadalną, korytarzyki, klatkę schodową przesuwa się mnóstwo ludzi. Ruchy opanowane, niekiedy zupełnie sprawne i szybkie. Wyrazy twarzy najczęściej pogodne. Często słysząc młody śmiech i żarty. Wśród niewidomych przesuwiają się brązowe habity zakonnic lub czarne sylwetki siostr postulantek usługujących przy obiedzie. W przejściowej kuchni ruch jest jeszcze większy. Tutaj są wydawane posiłki tym, którzy zabierają je do domu. Ten ma jakieś cierpienie nerkowe i jemu przysługuje dieta bezbiałkowa, tamta staruszka, z właściwą jej wiekowi niespokojną nieufnością, już po raz szósty dopytuje się, „czy siostrzyczki nie zapomniały, że ona nie lubi słonego”. Ktoś zanosi się od kaszlu, kto inny domaga się większej porcji. W kancelarii zakładowej co chwilę dźwięczy telefon, rozlega się suchy klekot maszyny do pisania, dźwięczy dzwonek u drzwi wejściowych, wchodzi interesanci. Na podwórzu zajężdża furmanka: jakiś ofiarodawca przysłał zboże dla zakładu. A tu z wielkim hałasem wpada gromada chłopców, którzy przyszli na obiad. Przechodząc przez kancelarię, mówią swoje: „Przez Krzyż...” i zatrzymują się uważni i zaintrygowani, bo w odpowiedzi wypowiedzianej przez obecnych dosłyszeli nieznajomy sobie głos.

.....

Człowiek czuje się oszołomionym przy pierwszym zetknięciu z życiem zakładu. Tyle ruchu, pracy pospiesznej, spraw nagłych drobnych i większych. W dalszych pokojach, gdzie mieszka ją dziewczęta, jest spokojniej. Jedna nuci piosenkę, część czyta ogromne foliały książek pisanych alfabetem Braille'a, sucho postukują o siebie druty, na których wykonują się roboty włóczkowe. Na moje: „Przez Krzyż...” zgodnym chórem odpowiadają: „Do nieba” i po chwili już gawędzimy sobie. Miłe, kulturalne dziewczęta życzliwie informują mnie o zwyczajach i trybie życia tutaj.

Przy ulicy Polnej mieści się tylko biuro, jadalnia, nasze pokoiki i mieszkają nowo przyjęte siostry. Chłopcy zajmują oddzielne mieszkanie przy ulicy Emilii Plater, o kilka ulic dalej. Tamże znajduje się warsztat koszykarski. Najważniejsza część zakładu jest w Laskach, gdzie teraz są młodsze dzieci, przytułek dla chowanek²⁷, klauzura sióstr nowicjuszek i gdzie budują szereg nowych domów.

— O, tam dopiero, gdy wszystko pobudują i wykończą, będzie duży i ładny zakład!

Wyjaśnia się jednak, że niespiesznie im tam. Tutaj bowiem tkwią uczuciowo. Zosia chodzi do seminarium nauczycielskiego sióstr zmartwychwstanek²⁸, gdzie czuje się doskonale. Hela uczy się śpiewu; żywa jak ogień Michasia i spokojna Litwineczka Magdzia pracują w koszykarni i chcą jak najpiękniej wykończyć rozpoczęte obstalunki. Łagodna, ogólnie lubiana Mańcia, nie przerywając ani na chwilę pracy przy swym swetrze, opowiada, że tutaj ma dużo klientów dostarczających jej robotę. Każdą wiążą jakieś nici przyjaźni z dawnymi wychowankami, które już wyszły, z rodziną zamieszkały w stolicy. Przede wszystkim zaś tutaj jest możliwość pójścia do teatru, przychodzą panie, żeby czytać książki, tu słyszą i łatwo dowiadują się o tym, co dzieje się na świecie.

.....

²⁷ Chowanka — wychowanka.

²⁸ Seminarium nauczycielskie prowadzone przez siostry zmartwychwstanki w latach 1919–1936 — pięcioletnia szkoła średnia przygotowująca do matury i dająca uprawnienia do wykonywania zawodu nauczyciela. W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości uzyskała wysoką pozycję w szkolnictwie warszawskim; otrzymała też uprawnienia państwowe.

Istotnie, uderzającym jest żywe zainteresowanie się dziewcząt wszystkim, o czym się mówi. Chłoną w siebie szczegóły, pytają, chcą wiedzieć więcej. Opowiadam o Wilnie, jego zabytkach, okolicy, Ostrej Bramie. Muszę dokładnie wyjaśnić, jak szeroka i długa jest uliczka do niej prowadząca, gdzie są schody, czy mają poręczę, jakie są organy, co najczęściej grają, na jaką melodię śpiewa się litanię. Ale przede wszystkim sam Obraz. Układ rąk, pochylenie głowy, barwy szat — niezliczona ilość drobnych szczegółów, nad którymi dotąd nie zastanawiałam się, które umknęły uwadze, teraz zaś stają się ważnymi, nabierają znaczenia. Gdy rozpoczął się rok szkolny, dzieci z Lasek wróciły na ul. Polną. Praca ułożyła się dobrze. Utworzyły się trzy grupy, kilka osób zgłosiło swoją współpracę i zajęcia potoczyły się normalnie. Największą trudność, jak zresztą widziałam to w wielu instytucjach tego typu, stanowiło to, iż obok dzieci umysłowo normalnych, a nawet bardzo zdolnych, w grupach młodszych znajdowały się jednostki niedorozwinięte, które bardzo hamowały postęp pozostałych. Wielką pomocą była ofiarna i pełna zaparcia się siebie pomoc panny Mańci, niewidomej, młodej dziewczyny, która prowadziła grupę wstępną i uczyła dziewczynki robót włóczkowych. Posiadała dużo taktu i wyczucia pedagogicznego, doskonale znała psychikę dziecka ociemniałego, dzięki zaś wielkim zasobom uczucia macierzyńskiego umiała stworzyć dookoła siebie pogodny i radosny nastrój pracy. Środkową grupę prowadziłam ja sama i z wielkim zapałem stosowałam metodę ośrodków zainteresowań. Dzieci na początku miesiąca wysuwały swoje propozycje co do tematów i po uzgodnieniu ich dzieliliśmy je na drobniejsze. Na tym tle pomiędzy dziewczynkami, których było pięć, a naszym jedynakiem Józikiem dochodziło nieraz do ostrych konfliktów.

Nadrzędnym ośrodkiem na rok szkolny były kraje pozaeuropejskie.

— Ja bardzo bym chciała dowiedzieć się o tym, co ludzie na całym świecie jadają — prosi tłusciutka, zawsze spokojna Helena.

— Ty byś tylko jadła i jadła — strofuje ją żywa i gwałtowna Jasia. — Lepiej będziemy uczyli się, jak bawili się ludzie dawniej, a jak dzisiaj w różnych krajach.

Na to śliczna Irenka o ogromnych, czarnych oczach, które robiły wrażenie uważnie patrzących na tego, z kim rozmawiała, cicho oznajmiła swoim śpiewnym głosikiem:

— Żeby tak lepiej... jak sierotom bywa wszędzie: i murzyńskim..., i białym..., i chińskim — przy czym oblewa się jaskrawym rumieńcem.

Przebiegła Frania, do której w naszym zespole nauczycielskim przylgnęło przezwisko *Tartuffe*²⁹, oponuje:

— Wcale mnie nie obchodzi ani zabawa, ani jedzenie, ani nic, tylko pragnę słuchać o Panu Jezusie.

Józika aż poderwało:

— Nie obchodzi! A kto najwięcej zjada i prosi siostry o najtłustsze kawałki? I jak na operę są bilety, to aż piszczy, żeby ją zabrali. A tu tylko udaje. Proszę nie kręcić; jakbyś tak kochała Pana Jezusa, to byś mi nie ściągnęła harmonijki. — I nie czekając na replikę obrażonej koleżanki, podskakuje do mnie i błagalnie prosi: — Ja tak chcę o Ameryce uczyć się, o wszystkim, co tam jest, o *cow-boyach*³⁰, o murzynach, o domach wysokich. I jak ten wodospad, co to mamusia o nim mówiła, zapomniałem, jak on nazywa się. Proszę was dziewczynki, zgódźcie się. To takie ciekawe, a nie takie tam wasze, co wy chcecie.

Ustaliliśmy wreszcie, że na ten miesiąc przerobimy *Chatę wuja Toma*³¹. I okazało się, że wszyscy byli zadowoleni, nawet ponura zazwyczaj Stasia, która ze względu na ataki epileptyczne nie zawsze mogła pracować z nami. W najstarszej grupie, składającej się samych chłopców, niepodzielnie panował system przedmiotowy. Utrzymywali oni ścisły kontakt ze znajomymi uczniami gimnazjum i skrupulatnie pilnowali, by nie prześcignęli ich w jakiegokolwiek dziedzinie. Zespół nauczycieli w tej grupie był liczny: panna Aniela Kurkszówna,

²⁹ Tartuffe — tytułowy bohater komedii Moliera *Świętoszek*, uosobienie hipokryzji.

³⁰ Ang. cowboy 'kowboj'.

³¹ *Chata wuja Toma* — powieść przeciwko niewolnictwu autorstwa Harriet Beecher Stowe opublikowana w 1852 r.

pani Janina Brodzińska, pan Longin Bielawski i pan Rafał Blüth. Nie żalowali oni czasu ani wysiłków, toteż urwisy nasi w ciągu zimy z łatwością opanowali program dwóch klas gimnazjalnych, z czego byli niezmiernie dumni. W Laskach grupę starszych dziewcząt prowadziła pani Felicja, cicha, sumienna nauczycielka, która coraz bardziej traciła wzrok i wobec tego gorliwie pracowała nad opanowaniem alfabetu Braille'a. Zajęcia te nosiły charakter szkoły dla dorosłych i miały za zadanie wyrównać braki wiadomości z różnych dziedzin. Dziewczęta bowiem przyszły do zakładu z różnorodnych środowisk — bądź jako analfabetki, bądź po kilkuletniej nauce w innej instytucji, bądź posiadając pewien zasób wiedzy zdobyty drogą samouctwa. Prymską była łagodna i wybitnie skromna Sabinka, marzeniem której było dostać się kiedyś do seminarium nauczycielskiego, tym bardziej że próba z Zosią świetnie dając[ą] sobie radę i trzema chłopcami uczęszczającymi do seminarium Towarzystwa „Przyszłość”³² dawała bardzo zadowalające wyniki.

Ogólnymi ulubieńcami była para naszych najmłodszych: trzyletni Michaś i czteroletnia Tuśka. Michaś miał tylko jedno oczko, bardzo co prawda wysadzone z orbity i niewidzące. Drugie wypłynęło mu przed rokiem wskutek osobliwego leczenia środkami domowymi przez usługowe sąsiadki. (Matka jego była praczką i mydliny zanieczyściły oczy synka). Tuśka, również zupełnie niewidoma, miała jednak obie gałki oczne, co stanowiło przedmiot wielkiej zazdrości chłopca. Upominał on się gwałtownie o swoje drugie oko u wszystkich, nawet głośno domagał się zwrotu jego od Boży, gdyż tak mu odpowiedziały siostry na jego natarczywe pytania, kto ma jego drugie oko. Dobra Tuśka podzieliła się zmartwieniem i po swoim starała się mu zaradzić. Gdy pewnego dnia przyjechałam z Warszawy do Lasek, mała odprowadziła mnie na stronę, posadziła na niskim stołku i położyła moją rękę na swojej twarzyczce:

— Co mam zrobić, dziecinko?

³² Seminarium Nauczycielskie Męskie Towarzystwa Wychowawczo-Oświatowego „Przyszłość” w Warszawie.

— Weź ty jedno oko i oddaj ty jemu — dobitnym szeptem zażądała mała. Musiała ona już przedtem robić próby w tym kierunku i po ich niepowodzeniu postanowiła, widać, zwrócić się po pomoc do mnie.

Gdy sięgam pamięcią wstecz do tego pierwszego roku pracy w Towarzystwie, nie mogę nie przyznać, że górują wspomnienia jasne i pogodne. I tutaj, jak w Wielucianach, miałam nieograniczoną swobodę w swej pracy szkolnej. Miałam również serdeczne, nacechowane nutą rodzinnego przywiązania stosunki z dziećmi, które nazywały mnie „mamusią” i okazywały dużo czułości. Gdy w dniu moich imienin, niedługo po przyjeździe, usłyszałam życzenia, bym „jak najprędzej umarła i do nieba zaraz poszła”, byłam co prawda bardzo zaskoczona, ale szybko pocieszyłam się tym, że dzieci wypowiedziały to, co według ich mniemania było najlepszym. Wkrótce zaś tak daleko przejęłam się ogólnym nastrojem religijnym, że sama gotowa byłam składać ludziom podobne życzenia. Praktyki religijne wykonywałam z zapałem, spędzając każdą wolną godzinę w kaplicy, tak że pod kolanami porobiły mi się duże i bolesne guzy, napełnione jakąś cieczą. Stosunek mój do Matki Czackiej³³ nacechowany był bezkrytycznym uwielbieniem, zbliżonym do bałwochwalstwa. Jej osoba, wpływ, urok osobisty, nastrój panujący w jej otoczeniu, potrzeba obcowania i uzyskania aprobaty z jej strony absorbowały do takiego stopnia, że po prostu zasłaniały sobą istotne życie religijne. Sprowadziło się ono do kultu jednostki uważanej za świętą, stanu euforii i sztucznego napięcia nastroju religijnego, w wyniku czego byłam w ciągu tego roku bardzo szczęśliwa, ale nie byłam sobą. Toteż gdy w naturalnym biegu życia stan napięcia i wyśrubowania zaczął słabnąć, zjawiała się potrzeba krytyki. Błędy i słabości wydawały się gorszymi, niż były w rzeczywistości, wyolbrzymiały się tak samo jak w ubiegłym okresie zalety i urok. W drugim roku mej pracy w Towarzystwie nastąpiło u mnie głębsze zżycie się ze starszymi niewidomymi. Bardzo często wydawało mi się, że ich punkt widzenia ma więcej słuszności niż stanowisko zajęte przez władze instytucji i siostry. Stałam kilka razy otwarcie po ich stronie.

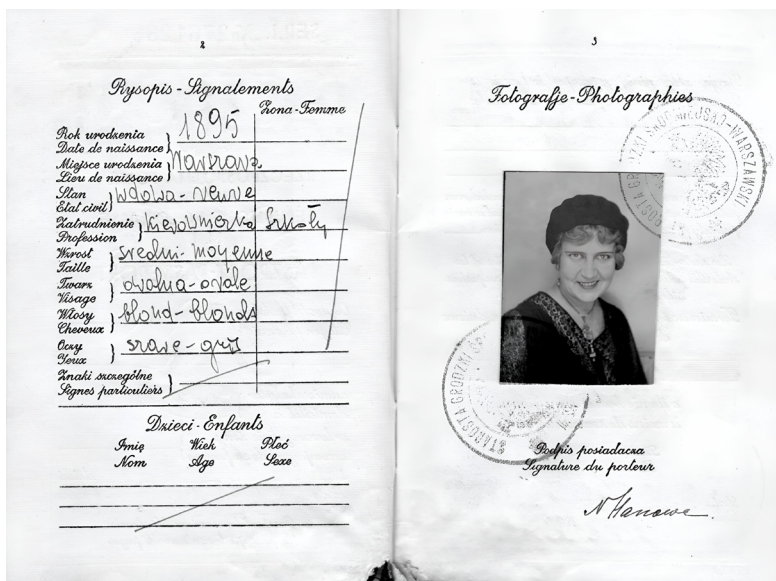
³³ Róża Maria Czacka (1876–1961) — polska zakonnica, ociemniała; założycielka Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi; twórczyni Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych w Laskach.

Zaczęłam uczęszczać na wykłady w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej. Ponieważ w swoim czasie zrzekłam się proponowanego mi stanowiska prelegentki, obecnie nie wracałam do tego tematu. Zresztą interesował mnie więcej dział nauczycieli dla dzieci moralnie zaniedbanych. Po przejrzeniu programu przekonałam się, że mimo gruntownych studiów w tej dziedzinie, jakie dokonałam, będąc na uniwersytecie, brakuje mi niejednego, szczególnie z dziedziny metodyki i dydaktyki. Zapisałam się więc jako wolna słuchaczka i odtąd byłam na wszystkich wykładach. To co dotychczas znajdowałam po omacku, intuicyjnie w ciągu swej pracy z dziećmi, tutaj odnalazłam w postaci skryształowanej, jasnej, opartej o autorytety. Nastroj panujący w Instytucie z jego beztróską swobodą, zajmujące wykłady, wycieczki, pracownia psychologiczna — wszystko to pociągało i wywoływało żywy oddźwięk w duszy. W dotychczasowym swym otoczeniu nie mogłam z nikim dzielić się myślami i przeżyciami, jakie dawała mi praca w Instytucie. Stosunki moje z Towarzystwem już nacechowane były pewnym chłodem i rezerwą. Byłam tą, która wyraźnie wyłamywała się spod ogólnego nastroju. Gdy usiłowałam po powrocie z wykładów podzielić się wrażeniami z czegoś, co mnie szczególnie pociągnęło lub wydało się rewelacyjnie ważnym, spotykałam się i ze słowami niechętniej, a w każdym razie nieufnej krytyki, co rzecz jasna, jeszcze powiększało mój zapał i pogłębiało rozdźwięk. Wzrastało podrażnienie i to nie tylko w stosunku do jednostek krytykujących, ale i względem Prawdy przez nich reprezentowanej.

Mój ówczesny stan da sprowadzić się w ogólnych zarysach do następujących rozumowań: chrześcijaństwo jest, niewątpliwie nauką przepiękną, ale w praktyce nieosiągalną. Przeżycia religijne są sprawą ściśle osobistą, intymną każdej jednostki. W życiu społecznym mogą się one stać nawet szkodliwymi, bo wywołują nieszczerłość, fałsz i zakłamanie wobec samego siebie. Kler dąży do ujarzmienia i opanowania całego społeczeństwa, do zabrania ludziom ich wolności i radości życia.

Szacunek do indywidualności ludzkiej, uważne ustosunkowanie się do każdego jej przejawu, głód korzystania z tego, co dała kultura: teatru, muzyki, literatury pięknej, zdobyczy

pedagogicznych, głębokie zainteresowanie tym, co daje nauka — oto było to, co mocno pochłaniało mnie w tym okresie. Wówczas właśnie miałam możliwość bliższego zetknięcia się z człowiekiem tej miary, co dr Grzegorzewska. Jej intelekt i zalety osobiste wywarły tak głęboki i niezatarty ślad na każdym z nas, kto miał możliwość słuchania jej wykładów, współpracy z nią lub po prostu obcowania, że dla setek słuchaczy Instytutu poznanie tego człowieka stało się decydującym w życiu. Widywałam ludzi, którzy w pewien czas po ukończeniu Instytutu stawali się karierowiczami, rozmijali się z kierunkiem nacechowanym szczerym idealizmem, jaki ona reprezentowała. Ci jednak starannie unikali wtedy zetknięcia się z nią, nie mieli odwagi znieść jej głębokiego i poważnego spojrzenia. Zresztą nie czuję się w prawie charakteryzować tego niezwykłego człowieka, nacechowanego, powiedziałabym, geniuszem człowieczeństwa. Wiem tylko, że budziła ona w nas szczerzy entuzjazm do pracy, wiarę w człowieka, miłość i szacunek do dziecka, potrzebę zdobyczy naturalnych i pogodny optymizm ułatwiający pracę.



Ilustracja 15. Paszport uzyskany na wyjazd do Włoch (1933 r.)



Ilustracja 16. Natalia we Włoszech (1933 r.)

.....

Szkoła nr 137 (A)

.....

Ul. Budowlana 13

W sierpniu 1926 roku otrzymałam nominację na stanowisko nauczycielki publicznej szkoły specjalnej nr 137 w Warszawie przeznaczonej dla chłopców moralnie zaniedbanych. Szkoła ta istniała już w ubiegłym roku szkolnym i miała dwie klasy. Obecnie została znacznie powiększona. Utworzono przy niej internat, tak że właściwie powstała zupełnie nowa instytucja. Poród jej był bardzo trudny. Stu kilkudziesięciu chłopców, którzy prawie jednocześnie przybyli z różnych szkół, natychmiast rozpoczęło próbę narzucenia nam swej woli. Niekarność i cyniczne wyłamywanie się spod stawianych im wymagań, charakteryzujące większość przysyłanych nam uczniów, w tłumie zyskiwały na sile, przybierały nowe, coraz ostrzejsze formy zupełnie rozhułanej samowoli. Do tego brakło nam szeregu najelementarniejszych rzeczy. Nie mieliśmy stałego budżetu internatu, który utrzymywał się na początku z subwencji nierównej wysokości udzielanych w nieustalonych okresach czasu od różnych instytucji. Nie było etatu wychowawcy, wobec czego nauczyciele musieli pracować zarówno rano w klasie, jak i przez pozostałe godziny doby. Nie posiadaliśmy nawet bielizny pościelowej i chłopaki przynosili z domu, odnosząc tamże do prania prześcieradła i poszewki o bardzo niejednolitej, niekiedy zaś podejrzaney świeżości.

Lokal urągał prymitywnym nawet wymaganiom celowości i higieny. Stary murowany budynek na rogu dwóch ulic bez ogródka, boiska, pozbawiony wszelkiej estetyki. Ani wodociągu, ani kanalizacji lub innych niezbędnych urządzeń kulturalnych. Izby szkolne, warsztatowe (stolarnia, introligatorynia i drobny *slöjd*) oraz pokoje przeznaczone na sypialnie

i jadalnię mieściły się w dwóch różnych domach, odległych od siebie blisko o kilometr, gdyż Zarząd Miasta donajmował do naszego użytku jeszcze małą drewnianą rudere na krańcu miasta. Chłopcy nazywali ten dodatkowy dom „budynkiem protekcyjnym”, ponieważ dach jego, latami nienaprawiany, przeciekał w dżdżystą pogodę, dostarczając dużo niespodzianek. Większość personelu nigdy dotąd nie pracowała w internatach. Hospitacje zaś lekcyj, jakie odbywaliśmy w ubiegłym roku, dały bardzo niewystarczający zasób wiedzy praktycznej. Metody i systemy wychowawcze, o których mówiono na wykładach lub które dały się poznać drogą odpowiedniej lektury, tutaj nie mogły mieć zastosowania, okazywały się nierealnymi. Życie wymagało mnóstwa szybkich, natychmiastowych decyzji wobec piętrzących się w zawrotnym tempie trudnych sytuacji. Trzeba było walczyć z nacierającą falą anarchii o porządek, ład, możliwość współistnienia, o swój autorytet, o całość uboższego urzędu naszej instytucji. Utrudniało sytuację jeszcze i to, że w postępowaniu swoim każdy z nas szedł własną ścieżką, walcząc i borykając się rozpaczliwie, wstydząc się niepowodzeń i porażek i zerkając z pewną domieszką zazdrości na pracę w sąsiedniej klasie, o ile tam działało się już nieco lepiej.

Moje pierwsze wejście do klasy odbyło się w okolicznościach mocno niecodziennych. Na dwóch oknach stało kilku chłopców, ostentacyjnie załatwiając swe potrzeby fizjologiczne na ulicę ku wielkiemu oburzeniu przechodniów. Pozostali patrzyli na mnie z zaciekawieniem, czekając na to, jak się zachowam. Ktoś bardziej niecierpliwy zwrócił się do mnie z udanym oburzeniem, nazywając po imieniu czynność, „co te wyrodk robią”. Nie spojrzałam w tę stronę. Podeszłam do stolika nauczycielskiego i powiedziałam, że wcale się nie dziwię. Bardzo małe dzieci, pieski i wariaci zawsze tak postępują, a ja w życiu już niejedno widziałam, bo pracowałam w szpitalu. Klasa zaczęła wołać na bohaterów smutnej komedii tak, jak wabi się psa, bądź też używać zwrotu „dzidzi”. Ktoś zaproponował składkę na bilet do Tworek. Oni pogniwiali się, ktoś kogoś uderzył, ktoś wyszedł, trzaskając drzwiami. W każdym razie obiektem śmieszności zostałam nie ja, lecz ci, którzy przed

.....

chwilą spodziewali się poklasku tłumu. Dalej już łatwiej było zająć uwagę gromadki opowiadaniem o naszym improwizowanym internacie na Bajkale. Mówiłam na początku głosem raczej donośnym, stopniowo zniżając go i w klasie robiło się coraz ciszej. Po kwadransie pomimo protestów przerwałam i oznajmiłam, że dopiero na ostatniej godzinie, o ile przerobimy przewidziany na dziś materiał, opowiem dalej. Lekcje szły kulawo, ale jakoś szły. Dzień po dniu trzeba było kupować uwagę kolosalnym naprężeniem nerwów, opanowywać nasuwające się mniej lub więcej drastyczne sytuacje, wyszukiwać w nieznanym sobie bliżej tłumie sprzymierzeńców, częściowo z solidniejszych, częściowo zaś właśnie spośród najtrudniejszych typów. Często obracałam niewłaściwe wybryki, samowolne opuszczenie klasy lub inne przejawy niekarności w żart. Od pierwszego dnia zaczęłam natomiast zwiedzać środowiska rodzinne chłopców, wiedząc, że zetknięcie się z uczniem poza atmosferą szkolną ułatwia bardzo zbliżenie. Przynosiłam ze sobą do klasy książki, pocztówki z widokami zwiedzanych przeze mnie krajów, urządałam podczas lekcji krótkotrwałe gry towarzyskie dla odpoczynku, w rodzaju „ptaki fruwać” lub zgadywania zagadek. Wszystko to gorączkowo, pośpiesznie, żeby tylko ani na chwilę nie wypuścić spod swego steru życzliwej uwagi gromady i nie dać jej skierować się przeciwko mnie. Nie było to przemyślane ani celowe, raczej mogę to nazwać instynktowną samoobroną. Ułatwiało pracę jeszcze i to, że w całej szkole, w każdej klasie życie zaczęło dochodzić do jakiejś takiej normy. Koledzy nie wtajemniczali mnie w sposoby, jakimi oni osiągalni karność w swoich grupach. Przypuszczam, że każdy z nich zgodnie ze swymi zdolnościami i możliwościami stosował własne sposoby wychowawcze. Muszę jednak powiedzieć, że o ile nawet tu i ówdzie została użyta siła fizyczna do ujarzmienia jaskrawych usiłowań chłopców, by zapanować nad sytuacją, to żaden z nauczycieli nie robił z tego systemu. Najlepszym dowodem tego było niewątpliwe przywiązanie urwisów do niektórych wychowawców, o fizycznej sile których mieli możność przekonać się. Chłopcom na ogół imponuje postawa zdecydowana i mocna. Jednym z momentów, który przyspieszył koniec tego rozprężenia, jakie zastałam początkowo w swej klasie, był

następujący epizod. Na lekcji języka polskiego chłopcy czytają kolejno po kilka zdań z nielicznych egzemplarzy podręcznika, znajdujących się w klasie. Gdy książka dostała się do rąk Józia, ten rozparł się ostentacyjnie w ławce i zaczął czytać, siedząc, w dodatku jakimś nienaturalnym nosowym głosem. Dookoła przemknęły uśmiechy, objawy rozbawienia. Spodziewano się „hecy”.

— Józiu, my wszyscy czytamy, stojąc, żeby lepiej było słyszeć — zwracam się spokojnie do chłopca.

— Mnie i tak jest dobrze.

— Proszę cię wstać i czytać wyraźniej.

— Zaprzestałem czytać, stojąc — beczelnie odpowiedział chłopak jednym z tych bezsensownych zwrotów, na które w szkołach zjawia się od czasu do czasu moda. Wówczas modne było owo idiotyczne „zaprzestałem”.

— A jednak wstaniesz — i bez uprzedniej decyzji co do swego postępowania ujęłam ręką jego ramię i postawiłam rebelianta na nogi. Rękę mam bardzo silną. Spojrzał na mnie z szacunkiem.

— Zaprzestałem czytać, siedząc — zażartował jeszcze, ale już życzliwie. — Nie wiedziałem, że pani tak umie.

— Umie, ale nie lubię — odpowiedziałam z uśmiechem tym serdeczniejszym, że byłam ogromnie rada ze szczęśliwego zakończenia całej sprawy.

Po pierwszych najcięższych tygodniach było już znacznie łatwiej. Zaczęły się tworzyć jakieś wytyczne współzycia. Ułożony został regulamin internatu. Każda klasa również opracowała swoje normy postępowania. W mojej grupie dobre wyniki dały wykresy sprawowania, którymi chłopcy żywo interesowali się. Więzy uczuciowe łączące z chłopakami zacieśniały się mocniej. Silniejsze oparcie w pracy znajdowałam w grupie tak zwanych „internistów”, czyli mieszkańców internatu. „Eks-terniści” dłużej chadzali własnymi drogami, unikając większego zbliżenia. Pośród filarów klasy szczególnie wyróżniał się Zygmunt K. Był on już czwarty raz uczniem klasy trzeciej. Bądź był pozostawiony na drugi rok, bądź przerywał naukę

na dłuższe i krótsze okresy, tak że nie mógł być klasyfikowanym. Szczególnie na wiosnę pociąg do wagarów tak go zwykle opanowywał, że według własnej jego relacji „może jakie dwa razy w miesiącu zaglądał do budy przez ciekawość, jak tam się wszyscy mają”. Program, a raczej rozkład materiału na klasę trzecią znał świetnie, w każdym razie o wiele lepiej ode mnie, która z tym stykałam się po raz pierwszy. Toteż nieraz udzielał mi zbawiennych rad: „Trzeba koniecznie zrobić szlak z liści jesiennych”, „Może by już czas wysiać nasiona na muślinie” albo: „Pójdę w niedzielę i przyniosę żabiego skrzeku, żebyśmy mogli kijanki hodować zacząć, bo inspektorzy to bardzo lubią”. Wysoki i ponury Zenek mniej interesował się stroną metodyczną. Jego obchodziło zagadnienie karności. Słyszałam, jak oznajmił dobitnie:

— Niech tylko który zanadto będzie rabania¹ na lekcjach pani, pójdzie potem zęby zbierać pod studnią. Jak trafiła się kobieta dobra i lekcje są ciekawe, to wstyd łobuzować się.

W stosunku zaś do zwolenników ostrych metod był nieubłagany. W poprzedniej szkole posunął się aż do rękoczynu w stosunku do nauczycielki, która dała klapsa jednemu z dzieci:

— Niech pani sama spróbuje, czy to smakuje — powiedział po swoim czynie.

Śliczny, żywy, wiecznie roześmiany Henio P. organizował wyprawy po łupy do sklepów i na targ, próby zaś mej interwencji przyjmował bardzo pobłażliwie:

— Wiem, proszę pani, że nie wolno i że grzech, ale człowiek musi żyć i emocje mieć.

Gdy przysmykam oczy, widzę ich wszystkich, całą swą ówczesną klasę i z trudem powstrzymać się tylko mogę, by nie opisać każdego z osobna — tak dużo ciśnie się wspomnień. Jakże pominąć Felka, syna prostytutki i zawodowego złodzieja, rzadko wychodzącego z więzienia, bo był „taki pechowy, że go zaraz gliny łapią, a to dlatego, że pierwszy raz ukradł od biednego, to już całe życie potym nie idzie takiemu traf. Pierwszy

¹ Rabanić — hałasować.

raz koniecznie trzeba nawalić od bogatego i złego człowieka”. Albo zawodowego żebraka Kazia, który uważnie śledził ruch w zakładach pogrzebowych, biegł w odpowiednim czasie na cmentarz i tam dostawał prawdziwych spazmów od płaczu. Gdy ktoś zwrócił na niego uwagę, wykrztuszał z siebie coś w rodzaju:

- Ileż to razy ona mi coś dała, pomogła. Ją jedną miałem opiekunkę i teraz to sam tylko do ziemi chciałbym się położyć — przy czym zaczynał całować i obejmować ziemię. Przynosił zawsze liczne i hojne datki.

Felek M. w swym wypracowaniu o wagarach użył zwrotu, który jako groźne memento utkwiał mi na zawsze w pamięci: „Tego dnia chciałem się czegoś nowego i ciekawego dowiedzieć, więc poszedłem na wagary”.

Dwaj bracia Ł-scy, Kazik i Feluś. Kazik jest daltonikiem². Feluś wstydzi się tego bardzo i uważnie śledzi, by na rysunkach nie używał kredek, tylko rysował jedną barwą. „Najgorzej, jak kto oczy wytrzeszcza i dziwi się. To tak przykro i wstyd, że strach”. Obaj namiętnie lubią wódkę i pod tym względem zupełnie dotrzymują kroku swemu ojcu, który zresztą dumny jest ze zdolności synów:

- Do nauki oni, proszę pani, faktycznie nie bardzo się przykładają, pracować trzeba ich napędzać, ale za to jak piją, to buzi dać. Nie każdy stary im dotrzyma.

Trudność znalezienia dróg do wpływu na rodziców stanowiło jedno z największych moich zmartwień w tym roku pracy. Nie starczyło na to czasu. Warunki materialne, w jakich znajdowałam się wówczas, przyczyniały się też do łatwiejszego znużenia. Przez pierwszych kilka miesięcy nie otrzymywałam żadnej pensji, bo wciąż załatwiała się jakieś formalności personalne. Potym już gdzieś w listopadzie wyjaśniło się, że wobec tego, iż nie mam potrzebnych kwalifikacji do nauczania w szkole powszechnej (nie ukończyłam seminarium nauczycielskiego), mogę mieć tylko jedenasty stopień służbowy zamiast ósmego, na który liczyłam. Tereńka właśnie zaczęła chodzić do szkoły

² Daltonista — człowiek dotknięty daltonizmem, ślepotą barwną.

.....

i wymagała oprócz wydatków z tym związanych intensywniejszego odżywiania, gdyż jej gruczoły chłonne niepokoiły lekarkę szkolną. Minimalnej pensji, jaką przynosiłam do domu, starczyło zaledwie na opłacenie komornego, opał, światło i mniej niż skromne żywienie. Na wydatki osobiste nie pozostawało nic. Szkoła mieściła się na Nowym Bródnie i odległą była od ul. Emilii Plater, gdzie mieszkałam, o dziewięć kilometrów. Na tramwaj mogłam sobie pozwolić tylko w jedną stronę i to dopiero od Placu Teatralnego, skąd szedł nr 21. Byłam chronicznie głodną, tym bardziej że raz albo dwa w tygodniu odbywały się w godzinach popołudniowych posiedzenia rady pedagogicznej, ciągnące się po kilka godzin. Trzeba było czekać na nie, siedząc w pustej klasie i przysłuchując się dźwiękom łyżek z jadalni, gdzie jedli chłopcy i koledzy mieszkający w internacie. Dopiero interwencja zacnego inspektora Müllera, który zarządził, by nauczycielki również pełniły dwa razy w tygodniu dyżur, w zamian za co mogły się tam stołować, zasadniczo zmieniła sytuację na lepszą. W każdym razie zmęczenie fizyczne i nerwowe w tym roku było tak wielkie, że ustawicznie odczuwałam chęć do wypłakania się. A nie było gdzie. W szkole mowy o tym nie było, a cóż dopiero w domu, gdzie było dziecko. Za przykładem Kazia wpadałam od czasu do czasu na cmentarz bródnowski i tam siedząc przy przygodnej mogile, zalewałam się łzami, co niewątpliwie przynosiło ulgę. Kiedyś uspokojona już zamierzalam właśnie wstać, by odejść, gdy tuż za plecami rozległ się wzburzony, przyciszony głos:

— Daję pani słowo, że już zawsze lekcje odrobię i postaram się nie kraść.

Pocziwe płowe oczy Adasia D., z którym miałam dużo kłopotu, patrzyły życzliwie i poważnie. Poradził mi jeszcze z własnego doświadczenia, bym posmarowała śliną powieki, to prędkiej miną ślady płaczu. Robiłam to później nieraz w życiu. W wyniku rocznej pracy cała klasa, składająca się z trzydziestu trzech uczniów, otrzymała promocję i wydaje mi się, że niejeden z nich zmienił swój stosunek do zagadnień etycznych. Może tylko chwilowo, a może i pozostało coś trwałego?

Kierownictwo szkołą

Po roku pracy nauczycielskiej powierzono mi pełnienie obowiązków kierowniczkich. Poprzednik mój bowiem wniósł podanie o zwolnienie, gdyż mieszkając w Wołominie, miał trudności z prowadzeniem internatu w Warszawie. Zgodziłam się, powodowana dominującą cechą swej natury — dążeniem do niezależności w pracy. Wydawało mi się wówczas, że rola kierownika w wielkiej mierze gwarantuje możliwość swobodnego realizowania pomysłów i projektów w interesującej dziedzinie. Sprawa zaś wychowania dzieci trudnych do prowadzenia istotnie do takiego stopnia pochłonęła moją uwagę, że na przeciąg kilku lat przesłoniła sobą wszelkie inne dziedziny życia.

Zamieszkałam w internacie. Ponieważ pokoiki nadające się na lokum prywatne były już zajęte przez kolegów, którzy wprowadzili się tam już w ubiegłym roku, zainstalowałam się w kancelarii, gdzie na noc słałam sobie pośłanie na kozetce. Komplikowało sprawę nieco to, że był tam jedynie piecyk żelazny, który rozgrzewał powietrze do temperatury tropikalnej w czasie, gdy płonął w nim ogień, nad ranem zaś woda w dzbanie pokrywała się warstewką lodu. Sąsiedztwo dwóch sypialni chłopięcych miało złe i dobre strony. Nieraz trzeba było zerwać się bardzo wcześnie, by uspokoić jakieś wzburzenie młodych sąsiadów, którzy wszczynali hałas albo bój poduszkami. Powietrze dużo pozostawiało do życzenia, biorąc pod uwagę brak WC w budynku i prowizoryczne urządzenia zastępcze. Do plusów niewątpliwie należało to, że mogłam jeszcze lepiej przyjrzeć się chłopakom i poznać ich. Lęki nocne wyrażały się u niektórych w przeraźliwym krzyku, u innych zaś tylko w bezsenności i szczelnie przykryt[ej] kołdrą głowie („Boję się nocą, bo przypomina mi się wtedy wszystko, co w życiu nabroiliem”). Ciekawy był sam wyraz twarzy śpiącego, sposób budzenia się. Skrzywiony, zły grymas, podrażnienie: „Odczep się! Zobaczysz!” przez sen jednego albo też życzliwe, ufne spojrzenie innego. Zachowanie się dzieci o chronicznie lub okresowo mokrym łóżku, samo tempo ubierania się, śłanie pościeli itd. — wszystko to dawało nader bogate pole do obserwacji. Tego nigdy nie miałam za dużo. Interesował mnie każdy przejaw psychiki chłopca, jaki udało się dostrzec. Z największym zapałem notowałam go sobie, usiłując

powiązać z innymi faktami, zrozumieć, wytłumaczyć. Wysiłki i dążenia moje skierowane były więc przede wszystkim na zebranie i wykorzystanie materiału psychologicznego i utworzenie systemu wychowawczego. Całości funkcji związanych siłą rzeczy z kierownictwem zakładu nie obejmowałam. Stro-
na administracyjno-gospodarcza była dla mnie dziedziną zarówno obcą, jak i niemiłą. Kancelarię, założenie i prowadzenie potrzebnych ksiąg, korespondencję szkolną, wykonanie okólników — całą tę rozległą dziedzinę pracy sprowadziłam do minimum, co w późniejszych latach wytworzyło niejedną trudność. Gospodarstwo obchodziło o tyle tylko, że przykładalam wszelkich starań, by żywienie dzieci, które przychodziły niekiedy do nas jako głodomory, było jak najlepsze, co się naprawdę udało. Żyło się jednak z dnia na dzień, nie robiąc racjonalnych zapasów, nie szukając praktyczniejszych źródeł zakupów, gdyż w tej dziedzinie byłam zupełnie niedoświadczona. Czystość i porządek szwankowały bardzo. Chwilami zabieraliśmy się gorliwie do nich, ale zniechęceni warunkami lokalnymi (niebrukowany dziedziniec, przez który setki nóg przebiegało po kilkanaście razy dziennie, brak wody, nieodpowiedni i zbyt szczupły lokal, gdzie punktem centralnym była ciemnawa, wiecznie brudna i nieopalana klatka schodowa) wkrótce z westchnieniem opuszczaliśmy ręce. Zrezygnowanie z drugiego budynku, gdzie w ubiegłym roku odbywała się część pracy i który został przez komisję budowlaną definitywnie zdyskwalifikowany, nieco ułatwiło pracę, stwarzając jednocześnie jeszcze większą ciasnotę. Dużo wysiłku wkładałam natomiast w organizację pracy wychowawczej. Tu bardzo dopomogło mi to, iż internat został przejęty przez Radę Szkolną, miał własny budżet i życzliwe, rozumne zaopatrzenie wszystkich istotnych potrzeb. Współpraca z ówczesnym prezesem panem Łopińskim była ogromnie ułatwiona dzięki jego ogromnej miłości do dzieci i zainteresowaniu ich losem. W pracy zaś buchalteryjno-kasowej wielkie usługi okazywała mi kancelaria Rady Szkolnej, szczególnie wyśmienicie znająca swój dział pracy pani Józefacka, bez której z całą pewnością nie dałabym sobie rady. Po pewnym czasie uzyskaliśmy możliwość zaangażowania wychowawcy do internatu. Położyło to kres nienormalnej sytuacji, kiedy dyżury popołudniowe pełnione bywały kolejno przez nauczycieli. Oprócz

przeciążenia pracą nauczyciela system poprzedni grzeszył jeszcze i tym, że utrudniał jednolity kierunek wychowawczy. Nasi chłopcy odznaczali się nieprzeciętnym sprytem i spostrzegawczością. Zнали nas i nasze słabości na wylot i umieli dostosować do nich swoje zachowanie.

— Kto dziś dyżuruje? Pan X.? O, to trzymaj się, bracie! Dziś łóżka mają być posłane fest, równo w kostkę, myć się trzeba dokładnie. Lekcyj można nie odrabiać, bo nie sprawdza. A więc wieczorem — dobra nasza! Dużo będzie wolnego czasu.

Do jakiego stopnia znali oni stałość naszych właściwości i jak dziwiła ich zmiana w zwyczajach, dowodzi przypadkowo usłyszany urywek rozmowy:

— Co dzisiaj było! Oj, co było! — referuje Mondek przyjacielowi z eksternatu, który przyszedł do szkoły na lekcje. — Wiesz, obudziliśmy się raniutko i rabaniliśmy. Krzywy włożył na szafę i stamtąd skakał na łóżko. Ale wpadł na Żabę i ten zaczął pisać. Wszyscy aż ryczeliśmy ze śmiechu. Aż tu nagle wpada pani kierowniczka.

— No i co? I co? Bardzo gniewała się?

— Tak, nakrzyczała trochę, ale to nic. Ale wiesz, była w szlafroku i włosy nieuczesane sterczały w różne strony.

— Sterczały? Nie może być! Co ty mówisz?

Istotnie, staranne uczesanie stanowiło jedną z moich słabości i nieraz miałam możność przekonania się, że chłopcy to sobie też cenili.

Moje ówczesne *credo* wychowawcze dałoby się sformułować następująco. Wady dziecięce są w przeważającej większości wypadków wynikiem jakiejś tragedii mniej lub więcej utajonej, jak nędza, krzywda, konflikty rodzinne, adlerowskie³ poczucie

³ Adlerowskie poczucie mniejszej wartości — nawiązanie do psychologii indywidualnej stworzonej przez psychiatrę i psychologa wiedeńskiego Alfreda Adlera (1870–1937). Adler wprowadził koncepcję kompleksu niższości, wskazując, że poczucie bycia gorszym, często zakorzenione w dzieciństwie, napędza dążenie do jego przezwyciężenia. Dążenie to jest jednym z podstawowych motywów ludzkiego działania.

.....

mniej­szej wartości itp. Pierwszym więc naszym zadaniem jest poznać źródło wykolejenia, potym zaś leczyć je. Dla zdobycia potrzebnych nam wiadomości powinniśmy gruntownie zbadać środowisko rodzinne dziecka oraz zdobyć jego zaufanie. W trakcie naszych dociekań badawczych nie wolno nam śpieszyć ani stawiać konkretnych wniosków, dopóki nie zbierzemy dostatecznej ilości materiału, potwierdzającego nasze przekonania. Materiał dotyczący dziecka najlepiej gromadzić nie według określonych formularzy, kwestionariuszy czy karty obserwacyjnej, bo to wszystko sugeruje i nasuwa nam przypuszczenia aprioristyczne⁴. Dobrze jest zbierać go do teczek indywidualnych, gdzie gromadzimy całość wiadomości uzyskanych o wychowaniu wraz z naszymi własnymi obserwacjami. Dopiero po dłuższym okresie (pół roku, rok) robimy zestawienie i wyciągamy konkluzje. Przez cały czas poznawania dziecka staramy się wykryć i ustalić jego cechy dodatnie. Na nich będziemy opierać i budować swój wpływ. Jednym z najsilniejszych czynników gwarantujących powodzenie usiłowań wychowawczych jest zaufanie i przywiązanie dziecka do wychowawcy. Stąd wielkie znaczenie odpowiedniego doboru typów dzieci i typów nauczycieli. Okres poprzedzający ustalenie decyzji co do źródeł wykolejenia i wytknięcia dróg postępowania z dzieckiem musi być wykorzystany na wzmocnienie jego życia uczuciowego. Dlatego też w internacie, przez który w pierwszym roku pobytu w szkole powinny w zasadzie przejść wszystkie dzieci, decydującą rzeczą jest panująca tam atmosfera. Ogromną rolę wychowawczą ma radość, duża ilość przeżyć jasnych i estetycznych, jak obchody imienin, miłe niespodzianki, uroczystości, rozrywki, wycieczki. Nastawiają one psychikę wykolejonej i skrzywdzonej jednostki dziecięcej na nowe, nacechowane życzliwością tory.

W realizację swych przekonań i wprowadzenie ich w życie wkładałam moc wysiłków i energii. *Con amore*⁵ traktowałam zagadnienie obserwacji i dużo czasu poświęcałam teczkom indywidualnym, które — tak mi się przynajmniej wydaje — zawierały

.....

⁴ Aprioristyczny (łac. *a priori* ‘z góry’) — sądy przyjmowane niezależnie od doświadczenia.

⁵ Wł. *con amore* ‘z zamiłowaniem, z pasją’.

dość obfity materiał o dzieciach. Wysiłki zmierzające do nawiązania kontaktu z rodzinami również dawały wyniki dodatnie. Matki, a nieraz i ojcowie, przychodzili chętnie, do szkoły ustosunkowały się życzliwie, radzili się w swych sprawach osobistych, zwierzali się ze zmartwień i obaw. Dzięki rozmowom z matkami udało mi się zebrać wiele danych o ich przeżyciach w okresie ciąży. Zastanowił fakt, że w znacznej większości wypadków chłopak przysyłany do nas później jako moralnie zaniedbany był dzieckiem niepożądanym, często tym, którego rodzice starali się pozbyć przed urodzeniem, a który pomimo wszystko urodził się — *J'y suis et j'y reste!*⁶. Wykrycie i ustalenie cech dodatnich było sprawą dość skomplikowaną, bo trzeba było wyeliminować te właściwości, w które dziecko stroiło się, by nam sprawić przyjemność. Były to, że tak powiem, zalety *in statu nascendi*⁷, różniące się od tych, które były istotną częścią jego natury i których nieraz właściciel wstydził się. Nawiasem mówiąc, nasi „moralniacy” w ogóle krępują się okazywać dobre cechy swego charakteru i wolą popisywać się wadami, szczególnie zaś, o ile mają one posmak bohaterskiej odwagi.

Spotykam na ulicy, w towarzystwie kilku obdartusów z papierosami w zębach, naszego Jurka, z którym żyjemy w doskonałej komitywie. Nie tylko udał, gałgan, że mnie nie poznał, ale jeszcze demonstracyjnie przeszedł na drugą stronę ulicy. Gdy potym pytałam go o przyczynę tak niecnego postępowania, zwierzał się:

— A bo to, widzi pani, ja im wstydziłem się mówić, że pani słucham, bo oni by się śmieli. Powiedzieliby, że — proszę nie gniewać się — że baba mną rządzi. To im bujałem zawsze, że nasza kierowniczka chodzi z batem w rękę, wygląda jak drab i że my z nią zawsze hece mamy. A tu pani na ulicy na pewno by się była do mnie uśmiechnęła i grzecznie przywitałaby się ze mną. Wolałem zwać. Pani nie gniewa się?

⁶ Fr. 'tu jestem i tu zostaję' — słowa marszałka Francji Mac-Mahona, które powiedzieć miał pod Sewastopolem w czasie wojny krymskiej głównodowodzącemu w odpowiedzi na zawiadomienie o zamiarze Rosjan wysadzenia fortu w powietrze.

⁷ Łac. *in statu nascendi* 'w stanie powstawania'.

O przywiązaniu i zaufaniu chłopców trudno mi mówić. Wydawało mi się, że je mam. Dawali mi tego liczne dowody. A jednak obecnie widzę, że było to zjawisko bardziej skomplikowane, niż wówczas wydawało się. Szczegółowe omówienie popularności nauczyciela, przywiązania i miłości dzieci do niego przenoszę na inne miejsce, obiecując sobie głębiej zanalizować te liczne spostrzeżenia, jakie w tej dziedzinie poczyniłam. Co dawało niewątpliwie dobre wyniki, to były starania o wytworzenie dodatkowo atmosfery w zakładzie. Było dużo radości i śmiechu. Okresy świąt i wakacyj, kiedy chłopcy rozchodzili się do swych domów, okazywały się zawsze zbyt długimi i urwisy wracali wcześniej, niż należałoby. Każdy obchodził uroczystość swych imienin, dostawał upominki. Ci, którzy nie mieli odpowiednich warunków rodzinnych, mogli urządzić mały podwieczorek dla grona swych najbliższych przyjaciół. „Gwiazdka” była imponująca. Internat miał kilka własnych rowerów, siatkówkę, piłki, dużo ładnych gier towarzyskich. Do kina chodziliśmy co tydzień. Nieobce nam były i teatry warszawskie, gdzie moi „rzeźmieszki” zachowywali się ze wzorową godnością. Lubiliśmy naszą codzienną gazetkę szkolną, pieczołowicie ozdabianą przez wybitnie zdolnego Henia H. Śmiało mogę twierdzić, że chłopcom w naszej szkole było dobrze, a jak mawiali z przekąsem zwolennicy twardej ręki „zbyt dobrze”. Wszak oprócz wymienionych przyjemności „normalnych” mieli i takie nadprogramowe, jak wycieczki do Wilna, nad morze, do Kazimierza, do Płocka, do Czerska lub w góry, nie licząc częstych drobniejszych w okolice podmiejskie (Bielany, Wilanów). Kształcenie zawodowe było dopiero w powijkach, co stanowiło wielką moją troskę.

Bardzo przez chłopców cenionym szczegółem życia było wieczorne opowiadanie w sypialni. Ułatwiało to nam pracę, bo stanowiło jeden z momentów, na który trzeba było zasłużyć i to zasłużyć zbiorowo. Było bowiem rzeczą oczywistą, że pierwszeństwo miała ta grupa, dzienny rachunek której przedstawiał się najdodatkniej. Dziwiło mnie zawsze zamiłowanie tych chłopaków do bajek i opowiadań fantastycznych. Nawet starsi chłopcy, którzy bywali na zabój zakochani w córeczce gospodarza naszego domu, na noc układali włosy pod siatkę i prasowali kant spodni — i ci prosili z pewnym zażenowaniem o bajkę.

Im bardziej nierealne sytuacje się tam zdarzały, tym większe uznanie miewało opowiadanie. Zastanowił mnie fakt, iż przy ocenie zachowania grupy stosunkowo rzadko zdarzały się reklamacje i głosy twierdzące, że sąd wydany jest niesprawiedliwie. Natomiast oceny indywidualne wywoływały na każdym kroku protesty: „Ja to umiałem, tylko zapomniałem”. Albo taki lament Adolfa w sali rekreacyjnej: „Jak trzy dni trzymałem się i mu mordy nie zbiłem, to tego nicht⁸, nicht nie zauważył. A jak dziś tylko popchnąłem tego zarazę, to już zaraz pan mówi, że stawia mi punkt”. Chodzi tu o punkty indywidualne, oceniające zachowanie chłopców. Na całość ustalaną i ogłaszaną co tydzień na zebraniu grupy z wychowawcą, składały się następujące momenty:

- 1) wiadomości z klasy dotyczące spełnienia zadań związanych z nauką szkolną;
- 2) stosowanie się do regulaminu internatu;
- 3) prace wykonywane dla wspólnego dobra (dyżury, samorządne naprawianie czegoś, pomoc słabszym kolegom itp.);
- 4) plebiscyt odbywający się drogą tajnego głosowania chłopców, którzy na kartkach zawierających nazwiska wszystkich członków grupy stawiali w odpowiednim miejscu plus, minus albo zero, zależnie od swego stosunku do danego indywiduum.

Bardzo starannie prowadził w swej grupie te zebrania pan T-cki, którego eksperyment ten mocno zainteresował. Jego ustosunkowanie odbiło się na nastroju chłopców, którzy istotnie bardzo liczyli się z punktacją i wykazywali dużo wysiłków w tej rywalizacji. Niewątpliwie wpływała na to okoliczność, że ogromnie popularny wychowawca niekłamanie cieszył się z zauważonego postępu i odwrotnie:

— Ta i jakże to wyszło? Już było u ciebie coraz lepiej w klasie, a teraz, co ty mi przyniósł? Tak jakby mi kto pałką w głowę

⁸ Nicht — nikt; gwarowa wymowa grupy kt jak cht.

.....

dał — biadował⁹, patrząc smutno na niefortunnego delikwenta, który zwykle bywał szczerze zafrasowany i usiłował tłumaczyć się tym, że pan niesprawiedliwie postawił stopień.

— Nie, gołąbeczku mój! Ty mi tego nie mów. Jaż widzę, jaki twój pan jest porządny człowiek. To my z tobą nie odrobiliśmy wtedy tych rachunków, bo ja ci uwierzyłem, że już umiesz. Ale na drugi raz to sprawdzę dokumentnie.

Nie wszystkie jednak chwile spędzone na Budowlanej pozostawiły wspomnienia tak jasne i pogodne. Trudności natury wychowawczej dawały dużo przeżyć zabarwionych niekiedy smutkiem, czasem goryczą, chwilami nawet niechęci do sprawców ich. Wagary, kradzieże, palenie papierosów, gry hazardowe, zdarzenia świadczące o wybujałym, niezdrowym zainteresowaniu życiem seksualnym wymagały nieustannego napięcia uwagi i dużo pochłaniały energii. Każdy, kto zna życie szkoły specjalnej dla dzieci trudnych do prowadzenia, wie, ile wysiłków żmudnych i nieustannych wymaga likwidowanie zabiegów wynikających z nałogów i złych przyzwyczajęń wychowanków. Nie wystarczy wyjaśnianie szkodliwości i niewłaściwości postępowania. Nietrwałe są również skutki wzbudzenia odpowiednich postanowień, niekiedy bardzo szczerych, opartych o różnorodne przeżycia emocjonalne, zaczynając od lęku przed konsekwencjami i kończąc obawą zasmucenia lubianego wychowawcy. Niewiele pomoże profilaktyka, usuwanie okazji, o które tak trudno w zakładach ściśle zamkniętych. Wiemy, jak bardzo silnym jest właśnie tam nastawienie wszystkich pragnień w kierunku rzeczy zakazanych i z jaką, powiedziabym, namiętnością realizuje się możliwości do spełnienia grupy czynów amoralnych, które w tych warunkach okazały się wykonalnymi.

Wychowawca szkoły specjalnej musi szukać metod postępowania obliczonych na dalszy dystans i jednocześnie nieustannie likwidować, łątać sytuację obecną. Zmuszony on jest znajdować *modus vivendi*¹⁰ ze sprawcami, co do których czuje, a raczej

.....

⁹ Biadować — biadać, narzekać.

¹⁰ Łac. *modus vivendi* 'sposób współżycia'.

rozumie z całą wyrazistością, że oni są bezsilni wobec własnej natury. Gorzki płacz Mariana R., wypowiadającego uczucie zazdrości względem chłopców dobrych, którym jest dobrze na świecie, był bardzo charakterystyczny. Ujawnił on mniej lub więcej uświadomione przeżycia znacznej liczby podobnych dzieci: „Tamtych i lubią wszyscy, i bać się nie potrzebują. A co ja ze sobą mam robić, jak już taki jestem. Więcej i próbować nie chce się”. Pełne rezygnacji: „Ja już taki jestem”, „I tak życie przeżyć można”, rozpaczliwe załamanie się Karola, którego zastano przy dobieraniu kluczy do szafy w kilka godzin po zawarciu „paktu sojuszniczego” z wychowawczynią — ileż podobnych momentów przychodzi na myśl. W innym miejscu postaram się szczegółowo omówić zagadnienia związane z psychiką dzieci moralnie zagrożonych. Tu zajęłoby to zbyt dużo czasu. Poza wymienionymi, że tak powiem, zwykłymi trudnościami wychowawczymi szkoły specjalnej każda instytucja przeżywa jeszcze i swoje własne, niespodziewane wytrącanie z normalnego biegu życia. Chorobliwie przeżywa się przybycie i okres zasymilowania nowych, często psychopatycznych jednostek, nieraz większych lub mniejszych grup ich. W życiu Budowlanej była taka epoka trzech Zbyszków. Kosztowała ona wiele zdrowia nie tylko wychowawców, ale i chłopaków, którzy po tygodniach rozbawienia, podziwu i naśladownictwa, mieli wkrótce dość nastroju ustawicznego napięcia, jaki stwarzała dokoła siebie dobrana trójka. Wszyscy z rodzin inteligenckich, bardzo sprytni, pomysłowi i żądni przygód, mieli zupełnie wyrobiony pogląd na życie: używać, gdzie i ile się da. Zupełnie nie uznawali prawa własności, wynosili z domów swoich przedmioty dające się spieniężyć, ściągali, co tylko mogli w sklepach, wciskali się bez biletów do teatru i kin, grali w karty i za pomocą sztuczek szulerskich ogrywali swych kolegów. Pojęcie obowiązku, pracy, karności było dla nich pustym dźwiękiem. Trzymali się mocno jeden drugiego, licząc się jedynie z opinią członków swego triumwiratu, gardząc pozostałymi chłopcami, których traktowali z góry. Gdy rodzice umieścili ich, każdego z osobna w innych internatach poza Warszawą, gromadka nasza formalnie odetchnęła. Wieczorem w sypialni Stasiak, z którym przedtym mieliśmy niejeden kłopot, oznajmił z westchnieniem szczerzej ulgi:

— Aż łżej się zrobiło bez nich. A wie pani, że jak człowiek dobrze przyjrzy się złemu człowiekowi, to sam nabiera chęci, by stać się lepszym.

Miałam wrażenie, że większość podzielała jego zdanie, gdyż na dłuższy przeciąg czasu zrobiło się u nas spokojnie i życie płynęło drogami bardziej zgodnymi z regulaminem.

Piwnica pod lokalem internatu. Zdawać by się mogło, że nie powinna ona odgrywać większej roli w życiu zakładu, a jednak, ileż ona nam popsowała krwi! Już w okresie, gdy właściciel domu zdecydował się wykorzystać ją i rozpoczął pogłębianie i wynoszenie wykopywanej ziemi, było dużo emocyj. Chcąc bowiem zaoszczędzić na robociźnie, angażował na własną rękę bez porozumienia się z personelem naszych chłopców, obiecując w tajemnicy dać im za to papierosów. Byłam zbudowana, gdy coraz więcej chłopców zgłaszało się do mnie, oznajmiając, że chcą pomóc panu gospodarzowi. Pracowali gorliwie kosztem godzin przeznaczonych na zabawę i nawet (sic!) na kino. Na moje perswazje, by się nie przemęczali, odpowiadali uprzejmie, ale stanowczo, że „koniecznie trzeba temu człowiekowi pomóc”.

W sobotę po południu rozpoczęły się rozmowy prowadzone przyciszonym głosem, bieganie do właściciela, od którego wracali posępni i rozczarowani. Jak wyjaśniło się później, oznajmił on delegatom, że był to z jego strony tylko żart, że jemu nawet do głowy by nie przyszło dzieciom dawać tytoń, który wszak zgubnie działa na młodociane organizmy. W poniedziałek nikt nie szedł „pomagać człowiekowi”. Gdy zaś we wtorek internat poszedł do kina, nicponie zwabili niefortunnego kontrahenta niedoszłej umowy do tejże piwnicy i na odchodnym zabili drzwi gwoździami. Dopiero po upływie godziny pocziwy stary Nowacki, woźny szkolny, oswobodził go z więzienia. Kiedy zaś na jesieni piwnica została wynajęta na skład owoców, rozpoczęło się! Pewnej nocy wydawało mi się, że słyszę nieprzerwane, ciche stąpanie. Ponieważ jednak przy tym nie rozlegało się ani jedno słowo i oddźwięk kroków miał charakter miarowy, powiedziałam sobie, że to chyba deszcz, obróciłam się na

drugi bok i spokojnie spałam aż do rana. Nazajutrz śniadania prawie nikt nie tknął. Wielu skarżyło się na gwałtowne bóle brzucha. Niektórzy wymiotowali. Amatorów zgłaszających się po krople Inoziemcowa¹¹ było bez liku. Już zaczynałam obawiać się jakiejś groźnej epidemii, gdy przypomniałam sobie minioną noc.

— Nie stękać tak rozpaczliwie — oznajmiłam chłodno młodej ofierze wijącej się przesadnie w boleściach — opowiedz lepiej, jak to było w nocy.

Zdziwienie na twarzy, potym oburzenie:

— Już wygadał się któryś! Ależ mają długie języki!

Byłam już w domu. Sprawdziłam kłódkę wiszącą na drzwiach piwnicy — cała! Oznajmiłam, że chcę mieć klucz, którym ją otwierano. Istotnie po kilku minutach leżał przede mną. Okazało się, że wynieśli przeszło sto kilogramów owocu. Sienniki łóżek były dosłownie wypchane, praca bowiem trwała prawie całą noc. Jedli na miejscu, nosili w kocach, w koszulach, rękawy i kołnierze których przedtem związali na węzły.

Pomimo restytucji zawartości sienników rachunek przedstawiony nam przez prawowitego właściciela owoców był słony. Przez cały miesiąc jedzenie musiało być bardzo skromne, bez deserów, z ograniczeniem mięsa, masła i innych lubianych przez „internistów” rzeczy. Gdy przy stole ktoś smętnie westchnął, czerpiąc łyżką kartoflanek, inny warknął na niego:

— Nie rozczulaj się. Pani i owoców nie jadła, a też to samo jeść musi, co i my. I to z naszej winy.

Nazajutrz wieczorem nieznane ręce powiesiły na klamce mych drzwi sporą paczkę z doskonałymi jabłkami. Nigdy nie dowiedziałam się, czy zostały one nabyte drogą legalną, czy też nieznany ofiarodawca samowolnie zmniejszył stan posiadania jakiejś owocarni. Ale czy człowiek naprawdę musi zawsze wszystko wiedzieć? Niekiedy wystarczy domyślać się. Później, gdy drzwi do piwnicy zaopatrzone były w idealne, zdawać by

¹¹ Krople Inoziemcowa — preparat stosowany w bólach żołądka i jelit opracowany przez rosyjskiego lekarza Fiodora Inoziemcewa.

.....

się mogło, zamknięcie, chłopcy znaleźli sposób i na to. Witek zdobył długi kij z gwoździem na końcu i przez małe okienko późnym wieczorem „łapano na harpuna” gruszki, wyciągając część i psując te, które spadały po drodze. Lepiej, żeby pod internatem nie robiono piwnic!

Oprócz podobnych zdarzeń o zabarwieniu nieco humorystycznym przeżyliśmy i mocne wstrząsy, takie, o których nie zapomina się i które obecnie po wielu latach wywołują u mnie jeszcze uczucie głębokiej troski. Jest rzeczą dla mnie niewątpliwą, że system wychowawczy stosowany w naszym zakładzie wpływał dodatnio na rozwój sfery uczuciowej naszych wychowanków. Umieli oni okazać nam dużo serca i przywiązania. Gdy widzieli, że mamy jakieś zmartwienie, zachowanie ich zmieniał się na lepsze. Pamiętam takie momenty, jak otrzymanie wiadomości o śmierci ojca nauczyciela czy nauczycielki. Ileż było na pozór drobnych, lecz wymownych faktów? Specjalnie spokojne zachowywanie się w ich obecności po powrocie z pogrzebu, staranniejsze odrobienie lekcji, propozycja odmówienia *Anioł Pański* wysunięta przez chłopców przy pacierzu wieczornym.

Kazio F. złamał, grając w palanta, rękę. Wszyscy okazują mu maksimum serca, ścielą łóżko, częstują itd. W nocy on nie może zasnąć, cicho wychodzi z sypialni i siada na stopniach w klatce schodowej:

— Bo tu mogę sobie trochę pojęczeć, a tam obudziłbym chłopaków, a oni są dobrzy.

To ten sam Kazio, o którym jeszcze niedawno sądziliśmy, że nie w stanie jesteśmy obudzić najlżejszego bodaj drżenia uczuć altruistycznych. Teraz wystarczyły przejawy zbiorowej szczerej sympatii i moment, wydawałoby się, nieosiągalny nastąpił samorzutnie. A jednak przykłady żywych, wzruszających uczuć sympatii, przywiązania i subtelności, których mogłabym cytować dziesiątki, nie stanowiły jeszcze o istotnym odrodzeniu moralnym naszych pupiłków. Wyzwolone, rozwinięte atmosferą

internatu wypłynęły na wierzch owe objawy, sprawiając dużo przyjemności zarówno nam, jak i samym chłopcom. Pod spodem zaś kryły się wielkie niebezpieczeństwa ich natury, przeważnie nieuświadamiane przez nich samych.

Grupa chłopców narzekających na stan zdrowia pozostała w internacie, podczas gdy inni poszli do kościoła. Pies, ogólny ulubieniec, coś tam nabroił. Kucharka internatowa, podrażniona, burknęła:

— A żeby cię kiedy hycle złapali.

I tu nagle, jak później opowiadali chłopcy, „coś na nich naszło”. Pociągnęli psa do sąsiedniego ogródka. Tam zawiązali mu łebek chustką i straszili. Biedne zwierzę usiłowało biec na oślep, co mu się nie udawało. Uderzali witkami po łapkach, ktoś cisnął żwirem, potym drugi, trzeci. Dalej brali kamienie większe i rzucali — aż zabili. Każdy z osobna był przerażony, niezdolny wytłomaczyć motywów postępowania. Wszyscy użyli mniej więcej następującego zwrotu:

— Jak każdy tak rzucał, to i ja. Sam nie rozumiem, jak to się stało.

Z trudem udało się uspokoić wzburzenie pozostałych, gdy dowiedzieli się o wypadku. Wydawało się, że to ohydny wyjątek, czyn kilku bardziej zwyrodniałych jednostek, z którymi nasza gromada jako taka nie może mieć nic wspólnego, że była to przez wszystkich napiętnowana zbrodnia, wywołująca u ogółu jedynie wstręt i oburzenie. A jednak parę lat później, kiedy skład chłopców w internacie uległ zupełnej zmianie, nie było już ani jednego z uczestników tamtego smutnego wypadku i nikt o nim, zdaje się, nie wiedział — znowu stało się coś bardzo podobnego.

Kilku chłopaków poszło na przechadzkę. Wzięli ze sobą małą Myszkę. Zwierzętami opiekowali się chętnie i u nas ciągle żywił się jeden albo i kilka zaniedbanych kundlów. Psina biegła wesoło i w podskokach, tym bardziej że wśród chłopców był jej główny opiekun Lutek Sz., otaczający ją szczególną

troskliwością. Na łączce koło stacji kolejowej siedli i gawędzili. Ktoś kazał pieskowi aportować. Ten nie chciał. To podrażniło. Interweniował Lutek. Jego Myszka również nie usłuchała. Chłopak w ogóle raczej wybuchowy, wpadł w gniew, uderzył. Kazał znowu — bez rezultatu. W końcu ktoś znalazł drzewko, ktoś zdjął pasek, zrobił pętlę i zaczęto wieszać zwierzątko. Zrozumiało grożące mu niebezpieczeństwo i w ostatniej chwili, gdy już nakładano mu pętlę na szyję, zaczęło „służyć”, cicho skomlać. Spowodowało to opamiętanie i otrzeźwienie chłopaków. Według ich własnej relacji rzucili się w różne strony, nawet paska nikt nie zdjął z gałęzi. Lutek opowiadał później, że pędzili z tamtego miejsca „jakby go stu diabłów gonilo”.

Zupełnie tragicznie zapowiadał się wypadek z Józiem K. zwanym powszechnie Wariatem Cegiełką. Był kozłem ofiarnym, któremu dawano różne polecenia, szczególnie takie, które wprowadzały zamieszanie i bawiły. Musiał na przykład podejść na ulicy do solidnego przechodnia i zapiać koło niego kogutem itp. Na ogół zaś lubiano go. Któregoś niedzielnego popołudnia spotkała się gromadka chłopców powracających z domu do internatu. Szli powoli, zatrzymali się koło żydowskiego cmentarza. Józik miał nową piłkę *foot-ball'ową*, otrzymaną od matki chrzestnej. Wiktor — *nota bene* urodzony herszt bandy, umiejący wytworzyć dookoła siebie nastrój posłuszeństwa i podporządkowania — kazał sobie piłkę oddać. Biedny Cegiełka dowodził z rozpaczą, że tego zrobić nie może, bo bardzo już dawno pragnął tego przedmiotu i dopiero teraz doczekał się go. Wiktor zainicjował wobec tego sąd polowy. Przedstawił szereg wykroczeń Józika, z których wynikało niezbie, że jest on ofermą, człowiek nikomu niepotrzebny i zaproponował karę śmierci. Pytał każdego o zdanie. Rozpoczął od najmniejszego i nieśmiałego Zygmunta. Ten natychmiast zgodził się, nie wiedząc, czy to żart, czy prawda, obawiając się przy tym złych oczu Wiktora. Przytaknęli wszyscy i na pytanie, kto nie podziela opinii wyrażonej przez przywódcę, nikt nie zabrał głosu. Józika związali. Zaciągnęli do małego stawku — kałuży o głębokości najwyżej jednego metra — i tam zamierzali utopić. Całował po rękach bliżej stojących, błagał zabrać już sobie tę nieszczęśliwą piłkę. Lecz wszystkich ogarnął już nastrój okrucieństwa. Zapytano biedaka, co woli:

czy być utopionym, czy powieszonym. Wybrał to drugie, bo w pobliżu nie było drzew. Ciągnęli go aż do Gołędzinowa¹². Tam znaleźli jakąś starą bramkę i powiesili chłopaka, który tylko jęczał: „Jezu, Mario, Józefie Święty”. Na szczęście improwizowany stryczek zerwał się. Wtedy Wiktor dobrze obznajomiony z obyczajami świata przestępczego zawyrokował, że skazaniec wobec tego winien być zwolniony. Dopiero po upływie kilku dni dowiedzieliśmy się o zajściu. Uczestnicy wypadku żywili ogromną niechęć do Wiktora, tak samo zresztą jak większość wychowanków. Nikt jednak nie miał odwagi otwarcie wystąpić przeciwko niemu. Odetchnęli, gdy wkrótce potym ojciec jego, kolejarz, otrzymał przeniesienie do Łodzi i zabrał chłopca ze sobą.

Przeżyliśmy i kilka wypadków śmierci. Był u nas przez kilka miesięcy mały Henio, wątłe, bardzo mądre dziecko. Tak wątłe, że koledzy nazywali go pieszczotliwie „śmiertką” (zdrobniałe od ‘śmierć’), o co on się zresztą wcale nie gniewał. Nigdy nie widziałam go uśmiechniętego. Zawsze poważny, często poirytowany lub podrażniony. Kiedyś miał katar i leżał w łóżku. Chłopaki dogadzali mu, jak mogli, usługiwali, oddawali swe skarby. On zaś leżał skrzywiony i wyrażał podejrzenie, czy aby po drodze nie zlizywali z jego naleśników słodkiej śmietany, bo „ten oto z brzegu jest prawie łysy”, czym ogromnie zraził swych pielęgniarzy. Poszłam do niego i zrobiłam mu wymówkę z powodu niestosowności jego postępowania, podkreślając serdeczność i uczynność kolegów, których on obraził. Zadałam przy tym niefortunne, jakże często bez głębszej myśli stawiane dzieciom pytanie retoryczne:

— Powiedz, Henio, czemu ty ciągle taki niedobry jesteś dla chłopaków?

Na to mały poważnie i smutno popatrzył na mnie, pomyślał i wreszcie oznajmił:

— Nie wiem, proszę panią. Chyba już ja mam duszę taką złą.

¹² Gołędzinów — osiedle położone w sąsiedztwie Pragi. Włączone do Warszawy w 1916 r.

.....

Otóż ten nasz Henio wracał kiedyś z domu do internatu i biegnąc w ślad za odchodzącym już tramwajem, upadł, przy czym mocno uderzył kość biodrową. Wywiązało się zapalenie szpiku kości. Przed świętami Bożego Narodzenia matka zabrała go do domu, skąd po tygodniu został umieszczony w szpitalu. Przed wyjazdem otrzymał swoją paczkę gwiazdkową. Stał przede mną, żegnając się:

— Dziękuję pani bardzo. I na święta życzę, żeby było wesoło i żeby pani i córeczka zdrowe były. A jeżeli będą bakalie, to proszę mi moją porcję zostawić.

Gdy na trzeci dzień świąt zaniósłam mu te bakalie, okazało się, że on w przeddzień wieczorem zmarł w szpitalu. Na pogrzeb przysłała liczna gromada chłopców, jakkolwiek były ferie świąteczne i interniści zostali zwolnieni do domu. Wszyscy byli najwyraźniej przejęci. Widziałam łzy na oczach, szczególnie w momencie opuszczania trumienki do ziemi. Z cmentarza zabrałam chłopaków do szkoły, gdzie przygotowana była herbata, żeby rozgrzeli się, bo dzień był chłodny. I tu bardzo przykro podzielałam na mnie fakt, że w kilkanaście zaledwie minut po wyjściu z cmentarza koledzy zmarłego wykazali tak wiele hałaśliwej wesołości, tyle rozbrykania, że wydawać by się mogło, iż nie mają serca. Nie rozumiałam jeszcze wtedy, iż po wzmożonym przeżyciu i wymaganym w tych okolicznościach smutnym spokojem teraz nastąpiła reakcja młodych natur, życie uczuciowe których płynęło bardzo jeszcze niegłębokim nurtem.

Zupełnie inaczej zachowali się po śmierci Tadzika, ogólnego ulubieńca, pobyt którego w szkole i internacie trwał dwa przeszło lata. Dzieje Tadzia zawierają w sobie wiele zewnętrznego tragizmu. Sierota, chowany wraz z siostrą starszą o rok przez żonatego brata. Dziecko rozmiłowane było w rysunku. Nie mając własnych, zabrał Tadzio duże pudełko kolorowych kredek innego ucznia i po lekcjach położył się na podłodze w pustej klasie, by do syta użyć wymarzonej przyjemności. Zastała [go] przy tym woźna. Awantura. Złodziej! Groźba odesłania do szkoły „poprawczej”. Nazajutrz chłopiec nie poszedł do swej dawnej klasy, tylko zaczął krążyć koło naszej szkoły. W klasie czwartej, mieszczącej się na parterze, słuchacz Państwowego Instytutu

Pedagogiki Specjalnej miał właśnie lekcję próbną o Wicie Stwoszu. Okno na ulicę było otwarte. Gdy chłopcy po dzwonku zaczęli wychodzić z klasy, we framudze ukazała się rozczochrana, o rudawym odcieniu główka piegowatego malca, który z uśmiechem oznajmił:

— To fajna szkoła. Tu chciałbym uczyć się.

Przez rok uczęszczał do nas jako uczeń przychodzący. Wiedzieliśmy, iż często bywał głodny, ale wszystkie propozycje, by zamieszkał u nas, zbywał grzecznie, lecz stanowczo. Gdy usiłowałam przekonać go, że byłoby jemu u nas dobrze, powiedział ze swoim czarującym uśmiechem:

— Wiem. Ale ja taki nieudany jestem. Ja lubię dużo chodzić na swobodzie. Ja nie mogę wcześniej spać iść jak wszyscy. Ja muszę na gwiazdy patrzeć i po podwórzu sam sobie chodzić. Nie wytrzymam w internacie.

Pod koniec wakacji poczciwa, gruba nasza kucharka internatowa pani Kisielewicz znalazła go wprost ślaniającego się z głodu na targu, gdzie zjadał marchewki spadłe z wozu. Wtedy po prostu wzięła go za rękę i przyprowadziła do mnie, słusznie twierdząc, że to obraza Boska, iż „tu nasi łobuzy co dzień deser mają, a ten kociaczek głodny chodzi”. Panią K. chłopak usłuchał od razu. Ona w ogóle cieszyła się wielkim respektem wśród chłopców. Nawet nie śmieli się głośno, gdy słyszeli, jak obierając w kuchni ziemniaki, śpiewała sobie: „Czy to na patyku, czy na atatyku ze swego losu drwi”, co było wolną przeróbką niezrozumiałej dla niej zwrotki: „Czy to na Bałtyku, czy na Atlantyku”. Ją słuchali wszyscy. Ze mną próbował Tadzio jeszcze wyłócić się, ale jakoś bez przekonania. Musiałam mu obiecać, że będzie u nas miał dużo swobody. Tak zamieszkaliśmy pod jednym dachem. Był ogólnym ulubieńcem. Może jednaś mu wszystkich jego miły, równy charakter, a może — i to wydaje mi się bardziej prawdopodobnym — oprócz tego imponował jego niezaprzeczalny talent malarski. Rysował istotnie wspaniale. Słuchał opowiadania, a spod jego ołówka powstawały zupełnie żywe postacie, ilustrujące dopiero usłyszaną treść. Rzeźbił też scyzorykiem, najchętniej w kredzie, której wobec tego stałe brakło przy tablicach w klasach. Każdy szedł bowiem do „Jabłocki”, prosząc,

by wyrzeźbił mu słonika, rycerza, popiersie Marszałka, orła. Tadzik nikomu nie odmawiał. Szczególną zaś przyjaźnią darzył naszego beniaminka internatowego, małego Zdzisia K., który nie odstępował go ani na krok. Nieraz Tadzik musiał go nawet prosić, by pozostał sobie, bo on „chce sam trochę pomyśleć”.

Przechodziłam któregoś dnia przez cmentarz bródnowski. Patrzę: siedzi mój Tadeuszek i rysuje. Mała zrujnowana drewniana kapliczka, daszek, na wpół wrośnięta w ziemię [!]. Ktoś wstawił do środka zniszczoną figurkę Zbawiciela z obłamanymi rękami. W interpretacji Tadzia obrazek miał tyle uroku, że nie sposób było oderwać odeń wzroku. Przypomniałam sobie jednak, że teraz w jego klasie odbywa się lekcja fizyki i wszyscy poszli do pracowni szkoły nr 128. Miłe, trochę filuterne spojrzenie:

— Wiem, proszę panią. Ale ja dziś rano zajrzałem do dziennika i przeczytałem, co nasza pani zapisała: „Ukryte ciepło parowania”. I na co to się człowiekowi przydać może? To i poszedłem trochę porysować. Potym przeproszę naszą panią Basię. Ona szalenie dobra jest i pozwala mi tak czasem pójść sobie.

Pewnego letniego popołudnia zwolnił się do domu brata. Wziął ze sobą Zdzisia. Wracając, poszli nad Wisłę. Tam kąpali się na tak zwanej dzikiej plaży. Tadzio postanowił nauczyć się pływać „po kozacku”. Srogo nakazał małemu nie chodzić do wody i nie ruszać się z miejsca, aż on wróci. Zdzisiek posłusznie położył się na piasku i zdrzemnął się. Obudził się wieczorem. Koło niego leżało ubranko, Tadzia nie było. Dopiero nazajutrz odnaleziono jego zwłoki zaplątane w szuwarach. Śmierć jego była takim wstrząsem, że przez dłuższy czas nikt nie mógł przyjść do siebie. Chłopcy, nauczyciele, personel pomocniczy — wszyscy przeżyliśmy ją jako dramat osobisty. Pamiętam noc, w której pan D-ki, prowadzący wówczas warsztat stolarski, wraz z grupą uczniów pracował nad sporządzeniem krzyża dla naszego Tadzika. Nie spał właściwie nikt. Chłopcy kładli się i znów wstawali, przychodzili popatrzeć na robotę, pletli wieńce, rozmawiali półgłosem, płakali, nie wstydząc się łez. To samo dni następnych. Nawet po pogrzebie nastrój zmieniał się bardzo powoli. Pochovaliśmy kogoś istotnie drogiego i ból odczuty został nie chwilo-wo, tylko bardzo głęboko.

Jednym z najcięższych przeżyć w całym moim życiu była śmierć Mundka. Dziwny, zamknięty w sobie chłopczyk. Nie miał bliskich przyjaciół. Chociaż na ogół był lubiany za swą dzielną i junacką postawę wobec życia. Po pobycie klasy jego w ogrodzie zoologicznym wyjaśniło się, że chłopcy zabrali stamtąd żółwia. Skrupulatne badanie tej sprawy przez wychowawcę utknęło jednak w miejscu i winowajca nie chciał się przyznać. Niektóre poszlaki wskazywały na Bogusia D. Ten, broniąc się, zwrócił się do Mundka ze słowami:

— A może byś się sam przyznał?

W wyniku tego tamten powiedział, że istotnie żółwia zabrał, że sprzedał go pewnemu sklepikarzowi, ale przyniesie go z powrotem. Widocznie odczuł jednak postępек Bogusia jako zdradę przyjacielską i postanowił zemścić się. Korzystając z nieuwagi ojca policjanta, zdobył jego rewolwer i zjawił się wieczorem w internacie. Wywabił Bogusia na klatkę schodową i — tam strzelił wysoko ponad jego głowę. Wystraszony chłopak upadł na podłogę. Mundek zaś spojrział — jak twierdzili naoczni świadkowie — na leżącego z przerażeniem i zanim ktoś zdążył mu przeszkodzić, dał strzał sobie w usta. Żył zaledwie kilka minut.

Potworność tego, co się stało, polegała nie tylko na śmierci chłopca, którego lubiliśmy. Przerażała bezsensowność tej śmierci. Zdarzenia, jakich szkoła specjalna przeżywa mnóstwo: zabranie cudzej rzeczy, wyjaśnienie tej sprawy przez personel, usiłowanie restytucji. Są to epizody w życiu zakładów tego typu zupełnie zwyczajne i w ten właśnie sposób najczęściej bywają regulowane. Nie miał w sobie również nic wykraczającego poza granice normalnego, codziennego niemal zdarzenia zatarg pomiędzy chłopcami. Tyle ich rodzi się i likwiduje w ciągu każdego dnia. Łatwiejszy dostęp do rewolweru syna policjanta podsunął ten właśnie, a nie inny sposób „nastraszenia” przeciwnika. Tragizm sytuacji powstaje w chwili, gdy chłopakowi dumnie stojącemu z dymiącym rewolwerem w dłoni wydaje się, że przeciwnik nie żyje. Tragiczną omyłkę przypłaca życiem. Dalej idą chwile niewysłowionego smutku i bólu. Zawiadomienie rodziny... Ale o tym pomyśleli już sami chłopcy. Poczciwy, upłakany Edek, sąsiad z ławki, pomknął już do matki i stojąc

.....

w progu, zawahał się, jak jej to powiedzieć. Nie znalazł lepszego sposobu, jak pytanie, czy Mundek jest w domu. Poczym wybuchnął płaczem.

Stoimy dookoła łóżka, gdzie położono chłopaka i patrzymy na dziecinną twarz o zdumionym jakimś wyrazie. Matka opowiada bezładnie o tym, jak to dziś rano jeszcze wypytywał on się, gdzie będzie stała choinka i cieszył się z projektowanej gwiazdki. Wszystko, co dotyczy zmarłego, nabiera tak wielkiej wagi. Każdy przypomina sobie ten lub ów szczegół. Nazajutrz do bólu wywołanego przez sam wypadek, dołączając się zaczęły nieodstępne w takich chwilach dodatkowe drobne, ale dotkliwe przykrości. Nieżyczliwa notatka w którymś dzienniku, konieczność wypełnienia szeregu formalności służbowych, stan nerwowy współpracowników, zdania których były podzielone. Część uważała, że szkoła jako instytucja wychowawcza nie powinna brać udziału w pogrzebie „samobójcy”, inni zaś widzieli w zmarłym jedynie dobrze znanego nam małego blondyna o ogromnych bladoniebieskich oczach, które już nie spojrzą na nas. Pogrzeb odbył się w atmosferze niezwykle ciężkiej. Było już prawie zupełnie ciemno (koniec grudnia), gdy smutny kondukt bez księdza i bez krzyża mijał gmach szkoły. Grupa wychowanków internatu wraz z trzema nauczycielkami dołączyła się do gromady idącej za trumną. Oprócz najbliższej rodziny składały się na nią jakieś niewyraźne indywidua, po większej części podchmieleni, uzbrojeni w kije i zaznaczające wrogość pod adresem personelu szkolnego. Przed bramą cmentarną do uszu naszych wyraźnie doleciały pogrożki o czyichś pogruchotanych kościach. Chłopcy przysunęli się bliżej do nas i szeptem radzili zawrócić, bo „to jakaś okropna granda i mogą skrzywdzić”. Ale jakże było tu wracać? Wszak chowali naszego ucznia, za trumną szła tak dobrze mi znana matka jego, z którą tyle razy gawędziło się o dziecku i z którą onegdaj wspólnie płakałyśmy nad nim. Z głównej alei cmentarnej skręciliśmy w boczną, zupełnie ciemną. W atmosferze było coś groźnego. Pomruki pijanych mężczyzn to przybierały na gwałtowności, to słabły. Trumienkę postawiono na ziemi. Na coś czekano. Zdaje się, że nie przyniesiono jeszcze krzyżyka. Wraz z uczniami zmówiliśmy *Anioł Pański* i wróciliśmy do internatu. Do żadnych ekscesów nie

doszło. Odniosłam wrażenie, że złe nastroje zwalczał Ryszard, starszy brat Mundka, który uprzednio był również naszym wychowankiem i wykazywał wielkie przywiązanie do szkoły. Dotąd jednak wspominam owe dni z uczuciem wielkiej zgrozy i przygnębienia. Z trudem tylko zwalczyłam wtedy w sobie głębokie zniechęcenie do swego zawodu. Wydawało mi się, że dłużej nie udźwignę tego dziwaczного połączenia. Z jednej strony — nieustanne czuwanie, troska, napięcie wszystkich sił duchowych, by zapobiegać, prostować, naprawiać. Obok tego zaś — nieuniknione ciosy, spowodowane czynami naszych wychowanków, które odczuwamy niemal tak boleśnie jak własne czyny. Do tego wszystkiego dołącza się ciągła możliwość najbardziej niespodziewanej i niesprawiedliwej krytyki i oskarżeń z najróżnorodniejszych stron. Jest czym zniechęcić się. A jednak nie wolno nauczycielowi zatrzymywać się długo na podobnych refleksjach. Już dzień następny niesie ze sobą moc nowych, nagłych, palących spraw, które trzeba rozstrzygnąć. Życie szkoły jest bujne i bogate. Wciąga nas i wchłania człowieka. Trzeba przypomnieć sobie słowa Asnyka¹³: „Ból swój niebu trza polecić, a samemu wciąż wytrwale trzeba naprzód iść i świecić”.

Okres od jesieni 1926 roku do końca 1933 roku zawierał w sobie oprócz pracy bezpośredniej z dziećmi oraz składania i częściowej realizacji systemu wychowawczego jeszcze dużo innych momentów, które mocno wpłynęły na dalsze moje życie.

- 1) Uzyskałam dyplom magisterski praw i nauk społecznych USB¹⁴. Miałam przedtym dyplom Uniwersytetu Tomskiego, lecz data ukończenia była z okresu władzy sowieckiej. Terminy nostryfikacji świadectw i dyplomów zagranicznych minęły, jakoś przeoczyłam je, nie przywiązując wówczas do sprawy tej większego znaczenia. Teraz trzeba było składać wszystkie egzaminy na nowo. Toteż wieczorami, gdy w sypialniach robiło się

¹³ Adam Asnyk (1838–1897) — poeta i dramatopisarz. Cytat z wiersza *Słonko*.

¹⁴ USB — Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie.

już cicho, dorzucałam paliwa do swego żelaznego piecyka, stawiałam na nim imbryk z mocną herbatą i zabierałam się do pracy. Godziny od 10 wieczór do 2 w nocy wypełnione były nauką. Składać egzaminy jeździłam do Wilna, gdzie po uzyskaniu dyplomu nawiązałam bliższy kontakt z prof. B. Wróblewskim¹⁵, który zgodził się kierować moją pracą doktorską.

- 2) Zostałam prelegentką Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej, gdzie wykładałam psychologię dzieci moralnie zaniedbanych, metodykę ich wychowania i prowadziłam hospitację lekcji [prowadzonych] przez słuchaczy na terenie naszego zakładu. Bliska współpraca z dr Grzegorzewską, możliwość omówienia z nią wszystkich nasuwających się zagadnień, jej subtelne zrozumienie każdej, najbardziej, zdawałoby się, zawilej kwestii dawały tak wiele, że ten okres mego życia jak zresztą i następny jest wprost wypełniony jej wpływem.
- 3) Warunki materialne polepszyły się znacznie, bo po uzyskaniu kwalifikacji przesunięta zostałam do należynej mi kategorii służbowej. Dało mi to możliwość stworzyć rodzinie swej dobre warunki egzystencji, zając się zdrowiem Tereski, którą mogłam wysyłać do kolonii leczniczej w Rabce wraz z gimnazjum, do którego uczęszczała. Moje potrzeby prawie w zupełności zaspokajał internat, gdzie miałam całkowite utrzymanie, pod koniec nawet własny pokój zamiast kąta w kancelarii i dodatkową opłatę z Rady Szkolnej za kierownictwo internatem. Wreszcie pokaźną sumę dawało honorarium za wykłady i hospitacje oraz ocenę prac dyplomowych w PIPS.
- 4) Pozwoliło mi to na odbycie licznych podróży. Poznałam szereg zakładów przeznaczonych dla dzieci trudnych do prowadzenia u nas w kraju (Herby, Cieszyn,

¹⁵ Bronisław Wróblewski (1888–1941) — prawnik, specjalista w dziedzinie prawa karnego, kryminologii oraz teorii prawa; zaliczany jest do grona badaczy należących do nurtu socjologicznego w polskiej myśli prawnocarnej. Od 1921 r. profesor w Uniwersytecie Wileńskim.

Studzieniec, Szubin, Antoniewo, Kamień Pomorski, Chojnice i inne). Oprócz tego kilkakrotnie jeździłam za granicę, zwiedzając zakłady dla dzieci i młodzieży moralnie zaniedbanych, sądy dla nieletnich oraz instytucje powołane do walki z przestępczością nieletnich. Byłam w następujących krajach: Anglia, Austria, Belgia, Czechosłowacja, Francja, Jugosławia, Niemcy, Szwajcaria, Węgry i Włochy.

Szkoły, internaty, zakłady specjalne... Ile ich zwiedziłam? Nie wiem. Myślę, że liczba ich zbliżona jest do setki lub nawet przekracza ją. Widzę przed sobą we wspomnieniach wielkie mnóstwo klas, pracowni, sypialni, pokojów jadalnych, kuchni z tym lub innym urządzeniem. Siłą rzeczy muszą te wszystkie pokoje być do siebie podobne. Szeregi łóżek mają być zasłane w ten lub inny sposób, taką czy inną kołdrą czy kocem. W jadalniach mają stać długie, równe stoły albo niewielkie stoliki na kilka osób. Może być tam mniej lub więcej przytulnie, wyposażenie gospodarcze może być bogatsze czy też uboższe — winno jednak odpowiadać swemu przeznaczeniu. I dlatego krocząc po idealnie wyfroterowanej posadzce internatu w Neapolu, nie mogę pozbyć się natrętnej myśli, że przecież już tu byłam. Widziałam już przedtem te same kapy na łózkach, pnące roślinki wiszące przy oknach, nieposzlakowane chodniki. Już wiem. Zupełnie tak samo wyglądały pokoje sypialne dziewcząt w Kamieniu Pomorskim. Widziałam je jeszcze przedtem w Wiedniu, Zagrzebiu i Pradze czeskiej — w zakładzie obserwacyjnym, gdzie kołderki były szczególnie puszyste i ładne. Stoliki przykryte estetyczną lnianą serwetą były zarówno w Eggenburgu¹⁶, jak w Albisbrunn¹⁷, były w rzymskim zakładzie na Aventynie¹⁸

¹⁶ Eggenburg — miasto w Austrii.

¹⁷ Albisbrunn — fundacja założona w 1924 r. w Szwajcarii w celu promowania młodych ludzi o zaburzonym rozwoju społecznym i duchowym.

¹⁸ Awentyn — wysunięte najbardziej na południe wzgórze w Rzymie.

.....

oraz u nas w Antoniewie¹⁹. W Chojnicach²⁰ zaimponowały ogromne pracownie — warsztaty, które później odnajdywałam w Kajser-Ebersdorfie²¹, Budapeszcie i innych zamożnych zakładach wychowawczych, gdzie na kształcenie zawodowe kładzie się specjalny nacisk. To wszystko nie jest ani ważne, ani charakterystyczne dla zakładu. Zwiedzający przez grzeczność musi obejrzeć to wszystko, co mu pokazują, i wysłuchać opowiadań osób oprowadzających go. Jednocześnie zaś widzi poza tymi szablonowymi przedmiotami, które mu demonstruje i z których personel instytucji bywa tak dumny, jeszcze coś innego. Widzi on to, co jest najistotniejszego — widzi duszę instytucji. Jeżeli w zakładzie włoskim w Tivoli²² wychowankowie wszyscy razem na komendę podnosili rękę w powitaniu faszystowskim, to czynili oni to wcale nie z powodu kultu dla Duce. Ruch ten został wywołany przez duch musztry i karności zewnętrznej, tej samej, który spowodował, iż dzieci w zakładzie szubińskim donośnie skandowały bezbarwnym głosem: „Niech będzie pochwalony” bez przelotnej nawet myśli o Zbawicielu. Natomiast swobodne, lecz jednocześnie pełne uszanowania słowa, jakimi wychowanek Eggenburgu (Austria) potrafił zwrócić uwagę nawet swemu dyrektorowi na czyn wydający im się niewłaściwym, świadczy o innym duchu, przepojonym wzajemnym zaufaniem i liczeniem się z godnością ludzką. Zdrowy i piękny duch panować może nawet tam, gdzie się go najmniej spodziewamy. Więzienie kobiece w Jugosławii, niedaleko Bled'u²³. Administrują nim siostry szarytki. Stosunki ich z mieszkankami okratowanego domu są tego rodzaju, że po opuszczeniu go niejedna z dziewcząt często przyjeżdża do sióstr jako ich gość,

.....

¹⁹ Antoniewo — miejscowość w powiecie wągrowieckim, gdzie mieścił się zakład resocjalizacyjny dla dzieci i młodzieży.

²⁰ Chojnice — miasto na Pomorzu; w latach 1883–1885 władze pruskie zbudowały tu zakład poprawczy; w 1920 r. ośrodek został przejęty przez władze polskie i funkcjonował pod nazwą Pomorski Zakład Poprawczy i Zakład dla Krajowych Ubogich.

²¹ Kaiserebersdorf — dzielnica w Wiedniu.

²² Tivoli — miasto we Włoszech.

²³ Bled — jezioro w północno-zachodniej Słowenii.

a raczej krewna i bliski przyjaciel. Więzienie Lepoglava²⁴ w Jugosławii. Dyrektor Bohaczek oprowadza mnie po rozległych terenach powierzonych jego pieczy. Kilkuletni Nerad dopędza ojca i serdecznie rzuca mu się na szyję, co wywołuje poważne upomnienie: „Czy ci nie wstyd?”. Widząc zdziwienie, jakie odmalowało się na mej twarzy, dyrektor poleca synkowi wytłumaczyć mi powód swej uwagi:

— Bo ja taki roztrzepany jestem. Zawsze zapominam, że ci biedni ludzie też mają małych synków w domu i im może być smutno, gdy widzą, że ja pieszczę tatusia.

W jednym z jugosłowiańskich zakładów, gdzie spędziłam tydzień, chłopcy przyszli do mnie delegacją, która była bardzo zażenowana i nie wiedziała, jak wyłuszczyć swoją sprawę... Oni bardzo kochają swego dyrektora, bo jest ogromnie, ale to ogromnie dobry. Tylko że on taki samotny, nie jest żonaty i nie lubi kobiet:

— A z panią on tak wesoło rozmawia i śmieje się. I pani też jest dyrektorką zakładu... Więc nam się zdaje, że pan dyrektor nie będzie miał śmiałości poprosić, by pani za niego wyszła za mąż. A to byłoby dobrze i dla niego, i dla pani, bo on jest taki cudny człowiek, i dla nas.

Trzeba było miłym chłopakom odpłacić szczerością za szczerość i wyznać, że gdzieś daleko koło Poznania mieszka pewien pan, do którego raz po raz powraca moja myśl. Na kilka tygodni przed wyjazdem otrzymałam od niego list, w którym pisał, że nie chce być w moim życiu zwykłym szarym przechodniem.

Śliczne zwyczaje szwajcarskich zakładów wychowania specjalnego wnoszą w życie dzieci dużo zdrowych elementów atmosfery rodzinnej. Chwile poświęcone wieczornemu skupieniu przed spoczynkiem (*Abendandacht*²⁵) mają w sobie coś naprawdę jasnego i kojącego. Ten i ów opowiada o ładnych widzianych przez niego dziś zdarzeniach. Na przykład Walter

²⁴ Lepoglava — miasto w Chorwacji.

²⁵ Niem. ‘modlitwa wieczorna’.

zauważył jakiś ciekawy szczegół w zachowaniu hodowanych w zakładzie kóz. Najmilszym jednak był moment, kiedy zażywna, prostoduszna Hausmutter (żona dyrektora zakładu) zwraca się do małego Rudi, mówiąc, że jej przykro jest, ponieważ dała mu po nosie drewnianą łyżką, gdy spostrzegła, iż on ściągnął jej z brytfanny dwie bułeczki. Mały łobuz serdecznie całuje ją, zapewniając, że mu się to należało, tym bardziej że to były nie dwie, tylko aż cztery bułeczki.

Sąd dla nieletnich w *Bruxelles*, gdzie sędzia Paul Wetz swym wnikliwym i serdecznym stosunkiem do małych klientów każe zastanowić się i niejedno zanalizować w swej pracy. Czarująca postać sędziwego Henri Rollet²⁶, któremu tyle zawdzięcza opieka nad nieletnimi w Paryżu, nie znalazła prawdziwego oddźwięku w zakładzie przy ulicy Vaugirard, gdzie on włożył tyle serca²⁷. Niemiły nastrój tam panujący jedynie usuwał się na bok w godzinach, gdy przyjeżdżał tam słoneczny staruszek. Natomiast w działalności Service Social²⁸ postulaty jego znalazły rzetelne zastosowanie i pełne entuzjazmu wykonanie. Miłe młode panienki, które pracowały tam, chętnie opowiadały o tym, jak nauczyły się rozumieć i wyczuwać dziecko:

— Przedtym nigdy nie wyobrażałam sobie, że to taka trudna rzecz jest dać komuś coś — zwierza się *mademoiselle*²⁹ Jeanne. — Pamiętam, jak wyszedł stąd pewien starszy chłopczyk, któremu ofiarowałyśmy całą walizeczkę rzeczy. Tak cieszyliśmy się wszystkie, iż mamy mu tyle rzeczy do dania, że nie

²⁶ Henri Rollet (1860-1934) — francuski prawnik, jeden z głównych organizatorów wymiaru sprawiedliwości dla nieletnich. Pierwszy sędzia dla nieletnich w Paryżu. W 1931 r. wspólnie z polską sędzią Wandą Grabińską wydał poradnik dotyczący służb pomocniczych sądów dla nieletnich.

²⁷ W 1890 r. Henri Rollet utworzył Patronat Dzieciństwa i Dorastania. W 1912 r. otwarto duży lokal dla patronów pod adresem rue de Vaugirard 379 w Paryżu.

²⁸ Ang. *Service Social* ‘opieka społeczna’ — zapewne mowa o Służbie Społecznej dla Dzieci w Zagrożeniu Moralnym.

²⁹ Fr. *mademoiselle* ‘panna’.

zwróciłyśmy większej uwagi na jego zażenowanie. A pan sędzia potym zrobił nam wymówkę, że my chłopcu nie tyle dałyśmy, co odebrałyśmy. Wy tłumaczył nam, że takie zawstydzenie nie pozwoli powstać zdrowej radości i wdzięczności. Na drugi raz mniej zawstydzi się. A dalej już zacznie uważać, że społeczeństwo obowiązane jest dawać i dawać. Wciąż będzie mu mało.

Dużo wyniosłam z rozmowy z *miss*³⁰ Peal w londyńskim Probation Officer³¹. Okazało się, że i ją również od lat żywo obchodzi zagadnienie, gdzie kończy się szczerłość dziecka, gdzie zaś rozpoczyna się cyniczna brawura, w którą może się ona łatwo wyrodzić przy braku taktu ze strony wychowawcy, który w szczerości pupila widzi przede wszystkim zadowolenie własnej, swoistej próżności pedagogicznej. Może dlatego tak sympatyczne wrażenie wywarł fragment posłyszanej przypadkowo reprimendy, jaką w Cieszynie dawał dyrektor Szuścik jednemu ze swych łobuziaków:

— Ja się do twego sumienia nie wdzieram, pieronie ty jeden! I nawet nie chcę, żebyś przede mną się spowiadał. Od tego jest konfesjonał. Ale pomyśl sam tylko, czy będziesz mógł po takim czynie sam sobie w oczy spojrzeć, stojąc przed lustrem. Ty może nie wiesz, jakie to smutne, gdy chłopak zobaczy w lustrze ot taką jak twoja miłą piegowatą twarz, a musi sobie powiedzieć: „To jest twarz oszusta!”

Zdrowy, rzetelny duch panował w zakładzie wychowawczym w Chojnicach. Pijemy razem herbatę, zacny ksiądz dyrektor Niklewski³², młody entuzjasta swego zawodu pan Willma³³ i ja. Ksiądz opowiada o kolosalnych trudnościach, jaki[e] ma człowiek, który nie uznaje kary cielesnej, o ile znalazł się on w instytucji, gdzie była ona przedtem szeroko stosowana:

³⁰ Ang. *miss* ‘panna’.

³¹ Ang. *Probation Officer* ‘Biuro kuratora sądowego’.

³² Ks. Feliks Niklewski (1888–1939) — w latach 1927–1933 dyrektor Zakładu Poprawczego w Chojnicach, a następnie całości Krajowych Pomorskich Zakładów Opieki Społecznej. Wprowadzał nowe metody pracy z młodzieżą moralnie zaniedbaną.

³³ Konstanty Willma — od 1931 r. kierownik Szkoły Doksztalczącej wchodzącej w skład Zakładu Poprawczego w Chojnicach.

— Nie złamałem swej decyzji i nie uderzyłem ani razu. A jednak wiem, że niejednokrotnie uratowałyby to od przewlekłych, złych uczuć z obydwóch stron. Huncwot zachowuje się cynicznie, prowokuje i w głębi duszy gardzi mną za słabość. Ja zaś nie umiem zwalczyć żalu do niego za jego niewdzięczność. W takich warunkach trudno o zbliżenie i nieraz ten niebijący wychowawca pada sam ofiarą, bo traci bardzo cenną rzecz: traci on miłość i wiarę w dzieci.

Wątpię, czy spotka ksiądz kiedykolwiek przełożoną oddziału dla nieletnich dziewcząt przy więzieniu w Palermo. Tymczasem właśnie to samo zagadnienie absorbuje ją. Na łózkach wychowanek zwracają uwagę barwne lalki artystyczne. W kącie pokoju — olbrzymie akwarium. Przy patefonie dobre wartościowe płyty. Gdy wyrażam jej swą radość z powodu tych szczegółów, odpowiada mi z nadzwyczajną prostotą, że regulamin daje jej prawo stosowania chłosty:

— Skoro mam tamto prawo, z którego wolno mi nie korzystać, to mam jednocześnie obowiązek, którego zaniedbać mi nie wolno. Obowiązek dostarczenia dziewczynkom radości. Prawo do bicia mają tylko rodzice i oprawca. Rodzice mogą nie korzystać z niego ani razu, ale nie mogą nie kochać. Inaczej staną się karami, jeżeli nawet i nie biją.

Myśl, dociekania, idea — oto co stanowi duszę instytucji. Ona decyduje o wrażeniu indywidualnym, odróżnia od siebie dziesiątki pozornie jednakowych zakładów. Ona każe powracać do nich myślą, wcielać ich postulaty później u siebie. Stwarza ona poczucie łączności, wspólnej siły, która pozwala trwać przy swych przekonaniach pedagogicznych, o ile nawet okoliczności zewnętrzne stanowią zaprzeczenie naszych pojęć o należnym i domagają się ustępstw na rzecz poprawnego szablonu ze wzorową księgowością, idealnie błyszczącymi posadzkami i zgadywaniu życzeń przełożonych. Pozwala przetrwać te gorsze passy, wierząc, iż nie jest się samym i że idzie się właściwą drogą.

Szkoła nr 137 (B)

.....

Ul. Radzymińska 130

Główne linie celowej organizacji zakładu dla dzieci i młodzieży moralnie zaniedbanych ułożyły się już wcześniej. Dopiero jednak po uzyskaniu w styczniu 1934 roku nowego, dostosowanego do naszych potrzeb budynku przy ul. Radzymińskiej, przybrały one realne kształty i zostały wprowadzone w życie. W zarysie organizacja projektowana była następująco. Zakład nie powinien mieć charakteru zamkniętego, gdyż system nasz wychowawczy winien (patrz s. 277 i następne) mocno opierać się na współpracy z rodziną. Toteż internat jest tylko etapem przejściowym, obliczonym na mniej więcej roczny pobyt chłopca, który potym przechodzi do tzw. półinternatu, spędzając cały dzień u nas i wracając na noc do domu. W ostatnim okresie pobytu w szkole jest on uczniem przychodzącym. W wypadku wyjątkowo ujemnych sytuacji rodzinnych chłopak pozostaje w internacie dłużej. Najlepszym wyjściem byłoby wtedy utworzenie osobnych grup dla tych stałych mieszkańców, grup o systemie rodzinkowym. Miałoby to jeszcze i tę dodatnią stronę, że pozwoliłoby uniknąć do pewnego stopnia tak często obserwowanego zjawiska nadawania tonu zakładowi przez jego weteranów wychowanków. W praktyce nie udało mi się jeszcze wprowadzić w życie tego ostatniego postulatu o osobnych grupach dla chłopców, pobyt których w zakładzie przedłużał się ponad przewidzianą normę.

Na początku swego pobytu w zakładzie chłopak trafiał do punktu obserwacyjnego. Zorganizowany on był następująco. Każde dziecko miało oddzielny mały pokój — *box*, które mogło urządzić i utrzymywać według swego gustu. Oprócz salki z *boxami* miał punkt obserwacyjny niewielką bawialnię, gdzie

.....

chłopcy spędzali wolne godziny i mieli do dyspozycji książki o różnorodnej treści, jak również gry pozwalające obserwować ich zręczność ruchową, cierpliwość, różnorodne reakcje. Kierował punktem zdolny i całą duszą oddany pracy pan Z. Miluk, który prowadził dziennik obserwacji. Badania inteligencji oraz psychotechniczne dokonywane były przez psychologów szkolnych panie Kaczyńską¹ i Bużycą².

Chudziutki, zbyt wysoki na swój wiek Florek przyszedł do nas po wielu uprzednich rozmowach z ojcem. Był to człowiek inteligentny, urzędnik, z każdego słowa którego przebijają gorąca miłość do rodziny — żony i dzieci — szczególnie zaś do młodszej córeczki. O Florku mówił dużo, wypowiadał swe troski i obawy:

— Chłopiec ma w sobie coś, co mnie przeraża i odpycha. Widzę w nim dwie wzbudzające we mnie wstręt właściwości. Łapię siebie na chęci strofowania go na każdym kroku, korygowania każdego jego słowa i posunięcia. Czuję również i w nim rosnącą niechęć do siebie. Może państwo rozwikłacie ten zagramowany węzeł, który zatruwa nam wszystkim życie. Żona moja jest świętą. Te ustawiczne zgrzyty zabijają ją. Zdaję sobie z tego sprawę, nie umiem jednak znaleźć odpowiedniego sposobu postępowania z nim.

Przyszedł Florek i od razu pozyskał gorącą sympatię chłopców swoją żywiołową wesołością. Sypał dowcipami, organizował zabawy, imponował popisami zręczności prawie akrobatycznej. Wieczorem zabrał się do ozdabiania ścian swego *boxu* obrazkami. Mieliśmy ich kilkaset do wyboru. Wybrał widok z cmentarza mediolańskiego, grupę zmarzniętych

.....

¹ Maria Grzywak-Kaczyńska (1886–1979) — doktorat uzyskała w Szwajcarii pod kierunkiem Edwarda Claparéda. Po powrocie do kraju została pierwszym w Polsce psychologiem szkolnym, prowadziła badania nad zastosowaniem testów do organizowania pracy szkolnej, tworzyła testy inteligencji, zapoczątkowała badania dojrzałości szkolnej i wydała szereg prac na ten temat.

² Janina Krasuska-Bużycza — specjalista z zakresu psychotechniki.

dzieci żebraków, pocztówkę Bogdanowa-Bielskiego³ z biednym chłopczykiem u drzwi szkoły, głowę Chrystusa Męciny-Krzesza⁴. Zawiesił również jakichś więźniów za kratami oraz krajobraz pustynny z sylwetkami krążących w powietrzu kruków. Gdy po kilku dniach chłopcy zmieniali wybrane poprzednio przez siebie obrazki na inne, Florek oznajmił, że bardziej odpowiednich chyba nie znajdzie. Zamienił jedynie dzieci żebraków na małego chłopaczka, który z węgła domu przygląda się grupie dzieci pieszczonych przez ojca. Pod obrazkiem był napis: „Im dobrze!”. Florek napis podkreślił czerwonym ołówkiem. Przez cały tydzień Florek zachowywał się raczej dobrze, o ile nie liczyć mu za winę hałaśliwości i ciągłego brawurowania, narażającego życie i zdrowie. Skakał na przykład z okien pierwszego piętra na piasek urządzonej na boisku sztucznej plaży, dokonywał karkołomnych popisów na drabinach gimnastycznych itd. W sobotę po lekcjach poszedł do domu, zwalniając się aż do poniedziałku rano. Wrócił po dwóch godzinach. Usiadł samotnie w pustej czytelnii i udawał, że czyta. W parę godzin później włąził na dach trzypiętrowego budynku i tam tańczył. Zwymyślałam go ostro, wspominając o tym, ile smutku i bólu takie wybryki mogą przyczynić rodzicom. Zły błysk w oczach:

— Może wtedy raz pożałowałyby szczerze... A może ucieszyłyby się!

Nazajutrz wybrałam się do matki, której dotąd nie widziałam. Poznałam kobietę o zupełnie nieprzeciętnej urodzie i wyjątkowym czarze. Ze łzami dziękowała mi za przyjście. Sama do szkoły przychodzić nie może. Mąż irytuje się bardzo, gdy dostrzeżę z jej strony przejawy troskliwości względem syna:

— Jemu wciąż wydaje się, że go kocham więcej i inaczej niż Hanusię. Wczoraj był cały dramat o to, że schowałam dla Florka kilka oładków z tych, które smażyłam w piątek i dałam mu je, gdy przyszedł. Dzieciak tak je lubi. A mąż zarzucał mi, że dla mnie istnieje tylko syn, reszta rodziny jest niepotrzebna, cisnął talerzem o podłogę i wybiegł z domu. On Florka wprost

³ Nikołaj Bogdanow-Bielski (1868–1945) — malarz rosyjski.

⁴ Józef Męcina-Krzesz (1860–1934) — polski malarz; malował obrazy o treści religijnej, historycznej oraz portrety.

.....

nienawidzi, chociaż troszczy się o niego bardzo. Gdy mały miał operację ślepej kiszki, to wprost odchodził od zmysłów i trwogi o niego.

Później mówiliśmy na inne tematy. Gawędziło się lekko, dobrze. Nawiązał się jeden z tych kontaktów, gdy po paru godzinach ludzi mogą stać się sobie bardzo bliskimi. Opowiedziała mi, że w ich życiu był okres, gdy mąż jej hulał, zdradzał ją, zaniedbywał dom, bywając w nim jedynie gościem. Florek urodził się właśnie w tym czasie. Mąż podejrzewa, że to nie jego dziecko. Nigdy jej tego wyraźnie nie powiedział, ale ona to od dawna już zrozumiała.

Podczas następnej rozmowy z ojcem Florka zahaczyłam o literaturę i spytałam, czy lubi D'Annunzia⁵. Okazuje się, że przekład *L'Innocente*⁶ jest książką, którą on umie prawie na pamięć. Od dyskusji na temat zagadnienia tam poruszonego przeszliśmy niepostrzeżenie do spraw osobistych. Powiedział o swej męce. On nigdy nie potrafi wynagrodzić swej cudnej żonie krzywd, jakich ona doznała od niego. Ona miała pełne prawo ułożyć swoje życie tak, jak chciała. Jest przekonany, że Florek nie jest jego synem i uważa to za słuszną ekspiację. Do żony nie ma najmniejszego żalu. Tylko do siebie. Oburzyłam się ostro. Jak śmie on w dalszym ciągu krzywdzić tę uroczą kobietę. Czyż jej nie zrozumiał dotąd, czy nie wie, że ona byłaby niezdolną do małostkowej zdrady, po której w dodatku pozostawałaby w jego domu. Wszak w każdej chwili znalazłoby się niejednego człowieka, który uważałby za największe szczęście poślubić ją i otoczyć troskliwością. Odpoczęłaby nareszcie. Jeżeli jest z nim, to widać, że kocha jego i dom, chociaż jego postępowanie mogło zabić tę miłość. Tylko że my kobiety bywamy takie dziwne. Ale tylko do pewnej pory, póki nie przeciągnie się struny. Zresztą rozmawiając z nią, odniosłam wrażenie, że kobieta ta przeżywa ciężką tragedię wewnętrzną, która odbiera jej siły do życia. Rozumiem teraz, że to urojone podejrzenia pana podcinają ją.

.....

⁵ Gabrielle D'Annunzio (1863–1938) — włoski poeta, dramaturg, prozaik.

⁶ *L'innocente* (Niewinne) — powieść Gabriele D'Annunzia z 1892 r. Opowiada historię dandysa, który jest niewierny swej cierplivej i kochającej żonie.

— Gdybyż istniał sposób przekonania się, że on jest moim dzieckiem.

Okazało się, że nic nie słyszał o badaniu pokrewnych grup krwi. Uchwycił się tej myśli jak deski ratunku. Prof. Grzywo-Dąbrowski⁷ uprzejmie dokonał zabiegu, w wyniku którego ustalono, że krew nieufnego ojca i Florka należy do tej samej grupy. Tegoż dnia Florek zamieszkał w domu. Odwiedzając tę rodzinę, musiałam jedynie walczyć o to, by rodzic zbytnio nie rozpieszczęł chłopca. Na moje perswazje odpowiadał mi niezmiennie:

— Tyle czasu zmarnowałem przedtym.

Po przejściu przez okres obserwacji trwający do trzech miesięcy chłopak mógł wrócić do swej poprzedniej szkoły. Wychowawca klasy otrzymywał wtedy dokładną instrukcję dotyczącą jego charakteru i zalecanych metod postępowania. Ze względu na to, iż w większości wypadków stosunki pomiędzy wychowawcą a dzieckiem utrudniającym pracę w klasie nacechowane były już przedtym pewnym naprężeniem, wydawało się bardziej celowym umieścić takiego ucznia w innej normalnej szkole. Wtedy również należało wtajemniczyć nauczyciela co do wyników poczynionych spostrzeżeń psychologicznych. W wypadku gdy obserwacja wykazała, że głównym tłem wykolejenia były niewłaściwe stosunki w rodzinie, mogło dziecko zostać ulokowanym w zwykłym zakładzie dla dzieci normalnych. Tu dezyderatem było polecić sprawę jego patronatowi, który powinien rozpocząć oddziaływanie na rodziców celem unormowania ich stosunku z dzieckiem. Ewentualnie praca ta przypaść mogłaby w udziale personelowi zakładu, w którym zamieszka takie dziecko do czasu, aż nastąpi pożądanе uzdrowienie klimatu rodzinnego.

O ile pobyt w punkcie dowiódł, iż chłopak wykazuje istotne anomalie i trudności wymagające wychowania specjalistów, pozostać winien u nas. Specjalnej troski wymagała sprawa

.....

7 Wiktor Grzywo-Dąbrowski (1885–1968) — polski lekarz, specjalista medycyny sądowej, profesor medycyny sądowej na Uniwersytecie Warszawskim.

.....

jednostek o cięższych schorzeniach nerwowych oraz psychopaci. Dla nich winne być utworzone zakłady lecznicze, gdyż pobyt ich w instytucji przeznaczonej dla dzieci o wadach charakteru jest męką zarówno dla nich, jak i dla zakładu.

Serdeczny, sympatyczny Fryderyk, umieszczony u nas przez siostrę bardzo go kochającą, był ogromnie nieszczęśliwy. Do personelu przywiązał się szczerze; radził się nas, zwierzał się z najróżnorodniejszych trudności i zamiarów, starał się niczym nie zmartwić. Z kolegami natomiast raz po raz wynikały sprzeczki i zatargi. Drażniły go ich żarty i hałas, obrażał się co chwile, wpadał w pasję i rzucał się na przeciwnika z furją ledwie dającą się poskromić. Kilka miesięcy pobytu w naszym zakładzie zupełnie rozstroiły mu system nerwowy i dopiero umieszczenie chłopca w leczniczym zakładzie psycho-neurologicznym prof. K. Dąbrowskiego⁸ przywróciło mu równowagę.

Typy takie dobrze znane są każdemu pracownikowi instytucji przeznaczonej dla dzieci moralnie zagrożonych. Zakłócają oni normalny bieg życia, nie są w stanie dostosować się do współżycia z gromadą. Oburzają się na wykroczenia kolegów, nie wykazują żadnej tolerancji względem nich, sami zaś drażnią i irytują współwychowanków swym sposobem bycia i skrajnym egotyzmem.

W razie zakwalifikowania do naszego zakładu mógł chłopak trafić do jednej z trzech istniejących w internacie grup. Zależało to przede wszystkim od wiedzy jego i rozwoju fizycznego. Pobyt u nas miał być wykorzystany do wszechstronnego oddziaływania na młodego wychowanka. Obejmowało ono więc między innymi działanie opieki, także i gromadne zajęcia się zdrowiem jego. Zakład miał dwóch lekarzy, higienistkę

.....

⁸ Kazimierz Dąbrowski (1902–1980) — polski lekarz, psychiatra, psycholog kliniczny, filozof oraz pedagog; założyciel Instytutu Higieny Psychiczej.

mieszkającą w gmachu internatowym, gabinet dentystyczny oraz łatwy kontakt z wszelkimi ambulatoriami i szpitalami, gdzie w razie potrzeby można było umieścić chorego na krótszą lub dłuższą kurację. Mieliśmy swego instruktora wychowania fizycznego, zadaniem którego była opieka nad kulturą fizyczną ciała. Własne kąpielisko pozwoliło doprowadzić sprawę czystości osobistej chłopców do poziomu należącego.

Szpitalik internatowy. Niewielki pokój na trzecim piętrze. Dwa białe łóżka, kilka niezbędnych, również lakierowanych na biało sprzętów. Na tle tego typowego, tysiące razy powtórnego w niezliczonych instytucjach pokoiku przesuwają się we wspomnieniach chłopięce twarze. Najczęściej są pogodne i uśmiechnięte. Pobyt w szpitaliku jest miłym urozmaicheniem życia. Człowiek nie ma żadnych obowiązków. Wszyscy traktują go jeszcze serdeczniej niż zwykle. Panią higienistkę łatwo uprosić i wtedy na białej tacy przynoszą z kuchni potrawy, jakie człowiek sobie wymarzył: delikatne kaszki, kompot, kisiel, naleśniki, biszkopty itd. Toteż amatorów do zamieszkania przez dzień–dwa w pokoiku na najwyższym piętrze zawsze jest dużo. Tylko, że nie każdemu to się tak łatwo udaje. Stary pan doktor jest bardzo dobry, ale i niemniej sprytny i nie da się łatwo oszukać. A nawet może jeszcze i porcję olejku rycynowego zaaplikować. Przy lekkich niedomaganiach jednak trafia się tam zawsze. Toteż wchodzącego do izolatki człowieka prawie zawsze spotykają roześmiane oczy. Czasem jest w nich rodzaj rozrzewnienia. Mały Jasiek cichutko leży wśród czyściutkiej pościeli:

— Jak tu dobrze! Mnie nigdy jeszcze tak dobrze nie było.

Ale pamięć wywołuje i inne, mniej pogodne obrazki. Wnosimy do szpitalika chłopca wijącego się w ciężkim ataku epileptycznym. Za nim postępuje jego brat i cicho popłakuje:

— Pani, czemu ta straszna choroba nas się uczepliła? Ja niedawno tak sobie rozciąłem czoło — o, tutaj! Dzisiaj Edek znów tak okropnie wygląda.

Przez pewien czas mieszkał w szpitaliku mały Stefek. Nie był on przedtym wychowankiem internatu, dojeżdżał tylko do szkoły. Aż zdarzył się ten okropny wypadek, kiedy on bawił się, wskazując i wyskakując z tramwaju. Odcieło mu stopkę. Na pytanie policjanta, który zawezwał pogotowie, gdzie mieszka, dzieciak nie chciał odpowiedzieć:

— Mama może się bardzo przerazić. Lepiej zawiadomić szkołę. Proszę do telefonu poprosić pana Miluka. On bardzo dobry i ma zdrowe serce. To jemu taka wiadomość tak bardzo nie zaszkodzi.

Wprost wierzyć się nie chciało w to, by chłopczyk leżący na ulicy z nogą ociekającą krwią mógł myśleć o innych, usiłować oszczędzić im wstrząsu. A jednak tak było. Po wyjściu z oddziału chirurgicznego zamieszkał u nas, bo codzienne wędrówki z domu byłyby na razie zbyt uciążliwymi. Dużo napracowaliśmy się wszyscy, by Stefuś nauczył się stąpać jednakowo mocno na zdrową stopę i na tamtą pozostałą piętę. Doktor Mioduszewski wpadł na świetny koncept: posmarowania zdrowej podeszwy nogi jakimiś płynami drażniącymi naskórek. Przy chodzeniu bolały obie nogi, w rezultacie czego Stefek przyzwyczał się chodzić równiutko.

Wracam wieczorem z jakiegoś posiedzenia do internatu. Z daleka uderza niezwykły o tej porze widok. Oświetlone jest okno w kancelarii i tuż nad nim inne — szpitalik. Gdy wyjeżdżałam, był on pusty. Teraz jest godzina jedenasta wieczorem. Żle! Na dole w drzwiach spotyka mnie zatrwożony wychowawca:

— Stało się nieszczęście: oślepl Julek. Ależ nikt mu nic nie zrobił. Wrócił wraz z innymi z kąpieliska, rozbierał się przy swoim łóżku, raptem zaczął wołać, że nic nie widzi.

Telefonowano do naszego lekarza, który jednak radzi poczekać do rana i odwieźć chłopaka do szpitala oftalmicznego⁹ przy ul. Smolnej! Julek leży przerażony i blady. On dobrze wie, co to znaczy ślepotą. Wszak matka jego jest niewidomą od wielu lat i nim chłopak trafił do nas przed kilku tygodniami dopiero, zebrał on wraz z nią, chodząc po wsiach. Ze Smolnej kierują

⁹ Oftalmiczny — okulistyczny. Szpital przy ul. Smolnej powstał jako Instytut Oftalmiczny w 1827 r.

chłopca na badanie Wassermanna¹⁰. Wynik dodatni. Po kilku dniach — tak samo nagle — odzyskuje on wzrok. Ma być umieszczony na kurację do św. Łazarza¹¹. W przeddzień jednak zjawia się matka i po kryjomu wykrada syna. Bez niego trudno jej było żebrać. Sympatyczna, ujmująca powierzchowność Julka jednała jej serca ludzi i zarabiała więcej.

Niemniejsze powodzenie od szpitalika ma pokój lekarski, gdzie parę razy w tygodniu ordynują lekarze: bądź internista, bądź specjalista od chorób nerwowych docent G. Bychowski¹². Chłopcy lubią chodzić do niego „na rozmowę”, tak nazywają badania psychoanalityczne, które on w niektórych wypadkach przeprowadza. Częściej jeszcze przychodzą radzić się go w swoich intymnych trudnościach. Ten i ów chce wyleczyć się z onanizmu, niejeden prosi o radę, jak uniknąć nocnego moczenia do łóżka. Nieraz skutecznie działa hipnoza. Proszą o nią również i ci, którzy pragną odzwyczaić się od palenia. Nie pomogły bowiem ani specjalny papieros mentolowy, ani stosowany za poradą doświadczonych kolegów palaczy drakoński sposób: palenie obciętych paznokci, po czym dostaje się gwałtownych wymiotów.

— Może pan doktor da mi taki rozkaz, żeby mnie już do tego dymku nie ciągnęło — prosi mały nałogowiec. Zaczął palić, mając lat sześć.

Lubią też i nasz gabinet dentystyczny. Wiadomo, że siedzenie w fotelu dentysty jest pewną przykrością, ale za to sama pani dentystka jest taka miła i delikatna, leczy tak ostrożnie, że amatorów do kuracji zawsze bywa pod dostatkiem.

¹⁰ Badanie Wassermanna — dawniej stosowany test diagnostyczny w kierunku kiły.

¹¹ Szpital św. Łazarza — istniał w Warszawie od XVI w. Specjalizował się w leczeniu chorób wenerycznych i skórnych.

¹² Gustaw Bychowski (1895–1972) — polski i amerykański lekarz psychiatra, jeden z pierwszych polskich psychoanalityków. W 1940 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

.....

Duży nacisk kładliśmy na stronę emocjonalną w wychowaniu, na roz pogodzenie chłopca. Każdy z nich miał w przeszłości swej niejedno ciężkie, bolesne przeżycie. Chodziło o to, by dostarczyć mu możliwie wiele momentów jasnych i pogodnych. W dalszym ciągu wykorzystywaliśmy takie okazje jak dni imienin chłopców, uroczystości szkolne, częsty i łatwy dostęp do kina. Grupy rywalizowały pomiędzy sobą, organizując małe przedstawienia dla tych, którzy w dniach świątecznych nie udawali się do domu, lecz pozostawali w zakładzie. Świetlice, czytelnie, radio, bogaty wybór gier towarzyskich, szerokie możliwości zabawy na boisku, orkiestra mandolinistów, hodowla zwierząt — wszystko to pozwalało wprowadzać w życie internatu uśmiech i radość, chronić od monotonii i koszarowości.

Od rana wśród chłopców panuje wielki niepokój.

— Oni od dawna już patrzyli na siebie krzywo... Trzeba było nam koniecznie pilnować ich w nocy... Bo źle stało się: pełna podłoga krwi. Obaj prawie że nie ruszają się i nie wiadomo, czy wyżyją.

Chodzi o pokój zwierząt. Tam kruk, który zamieszkał u nas wobec złamanego skrzydła, załatwił swe porachunki osobiste z jeżem. Obaj z walki wyszły fatalnie i jedynie interwencja młodej słuchaczki weterynarii uratowała sytuację. Kruka jednak trzeba było na nałożenie opatrunku odseparować od pozostałych stworzeń, gdyż zdradzał nadal zamiary agresywne. Zdziś K., zwany przez wszystkich Dyrektorem naszej quasi-menażerii, czynił mu gorzkie wyrzuty:

— Co za wstrętny charakter masz! Dbają o ciebie, nie krzywdzą, to czemu innym żyć nie dajesz? Wie, pani, że nawet nie tak mi bardzo żal tych jego pogryzionych nóżek, bo to na pewno on zaczął i narobił cały ten niepokój.

Patrzę na oburzoną twarz chłopca i uśmiecham się nieznacznie. Mówi:

— Dbają o ciebie, nie krzywdzą, to czemuż? — Ani mu przez myśl nie przeszło, że jeszcze przed rokiem te same słowa można było zastosować do niego samego. Ileż to kłopotu i zmartwienia

.....

sprawił on nam wszystkim swymi wagarami i „wystawami”, kiedy znikał z internatu na parę dni, gnany gdzieś w przestrzeń żądzą wrażeń. Wracał zbiedzony, zmizerowany i przygnębiony, żeby po pewnym czasie znów wyrwać się „po wolność”. Wcisnął się bez biletu do kina, tamże nocował gdzieś pod krzesłami, włóczył się po ulicach, przyglądał się ich życiu, trochę żebrał, odwiedzał nielicznych znajomych z dawnych czasów i zbierał od nich skąpe wiadomości o matce, która porzuciła jego i ojca przed laty. Żle czuł się w licznej gromadzie, która go najwidoczniej męczyła, chociaż wszyscy lubili cichego chłopaczka o nieśmiałym uśmiechu.

— I po coś łąził tam do tego kina! — wymawiała mu rozkochana w dziecku kucharka internatowa, wsuwając do ręki naprędce usmażony dla niego naleśnik. — Przecież co tydzień chodzicie do kina wszyscy, to jeszcze ci mało?

Zdziś nisko spuszczał główkę i bezdźwięcznie poruszał wargami. Kobięcina zaś wzdychała i hałaśliwie wycierała sobie nos. Później zwierzała się nam ze swych przypuszczeń, niepozbawionych wnikliwości:

— Kociaczek ten nie na filmy patrzy. On wciąż tej matki swej szuka i myśli, że ją spotka gdzieś. Tylko gdzieżby on ją poznał? Miał wszystkiego parę latek, gdy ona poszła sobie i tego aniołka zostawiła... Biedaż to, bieda z tymi dziećkami, co więcej miłości w sercu mają niż rodzice.

Żadne perswazje, prośby i groźby nie działały na chłopca. Dopiero zapoczątkowanie pokoiku zwierząt, do którego trafiły dwie chore, poranione wiewiórki przykuło jego uwagę. Zajął się nimi ze wzruszającą troskliwością. Potym przybył biały szczur, którego nosił całymi dniami w kieszeni, dalej morskie świnki, akwarium, jeź. Dużo kłopotu miał z żółwiem, który ogromnie wybredzał z jedzeniem, aż Zdziś wpadł na pomysł noszenia go do kuchni i wrzucania do kubła z pomyjami, gdzie tamten najadał się do syta, wybierając sobie odpowiednie kęsy. Po uczcie opiekun bez ceremonij płucał pupila pod kranem u zlewu i zanosił z powrotem do terrarium. Pokój zwierząt całkowicie pochłaniał myśli i uwagę chłopca. Przecież trzeba było pomyśleć o ogromnych, kilkumetrowych zagrodach

z siatki dla wiewiórek i umocowaniu tam pni drzew. Gdy zaś wyjaśniło się, że rude wiewiórki nie zgadzają się charakterem z szarą, należało rozwiązać i tę trudność. Pomocników dobierał sobie starannie i z rozważą:

— Nie, Janku! Tyś w gorącej wodzie kąpany. Tobie prędko sprzykrzy się i rzucisz wszystko. A zwierzęta przywiązują się. Ich nie można tak przerzucać od jednego człowieka do drugiego.

Nawet zwiedzanie pokoju przez licznych amatorów napotykało niekiedy na przeszkody w postaci oświadczenia:

— Takiego „rabanistę”, co wszędzie robi hałas i krzyki, nie puszcza się i już. Tylko przerazisz ich.

Najgorzej widziani byli u niego ci spośród kolegów, których gromada posądzała o posiadanie i używanie rogatek¹³. Wprost nie znosił tych „ptasich hycli”, jak mawiał. Zresztą liczba ich naprawdę zmalała do minimum. Opieka nad zwierzętami tak wciągnęła chłopaków, że skwapliwie znosili do nas wszelkiego rodzaju chore, pokrzywdzone stworzenia na kurację. Dużo nie miłych chwil mieli woźnicy źle obchodzący się z końmi. Nasi chłopaki występowali bardzo energicznie w obronie zwierząt, powodując w niejednym wypadku spisanie protokołów policyjnych przeciwko nielitościwym furmanom. Wielkim świętem była wiosenna uroczystość wypuszczenia na wolność wyleczonych zwierząt. Wiewiórki odwiedziłyśmy do Łazienek, gdzie one nie od razu odłączyły się od nas. Szczególnie ta najmniejsza z łysym ogonkiem długo siedziała na ramieniu Zdziśka i tarła go łapkami za ucho. Z pewnym wahaniem zdecydowała się na skok do najbliższej gałęzi.

Amatorzy królików wybudowali oddzielny domek dla swych ulubieńców i tam prowadzili regularną hodowlę ich. „Gołębiarze” mieli do dyspozycji duży, ładny gołębnik na wysokim słupie i godzinami rozprawiali o sprawach dotyczących skrzydlatych pupilów. Używali przy tym fachowych, dla mnie niezrozumiałych, terminów. Z pogardą mówili o jakichś „kokach”¹⁴,

¹³ Rogatki — kolce montowane w celu odstraszenia ptaków.

¹⁴ Kok — gołąb domowy o jaskrawym upierzeniu.

ubolewali, że „pawcio¹⁵ dostał pypera¹⁶ na języczku” itd. Czując się zupełnie profanem w tych ważnych sprawach, nie zabierałam zupełnie głosu, ciesząc się, że jeden spośród nauczycieli lubił i dobrze znał się zarówno na królikach, jak i na gołębiach. Najgorzej wychodził na tym wszystkim dobroduszy właściciel domu, lubiący zresztą bardzo naszych urwisów. „Naciągali” go często na kupienie im jakichś rzadkich i naprawdę ładnych okazów. Wzdychał, targował się, w końcu jednak ustępował, chłopaczyska zaś triumfowali.

Przysposobienie zawodowe ograniczało się do zajęć popołudniowych w pracowniach stolarskiej, szewckiej, introligatorskiej i drobnego *slöjdu*. Marzeniem moim było rozszerzyć tę dziedzinę, dając każdemu chłopakowi opuszczającemu szkołę znajomość fachu.

Nie udało się jednak osiągnąć tego. Może zbyt kosztownym było organizowanie porządných, odpowiadających zdobyczom techniki warsztatów? Może przeszkadzało to, iż tu wchodziło się w dziedzinę kształcenia zawodowego, które ze szkolnictwem powszechnym połączone jest zaledwie luźnym związkiem? Może same aspiracje naszych chłopców, z których większość spragniona była zupełnie innej przyszłości niż bytowanie rzemieślnika hamowały sprawę? Marzyli o marynarce, lotnictwie, karierze wojskowej, przynajmniej zaś o zdobyciu wiadomości z dziedziny techniki i elektromonterstwa. Niewątpliwie jednak brak solidnego kształcenia fachowego, otrzymanego w zakładzie przeznaczonym dla elementu trudniejszego, uważałam i uważam za wielki minus. Racjonalna organizacja podobnej instytucji jest nie do pomyślenia bez odpowiedniego rozszerzenia tego zagadnienia.

¹⁵ Być może spieszczona forma pawik ‘rasa gołębia’.

¹⁶ Pypeć — stan chorobowy u ptaków objawiający się przerostem nabłonka błony śluzowej na końcu języka.

Punktem centralnym wysiłków wychowawczych był sam chłopak w danym okresie jego życia. Możliwie bliskie i wszechstronne poznanie jego osobowości, przeszłości, warunków rodzinnych, rozpogodzenie, wdrożenie do nawyków kulturalnych, nauczanie sztuki współżycia z innymi ludźmi, wdrożenie do pracy i obowiązkowości — oto były cele, realizacja których całkowicie absorbowała nasze siły i możliwości. Samo życie instytucji płynęło burzliwie, uzależnione od temperamentów, charakterów, wad i zalet zarówno dorosłych, jak i dzieci. Przybycie nowego chłopca do internatu w niejednym wypadku trzeba było przechorować. Wnosił często z sobą protest, nieład, niedopasowanie własnego „ja” do wymagań otoczenia.

Mały Josek w ciągu pierwszego tygodnia pobytu u nas zdeorganizował bieg życia do takiego stopnia, że wieczorem podczas kolacji wychowawców zacny pan Zygmunt spojrzał na zegarek, westchnął i powiedział:

— Za osiem godzin Josek z całą pewnością już nie będzie spał.

Bił się, kłócił, pluł, drapał, przeklinał skomplikowanymi, nienadającymi się do powtórzenia zwrotami. Całymi godzinami potrafił siedzieć gdzieś za wielką paką śmietnika i do krwi ugryzł rękę starego woźnego, który usiłował wydostać go stamtąd. Potym zaś patrzył na tę obwiązaną bandażem rękę, nieśmiało dotknął jej palcem i szepnął:

— Ja nie bardzo mocno gryzł. Czy jeszcze boli?

Wymęczył wszystkich. A jednak wszyscy serdecznie kochali tego małego dzikusa, nieokiełzanego, upartego, o złotym sercu i zdumiewającym poczuciu prawdy. Nie kłamał nigdy. Nawet noce nie były spokojne. Nieraz po północy już wybuchała jakaś dzika wrzawa i bójka w tej lub innej sypialni. Późnym wieczorem gwałtowny dzwonek u drzwi zrywa z łóżka:

— Proszę panią! Dawid wybił, zdaje się, swemu bratu oko!

Bez tchu dopadamy sypialni i z ulgą stwierdzamy, że rozcięte jest jedynie czoło nad okiem. Krwawi jednak obficie. Opatrując ранego, dowiaduję się, że samosąd bratni wywołany został tym, iż matka obarczyła swego pierworodnego odpowiedzialnością za garderobę młodszego. Ten zaś znowu zgubił spodenki

kąpielowe. Zrozpaczony Dawid przywiązał swój trzewik do rzemienia i uderzył małego, trafiając go obcasem okutym żelazem w czoło.

— Gdzież jest sam Dawid?

Po dłuższych poszukiwaniach ktoś dostrzega sterczącą spod jednego łóżka piętę dziecinną. Wyciągnięty przez kolegów ze swej kryjówki winowajca stoi przede mną. Jestem bardzo zła i oznajmiam mu wielce wzburzona, że takich jak on właściwie należy po prostu oddawać w ręce policji. Spod długich rzęs pada na mnie melancholijne spojrzenie. Po chwili zaś cichy, zrezygnowany głosik pyta:

— A... kiedy oni... po mnie przyjdą?

I już gniewać się nie sposób. Nikt nie potrafi przewidzieć, co może zdarzyć się w ciągu najbliższej godziny. Pełgające po ścianie światło autobusu, który przejeżdżał ulicą, czemuś nastraszyło zaspanego urwisa. Podniósł wrzask. Wynikła panika:

— Duch! Straszy!

Zerwali się z łóżek, rzucili się do okien. Już chcieli wyskakiwać — i to z drugiego piętra! Na szczęście wychowawca, słysząc hałas, oświetlił natychmiast sypialnię (wyłącznik znajdował się w jego pokoju połączonym oknem z sypialnią). Gdy wszedł do chłopców, byli oni już uspokojeni, zawstydzeni i trudno było ustalić, kto z nich pierwszy narobił wrzasku.

Jednym z naczelnych zadań, jaki[e] stawiał przed sobą nasz system, było pogodzenie chłopca z jego rodziną. W przeważającej większości wypadków dzieci z wadami charakteru mają dużą ilość starc z najbliższymi. Skutki czynów ich, popełnianych na zewnątrz domu rodzinnego, niejednokrotnie wyrządzają dotkliwą krzywdę rodzicom, przybierając postać straty materialnej, zranionej ambicji, zawiedzionych nadziei lub też bolesnego niepokoju o los sprawców. Z drugiej zaś strony dzieci te, wobec braku dostateczno mocnych wewnętrznych czynników hamujących, ustawicznie stykają się z tamami dla owych zachcianek

stawianych im przez najbliższych i odczuwają niechęć i żal do tych, kto przeszkadza im w realizacji ich chęci i pragnień. Nużą je wymówki i narzekania, irytują, budzą sprzeciw. Kary zaś wywołują pragnienie rebelii względem tych, kto je wymierza, zdradzając niejednokrotnie przejawy tych samych wad i cech, które tępi w młodszej generacji.

Mały Genio wielokrotnie był katowany przez ojca pijaka za wargary i wyprawy mające na celu poszukiwanie przygód. Z właściwym sobie poczuciem humoru opowiada o tym, jak któregoś dnia zakradł się wraz z kilkoma kolegami do piwnic budującego się gmachu, by tam przespać się:

— Włazimy sobie ostrożnie, żeby nie obudzić któregoś z „gigantów”^{17*}. Dużo ich tam chrapało: i młodych, i starych. Butelek pustych dużo było... Słyszę, ktoś przeklina. Przyglądam się... o rety! A to mój faterek¹⁸ tam gigantuje z kamratami. Rzuciłem się stamtąd, bo gdyby złapał, to by gnaty poprzetrącał. Pobiegłem spać do domu. Matce jakoś coś tam nabujałem. A gdy tata nazajutrz powrócił, to jeszcze ja na niego popatrzyłem — o tak! — i mówię: „Taż to wstydu trzeba nie mieć, żeby w domu nie nocować”. A on nic, tylko odepchnął mnie, ale nic nie mówił. Nawet potym pół złotego mi dał.

— Jak mamy nie widzieć — zwierzał się kiedyś inny gagatek — to żal mi jej, kocham ją i chciałoby się poprawić. Ale jak przyjdę ja do domu i ona zacznie jęczeć i lamentować na mnie i wciąż to samo przypominać, to taki robię się zawzięty i chętkę mam, żeby wszystko na złość, na odwrót jej robić.

Jednostki uczuciowe, chwiejne, łatwo poddające się sugestii i wpływowi osób, które im czymkolwiek imponują, również szukają przewodników dla siebie poza rodziną, gdzie wszyscy są

^{17*} Swoiste wyrażenie, niemające nic wspólnego z majdańskim [...?], którymi pewien odłam łobuzerii warszawskiej określa ludzi wykolejonych, upadłych na dno życia społecznego, pozbawionych zajęcia i stałego miejsca zamieszkania.

¹⁸ Faterek — zdrobniale ojciec.

dobrze znani, a więc powszedni i nieciekawi. Z rozkoszą chłoną w siebie pochwały i przejawy uznania tych, do kogo właśnie obrócili się ładniejszą stroną swego oblicza psychicznego. Do „swoich” zaś czują mniej lub więcej wyraźny żal za niedocenia-
nie ich walorów, dostrzeżonych przecież przez kogoś innego.

Cała ta skomplikowana i niezmiernie ważna dziedzina w wychowaniu dzieci trudnych do prowadzenia absorbowała wiele czasu i wysiłku. Wydawało mi się zawsze, że oddziaływanie ludzi obcych na dziecko jest zaledwie zabiegiem leczniczym, mającym na celu zwrócenie go własnemu środowisku. Uzdrowienie atmosfery rodzinnej możliwym jest jedynie przy jednoczesnym, celowym oddziaływaniu zarówno na jedną, jak i na drugą stronę. Praca wychowawcza nad rodzicami w niejednym wypadku jest znacznie trudniejszą i wymaga większej ostrożności niż wysiłki pedagogiczne skierowane do młodszej generacji. Bez zjednania sobie zaufania i sympatii rodziców, bez zrozumienia i wczucia się w ich punkt widzenia, chociażby był mylnym i prymitywnym, oddziaływanie lecznicze nie da wyników trwałych i istotnych. Kryje ono w sobie niebezpieczeństwo nieuświadomionej niekiedy demagogii, łatwego „kupienia” sobie życzliwości wychowanka, wyśrubowania jego możliwości psychicznych. Zjawisko to przy powrocie dziecka do własnych, rodzinnych warunków bytowania wywołać może regres i załamanie się. Niebezpieczeństwo jest tym większym, iż kryjące się prawie w każdym człowieku pragnienie do usprawiedliwienia własnych czynów kosztem znajdowania win w otoczeniu znajdzie tutaj bogatą pożywkę. Będą nią reminiscencje o tym, jak to przy innym traktowaniu w otoczeniu innych ludzi było się też innym, lepszym, co zaś najważniejsze — było się chwalo-
nym. Całą winę za własne błędy i czyny zrzuca wychowanek na swych najbliższych, nie uprawiając samokrytyki, należytej oceny swego postępowania, a więc — nie regenerując swej psychiki, tylko nabywając dodatnie nawyki. Wiemy jednak, że tego nie wystarczy, a raczej wystarczy tylko w niektórych, ściśle określonych wypadkach upośledzenia moralnego.

Mocno absorbowało zagadnienie praktyczne, dotyczące ponoszenia kosztów utrzymania dzieci w internacie. Na pierwszy rzut oka wydawało się ono bardzo prostym. Pewna liczba dzieci była na utrzymaniu wydziału opieki społecznej zarządu miasta, który przekazywał należną sumę Radzie Szkolnej, rezerwując sobie prawo decyzji co do przedstawionych przez szkołę kandydatów. Poza tym można było przyjąć jeszcze wychowanków, rodzice których zobowiązywali się pokrywać koszt ich żywienia. W praktyce jednak sprawa okazywała się bardziej skomplikowaną. Po pierwsze, wydział opieki społecznej brał pod uwagę przede wszystkim stan ekonomiczny rodziny i dlatego prawo do pobytu w internacie mogli otrzymać albo dzieci najbiedniejsze, albo najbogatsze, rodzice których zgadzali się płacić. Tymczasem względy natury wychowawczej bardzo często przemawiały za ulokowaniem w internacie chłopców pochodzących z niebogatych rodzin, nieobjętych przez pomoc opieki społecznej. Dezyderatem moim było, by każdy nasz uczeń pierwszy rok swego pobytu w szkole spędził w internacie, co pozwoliłoby nam gruntownie poznać go. Poza tym pupile wydziału opieki społecznej nie zawsze stanowili element najtrudniejszy, wymagający zakładu zamkniętego. W niejednym wypadku atmosfera rodzinna ich bywała zupełnie możliwą. Dłuższe odseparowanie chłopca od rodziny mogło mieć jako skutek rozluźnienie więzów łączących ich z najbliższymi. Ci kurczowo trzymali się tej ulgi finansowej, jaką dawał im fakt zmniejszenia ilości osób do żywienia w domu. Chłopak zaś stopniowo tracił swoje miejsce przy ognisku rodzinnym. Na początku swego pobytu w internacie biegł do domu co sobotę, by wrócić w poniedziałek rano. Później nieraz oznajmiał, że wróci w niedzielę na obiad. Pamiętam przynęcioną minę Wiktora, który zjawił się już w sobotę na kolację i zwierzył się wychowawcy, że już nie ma gdzie spać, bo na jego miejsce wzięto sublokatora:

— Jeść też nie mogłem, bo jak przyszedłem, to siostra zaczęła mówić, że dziś mniej muszę zjeść, bo jeden człowiek więcej przybył do stołu. To ja zabrałem się i poszedłem. Tu ja nikogo nie objadam.

W tej lub innej postaci zjawiska podobne powtarzały się bardzo często. Względy natury praktycznej brały górę nad momentami przywiązania i w wielu wypadkach obserwowaliśmy powolne odłączenie się syna od pozostałych członków rodziny.

Był jeszcze jeden moment, który wywoływał troskę. Mam na myśli demoralizujący wpływ, jaki wywiera pomoc materialna okazywana przez organy społeczne. Pęd do korzystania z coraz to bardziej rozpiętej pomocy, wzrost wymagań, postawa, którą słusznie można określić jako „bezczelną”, wdrożenie się do brania, nie dając nic w zamian — oto skutki nieumiejętnego stosowania dobroczynności oficjalnej. Nie trzeba zatrzymywać się dłużej nad ogólnie znanym zjawiskiem polegającym na tym, iż rzeczy, które dostały się nam łatwo, bez najmniejszego wysiłku, cenimy mniej od zdobytych z trudem. Toteż pracownicy sierocińców i instytucji dobroczynnych dobrze wiedzą, jak niedbale i nieoszczędnie obchodzą się ich mieszkańcy z przedmiotami stanowiącymi własność „zakładową”. Zrobiliśmy próbę polegającą na tym, iż zasadniczo za pobyt w internacie płacili rodzice wszystkich dzieci. Ponieważ chłopcy rekrutowali się z warstw często bardzo ubogich, płacono pracą. Jedne matki brały do naprawy bieliznę zakładową lub łątały ją u nas na miejscu, inne pomagały w kuchni albo przy sprzątanu ogromnego gmachu. Ojców wykorzystywaliśmy zgodnie z ich specjalnością do naprawy sprzętów, zamków, pieców, wstawiania szyb, przewozu tych lub innych rzeczy. W wielu wypadkach matki bywały zwolnione od „robocizny” na dłuższy lub krótszy okres czasu. Robiliśmy to jednak, indywidualizując każdy poszczególny przypadek. Wyniki były niewątpliwie dodatnie. Nie tylko zwalczało się wyżej wzmiankowane niebezpieczeństwo demoralizacji, ale i udało się osiągnąć dość znaczny stopień zżycia się rodziców z instytucją. Co częściej, w niektórych wypadkach byliśmy świadkami wyraźnie dodatniego wpływu wychowawczego zakładu na matki poprzez dzieci. Antos zaciągnął matkę do kąta i poprawia jej włosy:

— Tak nie można, mamol! Co powiedzą chłopcy, jak zobaczą taką rozkudłaną?

.....

Kiedy indziej znów matka dwóch chłopców żaliła mi się z pewnym zawstydzeniem, że synowie nie pozwalają jej nawet pociągnąć ust pomadką, kiedy idzie do nas do pracy, bo inne matki tego nie robią. Zaledwie jednoroczne doświadczenie w tym kierunku nie pozwala na kateryczne twierdzenia. Wydaje mi się jednak, że droga obrana przez nas była słuszną i warta jest dalszego wypróbowania.

Dużo czasu zabierało mi pisanie mej rozprawy doktorskiej. Jako tezę obrałam sobie *Konflikt dziecka z prawem karnym*¹⁹. Musiałam więc przestudiować odnośną literaturę i zwiedzić interesujące mnie instytucje, mające styczność z akcją profilaktyki przestępczości dziecięcej na Zachodzie. Potym trzeba było opracować zagadnienia wiążące się z psychiką nieletnich gwałcicieli norm oraz z sądownictwem dla nich. Oprócz naszej szkoły miałam ciekawy teren do obserwacji w zakładzie „Patronatu”²⁰ nad więźniami — Dom Dziewcząt na Ochocie. Bywając tam dość często, mogłam zebrać sporo zajmujących szczegółów dotyczących przeżyć dziewcząt moralnie zaniedbanych i swoistych trudności, z jakimi nie spotykają się pracownicy internatów dla chłopców. Mam na względzie wielką zmienność nastrojów dziewcząt, łatwość porywów zarówno szlachetnych, jak i uporu, nagłe sympatie i antagonizmy, żywe zainteresowanie wychowanek sprawami związanymi ze sprawami seksualnymi. Przyglądałam się mozolnej i istotnie ofiarnej pracy personelu, spośród którego niejedna entuzjastka zmuszona była opuścić placówkę z mocno nadszarpniętym zdrowiem. Miałam — nie po raz pierwszy zresztą — jaskrawe potwierdzenie swej ulubionej tezy, iż ludziom, którzy obrali sobie tę trudną specjalność, należy dać wielką samodzielność w poczynaniach. O ile

.....

¹⁹ Rozprawa z czasem stała się podstawą książki *Dziecko w konflikcie z prawem karnym*, Warszawa: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1965.

²⁰ Stowarzyszenie Penitencjarne „Patronat” — organizacja społeczna istniejąca od 1909 r. Nadrzędnym celem jest niesienie różnorodnych form pomocy osobom pozbawionym wolności, zarówno przebywającym w zakładach karnych, jak i po zwolnieniu oraz ich rodzinom.

są oni skrępowani licznymi przepisami i ustawiczną kontrolą najzyczliwszych nawet ludzi, nie będą w stanie rozwinąć tej twórczej i ciekawej pracy, jakiej żąda od nich odpowiedzialna placówka.

Warszawski sąd dla nieletnich znałam już przedtym. Obecnie mogłam robić porównania pomiędzy nim a instytucjami poznanymi przeze mnie w czasie mej włóczęgi po świecie. Na kursach dla opiekunów sądowych, gdzie miałam wykłady, zetknęłam się z grupą promiennych zapaleńców bez zastrzeżeń oddanych sprawie. Wiele zawdzięczam długim i niezmiernie zajmującym gawędom, jakie po wykładach odbywałyśmy z panią Izą Zielińską, z którą zwykle wstępowałyśmy jeszcze do cukierni Galińskiego²¹ na szklanekę kawy z pączkiem.

— Tak, wiele, wiele rzeczy chciałoby się widzieć innymi u nas w kraju — mawiała, patrząc przed siebie. — Na każdym kroku widzimy to błąd, to niedociągnięcie, to nawet czyn, który budzi w nas odrazę. Ale to są szczegóły. Od czasu do czasu dobrze jest przymrużyć oczy, pominąć fragmenty i spojrzeć na całość. Otóż całość wykazuje niewątpliwie tendencję rozwojową. Jest chaos szukania, brnięcia... Same nawet winy i błędy naszej doby mają w sobie jakieś stawanie się. To jest potrzebne. Czeka nas jeszcze niejeden wstrząs. Dobrze jest, gdy wtedy społeczeństwo zobaczy wyraźnie własne oblicze, zarumieni się za minione błędy swoje i samo sobie powie: „Tak dalej nie pójdzie”. Ja chyba nie dożyję tej nowej Polski, co jeszcze przyjdzie i będzie o wiele lepszą od tej, którą obecnie kochamy. Ale cieszę się z jej nadejścia bardzo. Ona już jest gdzieś w drodze. Tylko jeszcze nie widać jej za chmurami, które przesuną się, wyprzedzając ją.

Nerwowo idealista Jan Berent, dla którego każdy stojący przed stołem sędziowskim chłopiec był kimś pochłaniającym całą jego uwagę... Promienna postać Mikołaja Korenfelda²², seniora

²¹ Cukiernia Józefa Galińskiego — założona w 1909 r. w domu na rogu placu Trzech Krzyży i Alei Ujazdowskich w Warszawie.

²² Mikołaj Korenfeld (1856–1931) — adwokat, współzałożyciel Stowarzyszenia „Patronat”, organizował pomoc prawną nieletnim; sam świadczył pomoc nieodpłatnie; był płodnym publicystą, pisał o społecznej obronie nieletnich oraz o kwestiach prawa karnego.

.....

sprawy zwalczania przestępczości nieletnich... Uosobienie miłości do dziecka i sprawy jego — dr Zofia Rozenblum²³... Cisną się wspomnienia o ludziach tak bardzo wartościowych i jakże często niedocenionych. Posiedzenia Towarzystwa „Opieka”²⁴ odbywane w *Belvederze* pozwalały obserwować rozmach w pracy i inicjatywę takich ludzi jak Wanda Grabińska²⁵, pierwsza kobieta sędzieja dla nieletnich u nas. Poznałam tam panią Aleksandrę Piłsudską²⁶, panią Sujkowską²⁷ i wiele innych osób, szczerze oddanych sprawie.

Otrzymałam dostęp do aktów komisji kodyfikacyjnej. Zagłębiłam się w protokoły posiedzeń dotyczących paragrafów kodeksu, które traktują o nieletnich. Powstało uczucie zdumienia i goryczy. Jak to? W tej sprawie o olbrzymiej ra[n]dze dysputowało tylko kilka osób? Zasłużeni prawnicy, ludzie nauki — to prawda. Ale nie było wśród nich ani jednego pedagoga, nie było żadnej kobiety, gdy decydowały się losy dzieci. Tej ostatniej uwagi nie odważyłam się wypowiedzieć wersalsko uprzejmemu A. Mogilnickiemu²⁸, z którym chętnie dzieliłam się wrażeniami. Mógłby mi przypomnieć pewien incydent z pierwszej

.....

²³ Zofia Rosenblum-Szymańska (1888–1978) — lekarz pediatra, neuropsychiatra i psycholog dziecięcy.

²⁴ Towarzystwo „Opieka Specjalna nad Dziećmi” przy sądzie dla nieletnich w Warszawie — założone w 1930 r.; jego celem jest pomoc moralna i materialna nieletnim stojącym przed warszawskim sądem dla nieletnich.

²⁵ Wanda Grabińska-Woytowicz (1902–1980) — pierwsza kobieta na stanowisku sędziowskim w Polsce; przez szereg lat sędzia sądu dla nieletnich.

²⁶ Aleksandra Piłsudska (1882–1963) — polska działaczka niepodległościowa, druga żona Józefa Piłsudskiego. Prowadziła szeroką działalność społeczną. M.in. w Towarzystwie „Opieka” zakładała świetlice z bibliotekami dla młodzieży.

²⁷ Helena Sujkowska (1872–1944) — działaczka socjalistyczna i oświatowa; współzałożycielka Towarzystwa Odrodzenia Moralnego.

²⁸ Aleksander Mogilnicki (1875–1956) — prawnik, teoretyk i praktyk prawa, specjalista w zakresie pedagogiki specjalnej zajmujący się dzieckiem przestępczym.

mejej bytności w lokalu komisji. Cisza, nastrój powagi. Półki pełne książek. Kilku panów pochylonych ze skupieniem nad aktami. Siedzę pełna szacunku do miejsca i ludzi tam pracujących. Niezręczny ruch z mej strony. Zawieszony na szyi sznur koralu pęka i drobne kuleczki toczą się z perfidnym dźwiękiem po gładkiej posadzce. Praca jest przerwana. Poważni panowie pomagają mi zbierać moją własność. Jestem czerwona jak upiór, a tu jeszcze do uszu moich dolatuje półgłosem wypowiedziana uwaga o skutkach równouprawnienia kobiet. Od owego niefortunnego ranka nie noszę już koralu. W dalszym ciągu jednak uważam, że w sprawach nieletnich kobiety mają głos nie mniej ważny niż mężczyźni, a może nawet i większy.

W maju 1934 roku wysłałam rozprawę swą do Wilna, gdzie została przyjęta.

Dobudówką do internatu był mały hotelik, w założeniu swym przeznaczony dla byłych wychowanków, którzy chwilowo znaleźli się w trudnej sytuacji. Mogli oni tutaj znaleźć zawsze dach i skromne warunki egzystencji. Płacili za to bądź pracą na miejscu, bądź też zobowiązywali się do zwrotu kosztów po uzyskaniu zarobku. Mieszkali tam również wychowankowie, którzy ukończyli naszą szkołę i kształcili się dalej, uczęszczając do szkoły sztuki stosowanej, na kurs kreślarski, do szkoły stolarskiej itd. Pewną trudnością było to, iż nie zawsze dawało się nakłonić młodzieńca, by zechciał już iść własną drogą, wyjść spod skrzydeł opiekuńczych zakładu. W niektórych wypadkach trzeba było nalegać, przyspieszać opuszczenie hoteliku. Wywoływało to pewnego rodzaju rozgoryczenie:

— Jak to? Wyrzucają mnie?

Wypytywałam w ciągu swych podróży personel innych analogicznych zakładów co do tej kwestii, zastanawiałam się nad zagadnieniem i wydaje mi się, że najtrudniej jest rozstać się z zakładem, w którym czuje się dobrze takim jednostkom, które nie mają dostatecznego oparcia o własną rodzinę. Tak samo jak u młodzieży mieszkającej w domu, następuje u nich w pewnym

.....

wieku wzmożone pragnienie samodzielności, które wywołuje niejeden konflikt z regulaminem instytucji, powoduje tarcia i zgrzyty. Jednocześnie zaś czują oni podświadomą potrzebę trzymania się tego domu zastępczego, jakim był dla nich zakład. Wynika pewnego rodzaju ambiwalencja uczuć: przywiązania do zakładu i niechęci do jego personelu. Sprawa doniosłej wagi, nad którą należy poważnie pomyśleć. Z mojej praktyki osobistej wynikało, że urazy te po pewnym czasie ustępują i młodzieniec na nowo darzy swych wychowawców przywiązaniem i zaufaniem z chwilą, gdy stanie na własnym gruncie. Wydaje mi się jednak, że przy projektowaniu celowego rozwiązania całości zagadnienia należy wziąć pod rozwagę ten trudny moment — należytego utrzymania kontaktu z *ex-wychowankami*. Nie może on być oparty wyłącznie na osobistych sympatiach i uczuciach. Należy ująć go w ramy organizacyjne, dające młodzieży pewność, że zakład, w którym chowała się, nie stał się dla niej obcym z chwilą, gdy zmienił się personel. Materiały dotyczące dzieci, odpowiednio segregowane, opracowane częściowo i ułożone, pozwoliły na zapoczątkowanie muzeum szkolnego. W stadium początkowym składały się na nie: kronika szkoły, teczki indywidualne chłopców, fotografie, wykresy ilustrujące środowisko rodzinne naszych wychowanków, dane o dalszych losach *ex-pupila*ów, charakterystyczne zeszyty, rysunki, roboty dzieci, ich wypowiedzi zebrane drogą ankiet o różnych, interesujących nas zagadnieniach itd.

Strona gospodarcza znalazła się w rękach specjalistki dobrze znającej swój fach. Spiżarnia i inne tajniki tej skomplikowanej dziedziny zostały więc zorganizowane, jak należy. Sam wygląd zewnętrzny zakładu z ładnymi salami, froterowaną posadzką, nowym, estetycznym umeblowaniem, dobranymi obrazami na ścianach, skrzynkami do kwiatów przy oknach, odpowiednio urządzonym boisku i klombach — wszystko to bardzo zmieniło się. Trudno było porównać obecny stan instytucji do tych warunków, w jakich pracowaliśmy przy ul. Budowlanej. Teraz szkoła robiła istotnie wrażenie poważnej instytucji, mającej wszelkie szanse na naukową, racjonalnie prowadzoną pracę

wychowawczą. Toteż rozpoczęły się do nas liczne wycieczki, zwiedzające naszą placówkę. W innym miejscu omówię ujemne strony takich zwiedzań. Polegają one na: dezorganizowaniu życia zakładowego, niebezpieczeństwie nietaktów pedagogicznych popełnianych przez gości oraz łatwości wkradania się do życia instytucji tendencji do robienia pracy „na pokaz”. Jestem zdecydowaną przeciwniczką robienia z internatów placówek pokazowych. Nawet w życiu osobistym, rodzinnym tak zwany dom otwarty zawiera w sobie zarodki trującego rozkładu. Nie mniej szkodliwą jest atmosfera ta w instytucjach zastępujących dom. Odzierają one bowiem życie ich z tej intymnej i subtelnej atmosfery, którą tak łatwo jest skruszyć. Zdawać by się mogło, że lwia część warunków, od których zależy powodzenie wysiłków pedagogicznych, była spełniona i gwarantowała wynik dobry. Warunki zewnętrzne były bardzo korzystne, system przemyślany i opracowany materiał dziecięcy nastawiony jak najzyczliwiej, przywiązany i chętnie współpracujący z nami. A jednak tego nie wystarczyło. Właśnie wtedy, kiedy sądziłam, że należy jedynie pozwolić aparatowi spełniać swe przeznaczenie i praca potoczy się sama gładko i równo, w maszynie zakładowej z całą siłą dały się zauważyć zgrzyty i wstrząsy, uniemożliwiając jej funkcjonowanie. Zabrakło jednego: zgody ruchów pracowników stojących przy aparacie. Z trudem rozpoczynam ten rozdział owych wspomnień. Po pierwsze, przykro jest powracać myślą do chwil, które wówczas przeżywałam tak boleśnie, że na pewien czas zachwiały się mój optymizm i wiara w ludzi. Po drugie, zdaję sobie jasno sprawę z tego, jak trudno jest mówić obiektywnie oraz analizować sytuacje, w których było się stroną walczącą. Toteż absolutnie powstrzymam się od wartościowania jednostek wchodzących w dany wypadek w grę. Postaram się jedynie uwypuklić te okoliczności i błędy, które mogą wywołać konflikty i zahamowania w pracy w różnych zespołach.

Nie wystarczy głęboko wierzyć w słuszność swej tezy i dążyć do jej wprowadzenia w życie. Niezbędnym jest należycie propagować je i przekonać wszystkich biorących udział w jej realizacji co do jej celowości. Praca wychowawcza jest do takiego stopnia pracą twórczą, że bez głębokiej wiary w konieczność

.....

i skuteczność swych posunięć staje się bezduszną czynnością mechaniczną tracącą swą wartość. Mniejszą krzywdę wyrządzi dziecku błędne nawet postępowanie z nim wychowawcy, który wierzy w przydatność swej tezy niż krytyczne niechętnie wykorzystywanie lepszej, ale z zewnątrz narzuconej liczne postępowania. Idealnym rozwiązaniem sprawy byłoby tak dobierać zespoły pracowników instytucji wychowawczych, by kierowały się tymi samymi zasadami, wierzyli w ich słuszność i skuteczność. W wypadku rozbieżności zdań jednostka kierująca pracą winna dołożyć wszelkich starań, by przekonać zespół o użyteczności systemu lub poszczególnych posunięć, wydających się jej w danym okresie jej życia słusznymi i niezbędnie potrzebnymi. Ewentualnie należy doprowadzić do chętnego wypróbowania ich w praktyce, rezerwując uczestnikom pracy prawo do wypowiedzania swych spostrzeżeń po okresie próby. O ile opinia zespołu nie harmonizuje z zamierzeniami kierownictwa, lepszym jest iść na kompromis, wprowadzając system wydający się mniej doskonałym niż projektowany, za to będący wspólnym tworem, niż realizować przebojem własny program. Chociażby się miało głębokie przekonanie co do jego słuszności. Po chwilowym odstępstwie, odłożeniu wprowadzenia w życie swych postulatów, można po jakimś czasie wrócić do nich. Niekiedy dobrze jest pokierować sprawą tak, by wykonawcom wydawało się, iż jest to ich własny pomysł. Nie wolno zapominać, iż ustosunkowanie się większości ludzi do sprawy ogólnej w znacznej mierze zależy od ich ustosunkowania się do jednostki je reprezentującej. Stąd płynie konieczność unikania podrażnienia ich ambicji i miłości własnej. Liczyć się należy z ich słabościami, niekiedy poczuciem mniejszej wartości, nerwami, gorszymi okresami w ich życiu. Poza tym każdy, kto pragnie wprowadzić w życie jakiś swój drogi mu pomysł, pamiętać musi o konieczności baczego czuwania nad przejawami własnego życia osobistego. Każdy bowiem nasz błąd lub krok mogący wywołać krytykę zostanie wykorzystany przez przeciwników i odbija się w sposób destrukcyjny na sprawie. Przy ścieraniu się osobowości ludzkich, poglądów ich i wyładowaniu podrażnień nerwowych jedyną metodą, która może rozwikłać sytuację, jest chętnie, życzliwe usiłowanie zrozumienia

punktu widzenia strony przeciwnej, zamiast upierania się przy swoim i folgowania tendencjom do rozpamiętywania niemiłych nam i krzywdzących posunięć. Spotykając się z przejawami podrażnienia, zazdrości, niekiedy nawet intrygi, nielicującej z godnością ludzką, trzeba stanąć ponad podobnym zjawiskiem pamiętając, że upośledzenie moralne nie jest cechą, którą spotkać możemy jedynie u dzieci. Czyli uogólniając, instytucja społeczna jest rzeczą wspólną, małą *res publica* zarówno zespołu wychowującego, jak i wychowywanego. Jest ona jednocześnie tylko wypożyczonym nam terenem władarstwa, z którego zdamy dokładny rachunek. Toteż w imię jej dobra, w imię idei, której służymy, należy dążyć do tego, by stosunki osobiste ludzi biorących udział w akcji przepojone były zdrowym nastrojem wzajemnego zrozumienia, wyrozumiałości i życzliwości. Ponad własne „ja”, ponad pomysły twórcze i inicjatywę należy stawić te zasady etyczne i hasła miłowania się społecznego, które stanowią jedyną, niezwalczalną potęgę.

Otóż te właśnie zasady, obecnie jasne i zrozumiałe, wtedy były mi jeszcze obce i dalekie. W naturze mej o skłonnościach wybitnie emocjonalnych było zawsze dużo entuzjazmu i bezkompromisowości. Nie licząc się z faktami, iż kierownictwo kobiety w zakładzie dla chłopców mogło samo przez się wywołać odruchy niezadowolenia i protestu u mężczyzn, wprowadzałam w życie przebojem i nie licząc się prawie zupełnie ze zdaniem zespołu swoje pomysły. Niektóre z nich, będące jedynie próbą, odpadały po pewnym czasie. Zastępowałam je nowymi, jak mi się zdawało, bardziej doskonałymi. Byłam całkowicie pochłonięta procesem twórczym, mając przed sobą wizję racjonalnie urządzonej i pięknej placówki, do zbudowania której dążyłam. Przychylne głosy prasy jako oddźwięk zwiedzania zakładu, prasy wymieniającej na pierwszym planie zasługi kierownictwa, pomijając nazwiska osób wnoszących mozolną i znużającą pracę dnia powszedniego, tylko pogłębiały zgrzyt. Arbitralność mego charakteru także odegrała swą rolę, uniemożliwiając znalezienie wspólnej płaszczyzny. Z drugiej zaś strony nie znoszę walki. Zabiera ona mi zbyt wiele sił i energii, męczy, zniechęca, pozbawia przytomności umysłu. Nie będąc w stanie pracować

.....

twórczo w atmosferze, jaka wytworzyła się, atmosferze podrażnienia, formowania się stronnictw, wymagającej czujności i zdolności strategicznych, złożyłam — po porozumieniu się z kierownictwem wileńskiej szkoły specjalnej — podanie o zmianę naszych stanowisk.

W sierpniu 1935 roku przeniosłam się z Warszawy do Wilna.

Przy Ostrobramskiej

.....

Wilno

Z Wilnem łączyły liczne więzy. Zastanawiając się nad wyborem miejscowości, do której miałam jechać po otrzymaniu pozwolenia opuszczenia granic Związku Sowieckiego w roku 1922, najczęściej myślałam o Wilnie. W znacznej mierze przyczynił się do tego arcybiskup Cieplak, który gorąco kochał to miasto. Były też niejasne wspomnienia o słyszanych w dzieciństwie opowiadaniach o Ostrej Bramie, świętym królewiczu Kazimierzu¹, mieście, gdzie mieszkało i uczyło się tylu wielkich Polaków. Na definitywną decyzję osiedlenia się tutaj wpłynął w swoim czasie ksiądz Wańkowicz. Nie żałowałam swego wyboru. Jak już mówiłam, spotkałam się tutaj z licznymi przejawami życzliwości i serca. Urodziłam się po raz drugi po wyrwaniu się z raju sowieckiego. Po roku przeniosłam się do Warszawy, uczyniłam to jednak ze smutkiem. Ustawicznie tęskniłam do powrotu, wyrrywając się [przy] okazji na wakacje, ferie lub bodaj kilka dni wypoczynku do „miłego miasta”. Grono bliskich przyjaciół, spotkanie z którymi zawsze dużo dawało, niewątpliwie stanowiło też silny magnes.

Ciągnął i uniwersytet. W okresie składania egzaminów żyłam się z nim i nauczyłam się cenić niezrównany urok jego podwórzy, auli, korytarzy i audytoriów oraz ten swoisty nastrój niekłamanego, prostego w przejawach szacunku do wiedzy, jakim tchnął. Nastroju tego nie potrafiły spłoszyć nawet gromadki niedostatecznie ubranych, piskliwych dziewcząt,

.....

¹ Św. Kazimierz (1458–1484) — polski królewicz, syn Kazimierza IV Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki. Święty Kościoła katolickiego, od 1636 r. patron Litwy.

przechodniów, które wpadają jak nieszkodliwa wichura, by tanecznym krokiem przebiec przez pierwszy, czasem drugi kurs i potem pójść sobie inną, bardziej dla siebie odpowiednią ścieżką. Nie przeszkadzają one zbyt, zniecierpliwia czasem tylko na chwilę tak, jak zniecierpliwieć może bezmyślne skrzeczenie sroczki gdzieś za oknem, na które potem można nie zwracać uwagi. Jeden z woźnych — nawiasem mówiąc, woźni Uniwersytetu Stefana Batorego są jego częścią składową zżyta i dopasowana do całości — popatrzył kiedyś na początku roku akademickiego na falę różnobarwnych, rozflirtowanych panienek, oczarowanych własną osobką i z westchnieniem powiedział:

— Ot, zabłąkali się tutaj i obraziliby się, gdyby przepędzić. Ale same pójdą i znowuż spokój będzie.

Zresztą harują one najwięcej po korytarzach gmachu głównego. W seminariach ich prawie nie widać. Tam zajrzały parę razy nieśmiało i uciekły, bo spojrzał na nie poważny gospodarz — duch spokoju i dociekań naukowych. W seminarium prawa karnego do tego nastroju dołączała się jeszcze atmosfera tej swoistej kultury w drobnych nawet przejawach życia, jaką umiał roztoczyć dookoła siebie prof. Bronisław Wróblewski. Pamiętam taki drobny szczegół. Siedzi kilka osób przy długich, dość prymitywnych stołach i czyta. Profesor wchodzi i dostaje z szafy potrzebną sobie książkę. Jeden ze studentów na wpół świadomym ruchem strzepnął kurz z kołnierza marynarki, inny poprawił włosy — najważniejszą jednak była zmiana wyrazu twarzy ludzkich. Padł na nie jakiś promień kultury i estetyki, uszlachetnił i upiększył bodaj na chwilę zetknięcia się z tym człowiekiem. Zawdzięczam mu ogromnie wiele. Zbyt dużo, by można było mówić o tym mimochodem. „Głęboki w dociekaniach, mocny w przekonaniach, w przyjaźni wierny” — brzmią jeszcze w pamięci słowa wypowiedziane przez ks. ministra Żongołłowicza² w tym dżdżystym sierpniowym dniu, gdy na Rossie stałam nad grobem swego promotora.

² Ks. Bronisław Żongołłowicz (1870–1944) — ksiądz katolicki, profesor prawa kanonicznego, w latach 1930–1936 wiceminister wyznań religijnych i oświecenia publicznego.

.....

Ciągnął do Wilna i urok tego miasta zabytków, gdzie na każdym kroku natknąć się można na arcypiękne fragmenty, pokornie sąsiadujące z brzydotą i jakoś nie bardzo kłócące się nawet z nią. Wszak to, że cmentarzyk wojenny, gdzie powstało mauzoleum, tak bardzo zbrzydł po dokonanych na nim zabiegach kosmetyczno-urbanistycznych, nie zabiło, nie zdołało zabić nastroju, jakim wbrew wszystkiemu wieje pomnik szczerogo bohaterstwa i istotne umiłowanie obowiązku tych, co leżą tam. Kościoły Wilna nawet na ludzi niewierzących wywierają wrażenie głębokie, niekiedy niezatarte. Kiermasze po ciężkiej przebytej chorobie kilkuletniej, gdzie urządzono z nich napuszoną imprezę quasi-regionalizmu z całą jego tandetą, już powracają do dawnego czaru. Kilkadziesiąt babinek, które w ubiegłym i bieżącym roku sprzedawało zioła lecznicze u wejścia do kościoła Świętego Jana, znów przywróciły dawny urok prastaremu zwyczajowi, gdy śpiewną swą mową zachęcały do kupna ostro i zdrowo pachnących leków, zebranych z łąk i pól, jeszcze nie tak obficie jak gdzie indziej zroszonych krwawą rosą wojny.

Jakże nie kochać tego miasta o rdzawym odcieniu dachówek, panorama którego widziana ze wzgórz Altorii³ każe długo stać i patrzeć, wahając się pomiędzy zachwytem, miłością, smutkiem i obawą o to czarowne miasto, które tyle już przeżyło. Pożary, rzezi, prześladowania, walki, to wytrwałe i utajone walki ducha polskiego z zakusami zaborcy, to znów walką żołnierską, gdzie w tyralierze leżeli obok siebie żołnierz i młody alumn z seminarium, który w Wielką Sobotę po święceniu ognia i wody w asyście biskupiej usłyszał odgłos karabinów, terkoczących w rękach obrońców ukochanego miasta i za niespełną godzinę był już tamże. Bo „jakże było nie bronić?”.

Tyle ran zadawano już Wilnu. Wygoiło, zabiłżniło je. Może nie trzeba tak boleć nad terazniejszymi liszajami, które ukazały się na jego ciele w okresie obecnej wojny? Bo wszak tylko liszajami są te objawy, kiedy żołnierze Czerwonej Armii po wkroczeniu do miasta w bolesnych dniach września 1939 roku bywali otaczani gęstym, ciekawym i wypytującym ich tłumem. Tenże

.....

³ Altaria — dawna nazwa Parku Górnego, na którego terenie znajduje się Góra Stołowa.

.....

tłum później żarłocznie rzucał się, by otrzymywać z rąk wroga bezpłatną zupe, rozdawaną na rynku Zarzecznym. W domu zaś miał zapasy mogące starczyć na lat parę, miał nadmiar dóbr zrabowanych z domów i mieszkań oficerskich. Czyż nie smrodliwym wrzodem były te donosy i anonimy na rodaków, którymi zasypywano kolejno urzędy sowieckie, litewskie i niemieckie, byle tylko pomścić na kimś jakąś tam drobną czy urojoną krzywdę? Jak nazwać istny szal rzucania ohydnych podejrzeń, insynuacji i oszczerstw jednych na drugich, szarpanie sławy i czci cudzej, a raczej nie cudzej, bo naszej wspólnej, narodowej, dotkniętej przez jadowite języki gadzinowe? I z trudem tylko poznać można w dziewczętach wymalowanych, o uczesaniu Papuaski⁴ — które niezmordowanie tańczyły na zabawach urządzanych przez bolszewików, a później z pseudo-ludową chusteczką podwiązaną według mody rosyjskiej pod brodą wdzięczyły się do wojskowych hitlerowskich — ten sam typ dziewczuszki wilnianki, które w kwietniu 1919 roku biegly pod kulami, by zanieść żołnierzom w Cielętniku święcone.

Jakże boleśnie przeżywać będziesz, Miasto Drogie, te upokarzające wspomnienia! Nie zagoją ich nawet te inne, o grupach bardziej ideowej młodzieży, która chciała, by było inaczej, gromadziła się dookoła postaci uwielbianego przez nią kapłana, starając się przeciwstawić bezecności tamtych. Liszaj jest i pozostaje liszajem. Jego widać, na niego trudno nie patrzeć, chociaż odwracamy wzrok odeń — przyciąga on go, wstrząsa obrzydzeniem. Minie to z czasem, jak przemienie zgroza wspomnień innych. Kiedyś może wyraz „pozory” przestanie budzić w duszy człowieka potworny obraz upadku godności ludzkiej, gdy przedstawiciele narodu, wszak chrześcijańskiego, posłusznie rozstrzelili i mordowali tysiące ludzi innego wyznania, znęcając się nad starcami i dziećmi, gdzie później w rowach sąsiednich były ciała naszych męczenników... Kiedyś zabliznią się i te rowy — rany i w letnie niedzielne popołudnie ludzi szukający wypoczynku poza miastem przejdą się obok tych miejsc i na chwilę przypomną sobie ten fragment ogólnego szaleństwa ludzkości. Wszak już i teraz, po dwóch zaledwie latach mijając

.....

4 Papuaska — rdzenna mieszkanka Papui. Charakteryzują ją podobnie jak większość ludów pierwotnych ostre barwy w stroju.

bramę więzienia na Łukiszkach, nie zawsze odtwarzamy w sobie ten nastrój, kiedy to w dzień wigilii 1940 roku gromada żon, matek, dzieci uwieczonych spotkała się tam, by przełamać się opłatkami pomiędzy sobą możliwie blisko od swych najdroższych.

Wilno. Takie drogie, bliskie i takie ode mnie czasami obce i niezrozumiałe. Jakie ty jesteś właściwie?

Szkoła specjalna nr 1

Wówczas we wrześniu 1935 roku czułam się naprawdę szczęśliwą, gdy znalazłam się w nędznym, ciasnym i niewygodnym lokum szkoły przy ulicy Ostrobramskiej, którą miałam odtąd kierować. Szkoła nie miała własnego internatu. Jedynie część chłopców mieszkała w sympatycznym domu wychowawczym Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet⁵. Lokal był bardzo niewygodny, bez sali rekreacyjnej, podwórza, boiska, z oknami wychodzącymi na ruchliwą ulicę, z której dolatywał niemiłkący prawie terkot kół. Braki w inwentarzu i urządzeniu szkolnym były wprost katastrofalne, nędza, zniszczenie... Dzieci trudne i jakże bardzo inne od łobuziaków warszawskich. Trudno mi sprecyzować, na czym polegała ta wielka różnica. Chyba przede wszystkim na stopniu kultury zewnętrznej. Mały warszawiak, nawet ten z najgorszego środowiska, posiada pewne wyczucie potrzeby form zewnętrznych. Życie nauczyło go, że lepiej jest ustąpić nieco na bok przy spotkaniu w drzwiach lub na wąskim chodniku. Wie, że należy zastosować się do pewnych przepisów czy to przechodzenia przez ulicę, czy zachowania w lokalu publicznym, gdyż wymaga tego wspólny *modus vivendi* z innymi ludźmi. Przekonał się on wielokrotnie, jakie to niewygodne, gdy ktoś wyłamuje się spod ustalonych i przyjętych przez ogół zwyczajów. Sam jest wrażliwy na uprzejmy stosunek do niego i dlatego łatwiej mu jest dostosować się do ogólnych ram, wewnątrz których pozostaje mu jeszcze dużo swobody, niż narażać się na zupełnie niepotrzebne nieprzyjemności. Żywe, tętniące życie

5 Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet — założona w 1928 r. w Warszawie polska organizacja feministyczna. Głównymi celami było równouprawnienie kobiet, zwiększenie aktywności kobiet w życiu publicznym, dopuszczenie kobiet do funkcji publicznych.

wielkiego miasta dostarcza tyle ciekawych widowisk, a mniej czasu zbywa na własną osobę i jej potrzeby. Defilada, przejazd ulicami przedstawicielstwa obcego państwa, ruch, nawet same okna wystawowe wielkich sklepów, gdzie jest taka różnorodność towarów... Człowiek przyzwyczaja się patrzeć na te dziwy bez zazdrości, tylko z ciekawością. Wszystko to zmniejsza egocentryzm, każe dziecku warszawskiemu wcześniej wyjść z samego siebie, przygotowuje grunt do zainteresowania się innym człowiekiem i jego przeżyciami.

Dziecko wileńskie, jak zresztą znaczna część społeczeństwa wileńskiego, szczególnie proletariackiego, jest po brzegi wypełnione sobą. Zetknięcie się z innymi ludźmi często wywoływało starcie się interesów, potrzeby bronienia ich. Wyrobiła się swoista postawa zaczepno-obronna... „Co mi tam po innych, aby mi było dobrze”, „Mnie się też należy, skoro on ma”, „To nie łaska” — typowe powiedzenie dzieci wileńskich, domagających się czegoś, co według ich urojenia należy im się. Karność, obowiązkowość są niewygodne. Na uwagę, ostrzejszą ocenę swego postępowania, nawet na gorszy stopień w szkole reagują one swarliwym targowaniem się, kłótnią, pełną zazdrości:

— A czemu on ma lepszy stopień? Ja też umiałem... Ja też chcę iść do kina, teatru itd.

Nie chce zgodzić się z tym, że miejsc w kinie przydzielono nam mało, że idą — zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią — ci, którzy naprawdę na to zasłużyli. Oburzają się bez prawdziwej złości, natrętnie dowodzą, że to im należało się pierwszeństwo. Gdy zaś widzą, że nie odniosło to skutku, stają się zupełnie „niegrzecznymi”, oznajmiają, że i tak pójdą i wstępują w otwartą walkę z personelem. Idzie taki długi wąż „wybranych” dzieci, a obok, niekiedy po brzegu jezdni z upartym i bezczelnym wyrazem twarzy ci, co zdecydowali się wbrew wszystkiemu trafić na widownię „na załamankę”. Często im się to udaje. Wtedy podczas wyświetlania filmu słychać to tu, to tam gwizdy. Ktoś zrzuca z balkonu na widownię papierki od karmelków, ktoś pluje, rozlegają się głośne uwagi itd. Nazajutrz zresztą w klasie dzielą się z pocziwym uśmiechem wrażeniami z filmu. W razie potrzeby gotowi są nawet przeprosić. Czemu nie? To nietrudno.

Chory nauczyciel nie wzbudzi tak łatwo współczucia. Lepsza część klasy może nawet przesadnie wzruszyć się, znajdują się jednak zawsze tacy, co powiedzą: „Co mnie to obchodzi?”. I ci właśnie w takim dniu, kiedy czujność wychowawcy klasy jest obniżona, pozwolą sobie na gorsze niż zazwyczaj zachowanie. Pobudzić dzieci wileńskie (jako pojęcie zbiorowe) do czynu wymagającego pewnej ofiarności, jest o wiele trudniej niż małych warszawiaków. Dotyczy to wcale nie tylko tych wykolejonych, ale i dzieci z rodzin kulturalnych stanowiących elitę. Jako ilustracje porównawcze przypominają mi się fakty dożywiania przez młodzież gimnazjalną dzieci biedniejszych. Gimnazjum im. Platerówny⁶ oraz gimnazjum Kowalczyków⁷ przychodziły z pomocą dzieciom niewidomym w Warszawie. W Wilnie zaś szeroko zakrojoną opieką otoczyło naszą szkołę — Gimnazjum Ojców Jezuitów⁸. W pierwszym wypadku uczennice wymienionych uczelni chętnie, spontanicznie i wytrwale spełniały przyjęte na siebie zobowiązania. Wkładały w drobne paczuszki przesyłane nam dużo serca, delikatności i staranności. Drugie śniadania otrzymywane z gimnazjum wileńskiego były bardzo różnorodne. Zdarzały się miłe, czysto owinięte, smaczne krajanki, nawet z dodatkiem łakoci lub karteczki „smacznego”, wypisanej niewprawną ręką młodego ucznia. Ale ileś było nadgryzionych, ze śladami tylko po wędlinie położonej przez matkę na chleb. Bywały i ogryzki jabłka, może niezauważone, była uderzająca nierówność liczbowa (zdarzało się bądź czterdzieści, bądź trzy śniadania przesłane przez całą klasę, tak że nigdy nie można było wiedzieć, ilu naszych głodomorów otrzyma ten dodatkowy kęs, tak bardzo im potrzebny). Wiem, ile zacni ojcowie z księdzem Kucharskim na czele musieli przypominać, ba!

⁶ Gimnazjum im. Cecylii Plater-Zyberków^{ny} — budynek powstały z inicjatywy hrabianki Cecylii Plater-Zyberków^{ny} w 1882 r. z przeznaczeniem na szkołę żeńską (Zakład Rzemiosł dla Kobiet), następnie przekształconą na gimnazjum.

⁷ Gimnazjum Kowalczyków^{ny} — prywatna żeńska szkoła założona w 1903 r. przez Jadwigę Kowalczyków^{ny} i Jadwigę Jawurków^{ny}, prowadzona przez nie do 1944 r. Po 1918 r. szkoła realizowała poziom podstawowy i gimnazjalny.

⁸ Gimnazjum Ojców Jezuitów pod wezwaniem św. Kazimierza — założone w 1922 r.

.....

nawet walczyć z sytymi i dobrze sytuowanymi chłopcami, by utrzymać jakąś ciągłość akcji, często schodzącej na manowce „odczepnego”. Odczucie bólaczki filantropii, uprawianej przez ludzi nie dość wyrobionych wewnętrznie, by umieć dawać, polega na tym, iż początkowo pomoc okazywana biedniejszemu sprawia dającemu zadowolenie. Po pewnym czasie zaczyna ona nużyć, potem zaś nawet drażnić. Rodzi się coraz bardziej natarczywa myśl: „Nie mógłby i on czymś wywdzięczyć się...?”, „Czyż on nie umie ocenić tego, co dla niego robię?” itp. Znacznie łatwiej udają się imprezy jednorazowe. Toteż naprawdę mile wspominały uroczystości choinkowe urządzone dla naszych chłopców przez wspomniane gimnazjum. Może dlatego, że w podejmowaniu gości i staraniach brali wtedy udział tylko ci najlepsi, naprawdę wysoko stojący pod względem wyrobienia wewnętrznego uczniowie wraz z matkami swymi, które szczególnie wkładały wiele serca i delikatności w te sympatyczne święta.

Na ogół zaś porównanie pomiędzy dzieckiem warszawskim a wileńskim wypada na niekorzyść tego ostatniego. Świadczy to o tym, ile pracy należy jeszcze włożyć, by wpłynąć na ludność naszych Kresów i podnieść ją kulturalnie. Czym bowiem obecnie jest tłum wileński, rozumie każdy, kto choć raz znalazł się stłoczony, popychany, szarpany ze wszystkich stron pośrodku gromady ludzi, chociażby zjednoczonych wzniosłymi uczuciami, jak to bywa podczas świąt Opieki Matki Boskiej w Ostrej Bramie. W jednej z wileńskich poradni psychologicznych zapytano podczas badania dziecko, o co należy modlić się:

— Żeby wszyscy zdrowi byli. I żeby tatuś pracę miał i nie przepijał. I żeby ludzie nie zdeptali.

Tę ostatnią prośbę dobrze zrozumiałam już w kilka tygodni po zainstalowaniu się w Wilnie. Nauczyłam się patrzeć na pewne zjawiska z uśmiechem wyrozumiałości.

Było mi tutaj dobrze. Lata pracy w tym mieście pozwoliły odechnąć, powiedziałabym „odsapnąć” od gorączkowego tempa, jakim żyło się w zakładzie warszawskim. Szkoła bez internatu nie absorbowała wszystkich sił. Spełżyły na niczym jedna, druga, trzecia próba wniesienia czegoś nowego, dalszego

rozwoju placówki, zrealizowania wizji instytucji jak najlepiej odpowiadającej swemu przeznaczeniu. Przekonałam się, że nic się nie da zrobić w tym kierunku. Nikomu nie są potrzebne te reformy. Szkoła specjalna jest *malum necessarium*⁹, do którego odsyła się element przeszkadzający w klasach — i na tem koniec. Patrzy się na jej pracę z pewną pobłażliwością: gorsze dzieci, a więc może tam być i gorsza praca. Niech zachowane będzie tylko pewne minimum i już dobrze. Być może, iż jestem zbyt surową w swym sądzie o ludziach, od których zależał rozwój placówki. Takie jednak wrażenie odniosłam, ilekroć usiłowałam zjednać kogokolwiek dla swych zamiarów. Czułam niekiedy żal, iż zupełnie nie chcą zainteresować się sprawą, zrozumieć, czym jest zagadnienie młodzieży moralnie zagrożonej. Z drugiej strony widziałam dużo życzliwości względem mnie samej. Nie mogłam nie ocenić dodatnich stron tych ludzi, którzy nie chcieli, a raczej nie umieli przyczynić się do powstania ładnej placówki. Byłam bowiem głęboko przekonana, iż tu można było zorganizować zakład bardzo ciekawy. Byłam jednocześnie świadkiem wielkich, lecz równie bezowocnych wysiłków doktor Świdowej¹⁰, która starała się utrzymać przy życiu internat ZPOK¹¹ dla chłopców trudnych do prowadzenia i nie była w stanie tego uczynić. Zrozumiałam, iż ramy zewnętrzne są wąskie, sztywne i skostniałe, że próby przetworzenia jej w taką szkołę, jaką widziałam w marzeniach, nie udadzą się. Zrezygnowałam więc. Zająłam się grupą chłopaków w swej klasie. Właściwie w Wilnie byłam nie tyle kierowniczką, ile nauczycielką. Czynności kierownicze sprowadziłam do minimum. Pracowałam przede wszystkim w swej klasie, tak jak pracują setki nauczycielek, które nie liczą na żadną pomoc z zewnątrz, posuwają się naprzód same, opierając się

⁹ łac. *malum necessarium* ‘zło konieczne’.

¹⁰ Zofia Wasilewska-Świdowa (1887–1968) — lekarz w szpitalu polowym, uczestniczyła w tworzeniu służby zdrowia Wojska Polskiego. Brała udział w walkach na Wschodzie z Armią Czerwoną. Była współorganizatorką i fundatorką akcji polegającej na niesieniu pomocy materialnej i lekarskiej najbardziej potrzebującym mieszkańcom Wilna i okolic.

¹¹ ZPOK — Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet.

.....

głównie na własnej osobowości i pracy nad sobą. Całość pracy w szkole szła zresztą sprawnie i lekko. Częściowo dlatego, iż, jak mówiłam już, prawie zupełnie zrezygnowałam z zakusów reformatorskich. Innowacje, jakie wydawały mi się niezbędne, proponowałam na radzie pedagogicznej. O ile ona zgadzała się, wprowadzaliśmy je w życie. Jeżeli nie były starannie i systematycznie podtrzymywane przez grono, upadały same przez się, zamierały bezboleśnie, nie pozostawiając u nikogo żalu. Były widać niepotrzebne. O ile znalazł się w gronie ktoś, kogo to żywiej obeszło, można było wierzyć, że to lub owo poczynanie utrzyma się dłużej. Gazetka szkolna na przykład migotała bardzo nierównym płomykiem. Przez rok redagowana przez klasę kolegi Skowronka, przeżyła swój najładniejszy rozkwit, by później zgasnąć, na krótko tylko potem w roku 1940/41 przybierając kolor niezdrowego światła komunizycznej *stien-gazetki*¹², bardzo zresztą sumiennie i dokładnie niszczonej przez chłopaków. Koło Polskiego Czerwonego Krzyża po okresach mniejszej i większej tężyzny doszło do punktu najwyższego swego rozwoju, gdy serdecznie i po matczynemu odchuchała je panna Marysia, zapalona entuzjastka Czerwonego Krzyża. Moim konikiem była tak zwana Pomoc Koleżeńską, na którą pokładałam wielkie nadzieje. Był to rodzaj samorządu. Każda klasa wybierała doń dwóch delegatów. Tworzyło się ciało kolegialne, obowiązkiem którego było dbanie o przestrzeganie regulaminu przez chłopców, pomoc słabszym, udział w akcji charytatywnej okazywanej dzieciom itd. Posiedzenia tego grona odbywały się co tydzień. Omawiano wtedy dobre i złe postęпки chłopców zauważone przez delegatów. Nadmienić trzeba, że delegat nie miał prawa zanotować czynu ujemnego bez uprzedniego zwrócenia życzliwej uwagi sprawcy. Jedynie w wypadku oporu sięgał po notes. Następnie podliczano wyniki, że tak powiem, statystyczne tych spostrzeżeń i przyznawano klasie, bilans której wypadł najdodatniej, nagrodę przejściową — chorągiewkę wywieszaną nad drzwiami ich oddziału. Posiadanie tej nagrody pociągało za sobą szereg uprawnień, jak korzystanie z gier, znajdujących się w kancelarii, pierwszeństwo w pójściu do kina, w wypożyczaniu nart szkolnych, piłek itd.

.....

¹² Ros. *стен газета* 'gazetka ścienna'.

Przedstawiciele Pomocy Koleżeńskiej regulowali też sprawę dożywiania, przedstawiając kandydatów mających uczęszczać na obiady, które uzyskaliśmy w różnych instytucjach dla naszych wychowanków^{13*}. Do sprawnego funkcjonowania tej organizacji uczniowskiej i zainteresowania nią większości klas przyczyniało się niewątpliwie to, że osoba przewodniczącego była trafnie obrana. Najpierw inteligentny Longin, później zaś energiczny i dzielny Marek — dużo wnieśli do sprawy. Zresztą obaj w późniejszym swym życiu dowiedli, że gromada chłopięca dobrze wyczuła ich wartości i umiała obrać sobie przewodnika. A jednak i Pomoc Koleżeńska, jakkolwiek wybitnie ułatwiała nam pracę, po pewnym czasie „zwiądła”, gdy kolejno ukończyli szkołę jej prezesi i kiedy ja sama przestałam żywiej interesować się jej działalnością. Przygasła ona tak samo, jak przygasło harcerstwo na krótko płonące jaskrawym ognikiem, jak inne „zabawki”, które żyją dotąd, dopóki bywają podtrzymywane przez inicjatorów i organizatorów itd.

Szkoła nr 43

Jednym z moich pragnień było uzyskać zmianę nazwy szkoły. Słowo „specjalna” drażniło, niepokoiło i upokarzało naszych uczniów. W ustach uliczników, którzy dokuczali nam nieraz, gdy gromadnie wyruszaliśmy na wycieczki lub imprezy, brzmiało ono pogardliwie „specjałka”, przyczyniając wielu zmartwień. Po dłuższych staraniach udało mi się uzyskać zgodę na to, że uczelnia nasza otrzymała zwyczajny kolejny numer w rzędzie szkół powszechnych. Ten na pozór drobny szczegół zaważył bardzo mocno na samopoczuciu chłopców i ich ustosunkowaniu do szkoły. Mogli obecnie nie wstydzić się jej. Pozwoliło nam to na taki ważny krok jak poświęcenie własnego sztandaru, na którym wyhaftowano nasze hasło: „Idziemy wzwyż”.

^{13*} W Junackim Hufcu Pracy dla 20–30 chłopców dziennie, w Żandarmerii Wojskowej. Poza tym otrzymywaliśmy paczki żywnościowe z szeregu formacji wojskowych szkoły kolejowej, gimnazjum jezuitów, akademickiego koła sportowego oraz dotacje na dożywianie od licznych przyjaciół szkoły. Dużo zawdzięczamy również 4 Pułku Ułanów Nadniemieńskich, który ubierał naszych harcerzyków i wysyłał ich na obozy.

.....

Uroczystość sztandarowa zgromadziła sporą liczbę ludzi nam życzliwych i pozostawiła bardzo dodatnie wspomnienie u nas wszystkich. Po zakończeniu całego obchodu dowcipny Artur podszedł do mnie ze słowami:

— Ależ lubiliśmy ją i przedtym.

— Tak, ale to było takie coś, jak człowiek lubi kochanka. To nie wypada tej miłości zanadto okazywać. A żonkę można kochać szczerze. To my dziś tak jakby wesele odbyliśmy.

W wileńskim okresie swej pracy szkolnej zaczęłam kłaść znacznie większy nacisk niż przedtym na samą naukę dzieci. Dziedzina zawsze dla mnie najciekawsza — psychika jednostki — nie absorbowwała tak wyłącznie jak przedtym. Pewnie, że i teraz poszczególny chłopak, przejawy jego indywidualności, charakterystyki szczególnie jaskrawych typów zabierały wiele czasu i wysiłków dodatkowych. Czułam jednak coraz wyraźniej, że oprócz poznawania dzieci i wywierania wpływu osobistego na poszczególne typy, mniej lub więcej poddające się naszemu oddziaływaniu, zadaniem szkoły jest wpojenie pewnej sumy wiedzy i ułatwienie nabycia nawyków do pracy. Strona dydaktyczna, dotąd leżąca u mnie odłogiem kosztem spraw wychowawczo-psychologicznych, obecnie wysunęła się naprzód. Przeprowadziłam w swej klasie kilka prób: czy to pracy zespołami, czy systemu zbliżonego do metody projektów lub wreszcie własnej inwencji. Przez jeden rok opracowaliśmy z chłopcami niektóre przedmioty w ten sposób, że oni sami przygotowywali pytania dotyczące zgłoszonego im zawczasu tematu. Nasza zaś wspólna praca polegała na wyszukiwaniu odpowiedzi w podręcznikach albo drogą skierowania poszczególnych chłopców do odnośnych instytucji użyteczności społecznej, gdzie spodziewaliśmy się otrzymać potrzebne nam wiadomości. Do lekcji geografii na przykład bardzo przyczynił się życzliwy stosunek, jaki nawiązał się z „Orbisem”, który chętnie informował naszych wysłanników, zaopatrywał ich w prospekty podróży, broszury itd. System ten dawał mi nieraz wyjście

z kłopotliwej sytuacji. Organicznie nie znoszę wizytacyj, nawet dokonywanych przez najbardziej sympatycznych ludzi. Przestaję wtedy być sobą, denerwuję się i w ogóle czuję się fatalnie. Przy kolektywnej zaś pracy wraz z grupą nie jestem zmuszoną występować wobec zwiedzającego zwierzchnika w roli specjalno aktywnej.

Przyszedł kiedyś na lekcję nauki o Polsce instruktor ministerialny. Prawie nic nie potrzebowałam robić na lekcji. Moi uczniowie natychmiast wciągnęli gościa do pracy, prosząc o wyjaśnienie co do różnych spraw dotyczących struktury aparatu państwowego. Chętnie wspominam też rok, gdy metoda pracy w mej klasie przypominała system daltoński¹⁴. Chłopcy otrzymywali przydziały pracy i wywiązywali się z nich dość sprawnie. Ciemną stroną tego systemu była grupa nałogowych leniuchów i „parafistów”^{15*}. Ich nie udało się wciągnąć do wspólnego wysiłku ani zainteresować. Przy systemie mniej opartym o samodzielną pracę tacy uczniowie nie tak przeszkadzają w biegu zajęć klasy. Próby powyższe stosowałam jedynie w swej grupie, nie przeszkadzając kolegom posługiwać się taką metodą, jaką oni uważali za słuszną. Nabrałam już przedtym zupełnej pewności, że każdy system może dać dobre wyniki, byle wykonawca wierzył weń, pracował rzetelnie i dążył do istotnie dobrego celu. Dlatego tak dobre rezultaty dawał system punktowania i wykresów, stosowany przez kolegę Malawkę, klasa którego do tego stopnia wciągnęła się do starannego i samorzutnego spełniania obowiązku, iż dzieciaki potrafiły godzinami, a nawet i po kilka dni pracować sami bez nauczyciela, który bądź zachorował, bądź wyjechał. Kolega Skowronek oparł nauczanie w powierzonej sobie klasie o podstawę polegającą na rozbudzeniu i pogłębieniu uczuć artystycznych i etycznych chłopców. Klasa kolegi Kacprowicza zdradzała wielkie uświadomienie

¹⁴ System daltoński — system nauczania opracowany w latach 20. XX w. przez Helen Parkhurst. Zakłada indywidualizację procesu uczenia się, realizację zróżnicowanych zadań zależnie od wieku i możliwości ucznia. Nazwa pochodzi od miasta Dalton, gdzie uruchomiono pierwszą szkołę realizującą ten system.

^{15*} Uciekających na dłuższy lub krótszy czas z domów (gwara uczniowska wileńska).

.....

i zainteresowanie sprawami społecznymi. Słowem: indywidualność każdego wychowawcy znajdowała odpowiedni wyraz w jego pracy szkolnej^{16*}.

Okres ten pozwolił mi uprzytomnić sobie wiele podstawowych pojęć, którymi dotąd kierowałam się tylko po omacku, raczej intuicyjnie. Dziecko kochałam zawsze i zawsze czułam szacunek do niego. Widziałam w nim nie tylko istotę słabszą, wymagającą naszej pomocy i opieki, ale przede wszystkim istotę inną, posiadającą swoiste cechy, którymi obdarzona jest jedynie na pewien czas swego rozwoju. Cechy te później znikną, ale teraz, w danej fazie mają one swe zadanie do spełnienia. Naturalność, szczerość i prostota dziecka pozwalają mu na tworzenie i wypowiedanie sądów, nacechowanych nieraz istotną głębią i prawdą. Bez wahania się muszę stwierdzić, że najwięcej w całym swym długim życiu nauczyłam się od dzieci, obserwując je, słuchając i analizując ich wypowiedzi oraz reakcje na otaczające zjawiska.

Wraz z całą społecznością ludzką są dzieci dotknięte jej wadami, wykolejone, zbrukane i często przez nas zniekształcone. Pomimo to w nich przede wszystkim odnaleźć możemy to, do czego podświadomie tęskni każdy z nas: prostotę, wiarę w dobro i ufność względem ludzi. Toteż wina dorosłych demoralizujących dziecko jest tak wielka, że nie powinno nas dziwić groźne słowo Ewangelii: „A kto by zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński na szyi jego i zatopiono w głębokości morskiej” (Łk 17,6).

Zdeprawować możemy nie tylko wyraźnym zgorszeniem. Najczęściej czynimy to *bona fide*¹⁷, wierząc w to, iż zabiegi nasze mają na względzie dobro dziecka. Gwałcimy jego wolność, układamy sobie piękne, oparte na abstrakcyjnie idealnych dążeniach programy i wzory nam odpowiadające. Wytrwale, mozolnie staramy się nachylić do nich naturę dzieci nam powierzonych lub bodaj przypadkowo spotkanych na drodze

.....

^{16*} Nie jestem w stanie wymienić tutaj wszystkich swych współpracowników. Cytuję jedynie niektóre nazwiska ilustrujące moją myśl. Nie znaczy to bynajmniej, by praca pozostałych nie zasługiwała na uznanie i omówienie.

¹⁷ Łac. *bona fide* ‘w dobrej wierze’.

życia. Nie liczymy się z tym, że duch ludzki jest wolny, nie znosi powijaków i w klatce, jaką stwarza podobne wychowanie, traci swe istotne wartości. Nakazy i zakazy Dekalogu, rozwinięte w dziesięciu punktach, streszczają się w dwóch przykazaniach miłości. W Nowym Testamencie wyczerpują one do dna całą moralność i dają człowiekowi możliwość swobodnie poruszać się w tych szerokich ramach pozostawionych mu. Zresztą Dekalog jest dany ludziom do wiadomości, przestrzeganie zaś jego nie jest wymuszane. Czyn etyczny jest nim tylko wtedy, gdy poprzedzony jest wolną, nieskrępowaną decyzją, nie zaś nakazem odejmującym mu wszelką wartość.

Czułam to coraz wyraźniej. Nie tresura, rygor zewnętrzny, przeciwniczka których zawsze byłam, nie uzależnienie, chociażby psychiczne, ucznia od silnej indywidualności wychowawcy na długi okres czasu, tylko wpływ polegający na ułatwieniu wyboru należytej decyzji, w razie zaś gdy ona wypadła inaczej, niż tego pragnęliśmy — ujarzmienie odruchu osobistej urazy, obrażonej godności — oto niezbędne nastawienie nauczyciela, który naprawdę szanuje duszę i wolność swego wychowanka.

Coraz bardziej absorbowano zagadnienie osobowości ucznia. Nasuwała się konieczność dokonania pewnej klasyfikacji typów dzieci moralnie zagrożonych. Wieloletnie doświadczenie dowiodło, jak różne wyniki daje jedna i ta sama metoda zastosowana do różnych uczniów. Coraz częściej stawiałam sobie pytanie, czy jednym z wielkich niebezpieczeństw naszego wychowania nie jest wyśrubowywanie możliwości dziecka przez stawianie mu wymagań, którym podołać nie może. Zastanawiały przejawy wsteczności, pozerstwa i deklamacji, tak często spotykane u dzieci tzw. starannie wychowanych. O ile w medycynie nie do pomyślenia jest stosowanie uniwersalnych leków nadających się do wszelkich chorób, to o ileż więcej podobne znachorstwo szkodliwym może się okazać w wychowaniu. Tam chodzi o zdrowie ciała, tutaj zaś o duszę człowieka. Toteż całą uwagę swą skupiałam na wykryciu i ustaleniu pewnych cech, które by pozwoliły mi dokonać klasyfikacji typów dzieci wymagających postępowania leczniczego. Od trafnie postawionej diagnozy zależeć będzie nasza kuracja, zaaplikowanie tego lub innego *regime'u* dla nich.

O ile w Warszawie całą moją uwagę pochłoniął system, budowanie i rozwój placówki odpowiadającej swemu przeznaczeniu, o tyle tutaj wróciłam do stadium pierwszych lat swej pracy. Zająłam stanowisko obserwatora, badacza, krytyka własnych tez i dotychczasowych metod postępowania. Odbiło się to siłą rzeczy na stosunku, jaki łączył mnie z dziećmi. Różnica polegała na tym, iż stopień ich uzależnienia ode mnie był znacznie mniejszy. Współżycie nasze z chłopcami ze szkoły nr 137 układało się w ten sposób, iż wprost nie do pomyślenia byłby fakt nieposłuszeństwa, oporu lub jawnej krytyki. Ułatwiały taki stan rzeczy właściwości psychiki dziecka wielkomiejskiego, o których mówiłam już wyżej. Ale oprócz tego wpływała nań atmosfera całego zakładu. Czuli się u nas dobrze, mieli zaspokojenie najróżnorodniejszych swych potrzeb, przede wszystkim zaś traktowano ich serdecznie i kulturalnie. Stanowiło to dość jaskrawy kontrast z dotychczasowymi warunkami ich bytowania i wywoływało najlepsze chęci z ich strony. Tym bardziej zaważyć musiał na ich ustosunkowaniu się do wymagań im stawianych mój stosunek do wychowanków. Było w nim połączenie pewnej arbitralności z tym wszystkim, co stanowiło moją metodę postępowania. Cechowały ją troskliwy i uważny stosunek do najdrobniejszych potrzeb dziecka, okazywane na każdym kroku i podkreślane zaufanie, częste zaznaczanie, iż szczerością można zyskać znacznie więcej niż wykrętami. Wszystko to wytwarzało obok przywiązania do mnie, którego miałam liczne dowody, także i stan uzależnienia. Wprost nie wypadało zrobić mi przykrość. Chłopak, który dopuścił się tego, czuł się bardzo nieswojo i bywał ostro osądzony przez gromadę. Nie trzeba zresztą słuchać człowieka, wola którego obowiązuje w całym zakładzie i który jest źródłem przeżyć prawie wyłącznie przyjemnych. Poza tym jako kierowniczka coraz to rozwijającej się i rosnącej instytucji nie mogłam spędzać z chłopcami tyle czasu jak personel mający więcej godzin lekcyjnych i dyżurów. Toteż dla mnie chowali oni lepszą, świąteczną stronę swego „ja”. Przychodziło im tym łatwiej, iż sama jestem bardzo wrażliwa na stosunek ludzi do siebie i za przywiązanie płaciłam im również niekłamaną miłością. Wiadomo, jak może to ułatwić dotarcie wpływu jednej osoby do jaźni drugiej. Wytworzyła się sytuacja zupełnie swoistego rygoru

i przymusu psychicznego, gdzie czyny moich młodych przyjaciół, nieraz naprawdę śliczne i wzruszające, w wielu wypadkach nie były jednak spowodowane ich swobodną i świadomą decyzją. Stanowiły one wynik silnego postronnego wpływu, do którego dostosowali się, wyśrubowując nieraz możliwości duchowe, jakimi w danym okresie swego rozwoju rozporządzali, do maksimum.

W Wilnie było inaczej. Przede wszystkim inny typ dziecka kazał szukać innych metod postępowania. Mała i uboga szkoła bez internatu zmniejszała ilość czasu wspólnie spędzonego. Zgiełk, ruch, pośpiech w załatwianiu wielkiej liczby spraw, które nasuwał każdy nowy dzień, nie sprzyjały wzrostowi nastrojów uczuciowych. Zresztą szkoła miała swoje tradycje. Istniała w niej pewna junacka buta i wstydzenie się tkliwszych odruchów. Ja sama na początku swej pracy nie byłam do tych „nowych” specjalnie serdecznie usposobiona. Tęskniłam żywiło do swoich warszawiaków. Tamci chłopcy przyjeżdżali do mnie, mieszkali u nas po kilka dni, pisywali często. Grupa dzieci przekazanych przez Warszawski Zarząd Miejski do zakładu prowadzonego przez wileńskie zakonnice zabierała też sporo czasu i energii uczuciowej. Poza tym nastawienie moje do pracy było inne. Nie zależało mi tak bardzo jak w poprzednich latach na tym, by z wychowanków moich uczynić skończone doskonałości. Przeszłam do obserwacji i metod analitycznych, będąc pochłonięta zarysowującą się w umyśle klasyfikacją typów dzieci wykolejonych i nie chcąc zacierać swym wpływem osobistym obrazów ich psychiki, jakie przesuwwały się przed oczami.

Współżycie z wilnianami ułożyło się od początku na stopie życzliwej i niezbyt krępującej. Miałam swoje przeżycia do przebrnięcia. Pozwalałam im również być sobą w granicach nieprzekraczających zbytnio ram wspólnych przepisów. Szkoła szła swoją własną drogą. Nic w niej nie robiło się „dla mnie”. O ile nastąpił ten drugi, dziesiąty fakt, świadczący o tym, że wysiłki grona odnoszą skutki dodatnie, cieszyliśmy się, nie przeceniając ich jednak. Idziemy na wycieczkę do garncarza. Po drodze nędzna szkapina nie może sobie dać rady z furą drzewa, którą trzeba wcisnąć do bramy stojącej na stromym zboczu pagórka. Chłopcy błyskawicznie zdecydowali się, zdjęli

.....

część belek, podepchnęli wóz, zanieśli bele pod górę i spokojnie poszliśmy dalej. Następnego dnia ciż sami chłopaki rozciągnęli zawartość straganika biednej przekupki. Ani dumni, ani zanadto zgnębieni nie byliśmy, rozumiejąc, jak wiele pracy będziemy jeszcze musieli włożyć. Co najważniejsze jednak, zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że my jako szkoła nie zmienimy natury dzieci. Stanowimy bowiem tylko część tych wszystkich czynników, jakie składają się na całokształt procesu wychowawczego. Obok naszych wpływów działa wiele innych, często nieprzewidzianych, w wielu wypadkach od nas niezależnych i nieuchwytnych. To, co w pewnych określonych warunkach będziemy mogli rozwinąć i ugruntować w jednym dziecku, w innym da rezultaty o wiele słabsze, w każdym razie inne. Życie się z dziećmi nastąpiło i tutaj. Tylko przyszło ono później, wyprzedzone lekkimi tarciami, mało dostrzegalną walką wpływów, powolnym budzeniem się chęci do wysiłków świadomych ze strony wychowanków. Motywy ulepszenia postępowania mogą być różne. Bywają mniej lub więcej wzniosłe. Mogą płynąć z automatycznych nawyków do ładu i unikania tego, co burzy bieg życia. Niekiedy podyktowane bywają krótkotrwałym wzlotem, napięciem uczuciowym — to, co Szubert¹⁸ dał w swym arcydziele *Aufschwung*¹⁹. Mogą być wynikiem zmysłu praktycznego i zdrowego rozsądku. Spotykamy też procesy rozwoju wewnętrznego, kierowane przez silny i stały impuls moralny, dążący do tego, co jest pięknym i dobrym. W procesie wychowawczym chodzi nam o to, by ze strony wychowywanego była dobra wola do zmiany postępowania. Najcięższym błędem jest podsuwanie pod tą wolę motywów wydających się nam słusznymi i pięknymi, lecz często zupełnie niepokrywającymi się z punktem wyjścia wychowanka. Sam akt decyzji do progresu, do ulepszenia postępowania jest momentem najbardziej płodnym w owoce i podnoszący godność

.....

¹⁸ Franz Schubert (1797–1828) — austriacki kompozytor, prekursor romantyzmu w muzyce.

¹⁹ *Aufschwung* — utwór na fortepian autorstwa Roberta Schumanna (1810–1856), niemieckiego kompozytora i krytyka muzycznego. Obaj romantyczni kompozytorzy — Schumanna i Schubert — bywają niekiedy myleni.

człowieka. Mogą być i będą cofnięcia się, upadki, wykołajenia. Nie zginie jednak ślad, jaki pozostawia w charakterze dziecka naprawdę dobrowolna decyzja do dobrego czynu. Powtarzam „dobrowolna”, nie wymuszona groźbą lub niewolą uczuciową, gdzie niedostosowanie się do obcej woli pociąga natychmiastowy skutek ujemny. Może on ograniczyć się do przejawów zasmucenia i rozczarowania osoby, od której jesteśmy fizycznie, materialnie lub psychicznie uzależnieni — tym niemniej sprawiają one przykrość. Przy atmosferze bardziej wolnej od spontanicznego poddania się woli jednego człowieka pragnieniami innej istoty, mamy mniej sytuacji wyśrubowanych. Uzależnienie psychiczne powoduje stan, przy którym możliwości swe rozciągamy jak gumę, wierząc nieraz w szczerość tego, co robimy w istocie na pokaz, dla kogoś. Często zaś robimy to na pokaz dla samych siebie, zgodnie z głęboko tkwiącą w nas potrzebą samouwiebienia, narcyzmu. I dlatego przejawy życzliwości otrzymane od gromadki, która w przeddzień jeszcze zażarcie walczyła z nami o jakieś swoje dobro, sprawiają nam tym większą przyjemność. Dają one mocniejszą gwarancję szczerości i niewymuszonej inicjatywy.

W roku 1937 uwagę moich siódmoklasistów zwrócił fakt mego częstego przebywania w towarzystwie pewnego wojskowego (ślub nasz odbył się w parę tygodni po rozpoczęciu wakacji). Nie mówili mi jednak nic o swych spostrzeżeniach. Jedyną ich oznaką zewnętrzną był mały ołowiany żołnierzyk piechoty, którego ktoś tajemniczy postawił na moim biurku. Dopiero gdy pod koniec roku szkolnego wybrałam się ze swą klasą do Kalwarii, gdzie po obejściu ścieżek Męki Pańskiej posililiśmy się i siedzieli, odpoczywając na brzegu Wilii koło Trynopolu²⁰ — sprawa zaczęła domagać się jasności. Zauważyłam jakiś niepokój i zamieszanie wśród chłopaków.

— Spytaj ty sam... mnie jakoś niełatwo — wreszcie łobuzerski zawsze Leos zapytał z minką wielce obojętną, czy to jest prawdą, że o ile oficer chce się żenić, to jego narzeczona musi mieć posag. Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi inny po chwili

²⁰ Trynopol — nazwa miejsca, gdzie osiedlili się w 1700 r. trynitarze, a biskup wileński ufundował dla nich klasztor i kościół.

.....

zapytał, ile wynosi ta suma. Gdy zaś powiedziałam, że jest dość pokaźna, zapanowało na jakiś czas milczenie. Znow rozległy się szepty i narady, aż padło pytanie:

— A gdyby tak dwudziestu sześciu młodych chłopców zaczęło pracować, to ile czasu trzeba by na zebranie takiego posagu?

Dopiero teraz nieco naprężona atmosfera rozchmurzyła się. Poprosiłam chłopaków o dyskrecję i powiedziałam im o swej decyzji powtórnego małżeństwa. Uspokoili ich co do posagu, który nie dotyczył mnie jako urzędniczki państwowej. Opowiedziałam o tym, że narzeczony mój jest również wdowcem i ma troje dzieci: syna i dwie córeczki. Słowem porozmawiałam z nimi naprawdę po przyjacielsku. Tajemnicy dochowali chłopcy naprawdę i okazali mi — zarówno wówczas, jak i później — odwiedzając nas i składając życzenia, dużo serca i życzliwości.

W rodzinie

Po długich latach niezależności, kiedy w postępowaniu swym kierowałam się wyłącznie własnymi przekonaniem, nastąpił zasadniczy zwrot w moim życiu. Zmieniło się nie tylko moje nazwisko i stan cywilny. Wdowa Hanowa i mężatka Ilgiewiczowa nie były jedną i tą samą osobą. Patrząc wstecz na swoje życie i porównując te dwie istoty ze sobą, uświadomiłam sobie wyraźnie, że małżeństwo w życiu nauczycielki to nie jest fakt bez głębszego znaczenia, które może minąć bez śladu na jej działalności. Zmieniają się warunki jej życia osobistego, zmienia się ona sama, zmienia się jej ustosunkowanie do pracy. Do roku 1937 dom rodzinny istniał, rzecz jasna. Była staruszka matka, która zresztą nie przez cały czas mieszkała razem z nami. Była córka, z którą łączyło gorące uczucie i szczerą przyjaźń. Sam zaś dom był przede wszystkim miejscem wypoczynku po pracy. Stał on przy drodze, na drugim planie i przypominał lekki japoński domek, który można z łatwością przenosić z miejsca na miejsce. Niekiedy przybierał on postać pokoiku przy internacie, to znowu ładnego mieszkania, lecz również wchłoniętego

przez kolos, jakim był zakład wychowawczy. Czasem odłączał się, usamodzielniał, zawsze jednak usłużnie usuwał się na bok, gdy tego wymagał interes tamtego drugiego, głównego domu, jakim było miejsce pracy. Sprawy szkoły, klasy, zakładu wchodziły głębokimi klinami w życie pozaszkolne. Nie tylko dlatego, że raz po raz przychodził ktoś z zewnątrz: to matka ucznia, to sam chłopak, to przynajmniej myśl o nim. Szkoła do takiego stopnia pochłaniała sobą uwagę, myśli i uczucia, że wszystko inne poza nią w ten lub inny sposób wiązało się jednak z jej życiem. Stan ten wydawał mi się zupełnie normalnym. Godziła się z tym zawsze Teresa. Jeszcze jako paroletnie dziecko spokojnie odpowiadała mi na ostrzeżenia dotyczące tarcia ócz brudnymi rączkami:

— To nic. Jeżeli ja osłepnę, wtedy zawsze będę z mamusią.

Uważała bowiem za coś zupełnie naturalnego, że lwia część mego czasu i możliwości zabierały mi dzieci, wśród których pracowałam.

Wstają w pamięci liczne wieczery wigilijne, święcone, a więc uroczystości o charakterze na wskroś rodzinnym. Jakaż moc wspomnień wiąże się z większymi lub mniejszymi salami, gdzie przy stołach siedzimy wspólnie z uczniami. Jest z nami i Teresa, i matka moja. Nie była to tylko uczta symboliczna, po której szło się do siebie na „prawdziwą”. Ani chłopcy, ani my nie mieliśmy innej. Była to nasza prawdziwa wilia, tak jak prawdziwym i istotnym było niejasne uczucie niepokoju, gdy okoliczności układały się tak, że dłużej musiałam być poza szkołą.

Podróże, życie kulturalne, praca naukowa, nawet stosunki osobiste — wszystko to jakoś zahaczało o szkołę lub wręcz sięgało w nią swymi korzeniami, każąc patrzeć na wszystko poprzez jej życie i zainteresowania. Krąg moich najbliższych przyjaciół przeżywał wraz ze mną każde wybitniejsze zdarzenie szkoły. Opowiadając o nim, wiedziałam, że słuchają nie przez uprzejmość, że ich naprawdę żywo obchodzi to, czego dowiadują się. Ten stosunek żywego, niekłamanego zainteresowania moją pracą znalazłam również i w mężu moim, który chętnie i energicznie pomagał mi. Ułatwił on opiekę materialną nad chłopcami, przez swe stosunki i znajomości wpłynął na powstanie drużyny

harcerskiej. Pomagał wszędzie, czy to reżyserując sztukę graną przez moich uczni, czy doprowadzając do perfekcji nie lubianą przeze mnie kancelarię szkolną, tak że mogła służyć za wzór. A jednak szkoła przestała być alfą i omegą. Ważniejszym od niej stało się to, co dotyczyło życia naszej rodziny, opanowanie tajników własnego gospodarstwa, co do którego byłam wielkim laikiem. Skomplikowany i ciekawy proces dopasowywania się do siebie tak bardzo różnych charakterów dwojga ludzi, z których każdy przyzwyczajony był dotąd chadzać własnymi drogami i posiadał sporą dozę arbitralności, absorbował sobą mocno. Wielu przeżyć i uwagi wymagało poza tym życie się z trojgiem do niedawna obcych i nieznanych dzieci, które nagle stały się własnymi, a więc takimi, które chciałoby się widzieć, jeżeli nie doskonałymi, to przynajmniej bardzo zbliżonymi do ideału. Zmieniały się nastroje, przechodząc od momentów radości spowodowanej przejawami zbliżenia, do smętnych refleksyj wywołanych chwilami obcości lub dostrzeganiem cech, z którymi nie chciałoby się pogodzić. Wszystko to zachłysnęło sobą, było nowym, ważnym, najważniejszym. W pierwszym roku po ślubie odczuwałam niejednokrotnie coś, jakby świadomość winy za to, iż stosunek mój do szkoły i pracy w klasie uległ zmianie. Wydawało mi się, że zniknął element twórczości, że nie wniosę już nic nowego do swej specjalności. Wertowałam z pewnego rodzaju zdziwieniem stopy własnych notatek z ubiegłych licznych lat pracy, fotografie, listy. Czułam tak wielką różnicę pomiędzy życiem, sposobem myślenia i uczuciami tamtej i tej innej nowej istoty, jaką widziałam siebie obecnie. W rozmowach z mężem mogłam zupełnie spokojnie poruszać niejednego epizod z lat, gdy byłam „wolną”. Nasze wzajemne uczucie bynajmniej nie przeszkadzało stosunkowi „dobrych kolegów”, którzy mogą sobie opowiadać najrozmaitsze fakty z przeszłości bez obawy o wywołanie reakcji niechętniej lub nacechowanej zazdrością. Prawdopodobnie szczerość tę ułatwiała absolutna pewność zarówno opowiadającego, jak słuchającego, iż zdarzenia tego rodzaju należą do przeszłości i mają znaczenie jedynie historyczne. Nie przyszłoby mi do głowy zapewniać męża o tym, że dotychczasowe moje życie zawsze nosiło charakter klasztorny, jakkolwiek były w nim długie okresy, których inaczej nazwać nie mogę. Wspólnie śmieliśmy się, gdy opowiadałam mu

zabawne szczegóły pewnej eskapady we dwójkę do Trok lub romantyczne fragmenty z podróży zagranicznych. Z wielką życzliwością i szacunkiem mówiliśmy o ludziach, którzy darzyli mnie w swoim czasie głębszym uczuciem, czytaliśmy list, który nadszedł zaadresowany na moje dawne nazwisko od przemilego, subtelного inspektora szkolnego z Małopolski, któremu zawdzięczam dużo dodatnich przeżyć, razem zastanawialiśmy się nad formą odpowiedzi. Opowiadałam i o różnych ludziach to ciekawych, to dziwacznych, z którymi zetknęło mnie życie. Tu jakoś niespodziewanie, przelotnie zaręczyłam się, gdzie indziej szukałam oparcia psychicznego w chwilach dla siebie cięższych. W niektórych wypadkach bywałam po prostu sobą, nie licząc się z tym, że otoczenie może komentować sobie moje stosunki osobiste w jedyny dostępny sobie sposób. Z westchnieniem wracałam wspomnieniem do minionego okresu wdowieństwa, kiedy sytuacja moja nie zawsze należała do łatwych. On ze swej strony zwierzył mi się z niejednego zdarzenia pozwalającego mi wejrzeć głębiej w dotychczasowe jego środowisko i zwyczaje tam panujące.

Stosunek mój do pracy nabierał stopniowo znów znacznej intensywności, był jednak inny od dawnego. Zmiana polegała na tym, że nie szukałam już w szkole własnego zadowolenia i wyżycia się uczuciowego, lecz wartości stałych i obiektywnych. Nie o to chodzi, by dzieci **mnie** lubiły, darzyły zaufaniem, by **moje** wyniki były zdumiewające. Chodzi o całość, o wyciążnięcie wniosków, o uczciwe szukanie dróg, przyznanie się do omyłek i podjęcia w razie potrzeby nowych poszukiwań. W gruncie rzeczy zarówno skrajny subiektywizm dawnej mej pracy w szkole, jak okresy nasilenia momentów o akcentach romantycznych w życiu osobistym miały jedno i to samo podłoże: błądzenie po omacku, szukanie szczęścia lub jego surogatu, nierozzerwalnie związanego z własną osobą. Trzeba było pograżyć się z głową w skomplikowany i bogaty nurt życia rodzinnego, podzielić się zebranymi na drodze życia spostrzeżeniami z człowiekiem bliskim, by zrozumieć jego naturę, równocześnie zaś niejedną cechę własnej osobowości. Pomagało to oderwać się od skrajnego egotyzmu i zwrócić poszukiwania swe w innym kierunku. Wyjście poza obręb tylko własnych przeżyć, oderwanie

.....

się od samej siebie przyczyniło się do tego, iż na pierwszy plan zaczęły wysuwać się inne, szersze zainteresowania. Już uprzednio przeżyłam okres, kiedy po wydostaniu się z nastroju pewnego rozgoryczenia i niechęci względem moich przeciwników ostatniej fazy pobytu w stolicy odczułam żywiołowo pragnienie pracy twórczej w nowym terenie. Niezrozumiała inertyność²¹ wileńskich władz szkolnych, hamująca moje wysiłki rozwoju placówki, dziwiła i martwiła. Z trudem pokonałam w sobie rodzące się zniechęcenie i z głową pogrążyłam się w pracę badawczą, szukając odpowiedzi na nurtujące mnie zagadnienie ustalenia typologii interesującego mnie elementu. Równocześnie zaś usiłowałam nie przeoczyć cech indywidualnych poszczególnego chłopca, dostrzec jego własną, jemu tylko wyznaczoną drogę życiową. Coraz bardziej uprzytamniałam sobie niezmierną wartość każdego poszczególnego ducha ludzkiego, wolność jego i wypływające stąd zadania i obowiązki nauczyciela. Nie mogło to nie doprowadzić do źródła wolności, piękna i dążenia do nieustannego doskonalenia się. Ewangelia dawała jasną i prostą odpowiedź na zagadnienia, które przedtym wydawały się zawikłanymi i nie do rozwiązania. W Jej świetle przejrzałam całe swe dotychczasowe życie z jego porywami, błędami, poszukiwaniami, upadkami i zdobyczami oraz zwycięstwami. Oceniałam w pełni potężne dźwignie wszelkiego ruchu naprzód: wolność i miłość.

Kiedyś na audyencji u Ojca Świętego Piusa XI miałam możliwość przekonania się o Jego serdecznym stosunku do naszego kraju i narodu. Tegoż wieczora głęboko wzruszona przeżyciami audyencji, dzieliłam się wrażeniami z pewną zakonnicą Irlandką:

— Tak! Waszego narodu nie sposób nie kochać — powiedziała mi ona. — Jest w nim jakiś, nie zawsze może uświadomiony pęd do uszanowania wolnego ducha, którego nawet długa niewola nie potrafiła złamać. Niekarni, często nieznosni i drażniący otoczenie macie jednak to nieomyślne wyczucie, gdy chodzi o zrozumienie istotnej potrzeby innej istoty — jej wolności. Za to was trzeba kochać szczerze.

.....

²¹ Inertyność — bierność, obojętność.

Pedagogika istotnie katolicka jest nie do pomyślenia jako system narzucający wychowankom obce im poglądy i drogi. Uznaje ona niezliczone ścieżki i kierunki, którymi kroczą poszczególne osobowości mozolnie lub samodzielnie, zbliżając się do celu ostatecznego. Dalekim jej jest jarzmo kierunków totalistycznych, które niwelują jednostkę i jej zasługę. To, co poza tym stanowi wartość naczelną naszej pedagogiki, jest miłość — antyteza tej nienawiści, hałaśliwego pochodu, której byliśmy do niedawna świadkami.

Wojna

.....

Wiosna 1939 przyniosła ze sobą dużo pracy. Trzeba było zdecydować się na złożenie ostatecznego egzaminu doktorskiego. Jako przedmiot dodatkowy wzięłam historię karnego prawa polskiego. Wskazaną mi literaturę przerobiłam już przedtym. Teraz zaś trzeba było to i owo uzupełnić, usystematyzować. Kuratorium co prawda odmówiło udzielenia należnego mi urlopu w celu przygotowania się do egzaminu. Ale tak szczęśliwie złożyło się, że właśnie w tym samym czasie zdrowie moje zaczęło mocno szwankować i na mocy zaświadczeń lekarskich musiałam przerwać pracę w szkole. Pozwoliło mi to zabrać do pracy. Wiele godzin spędzałam w lokalu Seminarium Prawa Karnego. Miałam własny klucz i mogłam przesiadywać tam o różnych porach dnia, korzystając z ciszy, spokoju i bogatej biblioteki. Na kilka tygodni przed końcem roku szkolnego wróciłam do klasy. Prócz zajęć z chłopcami sporo godzin tygodniowo poświęcałam kursowi dla matek. Korzystając z tego, iż przysposobienie wojskowe kobiet, do którego należałam, przydzieliło pewną ilość wykwalifikowanych prelegentek z dziedziny obrony przeciwlotniczej i ratownictwa, uzupełniłam program jeszcze wykładami z dziedziny gospodarki. Miałam tę wielką satysfakcję, że matki chętnie garnęły się na ten kurs. Naprawdę wzruszającym był widok kobiet zmęczonych całodzienną pracą, które jednak jeszcze znajdowały wieczorem czas, by przychodzić na wykłady. Niejedne trzymały na rękach najmłodsze dziecko, którego nie było z kim pozostawić w domu. Prosiły o coraz to nowe wiadomości i wyjaśnienia, tak że czas trwania kursu znacznie przedłużył się poza przewidywane ramy. Dopiero nadejście wakacji letnich położyło mu kres. Obiecałyśmy sobie jednak wraz z nastaniem nowego roku szkolnego kontynuować rozpoczętą pracę, bodaj jeden raz w tygodniu.

Lecz nowy rok szkolny rozpoczął się w warunkach bardzo niezwykłych. Sierpień. Ogłoszono mobilizację. Męża prawie nie bywa w domu. Wpada na chwilę lub przysyła żołnierza z prośbą przysłania mu czegokolwiek do zjedzenia. Zarówno Zbyszek nasz, który na wiosnę ukończył gimnazjum i przeszedł do liceum, jak ja mamy naprawdę dużo roboty, każdy w swym dziale przysposobienia wojskowego. Chłopak jest zachwycony i pełen zapału. Mnie również przypadła w udziale praca bardzo wdzięczna: zwiedzanie rodzin rezerwistów powołanych do szeregów i rozejrzenie się w tym, jakiej pomocy potrzebują. Szereg miłych, jasnych obrazków. W większości wypadków nastroje są zdrowe, postawa dzielna. Tu i ówdzie zetknęłam się nawet z odruchem niepospolitej ofiarności.

— Czy nie potrzebuje pani czego? — pytam młodej kobiety z niemowlęciem na ręku.

— Paniczka! Czegoż bym tam potrzebowała? Wiadomo, jak wojna w powietrzu, to o sobie nie trzeba myśleć. Nic ja nie chcę, żeby tylko naszym żołnierzom dobrze było.

Jestem właśnie w jednym z małych domków na przedmieściu, gdy dochodzi pierwsza wieść o wypowiedzeniu wojny. Głośnik radia kryształkowego wypowiada niezrozumiałe zdania:

— Uwaga! f... R... 14... nadchodzi, nadchodzi!... Przeszedł!

A więc rozpoczęło się jednak! Dalej toczą się dni wypełnione wrażeniami tak mrocznymi i jaskrawymi, że nie sposób je zapamiętać. Przede wszystkim myśl i troska o żołnierza. Wszystko, co jest w człowieku dobrego, serdecznego i tkliwego, odzwierciedlało się na twarzach ludzi patrzących na naszych piechurów maszerujących ulicami. Poruszali się z pewnym utrudnieniem, tak bardzo bowiem hamowały ruchy ich przejawy życzliwości w postaci ofiarowywanych na każdym kroku papierosów, słodczy, owoców itd. Ulicą Zamkową w kierunku dworca posuwa się spory oddział. Ze sklepu kolonialnego¹

¹ Sklep kolonialny — sklep z artykułami spożywczymi sprowadzanymi spoza Europy, m.in. z kolonii. Wśród towarów, które można było w nich nabyć, był m. in. tytoń, kawa, herbata, kakao oraz owoce i warzywa.

Januszewicza wypada właściciel wraz z personelem i przemocą prawie wciska w dłonie żołnierskie tabliczki czekolady, pierniki, dropsy:

— Bierzcie, chłopcy! Niech was Bóg prowadzi!

Kobiety kreślą matczynym ruchem znak krzyża świętego nad głowami odchodzących, zawieszają na szyjach nieznanych sobie przed chwilą jeszcze medaliki zdjęte z własnej piersi. W Ostrej Bramie całe oddziały wojska klękają, wpatrując się w miłosierną twarz Tej, co „cudem powraca na ojczyzny łono”.

Z jednej ze świątyń niekatolickich wychodzi duchowny w szatach liturgicznych z krzyżem w ręku i błogosławi przechodzącym:

— *Da chranit was Gospod’!*²

Jakież oni mają twarze ci nasi żołnierze! Tak patrzą dzieci, bardzo kochani przez rodzinę. Ufnie, serdecznie, z ciekawym ro[z]bawieniem w oczach. Na ulicy zatrzymały się kolumny pancerne. Korzystamy z tego, by napoić żołnierzy herbatą, podsunąć im bułkę, ciastko.

— Czy nie ma bajgiełki³ z masłem? — pyta któryś z nich, uśmiechając się szelmowsko — strasznie to lubię!

I po kilku minutach już chrupie ulubiony przysmak. Ktoś skoczył po obwarzanki, ktoś dał masła, bliżej stojący proponuje swój scyzoryk, by nim krajać i smarować. Nasi, ukochani nasi chłopcy.

² Niem. ‘Niech was Bóg chroni’.

³ Bajgiełek — żydowskie pieczywo wypiekane od XVII w., często mylone z obwarzankiem; bajgiel, bajgiel.

Szkoła rozpoczęła się z opóźnieniem.

— O Mario, Królowo Korony Polskiej, błogosław Ojczyźnie naszej! — basują setki, tysiące głosów dziecinnych.

— Proszę panią! Ale my wygramy? Na pewno wygramy? — pytają młodsi. A starsi chłopcy spoglądają pobłaźliwie:

— Co tam pytać? Jak każdy swoje wykona, jak się patrzy, to nie możemy nie wygrać.

Wykonują też „swoje” gorliwie. Zbiór żelaza daje wynik imponujący: dwa duże wozy. Płyną datki na FON⁴. Jeden z nauczycieli przynosi wszystkie swe obligacje pożyczki narodowej.

— Pani kierowniczo! Ja za parę dni wyruszę na front. Proszę przesłać te papiery, gdzie należy. Gdzieżbym kiedy chciał domagać się jakiegoś zwrotu! W razie czego nie zapomnijcie o moich maleństwach.

Wilno kopie rowy przeciwlotnicze. Bolą ręce natarte o łopatę, boli grzbiet zmęczony niezwykłą pracą. Ale kto by się do tego przyznał. Obok pracują z zaciekłym uporem moi chłopcy. Nie mogę zbyt pozostać w tyle od nich. Robotą kieruje młody człowiek. Poznają go. To Franek. Przed kilku laty ukończył naszą szkołę.

— Nie tak trzeba odrzucać ziemię — poucza mnie. — Nie po gniewa się pani, ale na tym to ja się lepiej znam od pani.

Kopią wszyscy. W ogródku, pod Górą Zamkową zjawia się biskup Michałkiewicz:

4 Fundusz Obrony Narodowej — fundusz utworzony w 1936 r. przez prezydenta RP w celu uzyskania dodatkowych środków na dobrojenie armii i wojskowy program inwestycyjny.

— Dajcież i mnie choć trochę przyczynić się do czegoś. — Za chwilę trzyma łopatę w dłoniach i zanurza ją w ukochanej ziemi swego miasta.

Każdy ma wykonać swoje... To prawda, trzeba więc zacisnąć zęby i robić, jak najwięcej, jak najstaranniej. Na chwilę wydawało się, że nie czas teraz na składanie egzaminu doktorskiego. Ale termin jest wyznaczony, cofać się nie należy. Z odprawy przysposobienia wojskowego, nie mając czasu zmienić munduru na inny strój, idę na egzamin. Na kilka godzin myśl odrywa się od teraźniejszości. Podżeganie, pomocnictwo, żal czynny, warunkowe zawieszenie wykonania kary. Czuję się dobrze, jestem „u siebie”. Profesor Wróblewski, dziekan Iwo Jaworski⁵, rektor Ehrenkreutz⁶. Właśnie zaczynam odpowiadać temu ostatniemu na jego pytanie o mężobójstwie w dawnym prawie polskim, gdy rozlegają się wyjące, przeciągłe dźwięki syreny alarmowej. Nie przerywamy jednak, nie schodzimy do schronu. Tym razem samoloty krążą jedynie nad miastem.

Za to w dwie godziny później, gdy już jestem w szkole wśród swych chłopców, rozpoczyna się bombardowanie. Dzieci stłoczyły się w ciasną gromadkę. Twarze zbieleły, oczy patrzą uważnie. Nadśłuchują.

— Teraz blisko! O, a to, to chyba za Wiliją! I to... i to też! Mamuska moja tam w domu — dodaje ktoś półgłosem.

Tam za Wilią gdzieś pełni wartę i nasz Zbigniew.

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko — rozpoczyna modlitwę rozfigłowany zwykle i ironiczny Maciek.

⁵ Iwo Jaworski (1898–1959) — polski prawnik. Był ostatnim polskim dziekanem Wydziału Prawa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

⁶ Stefan Ehrenkreutz (1880–1945) — polski historyk prawa, profesor i ostatni rektor (od 1939 r.) Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Zgromadzeni przy głośniku chłoniemy chciwie każde zdanie, każde słowo, które może zapewnić, że jest dobrze, że to, co zaczyna wydawać się strasliwym, że to jest nieprawdą. Podtrzymują na duchu audycje ze stolicy, toteż staramy się słuchać ich możliwie wiele. Niekiedy tok ich bywa przerywany groźnym zdaniem:

— Ogłaszam alarm lotniczy miasta Warszawy! — po czym przeraźliwe fale syren wywołują bolesne ściśnięcie się serca, a podsuwają obrazy tego, co tam dzieć się może.

Zatrwożone, smutne miny. W drzwiach kościoła św. Kazimierza spotykam młodą dziewczynę. Nie od razu poznaję w tej ściągniętej bólem twarzyczce dobrze znane mi rysy mej fryzjerki. Patrzy na mnie, a po policzkach jej toczą się łzy. Opanowuje je i mówi:

— Trzeba i to przetrwać. Nie od razu widać będzie dobrze. Ale Bóg nie opuści, prawda? — i patrzy błagalnie, domagając się wprost słów otuchy.

— Tak, panno Janeczko. Widać, tak trzeba. Ale minie to, co złe. Będzie dobrze.

— Dziękuję pani! Bo czasem to taki lęk i ból człowieka ogarnia, że miejsca sobie znaleźć nie może. A czasem wydaje się, że to zbrodnia tak ot sobie spokojnie chodzić po świecie, że każdy z nas powinien iść choćby gołymi rękami bronić.

Dzwonek u drzwi. Dobrze znam postać kolegi z pracy. Twarz wykrzywiona bólem.

— Pożegnałem swoich. Poszedłem błagać, by wzięto mnie do szeregów. Odmawiają... Czemu? Czyżby — już — za późno?!

.....

Tegoż wieczora wojska nasze wycofane zostały z Wilna na Litwę. Już wkraczały wtedy do miasta czołowe oddziały Armii Czerwonej⁷. Wraz z dziećmi i oddaną wierną przyjaciółką, naszą służącą Bronią przeżyłam noc, której nie zapomina się. Błyskawiczne pożegnanie z mężem, uświadomienie sobie potwornej prawdy w kilka godzin po radosnym *ad hoc*⁸ spreparowanym komunikacie fikcyjnym, dziwne odgłosy dochodzące z ulicy. Grupa naszych żołnierzy wpada do sklepikarki, mieszkającej od frontu:

— Schowajcie nas!

Strzały, huk granatów ręcznych, dziwny, nieustający warkot czołgów przesuwających się ulicą bez przerwy.

— Pani, jakże to być może? U nas, w naszym Wilnie bolszewiki tak sobie swobodnie jeżdżą. Tak jak u siebie? Pani, tego nie wytrzyma człowiek — łamię się w rozpaczę pocziwa Bronia. Dzieci tulą się w obłądnym przerażeniu do mnie.

— Boję się, muśku⁹, boję się!

Trzeba było wytrzymać i ten ranek, gdy patrzyliśmy z okna na to, jak dozorca domu odrywał białą połowę naszej flagi państwowej. Poniósł czerwoną i zawiesił ją przed bramą.

.....

⁷ Armia Czerwona wkroczyła do Wilna 18 września 1939 r.

⁸ Łac. *ad hoc* ‘doraźnie, na poczekaniu’.

⁹ Muśka — pieszczotliwa forma od *mamusia*.

Niewola

.....

Wspomnienia z tego okresu są jeszcze tak żywe i bolesne, że trudno jest mówić o nich. Przerwana nauka w szkole rozpoczęła się na nowo. Chłopcy przyszli nieswoi, patrzyli ni to z zażenowaniem, ni to z wyrzutem. My również czuliśmy coś w rodzaju winy, przypominając sobie, z jaką mocą zapewnialiśmy dzieci przed kilku tygodniami o tym, że nie możemy nie wygrać wojny.

Coraz częściej w odezwaniach się czy to uczniów, czy rodziców ich brzmiała nuta podrażnienia, oskarżenia przeciw ludziom stojącym u steru państwa naszego. Tak nagle runęły autorytety. Najbardziej nieprzejednani w pasji krytykowania byli ci, którzy niedawno najgłośniejszemu mówili o swym patriotyzmie. Oni też najchętniej przebywali w tłumie otaczającym wojskowych sowieckich, którzy opowiadali o życiu u nich w Związku i o zdobyciach rewolucji. W klasach wybuchały ostre utarczki pomiędzy takimi typami a tymi innymi grupami, które nie poddawały się nastrojowi bezkrytycznych zachwytów nad „wyzwoleniem spod jarzma burżuazyjnego”. Zeszyty bywały ozdabiane bądź gwiazdą pięcioramienną, bądź starannie wyrysowanym orłem. Bardzo szybko wdzierać się zaczęły do szkoły piosenki rosyjskie *Katiusza*, *Jesli zawtra wojna*, fałszywie wygwizdywana parodia *Internacjonu*¹. Coraz częściej używano na wpół żartobliwie zwrotu „*bat’ka Stalin*”. Szał stania w kolejkach i robienia zapasów nie mógł nie odbić się na biegu zajęć. Co prawda ten, kto nie miał czasu lub energii do tego, by od świtu biec i zajmować miejsce w kolejce na chleb, na sól, na śledzie itd., źle wychodził na tym. Tym serdeczniej wspomina się epizody w rodzaju następującego. Wieczorem, na krótko przed godziną

.....

¹ Internacjonu (ros. *Интернационал*) — Międzynarodówka, pieśń rewolucyjna socjalistów.

.....

policyjną (swobodne poruszanie się po ulicach dozwolone było jedynie w dzień) rozlega się dzwonek u drzwi. Stoi Dolek z matką dźwigającą worek ziemniaków, które przyniosła na plecach ze swej działki zamiejskiej:

— Bo dzieci powiadają, że pani kierowniczka źle wygląda i pewnie w domu kartofli nie ma.

Ta zacna rodzina niezamożnego i chorego szewca potrafiła później dzielić się naprawdę ostatnim kęsem żywności z żołnierzami naszymi powracającymi z niewoli bolszewickiej.

— Mamusiu! — woła wzburzony Czesiek, wpadając do domu w chwili, gdy matka zdejmuje z ognia garnek z zupą — Na dworcu siedzą nasi żołnierze, mizerni i głodni.

Ojciec, matka i pięcioro dzieci, z których najmłodsze liczy dwa lata, od rana nie jedli, czekając na jedyny gorący posiłek dnia — ową zupę. Pani Sienkiewiczowa spogląda po swej gromadce. Odlewa trochę smakowitego płynu do miseczki:

— To będzie dla malutkiej — mówi i dodaje z dobrym uśmiechem: — a my chyba swoje oddamy żołnierzom. Prawda, dzieci?

Projekt przyjęty jest z entuzjazmem i chłopcy maszerują z triumfem na dworzec, dźwigając garnek, miseczki i łyżki dla żołnierzy.

— Bo najważniejsze jest, żeby oni czuli, jak ich kochamy.

Wrócił mąż, złamany i chory. Przekonał się, że na Litwie czekał jeno obóz, nie zaś możliwości przedostania się tam, gdzie nadal trwała walka. Aresztowanie jego wstrząsnęło szkołą. Delegatka rodziców chodziła prosić o zwolnienie. Interweniowało sporo osób spośród nędzarzy. Został zwolniony, ale oddany pod opiekę dozorczy domu, który miał pilnować jego zachowania i tego, by nie zwiął. Stróż bezpieczeństwa ułatwił swoje zadanie w ten sposób, że zarządził kolejne dyżury mieszkańców kamienicy. Przez omyłkę któryś z sąsiadów zwrócił się do mnie:

— Dziś chyba kolej na państwo pilnować pana I.

Zapewniłam go, że chętnie podejmę się tego obowiązku na stałe. Poszedł ogromnie zawstydzony.

Pamiętny mityng nauczycielski w sali kina „Mars”. Dokoła co kilka kroków stoją krasnoarmiejcy² z karabinami. Czerwień, wszędzie czerwień krwawa i portrety. Na estradzie prezydium składające się z ludzi częściowo obcych, częściowo dobrze, zbyt dobrze znanych z naszych zebrań nauczycielskich. Mowy fanatyczne, a raczej zabarwione tanią farbą na fanatyzm. Dowiadujemy się z nich, że ten i ów od lat kilkunastu potajemnie należał do partii. W natłoczoną salę padają publicznie dokonane zwierzenia, iż mówca „wstydzi się tego, co się działo w Polsce”. Czymś świeżym i uczciwym powiało po sali, gdy z rzędów ciasno siedzących, skonsternowanych nauczycieli padło dobitne pytanie:

— A teraz pan się nie wstydzi?^{3*}

Potym znów działo się to samo: plucie na wszystko, przed czym ci sami ludzie niedawno korzyli się, przytaczanie jakichś przykrych, dotychczas nieznanym nam faktów, które robiły wrażenie zmyślonych na poczekaniu, pośpieszne staranie się kadzenia nowemu, aktualnemu bóstwu — władzy. Wysłuchaliśmy zarządzenia o zniesieniu pacierza porannego w szkołach. Fala niewolnictwa przelała się z taką siłą nad głowami naszymi, że zatopiła wszelką możliwość protestu, obrony swych przekonań.

„Nie znam Człowieka tego, o którym powiadacie” (Mk 14,71).

Kto jesteś, młoda koleżanko, która drżącym melodyjnym głosem odważyłaś się zawołać z lewego bocznego balkonu, że gdy zniesiemy pacierz w szkole, to nazajutrz nie przyjdzie do niej połowa dzieci? Tylu nas było, a tylko te dwa głosy rozległy się, by zadokumentować, że przecież inaczej czujemy i myślimy. Czy można nazwać to tchórzostwem? Raczej tak bolesnym

² Krasnoarmiejec (ros. *красноармеец*) — żołnierz Armii Czerwonej.

^{3*} Nauczyciel publicznej szkoły powszechnej nr 10.

.....

oszołomieniem, odrętwieniem, że nie było się w stanie głosu z krtani wydobyć. W oczach, które patrzyły jedno na drugich, była rozpacz bez granic, coś jakby obłąd.

Nazajutrz przed lekcjami podszedł do mnie Marek K., przewodniczący naszej Pomocy Koleżeńskiej^{4*}. Wiedział już o wczorajszym zarządzeniu. Poprosił, bym pozwoliła, iż zbiórkę przed nauką poprowadził on. Zakomenderował krótkie wojskowe: „Bacność — spoczniij”, poczem sucho i rzeczowo oznajmił:

— Chwilowo głośne odmawianie modlitwy jest nam wzbronione. W lewo zwrot!

Chłopcy wykonali rozkaz, stając jak zwykle twarzą do obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Nie wiem, czy było wśród nich wielu takich, którzy nie mówili szeptem albo w myśli słów naszej codziennej modlitwy porannej. Gdy padła komenda: „W prawo zwrot!”, większość przeżegnała się, jak zawsze przy ostatnich słowach pacierza. I tak pozostało aż do czasu, gdy 27 października miasto znalazło się pod okupacją litewską. Wrócił pacierz. Tylko słów „Królowa Korony Polskiej” nie wolno było mówić. Mówiono je jednak prawie wszędzie.

Litwini

Po przejściu władzy w ręce Litwinów odetchnęliśmy na razie nieco swobodniej. Ustała zmora nocnych rewizyj, aresztów, wywożenia. Gmach kuratorium przy ul. Wolana⁵ znowu odzyskał swój normalny wygląd. W poprzednich tygodniach bowiem przypominał on dworzec kolejowy, plac targowy, tylko nie instytucję oświatową. Tyle tam było krzyku, zgiełku, nerwowego

.....

^{4*} W roku 1942 został on rozstrzelany.

⁵ Ul. Wolana — nazwa ulicy upamiętniająca Andrzeja Wolana (1530–1610) — łacińskojęzycznego pisarza i działacza okresu Reformacji, przywódcę kalwinów litewskich.

pośpiechu — bez wyraźnych wyników całego tego harmideru. We wszystkich pokojach przy każdym biurku — tłumy interesantów, ludzi nigdy przedtem nie spotykanych. Pracownicy biura każdego załatwiają nieurzędowo, wnikają niby to w treść jego sprawy, wskakują, biegną gdzieś do telefonu, rzeczowo oznajmują, że ma najzupełniejsze prawo do przychylnego załatwienia jego potrzeby i że dotychczas działa mu się krzywda. W końcu zaś większość nic nie uzyskuje. Przez tydzień chodziłam tam codziennie w sprawie żony kolegi powołanego w pierwszych dniach wojny jako oficer rezerwy do szeregów. Chciałam, by otrzymała należną sobie sumę pieniężną, która była wypłacana wszystkim nauczycielom w bolesnych dniach 16–18 września. Nic z tego nie wyszło. Najsmutniejszym jednak było to, że w danym wypadku właściwie przyczynił się do tego obojętny, a raczej tchórzliwy stosunek jednego z naszych rodaków, chwilowo tam jeszcze pracującego. On najwyraźniej bał się poprzeć słuszne żądanie młodej kobiety, mającej na utrzymaniu trzy osoby.

Do szkoły przysłano nam nowego nauczyciela, który objął we wszystkich klasach lekcje języka litewskiego. Po kilku tygodniach jeden z moich dawnych współpracowników przyszedł do kancelarii i zapytał, czy może tu wejść nowy kierownik. Ucieszyłam się bardzo. Nie znając zupełnie języka, nie mogłam prowadzić korespondencji urzędowej. Poza tym zaś reprezentowanie na zewnątrz urzędowej placówki, która musiała stopniowo tracić swój charakter polski i przybierać bardziej obce oblicze, było dla mnie rzeczą nie do wykonania. Wszędzie wisiały jeszcze nasze godła państwowe, portrety prezydenta i Wielkiego Marszałka, jakkolwiek było już pierwszego grudnia.

Na pytanie, gdzież jest ten nowy kierownik, usłyszałam, że już od paru tygodni znajduje się on wśród nas, tylko dotąd wstydził się i nie miał odwagi oznajmić mi, że wyznaczony jest na moje miejsce. Gdy kolega Galinis wszedł wreszcie do kancelarii, był tak skonsternowany i wzburzony, że po prostu nie był w stanie mówić. Z trudem udało mi się uspokoić go i przekonać, iż nie tylko nie czuję najłżejszego żalu, ale wręcz przeciwnie, jestem

mu prawdziwie wdzięczna za to, iż zdejmie z barków moich nie-
miłe i w obecnych warunkach zbyt trudne dla mnie funkcje.
Przez dwa lata naszej wspólnej pracy nigdy nie miałam okazji
do przelotnego bodaj żalu do tego porządnego człowieka, tak
dobrze układała nam się współpraca z nim. Dość powiedzieć,
iż zgodził się na to, by godła i portrety pozostały na ścianach
aż do feryj Bożego Narodzenia, gdyż moment zdejmowania ich
byłby dla chłopców ciężkim przeżyciem. Kochał on swój na-
ród i jego język, nigdy jednak nie wykazał żadnego odruchu
szowinistycznego. Toteż nasza szkoła i warunki pracy w niej
nie mogą być uważane za typowe dla owego okresu. Naokoło
słyszało się o licznych szykanach i zatargach, przybierających
nieraz bardzo ostre formy. Od córek naszych, które chwilowo
uczęszczały jeszcze do pierwszej klasy gimnazjum, słyszałam
prawie codziennie opowiadania o narastających konfliktach.
Przeżywały je bardzo mocno, wracały podniecone i pełne zapa-
łu do walki, opowiadając o przejawach nietaktu ze strony części
pedagogów i darząc szczerym uczuciem tych, którzy w owych
czasach nie tylko godnie reprezentowali polskość, ale i podtrzy-
mywali tego ducha w młodzieży^{6*}.

Strajk szkolny⁷, nieudolnie zorganizowany i przygotowany, nie
wniósł nic lepszego do sytuacji, przeciwnie — okazał się wyraź-
nym *fiasco*⁸, gdyż po jego przerwaniu nic się nie zmieniło. Dużo
było momentów oburzających. Zmienianie nazwisk polskich
na brzmienie nam obce przez dodawanie litewskich końcówek.
Nad wyraz ordynarne zachowanie się przedstawicieli policji
względem ludności. Nacisk na przyjmowanie obywatelstwa

6* Ks. prałat Cholecki, dyrektor Żelski (Jan Żelski — od 1924 r. dyrektor
Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta), pani Jasiewiczówna, Szwed
i wiele innych.

7 Strajk szkolny — rozpoczął się w pierwszych dniach grudnia
1939 r. w związku z usunięciem polskich dyrektorów szkół oraz więk-
szości nauczycieli. Młodzież nie przychodziła na lekcje, a 3 grudnia spod
kościółła św. Jerzego ruszył pochód uczniów gimnazjów. Zatrzymała go
litewska policja konna, a potem rozpoczęła się regularna pacyfikacja
młodzieży za pomocą pałek. Część uczestników osadzono w więzieniu
na Łukiszkach.

8 Wł. *fiasco* 'niepowodzenie'.

litewskiego lub nawet wpisywanie wbrew protestom w rubryce „narodowość” wyrazu *lietuvis*⁹ zamiast *lenkas*¹⁰. Zrywanie szyldów i napisów w naszym języku. Wstrętne zajście w Dniu Zadusznym, kiedy młodzież śpiewającą przy cmentarzyku wojennym na Rossie rozpędzono za pomocą bicia gumowymi pałkami¹¹. A przecież przez tyle lat przedtym ludność Wilna życzliwie patrzyła i słuchała grup patriotów litewskich, którzy w tym dniu śpiewały przy mogiłach swych zasłużonych rodaków, oczywiście w języku ojczystym. Uczniom naszych szkół biegającym po ulicach w dawnych czapeczkach często zrywano je, niszczone, rzucono z mostów do wody. Niejeden z nich dostał przy okazji mocne uderzenie po karku lub plecach. Wzajemna niechęć rosła i pogłębiała się. Obok skutków dodatnich, polegających na wzmożeniu się szczerzego poczucia przynależności do narodu swego w chwilach jego poniżenia, mnożyły się i niebezpieczeństwa, które groziły etyce naszej diatwy i młodzieży. Wyładowywane wszystkie impulsy brutalne, kierując je pod adresem tego lub innego Litwina i chwając się potem z dumą zwykłym brzydkim wybrykiem jako czynem patriotycznym, który w dodatku chciałoby się zdyskontować. Poza tym tuż za miastem stacjonowały wojska sowieckie, przedstawiciele których w rozmowach z ludnością użalającą się na krzywdy doznane od okupantów, często podsuwali projekt gromadnej manifestacji z portretami wodzów rewolucji i transparentami na ich cześć. Wyrażali udane oburzenie i współczucie, zyskując sobie, szczególnie wśród warstw proletariackich, żywe uznanie jako przeciwstawienie do coraz to bardziej nielubianych Litwinów. Oprócz tego mnożyły się tajne organizacje, tworzone na własną rękę. Należenie do nich stanowiło punkt honoru każdego szlachetniejszego chłopca. Przysięga ścisłej tajemnicy — łamana zresztą bardzo często przez lekkomyślność — konspiracyjne miny i znaczące słowa, nieraz zupełnie niepotrzebne narażenie się dla czegoś, co w wielu wypadkach okazywało się tylko zabawką.

⁹ Lit. *lietuvis* ‘Litwin’.

¹⁰ Lit. *lenkas* ‘Polak’.

¹¹ Wielu chłopców, także dziewcząt pochwycono i osadzono na Łukiszkach (H. Pasierbska, dz. cyt., s. 20).

Przez dwa dni nie ma w klasie chłopca. Na trzeci przyjaciele jego — tajemniczy, lecz stroskani — oznajmiamą mi, że Kazik polecił im pożegnać mnie w jego imieniu w dniu dzisiejszym, gdyż o ile dotąd nie wróci, będzie to oznaczało jego śmierć. Otrzymał bowiem bardzo niebezpieczne i odpowiedzialne zadanie. Na szczęście malec odnalazł się i z dumą pokazywał przestrzeloną nogawicę od spodenek harcerskich, dając do zrozumienia, iż cudem tylko uratował się^{12*}.

Pamiętam sympatycznego, bladziutkiego chłopczykę, który sprzedawał nam od czasu do czasu czasopismo polskie wychodzące w Kownie „Chata Rodzinna”¹³. Pewnego dnia poprosił o przeżegnanie go, bo:

— Idę jako kurier z jedną panienką studentką odnieść ważne papiery.

— Bój się Boga, dziecko, po cóż to rozpowiadasz nieznanym?

— Ja wiem, z kim mam do czynienia. Ja już mam takie oko, że się nie mylę co do ludzi.

Poszedł i już go potym nie widziałam. Nie wiem, czy żyje.

Były również chwile, które wspominam z prawdziwym wzruszeniem. Otrzymaliśmy przydział na kilkanaście par obuwia do szkoły. Kierownik polecił sporządzić spisy potrzebujących, których okazało się co najmniej pięć razy więcej niż obuwia. Magistrat poskreślał więc ogromną większość kandydatów, pozostawiając po trzech w klasie. Wśród moich chłopców jednym z wybranych był Henio Sz., o nazwisku brzmiącym istotnie z litewska. W dniu, kiedy należało iść brać miarę, wcale nie przyszedł do szkoły. Nazajutrz otrzymał dodatkową kartkę, z którą

^{12*} Tenże sam społecznik w rok później serdecznie przyjaźnił się z synem prowokatora i przechwalał się, że za drobne przysługi oddawane ojcu kolegi ma zawsze mnóstwo pieniędzy.

¹³ „Chata Rodzinna” — polski tygodnik ukazujący się w Kownie w latach 1923–1940.

.....

miał udać się do Magistratu. Wracając ze szkoły przez Ostrą Bramę, zauważyłam go stojącego za filarami. Czekał na mnie:

— Pani, ja nie chcę tych butów. Oni mi dali, bo może myślą, że ja Litwin. Ja wolę boso po śniegu latać niż za swoje nazwisko buty darowane otrzymać. Tylko proszę tatusiowi nie mówić nic. On dobry i jemu ciężko, że ja bez butów. I ja nie chcę, żeby on żałował, że ja nie biorę butów.

I nie wziął.

Znowu Sowiety

Lato 1940. Oddziały wojsk sowieckich po raz drugi wkroczyły do Wilna¹⁴. Tym razem byli oni inni niż ubiegłej jesieni. Skończyły się chętnie udzielane informacje, pogawędki z ludnością, usiłowanie zjednanie sobie popularności. Byli ponurzy, tajemniczy, nawet ironicznie wyniośli. Wkrótce rozpoczęła się fala aresztów. W pierwszym tygodniu przeprowadzono u nas rewizję i powtórnie zabrano mego męża.

Tłum kobiet przed urzędem śledczym. Każda z nas usiłuje wejść, dowiedzieć się czegoś. Policjanci litewscy mają dla nas tylko jeden wyraz: „*Negalima*”^{15*}. Mieści się w nim wszystko: niechęć, złośliwe zadowolenie na widok bladych, zapłakanych twarzy, upojenie upragnioną władzą. Deszcz leje jak z cebra, kobiety jednak prawie cały dzień nie odchodzą od nienawistnych drzwi, za którymi bądź co bądź kryje się może to, czego tak potrzebujemy — wiadomość o nich. Swoistą ulgę przynosi wzmagające się zrozumienie, że to, co cierpię ja, przeżywają one wszystkie, że ból nie jest moim tylko, że jest on naszym wspólnym, że wszystkie te wczoraj jeszcze nieznanne niewiasty są swoje i bliskie.

.....

¹⁴ Dnia 15 czerwca 1940 r. ponownie wkroczyła Armia Czerwona do Wilna oraz na przyległe terytorium części Wileńszczyzny.

^{15*} ‘Nie wolno’.

Potym migają urywki wspomnień jak w kalejdoskopie. Brama Łukiszek. Stanie długimi godzinami w kolejce, by doręczyć trochę ubrania i bielizny (żywności nie przyjmowano zupełnie). Powstają i szerzą się błyskawicznie najbardziej sprzeczne pogłoski:

— Za dwa tygodnie wszystkich politycznych zwolnią... — w tajemnicy powiedział to ktoś bardzo wpływowy... — Jutro naszych wywożą, już przygotowane są auta ciężarowe... będzie wnet amnestia... itd.

Któregoś dnia zza ciężkiej bramy, gdzie schodzi się, by wpisać na *conto* więźnia kilka litów¹⁶, wybiega młoda kobieta, zalewając się łzami:

— Nie ma go! Nie przyjęli pieniędzy, jest wykreślony ze spisów.

Potym jeszcze jedna i jeszcze. Podczas gdy zrozpaczone i złamane żony śpieszą do gmachu NKWD¹⁷, by uzyskać informację, czekamy wszystkie, przerażone i bezradne.

Zaczęło się! Wracają bez żadnych określonych wyjaśnień. Krótko i wrogo odpowiada enkawudzista:

— *Ich niet. Wywiezli. Wot wam kartoczka. Zabirajcie jego wieszcz!*¹⁸.

— Jak to — *wieszcz!*? Czyż wywieźli ich bez rzeczy nawet?

I znów to samo:

— *Gaworiat wam czto ich niet. Wot i wsio!*¹⁹.

¹⁶ Lit — oficjalna waluta litewska w latach 1922–1941 oraz 1993–2015. 1 lit dzielił się z 100 centów.

¹⁷ Народно́й Комисса́рият Внутре́нных Дел — Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, który był centralnym organem władz bezpieczeństwa w sowieckiej Rosji i ZSRR w latach 1917–1946.

¹⁸ Ros. ‘Nie ma ich. Wywieźli. Oto karteczka. Zabierajcie jego rzeczy’.

¹⁹ Ros. ‘Mówię wam, że ich nie ma. To wszystko’.

Spotykamy się o różnych porach dnia: to pod więzieniem, to przy gmachu NKWD, to znów w kościele na wspólnych nabożeństwach za najdroższych. Jak zbliża wspólna dola. Nie miałam nigdy siostry. Sądzę jednak, że uczucie siostrzane niewiele ustępuje temu, które łączyło wszystkie kobiety różnego wieku, różnych warstw społecznych i różnej nawet narodowości.

Listopadowe święto rewolucji²⁰. Chorągwie, portrety, dekoracje. Młodzież szkół średnich wzburzona i zdenerwowana. Dyrekcja żąda wzięcia udziału w pochodzie i wznoszenia okrzyków entuzjastycznych. Szeregi miały trybunę, patrząc na czubki swego obuwia, nie podtrzymywały okrzyku. Jakaś uczennica gimnazjum, której kazano nieść portret Lenina, przed samą estradą z dygnitarzami wybuchła płaczem i cisnęła portret:

— Nie, nie, nie, nie mogę!

Dygnitarze „nie zauważyli” tego incydentu, woleli patrzeć na uczniów gimnazjum litewskiego, którzy zgodnie i na komendę wiwatowali.

Nauczyciele szkół powszechnych otrzymali zarządzenie wyrwania z podręczników kartek, gdzie jest mowa o religii, ewentualnie zaklejenia odpowiednich wyrazów. Opowiadały mi koleżanki, jak malcy w pierwszej i drugiej klasie nagle zaczynały wołać przestraszonymi głosami:

— O! proszę nauczycielki! — („pani” nie wolno było mówić)
— tu jeszcze jeden Pan Bóg pozostał.

²⁰ Listopadowe święto rewolucji — 7 listopada, rocznica wybuchu rewolucji październikowej.

Jakkolwiek w naszej szkole kurs antyreligijny nie dawał się tak mocno we znaki, trzeba było jednak liczyć się z możliwością wizytacji i manewrować tak, by nie narażać placówki. To też zdarzało się tak, że w dzienniku lekcyjnym pod daną datą stało: „Wyzysk pracy w ustroju kapitalistycznym”, w rzeczywistości zaś klasa opracowywała temat Wieliczki wraz z jej swoistym pięknem i kultem górników do Świętej Barbary. Na swoich chłopaków mogliśmy liczyć. Gdy zjawił się przedstawiciel Komsomołu²¹, by założyć u nas kółko pionierów²² i został sam na sam z naszą hordą, miał on nie lada kłopot. Zarzucili go gradem niewygodnych pytań, poczym gromadnie zapisywali się do organizacji, używając zmyślonych i nieistniejących w szkole nazwisk jak: Psiakrwiński, Sprzedajczyk i inne. Na zebraniu, które odbył innego dnia z nieliczną paczką tych, którzy istotnie zainteresowali się jego obietnicami, zażądał od nich, by nikomu — ani rodzicom, ani nauczycielom — nie opowiadali o tym, co się u nich będzie mówiło. Wtedy wystąpili z szeregów kandydatów na pionierów prawie wszyscy, jawnie wypowiadając swe oburzenie. Mały Bronek O. wykrzykiwał na cały głos:

— Cóż to? Dopiero zjawił się i już chce, żebyśmy coś robili potajemnie przed nauczycielami. To już widać, że nic dobrego nam nie powie. My jak się zmawiamy potajemnie, to przeważnie wtedy, jak chcemy na wagary albo na kradzież iść. To i bez tego kawalera potrafimy.

W organizacji pozostało zaledwie kilku karierowiczów. Gdy zaś jeden z nich usiłował zamącić wodę, zwierzając się szlachetnemu „przewodnikowi”, że nasi nauczyciele są oficerami rezerwy i że to oni namawiają, by nikt nie należał do pionierów, tę sprawę wykrył nasz Waśka, który śmiało wystąpił w obronie

²¹ Komsomoł (ros. *Комсомо́л*) — komunistyczna organizacja młodzieży w Rosji Sowieckiej, a następnie w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich powstała w 1918 r. Nazwa to akronim od *Kommunističeskij Sojuz Mołodioży*.

²² Pionier — dziecięca organizacja komunistyczna działająca przy Związku Młodzieży Komunistycznej w Polsce, także członek tej organizacji.

personelu. Powstało takie oburzenie wśród chłopaków, że niefortunni działacze polityczni zupełnie upadli na duchu i personel nauczycielski musiał ochraniać ich troskliwie od grożących im skutków ich postępowania.

Lekcja rachunków. Chłopcy mieli w domu obmyśleć i ułożyć zadanie na obliczenie ilości dni od jednej daty do drugiej. „Od trzeciego maja do jedenastego listopada mamy — tyle a tyle — miesięcy i dni”. „W roku 1935 Pan Marszałek od swych imienin w dniu 19-go marca żył — tyle a tyle dni — gdyż zmarł 12-go maja”. „O wojnie dowiedzieliśmy się 1-go września o godzinie 11-tej w południe, a 19-go o godzinie 8-mej wieczorem wojsko nasze wyszło z Wilna. Wynosi to tyle a tyle dni i godzin”.

Pedantyczny Zenek protestuje:

— Po co godziny obliczać? Trzeba było miesiące i dni.

Na to autor zadania odpowiada z wyrzutem:

— Nic nie rozumiesz. Bywają takie czasy, że każda godzina jest bardzo ważna.

Staś K. czerwieni się i nie chce czytać swego zadania na głos. Napisał: „Męża pani naszej aresztowali te bandyci 11-go lipca. Teraz jest 14-go stycznia. Minęło więc... miesięcy i dni. A jak wyjdzie, obliczymy na nowo. Pani będzie wtedy szczęśliwa.

Na kiermasz św. Kazimierza nie poszłam. Wprost patrzeć bym nie mogła na tę karykaturę, jaką z niego zrobiono, budując szpetne reklamowe stoiska Majstasu²³, Ruby, Pienocentrasu²⁴ i ustawiając pomiędzy nimi orkiestrę *jazz-band'ową*.

²³ Majstas — litewska spółka akcyjna zajmująca się skupem, przetwórstwem i handlem mięsem.

²⁴ Pienocentras — Centralny związek litewskich przedsiębiorstw mleczarskich „Pienocentras” powstał w 1927 r. Firma handlująca nabiałem.

Otrzymałam jednak oprócz licznych serc kaziukowych i obwarzanków przyniesionych mi przez moich uczniów, także i nowe rękawiczki. Ofiarował mi je mój przyjaciel Waśko, chłopiec o ilorazie inteligencji 52, nadający się do szkoły dla dzieci upośledzonych umysłowo, gdzie jednak ze względu na swoją bujną indywidualność nie mógł uczęszczać. Kiedy zaprotestowałam przeciwko przyjęciu daru, chłopak oburzył się srodze:

— Tak być nie może! Męża pani nie ma w domu, pani rękawiczki są już tak porwane, że miejsca całego nie mają. Kto się ma panią opiekować jak nie my?

Przejawów życzliwości było w ogóle bardzo wiele. Gdy pogłoski o mającej nastąpić deportacji więźniów nabrały kształtów realnych syn nasz pobiegł pod wskazany mu adres, by obstalować ojcu ciepłe wojski²⁵ na nogi. Wrócił głęboko wzruszony. Zaczny rzemieślnik nie tylko zgodził się wykonać obstalunek w przeciągu kilku godzin, ale jeszcze dał własny najlepszy materiał i nie pozwolił sobie zapłacić. Wyzначzył jedynie koszt robocizny czeladnika, minimalny zresztą. Motywował to w następujący sposób:

— Niechże i ja w czymś dopomogę naszym męczennikom.

Zdarzyło się i tak, że gdy żony wezwane na pożegnanie z wywozonymi mężami brały dorożki, by przewieźć paczki dla nich, dorożkarze odmawiali przyjęcia zapłaty:

— Jaż nie Judasz jaki, żeby w takim nieszczęściu zapłatę brać.

Niepodobna wyliczyć wszystkich objawów serca i sympatii, jakimi obdarzało społeczeństwo tych, co byli za kratami, i rodziny ich.

²⁵ Wojski — filc produkowany z wełny odpadowej i sierści zwierzęcej. Wykorzystywany do wyrobu obuwia zimowego (walonek).

Czerwiec 1941 roku. Już idąc do kościoła na ranną mszę świętą, zauważyłam niezwykle ruch na ulicach. Nie zastanawiałam się jednak dłużej nad tym, co to oznacza. Gdy po nabożeństwie wychodziłam z kościoła, podbiegła do mnie jakaś nieznajoma kobieta:

— Niech pani teraz nie idzie do domu. Przed bramą u was stoi auto ciężarowe... Jak to? nie wie pani jeszcze, że zaczęli wywozić? Przyjeżdżają, dają troszkę czasu na pakowanie i zabierają całymi rodzinami. Proszę nie iść do domu; trzeba chować się. Chodźmy do mnie.

Istotnie, ulicami jedne za drugimi przesuwają się wielkie ciężarówki, w których wiozą ludzi i ich węzélki. Jedni płaczą, częściej widać dumny spokój. Przechodnie stają na chodnikach, nieśmiało kiwają ręką lub kreślą w powietrzu znak krzyża w ślad za odjeżdżającymi.

Kondukt pogrzebowy starego zasłużonego kanonika katedry mija gmach, z którego wyprowadzają właśnie siostry nazaretanki. Żywy, wrażliwy na niedolę ludzką ksiądz Mościcki²⁶ nie wytrzymał i zwrócił się do krasnoarmiejca z wyrzutem, jak to można dręczyć kobiety, dzieci i starców. Tępa mongolska twarz nie zmieniła swego wyrazu. Krasnoarmiejec parsknął tylko, by nie wtrącał się, dopóki jego nie czepiają...

Powieźli profesora Kościałkowskiego²⁷ i żonę... Zabrali starszą panią Jeleńską... Ładują rodzinę Januszewiczów²⁸... Przed gimnazjum dziesiątym stoi auto i hycie weszli do kancelarii... dolatują strzępy wiadomości.

²⁶ Ks. Aleksander Mościcki (1898–1980) — polski duchowny rzymskokatolicki; w czasie II wojny posługiwał duszpastersko w Wilnie.

²⁷ Stanisław Kościałkowski (1881–1960) — polski historyk, badacz dziejów Litwy, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego. Organizator polskiego szkolnictwa średniego w Wilnie, nauczyciel języka polskiego i historii. Członek m.in. Towarzystwa Oświata. Po aneksji Litwy przez ZSRR w czerwcu 1941 został aresztowany przez NKWD i wywieziony do Gułagu na północy Uralu.

²⁸ Aleksander Januszewicz (1872–1955) — polski lekarz, profesor nauk medycznych, rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w latach 1930–1932.

Przybiega zadyszana młoda dziewczyna, która była w Nowej Wilejce i doręczyła rodzinie wywiezionych paczkę. W szklanym słoiku, przysypany po wierzchu suchą herbata, Najświętszy Sakrament przesłany przez kapłana przyjaciela. Z trwogą i zamieraniem serca patrzyli wtajemniczeni, jak ręce żołdaków brały i doręczały do wagonu słój. Z trudem porozumiano się oderwanymi wyrazami i na migi:

— To od Henryka²⁹... dla wszystkich. Można nie na czczo!...
— Zrozumieli. Mocno przyciskają do siebie dar bezcenny... Wiadomość szerzy się wśród wtajemniczonych. Gdy dostrzegają w tłumie postać znajomego księdza jezuity, głowy pochylają się, usta szepcą: „*Confiteor*”³⁰. Bolszewicy zaś, nic nie rozumiejąc, patrzą z pobłażliwym uśmiechem na księdza wymawiającego: „*Ego vos absolvo*”³¹ i udzielającego abszolucję *in articulo mortis* (na godzinę śmierci).

Kilka dni później: Niemcy wypowiedzieli Sowietom wojnę³². Ludzie całują się na ulicach. Wierzyć się nie chce, że coś zaczęło się, coś zmieni się, posunie się naprzód.

Długa i bardzo męcząca noc, kiedy samoloty niemieckie latały bez najmniejszej przeszkody nad miastem, siejąc śmierć i спустoszenie. Boję się bomb, boję się tego ohydneho wycia, które

²⁹ Ks. Henryk Hlebowicz (1904–1941) — polski błogosławiony Kościoła katolickiego, duszpasterz katolickich organizacji i stowarzyszeń akademickich. Zastępca profesora apologetyki na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Wojnę i pierwszy okres okupacji spędził w Wilnie, gdzie poza działalnością duszpasterską zaangażował się w działalność niepodległościową. Był kapelanem podziemia niepodległościowego w Wilnie. Przez jakiś czas redagował i wydawał podziemne czasopisma „Jutro Polski” i „Póki My Żyjemy”.

³⁰ Łac. *Confiteor* ‘wyznam, spowiadam się’ — pierwsze słowa i nazwa modlitwy Spowiedź powszechna.

³¹ Łac. *Ego vos absolvo* ‘Ja was rozgrzeszam’.

³² 24 czerwca 1941 r.

im towarzyszy. Robi się wstyd za własne tchórzostwo, gdy rano spotykamy wysoką szczupłą sylwetkę księdza Grasewicza³³, spod płaszcza którego wysuwa się biała komża i stuła. Ten nie bał się. Gdzie tylko padały bomby, tam spieszył, bo „może ktoś potrzebuje pomocy lub rozgrzeszenia”.

I znowu inna chorągiew łopocze na szczycie wieży zamkowej. W innych mundurach maszerują żołnierze ulicami. Pierwsze oddziały wkraczają właśnie do miasta, gdy nasi kolejarze otworzyli zaplombowane wagony z więźniami, których nie zdążyli wywieźć funkcjonariusze NKWD. Wśród innych powrócił do domu i mój mąż.

Wiele zmieniło się w międzyczasie: Teresa wyszła za mąż. Zbyszek ukończył gimnazjum, mimo zażartej walki, jaką toczył nieustannie ze swym komunizującym dyrektorem. Dziewczynki powyrastały, stały się prawie dorosłymi. Przetrwaliśmy jakoś i tę drugą zimę wojny. To, co nam wydawało się ciężkim i trudnym do zniesienia, błędło obecnie wobec opowiadań ojca o przeżyciach tych, którzy przeszli przez więzienie. Zdumiewało to, jak często pomimo, zdawać by się mogło, kompletnego odizolowania jednych od drugich, przeżywalismy jednocześnie stany bardzo do siebie zbliżone. Powstawały jedne i te same pomysły i projekty. Wyczuwalismy chwile niebezpieczeństwa, choroby lub lepszego samopoczucia. Wprost przekazywalismy sobie wzajem na odległość spokój, pewność lepszego jutra, pociechę i współczucie. Życie ducha jest jednak mocne.

Zaczął się jeszcze jeden rok szkolny — już trzeci w tych warunkach. W naszej szkole zmienił się kierownik. Po kilku tygodniach zostałam przeniesioną ze szkoły specjalnej do zwykłej

³³ Ks. Józef Grasewicz (1904–2000) — prałat, kapelan związków młodzieży chrześcijańskiej w Wilnie. Uwięziony i zesłany na Sybir w 1942 r. Ojciec duchowy i współinicjator nowego zgromadzenia pod nazwą Instytut Matki Bożej Miłosierdzia.

.....

szkoły powszechnej, położonej o pięć kilometrów od miejsca mego zamieszkania, na krańcach miasta. Miałam w tym dniu wszystkie lekcje w swej klasie. Zabierałam się już do wyjścia do domu, gdy nowy kierownik zaprosił mnie do swej kancelarii i tam oznajmił, że od następnego rana mam zgłosić się do nowego miejsca pracy. Nie zdążyłam nawet pożegnać swych uczniów. Ci, którym powiedziałam o swym przeniesieniu, prosząc jednocześnie o załatwienie szeregu spraw (rozdanie zeszytów, odebranie pożyczonych przeze mnie w klasie książek polskich itd.), stanęli jak wryci. Ziutek zagryzł wargi, po chwili zaś wydał ze siebie jakieś warknięcie, które dziwnie przypominało pewne brzydkie przekleństwo i dodał:

— Znęcają się nad nami. Ale przyjdzie chwila porachunków.

Nie analizowałam bliżej jego myśli. Zresztą Ziutek, jak większość chłopców z mojej klasy, był wychowankiem internatu Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. A tam właśnie działały się rzeczy niesamowite. Instytucja rozpadała się z dnia na dzień. Personel zmieniał się w tempie kalejdoskopicznym. Przesunięcia chłopców z zakładu do zakładu były zjawiskiem bardzo częstym. W ciągu niespełna miesiąca zdarzyły się dwa wypadki usiłowania samobójstwa: bądź przez chłopca, który miał być przesłany do innego domu wychowawczego, bądź takiego, który dopiero został przywieziony z innego, jak mu się wydawało, lepszego zakładu. Chwiało się wszystko. Zmianę osoby nauczyciela w klasie odczuli oni więc szczególnie mocno. Nie można też dziwić się, że w ciągu kilku tygodni od mego przeniesienia codziennie odbywałam randki z moimi dawnymi uczniami na górze Zbawiciela za Zielonym mostem. Opowiadania ich pozwalały mi zorientować się w kierunku, jaki nadał szkole nowy kierownik. Od razu zniósł nauczanie języka ojczystego, podnosząc ilość godzin litewskiego do 9 w tygodniu. Musiałam więc podczas naszych spotkań na wzmiankowanej górze poprawiać ćwiczenia ortograficzne, wypracowania, które dzieciaki pisywały z własnej chęci, „by swego języka nie zapomnieć”. Likwidacja zakładu wychowawczego i rozproszenie chłopców położyły kres tym oryginalnym lekcjom na świeżym powietrzu.

Szkoła nr 27

Klasy polskie i litewskie. Na pauzach bójki i walki pomiędzy chłopcami różnych narodowości. Szkoła jest koedukacyjna, ale dziewczynki rzadziej biorą udział w zapasach. Jedynie Hala Sz. cwałuje zwykle na czele rozognionych chłopców i zagrzewa ich animusz:

— Nie dajcie się! Niech pamiętają, że my nie tchórze.

Hala ma powody do rozgoryczenia. W roku ubiegłym matka, ulegając namowom, oddała ją do klasy litewskiej. Tam nieustannie kruszyła kopie, protestując głośno za każdym razem, gdy w klasie padło odezwanie się nacechowane nieżyczliwością względem Polaków. Na następny rok szkolny sprzeciwiła się kategorycznie temu, by wrócić do poprzedniej klasy i zażądała zapisania jej do klasy polskiej. W rezultacie kierowniczka przesunęła ją z należnej jej klasy czwartej do trzeciej, jakkolwiek dziewczynka była wybitnie zdolna i inteligentna. Jedna z nauczycielek dłużej pracujących w szkole poinformowała mnie o stanie rzeczy, radząc nie podnosić więcej tej sprawy, o ile nie chcę zaszkodzić dziecku. Pozostała więc Hala w mojej klasie wraz z grupą uczennic, które przybyły z innych litewskich szkół i były w tej samej sytuacji. Zmusiło mnie to do utworzenia dwóch poziomów, nie sposób bowiem było łączyć dzieci o tak wielkiej rozbieżności zasobu wiedzy i zdolności, jakie znalazły się w jednej i tej samej klasie.

Przekonałam się w niedługim czasie, że najlepiej jest o nic nie pytać, tylko cicho robić po swojemu. Zewnętrznie stosowały się nauczycielki Polki do rozkładu godzin, który pozwalał nam na odbywanie czterech godzin języka polskiego w tygodniu. W istocie zaś można było użyć na ten przedmiot niejedną godzinę przeznaczoną na śpiew (zapisywanie tekstów piosenek), rysunki (kto może przeszkodzić temu, by nauczycielka czytała dzieciom, podczas gdy one rysują?), gimnastyki (kiedy wymaga się poprawnego wymawiania potrzebnych zdań, odpowiednio dobiera się piosenki do marszu itd.), nawet języka niemieckiego

(gdyż zrozumienie gramatyki obcej jest nie do pomyślenia bez porównania jej z ojczystą). Toteż pracując dwa lata w wymiennej szkole, miałam wielką satysfakcję, widząc, jak wielkie postępy zrobiły dzieciaki w tej dziedzinie, którą zresztą naprawdę lubiły.

Często, bardzo często przeżywałyśmy chwile niemiłe. We wszystkich wypadkach, gdy dzieci z klas uprzywilejowanych, tzn. litewskich, otwierały drzwi do naszych klas, wykrzykiwały coś o „polskich świniach”, popychały nasze nauczycielki — byłyśmy bezradne. Kierowniczka, do której próbowałyśmy zwrócić się o interwencję, zaczynała wtedy wygłaszać nam kazania na temat należnego spełniania naszych obowiązków. Nigdy zaś nie załatwiła zatargu w sposób należyty. Woźne głośno wypowiadały w naszej obecności uwagi o tym, że u nich na Litwie takie osoby jak my nawet krów nie mogłyby doić, mówiły nam liczne impertynencje, prawie zupełnie nie sprzątały klas, utrudniały nam pracę na każdym kroku, nie dostarczając kredy itd. Bywało trudno, ale nie przeszkadzało to w pracy zbytnio. Raczej zagrzewało dzieci, które doskonale orientowały się w sytuacji, do zającia mocnej postawy.

Dzień 11 listopada. Bez słówka z mej strony dzieci przyszły ubrane staranniej i czyszej niż kiedykolwiek. Kilka wierszy, piosenek, chwila skupienia poświęcona naszym poległym — nie jest to wiele. A jednak pozostawia to taki ślad po sobie, że doprawdy nie wiem, czy kiedy „za dobrych czasów” silniejsze wrażenie wyniosłam z najwspanialszych obchodów. Upamiętniły dzieci swój nastrój jeszcze i tym, że zebrały dość pokaźną sumkę, którą przekazały pewnej nauczycielce, córki i mąż której jednocześnie byli chorzy:

— Ona Polka! Niech jej w tym dniu będzie trochę lżej — mówiła mała Halusia, niosąc swój skromny dar.

Tygodniami i miesiącami trwały przerwy w nauce spowodowane brakiem opału. Jest przeraźliwie zimno. W domu temperatura wahała się pomiędzy +3–4 do –2°. Żeby umyć się, trzeba

było nieraz przebić warstwą lodu na wodzie. Palce rąk i nóg bywały poranione, popuchnięte i fioletowo-sine. A jakie zimno bywało w kościołach w tym okresie, gdy trzeba było wchodzić potajemnie, chyłkiem przez zakrystię! Wobec obawy epidemii bowiem, o której na mieście nic się nie słyszało, były one przez dłuższy czas zamknięte. Kinoteatry i restauracje jednocześnie były czynne. Tam niebezpieczeństwo było, widać, mniejsze.

Leidimas gyventi Lietuvoje
 Serija A Nr. 021940 *

Vizoms vieta
 Darbo leidimas Nr. 645

Savininkui šio
čia paauja piliečiui (tei)
Jacovičenei
 (pavardė)
Natalizai
 (vardas)
 gimusiai 1935 m. lapkričio mėn.
 21 d. Baranovskio
 (gimimo vieta)
 leidžiama laikinai gyventi Lietuvoje nuo
 dienos išdavimo šio leidimo iki tolėsiantis

devyni simtai keturiščiolika m.
lipnų mėn. 1 d.
Kaunas, 1940 m. balandžio mėn. 1 d. Nr. 1964/989

Donirtuoto I/1940
 Apkeisties Vistuninkas
Chomalaif
Rastvedys

Šio leidimas galioja iki 1940 m. lipnų mėn. 1 d.
 V. R. M. Administracijos Departamentas,
 Kaunas, 1940 m. balandžio mėn. 1 d.

Departamento Direktoriaus
 Steponas Rastvedys
 (Chomalaif)

Vienas Miesto Policijos
 6 Nuo-
 1940 IV 15
 Rastvedys

Ilustracija 17. Litewski dowód tożsamości (1940 r.)

KURATORIUM
OKRĘGU SZKOLNEGO WILEŃSKIEGO
w WILNIE

DYPLOM

NA PODSTAWIE USTAWY Z DNIA 8 STYCZNIA 1938 ROKU
(DZ. U. R. P. NR 3, POZ. 11) NADAJĘ

P. I L G I E W I C Z O W E J N A T A L I I,
nauczycielce publ. szkół powszechnych obw.miejsc.w Wilnie

BRAZOWY
MEDAL ZA DŁUGOLETNIĄ SŁUŻBĘ

Wilno, DNIA 11 stycznia 1939r.

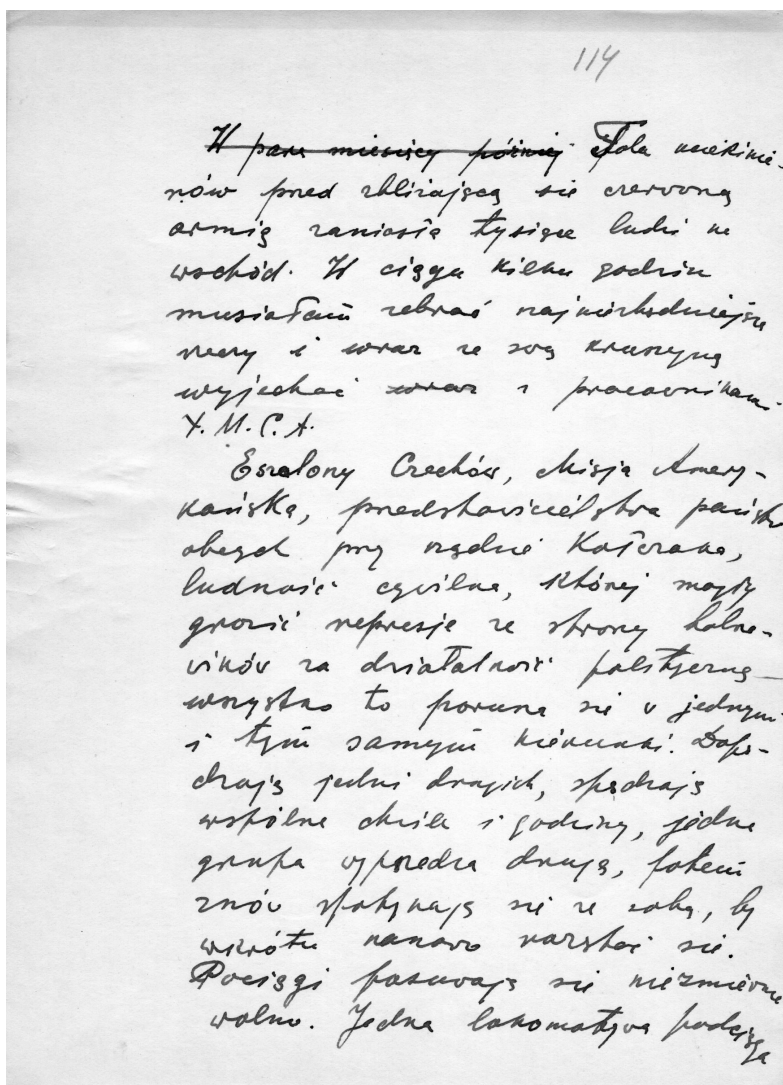


Kurator Okręgu Szkolnego

M. B. Codecki
/M.B.Codecki/

Drukarnia Państwowa nr 97918.

Ilustracja 18. Brązowy medal za długoletnią służbę
(styczeń 1939 r.)



Ilustracja 19. Rękopis Nauczycielki

***Idziemy wzwyż
(gawędy)***

.....

Wstęp

.....

Mija trzydzieści lat od chwili, gdy po raz pierwszy weszłam do klasy i stanęłam przed gromadką uczennic. Przeszło połowę swego życia spędziłam wśród dzieci, usiłując poznać je, czegoś nauczyć, wychowywać, prowadzić. Przypuszczam, że tyle lat pracy nie minęło bez śladu. Pozostała pewna suma wiedzy przekazanej na lekcjach, te lub inne nawyki wpajane uczniom, oddźwięki wspólnych przeżyć. Chcę wierzyć, że tu i ówdzie zachowały się zasady, które pragnęłam przekazać swym wychowankom, włąć w nich tak, by stały się ich własnymi. Zaszły zmiany w umyśle i psychice dzieci, ale również i dla mnie lata wspólnej pracy nie przeszły bez śladu.

Spróbowałam przebiec myślą ten długi okres czasu. Przekonałam się przy tym, że nie da on się oddzielić od lat, które go poprzedzały, tak samo jak niepodobnym jest wyraźnie rozgraniczyć w poszczególnym dniu godzin lekcyjnych od tych, które przeznaczamy na życie osobiste. Łączą się one ze sobą, uzupełniają, przenikają nawzajem.

Chcąc poddać rewizji swój dorobek szkolny, trzeba dokonać przeglądu własnej przeszłości w jej całokształcie. Życie żłobi w nas te lub inne rysy. Mogą one niekiedy pozostać niezauważonymi przez nas w cieniu zmiennych zjawisk dnia powszedniego. Niekiedy wolimy nie widzieć ich, unikając uważnego przyjrzenia się własnej sylwetce. Świadome, uczciwe i bezstronne spojrzenie na samego jest jednak nieuniknionym, jeżeli rzeczywiście chcemy zdać sobie jasno sprawę z tego, jak myślimy i czujemy, które z głoszonych przez nas haseł stały się istotnie naszymi własnymi, a więc takimi, którymi nam naprawdę wolno posługiwać się.

Wychowawca winien umieć obserwować nie tylko dzieci, ale i samego siebie. Jest to warunkiem jego własnego panowania nad sobą^{1*}. Kto nie zna samego siebie, dla tego udoskonalenie się jest moralną niemożliwością. Łudzi się on bowiem co do swego stanu, stosownie do swego temperamentu lub nastroju chwili — bądź przeceniając swe zalety i możliwości, bądź wpadając w destrukcyjny pesymizm^{2*}.

Trzeba umieć odróżnić w sobie rzeczy zasadnicze i stałe od przygodnych, przelotnych wpływów, trzeba odpowiedzieć samemu sobie na pytanie, czy istotnie w głębi duszy uznajemy to wszystko, czego pragniemy dla młodego pokolenia. Tylko bowiem bezwzględne zaufanie wyższemu ideałowi, szczere pragnienie jego realizacji daje kształcącemu trwałą moc nad rozwijającą się psychiką innego człowieka^{3*}.

Przez szereg miesięcy przebiegłam myślą raz jeszcze lata minione, przeżyłam powtórnie chwile, które zaważyły na formowaniu się dążeń, zasad i przekonań moich. Na tle przesuwających się obrazów realnej przeszłości obserwowałam niemniej realną postać działającą na tej scenie — samą siebie. Widziałam siebie taką, jaką obecnie pozwalają mi odtworzyć sobie fotografie z różnych okresów życia.

Małe kilkuletnie dziecko o bardzo poważnym spojrzeniu obok roześmianego starszego chłopca. Jasno ubrana dziewczynka z wielką kokardą na głowie przy stoliku ze stosem książek. Dalej — uczennica w mundurku gimnazjalnym. Biorę do ręki następne zdjęcie zrobione w kilka tygodni po ślubie z pierwszym mężem moim. Zupełnie dziecinna twarz ufnie patrząca na młodego człowieka w rosyjskim mundurze studenckim. Potym — już razem z Tereską, której czytam. Kilka grup studenckich, później uniwersyteckich, zespoły

1* Lucjan Zarzecki, *Wstęp do pedagogiki*, Lwów: Książnica Polska Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych 1922.

2* O. Adolf Tanquerey, *Zarys teologii ascetycznej i mistycznej*, przekł. ks. Piotr Mańkowski, Kraków: Wydawnictwo Księży Jezuitów 1928.

3* Friedrich Wilhelm Foerster, *Wychowanie i samowychowanie. Zasadnicze wytyczne dla rodziców, nauczycieli, księży i opiekunów młodzieży*, przekł. Bolesław Kaprocki, Lwów: Księgarnia Wydawnicza L. Igła 1934.

.....

sluchaczy i wykładowców Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej. Fotos na placu św. Marka z gołębiami na rękach i ramionach. W dniu ślubu z Pawłem — radosna i roześmiana. Kobieta w todze i birecie doktorskim... Te tak bardzo różne twarze — to wszystko ja. Podchodzę do lustra. Włosy nie szpakowate nawet, lecz na wpół białe, tu i ówdzie drobne linie biegnące od kącików ust i oczu. Głód i przeżycia ostatnich lat wojennych pozostawiły po sobie ślady wyraźne. Tak, niewątpliwie jest już druga połowa życia, popołudnie. Trzeba będzie zdawać — kto wie, czy nie wkrótce? — rachunek z włodarstwa swego. Jak on wypadnie? Konfesjonał kryje w sobie to, co spowiedź generalnie wygarnęła z zakamarków sumienia, niepokoje i żal za czyny zawinione. Jakże przedstawia się bilans lat pracy?

Niepodobieństwem jest ustalić, czy dużo dałam dzieciom, z którymi zetknęło mnie życie. Raz szło lepiej, raz gorzej. Były okresy, gdy wydawało mi się, iż wysiłki moje dają dobre wyniki; pamiętam również chwile zwątpień i smutku, kiedy sądziłam, że owoce pracy są niewspółmierne z nakładem energii i dobrej woli wkładanych w nią. Zresztą, czyż można ustalić z całą pewnością jakość wyników pracy nauczyciela? Tu najzupełniej podzielam zdanie Newmana⁴, który kładzie mocny nacisk na to, iż dodatni wynik dostępny naszej obserwacji nie jest rzeczą najważniejszą, gdyż może on przejawić się w bardzo różnym czasie po zjawisku, które go wywołało. „Człowiek urodził się nie po to, by dokonać i wykonać, lecz po to, by spełniać swój obowiązek” — pisze on. To też nie chcę silić się na oszacowanie tego, co i ile dać mogłam uczniom swoim.

Może łatwiej ustalić, co dała mi szkoła? Była moim warsztatem pracy, dawała przez szereg lat możliwość utrzymania siebie i swoich najbliższych, pozwoliła przeżyć niezliczoną ilość godzin i chwil prawdziwego niekłamanego zadowolenia, jakie płynie z wykonania pracy, którą lubimy. Co jednak uważam za najważniejsze — szkoła zmuszała ustawicznie do czujnego

.....

⁴ John Henry Newman (1801–1890) — angielski duchowny anglikański, później — po konwersji — rzymskokatolicki; filipin, kardynał; filozof, teolog, pisarz.

nastawienia wobec nasuwających się różnorodnych zagadnień, do szukania odpowiedzi na nie i w ten sposób przyczyniła się do odnalezienia samej siebie i właściwego kierunku w życiu.

W refleksjach niniejszych spróbuję omówić okoliczności i zagadnienia, które uważam za nieodłączne od zawodu naszego, z którymi zetknąć się musi każdy z nas w ten lub inny sposób i co do których powinien sprecyzować swój pogląd. Centralną postacią, dookoła której układają się nasuwające mi się rozważania, jest nauczyciel. Jeden z licznych na pozór szarych pracowników, który z tych lub innych względów dołączył się do zastępów działaczy szkolnych, zdobył przygotowanie zawodowe, walczy i przeciwstawia swą osobowość licznym i różnorodnym trudnościom, organicznie związanym z pracą pedagogiczną. Zależnie od właściwości swej natury i cech osobistych wynajduje on środki, za pomocą których pokonywuje przeszkody, przetwarza trudności w nabytek trwałe i wartościowy. Opierając się na podwalinach własnego i cudzego doświadczenia i rzetelnej pracy, nieustannie pogłębia i rozwija on swoje poglądy, mając przed sobą przyświecający mu coraz wyraźniejszy ideał doskonałości.

Nauczyciel

.....

Wybór zawodu

Przed nauczycielem, który zamierza poważnie zastanowić się nad własną pracą i jej wartością, stają dwa zasadnicze pytania: „Jak to się stało, że jestem nauczycielem?” oraz: „Czy dobrze stało się?”. Znajdujemy się wobec jednego z najważniejszych zagadnień, rozstrzygnięcie którego ma decydujący wpływ na całe nasze życie. Jest nim wybór zawodu. Od tego, czy człowiek wy-czuł, trafnie określił i urzeczywistnił swe powołanie zależy nie tylko jego własne „udane” czy „zmarnowane” życie. Okoliczność ta wpływa również wybitnie na ogólny układ społeczny, gdyż nasze samopoczucie i ustosunkowanie się do pełnionych przez nas funkcji odbija się wyraźnie na tych wszystkich ludziach, z którymi stykamy się przy wykonywaniu swych obowiązków. Jednym z naczelnych haseł organizacji życia społecznego w Anglii jest *„the right man at the right place”* (‘właściwy człowiek na właściwym miejscu’).

Człowiek, który obrał sobie niewłaściwy zawód, popełnia błąd z podwójnego punktu widzenia — mówi Józefa Joteyko¹. — Unieszczęśliwia siebie, pracę, która dostarczyć powinna radości i zadowolenia, wykonywać będzie jak pańszczyznę, stąd tylu malkontentów albo zawistnych w stosunku do tych, którzy pracują z powodzeniem. Z czasem stan ów wpłynąć może na charakter osobnika, który staje się zgorzkniałym, melancholijnym, wpadnie nawet łatwo w manie prześladowcze lub w *idée fixe* co do swej domniemanej, zapoznanej wielkości. Ma to mianowicie miejsce wówczas, gdy sięgał wyżej, niż pozwalają na to jego uzdolnienia. Po drugie, człowiek, który rozminął się ze swym

.....

¹ Józefa Joteyko (1866–1928) — polska psycholog, fizjolog, pedagog, współorganizatorka pedagogiki specjalnej w Warszawie; była przewodniczącą Belgijskiego Towarzystwa Neurologicznego oraz laureatką Paryskiej Akademii Nauk.

powołaniem, nie będzie pracował produkcyjnie; pracować prawdziwie produkcyjnie można bowiem tylko wtedy, gdy się pracuje z zamiłowaniem, radośnie, na ukochanej placówce pracy, gdy praca odpowiada najistotniejszym skłonnościom danego osobnika^{2*}.

Na wybór zawodu wpłynąć mogą następujące czynniki: a) własna decyzja, oparta na uświadomieniu sobie swych zamiłowań i uzdolnień; b) obca wola (najczęściej rodziców lub opiekunów); c) przypadek w całym znaczeniu tego słowa, kiedy człowiek podejmuje się tej lub innej pracy, tkwi w niej „chwilowo”, nieraz przez długie lata, ale gotowy do zmiany jej w każdej chwili, gdy nadarza się sposobność do tego.

Nie zawsze jednak przypadek nacechowany jest jawną bezplanowością. Każdy z nas ma we wspomnieniach swych niejedno spostrzeżenie dotyczące zdarzeń epizodycznych, które jednak pociągnęły za sobą następstwa bogate w skutki bardzo dodatnie. Uruchomiły one kryjące się w każdym człowieku możliwości i upodobania, które nawet wtedy, gdy były nieuświadomione i lekceważone, wywierały wpływ na zasadniczy kierunek życia jednostki.

Powzięcie przez młodą, wstępującą w życie osobę decyzji obrania zawodu nauczycielskiego jest zjawiskiem, z którym wiąże się poważne niebezpieczeństwo. Nieraz spotykałam — najczęściej wśród koleżanek — typy, które dość wcześnie powiedziały sobie, iż chcą zostać nauczycielkami. Kierowały się rozmaitymi względami, wśród których najczęściej na pierwszy plan wysuwały się zamiłowanie do małych dzieci i chęć niesienia im pomocy. Często decydującą rolę odgrywała niewyraźna potrzeba rządzenia, podporządkowywania sobie innych, niekiedy entuzjastyczny stosunek względem tej lub innej nauczycielki. Obserwowałam również i takie wypadki, gdy chęć zostania nauczycielem zrodziła się z wyraźnie negatywnego stosunku do własnego wychowawcy: „Tyle sam nacierpiałem się w dzieciństwie w szkole, gdzie uczyłem się, że postanowiłem stać się nauczycielem i postępować inaczej” — zwierzył mi się kiedyś jeden z najlepszych współpracowników moich w Wilnie. Czyż

^{2*} Józefa Joteyko, *Wybór zawodu jako problemat psychotechniki*, „Rocznik Pedagogiczny” 1928, seria II, t. III, s. 28–64.

zresztą można wymienić wszystkie motywy, które wpłynęły na powzięcie decyzji? Tyle ich może być i to tak różnorodnych, zaczynając od pobudek czysto materialnych lub potrzeby wywyższenia się i kończąc na wczesnym rozwoju uczuć społecznych i pragnieniu ofiarności.

W większości wypadków to, co wydaje nam się własnym postanowieniem, wcale nim nie jest, stanowi bowiem wypadkową wpływów bardzo niejednorodnych. To, co często kwalifikujemy jako akt naszej woli, bywa nieraz tylko biernym zgodzeniem się na narzucające nam się okoliczności zewnętrzne. Przyjmuje się je z pewną pogodą w przeciwieństwie do tych niemiłych i drażniących sytuacji, kiedy pójście za wolą obcą poprzedzone bywa walką, stanowiskiem obronnym, z którego jednak trzeba było zrezygnować. Bardzo często walki te odbywają się z własnymi rodzicami, którzy z reguły nie znają swoich dzieci ani ich uzdolnień. Przy wyborze zawodu nauczycielskiego obca, sugerowana lub wręcz narzucona wola najczęściej wchodzi w grę tam, gdzie specjalizacja profesjonalna występuje zbyt wcześnie. Zetknęłam się z pokaźną liczbą kolegów, wstąpienie których do szeregów nauczycielskich spowodowane zostało ambicjami ich krewnych, pragnących dla młodego przedstawiciela rodu stanowiska stojącego na wyższym szczeblu drabiny społecznej niż ten, który sami zajmują. Niesławny żywot preparand³ do seminariów nauczycielskich trwał na szczęście krótko. Pozostawił po sobie jednak zastęp zdolnych jednostek, o których ktoś inny zawyrokował: jesteś inteligentny, a więc dobrze — bądź nauczycielem. Czyli skrzywdził je jeszcze wcześniej, niż skrzywdzono tych, kto po ukończeniu seminarium zdał sobie sprawę z tego, że droga do studiów wyższych jest przed nim zamknięta. Zbyt wielkie są bowiem różnice w programie, według którego kształcił się on, a zasobem wiedzy, jaki przyswoili sobie jego rówieśnicy, którzy po ukończeniu szkoły ogólnokształcącej bez trudu znaleźli się w wyższej uczelni.

³ Preparandy — dwuletnie szkoły koedukacyjne przeznaczone dla dzieci od 12 do 15 roku życia, które miały ukończoną co najmniej czteroklasową szkołę powszechną. Pod względem poziomu wiedzy preparandy odpowiadały wyższym klasom szkoły powszechnej. Były utworzone jako uzupełnienie edukacji kandydatów do seminariów nauczycielskich.

Mam wrażenie, że sylwetka nauczyciela dość rzadko stanowi przedmiot marzeń w okresie wczesnej młodości chłopca. Być może zbyt wyraźnie widzi się jeszcze w „belfrze” — nawet tym najlepszym — istotę, która temperuje, reguluje i przytłacza przejawy bujnej indywidualności. Zanadto żywo rysują się w pamięci niezliczone większe i mniejsze oszukiwania („nabierania”), podstępny, żarty, a nawet niekiedy bezlitosne drwiny skierowane przeciw nauczycielom, by obranie sobie ich doli wydawało się urzeczywistnieniem marzeń. Jest więc raczej ustępstwem, rezygnowaniem z wyższych, droższych aspiracji, które zaczynają wydawać się nieosiągalnymi. Decyduje obca wola, cechy płci, wieku dojrzewania z jego zmiennymi fantazjami, wzlotami i upadkami, czasem przewaga momentów adlerowskich w dominujących nastrojach albo nieubłagalne na pozór względy natury ekonomicznej^{4*}.

Nie można nie poprzeć jak najenergiczniej zdania Charlotty Bühler⁵, że selekcja przyszłych nauczycieli winna odbywać się w wieku bardziej dojrzałym. Chodzi bowiem nie tylko o niebezpieczeństwo wprowadzenia zbyt wczesnej specjalizacji, ale również i o możliwość zmiany zawodu w wypadku, gdy wybór ten okazał się niewłaściwym. Może to mieć miejsce jedynie wtedy, gdy program szkoły ogólnokształcącej jest istotnie ogólną własnością, praca zaś młodego nauczyciela nie stanowi wyniku zwichniętej kariery życiowej, co obecnie wcale nie należy do rzadkich wyjątków. Nie wiem, czy w wielu innych zawodach słyszy się tak często utyskiwanie:

— Wolałabym kamienie na drodze tłuc, tylko nie uczyć... Każdą inną pracę robiłabym, byle nie tę... itd.

Przekleństwo gminne: „Bodaj byś cudze dzieci uczył” ma swoje podłoże właśnie w tym zniechęceniu, któremu podlegają znużone jednostki, gdy zabraknie im sił do walki z piętrzącymi się trudnościami naszego zawodu. Jedną z najjaskrawszych

^{4*} Charlotte Bühler, *Dzieciństwo i młodość. Geneza świadomości*, przekł. Wanda Ptaszyńska, Warszawa: Nasza Księgarnia 1933.

⁵ Charlotte Bühler (1893–1974) — niemiecka uczona. Jedna z najważniejszych reprezentantek i twórczyni psychologii rozwojowej, klinicznej dziecka i psychologii humanistycznej.

ilustracyj udręki takiego „nauczyciela z nieszczęśliwego wypadku”, jak wyraził się raz zgnębiony młody pedagog po niefortunnej wizytacji inspektorskiej, jest postać bohatera powieści Alphonse Daudeta⁶ *Le petit Chose*⁷ w tej części, gdy pełni on funkcję wychowawcy w internacie dla zamożnych chłopców i staje się tam bezbronną ofiarą wobec ich okrucieństwa i rozchucia. Wolnym od podobnych rozpaczliwych przeżyć jest człowiek uważający pobyt w szkole za chwilowy, widzący w niej tylko odskocznnię do innej pracy aż do chwili, gdy ukończy rozpoczęte gdzie indziej studia, po których odejdzie. Będzie wspominać pracę nauczycielską jako jeden z epizodów swego życia, traktowany od początku jako coś przejściowego. Nie dramatyzuje swych trudności, ale nie szuka też i środków zaradczych w wypadku niepowodzenia, nie pogłębia metod pracy. Opuści pewnego dnia szkołę bez żalu, nie pozostawiając również i w dzieciach przez niego uczonych głębszego śladu.

Reasumując, możemy sobie powiedzieć, że na ogół młodzież sobie zawodu nie wybiera, gdyż brak jej do tego tych licznych skomplikowanych wiadomości, które ułatwić mają trafne rozwiązanie tej sprawy. Stąd zastraszająca liczba ludzi, którzy nie potrafili określić własnego powołania i zaczęli się gdzieś o przypadkowo wystającą nierówność na ich linii życiowej. Mauvezin, dyrektor izby rzemieślniczej w Bordeaux, mówi: „jest faktem dowiedzionym, iż na sto osób pracujących w danym zawodzie, dwie wywiązują się z zadania w sposób niepospolity, dwadzieścia w sposób mierny, inne zaś zrobiłyby lepiej, gdyby wybrały sobie inną drogę”^{8*}.

Jeżeli istnieją chwile, kiedy młodzież naprawdę potrzebuje rady ludzi doświadczonych, znających życie, to ma to miejsce przede wszystkim w tym czasie, kiedy ma nastąpić określenie powołania danej jednostki. Wymaga ona wtedy nie dyletanckich, nie-realnych lub arbitralnych wskazówek, tylko istotnej pomocy fachowców, którzy dobrze orientują się w niezmiennie skomplikowanej strukturze społecznej, jej potrzebach i widokach

⁶ Alphonse Daudet (1840–1897) — francuski pisarz, poeta, publicysta.

⁷ *Le petit Chose* (polski tytuł: *Mały*), przekł. Maria Górską, Warszawa: Biblioteka Groszowa 1926.

^{8*} Cyt. za: J. Joteyko, dz. cyt., s. 34.

na przyszłość. Do tego cennego materiału, jakim jest człowiek, podchodzą oni z szacunkiem, by opierając się o swą wiedzę z dziedziny psychologii i psychotechniki, wykryć jego wrodzone uzdolnienia. One staną się punktem wyjścia do poważnych i rzetelnych poszukiwań właściwej drogi, jaką należy wskazać badanej jednostce.

Z wielkim zainteresowaniem obserwowałam abiturientów szkół powszechnych oraz młodzież kończącą gimnazjum, gdy przychodziła ona na badania do poradni psychotechnicznych. Ani cienia tak często spotykanej buty, uporu przy swoim zdaniu, niechęci do rady starszych. Instynktownie szuka oparcia i kierownictwa u tych, którzy istotnie dać je mogą, którzy potrafią postawić zarówno diagnozę co do uzdolnień profesjonalnych, jak i prognozę dotyczącą możliwości powodzenia lub niepowodzenia w przyszłości.

Szeroka, dostępna każdemu sieć poradni psychotechnicznych, ustanowienie wystarczającej ilości doradców zawodowych, zadaniem których jest dotrzeć tam, gdzie nie uświadomiono sobie jeszcze znaczenia porady fachowej, stanowi jedno z palących zadań nowego, lepszego jutra naszego.

Dziś jednak my, którzy już pracujemy dłużej lub krócej w szkolnictwie, nieraz również odczuwamy potrzebę zastanowienia się nad tym, co zawsze najmocniej obchodzi człowieka — nad swoim własnym losem.

Postawmy sobie pytanie: czy zaczynając po raz drugi życie, obrałbym sobie zawód nauczycielski, teraz gdy znam zarówno jasne, jak i ciemne jego strony?

Muszę dać odpowiedź na nie i ja, chociażby ze względu na to, że najmłodsza nasza córka kilka razy już przebąkiwała, iż chce być nauczycielką dzieci ociemniałych i trzeba będzie koniecznie poważnie mówić z nią o naszym zawodzie.

Kto wie? Może raczej zostałabym lekarką chorób dzieciennych albo sędzią dla nieletnich. W każdym razie niewątpliwie obrałabym i teraz teren pracy związany z dziećmi. Nie uważałabym jednak za nieszczęście, o ile by taka modyfikacja nie udała mi się i na nowo rozpoczęłabym swą drogę nauczycielską.

.....

W chwili gdy przystępowałam do swej pracy w szkole, wcale nie stało się to w wyniku świadomego postanowienia obrania sobie tej właśnie specjalności. Przeciwnie, zupełnie wyraźnie zdecydowana byłam na karierę sceniczną, później pociągnęła medycyna, do której, nawiasem mówiąc, nigdy nie zmieniałam swego ustosunkowania. Dalej, kiedy to okazało się nie do osiągnięcia, zgodziłam się zostać prawniczką, z niemалą dozą zadowolenia marząc o działalności adwokata i przygotowując się do niej. Nie tylko nikt nie zmuszał, ale w najmniejszym stopniu nie wpływał na mnie, bym poszła drogą nauczycielską. Marzeniem matki było dać mi świetną znajomość obcych języków, pogłębioną w miarę możliwości studiami w Europie Zachodniej, co pozwoliłoby mi pracować w dziale dyplomatycznym jako tłumacze przy tej czy innej ambasadzie. Ojciec gorąco pragnął, bym zasmakowała w pracy naukowej. W pamięci wstaje następujący obrazek.

Siedzimy o zmroku na otomanie w gabinecie — ojciec i ja, podówczas dziesięcioletnia dziewczynka, i usiłujemy ustalić różnicę między nauką i sztuką. Ojciec mój miał ten niezastąpiony dar umiejętności prowadzenia rozmowy z dziećmi w sposób absolutnie nieprzytłaczający swą wiedzą lub autorytetem. Mówiąc z nim, odnosiło się wrażenie, że istotnie wspólnie doszukujemy się prawdy.

— Aha! Już wiem, tatuśku! Artysta, jak coś opisuje słowami albo rysunkiem, albo inaczej, to opisuje tak, jak on to czuje, a naukowiec chce opisać prawdę, tylko dokładnie prawdę. Czy nie tak?

— Wiesz córuś, że masz rację. Czekaj, czekaj, to znaczy, o ile tak jest, jak nam z tobą wydaje się, że artysta, opisując coś, może bardzo upiększyć albo zohydzić rzeczywistość. Przedstawiciel zaś nauki zobowiązuje się wobec siebie i nauki do ścisłości, nawet o ile mu się fakty i wyniki, do których on doszedł, nie podobają się. A ciekawym bardzo, co ci się więcej podoba: sztuka czy nauka?

Patrząc na ojca, przenoszę wzrok z niego na fortepian, z którego on umie wydobywać tak niezrównane dźwięki, spoglądam na wysokie półki z książkami i biurko, przy którym widuję go

pochylonego godzinami, i nie mogę ustalić, do której kategorii zaliczyć tego swego tatkę. Zamyślam się więc i po dłuższej chwili oznajmiam:

— Wiesz, tatuśku, jakoś więcej szacunku mam do nauki. Tu jest prawda, a więc to, co Pan Bóg stworzył, a w sztuce jeden artysta upiększy, ale inny może zbrzydzić i tym innym ludziom zaszkodzić.

Twarz ojca rozjaśnia się uśmiechem wielkiego zadowolenia:

— Żebyś ty wiedziała, córeczko, jak się cieszę z tej twojej odpowiedzi. Mnie też tak się zawsze wydawało, że prawdziwa nauka podnosi i uszlachetnia każdego, kto do niej uczciwie podchodzi, sztuka zaś — to udział wybranych tylko, rzadki dar Boży.

Niewątpliwie przypadkiem był fakt, że dyrektorka gimnazjum, które ukończyłam, zaproponowała mi zastępstwo jednej z chorych nauczycielek, gdyż wiedziała o mej gruntownej znajomości obcych języków; przypadek zrzucił również, że wobec wojny i nieobecności męża nie pojechałam na dalsze studia, tylko poszukałam sobie zajęcia, jak wtedy sądziłam — chwilowego, w szkolnictwie. Fakt, że w dwa lata później, w chwili odbierania zapłaty za sprzedany przeze mnie strój w komisariacie oświaty irkuckim, właśnie była tam potrzebna kancelistka, należy bezsprzecznie do kategorii zdarzeń epizodycznych. A jednak to właśnie, a nie co innego nadało kierunek całemu memu dalszemu życiu. Dało mi możliwość bliskiego zetknięcia się z tym, co potem pociągnęło i pochłonęło całkowicie: z dzieckiem wykolejonym, niemieszczącym się w ramach normalnej społeczności dziecięcej.

I to właśnie okazało się platformą, na której spotkały się ze sobą, mieszały i pogodziły się wszystkie moje dotychczasowe pragnienia i dążenia — zarówno prawnicze, jak medyczne, artystyczne i religijne. Stało się tak, że odczułam, iż to, co robię, odpowiada mi do tego stopnia, że odejść już nie mogłabym.

Właśnie tak czułam, gdy musiałam odpisać na przemiłą propozycję japońskiego generała, którego miałam przyjemność uczyć w Tomsku języka rosyjskiego, propozycję przyjazdu do Tokio i pracy tłumaczki w Ministerstwie Spraw Zagranicznych:

— Jestem głęboko wzruszona i wdzięczna, ale przerwać pracy z nieletnimi gwałcicielami prawa już nie potrafię. *J'y suis et j'y reste*^{9*}.

Ten moment swego życia uważam za dokonany przez siebie wybór zawodu. Wydaje mi się, że niezależnie od tego, w jaki sposób stało się, iż człowiek znalazł się na tej lub innej placówce, nie jest on wolny od obowiązku świadomego aktu wyboru swej drogi życiowej. Nie może mieć miejsca bierne poddanie się okolicznościom zewnętrznym, które wypychają każdego, kto nie posiada wyraźnie zakreślonych rysów własnego oblicza na stanowisko przypadkowe. Jednym z przejawów uczciwości względem siebie i swego narodu jest spokojne, rzeczowe zważenie kryjących się w nas możliwości, wszystkich *pro* i *contra* naszego zawodu, ustalenie, czy nadajemy się do niego, wreszcie powzięcie decyzji świadczącej o naszej wolności wewnętrznej. Tylko bowiem fakt dobrowolnie przyjętego na siebie obowiązku może w pełni gwarantować moralność naszych czynów.

Uwagi dodatkowe do Wyboru zawodu

Prawidłowo obrany zawód nie przesądzi, czy człowiek zawsze będzie odpowiadał swej profesji:

- 1) Może się zmienić on ku gorszemu.
- 2) Mogą zmienić się warunki, do których nie potrafi on dostosować się.

Trzeba od czasu do czasu robić superrewizję — sprawdzać, czy w dalszym ciągu nadaję się.

9* 'Tu jestem i tu pozostanę'. Słowa marszałka Francji Mac-Mahona, które powiedzieć miał głównodowodzącemu w odpowiedzi na zawiadomienie o zamiarze Rosjan wysadzenia fortu w powietrze.

Kształcenie nauczycieli

Sprawa kształcenia nauczycieli jest zagadnieniem, którym nigdy nie mogą przestać zajmować się czynnik do tego powołane i niepowołane. W zależności od składu osobowego jednostek stojących u steru aparatu szerzenia oświaty, wysuwają się na pierwszy plan to jedno, to inne postulaty. Zależy to od zapatrywań osobistych ludzi mających prawo i obowiązek układania programu dla zakładów kształcących nauczycieli. Zależy też od platformy politycznej, na której oni stoją. Raz więc ogólne zabarwienie programów zdradza tendencje natury biologicznej, kiedy indziej górę biorą odcienie prawniczo-socjologiczne lub inne. W każdym razie nie brak nigdy jednego: wyraźnie ujawnionego pragnienia oddziaływania na armię adeptów sztuki pedagogicznej, urobienie ich na obraz i podobieństwo swój — swego ideału, by potem na ten sam szablon urabiali dzieci.

Niezależnie od kierunku politycznego i naukowego, który odzwierciedla się w programach, spotykamy się w nich z coraz to większą liczbą nauk. Pedagogika, psychologia, dydaktyka, metodyka wszelkich możliwych przedmiotów, historia wychowania itd., itd. Długie kolumny samych tylko nazw mądrości, które ma przyswoić sobie, potem zaś stosować w swej pracy nauczyciel.

Tu nasuwa mi się porównanie z przewrażliwioną mamusią, która synkowi wyruszającemu na wycieczkę daje ze sobą wszystko, co może mu się przydać w drodze, zaczynając od żywności i ubrania dobranego do różnych możliwości pogody i kończąc poduszką, maszynką spirytusową i parasolem, bo „może okazać się potrzebnym”. W rezultacie młody podróżnik zmienia się w zwierzę juczne i całą swą energię zużywa na dźwiganie i dopilnowanie swego ciężaru, będąc pozbawiony swobody ruchów

.....

i radości płynącej z samej wycieczki. O tym, by po drodze mógł jeszcze coś zbierać, kolekcjonować i przynieść do domu, w ogóle nie może być mowy.

Inne zaś szczęśliwsze dziecko wyprawione zostało w podróż przez starszego brata, który sam z entuzjazmem zmierzył Tatry wszerek i wzdłuż i zna warunki, w jakich odbywa się ta wędrówka. Niesie z sobą minimum rzeczy, ale za to takich, które znajdują zastosowanie w różnych okolicznościach. Co zaś najważniejsze, dziecko to na małych podmiejskich wycieczkach z bratem nabrało umiejętności patrzenia na drogę, po której idzie, potrafi zauważyć i przewidzieć niejedno i zastosować swe możliwości do tego, co mu nasuwa rzeczywistość. Wydaje mi się skończonym absurdem przeładowywać program zakładów dla pedagogów dużą ilością wiedzy, przez którą z trudem tylko mogą oni przebrnąć. Im więcej nauczy się tam kandydat, tym więcej zapomni. Wszak tego, co przerabialiśmy, przygotowując się do tych lub innych egzaminów w naszym życiu, nie pamiętamy nawet w setnej części, odrzucamy jako balast niekiedy już w kilka dni po egzaminie.

Gruntownie opanować trzeba jedynie niewielką liczbę stałych i podstawowych zasad. Poza tym młody człowiek przygotowujący się do pracy w szkole winien wiedzieć, jakie istnieją nauki związane z pedagogiką, oraz mieć ogólne pojęcie co do ich zakresu.

Najważniejszą rzeczą, która oszczędzi mu dużo trudności i przykrości, to jest umiejętność samodzielnej pracy naukowej, posługiwania się literaturą, radzenia sobie z nasuwającymi [się] nowymi zagadnieniami. Słuchałam kiedyś rozmowy, a raczej sprzeczki pomiędzy dwoma chłopcami, z których jeden był prymusem klasy, drugi zaś zaledwie poprawnym uczniem:

— Można mnie obudzić w nocy i ja ci każdą datę z historii naszego narodu powiem i wyliczę wszystkie boje, ich wodzów i warunki pokoju! — przechwalał się wzorowy uczeń.

— Czyż ty na bezludną wyspę wybierasz się, gdzie nie znajdziesz podręcznika? — zadrwił drugi. — Ja nie mam czasu na takie kucie, tyle ciekawych rzeczy jest do przeczytania i do zobaczenia.

Istotnie, życie jest tak barwne, zajmujące i ciekawe, że tych lat, które nam są dane przeżyć, nie wystarczy na opanowanie drobnego ułamka wiedzy, nawet w obranej przez nas specjalności. Zabłądzimy, o ile zechcemy nabywać ją w sposób ilościowy. A przecież właśnie nauczycielowi nie wolno być wąskim specjalistą, który nie zna życia i ogranicza się jedynie do jednej gałęzi wiedzy.

Najlepsi nauczycieli, jakich spotkałam w swym życiu, byli nimi wcale nie dzięki gruntownej znajomości programu, lecz dlatego, że umieli coś ponad ten program, coś, co ich osobiście zajmowało, pociągało, co wpływało dodatnio na nich samych i pośrednio na klasę ich.

Toteż chyba nie ma absolwenta Państwowego Instytutu Nauczycielskiego, który by nie czuł głębokiej wdzięczności do organizatorki tej placówki dr Grzegorzewskiej za to, że kładła taki nacisk na to, by słuchacze mieli możliwość poświęcić dużą liczbę godzin literaturze pięknej, sztuce w ogóle, zwiedzaniu muzeów, wycieczkom, teatrowi, swobodnemu samokształceniu w interesującej ich dziedzinie. Daleka jestem od tego, by kreślić jakkolwiek projekt zakładu kształcenia nauczycieli. Zupełnie nie czuję się powołaną do tego. Wiem tylko, co potrzebnym jest nauczycielowi w jego wędrówce, brak czego odczuwa.

Przeglądałam niedawno projekt organizacji szkolnictwa opracowywany przez Katolicki Instytut Pedagogiczny w Wilnie. Przewiduje on trzyletnie przygotowanie kandydatów do obranego zawodu, łącząc je organicznie ze zdobyciem ogólnego wykształcenia średniego. Szósty rok pobytu w gimnazjum pozwala młodzieży gruntownie poznać różne dostępne jej zawody, dokonać wyboru poprzedzonego fachową poradą opartą o badanie psychotechniczne oraz uważnemu przyjrzeniu się pracy szkoły ćwiczeń, z którą w następnych dwóch latach ma się możliwość blisko żyć się. Jednocześnie z przerobieniem materiału naukowego obowiązującego w dwóch starszych klasach gimnazjum przyszli nauczyciele nabywają wiadomości z dziedziny organizacji szkolnictwa i jego historii we własnym kraju, higieny szkolnej, metodyki obserwacji psychologicznych w szkole, poznawania środowisk, pedagogiki, dydaktyki, różnych metodyk itd.

Projekt wydaje mi się celowym i uwzględniającym istotne potrzeby kształcenia nauczyciela. Szczególnie trafiła mi do przekonania okoliczność, że mocny nacisk został położony na poznawanie środowisk i metodykę obserwacji dziecka. Żadna bowiem wiedza abstrakcyjna nie zastąpi gruntownej, naprawdę przyswojonej sobie znajomości życia i warunków, w których znajdują się dzieci. Nauczycielka, która nie wie na przykład, czym jest pranie w rodzinie proletariackiej, nie zrozumie, że tłumaczenie dziecka, iż nie wykonało pracy, gdyż „u nas było pranie”, jest usprawiedliwieniem, do którego nic więcej dodać nie można. Żądać od dziecka podrastającego, by wtedy zamiast pomóc matce usiadło do wykonywania zadań szkolnych, byłoby błędem bardzo poważnym. Odrywałoby je od wspólnoty z domem, wprowadzałoby niepotrzebny dysonans. Ucząc w dzielnicy fabrycznej, nie można dziwić się, o ile część dzieci opuszcza lekcje w soboty i potem z zażenowaniem przebąkują, że „tatuś miał wypłatę”. Nie trzeba nalegać i zmuszać dziecka do dalszych wyjaśnień. Lepiej dyskretnie zapoznać się ze stosunkami panującymi w rodzinie. Przekonamy się, że tatuś nie zawsze donosi do domu zarobek swój, mamusia obawia się iść go spotkać, gdy wraca z pracy. Wywołałoby to drwinę kolegów i zatarg małżeński. Znacznie zgrabniej wychodzi, gdy na wychodzącego z fabryki ojca zaczeka przy wejściu dziecko. Trudniej wtedy jest zawieruszyć się gdzieś w mijanym szynku. Przykładów można by mnożyć bez liku. Tego nie nauczy żadna dyscyplina naukowa, lecz jedynie bardzo uważny, świadomy znaczenia tych obserwacji stosunek do środowiska dzieci, z którymi mamy do czynienia.

Czyż znajdzie się ktoś, kto mógłby twierdzić, że człowiek pracujący w szkole nie potrzebuje wiedzy psychologicznej? Tylko o to właśnie chodzi, by wiedza ta naprawdę pomagała rozumieć dziecko zamiast zaciemniać obraz jego postaci, jak to się zdarza.

Był u nas w szkole bardzo trudny chłopak ze środowiska ludzi zamożnych. Matka angażowała do niego to jednego, to innego wychowawcę, pilnie bacząc na to, czy aby posiada odpowiednie kwalifikacje. Eksperymentowano nad biedakiem bardzo długo. Gdy znalazł się w internacie, spostrzegł któregoś dnia w ręku

u jednego z wychowawców podręcznik psychologii. Wpadł w stan silnego podniecenia i podrażnienia, zaczął nerwowo pisać i rozrzucać ulotki mniej więcej następującej treści:

— Nienawidzę psychologii. Psychologia jest to nauka o tym, jak szpiegować, podpatrywać i podsłuchiwać dzieci. Psychologia to nauka, jak z nieprawdy robić prawdę. Jakbym był ministrem oświaty albo kimś, kto ma władzę, zabroniłbym nauczycielom uczyć się tej nauki, a takich, co już zdążyli nauczyć się, tępiłbym tak, jak tępi się pluskwy.

Zbyt dużo widać zniósł Zbyszek przykrości od pedagogów powołujących się na znajomość psychologii i nierozumiejących przeżyć żywego chłopca, żeby ocenić tę naukę. To, co najwięcej podoba mi się we wspomnianym projekcie programu wileńskiego, jest nacisk położony na stronę wychowania młodych jednostek przygotowujących się do pracy z dziećmi. Kierunek wychowawczy tak wyraźnie zaznaczony w projekcie dąży do wyrobienia w nich zdolności do samokrytyki i samooceny.

Zawód nasz kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo profesjonalne. Pomijając grożące nam niebezpieczeństwo chorób gardła i płuc, o którym początkujący pracownik winien być dobrze poinformowany, by umieć mu zapobiec, mam na myśli niebezpieczeństwa natury psychicznej. Praca w szkole może — w warunkach niesprzyjających — wpłynąć destrukcyjnie na system nerwowy, co przy braku wyrobienia wewnętrznego i opanowania da sylwetkę wrzaskliwego, wiecznie poirytowanego pedagoga — udręki dla dzieci. Jeszcze bardziej grozi nam wdrożenie do pozy dyktatorskiej, pełnej pewności siebie i zarozumiałości. Fakt, iż tak często zmuszeni jesteśmy do postawy autorytatywnej — bądź wyjaśniając dzieciom nieznane im elementarne prawdy, bądź opanowując przejawy ich wybujałej indywidualności czy życia gromadnego, ingerując czynnie w wypadku zauważonego nieładu — wszystko to stwarza podłoże podatne do ześlizgnięcia się na płaszczyznę pewności siebie i arbitralności. Rodzi się niemiłe poczucie odpowiedzialności za wszystko, co dotyczy dzieci, dręczące potrzeby interweniowania, prostowania, formowania na własną modłę.

Kiedys siedząc na wybrzeżu morza niedaleko Ostendy¹, zawarłam przyjaźń z małym Anglikiem. Gdy na jego pytanie o swym położeniu społecznym powiedziałam mu, czym się zajmuję, zaprotestował:

— Nie, to jest niemożliwe. Ja przy pani różne rzeczy robiłem: i piasek na głowę sobie sypałem, i gwizdałem, i spocony lałem sobie wodę na nogi, a pani mi ani jednej uwagi nie zwróciła. Pani nie może być nauczycielką.

Odczułam to powiedzenie jako bardzo wielki komplement, gdyż istotnie nieraz musiałam uważać na siebie, czując rodzącą się chęć normowania postępowania otoczenia, od czego powstrzymywała tylko świadoma wola niedopuszczenia do tego. Zdarza nam się, iż całą siłę swej energii zużywamy na zwalczanie „zła” dookoła siebie, pozostawiając je nietkniętym w źródle, które powoduje nieraz chronicznie powtarzające się przejawy jego w nas samych.

— Wie pani, to chyba jakieś przekleństwo nade mną ciąży — żaliła się kiedyś poznana w wagonie młoda koleżanka — że zawsze, ale to zawsze mam w klasie dzieci przekorne, robiące mi na złość. Tak kiedyś lubiłam dzieci, przepadałam pracować w szkole, a teraz po kilku latach pracy czasem nie wiem, czy je kocham, czy też nienawidzę.

Nie wiem, czy udało mi się przekonać przemiłą swą przygodną znajomą o konieczności poddania rewizji swych metod. Gdy żegnałyśmy się, dziewczyna popatrzyła na mnie swymi dziewczęcymi jeszcze oczyma i powiedziała:

— Może i jest tak. Tylko tak trudno przyznać się wobec siebie, że przez te wszystkie lata robiło się błędy. Wciąż szukałam sposobów, by dzieci poprawić, a tu trzeba było od siebie zacząć. — Uśmiechnęła się nagle radośnie i dodała: — A może to łatwiej pójdzie niż ta ciągła wojna i znowu będę lubiła swoją szarańczę, gdy z nią przestanę wojować.

Jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie jest uczciwość wobec samego siebie, umiejętność rzetelnego spojrzenia na własną

¹ Ostenda — miasto uzdrowiskowe w północno-zachodniej Belgii.

postać, własne błędy i niedociągnięcia, przyznanie się do winy, odczucie jej i zdrowa, gojąca przeszłość, chęć do naprawy tego, co nabroiliśmy.

Samookłamywanie tkwi w nas tak głęboko, iż nawet poczucie godności osobistej budujemy często na fałszywych przesłankach odwracania oczu od wad i win naszych i na żądaniu uwielbienia dla znajomych nieraz zalet. Budujemy mozolnie i wytrwale, nie bacząc na to, iż u samego fundamentu leżą nieraz pęknięte, niezdadne do użytku cegiełki, które tak łatwo było usunąć niegdyś. Obecnie jest to trudniejszym do osiągnięcia, lecz wydostać je i zastąpić zdrowymi musimy, gdyż inaczej cały gmach naszej osobowości i poczucie godności będą zarysowywać się, wymagać naprawy i podpórek z zewnątrz.

Szczerść wobec samego siebie, umiejętność uznawania swej winy i słabości, wierność w drobnych rzeczach — oto są momenty zapoznane, a jednak niezbędne do normalnego ruchu naprzód. Drobiazgi są, oczywiście, same przez się niczym, ale wszak stanowią one cząsteczki całości. I jako takie winne być rozpatrywane. Istnieje pewna hierarchia wartości zjawisk w naszym życiu. Wtedy gdy mamy przed sobą zjawisko wymagające maksimum nasilenia uczuć, nie będziemy zajmować się drobiazgami, odłożymy je na inną chwilę.

— Nie lubię tamtego nauczyciela — mówiła mi z niedobrym zacięciem ust mała Lodzia: — gdy umarła moja mamusia i ja przyszłam do szkoły, to ja zapłakałam. A on mi zaczął uwagę zwracać, że ja mam brudne paznokcie i że teraz bez mamusi to już sama muszę dbać o to, by być zawsze czystą. Nie lubię go i już.

Co można dodać do tego? Nie w porę przyszła ta uwaga pedantycznego, skądinąd zacnego nauczyciela. Nie znalazła w dziecku oddźwięku, raczej wywołała echo niedobre, dysonans. Ale na każdą rzecz przychodzi czas. I czas na rzeczy drobne znaleźć trzeba w odpowiedniej porze naszego dnia pracy, tak jak nie można nie znaleźć chwili na wymiatanie śmieci z kątów i odkurzanie biurka, gdyż inaczej te drobne rzeczy bardzo nam zatrują życie.

Mówię o tym w związku z kształceniem nauczyciela, nie zaś omawiając sylwetkę jego, ponieważ wydaje mi się, że te właściwości wyrabia w nas wychowanie. Dlatego w całokształcie programu, mającego na celu przygotowanie nauczycieli do ich zawodu, nie wolno ich pominąć. Inaczej i tak wrócić będziemy musieli do nich i uzupełnić te niedociągnięcia podczas pracy, gdy skutki naszych wad i braków w przygotowaniu przekonają nas, że bez tego nasz ruch naprzód zostaje zahamowany.

Tak było ze mną. Nie otrzymałam systematycznego przygotowania do swej profesji. Musiałam je ciągle uzupełniać, szukać i błąkać się. Dużo drogi nałożyłam, zanim doszłam do pewnych wyników, które osiągnęłabym znacznie wcześniej, o ile nie straciłabym czasu na poszukiwania. Uczyłam się w życiu swym dużo i nieco chaotycznie. Oprócz zakładów naukowych, które ukończyłam (gimnazjum, uniwersytet i Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej), dużo studiowałam na własną rękę. Języki obce, gra na fortepianie, lekcje rysunków i malarstwa, pisanie na maszynie, kurs pielęgniarstwa chorych, poza tym zaś epizodyczne okresy wzmożonego zainteresowania bądź jedną, bądź inną nauką. W ciągu 4 semestrów uczęszczałam na niektóre wykłady Wydziału Lekarskiego w Tomsku, dość gruntownie przestudiowałam psychiatrię, choroby nerwowe i dziecięce oraz wiele godzin spędziłam w salach *anatomicum*, chciwie śledząc sekcje, szczególnie zaś zajęcia w grupie medycyny sądowej. Wiedza ta leżała w zakresie moich zainteresowań, wyczuwałam jej potrzebę, związaną z coraz to rosnącym zainteresowaniem dziećmi anormalnymi. Były jednak dziedziny zupełnie przypadkowe, jak krótki kurs kroju i szycia, z którego nic nie wyniosłam, bo jestem wybitnie niezdolna w tym kierunku. W latach 1929–1939 zdobyłam doktorat z prawa karnego. Czy przydało się w szkole przy bezpośredniej pracy z dziećmi coś z tego morza nauk, jakie wlewałam do swej głowy?

Przydały się rzeczy następujące:

- 1) Ojciec rozbudził zainteresowanie nauką, nauczył uważnego ustosunkowania się do zjawisk otaczającego życia oraz wpoił szacunek do każdego człowieka.

- 2) Gimnazjum, które zawsze wspominam z wdzięcznością, dało wzory dobrych pedagogów, pozwoliło nabyć umiejętność do pracy samodzielnej i doszukiwania się w książkach odpowiedzi na wyraźnie postawione sobie pytanie. Dało też zasadnicze pojęcie o pedagogice (w klasie VIII).
- 3) Języki obce ogromnie ułatwiły samokształcenie i podróż, którym dużo zawdzięczam.
- 4) Fragmentaryczne wiadomości z dziedziny medycyny kazały podchodzić do wad dziecięcych bez uprzedzenia, jako do choroby raczej niż do winy.
- 5) Wydział Prawniczy dał impuls do zajęcia się zagadnieniem przestępczości nieletnich, co zmusiło do przeczytania znacznej ilości dzieł w tym kierunku i do głębszego przemyślenia sprawy.
- 6) Instytut Pedagogiki Specjalnej utwierdził w poczuciu słuszności moich raczej intuicyjnie nabytych poglądów na wychowanie. Pogłębił świadomość z dziedziny psychologii, przede wszystkim zaś stał się tą placówką, do której można było zawsze w każdej wątpliwości i rozterce natury pedagogicznej czy ogólnej zwrócić się po radę i wskazówkę.

Nie wymieniłam studiów uniwersyteckich ani późniejszych dociekań swych związanych z pracą doktorską, gdyż bezpośrednio na pracy w szkole okoliczności te nie zaważyły. Wzbogaciły wewnętrznie, jak wzbogaca człowieka każda poważnie traktowana wiedza czy umiejętność. Pod tym względem jednak wpływ ich nie był większy niż wpływ tego lub innego przeczytanego utworu, mocniej przeżytej sztuki scenicznej, fragmentów życia osobistego. Wszystko to niewątpliwie odbiło się na pracy, nie stanowiło jednak części przygotowania do niej, było raczej częścią pracy wewnętrznej służącej do pokonania trudności, o których będę mówiła w następnych rozdziałach.

Kształcenie nauczycieli według mego głębokiego przekonania winno (po uprzednio starannie dokonanej selekcji odpowiednich osobowości):

- a) wskazać jasny, wyrazisty i wyższy cel, który istotnie przyświecać będzie każdemu, kto podejmuje się pracy w szkole, stanie się **jego** celem;
- b) dać pewną, niezbyt wielką ilość niewzruszonych zasad pedagogicznych oraz umiejętność obserwowania dziecka;
- c) zorientować co do istnienia różnorodnych nauk z dziedziny pedagogiki i pokrewnych jej gałęzi wiedzy, by później — zależnie od kierunku swych zainteresowań — każdy mógł pogłębiać te wiadomości, które uzna za potrzebne;
- d) nauczyć samodzielnej pracy badawczo-naukowej;
- e) wyrobić samokrytykę i uczciwą samoocenę;
- f) rozbudzić żywe zainteresowanie zjawiskami otaczającego życia.

Wszak nauczyciel, dążąc sam i prowadząc powierzone sobie dzieci do wyższego, drogiego mu celu, będzie musiał ustawicznie obserwować dzieci, samego siebie i otaczające życie oraz regulować wzajemne stosunki tych czynników. Do tego musi być przygotowanym. Takie ujęcie zadania nauczyciela pozwala na rozstrzygnięcie niejednego z pytań, które niekiedy domagają się konkretnej odpowiedzi.

Nieraz zadawałam sobie pytanie, czy nauczyciel zawsze może pełnić swoje funkcje? Przypuśćmy, że zawód swój wybrał trafnie, nadaje się do niego, otrzymał właściwe przygotowanie zawodowe i uzbrojony jest w arsenał potrzebnej wiedzy i nawyków. Przez szereg lat zastosowanie ich dawało w praktyce wyniki dodatnie. Czy przesądza to jednak dalszą dodatnią i pożyteczną pracę? Przecież życie jest ustawiczną zmianą. Zmienia się wszystko dookoła nas. *Panta rhei*². Zmienia się więc i nauczyciel. Bywają zmiany krótkotrwałe, mniej dostrzegalne, są momenty lub okresy lepsze i gorsze. Czasem „nie idzie” nam praca, mamy jej dość, pragniemy zmiany, nie wierzymy

² Gr. *panta rhei* (πάντα ῥεῖ) ‘wszystko płynie; wszystko na świecie jest zmienne, płynne, nietrwałe’. Powiedzenie przypisywane Heraklitowi.

we własne siły, w to, co robimy. Zdarza się i tak, że pod wpływem tych lub innych przeżyć następuje głębokie załamanie się i zniechęcenie do zawodu.

Trzeba umieć odróżnić od siebie nastroje przemijające od chronicznych. Ustalić, czy zwalczenie ich lub usunięcie powodów leży w naszej mocy. Trzeba zmusić siebie do opanowania i wytrwania — o ile leży to w naszej mocy — lub powiedzenia sobie prawdy — o ile przekonaliśmy się, że nie nadajemy się dalej do pracy: chwilowo lub na stałe. Trzeba wreszcie — o ile trudności leżą poza nami — umieć odważnie spojrzeć im w oczy, zanalizować je, zrozumieć, znaleźć środki zaradcze na nie i zwycięsko je pokonać.

Trudności, z którymi walczyć musi nauczyciel

.....

Dzieci

- 1) Trudności wypływające z braku wiedzy lub doświadczenia u nauczyciela oraz błędów naszych.
- 2) Dobór typów dzieci i nauczycieli do siebie.
- 3) „Złe chwile”.

Pomiędzy projektowaniem czegoś a urzeczywistnieniem zamiaru leży duża przestrzeń. Najwznioślejsze koncepcje porównywane w swych założeniach przy zetknięciu się z konkretnymi warunkami życia okazać się mogą nierealnymi, fantastycznymi. Przyczyna nie zawsze tkwi w jakimś błędzie założenia. Bardzo często chodzi tu o to, iż twórcy projektu nie wzięli pod uwagę trudności, z którymi zetknąć się musieli ci, którym w udziale przypadła realizacja pięknej teorii. Dopiero wtedy, gdy próba wcielenia wymarzonej koncepcji w życie powiodła się, gdy piętrzące się na drodze do jej urzeczywistnienia przeszkody dały się usunąć lub ujarzmić, możemy wydać sąd o wartości jej. W naszym zawodzie trudności i niespodzianek jest tak wiele, że nie popełnimy wielkiego błędu twierdząc, iż praca nasza w znacznej mierze składa się z ich przewyciężania. Więcej — fakt istnienia trudności warunkuje do pewnego stopnia pracę twórczą, wpływa na rozwój, pogłębienie i polepszenie dotychczasowych sposobów postępowania.

Dzieci umysłowo niedorozwinięte, stanowiące prawdziwą klęskę w klasie normalnej, po wyodrębnieniu ich i znalezieniu właściwych dla nich metod, spowodowały wielki rozkwit pedagogiki, gdyż system nauczania, który umożliwił wpojenie

wiadomości szkolnych tym dzieciom, okazał się prawdziwą rewelacją w zastosowaniu do dzieci zdrowych, normalnych. To samo da się powiedzieć o zagadnieniach natury wychowawczej, kolebką których stać się mogą zakłady pedagogiki leczniczej przeznaczone dla jednostek z wadami charakteru. Przystępując do pracy, musimy zdawać sobie jasno sprawę z tego, iż trudności będą. Nie trzeba bać się ich, raczej winniśmy powiedzieć sobie, że spełniają one rolę dodatnią, ułatwiającą nam często postęp i uwypuklającą dodatnie wyniki wysiłków naszych. Nasuwa się porównanie z rysunkiem, gdzie ciemne plamy i linie przyczyniają się do podkreślenia płaszczyzn jasnych, które bez nich wydawałyby się szarymi. W trakcie zastanawiania się nad rolą trudności w pracy nasunęła mi się myśl o tym, jak trafną jest nazwa, którą mowa naszego narodu określiła przeszkody piętrzące się na drodze do osiągnięcia jakiegoś celu. Obcy jest nam niemiecki zwrot *Schwierigkeiten*¹, wyraźnie podkreślający, że są one ciężarem. Mowa francuska, obok słowa *difficulté*², używa dla określenia pojęcia zadania sobie trudu bolesnego *se donner de la peine*^{3*}. My to wszystko, co piętrzy się pomiędzy naszym postanowieniem, zamiarem, ideałem a wprowadzeniem go w czyn, określamy wyrazem pełnym głębokiej mądrości ludu naszego: *trudności*. Przeciwności są, wymagają wysiłku, mozołu, trudu. Jednak wiemy, że winniśmy je przezwyciężyć i że jest to możliwym. Zdarzają się ciężary z zewnątrz i od wewnątrz. Bardziej dotkliwie odczuwamy niewątpliwie grupę drugą. Do niej wrócimy w odpowiednim rozdziale tych rozważań, gdy zastanowimy się nad pracą dotyczącą udoskonalenia wewnętrznego. Teraz zaś przyjrzymy się trudnościom, które napływają do nas z zewnątrz, zależnie od warunków pracy naszej. Najbardziej istotnymi, wymagającymi głębokiego przemyślenia, są trudności związane z dziećmi, wpływające ze stosunku, jaki łączy dwa pokolenia: człowieka dorosłego a dzieci, nauczyciel wychowawcę a uczniów wychowanków. Te dwie grupy ludzi są nierozzerwalnie związane ze sobą, wzajemnie uwarunkowują

¹ Niem. *Schwierigkeiten* 'trudność'.

² Fr. *difficulté* 'trudność'.

^{3*} Fr. *se donner de la peine* 'zadawać sobie trud, wysilać się, robić sobie kłopot, zawracać sobie głowę, męczyć się'.

swe istnienie. A jednak harmonia pomiędzy nimi nie jest czymś, z czym spotykamy się zawsze. Jakże często interesy ich znajdują się — według mniemania jednej czy drugiej strony — w rażącej sprzeczności. Tam gdzie trudności tzw. „wychowawcze” stale narastają i przybierają na sile, tam współpraca, dążenie do celu wychowawczego jest bardzo utrudnione, niekiedy nawet uniemożliwione. Jest to ze wszystkich przeciwności na drodze nauczyciela jedno z najboleśniejszych i najbardziej niebezpiecznych, gdyż zatruwa u samego źródła prąd jej energii. Obserwując liczne zastępy nauczycieli, z którymi stykałam się w swej pracy na czas dłuższy lub krótszy, odniosłam wrażenie, że zniechęcenie do zawodu, niechęć do ludzi, mizantropia i stetryczenie następuje prawie wyłącznie w wypadkach, kiedy wzajemny stosunek wychowawcy i dzieci nie dał się ułożyć w pożądaną formę współżycia, gdzie zatargi przestały być już nawet „trudnościami”, lecz przerodziły się w zaciętą, pełną niechęci walkę. Obie strony, podrażnione i czujne, całą energię wkładają w zapasy, widząc w nich tylko swoją rację, swoją krzywdę lub obrażoną ambicję. Dziecko wychodzi z niej bardziej zwycięsko, gdyż będąc nawet od czasu do czasu stroną słabszą, odczuwa wtedy raczej niechęć i potrzebę odwetu, której nie wstydzi się. Wychowawca zaś jest w razie porażki upokorzony, szuka wyższych racji i argumentów, żeby usprawiedliwić wobec samego nawet siebie coraz to narastające uczucie żalu do swych „dręczycieli”.

Są to, na szczęście, tylko sporadyczne wypadki, tragizm których polega między innymi i na tym, iż postać takiego nauczyciela męczennika dla postronnego widza zabarwiona jest swoistą śmiesznością i dlatego często wykorzystana została do tematów komedii. Jednakże trudności płynące z nienormalnie układających się stosunków z dziećmi istnieją w pracy prawie każdego wychowawcy. Wiemy dobrze, ile one nas kosztują. Miałam zawsze stosunkowo wielką łatwość zżycia się z dzieciarnią, a jednak chwile zadrażnienia, napięcia stosunków, nawet konfliktów zdarzały się i stanowiły dla mnie momenty smutne, nad którymi nigdy nie potrafiłam przejść do porządku dziennego. Zmuszały one do wielkiego trudu poddania rewizji swego postępowania, meritum sytuacji, w której powstały, wnikięcia w psychikę dzieci, z którymi nie powiodło mi się.

Bardzo często trudności te powstają u nauczyciela w początkowym okresie jego pracy, kiedy brak mu jeszcze należytej wiedzy psychologicznej i doświadczenia i dlatego popełnia on liczniejsze błędy. W jednej z klas gimnazjalnych w Tomsku, gdzie chwilowo zastępowałam nieobecną nauczycielkę języka francuskiego, popełniłam na samym wstępie kilka błędów. Nie poinformowałam się dokładnie o dotychczasowej metodzie pracy, nie zaznajomiłam się z materiałem dziecięcym, tylko od razu, będąc pewną metody zastosowanej przedtym z powodzeniem w innej klasie, usiłowałam wprowadzić ją w życie na nowym dla siebie terenie. Spotkałam się z krytyczną rezerwą dziewczynek. Z większym jeszcze naciskiem próbowałam zastosować ją, w wyniku czego dał się odczuć wyraźny opór. Zakwalifikowałam dzieci we własnej ocenie do „mniej sympatycznych” i traktowałam lekcje w ich klasie jako jeden z obowiązków, który trzeba wykonać, lecz który nie daje nawet części tego zadowolenia, jakie wynosi się z pracy w innych klasach. W późniejszych latach pracy również zdarzały się napięte stosunki z grupami dzieci, o ile spotykałam się z nimi sporadycznie, w zastępstwie albo musiałam iść do obcej klasy na lekcje poszczególnego przedmiotu i to jeszcze nie lubianego przeze mnie. Gdy teraz uprzytamniam sobie te wypadki, widzę jasno, że miały one miejsce przeważnie wtedy, gdy klasa była w rękach wychowawcy o poglądach pedagogicznych krańcowo różniących się od moich. Ciekawym jest to, że często „najgorzej zachowywali się” uczniowie, którzy na lekcjach swego wychowawcy byli, według jego słów, bez zarzutu. Okazywało się również, że nie tylko ja wyszłam z klasy niezadowolona, ale i dzieci miały mi niejedno do zarzucenia: „Niewyraźnie pisała na tablicy! Mnie nie zapytała ani razu... Nie przejrzała zeszytów... Inaczej tłumaczyła niż pan i my nie zrozumieliśmy...”. To samo zjawisko dawało się często zaobserwować, gdy w czasie mej nieobecności zastępowali mnie inni nauczyciele. Ilekroć do klasy szedł ktoś, z kim łączyła bliższa niż wspólnoty poglądów co do systemu wychowawczego, słyszałam słowa uznania dla moich urwiskości. Prawie zawsze jednak, gdy obejmował klasę nauczyciel o innym (nieraz zupełnie słusznym i wartościowym, tylko opartym o inne przesłanki niż moje) podejściu do spraw pedagogicznych, musiałam w następstwie wysłuchiwać

całego szeregu skarg lub przynajmniej opowiadań o wyczynach uczni. Sprawdzałam, przeprowadzałam całe dochodzenie i okazywało się, że relacje wcale nie były przesadzone. Chłopcy istotnie zachowywali się skandalicznie. Sami to zresztą uznawali z mniejszą lub większą skruchą. Nie przeszkadzało im to zresztą przy następnej analogicznej okazji postąpić w ten sam lub jeszcze gorszy sposób.

Znaczniejsza liczba nieporozumień i zatargów z dziećmi daje się zauważyć również wtedy, gdy nie jesteśmy uzbrojeni w wystarczającą ilość wiedzy faktycznej. Ja na przykład nie posiadam dostatecznej znajomości fizyki i nie lubię uczyć tego przedmiotu. To samo, może tylko w większym jeszcze stopniu, dotyczy ćwiczeń cielesnych, prowadzenia których wprost nie znoszę, jakkolwiek całkowicie uznaję potrzebę ich. Otóż na tych właśnie godzinach lekcyjnych miewałam najwięcej nieporozumień, zgrzytów z dziećmi, wzajemnego niezadowolenia i trudności z opanowaniem karności. Unikałam też, jak mogłam, podejmować się tych przedmiotów. W ostatnim roku, nie mogąc w żaden inny sposób wykręcić się od przykrej pańszczyzny, jak w duchu nazywałam godziny gimnastyki, obróciłam je na marsze i zabawy prowadzone przez wybitnie wysportowaną i zamiłowaną w ćwiczeniach uczennicę swej klasy. Hela, której wytłumaczyłam, zupełnie zgodnie z prawdą zresztą, iż chore serce nie pozwala mi na gwałtowne ruchy, radziła się zawsze przedtym ze mną, potem zaś prowadziła zupełnie poprawne lekcje, oczywiście w mej obecności, co dodawało jej więcej powagi. Dzieci godziny te bardzo lubiły i karność absolutnie nic nie pozostawiała do życzenia. Opowiadanie zbliżone do powyższego zdarzało mi się słyszeć niejednokrotnie od kolegów, szczególnie zaś początkujących w swym zawodzie. Charakterystycznym jest, że w wypadkach kiedy nauczyciel zdaje sobie sprawę z braków w opanowaniu przedmiotu i sam rzetelnie pracuje nad ich usunięciem, trudności wychowawcze maleją szybko, w ogóle nie przybierają na ostrości. Niekiedy zaś właśnie na godzinach takich przedmiotów klasa zaczyna zachowywać się jak najlepiej. W pierwszych latach mej pracy szkolnej odczuwałam wielki brak wiadomości z dziedziny metodyki nauczania arytmetyki. Ponieważ jednak hospitując lekcje kolegów dobrze

znających ten przedmiot, przekonałam się, jak ważnym czynnikiem w kształtowaniu charakteru jest nauka matematyki, nabrałam do niej należytego respektu. Zaczęłam pracować nad uzupełnieniem luk i doszłam do tego, że na żadnej innej godzinie lekcyjnej nie było takiego nastroju pracy jak podczas nauki rachunków. Zatargi pomiędzy nauczycielem o zbyt małym doświadczeniu i przygotowaniu psychologicznym z całą grupą dziecięcą powstają niejednokrotnie na tle dotkniętej ambicji czy to samego nauczyciela, czy też zbiorowego poczucia godności klasy. Typy nauczycieli o silnie rozwiniętej potrzebie rządzenia, panowania bardzo mocno odczuwają krytykę ze strony dziecka, a coś dopiero, o ile krytyka ta wydaje się ironiczną, pozbawioną należytego szacunku. Moment „jak oni śmieli!” jest częstym bodźcem do zaostrzenia konfliktu, ponieważ urażony pedagog ma w pogotowiu na tłumaczenie swego gniewu ważki argument, iż nie wolno mu nie reagować na bezczelność, ukaranie zaś niesfornej gromadki jest jego obowiązkiem. Ciekawe, że dzieci świetnie zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje w takich wypadkach w duszy nauczyciela i wykazują dużą dozę pobłażliwości. W rozmowach z uczniami przychodzącymi do szkoły specjalnej z innych zakładów naukowych nieraz wyjaśniało się, że pan „obraził się” i zaczął potem „złuć się na wszystkich” i to właśnie dało początek do dalszych nieporozumień, które skończyły się wydaleniem.

Z hałasem, szamotaniem i urywanymi wyrazami oburzenia i protestu wpada do kancelarii szkoły walcząca grupa: nauczyciel i wyrostek przyciągnięty aż tu. Nauczyciel jest tak wzburzony, że wprost mówić nie może, chłopak ponury, lecz spokojny. Z relacji nauczyciela wynika, że Edek zachował się niżej wszelkiej krytyki, całą klasę zbuntował, śmieszył, nikomu nie dał pracować, że jest bezczelnym degeneratem, który rozsadza szkołę. Z trudem docieram do tego, że gdy dzieciom na lekcji pokazano rysunek barana, Edek, który w tym dniu był istotnie specjalnie ruchliwy, pozwolił sobie na uwagę, że baran bardzo podobny jest do pana. Podnoszę oczy i z przerażeniem czuję, że mam ochotę roześmiać się. Dopiero w tej chwili bowiem dostrzegłam istotne podobieństwo. Jedynym ratunkiem było mocne uszczypnięcie własnej ręki pod stołem, przybranie

.....

marsowej miny i strofowanie niesłuchanego wybryku najsroższym głosem. Winowajca przyjmuje gniew mój z objawami wielkiej skruchy, bez słowa protestu, dowiaduje się, że nawet marzyć nie może o jutrzejszym teatrze, przykładnie przeprosza obrażonego pedagoga, który uspokojony wraca do klasy. Ja w dalszym ciągu peroruję. Gdy ucihły kroki na schodach, Edek konfidentjonalnie powiedział:

— Już nie słyszy, proszę panią! Już można nie krzyczeć.

Nie wolno mi i teraz śmiać się. Staram się wytłomaczyć chłopcu całą niestosowność jego zachowania się. On zaś uprzejmie, ale stanowczo mówi na zakończenie:

— Najgorzej z obrażliwymi nauczycielami: taki niby to daruje, ale przez cały rok pamiętać będzie. Ja już wiem, że nic nie poradzę. Będzie u nas często raban z tym panem, co nie jest podobny do barana.

Niemniej trudne sytuacje wynikają wtedy, gdy klasa uczy się obrażoną. Niebezpieczne są takie zwroty, jak: „Wy nic nie umiecie... wy zawsze, wszyscy...” Opór jest gotowy. Tylko nie-liczna gromadka lizusów specjalnie stara się, bo w podobnych sytuacjach kryją się dla nich wielkie możliwości. Mogą wtedy wykazać, że na ogólnym tle niegodziwego, zdemoralizowanego społeczeństwa oni są elitą, czymś lepszym i wyższym. Całość zaś nastawiona jest nieżyczliwie. Ku swemu zmartwieniu spostrzega wychowawca, że nieprzychylny nastrój ogarnął i tych najlepszych w klasie, których wcale nie miał na myśli, wypowiadając swe niefortunne: „Wy wszyscy...”. Dopiero na skutek jego błędu odczuli oni wyraźnie swoją przynależność do grupy i teraz dokumentują ją w ten sposób, że nie życzą sobie wyróżniać się *in plus*.

Wielkie kłopoty mieli nauczyciele Litwini w naszych klasach za każdym razem, gdy w ferworze „nawracania” używali uogólnień: „Polacy, wy bydle!”. Ostre zatargi, z których dzieci później tak szczyły się jak z wyczynu patriotycznego, miały jako podłoże reakcję na niezręczne powiedzenie, godzące w zbiorową ambicję. Te same dzieciaki, które dziś najwięcej awanturowały się, potrafiły nazajutrz prosić tegoż nauczyciela o pieniądze na bilet do kina. Zastrzegam, że lata okupacji pozwoliły mi

zaobserwować wiele przejawów ślicznego, szczerego patriotyzmu naszych najmłodszych. Wybuchał w różnych momentach i stanowił nieraz to, co mogło być wzorem dla nas starszych. Tu zaś chodzi mi jedynie o to, by nie identyfikować chwil zatargu gromady na tle zadraśniętej ambicji zbiorowej, owiniętej w demagogiczne frazesy, z istotnym patriotyzmem.

Dla osiągnięcia i utrzymania należytego współżycia z gromadą ważną rzeczą jest czujne ustosunkowanie się do nastroju danego dnia lub godziny. Jeżeli coś mocno zaabsorbowało społeczność klasy — nie wolno nam tego zlekceważyć. Powinniśmy okazać zainteresowanie tym, co ją żywo obchodzi w danej chwili i dopiero później możemy usiłować skierować uwagę klasy na to, co leży w naszych zamiarach w danym dniu. Przy tym nie należy zapominać, że mogą zdarzyć się niespodziewane nastroje tak silne i trwałe, że będziemy zmuszeni poświęcić im dużo więcej czasu, niż wydaje nam się to możliwym w pierwszej chwili.

W klasie prowadzonej bardzo starannie i systematycznie sportręga doświadczona nauczycielka pewnego ranka, że nikt sobie nic nie robi z jej przemyślanego i — zdawać by się mogło — interesującego nawiązania do projektowanego materiału nauczania. Wyjaśnia się, że w gazecie jest wiadomość o śmierci słynnego i bardzo popularnego wśród warszawskiej młodzieży atlety Steckera. Nie pozostało jej nic innego, jak odłożyć zamierzoną pracę na następną lekcję, teraz zaś wziąć gazetę, wspólnie przeczytać nekrolog i okazać odpowiednie zmartwienie ze smutnej wiadomości. O mały włos nie stało się nieszczęście, skutki którego mogły być nieobliczalne. Mały Genio, żywiołowy wielbiciel wielkiego cyrkowca, podczas czytania uniósł zapłakaną mordeczkę i słuchał uważnie. Gdy jednak nauczycielka przeczytała zdanie: „W ostatnim tygodniu maligna nie opuszczała go ani na chwilę”, chłopak na nowo załapał się łzami i ze szlochem wyksztusił:

— Jak ona go musiała kochać, biedna! Kobiety zawsze szalały za nim.

(Słowo „maligna” zrozumiał jako imię kobiece.) Całe szczęście, że nauczycielce udało się zamarkować gwałtownym atakiem udanego kaszlu mimowolny wybuch śmiechu, od którego jej aż

ły stały w oczach. I te właśnie ły zostały zauważone przez Genia i przyczyniły się jeszcze więcej do jego życzliwego ustosunkowania względem „naszej pani”. Niedługo potem mówił mi o tym, jaka ona jest „morowa”. Czy mogłam dziwić się, że w innym wypadku próba wywołania współczucia do kolegi z sąsiedniej klasy, któremu umarła matka, nie udała się? Pierwotne rozgoryczenie, jakie odczułam, widząc bezpłodność swych usiłowań, znikła bez śladu, skoro tylko zauważyłam, że cała uwaga dzieci jest pochłonięta przyniesionym do szkoły zajęczkiem, którego ulokowano pod ławkami. W danym odcinku czasu był on o wiele ważniejszym niż przeżycia innego dziecka, do tego jeszcze mało znanego.

Do znanych każdemu wychowawcy momentów kryjących w sobie niebezpieczeństwo zatargu z gromadą zaliczyć trzeba także takie błędy z naszej strony, jak upieranie się przy omyłce zauważonej przez dzieci.

— Pani zapomniała napisać kreskę nad !. Wyszło *lapa* — woła ktoś, może i niezbyt „grzecznie”. Pozostaje jedynie podziękować i natychmiast poprawić błąd. Biada zaś temu, kto zacznie gniewać się, zacznie dowodzić, że kreska była „ot, tu” i strofować za wścibstwo:

— Lepiej byś uważał na własne zeszyty; robi błąd na błędzie i jeszcze wyskakuje z uwagami. — Tylko ośmiesza się w oczach klasy.

Wreszcie wydaje mi się, że nie należy zapominać o jednym jeszcze niebezpieczeństwie, które łatwo może zakłócić harmonię pomiędzy klasą jako całością a wychowawcą. Mam na myśli zatargi w obecności klasy z jej wodzirejem lub inną jednostką bardzo wśród gromadki popularną. Są to rzeczy trudne, wymagające wielkiego doświadczenia i intuicji wychowawczej. Początkujący nauczyciel winien pamiętać, że podobne zjawisko może mocno pogmatwać mu stosunki z dziećmi i wywołać niepotrzebne zmartwienia. Bardzo ważnym zagadnieniem dotyczącym powodzenia naszych wysiłków na terenie powierzonej nam klasy jest kwestia właściwego lub niewłaściwego doboru typów dzieci i nauczycieli, wzajemnego dopasowania ich do siebie.

— Miła, sympatyczna klasa..., nieznośna gromadka, najgorsze w całej szkole..., jak dobrze pracuje się z tymi dziećmi..., lubię tych gałganów.... — tak różnorodnie brzmią opinie nauczycieli o zespołach dziecięcych złączonych w jeden wspólny organizm, zwany klasą szkolną. Często zdania te pokrywają się ze sobą, czasem różnią się. Zdarza się i tak, że stanowią rażący kontrast co do oceny wartości grupy.

Co decyduje o obliczu zbiorowym klasy? Skład jej, czyli oblicze tych jednostek, które ją tworzą. Przez szereg lat mocno nurtowało mnie pytanie, jak znaleźć, ustalić określone kryteria, na zasadzie których formuje się grupy — klasy. Są tu bądź co bądź grupy trwałe, bo obliczone w zasadzie na cały rok wspólnego życia szkolnego. Z wyjątkiem klasy pierwszej, gdzie czynnikiem decydującym jest w ogromnej większości wypadków wiek dziecka wstępującego w okres obowiązkowego szkolnego, jedynym przejawem, który stanowi o zaliczeniu ucznia do tej lub innej klasy jest zasób posiadanej przezeń wiedzy szkolnej. Decyduje nie rozwój umysłowy, zdolności, stan zdrowia, charakteru, lecz przede wszystkim stwierdzona świadectwem szkolnym ilość wiadomości szkolnych. Nawet wiek w późniejszych latach przestaje być cechą, która wpływa na zakwalifikowanie do określonej grupy, ponieważ zjawisko drugoroczności i inne wstrząsy w życiu mogą nieraz oderwać je od pierwotnego zespołu, z którym rozpoczęło ono kiedyś wędrówkę w krainę zdobywania wiedzy. Jedyną miarodajną rzeczą jest świadectwo szkolne, jakkolwiek wydane ono bywa w niższych szkołach przez nauczycieli o bardzo różnych wymaganiach. Nie można nie zgodzić się z tym, iż jest to dokument, któremu brak jednolitej, niewzruszalnej wartości, na którym nie sposób polegać całkowicie. Dowodzi tego najlepiej fakt, iż okazało się potrzebnym uzależnić przyjęcie do szkół średnich od ponownego egzaminu kandydatów, nie zaś od konkursu świadectw szkolnych. Każdy z nas, komu zdarzało się formować nową klasę, przyjmując do niej uczniów kierowanych przez różne szkoły, wie, do jakiego stopnia niejednolity element pod względem zakresu opanowanych wiadomości przedstawiają sobą dzieci tej samej — zdawałoby się — klasy. Ubiegłej zimy zorganizowałam i prowadziłam klasę trzecią. Z dzieci wchodzących w jej skład właściwie

.....

należałoby utworzyć przynajmniej cztery grupy, do takiego bowiem stopnia różniły się pomiędzy sobą umiejętnościami swymi. Najlepiej zilustruje to następujący przykład. W pierwszym miesiącu pracy rozdałam dzieciom po kartce papieru, ołówku i napisałam na tablicy: „Co robi twoja mamusia?”. Gdy zebrałam kartki, znalazłam wśród nich takie, na których moje zdanie z tablicy zostało jedynie odwzorowane albo gryzmołami trudnymi do odcyfrowania było napisane: „mja mamuśa dobrbra” (widocznie „dobra”), „Mamsia pacuj” (chyba „pracuje”). W grupie następnej były krótkie odpowiedzi w rodzaju: „gotuje obiad”, „mamusia służy” (służy), „ona pojechała na wieś”. Załączyłam do tejsze paczki kartki, na których dziecko mniej lub więcej udolnie zilustrowało czynności matki rysunkiem, nic nie pisząc. Grupa wyższa objęła sobą takie kartki jak: „Mamusia szyje, mamusia gospodarzy”, „Moja mamusia pracuje w fabryce”, „Ja nie mam mamusi”, wreszcie: „Mamusia tylko złości się i krzyczy”. Wreszcie wśród kilku karteczek, które wydzieliłam do najwyższej kategorii, czytamy: „Mamusia moja ma bardzo dużo pracy. Ona wstaje rano i gotuje śniadanie. Potym mamusia idzie do kolejki i potym obiad musi gotować⁴. Ja mamusi po obiedzie pomagam. Ja zmywam naczynia, a mamusia pierze albo szyje”. Drugie: „Mamusia z nami nie mieszka. Ona ma drugiego męża, niedobrego. Ja mieszkam u cioci. Ciocia pracuje na fabryce i jest dobra. Ja wolę ciocię, jak tamtą mamusię”. Czyż można poważnie mówić o jednakowym poziomie dzieci z pierwszej i czwartej grupy? A jednak znalazły się one w tej samej klasie i w ciągu całego roku szkolnego musiały pracować nad opanowaniem tegoż samego materiału programowego. Jeżeli poziom wiadomości stwierdzonych oficjalnym zaświadczeniem szkoły przedstawia tak różnorodną wartość, to co mamy powiedzieć o uzdolnieniach, temperamencie, cechach charakteru i innych właściwościach dzieci w klasie? Tu dobór najczęściej pozostawiony jest zupełnemu przypadkowi. Znajdzie się kilkunastu sangwinków⁵ i oblicze klasy nabiera swoistego zabarwienia. Hałaśliwa,

.....

⁴ Za czasów okupacji stanie w kolejkach przy sklepach, gdzie wydawano artykuły spożywcze, zajmowało dużo czasu.

⁵ Sangwinik — osoba spontaniczna, towarzyska, wykazująca się optymizmem i łatwością w nawiązywaniu kontaktów towarzyskich.

ruchliwa, trudna do opanowania, lecz łatwa do zainteresowania, chętnie zabierająca się do każdej proponowanej przez nauczyciela czynności — jednocześnie zaś nieobowiązkowa i roztrzepana gromadka, o której jedni powiedzą: „Miła ta pani dzieciarnia, lubię tam pójść na godzinkę”, inni zaś z chłodną rezerwą oznajmią: „Ja bym tych bachorów radziła krócej trzymać — brak im bardzo karności”. Po upływie pewnego okresu czasu nauczyciel wycisnie ślad swej indywidualności na obliczu klasy. Wszak dzieci odznaczają się wielką elastycznością i dostosowują się dość łatwo w zewnętrznych formach bytowania do wymagań. Toteż klasa wkrótce przyjmuje na siebie nową szatę powierzchowną.

Sprawa oblicza klasy jako całości zależy więc przede wszystkim od jej składu, potem zaś od siły wpływu wychowawcy na gromadę. Dzieci pozostają te same, bo tak prędko nie zmieniają się zasadnicze cechy ich charakteru. Wiemy, jak długiej i żmudnej pracy wymaga przewyciężenie wady lub rysu psychiki nawet w takich wypadkach, gdy mamy absolutnie zapewnione współdziałanie wychowywanego, który pragnie tego samego, co my. Nie zmieniła się więc tak prędko jakość dzieci, pozostali tymi samymi ich temperamenty, wady i zalety. Zmieniła się jedynie czysto zewnętrzna szata ich zachowania się w zakresie codziennego współżycia. Współżycie to ułożyło się niekiedy w ramach chętnego, zgodnego wykonywania pewnej ilości często powtarzanych czynności związanych z regulaminem lub upodobaniami nauczyciela, które dzieci uprzytomniły się [!]. Mogło też przybrać charakter mniej lub więcej otwartej walki tam, gdzie wymagania i upodobania wychowawcy budziły (nieraz zupełnie nieuświadomiony) protest tej części grupy, która stanowi o jej obliczu. Czasem chodzi tu o większość klasy. Przypuśćmy, że zawiera ona w sobie wiele jednostek cholerycznych, hiperambitnych, zawziętych, które uczuły się dotkniętymi w swej godności i którym nauczyciel nie spodobał się. Albo też źródłem niepowodzenia będzie grupa nieliczna, lecz obdarzona poklaskiem i uznaniem pozostałych. Ją to właśnie przeoczył wychowawca, nie wziął w rachubę, dopuścił do wrogiego nastawienia i obecnie zjawisko to wpływa na oblicze klasy i rozsadza pracę. Wzajemne dopasowanie typów psychicznych

nauczycieli i dzieci wydaje mi się zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. Pracując w szkole specjalnej i otrzymując z różnych szkół „wybrakowany” materiał dziecięcy, dość często spotykałam się ze zjawiskiem przysyłania przez tego bądź innego nauczyciela jednostek o zbliżonych do siebie cechach. Pan X wyzbywał się szczególnie chętnie błaznów klasowych psujących mu nastrój powagi pracy. Y skierowywał do nas chłopców hardych, lubiących dyskutować i znajdujących się w stałej opozycji do zarządzeń szkolnych. Wreszcie Z był szczególnie wrażliwy na punkcie obowiązkowości i dlatego jego *ex-pupile* byli to zawodowi „wagarzyści” i „nieodrabiacze” lekcyj. Wszak każdy z nas — o ile zastanowi się uważnie nad tą sprawą — stwierdzi, że są pewne typy, z którymi on radzi sobie lepiej, z innymi zaś idzie mu gorzej, są i tacy, do których wcale nie umie dotrzeć. Mnie osobiście zawsze łatwiej udawała się praca z chłopcami niż z dziewczynkami. Szczególnie zaś mozolnie nawiązywał się kontakt z uczennicami rozmiłowanymi w strojach, „modnisiakami” noszącymi ze sobą lusterka, ustawicznie poprawiającymi uczesanie i uważającymi niemodną sukienkę za tragedię. Mogły poza tym być zdolne, dobre, posiadać moc cech dodatnich, którymi zachwycaly się moje koleżanki z pracy. U mnie brakowało wspólnego z nimi tematu. One zaś również nie zdradzały większego zainteresowania do tego, co mnie mocno obchodziło: opowiadań moich, zwykle lubianych przez dzieci, słuchały z obowiązku, niekiedy znudzoną miną albo otwarcie zajmowały się czymś innym, na przykład odrabianiem lekcyj, prymitywnym *manicurem* itd. Nie potrafię sobie wytłumaczyć tego zjawiska, lecz nie tylko w klasie, ale i w życiu swym w ogóle nigdy nie potrafiłam znaleźć głębszych i trwałych punktów stycznych z osobami rozmiłowanymi w barwach czerwono-brązowych o rdzawym odcieniu. O ile nawet nawiązywały się życzliwe, poprawne stosunki, zawsze później okazywało się, że tak różniły się w swych zapatrywaniach i dążeniach, że następowało zupełne odsunięcie się od siebie. Uprzytomniłam sobie to zupełnie niedawno, robiąc w myślach przegląd tłumów ludzi, którym zawdzięczam dużo jasnych i dobrych okresów w swym życiu, lub którzy przyczynili się do zmartwień, zawodów albo przynajmniej przykrości i zdenerwowań. Ta druga kategoria zabarwiona jest w moich wspomnieniach wyraźnie „na ryżo”.

A przecież właściwie sam przez się kolor ten wcale nie wydaje mi się brzydkim. Tylko jakoś nie odczuwałam nigdy potrzeby nabycia strojów w tym odcieniu, darząc wyraźną sympatią wszystkie odmiany błękitu.

Spośród chłopców największe trudności co do zbliżenia i znalezienia wspólnego języka miewałam przeważnie z uległymi, ugrzecznionymi, na pozór potulnymi typami, bardzo często odznaczającymi się małym wzrostem. Tacy od razu usiłowali usiąść gdzieś w ostatnich ławkach i — nie biorąc udziału osobistego w żadnej awanturze klasowej — dostawali błyszczących oczu i radosnych wypieków na twarzy, ilekroć kto inny wydatnie naruszył normalny bieg życia.

Z niektórymi dziećmi znajdziemy prędzej czy później *modus vivendi*. Może to być po okresie zażartych walk, wzajemnych rozgoryczeń, ostrych konfliktów, ale jednak — o ile szczerze i uczciwie dążymy do spełnienia swego obowiązku, szukamy dróg oddziaływania, nie zaś narzucenia swej woli — koniec końców będzie dobrze. Bywa i tak, że decydującym jest nie moment rozstania, ale po dłuższym nawet okresie niewidzenia się nastąpi chwila, gdy coś zmieni się w psychice naszego wychowanka i ziarno zakiełkuje.

W trzy lata po wyjeździe moim z Warszawy przyjechał do Wilna, odnalazł mnie i zgłosił się były nasz wychowanek Józio B., który w okresie największego nasilenia przykrości, jakie miałam podczas ostatniego roku pracy w tamtej szkole, robił mi wiele nieprzyjemności, groził, pozwalał sobie na ordynarne i niewłaściwe odezwania się itd. Otóż przyjechał, jak zapewniał, tylko po to, by przeprosić, bo „miejsca sobie znaleźć nie może”:

— Nie mogę wszystkiego powiedzieć. Zresztą moja wina to przede wszystkim, że dałem się wciągnąć do tego całego świństwa i byłem przeciwny pani. Przyjechałem, by pani mi darowała.

Śliczne, czarne oczy na bladej twarzy miały tyle wyrazu, że ani na chwilę nie mogłam wątpić o szczerości młodego człowieka. Zresztą wtedy niczego już ode mnie nie potrzebował. Przyjechał, otrzymał zapewnienie, że nie czuję do niego żalu i odjechał spokojny. Ja zaś pozostałam z uczuciem głębokiego

wzruszenia i radości, gdyż raz jeszcze przekonałam się, że dobry wysiłek nie ginie, zawsze, prędzej czy później, da plon. Są jednak sytuacje, kiedy żadnych zatargów ani przykrości nie ma. Ot, tylko po prostu nie nawiąże się nic wspólnoty z tym lub innym małym człowiekiem, bo nie ma ku temu warunków: jesteśmy zanadto różni. Zastanawiało mnie zawsze to, że dzieci same często wyczuwają, z kim im będzie lepiej. W wypadku gdy są klasy równoległe, spotykamy się często ze zjawiskiem próby przeniesienia do innego oddziału, bo „tam jakoś mi lepiej pójdzie”. Uważam, że dobrze byłoby powierzać klasy równoległe nauczycielom bardzo niepodobnym do siebie pod względem charakteru. Do zagadnień, nad którymi bardzo chciałabym popracować dłużej, zaliczam sprawę należytej selekcji dzieci do klas. Zdaje sobie bardzo wyraźnie sprawę z tego, jak ogromne znaczenie ma ta sprawa, nie umiem jednak jeszcze dać sobie jasnej odpowiedzi na pytanie, co jest lepszym:

- a) Pozostawienie sprawy doboru dzieci w klasie przypadkowi, tak jak przypadkowo dobiera się społeczeństwo składające się z bardzo różnych jakościowo jednostek.
- b) Pozwolenie na swobodny wybór przez dziecko grupy, do której je zaliczymy po dokonanej decyzji. Wymagałoby to istnienia kilku oddziałów równoległych.
- c) Celowe ugrupowanie dzieci według określonego klucza. Na przykład pewna ilość zdolniejszych i mniej zdolnych, lecz życiowo praktycznych, lepszych i gorszych, żeby klasy pod względem wartości układały się mniej więcej sprawiedliwie.
- d) Wyselekcjonowanie jednostek najlepszych, najzdolniejszych w oddzielne szkoły, jak uczynił to Wiedeń, oraz utworzenie szkół dla dzieci mniej wartościowych, gdzie liczebność klas jest o wiele mniejsza, co pozwala zapewnić im najtroskliwszą opiekę. Poza tym wiązałoby się to z doбором grup o podobnych lub wzajemnie uzupełniających się charakterach, zamiłowaniach itd.

W jednej z pracowni psychologicznych Londynu miałam możliwość poznania dr Löwenfeld⁶, która rozpoczęła w roku 1932 zajmujące próby celowego doboru typów wychowawców do odpowiednio uformowanych grup wychowanków. Uważała ona, że w początkowym stadium wychowania leczniczego dzieci z wadami charakteru ma to znaczenie kardynalne. Dopiero później, po odzyskaniu równowagi i pewności co do własnych sił moralnych przez dziecko, można je zwrócić do szkoły normalnej, przy czym jednakże ma ono również możliwości zmiany wychowawcy, o ile okaże się, iż następuje regres. W procesie naszego rozwoju moralnego istnieją bowiem fazy, kiedy czyny dodatnie spełniamy nie dlatego, iż naprawdę odczuwamy imperatywny nakaz moralny z wewnątrz, lecz raczej z pobudek innych. Może to być sprytnie zrozumiany interes materialny, czasem chęć przypodobania się komuś, w dalszym ciągu potrzeba zrobienia mu przyjemności lub naśladowania, wiara w to, że hasła głoszone przez miłą nam osobę nie mogą okazać się fałszywymi. Dopiero później wyłania się potrzeba własnych poglądów, własnych zasad i postępowania zgodnie z nimi. W każdym razie przez długi czas rozwijające się poczucie moralne przywiązane jest do jednostek, za pośrednictwem którego dociera do nas. Dlatego w drodze rozwojowej, przez którą kroczy dziecko ku zdobyciu mocnych i pełnowartościowych zasad, wpływ osobowości nie może być niedoceniony. Tam gdzie normalny bieg progresu wewnętrznego został zatrzymany lub wykoślawiony, trzeba wrócić do bardziej pierwotnej może, a jednak niezbędnej fazy rozwojowej — do przywiązania względem osoby wychowawcy. Spotykałam się w pracy swej z zarzutem, iż chowamy dzieci dla siebie, gdyż są one zbyt uzależnione od naszego wpływu. Ależ to jest tylko jeden z przejściowych etapów wychowawczych, po którym następuje usamodzielnienie i swobodny dalszy rozwój wewnętrzny. Dlatego próby sprecyzowania, jak działa ten lub inny typ psychiczny na poszczególne dzieci, od

⁶ Małgorzata Lowenfeld (1890–1973) — brytyjska pionierka psychologii dziecięcej i terapii zabawą; badaczka medycyny pediatrycznej i autorka wielu publikacji i prac naukowych na temat badań nad rozwojem dziecka i zabawą. Opracowała szereg technik edukacyjnych, które noszą jej imię.

czego zależą kontakty duchowe, co wpływa na ich pogłębienie, uszlachetnienie lub obluźowanie — są to kwestie, rozstrzygnięcie których dużo nam da i pozwoli rozwikłać niejedną, pozornie beznadziejną trudność. Powtarzam raz jeszcze, że tu nie mogę jeszcze wypowiedzieć zupełnie wyraźnego zdania. Mam dużo spostrzeżeń, niejedno wyczuwam intuicyjnie, przekonałam się, iż powodzenie lub niepowodzenie moich usiłowań znalezienia dróg postępowania z dziećmi najtrudniejszymi najłatwiej dawały wyniki dodatnie, o ile udało mi się znaleźć kogoś, za pośrednictwem czym docierało się do najtajniejszych zakątków, gdzie kryły się elementy własnej jaźni danego typu. Muszę jednak dużo jeszcze popracować nad zagadnieniem tym, nim powiem sobie, że wyraźnie wiem, o co tu chodzi. Chciałabym bardzo, byśmy wszyscy zdali sobie sprawę z tego, iż zagadnienie to jest naprawdę ważnym i byśmy mieli możliwość w przyszłym, lepszym ustroju szkolnictwa naszego zbadać je uważnie i dokładnie. Dzieje się bowiem wielka krzywda dziecku trudniejszemu, które trafiło w ręce wychowawcy duchem zupełnie mu obcego. Ma ono przebywać pod jego kierunkiem przez szereg lat swej nauki. Gdzie indziej zaś pracuje z dziećmi o odmiennych właściwościach człowiek, który łatwo mógłby zrozumieć daną jednostkę i pomóc jej. Krzywdę wyrządza się też i nauczycielowi, który jest sobą, pragnie pracować dobrze, sumiennie, widzieć wyniki swych wysiłków i otrzymuje zamiast grupy, gdzie mógłby wykorzystać swe zdolności, organizm klasowy, o którym (po czasie wnikliwej obserwacji oczywiście) wie, że niewiele tu robi. Zniechęca się wtedy, traci wiarę w siebie, swoje metody postępowania i wartości pedagogiki w ogóle.

Wyobraźmy sobie nauczyciela z powołania, należycie przygotowanego do swego zawodu, doświadczonego, pracującego w klasie, na którą ma wpływ, gdzie czuje się zrozumianym i lubianym. Czy obraz ten wyklucza zupełnie możliwość ciemnych plam? Czy jest już urzeczywistnieniem ideału? Nie, bo człowiek jest człowiekiem, ma naturę ludzką i będzie ją miał tak długo, póki żyć będzie na ziemi.

I dlatego zawsze możliwą będzie „zła chwila” w jego życiu, w najlepiej uplanowanej, ułożonej i nawet toczącej się już pracy. Chwila niedobra, podważająca to, cośmy już zdobyli, grożąca

dalszemu wysiłkowi. Bywają takie dni, kiedy nam wszystko nie udaje się, idzie na opak. Jakaś ociężałość, brak ideowości, skłonność do chwilowej bodaj dezercji z posterunku. Przychodzi na myśl wspomnienie o bardzo zdolnym i lubianym profesorze jednego z wyższych zakładów pedagogicznych Warszawy, który idąc na wykład, zatrzymał się w pokoju przyległym do audytorium, spojrzął przez okno na zalany słońcem ogród, westchnął głęboko i z nutą rozbrajającego marzycielstwa powiedział: „Och, zwać by tak...”. Po czym jednak wyprostował się i jak zwykle miał doskonały wykład. Chwile takie przeżywał z pewnością każdy z nas. Czasem dołączała się do przemożnego zniechęcenia niewiara w to, co robimy, skłonność do oskarżania warunków pracy, „w których nie sposób nic zrobić”, niekiedy marzenie o szybszym przejściu na emeryturę lub przynajmniej urlopie, a bodaj niedługiej chorobie, pozwalającej oderwać się od pracy, która w danej chwili nuży i dręczy. Złe się wtedy dzieje. Nie wolno poddawać się, musimy walczyć, zdać sobie sprawę z podłoża naszych nastrojów, nie dać im opanować siebie. Podłoże może być rozmaite. Może wpłynąć sama pogoda tylko. Wiemy, że na jednostki specjalnie wrażliwe, o „nadwątłym naskórku psychicznym”, ze skłonnością do neurastenii, pogoda wywiera przemożny wpływ. Monotonny dźwięk kropel deszczu uderzających o szybę klasy, brak dobrego oświetlenia, może nawet do tego jeszcze wilgotne od podróży do szkoły nogi — oto cała tajemnica. Może w ogóle szwankuje nasze zdrowie. Niedyspozycja żołądka odgrywa większą rolę, niż się zwykle wydaje. Ciężkostrawne śniadanie lub wczorajsza kolacja, po której język jest obłożony, niewyspanie, ból zęba, z lekka podniesiona temperatura. Czasem jakieś niedomaganie chroniczne jak choroba serca lub wątroby — wszystko to niezawodnie wpływa na nasze samopoczucie i sprzyja wytworzeniu się pesymistycznych sądów o otoczeniu, naszym losie i ogólnym sensie życia. Najczęściej zaś przyczyna kryje się w przemęczeniu i nadszarpniętym systemie nerwowym. Nieraz słyszy się zdanie, że nerwy są chorobą *par excellence*⁷ nauczycielską. Wydaje mi się, że tak nie jest. Raczej tych tylko, którzy stali się nauczycielami wbrew powołaniu albo którzy przeżyli coś bardzo wstrząsającego

7 Fr. *par excellence* ‘szczególnie, w najwyższym stopniu’.

.....

w życiu osobistym, nie posiadając przy tym mocnej platformy, o którą mogą oprzeć się. Olbrzymią rolę odgrywają przykrości natury służbowej, doznane upokorzenie, mocno odczuta niesprawiedliwość. Natrętnie powraca świadomość krzywdy: „Jak mógł tak zwierzchnik dotknąć mnie i do tego w niesłuszny sposób!”. O tym, że i on może właśnie przeżywać złą chwilę, najczęściej zapominamy. Zaimponowała mi postawa młodej nauczycielki, na którą bardzo gwałtownie obruszył się zdenerwowany inspektor podczas rozmowy prowadzonej w jego gabinecie. Przyznawała się później, że pierwszym jej odruchem było pragnienie: wyjąć chustkę i pozwolić płynąć łzom. Opanowała się jednak i szybko wstała:

— Do widzenia, panie inspektorze. Pójdę i nakryczę teraz w klasie na dzieci. Najłatwiej rzucać się na bezbronnych.

Skończyło się wszystko dobrze, gdyż ten inspektor nie był pozbawiony zmysłu humoru i krytycyzmu do samego siebie. Po nieudanej wizytacji nauczyciel w większości wypadków nie może wzbudzać w sobie tak prędko zapału do pracy i rozpogodzić się, co na klasie odbija się bardzo mocno. A co można powiedzieć o nauczycielu, życie osobiste którego ułożyło się w ten sposób, że stało się źródłem ustawicznej udręki wewnętrznej? Tyle tu może być powodów do trosk: braki natury materialnej, chwilowy bodaj zatarg z żoną przed wyjściem do szkoły itd., itd. Jeden z moich chłopaków, opowiadając kolegom o ostrej sprzeczce z wychowawcą klasy, w wyniku której został przesłany do naszej szkoły, wyraził się tak:

— Musi żonka mu znów w czym nie dogodziła. Oni często złością się na siebie, to i przyszedł zły jak ta sobaka i dawaj na chłopaków rzucać się.

Głębsze konflikty, rozluźnienie więzów rodzinnych, niepokój lub smutek wywołany przez chorobę lub wykroczenia własnego dziecka — to wszystko musi pozostawić ślad, odbija się na pracy dnia. Najmocniej zaś wykoleja nas udręka wewnętrzna spowodowana poczuciem własnej winy. Można — jak struś — chować głowę pod własne skrzydło lub do piasku. Nemezis⁸

.....

⁸ Nemezis — grecka bogini zemsty i sprawiedliwości.

dokona swego i świadomość, iż postąpiło się wbrew przekonaniom, że nie jest się wewnątrznie w porządku, tak zatruje nam naszą jaźń, iż normalny bieg pracy zostaje przerwany. Czasem jest to głębszy konflikt z samym sobą, czasem tylko silniejsze nasilenie naszych wad i słabostek, które dokuczają szczególnie mocno. Zawsze jednak równowaga nasza jest zakłócona i nauczyciel poważnie traktujący swój stosunek do dzieci przeżyje boleśnie własne błędy. Do chwili znalezienia wyjścia i drogi naprawy znajduje się on w stanie silnej rozterki. Tu bowiem nic nie pomoże naklejanie plasterków — trzeba otwarcie przyznać się do winy i naprawić ją.

Sprawę „złych chwil” komplikuje to, iż miewamy je nie tylko my, ale i inni ludzie. A więc współpracownicy, z którymi na tle dysputy — zdawać by się mogło zupełnie teoretycznej i naukowej — doszło u nas do ostrej wymiany zdań. Woźny odpowiedział nam niegrzecznie i niewłaściwie. Rodzice dzieci przyszli do szkoły z całym zapasem podrażnienia i w sposób ordynarny skrytykowały to, co kosztowało nas dużo szczerego wysiłku i inwencji. Najgorzej zaś, że chwile te miewają i dzieci. I to nawet często, w zasadzie częściej niż nauczyciel, człowiek doświadczony, który mógł nauczyć się radzić sobie ze sobą, podczas gdy dziecko jest całkowicie pod władzą takich godzin. Powody ciemnych momentów w przeżyciach dzieci będą nieraz identyczne z naszymi. Tylko nabiera ich się więcej, bo nie posiadają one wyrobionego sądu o hierarchii zjawisk i to, nad czym my potrafimy łatwiej przejść do porządku dziennego, wstrząśnie nimi do głębi.

Był u mnie w klasie milczący, mądry chłopak. Lubił pracować. Pewnego dnia zdenerwowanie jego wprost rzucało się w oczy. Okazało się, że ojczym wypędził z domu ulubionego szczeniaka i ten gdzieś zaginął. Staś w tym dniu pobił się prawie ze wszystkimi chłopcami w klasie, nagadał impertynencji księdzu prefektowi i oznajmił, że lepiej z bandytami po lasach chodzić niż uczęszczać do takiej szkoły, jak nasza. Zgodził się jednak napisać i wywiesić na słupie koło przystanku tramwajowego ogłoszenia o zagubionym ulubieńcu. Wracając do domu, przeczytałam je: „Mój piesek zgubił się. Taki mały, biały z czarnymi uszkami. Ogonek puszysty. Dam za niego nowy ołówek,

50 groszy i jeszcze gumkę małą”. Pod adresem widniał dopisek zrobiony w ostatniej widocznie chwili ołówkiem: „Bardzo miły i ładny”. Szczeniaka Stasiowi zwrócono, on zaś rozpromieniony i uśmiechnięty przeprosił prefekta i mówił:

— Wczoraj mi się zdawało, że tak dużo złych ludzi jest, a dzisiaj tak wszystkich lubię.

Do cięższych chwil dzieci szkół powszechnych, szczególnie zaś specjalnych mocno przyczyniały się okropne warunki egzystencji, w których tak często znajdowała się rodzina ich. Głód jest przeżyciem, które w warunkach przedwojennych częściej dotykało dzieci niż nauczyciela. Nawiasem mówiąc, w przedostatnim roku okupacji niemieckiej bywało odwrotnie, także gdy widziałam na ławce dziecka (większość z nich miała dzięki łączności ze wsią jakie takie zaopatrzenie w wiktuały) niedojedzoną pajdę chleba i to jeszcze czasem smarowanego tłuszczem, ledwie mogłam powstrzymać się od chęci ugryzienia bo-daj kęsa. Parę razy nawet złapałam siebie na odruchu niechęci względem niedbałego posiadacza takiego majątku. Jakże mocno odczuwać musi głód dziecko?

Poczucie mniejszej wartości, tak słusznie podkreślane przez Adlera, jest zbyt dobrze znane każdemu nauczycielowi, który interesuje się literaturą pedagogiczną, bym potrzebowała zatrzymać się na nim dłużej. Chodzi tylko o to, by dostrzec je i wtedy, kiedy ono jest podłożem złej chwili, zrozumieć dziecko, które nie jest sobą.

A więc: bywają nasze złe chwile. Wiemy, iż istnieją i lepiej lub gorzej zwalczamy je. Zdarzają się złe chwile dzieci — rozumiemy ich powody i pragniemy nieść pomoc. Wymaga to od nas jasnego sądu, życzliwości i pewnej siły moralnej. Ale zdarza się i tak, że te złe momenty dziecka i nauczyciela zbiegną się ze sobą. Wtedy to następują najgorsze konflikty, padają słowa okrutne, które potem trudno zapomnieć, następują zjawiska niedopuszczalne, policzkowania, obelgi itd. W sytuacjach zaś szczególnie niefortunnych powstają wtedy wstrząsające dramaty w rodzaju zamachu na życie własne lub nauczyciela. Nie wolno nam lekceważyć sprawy niedobrych chwil. Nie łudźmy się — mogą one nam się przytrafić, będą na pewno. Wtedy

usiłujmy nie przeoczyć ich. Trzeba być na nie przygotowanym i mieć broń w pogotowiu. Jaką? O tym pomówimy w odpowiednim miejscu.

Najbardziej skomplikowanym zagadnieniem wiążącym się z trudnościami, jakie miewamy ze strony dzieci, jest zagadnienie dzieci anormalnych, wyraźnie odbiegających od normy, niemieszczących się w ramach zwykłej społeczności szkolnej. Stanowią one jedną z największych trudności w pracy nauczycieli. Dział ten jednak jest tak obszerny i ważny, że uznałam za niezbędne wyodrębnić go w osobny tom pod tytułem *Niežności chłopcy*⁹. Częściowo poruszałam szereg tematów wiążących się bądź z przestępczością nieletnich, bądź z dzieckiem moralnie zaniedbanym w *Konflikcie dziecka z prawem karnym* oraz w artykułach w „Szkole Specjalnej”. Szkice dotyczące poszczególnych jednostek dziecięcych umieściłam w broszurze swej *My i oni*¹⁰.

.....
⁹ Książka *Niežności chłopcy. Typy plastyczności psychicznej w diagnostyce szkolnej* ukazała się dopiero w 1958 r. nakładem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, lecz jej pierwszy zarys powstał dużo wcześniej, w czasie pobytu w Wilnie.

¹⁰ *My i oni* — pozycja taka nie ukazała się drukiem.

Trudności związane z warunkami naszej pracy

.....

- 1) Warunki lokalowe.
- 2) Wyposażenie szkoły.
- 3) Budżet szkoły.
- 4) Zwierzchnik.
- 5) Współpracownicy.

Wszyscy doceniamy w pełni wielkie znaczenie warunków, w jakich odbywa się nasza praca. Wpływ ich na jej przebieg i wyniki. My, pracownicy szkół specjalnych, które ze strony naszych władz szkolnych nie cieszyły się zbyt dużą opieką, dużo możemy powiedzieć o tym, ile dodatkowych borykań, ile nakładu energii kosztowało nas przezwyciężenie licznych trudności, w których niekiedy poparcia nie mieli koledzy ze wzorowych szkół otoczonych troskliwą opieką. Najwięcej bodaj trudu i zdrowia zabierały nam nienormalne warunki lokalowe, w jakich prawie zawsze znajdowały się szkoły dla naszych „gorszych” dzieci. Ci spośród kolegów, którzy pracowali w nieodpowiednich, nienadających się na szkołę lokalach, dobrze wiedzą o tym, co to znaczy nie mieć przyzwoitego pomieszczenia dla swej klasy. Wszak dłuższy pobyt w ponurym, ciemnym lokalu o brudnych, wilgotnych ścianach działa tak przygnębiająco, że myśli pesymistyczne nasuwają się nam w sposób natarczywy. I odwrotnie — schludne, miłe pomieszczenie nastraja nas tak dodatnio, że zabieramy się do pełnienia swych obowiązków ze szczególną energią i optymizmem.

Pewien mój znajomy zwierzył mi się z tego, że w życiu jego był moment, kiedy on zupełnie zdecydował się popełnić samobójstwo. Mieszkał wtedy w nędznym pokoiku na parterze z oknem

wychodzącym na ciemne, cuchnące podwórze wielkiej kamienicy czynszowej przy ul. Krochmalnej w Warszawie. Rozpoczął pracę naukową z dziedziny estetyki. Nie szło mu zupełnie. W tymże czasie przeżył pewne rozczarowanie co do osoby młodej dziewczyny, którą przedtym mocno idealizował. Doszedł do wniosku, że życie jest bardzo przykrym, narzuconym nam obowiązkiem, że bez radości życia człowiek nie ma prawa żyć i przyczyniać się do pesymizmu innych. Nasze dodatnie i ujemne nastroje bowiem nie są naszą tylko własnością, lecz zataczają szerokie kręgi, wpływają na bieg życia całej ludzkości. Systematycznie uporządkował swe sprawy, poukładał notatki, popalił korespondencje, zapłacił długi, napisał listy. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, jakim wstrząsem byłby fakt jego samobójstwa dla właścicielki mieszkania, dobrej staruszki, syn której przed kilku laty odebrał sobie życie. Wyjechał więc do pensjonatu w Sulejówku, gdzie wynajął sobie pokój na kilka dni. Pokój okazał się słoneczny, o ścianach złocistego koloru, z balkonem i miłym widokiem z okien. Zmęczony usiadł na leżaku, patrząc na bawiące się na dole młode psiaki. Sam nie zauważył, jak zaczął nucić jakąś pogodną, wesołą piosenkę. Po kilku dniach wrócił do stolicy, zmienił pokój na ładniejszy i pracę swą doprowadził do końca.

Niewątpliwie wygląd klasy odgrywa kolosalną rolę w całości kształcie warunków, które wpływają na wartość naszej pracy. Przebiegam w myśli te wszystkie pokoje, pokoiki, w których pracowałam — jakże różne były. Lubię wspominać jasną, słoneczną klasę w Wielucianach, gdzie okna wychodziły na ogród. Nasuwają się w pamięci i inne, duszne, niedające się przewietrzyć, gdzie dziury i plamy na ścianach trzeba było zakrywać i zawieszzać obrazkami i rysunkami. Tak, niewątpliwie tam trudniej było wywołać odpowiedni nastrój w sobie i dzieciach. Trudniej, ale nie niemożliwie. W każdym razie wymagało to dużego nakładu dodatkowego, świadomego wysiłku. Po powrocie z Włoch postanowiłam urządzić w swej klasie — na wzór de Sanctisa¹

¹ De Sanctis — być może chodzi o inspirację działalnością istniejącego w Rzymie od 1890 r. sklepu rodziny de Sanctis kultywującego włoską tradycję, oferując najlepszą włoską ceramikę ręcznie wyrabianą i zdobioną. Możliwa też jest inspiracja twórczością Giuseppe de Sanctisa (1858–1924) — włoskiego malarza, portrecisty i pejzażysty.

— co tydzień godzinę piękna, gdzie każde dziecko będzie miało możliwość opowiedzieć o tym, co w ostatnich dniach zauważyło ładnego. Zawahałam się, gdy w przeddzień przyjrzałam się krytycznie wyglądowi klasy. A jednak — udało się! Świeże kwiaty na stole, umyta podłoga, przetarte szyby, czysty wygląd dzieci w tym dniu wraz z odpowiednim nastrojeniem chłopaków do nowego poczynania odniosły skutek nadspodziewanie dodatni. Spostrzeżenia i wypowiedzi dzieci były niekiedy naprawdę śliczne. Jeden opowiadał o filmie *Poganin*² — „jak cudnie tam grał bohater na banjoli”. Inny uznał za najładniejsze swe przeżycie w tygodniu przeczytaną *Księgę dżungli*, szczególnie zaś rozdział o przyjaźni Manli³ z panterą. Kto inny z zachwytem wspominał o tęczy widzianej w przeddzień. Zasmarkany zwykle Wacek, dziś aż niepokojąco czysty, z wielkim zażenowaniem powiedział, że nie wie, czy innym spodobałoby się to, co on widział. Jemu wydawało się takie ładne. U nich w domu stała na oknie mała doniczka z roślinką. Ktoś rzucił na parapet gruby papier i tak on tam leżał przez długi czas:

— A dziś rano, patrzę, a tu przez dziurkę w tym brzydkim papierze wylazła łądyżka i taka jest zielona, świeża i miła. I nie zginęła tam pod papierem, tylko sobie znalazła drogę w górę i żyć będzie.

Jakkolwiek i w brzydkiej klasie można przeżywać ładne godziny, niewątpliwie jednak w otoczeniu estetycznym i kulturalnym pracuje się znacznie przyjemniej i łatwiej. Wydaje mi się tylko, iż lokal klasy winien być (w najbiedniejszej nawet szkółce) czysty, słoneczny, nieprzejściowy, o niezbędnych sprzętach i posiadać możliwości rozwojowe. O jego wyglądzie naprawdę estetycznym zadecyduje praca gromady, nie zaś myśl i pieczołowitość tego, kto go przygotowywał. Wygląd pomieszczeń szkolnych nie powinien zanadto różnić się od warunków, jakie można osiągnąć w domach dzieci. Posadzki, zbyt kosztowne meble

² *Poganin* — film produkcji amerykańskiej z 1929 r. w reżyserii Woodbridge’a Stronga van Dyke’a.

³ Właściwie Mowgli — fikcyjny bohater *Księgi dżungli* Rudyarda Kiplinga; chłopiec zaginiony w dżungli, przygarnięty i wychowany przez wilki.

i urządzenie odrywają dzieci od rzeczywistości, do której wrócić muszą. Wnętrze ich własnego domu rodzinnego wyda im się w porównaniu ze szkołą szczególnie ubogim i brzydkim, niedającym się ulepszyć i zreformować. Wiedeński punkt selekcyjny, mieszczący się we wspaniałym pałacu Wilhelminenburg⁴, nasunął wiele uwag krytycznych. Natomiast czyste, schludne pokoiki, jakie widziałam w Saint-Servais⁵ w Belgii, właśnie dlatego robiły miłe wrażenie, że każdy szczegół w nich był potrzebny, łatwy do naśladowania i wprowadzenia w życie później tam, *chez soi*⁶. Oryginalne firanki, plecione z łądyg suchej rośliny, serwety i chodniki ludowe, proste drewniane sprzęty malowane przez same dziewczęta, doniczki również przez nie ulepione i wypalane.

To samo w przemiłym zakładzie dla dziewcząt moralnie zaniebanych w Jugosławii (Sławońska Pożega⁷), gdzie umiejętność zarządzania wnętrza traktowana była ze swoistym pietyzmem i stanowiła ważną część programu nauczania. Dziewczynki okazywały się wprost niewyczerpalne w swoich pomysłach. Wolno im było urządzać swe sypialnie według własnego gustu. Najczęściej dzieliły je na drobniejsze pokoiki. Przegródkę stanowiła niekiedy ludowa kotara lub parawan. Częściej zaś odznaczały się one wielką oryginalnością. Widziałam na przykład hodowane w wąskich i długich skrzyneczkach rośliny pnące, które nie wymagają obfitego światła i stanowią — czepiając się umocowanej do skrzynki lekkiej kraty — prześliczną zieloną ściankę, osypaną drobnymi kwiatami, kwitnącymi przez długie miesiące. W innym pokoju przegródka była zbudowana z szeregu niewielkich skrzyneczek, ustawionych tak, iż tworzyły coś w rodzaju schodków, na każdej kondygnacji których leżała serweta o charakterze regionalnym i stała doniczka lub

⁴ Wilhelminenburg — dawny pałac nazwany tak od imienia żony właściciela księcia Juliusa Moritz de Montlaart Wilhelminy. W 1927 r. stał się własnością miasta Wiednia i w latach 1927–1934 mieścił się w nim sierociniec.

⁵ Saint-Servais — dzielnica miasta Namur w Belgii.

⁶ Fr. *chez soi* ‘u siebie w domu’ — wyrażenie używane dla podkreślenia poczucia bycia we własnym miejscu.

⁷ Slavonska Požega — miasto w Chorwacji.

groteskowe figuryunki, które lud Jugosławii tak chętnie rzeźbi. Skrzyneczki były pomalowane przez wychowanki i stanowiły istotną ozdobę dekoracyjną pokoju.

Skoro jednym z zadań szkoły jest dotarcie poprzez dzieci do ich środowiska rodzinnego, winniśmy dążyć do tego, by dawać wzory dostępne do naśladowania, jednocześnie zaś nacechowane istotnym pięknem. Zdecydowanie negatywnie odnoszę się do ogromnych gmachów szkolnych, jakie w ostatnich latach tak chętnie budowano u nas. Nie ulega wątpliwości, iż taniej jest zbudować kolos i tam wpakować kilka szkół z wieloma setkami dzieci niż rozmieścić szereg mniejszych domków w różnych dzielnicach miasta. Ale czyż te same postulaty oszczędnościowe nie dadzą się wprowadzić w życie inną drogą? Zresztą należałoby dokładnie obliczyć te koszty i przyjrzeć im się w całości. Bo o ile wzniesienie jednego gmachu olbrzymie istotnie kosztuje mniej niż szereg mniejszych, to przecież równoważnik wydatków z pewnością znajdziemy w tym, że w tych ogromnych budynkach widzimy szereg bardzo kosztownych i luksusowych urządzeń, które pochłaniają wielkie sumy. Olbrzymie szyby lustrzane stanowiące źródło głębokich dramatów dla amatorów piłki, jasne posadzki wymagające, oprócz ustawicznego froterowania, dość często kosztownego cyklinowania — i gdzie dziecko chodzić musi w pantofelkach, by je nie niszczyć. Ile przykrości i smutków przeżywali moi chłopcy w pierwszych latach swej nauki szkolnej, kiedy chodzili do okazałych gmachów reprezentacyjnych, z trudem tylko może sobie wyobrazić ten, kto nie zetknął się bliżej z tym zagadnieniem.

Tu była moc ciężkich przeżyć. Matka nie kupiła pantofli, bo nie było za co. Inna nie umiała uszyć bamboszków, nawet mając potrzebne gałgany, gdyż była to taka niezawodna matka, której wiele rzeczy nie udawały się, między innymi całość dotycząca wychowania syna. Albo matka wcale nie zainteresowała się tą sprawą, zbyła ją uniwersalnym: „Nie denerwuj mnie”, a na zebrania rodziców wcale nie chodziła. Kiedy indziej pantofle były, ale woreczek do nich był obrzydliwy, ze starej szmaty, inne zaś dzieci miały ładne i z literkami wyhaftowanymi. Zarówno woreczek, jak pantofle czasem zapomniało się zabrać ze sobą,

a czasem w domu zawieruszyły się tak, że przez nie człowiek spóźnił się do szkoły. Przy zmianie obuwia widać podarte pończochy, często zupełnie bez palców i wtedy wstyd. Brudne nogi! Sznurowała w butach pękają od tego ciągłego smarowania i w ogóle kłopotu tyle, że lepiej wcale do szkoły nie iść, tylko wybrać się na wagary. Proszę spróbować wybiegać na każdej pauzie na boisko, kiedy trzeba ustawicznie zmieniać obuwie. A poza tym — w ogóle nosić te woreczki i pantofelki mają tylko małe dzieci z przedszkola.

Oprócz nieszczęsnych posadzek jest moc innych drogich urządzeń. Pijki⁸. Centralne ogrzewanie. Wielkie klosze na lampach. Luksusowe sale gimnastyczne, na które kolej każdej klasy przychodzi jedynie podczas godzin przeznaczonych na lekcje gimnastyki, a przecież wtedy człowiek nie nadąży ot tak sobie naprawdę nacieszyć się salą i drabinami, tylko musi wykonywać te ćwiczenia, co wszyscy, inaczej powstają konflikty i nauczyciele gniewają się. Jest jeszcze jedna zmora dużych gmachów — reprezentacja. Do niej wrócimy jeszcze. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że przez skromną małą szkołkę nie przelewa się ta wielka fala zwiedzających, która zmywa i unosi ze sobą możliwość bardziej subtelnej, indywidualnej pracy nad dziećmi.

O ile chodzi o szkołę specjalną dla dzieci trudnych do prowadzenia — często słyszy się dyskusje na temat, co jest lepszym: lokal w mieście czy też za miastem. Przeważająca ilość głosów jest za tym, by zakłady specjalne budować za miastem. Argumentów popierających ten pogląd słyszymy dużo: wpływa to dobrze na zdrowie dzieci, szczególnie na ich skołatany system nerwowy, nie ma tam tylu deprawujących okazji jak w mieście, są możliwości pracy w ogrodzie i na roli, co później potraktowane być może jako zawód. Dużo widziałam instytucyj bardzo sympatycznych i naprawdę celowo prowadzonych mieszczących się poza miastem albo przynajmniej na krańcach małych miasteczek. Śliczne zakłady wychowawcze w Szwajcarii przeważnie leżą z dala od zgiełku wielkomiejskiego. Szczególnie

⁸ Pijka — pijalnia wody.

.....

słoneczne wrażenie zrobiło Albisbrunn⁹, gdzie dzieciom jest naprawdę dobrze, „jak w raju”. Tak właśnie wyraził się przy mnie półnagi opalony mały obywatel do ciotki swej, która przyjechała go odwiedzić.

— Nie tęskno ci za miastem? — spytała go.

— Nic a nic! Tu mamy tyle ciekawego: teraz zbudowaliśmy sobie wieżyczkę do obserwacji pogody. Tyle pracy jest w ogrodzie i przy zwierzątkach. A jakie wycieczki! Wychodzimy często na kilka dni. A zresztą, jakby który z nas chciał, to go pan dyrektor zawsze wyszle do Zürichu. Ale nikt przecież tego nie może chcieć.

Czy ostatnie zdania małego Szwajcara nie wyjaśniają całej sprawy: „jakby który chciał”. O to właśnie chodzi, że pobyt na wsi tam nie jest przymusem. W tych zaś zakładach specjalnych, gdzie nieletnich delikwentów wysyła się do instytucji zamkniętej położonej poza miastem, tam najpiękniejsze łąki, lasy i pola, na które patrzą, nie robią wrażenia kojącego na jego chorą psychikę. Są bowiem elementem składowym tego otoczenia, które on uważa za klatkę. Paradoksalnie jest porównywać cuda otaczającej przyrody do prętów klatki, ale w podobnych wypadkach stają się one niemi. I jeszcze jedno. Zakład wychowawczy na wsi może doskonale odpowiadać jednym naturom i być czymś okropnym dla innych. Dziecko wielkomiejskie kocha miasto, jego tętno i ruch. Cisza i monotonia nuży je. Miałam możliwość obserwowania nostalgii chłopców warszawskich na koloniach letnich. Zdawać by się mogło, że było im tam idealnie dobrze. Nie mówię o tej groteskowej parodii, w jaką przerodziły się kolonie letnie organizowane swego czasu w Zajeździu, dokąd zwożono setki, a raczej tysiące dzieci z różnych stron, i gdzie życie stawało się męczarnią. Albo chodziło i bawiło się bractwo karnymi grupami według gwizdków i dzwonek, albo panowała anarchia dochodząca do tego, że bardziej kulturalny wychowawca, który nie potrafił posługiwać się siłą mięśni

.....

⁹ Albisbrunn — zakład poprawczy dla młodzieży męskiej założony w 1924 r. przez fundację Albisbrunn. W latach 1924–1929 na jego czele stał Heinrich Hanselmann, pierwszy profesor pedagogiki specjalnej w Zurichu.

i sprytem, dostawał dla swej gromadki jedynie nędzne resztki jedzenia i wszyscy od stołu wstawali głodni, by iść na obowiązujące „leżenie”. Na zakończenie sezonu słyszało się liczne głosy o tym, iż „teraz odpocznę”.

Nie o tym patologicznym tworze myślę, tylko o nielicznych prywatnych koloniach, jakie przez kilka lat pozwolone było naszej szkole organizować dla siebie. Kozieniec¹⁰, Zielonka¹¹, Urle¹², Pustelnik¹³ — tam można było żyć życiem jakby leśnych ludzi. Ramowy regulamin, rzecz jasna, musiał być i towarzystwo trzymało się na ogół kupy, bo chłopcy nasi lubili swoją gromadę. Ale było dużo możliwości zabawy na własną rękę. Ktoś nawiązał kontakt z pastuchami i mógł pojeździć konno, grupki urządzały swoje wigwamy indiańskie, gdzie im się chciało. Kilku zapaleńców chronicznie majstrowało przy tamie, którą zbudowali przy strumyku, żeby lepiej było kąpać się. Wyprawy po jagody i grzyby na własną rękę były czymś dozwolonym. Nawiązała się przyjaźń z dziećmi wiejskimi. Dobrze było. A jednak i tu część nie wytrzymywała, tak wielką była ich tęsknota za miastem, jego życiem i rozrywkami. Niektórzy wywędrowali przed terminem, inni czekali niecierpliwie na dzień powrotu do stolicy, traktując pobyt na koloniach jako rzecz miłą, ale jedynie pod warunkiem, by nie trwała zbyt długo. Cóż dopiero, o ile ulokowalibyśmy takie typy na stałe poza miastem. Odczuli by to jako wielką krzywdę, narzuconą im przemoc, wygnanie. Wzrósłby opór i niechęć.

Poza tym, pomijając już zdanie samych dzieci przeciwko poglądom osób, które kategorycznie twierdzą, iż internaty nie mają być w mieście, przemawia jeszcze i ten argument, że na wsi trudniej jest kształcić zawodowo. Przecież nie wszyscy mają chęć i kwalifikacje do tego, by zostać rolnikami i ogrodnikami. Ważnym wydaje się również i to, że wszak izolowanie od

¹⁰ Kozieniec — wieś w województwie mazowieckim, w powiecie przysuskim.

¹¹ Zielonka — podwarszawska miejscowość rekreacyjna.

¹² Urle — wieś na Mazowszu. Na początku XX w. stała się popularnym letniskiem.

¹³ Pustelnik — wieś pod Warszawą; stacja kolejki, cegielnia i garbarnia.

ujemnych wpływów jeszcze nie przesądza sprawy uzdrowienia moralnego. Pobyt na wsi usuwa wiele możliwości wykroczeń, lecz za to nie uodparnia przeciwko nim. Po powrocie może nastąpić recydywa najgorszego gatunku. Oprócz tego zaś nie wolno zapominać o tym, iż w wielu wypadkach kontakt dziecka z jego rodziną mocno rozluźni się i nie zawsze da się później wzmocnić. Po wyjściu z zakładu wróci do swoich jako człowiek zupełnie obcy.

Jak zwykle, nie można sprawy tej unifikować dla wszystkich. Musimy indywidualizować, skierowując jednych do zakładów — ferm, gdzie kierunek kształcenia oparty na uzdolnieniach obejmuje rolnictwo czy leśnictwo. Część nerwowo chorych znajdzie w zamiejskim zakładzie sanatorium. Część zaś pozostać winna w mieście. Gwałtem ich nie zmusimy do pokochania wsi i korzyści wypływających z obcowania z przyrodą. Mogą uciec i będzie jeszcze gorzej.

Zwiedzałam kiedyś zakład obserwacyjny przy ulicy Vaugirard¹⁴ w Paryżu. Wyniosłam stamtąd bardzo nieміłe wrażenie: ciasno, duszno, chłopcy skrępowani i wprost unieruchomieni tresurą. A jednak tam właśnie jeden z małych więźniów powiedział nam:

— *Mieux vaut être en prison à Paris, où j'entends au moins son bruit, que vivre en roi ailleurs*¹⁵.

Najlepszym wydaje mi się zakład podmiejski z łatwym dostępem do miasta, jak Dom Dziewcząt na Ochocie lub Kaiser-Ebersdorf¹⁶ pod Wiedniem. Tramwaj w kilkanaście minut dowozi do śródmieścia, jednocześnie zaś ma się możliwość korzystania ze swobody, ogrodów i słońca.

Najczęściej dobry lub zły lokal uczelni wiąże się z jej stanem materialnym. Bywają szkoły biedne i szkoły bogate. Powiedzenia takie brzmią paradoksalnie, a jednak ilustrują stan rzeczy, który istnieje. Najczęściej bywa tak, że skoro już któraś szkoła

¹⁴ Vaugirard — jedna z najdłuższych ulic w Paryżu.

¹⁵ Fr. 'Lepiej być w więzieniu w Paryżu, gdzie przynajmniej słyszę jego hałas, niż żyć jako król gdzie indziej'.

¹⁶ Kaiserebersdorf — od 1892 r. dzielnica Wiednia.

zdobyła sobie luksusowy lub przynajmniej ładny lokal, wtedy dodaje się do niego cały sprzęt estetyczny i wygodny, znajduje się środki na wyposażenie w pomoce naukowe. Gromadzi ich się mnóstwo, nieraz bardzo kosztownych i rzadko używanych. Tam natomiast, gdzie praca odbywa się w warunkach urągających wszelkim wymaganiom celowości — nie da rady! — chyba czasem „na odczepnego” dostanie się jakąś niewielką subwencję lub przydział zbrakowanych pomocy naukowych, już niepotrzebnych innej szkole, która właśnie jest zaopatrywana w najlepsze, co tylko można zdobyć w składnicy. Brak pomocy naukowych może wywrzeć wpływ dwojaki: jednych pobudzi do inwencji własnej, tak że razem z dziećmi zabiorą się do sporządzania potrzebnych rzeczy — i uzyskuje wyniki istotnie bardzo dobre. U innych wywoła uczucia, które wpłyną destrukcyjnie na samopoczucie i pracę: zniechęcenie i rozgoryczenie. Szczególnie łatwo nastroje takie mają powstać u ludzi niemających zdolności technicznych, nieumiejących majstrować bez praktyki w tym kierunku. Widzi w dodatku, że kolega jego wyposażony jest w znacznie większej mierze, niż tego naprawdę potrzebuje.

Bywa i tak, że właściwie sporządzić pomoce naukowe człowiek potrafiłby sam, tylko w danej chwili właśnie brak potrzebnych pieniędzy (pomysłowy nauczyciel musi, rzecz jasna, sam zdobyć środki na urzeczywistnienie swych projektów). Odłoży chwilo-wo, potem znajdą się pieniądze, ale... braknie czasu; niekiedy po prostu poleni się człowiek, bo zmęczył się, pracując w ciężkich warunkach. Wstępuje więc na drogę nauczania werbalnego, z której zejść nie jest łatwo. Najbardziej grozi to ludziom obdarzonym zdolnością narracyjną. Mówią barwnie i zajmująco, dzieci to lubią, upominają się o opowiadanie. Nauczyciel dumny jest z zasłuchanego audytorium i łatwo daje się uprosić. W wyniku — klasa jako całość umie mało, niegruntownie, łatwo zapomina, nie nabywa umiejętności pracy samodzielnej.

Tu trzeba wołać wielkim głosem: wszystkie szkoły mają jednako- we prawo do otrzymania pomocy naukowych, mogą być wyjątki *in plus*. Ale nie dla szkół z lepszym budynkiem ani takich, gdzie kierownik jest sprytnym, ustosunkowanym w Zarządzie Miejskim człowiekiem, lub kierowniczka ma znajomości

osobiste. Lepiej wyposażyć wolno jedynie takie placówki, które znajdują się w warunkach trudniejszych, szkoły wiejskie położone gdzieś na bezludziu, skąd trudno jest dotrzeć do wypożyczalni.

Takie to, zdawałoby się, proste, a takie jeszcze dalekie! I dopóki tego nie osiągniemy, dopóki kierownik instytucji luksusowej z dumą pokazywał będzie gościom zwiedzającym jego zaczerpnięty pałac, wspaniałe sale pomocy naukowych, gdzie kryją się bezcenne skarby — dopóty nie może być dobrze. niesprawiedliwość i krzywda dzieje się tu wielka i nie wolno nam mijać jej obojętnie. Oprócz obowiązującego wszystkie szkoły minimum oraz hojniejszego wyposażenia szkół wiejskich, szkoły mogą mieć bardziej bogaty inwentarz tylko wtedy, o ile go sporządziły własnymi siłami, własną pracą. Przy tym dobrze byłoby, żeby owocami tej pracy podzieliły się z jedną z nowo założonych wiejskich szkółek.

Na ogół zaś jestem wielką zwolenniczką wspólnych wypożyczalni pomocy naukowych i scentralizowanych pracowni przyrodniczych, geograficznych i innych, do których dostęp ma wielka liczba dzieci.

Sprawa wyposażenia w potrzebne pomoce naukowe jest tylko jednym ze szczegółów zagadnienia budżetu szkoły. Nie chcę powtarzać się, mówiąc znów o niesprawiedliwościach wynikających stąd, że zależnie od stopnia zamożności rodziców wzrasta składka ich i powstają ogromne nierówności w możliwościach, jakimi dysponują placówki o jednakowych założeniach i potrzebach, lecz jakże różnych możliwościach zaspokojenia ich.

Nurtuje mnie sprawa oficjalnego budżetu szkół uchwalonego przez organy samorządowe, obowiązkiem których jest zaopatrzenie szkolnictwa powszechnego. Budżet taki zawiera wydatki rozmaite. Najskromniejszy nawet przewiduje sumę przeznaczoną na prowadzenie kancelarii. Jest utrzymanie czystości, remont drobny i gruntowny, służba szkolna, opał, światło. To wszystko ma pełnię praw i konieczności tych pozycji nikt nie kwestionuje. Natomiast czy dużo jest samorządów, gdzie uwzględniona została w budżecie pozycja: przyjemności dzieci?

Tyle deklamuje się o prawach dzieci, a przecież jednym z najważniejszych jest prawo do radości. Zupełnie słusznym jest zdanie, że kierownik lub nauczyciel pełniący jego funkcje, nie może być postawionym w taką sytuację, by musiał z własnych funduszków kupować atrament i papier do (jakże często nikomu niepotrzebnej) korespondencji z władzami szkolnymi. Natomiast, o ile jest takim zdziwaczalnym typem, może sobie wydawać, ile chce, na upominki imieninowe uczniom, nagrody, miłe niespodzianki podczas wycieczek, gwiazdki itp. Przy racjonalnie postawionym szkolnictwie pieniądze na tego rodzaju rzeczy znaleźć się muszą.

Dużo kłopotliwych chwil przeżywa nauczyciel również w związku ze skomplikowaną dziedziną dożywiania dzieci. Nikt nie kwestionuje tego, że instytucja, która daje pieniądze, musi mieć prawo kontroli i może wymagać wypełnienia pewnych formalności. Ale wymaganie to powinno być jasne, zunifikowane i tanie, celowość których nie nasuwa wątpliwości. Jakże różne bywają zarządzenia w tej sprawie! To trzeba było pisać „dzieciodnie”, stawiając kabalistyczne kreseczki w kratkowanych rubrykach spisów dzieci sporządzonych koniecznie w trzech egzemplarzach. To znowu żądanie obliczania kolonij. Komuś innemu odpowiada system dokładnego jadłospisu i oznaczenia ilości gramów poszczególnych produktów na dziecko. Albo otrzymuje się zarządzenie, że karmić wolno tylko te dzieci, które za głodne uznały organy samorządu: one tam bowiem najlepiej o wszystkim wiedzą. A więc na przykład dożywianie otrzymują jedynie dzieci bezrobotnych, posiadających zaświadczenie o tym swoim stanie. Takie zaś dziecko, ojciec którego pracuje, lecz zarobek przepija, albo z krzywdą dla rodziny legalnej założył sobie na stronie inne „kukułcze” gniazdko — takie dziecko nie ma prawa do posiłków w szkole. Na niegodnego ojczulka albo ono samo będzie musiało znaleźć środki, albo leży to w zakresie dodatkowych obowiązków nauczyciela.

W szkole specjalnej właśnie takich wypadków mieliśmy najwięcej i gdyby nie akcja charytatywna Koła Przyjaciół Szkoły i wojska, która żywiła morze rozbójników, źle byłoby z nami, gdyż otrzymywaliśmy wprost minimalne sumy na część dzieci tylko. Jeść winny wszystkie dzieci. Posiłek w szkole — i to

wspólny, jednakowy dla wszystkich dzieci, wydaje mi się, że i dla nauczycieli — jest momentem bardzo ważnym. Rzutuje on daleko poza godziny spędzone w szkole, w przyszłość, gdy wrażenia lat dzieciennych znajdują oddźwięk w zacierzawieniu partyjnym i nienawiści społecznej.

Ujemne warunki lokalowe, nieracjonalne lub zbyt szczupłe wyposażenie w sprzęt i pomoce naukowe, niezrozumienie potrzeb wychowawczych ze strony pracowników samorządu — to są niewątpliwie zjawiska przykre, które nie ułatwiają nam pracy. Lecz znacznie mocniej odbijają się na niej trudności, które powstają w związku z osobą inspektora lub innego przedstawiciela władz szkolnych.

Cała nasza praca polega na boju i zwalczaniu. Zwalczanie nieuctwa, ciemnoty, wad dziecięcych, ujemnych stron ich środowiska, zwalczanie szkodliwych warunków zewnętrznych, które źle wpływają na rezultaty naszych wysiłków. Jakże często — zwalczanie własnej natury, o ile umiemy bezstronnie i krytycznie przyjrzeć się jej.

W dążeniu do postawionego sobie celu spotykamy się z anomaliami ustroju społecznego i przejawami bolesnej patologii ludzkości, na uzdrowienie których my jako jednostki tak mało możemy wpłynąć. Może z tej świadomości bezsilności poszczególnego człowieka wobec zagadnień reform społeczeństwa, u nauczycielstwa mocniej jeszcze niż u pracowników innych dziedzin życia, istnieje głęboka potrzeba zgodnego, kolektywnego działania, łączenie się z innymi ludźmi, którzy chcą tegoż, czego pragniemy my. Szukamy oparcia w organizacjach nauczycielskich. Przede wszystkim zaś odczuwamy niezbędną rozumnej i życzliwej pomocy ze strony tych, którzy regulują i reprezentują wobec państwa i społeczeństwa tę gałąź działalności, w której jesteśmy drobnym kółeczkiem. Potrzebujemy i mamy zupełne prawo oczekiwać wydatnej pomocy od władz szkolnych. Wszak pracując pod ich kierunkiem, wykonywując zadanie wychowywania i nauczania szerokich warstw ludności, musimy spodziewać się pomocy od tych, kto zna pracę, posiada odpowiednie przygotowanie naukowe, doświadczenie, zresztą — nie większe możliwości z tytułu swego stanowiska.

Władze szkolne ustalają linie, wytykają drogi naszej działalności, usuwają większe przeszkody natury ogólnej. Nam zaś pozostaje, wierząc w słuszność postulatów i wytkniętego kierunku, prowadzić po tej drodze gromadkę powierzonych nam dzieci i likwidować poszczególne trudności natury indywidualnej, które nie mogą nie nasunąć nam się podczas tej podróży. Gdy trudności te przerastają nasze możliwości, przeradzają się w przeszkody, wiemy, że mamy zabezpieczoną pomoc tych organów, które są do tego powołane i z całą ufnością zwracamy się do nich w poczuciu swej słuszności i naszego prawa do obrony z ich strony.

Tak wygląda prawo w teorii, w idealnej koncepcji, w praktyce zaś rzecz ma się inaczej.

Przedstawiciel władzy szkolnej w postaci inspektora nie zawsze jest tym, do którego nauczyciel może zwrócić się w ciężkich chwilach po radę i obronę. Przeciwnie, każdy z nas zna, a niekiedy i przeżywał momenty, gdy zwierzchnik nie tylko nie był doradcą i przyjacielem, lecz sam jeszcze przyczyniał się do tego, iż praca stawiała się czymś nie do zniesienia ciężkim. Zdarza się typ inspektora urzędnika, formalisty. Obchodzi jego przede wszystkim sucha litera prawa. Dzienniki klasowe — oto najważniejsza część pracy nauczyciela. Albo też wymaga starannie wypisanych rozkładów materiału i konspektów lekcji na każdą godzinę. Od kierowników zaś żąda... planu gospodarczego na kilka lat naprzód. Ten biedak zaś nie wie, co mu dać raczy wydział oświaty samorządu, o ile nie on jest jednym z uprzywilejowanych beniaminków. Bywa taki inspektor też czasem szczególnie wrażliwy na kartotekę uczniów i jak najdokładniejsze dane o dzieciach. Pewnie, że to wszystko są rzeczy, które można nazwać ważnymi. Nikt nie neguje znaczenia statystyki; sama jestem jej wielką zwolenniczką i żywię głęboką cześć dla osoby, twórcy tej nauki Queteleta¹⁷. Ależ nie można momentów ubocznych stawiać na miejsce tego, co jest głównym zadaniem nauczyciela: pracy bezpośredniej nad dzieckiem.

¹⁷ Adolphe Quetelet (1796–1874) — belgijski astronom, matematyk, statystyk, kryminolog.

Zdarza się typ inspektora entuzjasty. Taki ma niezłomną pewność, że ulubiona przez niego dziedzina jest kluczem do uzdrowienia i uszczęśliwienia całego przyszłego społeczeństwa. Żąda z fanatycznym zapałem od podległych sobie nauczycieli, by jak najstaranniej wprowadzali ją w życie. Pamiętamy okresy w naszej pracy, kiedy wymagano od nas szczególnego nacisku na roboty ręczne i przysposobienie zawodowe, potem na wychowanie fizyczne, później znów na kształcenie artystyczne. Niekiedy nauczycielstwo zostaje siłą wciągnięte do udziału w pracach państwowotwórczych nad młodymi obywatelami. Zwierzchnik wygłasza z uniesieniem w zadymionym papierosie pokoju, gdzie siedzą zmęczeni całodzienną pracą pedagodzy, tyrady o tym, iż najgłówniej zadaniem naszym jest uświadomić dzieciom, że ojczyźnie naszej należą się kolonie i musimy zdobyć je siłą, gdyż inaczej zadusimy się. A w mózgu nauczycielki, która właśnie w tym dniu dowiedziała się, że ani jedno dziecko z jej klasy nie zostanie wysłane na wypoczynek letni, bo ich szkoła nie została objętą ramami regulującymi tę sprawę, w jej mózgu słowo „kolonie” wywołuje wizję nie dalszego, wspaniałego rozwoju potęgi jej ojczyzny, tylko smutne refleksje. Myśli ona o tym, że Kazik i tak już gorączkuje, Józio jest coraz bledszy, u Wacka zaś w domu nie ma co włożyć do garnka i trudno dziwić mu się, gdy z rozbijającą szczerością prosi o zwolnienie go ze szkoły „na jaką godzinkę, bo głoduję, to pójdę pod halę, coś ściągnę, podjem i wrócę”.

Gdy układamy w szkole na zebranie Rady Pedagogicznej podział zajęć, jednym z częstych argumentów wysuwanych przez broniących się nauczycieli jest:

— Nie, nie! Za nic nie mogę podjąć się nauczania języka ojczystego. Inspektor X jest zagorzałym polonistą, wypisze mi potem ujemną ocenę.

Albo też zasięga się informacji, który inspektor będzie nas wizytował w tym roku:

— Chwała Bogu! Tamten może i lepszy jako człowiek, ale za to ten nie ma konika. Z jest przyrodnikiem, a u nas w gronie nie ma specjalisty.

Bywa też inspektor olimpijczyk. Zdarzają się i tacy. Jest wyniosły, niedostępny, ironiczny. Jakże ciężko bywa w szkole, gdy taki przyjedzie i z niezadowoloną miną lustruje coraz to inną dziedzinę życia szkolnego:

— A cóż to? Płaszcz dzieci wiszą w klasie, nie w szatni? Hm!
— i podniesie brwi do góry, jakkolwiek powinien wiedzieć, ile zdrowia odebrała nauczycielom praca w takim lokalu, gdzie nie ma dalszej szatni ani sali, ani nieraz pokoju nauczycielskiego, ani umywalni dla dzieci. Można być pewnym, że tenże gładko wygolony, elegancki pan w kilka minut później zwróci uwagę na brudny wygląd rąk dzieci wracających po pauzie z podwórka szkolnego, które urąga najskromniejszym wymaganiom celowości. Zapyta również, czemu to każdy uczeń nie posiada osobnego zawieszonego na haczyku przy ławce ręczniczka. I jakże tu wytłumaczyć takiemu, że u przeważającej liczby chłopców naszych w całym domu jest tylko parę starych, zużytych ręczników dla całej rodziny. Zresztą, mimo usilnych próśb kierowanych do Zarządu Miejskiego wodociąg i kanalizacja od dwóch tygodni nie są naprawione i w tych warunkach myć ręce jest czynnością bardzo skomplikowaną. Naszych tłumaczeń i tak nie wysłucha, zrobi obojętną minę, najwyżej poinformuje bezbarwnym głosem, że w szkole nr... sprawa ręczników została bardzo ładnie rozwiązana. Nawiasem mówiąc, tamta szkoła to ma wspaniały lokal oraz urządzenia, dzieci dobiera sobie ze sfer kulturalniejszych, wiele zaś rzeczy robi na pokaz.

Może zdarzyć się również inspektor zły człowiek. Młode koleżanki nie jeden raz opowiadały o przykrościach, jakie przypadły im w udziale po daniu należytej odprawy panu wizytatorowi, który przejął się rolą Don Juana¹⁸. Fakty takie są, na szczęście, rzadkie, ale są. Tak jak zdarza się, że wraz ze zjawieniem się do szkoły inspektora, ogarnia wszystkich zdenerwowanie i niepokoje.

Do stosunkowo rzadszych wyjątków zaliczyć trzeba współzycie tego rodzaju, jakie umiał wytworzyć inspektor Müller w Warszawie. Gdy on przyjeżdżał do szkoły, szedł po niej sympatyczny

¹⁸ Don Juan — postać fikcyjna, tytułowy bohater komedii Molière'a; słynny uwodziciel.

prąd i zarówno nauczyciele, woźni, jak i dzieci powtarzali sobie miłą wiadomość: „Jest pan inspektor”. Tak, to był przyjaciel szkoły i ludzi. Do niego szło się po radę, wskazówkę, pomoc w trudnej sytuacji. Na szczęście można spotkać na drodze swej pracy więcej podobnych zwierzchników, o których z uznaniem i wdzięcznością wspominają nauczyciele. To już nie są inspektory (co przecież w dosłownym tłumaczeniu znaczy „dozorca”), tylko doradcy, przyjaciele szkoły. A wszak taki ma większy wpływ i wskazówki jego wprowadza się ochoczo i możliwie dokładnie w życie. Lubił nasz pan Müller zeszyty klasowe, był to jeden z jego koników. Wiedzieliśmy, że sprawia mu przyjemność, o ile każde dziecko ma taki świąteczny, czysty zeszyt, gdzie pisze wyłącznie wypracowania samodzielne, gdzie nie może być ćwiczeń gramatycznych ani przepisywań, tylko prace twórcze dzieci. Czy kto czuł tak czy inaczej, zaprowadzaliśmy te zeszyty, bo cieszyło nas zadowolenie tego człowieka, który z prawdziwym zainteresowaniem zagłębiał się w te utwory dziecięce, rozczytywał się w nich, interesował się osobą małego autora, zapamiętywał i cytował wyjątki tych wypracowań na konferencjach pedagogicznych.

Kancelaria u mnie zawsze szwankowała. Gdy jednak otrzymałam w zaklejonej kopercie kartkę mniej więcej tej treści: „Szczególna Pani Kierowniczo! Wszystkie szkoły specjalne złożyły mi już takie a takie sprawozdanie. Pani — przypuszczalnie z ważnych powodów — nie zdążyła tego jeszcze zrobić. Proszę jednak uczynić to możliwie prędko”, nie tylko natychmiast naprawiłam zaległość, ale i na przyszłość w miarę swych możliwości punktualnie wywiązywałam się z tej dziedziny swych obowiązków.

Jeżeli stosunek tego zacnego człowieka do siebie ceniło tak bardzo nauczycielstwo stolicy, mające możliwość zetknąć się o porady i oparcie o nasz Instytut Pedagogiki Specjalnej, gdzie duch przyjaźni i wspólnych ideałów tak mocno łączył absolwentów jego i dyrekcję, to o ileż bardziej niezbędni są podobni inspektory ludzie w miejscowościach dalej położonych, gdzie praca szkolna i nauczyciel znajduje się w warunkach trudniejszych.

Inspektor, jakże niefortunna wydaje mi się ta nazwa!... nie może być urzędnikiem. Winien to być doświadczony pedagog, człowiek o istotnych walorach ducha, nie dozorca, lecz opiekun szkolny. To samo dotyczy i innych władz oświatowych.

Jasne, wyraźnie postawione obowiązki powinny być spełniane przez nauczyciela jak najrzetelniej — to jest rzecz jasna dla każdego z nas. Ale sposób egzekwowania musi być nacechowany szacunkiem, życzliwością i zachętą do wytrwania na naszym trudnym posterunku. Nie może być czymś, co urąga wszelkim postulatom pedagogiki, co rozgorycza, zniechęca i robi z nauczyciela bierną jednostkę nieufnie patrzącą na przybyszów. Wie bowiem, że mogą być wśród nich tacy, co potrafią czytać anonimy i na podstawie ich wykonywać tendencyjne wizytacje przypominające metody śledcze policyjnych władz zaborczych.

Z władzami szkolnymi spotykamy się dość często, ale nie codziennie. Można pogodzić się z istnieniem niesympatycznego, nienadającego się do swego zadania urzędnika i na dłuższe lub krótsze okresy czasu zapomnieć o jego istnieniu, robić to, czego wymaga od nas nasz zawód.

Kardynalnym warunkiem normalnej pracy nauczycielskiej, o którym nie możemy nie pamiętać, jest harmonijne współdziałanie wszystkich pracowników instytucji.

Wychowanie młodej jednostki jest zjawiskiem niezmiernie skomplikowanym. Nawet w wypadku, kiedy wzajemny stosunek wychowawcy i dzieci ułożył się korzystnie i nam udało się wzbudzić w nich zrozumienie i chęć do pracy wewnętrznej nad sobą, mogą zaistnieć okoliczności wypaczające normalny bieg rozwoju. Wpływy środowiska oraz rówieśników zostały omówione gdzie indziej¹⁹. Tu musimy zatrzymać się nad znaczeniem wpływu zespołowego wychowawców jako takich. Pamiętać należy, że w dziecku jako jednostce należącej do innej grupy niż dorośli, istnieją stany silnego oporu przeciwko narzuconym mu z zewnątrz nakazom i rozkazom. Szczególnie jaskrawo występuje to w pewnych okresach rozwojowych. W rodzinie opór

¹⁹ N. Han-Ilgiewicz, *Dziecko w konflikcie z prawem karnym*, Warszawa: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1965.

.....

ten zostaje do pewnego stopnia złagodzony przez wycucie potrzeby podporządkowania się zarządzeniom rodziców. Czwarte przykazanie jest dla dziecka czymś bardzo zrozumiałym. Może mu czasem być przykro, uznaje jednak potrzebę posłuszeństwa jako konieczną. Dołącza się do tego uczucie przywiązania, obawa przed zmartwieniem drogich mu rodziców itd. W wypadku gdy stosunki wzajemne dziecka i jego wychowawcy ułożyły się pomyślnie — przenosi ono swój stosunek do rozkazów i rodziców na nauczyciela, który w danym momencie zastępuje ich.

Poczucie praworządności dzieci rozwija się mniej więcej drogą następującą: „Kocham Pana Boga. Pan Bóg, który rządzi całym światem, nakazał nam słuchać rodziców. Zresztą rodzice są dobrzy i mądrzy, ufam im. Doświadczenie uprzednich wypadków posłuszeństwa dowiodło mi, że dobrze wychodzę na tym, gdy ich słucham. W szkole rodziców zastępuje nauczyciel. Jego też kocham i mam do niego zaufanie. Jego zarządzenia również służą do mego dobra. O ile wszyscy słuchamy naszych nauczycieli — życie gromadki układa się dobrze. Łatwo i przyjemnie jest pracować. Zresztą nauczyciele też słuchają swoich władz, stosują się do tych samych przepisów, które obowiązują nas. Żeby dobrze współżyć, wszyscy ludzie muszą podlegać przepisom” — w ten sposób dochodzi się do świadomości. Prawo należy szanować i ściśle przestrzegać, chociażby nawet w poszczególnych wypadkach wydawało nam się niezrozumiałym lub niewygodnym.

Jeżeli zaś normalny bieg rozwoju poczuć prawnych został przerwany lub nie ma mocnej podstawy, na której został zbudowany, wtedy z całą jaskrawością występuje chęć do protestu, wyłamywania się, narzucenia otoczeniu swej woli, nieumiejętność panowania nad sobą. Pierwszym niebezpiecznym momentem jest niezgoda i brak skoordynowania zarządzeń rodziców. Może to być jednak do pewnego stopnia złagodzone tym, że dziecko w rodzicach widzi jednostki, indywidualności, które kocha, nie zaś reprezentantów prawa. Odczuwa więc chwilami dłuższy lub krótszy żal do nich, w innych zaś okolicznościach potrafi uszanować przepisy i zrozumieć potrzebę istnienia ich. Poważniejszym niebezpieczeństwem dla prawidłowego ukształtowania się poczucia poszanowania norm jest wejście w życie

szkolne. Tu dziecko spotyka się z wielkim bogactwem wszelakich przepisów i zarządzeń. Nie wszystkie są mu zrozumiałe. Ten, kto je wydaje, jest najczęściej uczuciowo zupełnie obojętny dla dziecka. Kierownik reprezentuje władzę prawodawczą *in abstracto*²⁰. Stąd u dziecka pochodzącego z normalnego środowiska rodzinnego zjawia się instynktowne dążenie do większego posłuchu i poszanowania tego kierownika.

Zjawisko to daje się zauważyć nawet w szkole specjalnej, gdzie wszak zbiera się element dziecięcy najbardziej niekarny i zbuntowany. I tam chętniej, łatwiej ulegną uczniowie zarządzeniom kierownictwa niż swego wychowawcy, z którym przecież mieli możliwość blisko żyć się, przywiązać się do niego.

Obserwowałam dzieci szkolne w okresie okupacji. Istniała postawa niechętna względem zaborców i przedstawicieli obcych narodowości. A jednak ilekroć zgromadzone dzieci na sali dla jakiegokolwiek obcego nam duchem obchodu — i tam zachowanie ich dużo pozostawiało do życzenia — jak tylko zabierała głos kierowniczką, gwar ucichał, bodaj na krótko. „Pani kierowniczką kazała” było formułą, która bądź co bądź nie straciła swej mocy, jakkolwiek kierowniczką nikt specjalnie nie lubił, zresztą nie miał okazji bliżej poznać, gdyż bywała ona rzadkim gościem w szkole. Reprezentowała w pojęciu dzieci władzę szkolną — oto wszystko.

Niedobrze dzieje się, gdy dzieci w gronie osób, które uosabiają dla nich ład i porządek, dostrzegą zgrzyty, niezgodę, niechętną krytykę lub obmowę. A cóż dopiero — o ile zostają wciągnięte do akcji walki? Jest to, na szczęście, zjawisko tak rzadkie, że może mieć miejsce tylko przy wyjątkowym zaciętrzewieniu i chwilowym upadku moralnym człowieka, nauczyciela. Wtedy następuje w psychice dopiero formująca się, gdzie pojęcia społeczne są jeszcze w stanie embrionalnym, zniekształcenie ich.

Tok rozumowania wychowanka, który zdaje sobie sprawę z niezgody pomiędzy swymi wychowawcami, może wtedy przybrać kierunek następujący: to, czego żądają jedni, inni zaś nie wykonują, nie może być czymś naprawdę sprawiedliwym

²⁰ Łac. *in abstracto* ‘w ogólności’.

i niezbędnym dla ogólnego dobra. Jest to „widzi mi się”, kaprys poszczególnych jednostek, kaprys krępujący moją swobodę. Skoro jest tak w danym przypadku, może to samo mieć miejsce w innych. Autorytet wychowawców, władzy szkolnej nie istnieje już. Może najwyżej istnieć przymus, czyli stwierdzenie braku tego, co jest najważniejszym przy rozwoju poczucia prawa i poszanowania go: nakazu rozsądku, który zmusza do podporządkowania chwilowego nastroju lub zachcianki wyższemu dobru. Toteż ludzi, którzy łączą się w zespoły mające jako zadanie wspólną pracę nad młodszym pokoleniem, winni zdać sobie wyraźnie i dokładnie sprawę z obowiązku nie tylko zgodnego współdziałania, lecz dobrego współżycia.

Powiedzą mi: „Bo kiedy ile ludzi, tyle indywidualności. Skąd wziąć zespoły ludzi idealnie dopasowanych do siebie?”

Przypuśćmy, że grono współpracowników dobiera sobie jednostka stojąca na czele zakładu.

J. Keiger, dyrektor Eggenburga²¹ pod Wiedniem, jednego z najbardziej specjalnych zakładów, jakie widziałam, mówił, że skład personelu dobiera zawsze sam. Dodał jednak, że uważa to za rodzaj loterii. Toteż starał się kierować nie uczuciem osobistej sympatii i nawet nie wynikami pracy dotychczasowej, jakie udało mu się zaobserwować u kandydatów:

— Każdy wzięty poszczególnie — pisał on do mnie w odpowiedzi na moje zapytanie w tej sprawie — może być bardzo zdolny. Może być nawet wielkim artystą w sztuce pedagogiki. Czy jednak wyobraża sobie pani idealny zespół teatralny składający się z samych wybitnych talentów dramatycznych? Trzeba czegoś innego, ważniejszego może nad uzdolnienia. Ja osobiście uważam, że najlepiej pracuje się z ludźmi, którzy wielkie zainteresowanie swym zawodem łączą z głębokim poszanowaniem prawa, uczciwością i dobrocią. Łatwo z takimi porozumieć się, nie ma obrażania się, wygórowanych ambicji osobistych, jest natomiast pragnienie, by całość wypadła jak najlepiej.

²¹ Eggenburg — miasto w Austrii.

W punkcie obserwacyjnym Insbruku²² uwagę moją zwrócił nastrój wielkiego zżycia się ludzi tam pracujących. Doktor Lütz, organizator tej placówki, wypowiedział zdanie, iż najważniejszymi cechami, na które zwraca on uwagę przy zaangażowaniu swych kolegów, są pogoda, zdolność do entuzjazmu i uczciwość:

— Zdarza nam się, iż wśród nas powstają różne zdania — dodał.
— To nawet bardzo dobrze. Wtedy uczciwy i szczery pracownik przychodzi do mnie i oznajmia mi, iż zdaniem jego należy postępować inaczej, niż my to czynimy. Mówi mi to jednak pogodnie, bez dramatu i niechęci względem mnie, który dotychczasowy system stworzyłem. Dyskutujemy. Ja swego punktu widzenia bronię, jak mogę. Zdarza mi się przyznać rację nawet młodemu koledze. Wtedy przeprowadzamy próbę reformy. Częściej on przekonuje się, iż całokształt systemu to coś więcej niż kilka szczegółów, które mu się nie spodobały. Będąc zdolny do entuzjazmu i ofiarności, przełamie się dla sprawy i uczciwie będzie wprowadzał w życie nawet to, co mu się niezbyt podoba. Może odejść od pracy, lecz nie będzie nigdy intrygował, bruździł i szkodził całości, dlatego że moje poglądy mu się nie podobają.

Pani Narbuttowa również była zdania, że owocna i trwała współpraca ludzi układa się należycie jedynie wtedy, gdy odznaczają się oni idealizmem, brakiem małostkowości, wierzą w swe posłannictwo i kochają ludzi.

Istotnie, dobór grona przez dyrektora instytucji zgodnie z jego postulatami, z wymaganiami względem ludzi daje pewną gwarancję harmonii i jednomyślności. Wpływa to bezsprzecznie dodatnio na tok pracy, nie przesądza jednak sprawy. Przy bliższym poznaniu mogą nastąpić rozczarowania. Co najważniejsze zaś, każdy z nas jest istotą podlegającą zmianom i rozwojowi właściwie aż do końca życia. Toteż ci ludzie, którzy ongiś byli ze sobą zgrani, mogą po pewnym czasie znaleźć się na różnych platformach o krańcowo odmiennych poglądach. Obserwowałam nieraz zmiany, które zachodziły w ludziach o, zdawać by się mogło, zupełnie ustabilizowanym charakterze.

²² Innsbruck — miasto w Austrii.

Jakiś silny wpływ z zewnątrz, przeżyty wstrząs, który otworzył oczy na błędy dotychczasowych poglądów, może przyczynić się do odnalezienia samego siebie, swojej własnej linii. Zdarza się i tak, że pod wpływem okoliczności niesprzyjających człowiek zamiast znaleźć siebie — zagubi swą osobowość, wpadnie w wir, wytworzony przez to, iż nie potrafił wycofać się ze skutków nieetycznego, obcego jego naturze czynu nieetycznego. Zamiast otwarcie ocenić swe postępowanie, usiłuje trwać przy swej słuszności, brnie dalej i wykoślawia swoją sylwetkę do niepoznania.

Dla ilustracji weźmy bohatera nowelki jakiegoś węgierskiego autora, czytanej przeze mnie kiedyś w wagonie. Zrobiła na mnie wtedy wrażenie swą prawdą. Nie mogłam później jednak przypomnieć sobie ani autora, ani tytułu, pozostała jedynie fabuła, którą uważam za bardzo charakterystyczną.

Nauczyciel zdolny, ambitny, uczuciowy, ale niezbyt głęboki, cierpi bardzo wskutek wyższego poziomu intelektualnego żony i jej arbitralności, na poczucie mniejszej wartości. Czuje do żony żal, boi się jej nawet, jednocześnie zaś jest z niej dumny i zazdrosny o jej reputację wzorowej pracowniczki. Popęłnia wykroczenie przeciwko zasadom, które dotychczas uważał za niewzruszony kodeks: dopuszcza się zdrady małżeńskiej. Tkwi w nieuregulowanych stosunkach. Z jednej strony rodzina, gdzie oprócz imponującej mu żony są ukochane, urocze dzieci. Z drugiej sprytna kobieta, umiejętnie pochlebiająca jego ambicji i słabostkom. Wobec niej pragnie „postawić się”, odgrywać rolę bohatera, człowieka silnego. Niepokój i rozterki wewnętrzne człowiek ten usiłuje zagłuszyć przeżyciami uczuciowymi o maksymalnym napięciu. Do tego bardzo nadaje się nienawiść. Postawa bojownika oparta o wyszukiwanie coraz to nowszych, coraz jaskrawszych powodów do oburzenia i walki. Walka ta staje się koniecznością życiową, daje możliwość czuć się bohaterem broniącym sprawy ogólnej. W dodatku podnosi go nie tylko w oczach własnych, lecz i w opinii kobiety, z którą chwilowo związany jest jego los. Pod jej wpływem rozpoczyna podstępne akcje przeciwko człowiekowi, któremu dużo zawdzięcza, lecz jednocześnie bardzo zazdrości wielu rzeczy, najbardziej zaś od znaczenia państwowego, o którym skrycie marzy od szeregu

lat. Cała sylwetka ulega zmianie. Wraz ze spokojem sumienia niknie pogoda, zamiłowanie do swego zawodu, nawet do ukochanej dawniej muzyki. Maleje potrzeba rzetelnej pracy i poczucia sprawiedliwości. W rezultacie człowiek, który przed rozpoczęciem ciemnego okresu swego życia odznaczał się niewątpliwymi wartościami, stacza się na dno, aż do chwili, gdy drogą dobrowolnie przyjętej na siebie ekspiacji snów prostuje się i wraca do swej dawnej postaci.

Przytoczony przykład dowodzi, że sprawy należytego współżycia nie rozwiązuje całkowicie fakt doboru personelu przez kierownika.

Z własnej praktyki wiem, iż nieraz współpraca układała się doskonale, przeradzając się z czasem w głęboką przyjaźń osobistą, chociaż rozpoczęta została na skutek zwykłego, formalnego skierowania do nowej szkoły przez inspektora ludzi, którzy niekiedy nawet nie posiadali jeszcze wymaganych kwalifikacji do tego typu szkół. Dopiero w trakcie pracy mogłam przekonać się o niewątpliwych wielkich walorach człowieka, którego w pierwszej chwili zupełnie nie posądzałam o nie. Najczęściej selekcja nauczycieli dokonywana bywa przez władze szkolne, które mianują nauczycieli do tej lub innej placówki. Jest to system jeszcze bardziej zawodny. Po pierwsze, jest rzeczą mocno wątpliwą, czy zwierzchnik naprawdę ma możliwość gruntownego poznania człowieka. Wszak taka już jest natura ludzka, że większość w kierunku do osób, na których im zależy, obraca się ładniejszą stroną swego „ja”. Poza tym, gdyby nawet w urzędzie decydującym o nominacjach pracował psycholog widzący jasno zalety i wady kandydatów — czy wystarczyłoby mu jednostek o odpowiadającym jego wymaganiom właściwościach i pośród morza nauczycieli? Co musiałby uczynić z pozostałymi, którzy nie odpowiadają wymaganiom, jakie on stawia dobremu pedagogowi? Istnieje obawa, że lepszych skierowałby do uprzywilejowanych, uczuciowo bliższych mu szkół, tamtymi zaś „gorszymi” chcąc nie chcąc musiałby załatać dziury w szkołkach mniej reprezentacyjnych.

Tak sprawy nie rozstrzygniemy. Decyduje nie ten lub inny komplet cech lub zalet, które podobają się kierownikowi lub inspektorowi, tylko cała sylwetka moralna, jej oparcie o mocny grunt

silnych, niewzruszalnych zasad etycznych, szukania ogólnego Dobra i potrzeba służenia sprawie. Wtedy możemy często być świadkami procesu stanowiącego antytezę streszczoną wyżej nowelki. Ludzie różni, o mniejszej wartości, stopniowo będą wzrastać, dostosowywać wybujałości swej natury do wymagań innych ludzi i tego, czemu służą. Będą mieli przed sobą wzór, do którego świadomie i konsekwentnie będą dążyć. Ci, którzy na początku nawet zetkną się ze sobą, uszanują w przeciwnej stronie człowieka chociaż miłość bliźniego, znajdą najlepszą platformę, na której nastąpi zdrowy, normalny wzrost duchowy tych, kto postawił sobie za zadanie dopomóc innym do postępu.

Nie potrafiłabym jednak dać wyczerpującej, dokładnej odpowiedzi na pytanie, co stanowi poza tym o dobrej atmosferze współpracy, o jej wynikach dodatnich. Czy siły nauczycielskie w zespole pracującym razem powinny mieć poglądy zbliżone do siebie, czy raczej rozmaite? Czy lepszym jest, by na czele stała jednostka jaskrawsza, o większej pomysłowości, grono zaś składało się z dobrych wykonawców, czy raczej odwrotnie — w myśl zasad demokratycznych, życie szkoły płynąć winno drogami, na wytyczenie których złożyło się uzgodnienie różnorodnych poglądów i wypośrodkowanie kierunku większością głosów? Jakie typy ludzi uzupełniają się wzajemnie? Jakie przeszkadzają sobie? Stanowi to dalszych (!) ciąg tych zagadnień psychologicznych, które domagają się opracowania, tak samo jak dobór typów dzieci i wychowawców do siebie.

Ważniejszym wydaje się aktualne zawsze zagadnienie: jak zrobić, by współpraca układała się normalnie? Wszak dobór personelu ma na celu przede wszystkim ułatwienie jej oraz unikanie zgrzytów i przykrości. O ile zmieni się stosunek człowieka do innego człowieka i nacechowany będzie szacunkiem i miłością bliźniego, potrafi uwzględnić wolność wewnętrzną innej istoty — wtedy każdy dobór da wyniki dodatnie. Ludzie uzupełniają się nawzajem. Dobrze jest, gdy są różni. Dobrze, gdy podążają różnymi drogami, każdy tą swoją, która jemu najbardziej odpowiada. Tylko cel musi być wspólny. Cel ostateczny. Ogólna organizacja winna być taka, by słabości i wady nasze nie miały pożywki, gruntu, na którym mogą rozwijać się wybujałe.

Donos, anonim, skarga, intryga trafi wtedy w próżnię, gdyż nie znajdzie odbiorców. I nie wyrządzi krzywdy. Bo zjawiska takie krzywdzą bardzo. Krzywdzą nawet nie tyle jednostkę napadniętą, ile tych, co się bronią tą posługują — a szkoda ich godności ludzkiej.

Wzajemny stosunek grona pedagogicznego ważny jest przede wszystkim ze względu na dzieci. I dlatego uregulować te sprawy musimy zgodnie z tym, co nakazują nam nasze ideały. Tylko jak poradzić sobie z tym, że wszak istnieją takie zjawiska jak sympatia i antypatia? Nie możemy negować, że wywiera ona przemożny wpływ na nasze postępowanie, nastrój chwili, decyzję. Inni jesteśmy w towarzystwie człowieka ukochanego, inni wobec osoby nam niemiłej. Ten nas onieśmiela, tamten, przeciwnie, wpływa tak, że wprost pobudza do pracy i czynu. Skomplikowana to dziedzina, jednak nie zapominajmy, że hiper-chołdowanie sympatiom i antypatiom doprowadzić może do absurdu.

Pewnie, że w wypadkach jaskrawych można powiedzieć sobie, iż lepiej zmienić swe otoczenie, bo tu nic nie wyjdzie z moich usiłowań. Ale czynić to można ostrożnie tylko i po głębokim namyśle. Nie mamy prawa ulegać nastrojom, lecz obowiązkiem naszym jest pamiętać, że w każdym człowieku trzeba znaleźć jego zalety i opierając się na nich, szukać wspólnej płaszczyzny do porozumienia się. To, co nas w nim razi — są to tylko jego słabości, a więc często — jego nieszczęścia. On sam zaś nie przestaje być bliźnim naszym. Probierzem zaś wartości naszej jest stosunek do bliźnich.

Trudności, które łączą się z organizacją szkolnictwa i wadami społeczeństwa

.....

- 1) Program.
- 2) Organizacja szkolnictwa.
- 3) Wady społeczeństwa.

Trudności musimy zwalczać. Jedne pokonamy zupełnie, znajdując dzięki nim lepsze metody pracy. Inne przyczynią się do naszego opanowania wewnętrznego, ucząc nas układać nasze stosunki z ludźmi, którzy są takimi, jakimi są. Trud, wysiłek dążący do wyrażenia tego, co do nas należy pomimo niesprzyjających okoliczności — to przyniesie owoce dobre. Są jednak zjawiska, gdzie rodzi się wątpliwość: czy nie uniemożliwią one naszej pracy, czy nie przesądzą od początku rezultatów jej, które będą tylko częściowe, niewspółmierne do włożonej przez nas energii? Do nich należy organizacja całego szkolnictwa. Ogólne ramy regulujące całokształt zagadnień dotyczących rozwoju młodego pokolenia muszą być wyraźne, mocne. Powinne one pozwalać każdemu, kto postanowił wziąć udział w tej pracy, zorientować się, czy jego światopogląd i dążenia harmonizują z tym, czego od niego żąda urząd szkolnictwa. Jednostka karna i uspołeczniona lubi zastosować się do przepisów. Daje jej to satysfakcję, upewnia w przekonaniu, iż należycie spełnia przyjęte na siebie zobowiązania. Jeżeli zaś przepisy te są chwiejne, nieujednostajnione, bez zarysów, które nie pozostawiają wątpliwości co do ich kształtu? Jeżeli wymagania stawiane nauczycielowi nie płyną z układu całości systemu, lecz są zmienne, zależne od światopoglądu poszczególnych przedstawicieli władz szkolnych? Jeżeli nie odpowiadają przekonaniom wykonawców, nie dają im pewności, iż to, co robią, jest istotnym dobrem?

Pamiętam, jak ucieszyła rzesze nauczycielskie wieść o nowych, zreformowanych programach nauczania. Jakkolwiek wprowadzenie ich w życie było powiązane z przymusem przesłuchania kursu — entuzjazm niewątpliwie istniał. Fakt, iż wykłady na kursie wakacyjnym odbywały się w nagrzejanej do temperatury tropikalnej klasie szkoły warszawskiej, nie osłabiła zapału. Nawet to, iż prelekcje nie zawsze były na poziomie i w niektórych wypadkach ograniczały się do tego, iż prelegentka odczytywała nam tekst projektu prawie bez komentarzy do niego, nie zmniejszyło ufności, życzliwego nastawienia, z jakim programy zostały przez ogół nauczycielstwa przyjęte. Tak bowiem mocno odczuwaliśmy brak jasnych, wyraźnych i drogich nam ideowo wytycznych w naszej pracy. Wstęp do nowych programów głosił hasła szczytne i wzniosłe, nawiązywał do wiary w potęgę czynnika moralnego, kultury Polski, świadomego stosunku do spraw społecznych, wyrobienia wytrwałości i hartu, wyraźnie stawiając jako cel nadrzędny wytwarzanie w młodzieży czynnego i możliwie twórczego stosunku do państwa. Materiał nauczania od pierwszej klasy został poszufladkowany, podzielony na oddzielne przedmioty nauczania odgraniczone jedne od drugich. Korelacja poszczególnych przedmiotów tylko niekiedy była uwzględniana. Poszczególne opracowane dziedziny nauczania, jak na przykład przyroda i geografia stanowią całość same w sobie, nie są jednak organicznie powiązane z innymi dyscyplinami ani zgrupowane dookoła wyraźnego wspólnego rdzenia, jakim jest ośrodek zainteresowania Decroly¹ lub temat w metodzie projektów².

¹ Ovide Decroly (1871–1932) — belgijski psychiatra, psycholog i pedagog. Założyciel Instytutu Nauczania Specjalnego przeznaczonego dla dzieci odbiegających od normy. Twórca metody nauczania tzw. „ośrodków zainteresowań”. Według jej założeń odrzucano podział materiału na przedmioty i lekcje, a podejmowano zagadnienia odpowiadające naturalnym zainteresowaniom dzieci, wyzwalaając aktywność w zdobywaniu wiedzy. Zgodnie z tymi założeniami zreformowano system nauczania w szkołach brukselskich.

² Metoda projektów — metoda nauczania polegająca na samodzielnym realizowaniu przez uczniów zadania przygotowanego przez nauczyciela na podstawie wcześniej ustalonych założeń.

Sprawom wychowawczym nie poświęcili autorowie osobnego miejsca, wpłatając jedynie od czasu do czasu w uwagach zdania stwierdzające konieczność uwzględnienia ich. Tak na s. 27 czytamy: „okres przygotowawczy posiada w większym jeszcze stopniu niż reszta roku charakter wychowawczy”. Ale konkretnie — co to znaczy? Co uwzględniać przy wychowaniu? Tu panuje kompletne bezkrólewie. Widziałam klasy, gdzie największy nacisk położony był na ułożenie zewnętrzne dzieci; gdzieindziej nauczycielka usiłowała wpajać zasady wychowania państwowego od pierwszych tygodni pobytu w szkole; kto inny znowu uznał za potrzebne utworzyć w swej klasie rodzaj samorządu i opowiadał z entuzjazmem o tym, jak świetne wyniki uzyskał. Są i takie jednostki, które nie mając dostatecznej inwencji własnej, przyglądają się próbom czynionym przez innych kolegów i potem przeszczepiają je mniej lub więcej udolnie na grunt powierzonej sobie grupy.

Niekiedy Rada Pedagogiczna poszczególnych szkół ustala wyraźny program, do którego dostosowuje całość swej pracy. Na ogół zaś w większości wypadków panuje w tej dziedzinie przypadkowość i brak planu. W rezultacie zaś nabyte wiadomości z dziedziny wychowawczej najczęściej pozostają w psychice dzieci tylko wiadomościami, czymś nieugruntowanym, jeżeli wolno tak wyrazić się „zaczepionym o pamięć”. Kiedyś byłam świadkiem następującej scenki. Grupka dziewczynek z jakiejś „lepszey” szkoły stała przed kościołem, gdzie miała się odbyć spowiedź. Poznajomiłyśmy się. Jedna z malutkich penitentek wspięła się na palce i z wielkim smutkiem pytała mnie na ucho, jak ma wyznać taki grzech:

— Ja zupełnie zapomniałam, jak nasza pani mówiła, czy pana prezydenta trzeba kochać czy szanować, a dziewczynki mówią, że trzeba kochać i że ja jestem niedobrą Polką, a ja zapomniałam i teraz nie wiem, jak powiedzieć.

Jaskrawą ilustracją wielkiego chaosu, jaki w umyśle dziecka wytworzyć może hiperstaranne wpajanie haseł wychowania państwowego, może być następujący fakt.

Edek bardzo często słyszy w klasie o konieczności pracy dla państwa, ofiarności względem państwa, o prawie państwa do życia i mienia wszystkich obywateli. Wybuchą gwałtowną złością:

— A żeby ono skisło, to państwo! Jak ja jego nienawidzę! I nigdy nic dla państwa robić nie chcę!

Ogólna konsternacja. Edek jest uznany za element destrukcyjny, znajdujący się prawdopodobnie pod zgubnym wpływem skomunizowanego otoczenia przedmieścia, gdzie mieszka, i agitatorów. Znacznie później wyjaśniło się, że matka chłopaka była służącą u zamożnych, ale bardzo niesympatycznych ludzi, którzy nie pozwalali synowi przychodzić do niej. Tylko po kryjomu wsuwał się do kuchni i otrzymywał resztki jedzenia, przy czym matka przynaglała go, „żeby państwo nie zauważyli”. Stąd wielka niechęć malca do „państwa” i identyfikowanie przez trzy lata pobytu w szkole często słyszanego tam wyrazu z niemiłymi pracodawcami matki.

Wydaje mi się, że o ile uczucia społeczne kształtują się dopiero w późniejszych fazach wzrostu psychicznego dziecka, to tym bardziej odnosi się to do zrozumienia idei państwowości. Winno ono być poprzedzone przez zbudowanie fundamentu, na który składają się: miłość Boga, uznanie konieczności podporządkowania wszystkiego Jego woli i unormowanie swego postępowania zgodnie z nią. Wtedy nie wzbudza żadnego sprzeciwu czwarte przykazanie dekalogu, które zresztą znajduje oparcie o naturalne uczucia miłości i szacunku do rodziców i zrozumiałą potrzebę posłuszeństwa względem nich. Dopiero później kręgi rozszerzają się na przyjęcie norm dotyczących współżycia w klasie, potem szkole jako małej społeczności, wreszcie na naród i kraj jako całość organizacyjną, żeby znowu poprzez uznanie obowiązków względem ludzkości, uprzytomnienie sobie jej zadań i odczucie więzi każdej jednostki z Kościołem jednoczącym wszystkich — wrócić do punktu wyjścia harmonijnej całości: do Stwórcy. Program szkoły powszechnej z roku 1934 absolutnie nie uwzględnia znaczenia religii i jej zasad w wychowaniu integralnym człowieka. Nauczanie religii zostało wyodrębnione, materiał dotyczący tego działu wydany w postaci osobnej broszury i wprowadzony w życie o półtora roku później

niż całość. W książce o 471 stronach, zawierającej tę całość, wyraz Bóg spotykamy jedynie w tytule pieśni *Boże, coś Polskę*. Poza tym znalazłam w ogólnych uwagach o nauce śpiewu na s. 417 krótką wzmiankę o tym, że „we wszystkich klasach należy śpiewać pieśni religijne. Pieśni te winne być dostosowane do biegu roku kościelnego. Na szczególne wyróżnienie zasługują kolędy, jak i te pieśni religijne, które są najbardziej zbliżone do psychiki dziecka ze względu na treść, a ze względu na melodie są najdośćępniejsze z pieśni religijnych”³. To wszystko, co program szkoły powszechnej mówi o związku z rozwojem życia religijnego dziecka, pozostawiając sprawę tę prefektom w dwóch godzinach przeznaczonych w tygodniu na lekcje religii.

U nauczyciela wierzącego, katolika, nie mogą nie powstać wątpliwości, co do tego, jak należy ustosunkować się do podobnego programu. Gdyby było wyraźnie powiedziano, że szkoła jest bezwyznaniową, wiedziałby, jak postąpić zgodnie ze wskazaniami odnośnych encyklik regulujących sprawę wychowania. Tymczasem tak nie jest. Szkoła nazywa się szkołą wyznaniową, tylko wychowanie religijne zostało zsunięte gdzieś daleko, na ostatnie miejsce.

Program został opracowany przy udziale wybitniejszych specjalistów spośród nauczycielstwa, specjalistów zaproszonych do współpracy przez władze szkolne. Ogół nauczycielstwa przesłuchał kurs wakacyjny, wprowadzający go w sferę postulatów i dążeń nowego programu. Na tym skończyło się pobieżne zaznajomienie i rozpoczęło się wprowadzenie go w życie.

Nazywa się projektem programu, podlega więc jeszcze krytyce i możliwościom przeróbek i udoskonaleń, tak jak nie skostniały jeszcze nasze kształty organizacji szkolnictwa, do których on został dostosowany. Tu również życie wysunęło niejedno zastrzeżenie.

W założeniach twórców nowego systemu szkoła miała być jednolitą. W praktyce jednak nie dało się to zrealizować. Okazało się, że pomiędzy szkołą powszechną a średnią istnieje głęboki

³ Program nauki w publicznych szkołach powszechnych trzeciego stopnia z polskim językiem nauczania, Lwów: Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego 1934.

rów (jeżeli nie przepaść), przez które nie każde dziecko potrafi przeskoczyć. Fakt jak najbardziej pomyślnego ukończenia szóstej klasy nie upoważnia do tego, by wstąpić do gimnazjum. Decyduje o tym dopiero egzamin wstępny. Przede wszystkim nasuwa wątpliwość fakt, że do szkoły średniej, czyli placówki, która ma odegrać bardzo wielką rolę w życiu człowieka, kandydaci przychodzą w wieku 14–15 lat, czyli w okresie dojrzewania. Pierwsze ich zetknięcie się z nowymi pedagogami, przepisami, metodami pracy odbywa się w czasie wzmożonego krytycyzmu, łatwego sporu. Nie sprzyja nawiązaniu głębszych kontaktów.

Poza tym przyglądałam się uważnie zjawiskom, które towarzyszyły przygotowywaniu się do tego egzaminu. Albo szkoła powszechna przerywała normalny bieg swej pracy i w drugim półroczu zaczynała gwałtownie wtłaczać do głów swych uczniów wiadomości potrzebnych do złożenia egzaminu albo też pracowała nadal zgodnie z programem i własnymi metodami. Kandydaci zaś do szkoły średniej przygotowywali się na własną rękę. W praktyce wyglądało to tak, że zamożniejsi rodzice angażowali wprawnych korepetytorów „wkuwaczy”, którzy orientowali się co do wymagań poszczególnych gimnazjów i naprędce przerabiali odnośne fragmenty wiedzy szkolnej. Dzieci niezamówne w takim konkursie okazywały się bardzo często pokrzywdzonymi.

Sam egzamin jest dla dziecka prawie zawsze wstrząsem. Wyniki zaś jego doprawdy są mocno przypadkowe. Nieraz zdarzało mi się widzieć chłopców, którzy u nas byli uczniami miernymi, dzięki zaś tupetowi i sprytowi egzamin złożyli dobrze, podczas gdy dzieci naprawdę wartościowe tak się traciły, że wynik był ujemnym.

Poważne zastrzeżenie budzi również to, iż do gimnazjum idzie się po sześciu klasach szkoły powszechnej, siódma zaś jest nadbudówką dla tych, którzy kończą swą edukację. Klasa ta przypomina jakiś ślepy tor, z którego nie ma dalszej wolnej drogi. Toteż wśród dzieci nie cieszy się zbyt dużą popularnością. Uczęszczanie do niej poprzedzone jest przez swego rodzaju wstrząs: nie udało mi się, jak bogatym, zdolniejszym i szczęśliwszym kolegom, dostać się do szkoły średniej, pęd do której był ostatnio chorobliwie silny. Pozostaje więc siódma klasa jako *malum necessarium*.

Ustrój szkolnictwa pociąga za sobą kilka takich momentów przykrych dla dziecka. Przewidując szkołę w zasadniczych sześciu oddziałach, stwarza tym samym dla licznych rzesz dzieci mniej zdolnych konieczność bolesnych przeżyć w klasach piątej i szóstej. Dzieci o niskim ilorazie inteligencji zdolne są jedynie do opanowania czterech oddziałów szkoły. Nauczyciel bardzo często widzi przed sobą dobre, pilne i staranne dziecko o małych zdolnościach, które w piątej klasie zaczyna coraz mniej dawać sobie radę. Stwarza się sytuacja bolesna: jak brać na siebie odpowiedzialność za to biedactwo, jeżeli oceną sprawiedliwą jego wiadomości uniemożliwia mu możliwość ukończenia szkoły, zdobycia tego najniższego z istniejących u nas cenzusów naukowych? Pomaga, wyjaśnia dodatkowo, trochę naciąga, ułatwia, tłumacząc się przed samym sobą, że wszak praca tego dziecka, jego dobre chęci zasługują na lepszy stopień itd. O ile zaś takie mniej zdolne dziecko nie odznacza się większymi walorami charakteru, czuje się ono w klasach starszych, o programie przerastającym jego możliwości, źle i zaczyna naukę innych sposobów imponowania kolegom niż powodzenie szkolne. Rej wodzi w figlach, wybrykach i wykroczeniach, aż trafi do szkoły specjalnej dla dzieci trudnych do prowadzenia. U nas napływ do klasy piątej zawsze bywa bardzo znaczny właśnie z powodów przed chwilą omówionych. Ukończenie obowiązku szkolnego z chwilą osiągnięcia lat 14 również kryje w sobie ogromne przykrości dla nauczyciela, którego żywo obchodzą losy jego wychowanków. Jeżeli z tych lub innych powodów uczeń nie zechce dalej uczęszczać do szkoły, jakkolwiek jej nie ukończył, nie ma na to rady. Tymczasem do terminu wolno było przyjąć młodzież dopiero po ukończeniu lat 15. Okres więc pomiędzy 14 a 15 rokiem życia, czyli wiek szczególnie niebezpieczny, był poza racjonalnym naprawdę troskliwym wpływem pedagogicznym.

Zjawisko to niejednokrotnie poruszała pani J. Bużycka, psycholog szkolny w Warszawie, która zebrała bogaty materiał ilustrujący tę anomalie.

Nie mogę nie dotknąć sprawy, która mnie mocno absorbowała przez dłuższy czas: sprawy przynależności dziecka i jego potrzeb do tak licznych i różnych resortów. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zajmuje się przez swój Wydział Zdrowia

niemowlętami. Sieroty są pod opieką Ministerstwa Opieki Społecznej. Edukacją przyszłych obywateli opiekuje się Ministerstwo Oświaty. Sprawa przysposobienia fachowego tych, którzy nie poszli do szkół zawodowych, tylko terminują w obranej przez siebie specjalności u majstrów, znajduje się w rękach Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Ci zaś, którzy popełnili czyny znajdujące się w sprzeczności z kodeksem karnym trafiają do dyspozycji Ministerstwa Sprawiedliwości i jego organów. Tak przechodzi dziecko z kompetencji jednej instytucji do innej, nie raz będąc pod opieką kilku naraz. Czasem zaś zdarzają się okresy, gdy nie należy do żadnego, staje się pomimo młodego wieku dzieckiem międzyministerialnym, niczym, pozbawionym tej troski o siebie, na którą ma pełne prawo liczyć w okresie, gdy jej potrzebuje najwięcej. Jeżeli istnieje tak dokładna ewidencja wszystkich młodych mężczyzn w kraju nadających się do noszenia broni i państwo nie zapomina o żadnym, tylko z nadejściem wieku poborowego upomina się o swoje prawo do niego, to wydaje mi się, iż nie jest rzeczą niemożliwą, by powstał taki centralny Urząd Dzieci czy też Ministerstwo tejże nazwy, coś w rodzaju szwajcarskiego Jugendamtu⁴. Od chwili urodzenia aż do uzyskania możliwości samodzielnego bytowania, u jednostek anormalnych zaś do przejęcia ich przez instytucję, zadaniem której będzie zaopiekowanie się taką istotą aż do końca jej życia, dziecko powinno rosnąć i rozwijać się pod czujnym i fachowym dozorem takiego urzędu. Znajduje się w jego kartotekach przejście jego z jednego okresu do innego, jest śledzone, kontrolowane. Ktoś pamięta o nim, potrzebach jego i przyszłości, zapewnia sprawiedliwy przydział tego wszystkiego, co mu jest niezbędnym do osiągnięcia pełnego i harmonijnego rozwoju możliwości jego.

Należałoby wiele rzeczy zmienić, uzdrowić, powołać do życia, by można było powiedzieć sobie, że organizacja szkolnictwa i wychowania dzieci i młodzieży istotnie odpowiada swemu przeznaczeniu. Przypuśćmy na chwilę, że tytanicznym wysiłkiem indywidualnym, połączonym ze zdobyczami grupy zawodowej, do której on należy, udało się nauczycielowi pokonać

4 Jugendamt — Urząd do Spraw Dzieci i Młodzieży.

w głównych zarysach piętrzące się przed nim trudności i nawet wpłynąć na zreformowanie tego, co było wadliwego w budowie ustroju szkolnego.

Rozumie dzieci, ma ich zaufanie i przywiązanie, potrafi kierować nimi zarówno jednostkowo, jak grupowo, działa w normalnych dobrych warunkach, całokształt zagadnień zaś dotyczących szkoły *in abstracto* został już unormowany w sposób celowy, który ułatwia owocną i przyjemną pracę. Czy wtedy można mieć pewność, że wysiłki nasze, które dajemy chętnie, nawet entuzjastycznie, przyniosą taki plon, jakiego jesteśmy w prawie spodziewać się od nich przy jak najdalej posuniętych ułatwieniach i warunkach zewnętrznych? Czy w chwili gdy pożegnamy uczeni swych po ukończeniu szkoły powszechnej, potem średniej lub zawodowej, możemy zareczyć, że są takimi, jakim jest ideał wychowawczy, do którego dążyliśmy? Czy przynajmniej zdradzają tendencję przybliżania się do niego? Krótko mówiąc, czy w chwili opuszczenia szkoły są lepszymi niż w dniu, kiedy po raz pierwszy przestąpili próg placówki zdobycia wiedzy i wychowania, by poddać się jej wpływowi?

Kiedyś jadąc pociągiem z Cieszyna do Krakowa, poznałam się z sędziwym wieśniakiem. Wyrażał swe głębokie oburzenie z powodu obowiązku powszechnego nauczania. Gdy starałam się przekonać owego „zacofańca” co do olbrzymich korzyści, jakie związane są z tym, że każdy obywatel przejdzie przez szkołę, stary wstał, wyprostował się i patrząc mi prosto w oczy, zapytał:

— A czy pani mogłaby mi przysiąc na swoje zbawienie, że dzieci wychodzą ze szkoły lepszymi niż wchodzą do niej? Będzie temu już kilka lat, jak słyszałem rozmowę nauczycieli pomiędzy sobą, też tak sobie w wagonie. Jeden z nich powiedział, że lubi uczyć tylko młodsze klasy, bo tam dzieci są jeszcze dobre, a w starszych robią się coraz gorszymi i bardziej nieznosnymi. Wtedy zrozumiałem, że coś nie tak jest ze szkołą. Jak ja robię jaki przedmiot, rzeźbię w drzewie albo hoduję roślinę, to wiem, że ta rzecz staje się coraz lepsza i lepsza, roślina rozwija się więcej i więcej. Aż przyjdzie taka godzina, kiedy ja powiem sobie: gotowe, już lepszą nie będzie. I wiem, że swoje zrobiłem. A jak widzę,

że nie lepszą, tylko brzydszą rzecz stała się albo roślina usycha, to też wiem, że chyba błąd jaki zrobiłem, nie dopatrzyłem lub w ogóle coś było nie tak. Teraz weźmy szkołę. My do niej oddajemy dziecko małe i dobre, a po paru latach nauczyciele mówią, że stało się gorsze i niezdolne. I my też widzimy, że tak jest, że dziatwa nie jest taką, jakiej pragnęliśmy. Winić nauczycieli nie mogę, sam widzę i wiem, że najczęściej porządni i zacni to ludzie i napracują się ponad siły. Tylko widać, że sama szkoła jakoś nie taką powinna być, bo zbyt już dużo z niej wychodzi młodych ludzi nie takich, o jakich marzą rodzice i nauczyciele. I dlatego ja w szkołę nie wierzę, pani. Proszę darować staremu, ale nie wierzę.

Co miałam odpowiedzieć na tę druzgocącą mowę prokurator-ską? Usiłowałam przekonać oskarżyciela, że odpowiedzialność za rozwój duchowy człowieka ponosi nie sama szkoła tylko, lecz całe społeczeństwo. Dziecko nie jest czymś odosobnionym. Przedstawia ono sobą odbicie zalet i wad swego środowiska i narodu. Szkoła nie jest w stanie, a może i nie powinna stwarzać sztucznej oazy, gdzie dziecko nie pozna życia, nie uodporni się i nie nauczy się walczyć ze złem. Nikt z nas nie jest tylko sobą, mówiłam, każdy jest częścią żywego, wielkiego ciała i jak zachoruje gdzieś inna część — odczuwają to wszystkie. A chorych komórek mamy tak wiele. Ileż zła dzieje się! Czy może szkoła ochronić dzieci jej oddane od skutków tego zła? Czy potrafi oddzielić dzieci te, które kocha, od niedobrych wpływów? Nie da rady, bo wpływy wdzierają się przemocą, psują naszą pracę, odbierają nam dziecko.

Stary słuchał uważnie. Długo milczał, wreszcie powiedział:

— Zrozumiałem ja teraz wszystko. Ma pani rację. To nie szkoła, tylko wszyscy ludzie chowają dzieci. I żeby wychować, trzeba dobrze żyć. Każdy, kto robi paskudztwo, nie tylko siebie, ale i innych krzywdzi... Może kiedy i mój jakiś grzech kogoś posuła, a ja ani wiedziałem o tym, ani rozumiałem.

Rozmowy tej nie zapomniałam. Wracam do niej często w myślach. Rozwijałam poruszone wtedy zagadnienia dalej i niekiedy dochodziłam do obawy, czy praca szkoły nie jest pracą syzyfową. Co możemy zrobić, by było lepiej? Społeczeństwo ma

.....

tyłe wad, bolączek, powiedziałabym — ran. Odbijają się one na dziecku i jego obliczu. Dziecko nasiąka duchem swej epoki, nabiera jego zabarwienia. Czy potrafimy przeciwdziałać potężnym tym wpływom?

Wszak szkoła, niezależnie od tego, czy posłannictwo swe rozumie tak czy inaczej, widzi przed sobą cel, do którego prowadzi swych wychowanków. Szkoła może mylić się, iść po błędnej ścieżce, być sama wprowadzona w błąd przez siły ciemne i nieostrzeżone w czas. Ale nie ma takiej szkoły, nie ma nauczyciela, który by świadomie dążył do tego, by uczeni swych uczynić złymi ludźmi, poprowadzić ich na zagładę. Uczymy tego, czego od nas żądają, ale wpajamy to, w co wierzymy, co uważamy za istotny kodeks moralny.

Usiłujemy uspołecznic dziecko, nauczyć je, że należy myśleć nie o sobie tylko, należy widzieć potrzeby innych ludzi, szanować ich prawa i wymagania, że nie wolno być sobkiem, egoistą.

Tymczasem tuż za progiem szkoły niezliczone przejawy otaczającego je życia przekonują dzieci, iż ten, kto idzie przez życie, rozpychając się łokciami, nie zważając na innych, osiąga — niechby tylko chwilowo, a jednak często niewątpliwie — powodzenie.

Uczymy wychowanków naszych o potrzebie nie tylko sprawiedliwego, ale nacechowanego miłością stosunku do innych ludzi, oni zaś na każdym kroku dostrzegają wzajemną niechęć ludzi do siebie, wrogość, przynajmniej zaś ustawiczne podrażnienie. Kłótnie, bójki, spory, odmowy, oszczerstwa — wszak to są zjawiska zwyczajne, z którymi dziecko zetknęło się od zara-
nia życia.

Mówimy, że nie wolno kłamać, iż prawda jest cenną wartością. Tymczasem, czyż jest dziedzina, gdzie więcej grzeszymy niż właśnie tutaj? Kłamiemy zbiorowo, w pojedynkę, nawet przed samym sobą, na każdym kroku, przykrywając fałszem i podsuwającymi przezeń argumentami to, co jest nam niemiłym i niewygodnym. Nieuczciwość i zdolność do aprobaty sprytem życiowym i praktycznością. Opowiada się o niej ze swoistą dumą i przechwałą.

Szkoła wymaga spełnienia obowiązków, sumienności. Życie uczy czegoś wręcz przeciwnego. Ludzi unikają obowiązków. Panuje powszechna chęć używania, wyczysku. Życie ponad stan, bez myśli o jutrze. Lekkomysłne zaciąganie długów, bez poważnego zamiaru wywiązania się z nich, markowanie pracy, pogoń za przyjemnością i rozrywką. Dziecko widzi to wszystko. Widzi dziecko również i skarlłowaciałą moralność w stosunkach wzajemnych dwóch płci. Wszak trudno nawet mówić obecnie o tym, żebyśmy przeżywali okres specjalnego nasilenia seksualizmu. Powiedziałabym, iż jest wręcz przeciwnie. Raczej przedrodził się on w postać anegdotyczno-karykaturalną, rozmienił się na drobną monetę brzydkich żartów, lepkich piosenek, wpół nieprzyzwoitych obrazków reklam, frazesów znaczących i do niczego nieobowiązujących, flirtu, natrętnych spojrzeń i nastroju nieustannego quasi-podniecenia, które przypomina stan podgorączkowy.

Przecież tylko zacofaniec może mieć obiekcje przeciwko plaży, *dancing'om* i tym specyficznym formom obcowania młodzieży, gdzie uczucia nie idą w głąb, nie są ocenione jakościowo, lecz przede wszystkim ilościowo! W pokoju nauczycielskim mówi się na wpół żartobliwie, na wpół z troską o tym, że od pierwszej klasy dzieci opowiadają o „narzeczonych”, o „powodzeniu” i „asystowaniu”. Wszędzie daje się zauważyć brak głębi, powierzchowny dyletantyzm. „Jakoś tam będzie” zdobyło sobie naczelne miejsce w rzędzie przepisów życiowych. Termin, godzina — co to znaczy? Zdążę — dobrze! Spóźnię się — trudno! Nie nauczę się — mała bieda! Może uda się wyłgać się. Zresztą niewiele sobie robię ze wszystkiego, bo nie wiem, co to jest obowiązek, szacunek do przepisu. Niech inni je wykonują, ja jestem indywidualistą, „wolnym duchem”, nie znoszę zakazów i rozkazów, idę za chwilową zachcianką, nie znoszę karności, bo to jest niewola. Małe, drobne, splugawione są wykroczenia i wady naszej epoki, zakurzone i zaśmiecone życie. I może właśnie dlatego, że dominują niewyraźne, wstrząsające zbrodnie, tylko te trujące tanie narkotyki, którymi przepojone jest życie, tak trudno jest je przewietrzyć, rozjaśnić. Głos szkoły nie dociera do jaźni dzieci, które przychodzą do nas omotane pajęczyną drobnych, lepkich i tchórzliwych wad społecznych, mało dostrzegalnych

i dlatego trudnych do usunięcia. Lipną⁵ do dzieci, ich rodziców, otoczenia, nas samych niepostrzeżenie tak, iż nie można dostrzec Piękna przez tę misterną pajęczynę, jaka oplątała wzrok i słuch, które stały się niewrażliwe na widok i głos Prawdy.

Na zabagnionym gruncie poruszonych wyżej wad społeczeństw łatwiej niż gdzieindziej wykwitają wykrzywione postacie, które chcą prowadzić za sobą tłumy. Rewolucje, wojny, krańcowe, fanatyczne partyjniactwo... w okresach takich żadnej wartości nie ma życie ludzkie ani przekonania. Decyduje siła, nie wartość. Wrażliwość reakcyj przytępia się, zagłusza. Istotnie, czy można protestować przeciw drobnej nieuczciwości jednego człowieka, skoro całe narody nic sobie z niej nie robią? Co znaczy krzywda jednostki, wtedy gdy giną miliony?

Obca, niemiła władza okupantów narzuca ludności te lub inne zarządzenia. W oczach zapaleńców o niezbyt głębokiej etyce oszukiwanie jej staje się swoistym bohaterstwem, przejawem odwagi i patriotyzmu. Rodzi się quasi-patriotyzm, quasi-religijność, quasi-odwaga, a raczej błaga, podtrzymywana metodami demagogicznymi. Trudno jest wtedy odróżnić zboże od kąkolu. W takich czasach obok ludzi pięknych, wartościowych, o wiernym ukochaniu Prawdy, znajduje się znaczna liczba blagierów, szkodników, fałszywych proroków, przybranych w skórę jagnięcia. „Po owocach ich poznacie ich”⁶. Ale zanim dzieła ich zaczną wydawać owoce — ile krzywdy zdążą oni wyrządzić! I to szczególnie młodym, wrażliwym na efekt zewnętrzny, hasło, odwagę trącącą szaleństwem.

Co tu może zrobić nauczyciel? Tragizm polega na tym, że on widzi niebezpieczeństwo lepiej niż kto inny, jednocześnie zaś zdaje sobie sprawę z tego, jak trudno jest przeciwdziałać temu, co niesie ze sobą zły duch czasu. Nie może przy tym pozostać obojętnym, pogodzić się z rozkładem całości, gdyż jego nastawienie do życia i ludzi polega właśnie na dopomaganiu rozwojowi, budowaniu, nie zaś upadku i destrukcji.

⁵ Lipać się — przylepiać się.

⁶ Mt 7,20.

Środki, które ułatwiają zwalczanie trudności

.....

- 1) Doświadczenie innych ludzi:
 - a) Książki i czasopisma.
 - b) Odczyty, konferencje, kursy.
 - c) Przykład, rada.
 - d) Podróże.
- 2) Własna praktyka.
- 3) Praca nad sobą.

Zawód nauczycielski należy niewątpliwie do najtrudniejszych na świecie. Przejrzeliśmy dość pobieżnie część zjawisk, pokonanie których wymaga od nas wielkiego nakładu energii, wiedzy, intuicji, ofiarności, hartu i walorów osobistych. Słusznie mówi się o sztuce wychowania i nauczania. Toteż i wymagania, które nam są stawiane, a co najważniejsze, które stawiamy sami sobie, są bardzo wysokie. Nie możemy łudzić się tym, że ktoś nam wszystko ułatwi, wygładzi drogę, usunie przed nami przeszkody. Nawet o ile znikną anomalie ustroju społecznego i organizacji szkolnictwa, o których mówiliśmy w poprzednim rozdziale, pozostaną te trudności, które nierozzerwalnie łączą się z rodzajem obranej przez nas pracy — zwalczanie niewiedzy i ułomności w naturze ludzkiej. Z przejawami ich spotkamy się u każdego prawie dziecka, u wszystkich, z kim łączy nas wspólna nić w pracy i życiu naszym. Spotkamy się z nimi i we własnym wnętrzu, poznając samych siebie, pogłębiając autoanalizę.

To też należałoby dodać jeszcze jeden rozdział pod tytułem: *Trudności natury wewnętrznej*. Konstrukcyjnie byłoby to na miejscu. Nie czynię tego jednak. Uważam bowiem, że z chwilą, gdy człowiek zauważył te trudności wewnętrzne, pogłębił je i postarał się zrozumieć, przestają one być tylko trudnością. Pozostają niemi nieraz długo jeszcze, niekiedy przez całe życie. Jednocześnie zaś spełniają i inną, lepszą i ładniejszą rolę: stają się środkiem do zwalczania zła w sobie samym i w innych. Dlatego sprawy te spróbuję poruszyć łącznie ze środkami, które ułatwiają nam zwalczanie trudności w pracy naszej.

Wśród tych zjawisk, które ułatwiają nam wysiłki nasze, olbrzymie znaczenie ma doświadczenie innych ludzi, z którego możemy korzystać.

W człowieku głęboko tkwi poczucie wspólnoty z innymi, potrzeba obcowania z ludźmi, wyrażającego się w tej lub innej postaci. Małe dziecko cieszy się, gdy widzi ludzi i układa usteczka w smętną podkówkę, kiedy oni oddalają się, pozostawiając je same. Niewiele jest ludzi, którzy nie mieli nigdy bliższego kolegi, współtowarzysza przeżyć, jeżeli już nie przyjaciela. Nie znam niczego, co dawałoby poczucie takiego szczęścia jak niezłomna pewność prawdziwej, trwałej i mocniejszej ponad czas i przestrzeń przyjaźni.

Tęsknota człowieka do innych ludzi tak różnie przejawia się. Roztrzepana plotkarka biegająca „po kominkach”, jak również nieokiełznany pęd do hucznych zabaw mają to samo podłoże w pragnieniu przyłączenia się do społeczności innych ludzi, jak i działalność polityka, która zmierza do ulepszenia form współżycia ludzkości, lub aktora z jego nienasyconym głodem żywego kontaktu z widownią.

Poczucie, że nie jesteśmy sami, że liczne rzesze ludzi, współpracowników naszych przeżywają to samo, co i my, dążą do tego samego wspólnego i dobrego celu, rodzi głęboką i twórczą radość. Budzi ono zrozumienie braterstwa, łączności i płynącej stąd czystej i zdrowej siły, każe lepiej zrozumieć ostatnie przykazanie dane ludziom w Wieczerniku: „Przykazanie nowe daję wam, abyscie się społecznie miłowali”^{1*}.

^{1*} J 13,34.

Wielka otucha płynie z pewności, że w dążeniach i wysiłkach naszych nie jesteśmy odosobnieni. Ma to znaczenie zarówno w czasie obecnym przez łączenie się i współpracę z naszymi współczesnymi kolegami, jak i w odczuciu wspólnoty z tymi, kto już odszedł, pozostawiając nam w spuściźnie owoc swych trudów.

Najdostępniejszą formą obcowania z przejawem ducha ludzkiego jest posługiwanie się książką. Dla nauczyciela książka jest *conditio sine qua non*^{2*} świeżości i sprawności jego pracy. Może być rewelacją, drogowskazem, potwierdzeniem tego, co sam od dawna wyczuwał, podważeniem dotychczasowych ideałów, może być rozrywką, natchnieniem, przyjacielem.

Uśmiechy godzin Staffa... — doprawdy odczuwam coś w rodzaju zazdrości za każdym razem, gdy widzę, że ktoś po raz pierwszy otwiera stronicę tej książeczki. Wiem bowiem, jak silne i promienne wrażenie przeżyje on, czytając *Caritas*, z którego przez brzegi wylewa się miłość zarówno do starców z przytułku tęskniących za sercem, śpiewem dziecięcia i ogródkiem, jak do skazańca, który przypomina nam, że:

„Ta sama świętość, co w cnotliwym śpiewa
W sercu zbrodniarza płacze bardzo chora”.

Przesuwają się w pamięci książki, które wywarły szczególnie mocne, niezatarte wrażenie. Jest ich dużo i jakże różne są, zależne od okresu, kiedy się je czytało. Nie sposób dziś powiedzieć, co więcej zaważyło na ukształtowaniu uczuć i poglądów... każde z nich zostawiło ślad. I duże dzieło pedagogiczne Meumanna³, które czytałam nocami przy malutkiej świeczce w Irkucku, i krótkie nowele Turgieniewa⁴ z *Notatek myśliwego* pt. *Żywe relikwie*, zarówno jak *Trylogia* Kossak-Szczuckiej⁵, kiedyś zaś *Chata wuja Toma*.

^{2*} Łac. *conditio sine qua non* ‘warunek konieczny’.

³ Ernst Meumann (1862–1915) — niemiecki psycholog i pedagog. Pionier badań nad procesami uczenia się i nauczania. Jeden z twórców pedagogiki eksperymentalnej i pedologii. Autor pracy *Wykłady wprowadzające do pedagogiki eksperymentalnej* (1907).

⁴ Iwan Turgieniew — autor cyklu opowiadań *Zapiski myśliwego* z 1852 r., który zawiera m.in. opowiadanie *Żywe relikwie*.

⁵ Zofia Kossak-Szczucka — autorka *Trylogii* o wyprawach krzyżowych, w skład której wchodzi *Krzyżowcy*, *Król trędowaty* i *Bez oręża*.

.....

W Monachium, zdaje się, widziałam pomnik, obrazujący siłę twórczą oraz niszczycielską wody. Gdybym miała talent rzeźbiarski, spróbowałabym stworzyć pomnik książce, pomnik, który dałby do zrozumienia jej moc zarówno jasną, jak ciemną. Toteż odczuwamy bardzo potrzebę dobrych bibliotek, fachowo prowadzonych poradni bibliograficznych, które na skierowane do nich zapytania wskażą nauczycielom, szczególnie zaś zamieszkającym daleko od wielkich miast, te dzieła, o które mu chodzi, które ułatwią mu pracę. Tak by się chciało, by przy każdym inspektoracie szkolnym była dobra, przytulna, „nasza” biblioteka, gdzie ktoś miły i mądry wybrał i podsunął nam to, co ukazało się wartościowym w tym czasie, kiedy myśmy się zmagali z trudnościami. Często książka taka będzie dla nas odpowiedzią na niejedno pytanie i wątpliwość dotąd nawet jeszcze niezupełnie uświadomioną.

W związku z zagadnieniem lektury mającej przyjść nauczycielowi z pomocą, nasuwa się następująca myśl. Spotkałam wiele ludzi, którzy nie umieją czytać. Brak im wyrobionego smaku literackiego, pochłaniają wszystko, co mu przypadek lub przyjaciele podsuną pod rękę, nie dobierając tematów ani autorów, ani ujęcia, w jakim podane są zajmujące nas zagadnienia. Nauczyć sztuki czytania jest jednym z zadań szkoły, gdzie uczniowie wdrażani są do samodzielnego zaznajomienia się z lekturą obowiązującą, prowadzenia notatek i konspektowania poszczególnych dzieł. Nie wszędzie jednak sprawa ta znalazła należyte zrozumienie i wykonawców tej miary, jak personel szkoły „Świt” w Wilnie⁶. Miałam możliwość bliższego zaznajomienia się z tym działem ich pracy i sądzę, że uczeń, który ukończył tę szkołę, potrafi poradzić sobie w życiu z książkami, będzie umiał znaleźć w bezkresnej liczbie ich te, które go obchodzą, ocenić wartość ich oraz wyłuszczyć potrzebne mu ziarno, odrzucając plewy.

.....

⁶ Szkoła Powszechna nr 22 „Świt” w Wilnie — placówka wprowadzająca eksperymentalne metody nauczania. Była to szkoła koedukacyjna z pojedynczymi klasami, gdzie eksperyment został zapoczątkowany w roku szkolnym 1928/1929 pod hasłem „indywidualizacji nauczania”. Podstawę organizacji pracy stanowiła oryginalna koncepcja nauczania stworzona przez Helenę Parkhurst, znana pod nazwą systemu daltońskiego od nazwy miasta Dalton w Ameryce, gdzie została po raz pierwszy zastosowana.

Dobrze zorganizowane poradnictwo bibliograficzne ułatwi nauczycielowi właściwy dobór dzieł, ale to nie wyczerpuje jeszcze sprawy. Na jedną i tę samą książkę różne osoby zareagują niejednakowo. Jeden znajdzie w niej kilka myśli odpowiadających mu, inny przeczyta całość, nie przeżywając ani na chwilę stanu kontaktu z autorem, trzeci może odczuć, że treść, kierunek, ujęcie problematów jest mu tak bliskie i swoje, jak coś, co stanowi jego własne poglądy widziane w odbiciu. Bywają bowiem książki przechodnie, książki urzędnicy — lepsi lub gorsi, książki przyjaciele, książki kochanki, które chcemy mieć dla siebie, tuż pod ręką. Zależy to wcale nie tylko od wartości książki, ale od stopnia jej bliskości względem nas i naszej psychiki. Czytałam w życiu bardzo dużo. Mam też ogromną liczbę książek, z którymi wymieniamy przy spotkaniu przelotne ukłony. Te zaś, które przejawiały względem mnie specjalną przyjaźń, dały mi coś więcej poza wypowiedź autora, które nie obeszła głębiej, pozostały przyjaciółmi i zostawiły ślad w domu moim, gdzie zanotowałam sobie tytuł, autora w myśli, szczególnie bliskie mi. Ułatwia mi to bardzo pracę, ile razy znajduję się w potrzebie poszukania oparcia dla swego zdania u autorytetów pedagogiki lub innych dziedzin z nią związanych. Mam też i spis tych dzieł, o których myślę często, których ciągłej obecności w swym domu pragnę i zjawienia się których na swej półce oczekuję niecierpliwie, bo są mi bliskie i drogie.

Wielką pomocą w pracy mogą być również czasopisma fachowe, zawsze aktualne, o treści urozmaiconej, gdzie głos zabiera nie jeden człowiek, tylko wielu, istnieje możliwość wymiany zdań, polemiki. Czasopismo abonowane przez nas ma tę zaletę, że regularnie zjawia się u nas, jak dobry znajomy, przynosząc świeże wiadomości ze świata i interesującej nas dziedziny.

Ktoś z przyjaciół zrobił mi tę wspaniałą niespodziankę, że jako dar imieninowy zaprenumerował dla mnie „Wiadomości Literackie”, „żebyście tam w Wilnie mieli większy kontakt z Warszawą”. Przez cały rok wtorek był dla mnie dniem szczególnie miłym, kiedy budząc, przypomiinałam sobie, iż dziś będę miała odwiedzin. Złożyło się nawet tak, że właśnie w tym dniu zaczęli przychodzić i ludzie znajomi, i jakoś samo przez się zorganizowało się samorzutne podwieczorki literackie. Cóż dopiero

można powiedzieć o periodyku naprawdę „własnym”, jakim była dla nas „Szkoła Specjalna”. Nauczyć się czytać można i trzeba. Ale jest wiele ludzi, na których znacznie mocniejsze wrażenie wywiera żywe słowo, nie zaś lektura. Ci, w poszukiwaniu za światłem mającym pomóc im w ich usiłowaniach, znajdują oparcie o odczyty, prelekcje i konferencje. Tu w szczęśliwszej sytuacji od kolegów z prowincji są mieszkańcy wielkich miast. Przypominam sobie, jak mocno i długo przeżywalismy odczyty prof. Hessena, który wtedy jako gość jeszcze przybywał do nas z Pragi. Odczyt prof. Chylińskiego⁷ o egzaminowaniu ludzi dorosłych, na który — nawiasem mówiąc — trafiłam zupełnie przypadkowo, dał mi tak wiele, że zmieniłam w sposób radykalny swój stosunek do tej części swych obowiązków. Wypełnione po brzegi sale Towarzystwa Higienicznego przy ul. Karowej. Słuchamy sędziwej teozofki Anni Besant⁸, która domaga się zreformowania naszego stosunku wewnętrznego do otaczającego nas świata, żąda rozbudzenia w sobie stałej świadomości, że każdy czyn, słowo i myśl nasze są jedynymi w swym rodzaju, niepowtarzalnymi i dlatego pozostaną na zawsze albo zmarnowanymi, albo użytymi zgodnie ze swym przeznaczeniem:

— Rzuciłeś złe spojrzenie mijanemu przechodniowi, który cię potrafił. Tak już i pozostanie. Mogłeś nie spojrzeć w ten sposób. Skoro jednak to uczyniłeś, nie ma mocy na świecie, żeby to się odstało.

Jest w zwyczaju organizowanie konferencji nauczycielskich przez władze szkolne. Nie ulega wątpliwości, że bywają bardzo udane i potrzebne konferencje, szczególnie o ile ktoś naprawdę znający swój przedmiot zechce podzielić się z nami swą wiedzą i wysłuchać naszych rozumowań i zapytań. Tylko niechże te konferencje, na miłość Boską, nie będą czymś przymusowym, obowiązkowym. Niech tylko będą zajmujące, dobrze obmyślane,

⁷ Konstanty Chyliński (1881–1939) — polski historyk starożytności; od 1935 r. kierownik Resortu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Był zaangażowany w prace Polskiego Instytutu Oświaty Pozaszkolnej. Sprawował kierownictwo nad pracami Uniwersytetu Ludowego Polskiego, w którym prowadził wykłady niedzielne dla robotników.

⁸ Annie Besant (1847–1933) — angielska teozofka, feministka i pisarka. Druga z kolei od 1907 r. przewodnicząca Towarzystwa Teozoficznego.

dotyczące żywych, potrzebnych zagadnień — nie ma obawy, żeby nauczyciele nie przyszli. Miejsc zabraknie, bo taki już jest nauczyciel, że lubi słuchać i uczyć się. A jeśli nie przychodzą, trzeba ponaglać, zachęcać, ustalać listę obecności — wtedy coś jest nie w porządku. Wtedy nie nauczyciele, lecz ci, co organizowali konferencję lub poprzedzające ją zebrania, zawiedli. A jeżeli i przyszli słuchacze na taką urzędową, przymusową konferencję, by wysłuchać garści krytycznych uwag o tym, ile niedociągnięć jest w pracy nauczycieli, to nie odniosą oni wielkiej korzyści z tych godzin.

Pamiętam wypadek, kiedy jeden z inspektorów wkroczył do sali, gdzie znajdowali się uczestnicy takiej konferencji odbywającej się po trzech lekcjach w szkole, i z dużą dozą zjadliwości wyrażał swe zdziwienie oraz ubolewanie z powodu tego, iż tak mało osób zabierało głos. Nie wiem, czy poinformował go ktośkolwiek o tym, że przed jego wejściem, uczestnicy tej sekcji już zaczęli „zagrzewać się”, pomimo iż przyszli wbrew swej chęci i dyskusja zapowiadała się dość ciekawie. Właśnie przyjscie pana inspektora przecięło chęć do mówienia, bo „kto tam wie, jak on się do tego, co myślą, odniesienie”.

Nie lubię ja przymusowych zebrań i wtedy, choćby mi nie wiem jakie konsekwencje groziły, milczę jak zakłeta, czekając, kiedy to się skończy. I tak mi się wydaje, że takie rzeczy raz na zawsze powinny przejść do dziedziny oryginalnych, zabawnych wspomnień. Albo nauczyciel jest kimś, kto sam wie i czuje, czego mu potrzeba, albo jest rodzajem posłusznego imbecyla, którego trzeba poruszać, wlewać do niego taką lub inną treść o różnych zabarwieniach ideologicznych i pilnować, czy grzecznie się przetrawia. Może taki nauczyciel i nie sprawia swoją osobą kłopotu, tylko ktoś odważy się powierzyć wychowanie dzieci imbecylowi?

Znacznie lepsze wyniki dają epizodyczne kursy i zjazdy nauczycielskie. Nie można temu dziwić się. Wszak udział w kursie biorą ci, którzy wyrazili chęć do przesłuchania go, na zjazd jedzie się dobrowolnie.

Kurs nauczycielski odbywa się przeważnie w czasie wolnym od zajęć albo związany jest z otrzymaniem urlopu na ten cel udzielonego. Łatwo wytwarza się atmosfera pracy skupionej.

Wykłady, dyskusje, jeszcze zaś więcej wspólne gawędy z kolegami z różnych środowisk na tematy poruszone w związku z programem kursu — wszystko to naprawdę pobudza do dalszych poszukiwań, do pogłębiania wiadomości. Do tego niekiedy wytwarza się ta specyficzna atmosfera pogodnego współzycia i ogólnej sympatii, jaka powstaje zawsze tam, gdzie skupiają się ludzie w celu wykonania potrzebnej i dobrej pracy. Uczestnicy kursu wakacyjnego, dotyczącego zagadnień szkolnictwa specjalnego w Nowym Targu (lato 1932 roku), pamiętają, ile przeżyć, myśli, jasnych nastrojów chwili i trwałych śladów pozostawił on w nas wszystkich.

Lubię też i zjazdy nauczycielskie. Dobrze jest zanurzyć się w atmosferze wspólnego wysiłku i dorobku. Ma się możliwość podzielić się własnymi doświadczeniami, wątpliwościami, zasięgnięcia wskazówki praktycznej, wymiany zdań z ludźmi, którzy nie *in abstracto* lecz na żywym ciele szkoły wypróbowali dobre i chybione strony nowych teorii i haseł oraz wyczuli wielokrotnie, że u źródła najpiękniejszych, rewelacyjnych systemów leżeć muszą poważne, granitowe podwaliny niewzruszalnych prawd.

Jedno martwi mnie prawie na wszystkich zjazdach naszych: zawsze mamy zbyt mało czasu. Program jest przeładowany, a jednak nie mieści wszystkiego, co stanowi o zainteresowaniach uczestników.

Wydaje mi się, że należałoby materiał, któremu poświęcony jest zjazd, dobrać starannie, przerobić w głównych zarysach na krótkim bodaj kursie, podając wytyczne i tematy rozważań. Potem uczestnicy kursu wrócić powinni do warsztatów swej pracy, próbować zastosować nowo nabyte pojęcia i kierunki. Po pewnym zaś czasie mogłby odbyć się zjazd, na którym byłoby minimum referatów. Raczej zawczasu podane tezy z dziedzin uprzedniego kursu i związane z tym komunikaty i wymiana zdań. Pozwoliłoby to ustalić konkretne wyniki zastosowania podanych na kursie postulatów w terenie, wykrycie błędów bądź w ich założeniach, bądź wykonaniu i przyczyniłoby się wydatnie do podniesienia jakości naszej pracy.

Zarówno kursy nauczycielskie, jak zjazdy winny mieć przemysłany, wyraźny, odpowiadający naszym potrzebom i dążeniom plan. Nie może na materiał podawany ludziom, którzy zebrali się z tego powodu, składać się garść przypadkowych modnych tendencji, próby eksperymentowania i rzucenia nauczyciela na falę powierzchownego dyletantyzmu.

Przy najskrupulatniejszym obmyśleniu planu zajęć kursów, zjazdów itd. nie wyczerpią one jednak potrzeb nauczycieli do wymiany zdań o swej pracy i trudnościach. Po pierwsze są one formacją powstającą od czasu do czasu tylko. Poza tym zaś istnieje dość znaczna liczba takich ludzi, którym publiczne zabieranie głosu sprawia wielką trudność. Mają wiele do powiedzenia, zbierają się z odwagą, nie mogą się jednak zdecydować i tak — i pozostają z szeregiem niewypowiedzianych, nieraz bardzo cennych, uwag. Czasem półgłosem dzielą się tylko myślami i refleksjami z sąsiadem lub wyrażają swe zdanie podczas przerw. W trakcie zaś obrad ich się nie słyszy. A szkoda, bo przekonałam się wielokrotnie, iż tacy ludzie mają nieraz naprawdę ciekawy, oryginalny sąd i rzucona przez nich trzeźwa i głęboka myśl wniosłaby dużo do oświecenia sprawy. Tacy ludzie mniej skorzystają ze zjazdów i koferencji, potrzebna im raczej placówka o charakterze poradni, do której mogą oni zwrócić się ze swymi nurtującymi ich zapytaniami. Częściej zaspokajają takie jednostki swoją potrzebę zasięgnięcia rady, kierując pytania do odnośnych działów czasopism pedagogicznych. Częściej zaś zwracają się do osób, które wzbudziły ich zaufanie. Tu olbrzymią wprost rolę odgrywa instytucja instruktorów, która u nas postawiona była naprawdę dobrze. Instruktor niebędący organem władzy, co zresztą sam często zaznacza, jest właśnie tym, kogo rzeszom nauczycielskim tak bardzo trzeba. Szkoda tylko, że na razie mieliśmy ich tak mało. Obok instruktorów przeróżnych dziedzin nauczania i wychowania pragnęlibyśmy widzieć sieć poradni dla nauczycieli, gdzie zarówno drogą korespondencji, jak i osobistego zwrócenia się można by rozstrzygnąć niejedną sprawę, która niepokoi i gnębi nas.

Dość często młodszy koledzy, szczególnie zaś koleżanki przychodziły do nas, pracowników szkoły specjalnej, słusznie

.....

rozumując, że dzięki naszemu trudnemu elementowi dziecięcemu musimy mieć bogatsze od nich doświadczenie natury praktycznej.

— Skłamałam dzieciom w klasie, a to wykryło się. Wprost nie mam odwagi jutro iść do szkoły — opowiada młodzianka dziewczyna i ufnie czeka na to, iż wskażemy jej drogę wybrnięcia z niemiłej sytuacji. Albo zjawia się szpakowaty już kolega i po wielu wstępnych tematach wreszcie szczerze opowiada, że od pewnego czasu jest zasypywany miłosnymi listami pewnej dziewczynki:

— Wiem dobrze, która to pisze. Nie umiem jednak załatwić sprawy tak, by istotnie było dobrze. Może to niewłaściwy żart, może przejaw dzisiejszej beczelności dziewcząt. A jeżeli głupstasek naprawdę uroił sobie uczucie, trzeba by jakoś delikatnie przekonać ją o tym nonsense. Licho dało, że przenieśli mnie do szkoły żeńskiej. Na stare lata w Adonisy trafiłem. — Kończy prośbą: przyszeł mi jakąś tam książkę przez romantyczną pannę i błaga, bym z nią porozmawiała na ten temat. Zresztą nie tylko o poradę chodzi nauczycielowi. Dając z siebie bardzo wiele, odczuwa on chwilami prawdziwy głód obcowania z ludźmi wartościowymi, życzliwymi, głód przyjaźni ludzkiej. Nie wiem, co więcej pomaga człowiekowi w jego trudnych chwilach niż świadomość, iż ma bliskich, wiernych przyjaciół.

Niekiedy decydujący wpływ na naszą postawę wobec życia i jego skomplikowanych sytuacji wywiera zetknięcie z jednostką wybitną, przerastającą otoczenie, nawet w wypadkach, gdy nie nastąpiło bliższe porozumienie się wzajemne lub kontakt osobisty. Jedno albo kilka spotkań zaważyć może na całym życiu.

Szukamy bowiem świadomie czy nieświadomie przejawów piękna, dobra, prawdy. Szukamy mistrzów. Dlatego zetknięcie z ludźmi naprawdę wielkimi budzi w nas obok czci i potrzeby hołdu większy optymizm. Każę wierzyć, że można wcielać w życie to, co wydawało się niedoścignionym marzeniem tylko. Dlatego dookoła jednostek wybitnych gromadzi się zawsze mniejsza lub większa garstka ludzi szukających w nich oparcia duchowego.

W życiu naszym spotkania ludzi wielkich są jasnymi punktami, znaczącymi etapy przebytej drogi wzwyż.

Poza wzorami czerpanymi od jednostek przerastających ogół niemniej ważnym czynnikiem jest wpływ przykładu z pracy innych ludzi, robiących to samo, co i my.

Dobrze jest zajrzeć do cudzej klasy. Zauważymy niejedną szczegół, o którym po prostu nie pomyśleliśmy dotąd, a który ma niezaprzeczoną wartość. Niekiedy olśni nas piękna całość i wyniki pracy u kogoś. Zaczynamy wtedy doszukiwać się dróg, jakimi on doszedł do nich. Pamiętam, jak silne wrażenie zrobiła na mnie klasa, którą zobaczyłam kiedyś, przechodząc sobie przez niewielką wioskę na Kurpiach. Okno było otwarte i przez nie widać było wiele główek pochylonych nad zeszytami. Przyglądam się i stwierdzam, że na ławkach nie ma ani jednej książki, na tablicy zaś widnieje zdanie: „Kto zrobił, kupił albo podarował wszystkie rzeczy, jakie są w mojej izbie?”. Dzieci piszą więc wypracowanie. Co nie mogło nie zwrócić szczególnej uwagi, to było niespotykane dotąd skupienie, z jakim pisały. Gdy później poznałam się z człowiekiem, który prowadził tam szkołę, powoli doszłam do zrozumienia tego, w jaki sposób udało mu się doprowadzić dzieci do takiego stosunku do pracy. Pisanie wypracowań było swego rodzaju małym świętem. O ile stała się w klasie jakaś większa przykrość — odkładano to zajęcie. Nauczyciel żywo interesował się wypowiedziami dzieci i sam dopisywał do nich dość długie uwagi lub pytania. Biorę kilka zeszytów do ręki: „Police zrobili ojciec. Ale stół, co pod nią, to nie ojciec i nie dziaduś, ale chyba dziadka dziadek, bo już bardzo jest stary”. Ręką wychowawcy dopisane: „U mnie w domu, Wacku, też jest stół mego pradziadka. Nasz jest dębowy, a wasz jaki?”. Niżej Wacek wyjaśnia, że ich stół jest z drzewa lipowego.

Pod wypracowaniem Małgosi, która opowiedziała, że „pod doniczką z fuksją leży taki maleńki obrusik”, który ona znalazła niedaleko kościoła, jak szła do Wyszkowa, nauczyciel umieścił pytanie o tym, czy ona starała się dowiedzieć, kto to mógł zgubić. Mała zaś odpisała: „mnie to nie było w głowie, ale jak w niedzielę znów pójdę, to chyba poproszę pocztmistrza, żeby takie ogłoszenie wywiesił. Może kto martwi się?”. Z wypracowań

nauczyciel ten zrobił centralny punkt swej pracy, mocno podkreślał swe zainteresowanie niemi, dziękował za interesujące i bardziej wyczerpujące utwory. Niekiedy sam pisał razem z dziećmi i potem ku ich wielkiej radości czytał im swe dzieło.

Bardzo skorzystałam z tego przypadkowego zetknięcia z odcinkiem czyjejś pracy. Po raz pierwszy uprzytomniłam sobie, jak ważną rzeczą jest nastawienie do pracy. Włożyłam dość znaczny wysiłek w naśladowanie metod tego nauczyciela i z radością mogłam stwierdzić, że u mnie również godziny pracy samodzielnej zaczęły odznaczać się tym swoistym nastrojem, który charakteryzuje nasz wysiłek wtedy, gdy wiemy, że jest on komuś potrzebny.

Bardzo nie lubię lekcji pokazowych, bo nie mogę pozbyć się niemiłego uczucia, iż w 90 procentach wypadków przedstawiają one sobą blagą szkodliwą dla wszystkich uczestników tej komedii. Szkodzi ona temu, kto patrzy na to, bo widzi powierzchowne, czysto zewnętrzne przejawy, sposoby i „sztuczki”, nie zna przebytych dróg, całokształtu pracy. Może w niektórych wypadkach zrodzić się uczucie zazdrości, które wyraz swój znajdzie w napastliwym tonie dyskusji po takiej wzorowej lekcji. Może ona okazać się szkodliwą dla nauczyciela, który ją prowadzi, ponieważ nie zawsze on wtedy będzie sobą, pozwoli sobie ulec słabości swej natury i zacząć robić „na pokaz”. Zdarza się i tak, że o ile jest osobnikiem niepewnym siebie, zbyt wrażliwym na krytykę, zniechęci się i powie sobie: „Może i naprawdę nic nie warto te moje metody i próby”. Dla niektórych jednostek podobny „występ” pedagogiczny jest wielką przykrością. Miewa to miejsce wtedy, gdy nauczyciel jest typem, który nie umie dzielić swej uwagi pomiędzy klasą a widzem. Staje się mimo woli nienaturalnym, nieświadomie gra wtedy komedię.

Zdolności aktorskie zdarzają się u nas znacznie częściej, niż sami o tym wiemy. Może właśnie tym zdolnościom zawdzięczamy nasze powodzenie w bezpośredniej pracy z dziećmi. Pomagają one nam wczuć się, wżyć w ich myśli i uczucia. Ułatwiają nam skupienie na sobie uwagi dzieci w potrzebnych momentach. Dzięki nim potrafimy łatwiej wywołać u naszych wychowanków pożądane stany i odruchy.

Dobry aktor, to co gra, przeżywa sam. Nauczyciel też bynajmniej nie traci wartości, gdy posługuje się metodą gry scenicznej w klasie, byle treść tego, co on przekazuje, była dla niego czymś większym nad efekt teatralny. W to, co on robi, musi nauczyciel wierzyć. Aktor jest uzależniony od swej widowni. Nie może ona być zbyt różnolita. Reakcje niejednakowe peszą go, wytrącają z równowagi, nie pozwalają rozwinąć swych możliwości. U takich typów nauczycieli obecność widzów może odwrócić uwagę od dzieci na tych przygodnych gości i wtedy — zamiast pierwotnego, czystego i dobrego celu (wpływ na dzieci) — nieznacznie podsunąć inny, o wiele gorszy i niższy: tani efekt, pragnienie poklasku, uznania, pochwał. Wtedy przestaje już on być artystą, tylko staje się błaznem.

Szkodliwymi są lekcje pokazowe i dla dzieci — i to nawet bardzo. Niezbyt często, ale wszak zdarzają się lekcje zakłamane, gdzie dzieci zawczasu bywają przygotowywane do tego, że mają mówić to a to, zachować się specjalnie grzecznie itd. Jest i inna, gorsza strona. Tak samo jak nauczyciel może i dziecko mieć skłonność do aktorstwa. Na takiej lekcji pokazowej wystąpi on nie w postaci artyzmu, tylko właśnie komedianctwa, kabotynizmu, szukania sposobów, by zwrócić na siebie uwagę. U innych zaś wystąpić mogą objawy wręcz przeciwne, jak nieśmiałość, męka zawstydzenia w razie nieudanej odpowiedzi.

Pewnie, że bywają klasy przyzwyczajone do gości, nic sobie z nich nie robiące. Tylko nie wiem — czy to dobrze. Raczej — nie. Kontakt dusz ludzkich między sobą to proces intymny. Nie lubi on być narażonym na obecność osób trzecich. Jest nauczyciel i uczeń. Oni w swym stosunku wzajemnym nieraz potrzebują pewnego odseparowania się od gromady. Krótka rozmowa w cztery oczy z dzieckiem niekiedy o wiele więcej przyczyni się do zbliżenia i zrozumienia się niż całe tygodnie pracy w gromadzie.

Ale szkoły nie wyczerpuje suma kontaktów nauczyciela z uczniami poszczególnymi. Jest także nauczyciel i klasa jako organizm. I niedobrze dzieje się, gdy rozwój i dojrzewanie ich wzajemnego stosunku zbyt często był narażony na wtargnięcie cudzych oczu, uszu i sądów. Z klasą swą też trzeba umieć znaleźć niejedną chwilę sam na sam.

Lekcje praktyczne są raczej rodzaju *malum necessarium* i powinny być zjawiskiem rzadkim, do którego uciekamy się jedynie od czasu do czasu z zachowaniem wszelkich środków ostrożności.

Korzystanie z doświadczenia innych ludzi oprócz wzbogacenia zasobu naszych wiadomości ma jeszcze i ten poważny plus, że zmusza nas do zastanowienia się nad znaczeniem wspólnego wysiłku, do uprzytomnienia sobie, co to znaczy czynić coś razem.

Przeżywamy epokę przerostu indywidualizmu. Wciąż słyszy się: moje zapatrywanie społeczne, moje *credo* religijne, moja metoda postępowania, zaszczenia dzieciom moje poglądy. Otóż w tym miejscu trzeba zawołać: „Stój!”. Tego ostatniego stanowczo robić nie wolno. Narzucać dzieciom poglądy tylko dlatego, że ja je uważam za słuszne, nie mam prawa. Odpowiadam co prawda za powierzone mi dzieci, ale nie są one moją własnością. Są mi tylko wypożyczone. I wychowuje je nie ja sam, tylko cała społeczność. Jestem jej częścią. Dlatego też czerpię z niej siły do tego, by zwalczać to, co jej zagraża i zdobywać to, czego potrzebuje. Poczucie więzi organicznej ze wszystkim, co jest dobrego i pięknego na całym świecie, jest czymś, co dodaje sił i otuchy, ilekroć to sobie dobrze uprzytomnimy. Niezliczoną różnorodność i bogactwo przejawów tego dobra i piękna, z którego mamy prawo korzystać, uzmysławiamy sobie szczególnie wyraźnie podczas podróży.

Mnie podróże dały bardzo wiele. Miasta, krajobrazy, ludzie, placówki wychowawcze, urywki rozmów prowadzonych w różnych językach z różnymi ludźmi... wspomnień jest tak wiele, że pogubić się w nich można. W świadomości wypływają to te, to inne fragmenty z widzianych całości. Cisną się obrazy piękne przyrody: Alpy, Kaukaz obok jasnozielonych łąk Anglii i uroczych jej wiosek z domkami oplecionymi pnącymi różami. Groźny potok rwący pomiędzy skałami w Vintgar⁹ (Jugosławia) i majestatyczny, a jednak łagodny spokój Morza Śródziemnego

9 Vintgar — wąwóz w Słowenii.

u brzegów Sycylii w Taorminie¹⁰. Gdzie indziej szara lawa zastygnięta dookoła Etny, ogromne przestrzenie porośnięte kaktusami o jaskrawych, obcych nam kwiatach, gaje cytrynowe, gdzie owoc leży na ziemi i gnije, bo nie znajduje odbiorców, odkąd zaczęto używać tańszy, chemicznie spreparowany kwas cytrynowy. Domki bez okien, za które we Włoszech trzeba płacić podatki, przed nimi piękne, brudne i rozebrane dzieci, napastujące każdego cudzoziemca. Jaki kontrast z uprzejmą, pełną godności swobodą małego Szwajcara, który widząc brak targa na niewielkiej stacyjce w Romont¹¹, pomaga nieść walizę i na zauważony ruch sięgnięcia do portmonetki czerwieni się i mówi błagalnie: „*Oh, madame! Restons plutôt amis, s'il vous plaît*”¹². Wspaniałe ruiny *teatrum* w Pompei. Siedzimy na wielkich marmurowych schodach. Przygodna moja towarzyszka wędrowni po zmarłym mieście, niemal doskonała znawczyni historii, człowiek wesoły i dowcipny pokazuje mi szmaragdowe jaszczurki grzejące się na słońcu i prosi nie ruszać się, by nie spłoszyć ich. Po chwili, gdy rozmowa dotknęła tematu wojny i ja wypowiedziałam zdanie, że ludzie sami psują sobie życie, wywołując ten koszmar, twarz kobiety zmienia się nie do poznania. Głos ostry, krzykliwy. Spojrzenie złe i twarde. Słowa padają w beładzie. Dowiaduję się jednak z nich, że wojna to najbardziej wzniosłe zjawisko, jakie tylko istnieje na świecie, że nadaje ona sens wszystkiemu, opromienia całe życie ludzkości, wyzwala z niej to, co ma najszlachetniejszego. Porównać wojnę można jedynie do ofiary Chrystusa.

Jakże innym był stosunek Węgier [!], z którym siedzieliśmy na jednej ławce w Budapeszcie, podziwiając kwiaty na wyspie Małgorzaty. Znał tylko swój język o pięknym, lecz tak niezrozumiałym brzmieniu. Patrzył jednak życzliwie spod gęstych, siwych brwi krzaczastych, poczęstował winogronami, szybko narysował laską na piasku ścieżki mapę Europy i ucieszył się,

¹⁰ Taormina — miasto położone w północnej części wschodniego wybrzeża Sycylii na stromych zboczach okolicznych gór.

¹¹ Romont — małe miasteczko w Szwajcarii w kantonie Fryburg. Leży na głównych trasach kolejowych między Lozanną a Fryburgiem.

¹² Fr. ‘Och, pani! Pozostajmy raczej przyjaciółmi, proszę’.

gdy wskazałam mu Polskę. Nakreślił: „Batory, Chopin, Piłsudski, Curie”, po czym dając mi energiczne znaki, bym na niego czekała, szybko oddalił się. Wrócił po pewnym czasie z młodym chłopcem mówiącym po rosyjsku. Ten przetłumaczył mi to, co chciał wyrazić 96-cio letni starzec. Zapisałam sobie te słowa:

— Jeżeli jeździsz po świecie, siostró droga, nie zapominaj nigdy, że codziennie spotykasz ludzi, którzy naród twój i kraj mogą pokochać. Bądź dla nich zawsze serdeczna. Zrobisz przysługę Ojczyźnie swojej, sobie i im, bo wzbudzisz w nich dobre uczucia. Niech Bóg błogosławi tobie i twojemu narodowi.

Myszę, że nie żyje już piękny starzec. Ale słowa jego tak głęboko zapadły mi w serce, że inaczej zaczęłam odtąd patrzeć na podróż. Pewnie, że miło jest przyjrzeć się życiu i pracy innych ludzi, wzbogacić swój zasób wiadomości, ale najważniejszym jest zadzierzgnąć węzły życzliwości pomiędzy różnymi ludźmi.

Lubię wziąć mapę i przebiec oczyma kraje, gdzie byłam, wywołując w pamięci miłe sobie twarze spotkanych niekiedy na chwilę tylko, a jednak tak drogich i bliskich ludzi.

Mały Murzyn, z którym rozmawialiśmy przez pół godziny na pocztce w Kolonii, podczas gdy matka jego coś załatwiała przy różnych okienkach, powiedział, że nie był nigdy w Ameryce, ale sądzi, że kiedyś oni tam przestaną gnębić Czarnych:

— Ja też kiedy byłem młodym, wielu rzeczy nie rozumiałem, a teraz sam dziwię się, jak mogłem tak myśleć. Oni też rozumieją, zobaczycie pani.

Zakonnica w brukselskim schronisku przy rue des Portes¹³, gdzie zatrzymałyśmy się z przyjaciółką moją Basią, prosiła przy pożegnaniu, by czasem przypomnieć sobie, iż rekoлектantki, które przyjeżdżają do nich, modlą się o to, by znikła niechęć ludzi do ludzi:

— Wasz naród jest taki szlachetny i tyle cierpiał. Ja wierzę, że on dużo przyczyni się do szerzenia miłości wśród narodów.

¹³ Rue des Portes — deptak w Cherbourg-Octeville.

Zacni nauczyciele angielscy z New Educational Fellowship¹⁴ z *master of science*¹⁵ Lynchem na czele okazali tyle życzliwości i przyjaźni, iż nie sposób zapomnieć o nich, szczególnie zaś przebijająca w myśli imponująca praca londyńskiego Probation Officer, gdzie stosunek dorosłego do dziecka, które popełniło wykroczenie, nacechowany jest nie pobłażliwą serdecznością, lecz głębokim, szczerym szacunkiem, bo, jak powiedziała, *miss Peal*:

— Nie to jest ważne, co on tam przypadkiem zrobił złego, ale to, do czego jest zdolnym, i co się jeszcze w nim rozwinie.

Zabawna młoda dziewczyna z Algieru, którą spotkałyśmy w domu poprawczym w Clairmont¹⁶ (Francja). W przeddzień oburzona tym, iż została na noc zamknięta w drucianym boksie klatce (jak zresztą wszystkie wychowanki), zdjęła ona z nogi swoje drewniane obuwie (*sabot*¹⁷) i na znak protestu wytłukła przeszło sto szyb w oknach zakładu... Siedziała nadąsana i z zaciętym wyrazem na swej oryginalnej wytatuowanej twarzyczce. Wychowawczyni powiedziała jej, żeby nie robiła tak groźnej miny, bo te Polki pomyślą, że wszystkie mieszkanki Algieru są ponure i złe. Natychmiastowa zmiana mimiki. Ogromne czarne oczy o wilgotnym połysku patrzą błagalnie:

— Nie, och nie! To tylko ja tak zrobiłam. U nas ludzie są dobrzy i weseli. Panie mi wierzą, prawda?

Jakże nie uwierzyć, kiedy tak kochasz swych rodaków, mała dzikuseczko o drobnej, ciemnej twarzy i wielkim jasnym sercu.

¹⁴ New Education Fellowship — międzynarodowa organizacja zajmująca się ideałami edukacji progresywnej. Została założona w 1921 r. przez Beatrice Ensor.

¹⁵ Ang. *master of science* — odpowiednik tytułu magistra.

¹⁶ Zapewne Clermont-Ferrand — miasto w środkowej Francji, w regionie Owernia-Rodan-Alpy.

¹⁷ Fr. *sabot* — tradycyjny francuski but, wykonany z jednego kawałka drewna.

Dzieci niewidome w Zemuni¹⁸ pod Belgradem zaśpiewały nad ranem pod moimi drzwiami *Jeszcze Polska nie zginęła*, bo w ubiegłym roku poznały i pokochały „taką miłą pannę Zosię, która je nauczyła tej pieśni”.

Stara handlarka warzywami w Lublanie przybiegła zadyszana na dworzec, dźwigając paczkę brzoskwiń dla tej „Polakini”, co powiedziała, że pokochała Jugosławię. Zresztą w kraju tym szczególnie dużo pozostało przyjaciół i osób istotnie szczerze życzliwych Polsce i interesujących się jej życiem.

A czyż można zapomnieć, gdy przegląda się miłe sobie sylwetki o małym Leonku, góraliku spod Klikuszowej¹⁹, którego uważam za swego prawdziwego przyjaciela. Nauczył mnie niejednego. Kiedyś oznajmił, że nie pójdzie więcej do swej szkoły w Nowym Targu, bo „tam okrutnie zła nauczycielka, nic ino wciąż gada razy i razy, kiedy my nic złego nie zrobiliśmy”^{20*}.

Tak w czasie podróży, szczególnie o ile przedsięwzięto się ją z zamiarem możliwie dokładnego zapoznania się ze stanem szkolnictwa specjalnego, jak to czyniłam ja, nagromadzi się wiele wiadomości konkretnych z tej i innych dziedzin. Pozwoli to nam poznać cudzą pracę i jej warunki, przyjrzeć się jej, porównać ze swoją. Szkoły, zakłady wychowawcze, sądy dla nieletnich — tak wielka jest liczba zwiedzanych placówek.

Sąd dla nieletnich w Rzymie, gdzie sprawy małego zamożnego złoczyńcy bronił drogo opłacony adwokat, dowodzący w płomiennej mowie, jak zacny i szlachetny jest jego mały klient, obecny zresztą podczas całej rozprawy i przemówienia, którego słuchał z wyraźnym zadowoleniem.

Zimne, formalistyczne i przepojone duchem srogiej karności włoskie zakłady poprawcze, gdzie oczy chłopców nie miały żadnego wyrazu i gdzie wszyscy na komendę podnosili rękę, witając nas, wychowawcy zaś z dumą opowiadali o tym, iż

¹⁸ Zemun — miasto w sąsiedztwie Belgradu, od 1934 r. dzielnica Belgradu. Wcześniej należało do Austro-Węgier.

¹⁹ Klikuszowa — wieś w Polsce położona w województwie małopolskim.

^{20*} Na lekcji rachunków tłumaczyła ona mnożenie, mały gazda zaś myślał o razach, czyli uderzeniach.

.....

dzieci pozostaną w zakładzie aż do pełnoletności, nie utrzymując żadnego kontaktu z rodziną, która może wywrzeć wpływ tylko demoralizujący. Wychodzę na ruchliwą, zalaną słońcem ulicę z uczuciem ulgi i radości na myśl, że nie jestem jednym z więzionych tam małych obywateli. *La bella Italia*²¹. Brr!

Tak przyjemnie jest przypomnieć sobie roześmiane internaty Szwajcarii prowadzone systemem rodzinkowym lub szkoły wiedeńskie imponujące swymi wynikami i poziomem kulturalnym dzieci.

Jedno się skrytykuje, inne po przemyśleniu postara się człowiek wprowadzić u siebie z pewnymi modyfikacjami. Dużo dają rozmowy z kolegami w tych wszystkich zakładach, jakie się zwiedza. Tak różne są ich i nasze warunki, w jakich uczymy dzieci. A jednak to tu, to tam wyłazą z ciemnych kątów te same trudności, które hamują naszą pracę. Widzi się, że niejedna rzecz da się usunąć, nie drogą wysiłku indywidualnego, ale razem, społecznie, wtedy gdy liczne miliony ludzi zaczną łączyć się ze sobą w imię istotnie dobrego, nacechowanego odwieczną prawdą celu.

Z wiedzy i doświadczeń innych ludzi, ich rady, wskazówki i przykładu możemy wiele skorzystać. Samego jednak przyswajania sobie obcych zdobyczy nie wystarczy, by istotnie nauczyć się zwalczać przeszkody i stawiać czoło trudnościom. Tu niezastąpionymi wprost są te wiadomości, które nabywa się drogą własnej praktyki.

Zwróciła się kiedyś do mnie młoda matka, prosząc o radę, któremu z dwóch nauczycieli prowadzących dwie równoległe klasy pierwsze oddać swe dziecko. Jeden to nauczyciel erudyta, doskonale znający swój fach, czytany w literaturze, zdolny, o nieprzeciętnej intuicji wychowawczej. Drugi zaś nauczyciel praktyk, który zżył się ze szkołą, zna jej dobre i złe strony, wielu rzeczy nie potrafi uzasadnić naukowo, tylko na mocy swego doświadczenia operuje prawem wielkiej liczby, przekonał się na sobie o tym, co daje wyniki dodatnie, co zaś niepewne lub wręcz ujemne. Komu przyznać wyższość? Będąc sama nauczycielką,

.....

²¹ Wł. *la bella Italia* 'piękne Włochy' — wyrażenie opisujące Włochy w pozytywnym świetle. Tu użyte ironicznie.

dobrze zdaję sobie sprawę z tego, ile znaczy osobowość nauczyciela, jak przemożny wpływ potrafi wyrzucić na psychikę dziecka wstępującego do szkoły. Wszak ma ono — o ile bieg pracy i postępów jego potoczy się normalnie — spędzić w klasie tego lub innego wychowawcy kilka przynajmniej lat.

Za oddaniem do klasy „a” przemawia argument, iż nauka dziecka będzie się odbywała w warunkach gwarantujących mu korzystanie ze zdobyczy nauk pedagogicznych, gdzie będą uwzględnione i uszanowane odrębność jego psychiki, gdzie panuje pogodny, jasny nastrój szkoły „na miarę”, bez bolesnych konfliktów, niepotrzebnych upokorzeń, załamań i dramatów dziecięcych. Za tym zaś, by oddać malca do klasy „b”, przemawiają również przekonujące argumenty. Wiadomym jest, że dzieci, które przeszły przez ręce tamtego nauczyciela, umieją dużo, wdrożone są do porządku i obowiązkowości. Można nie obawiać się eksperymentowania na dziecku, popełniania błędów, które później tak trudno będzie naprawić.

Popatrzyłam uważnie na zdenerwowaną i zakłopotaną eleganczką mamusię, która w trakcie rozmowy parę razy upudrowała zgrabny nos, zdążyła mimochodem poskarżyć się na swego męża, który jej nic a nic nie rozumie, niezadowolony jest z tego, że ona pracuje społecznie, i któremu obce są wszelkie dążenia do estetyki. Poradziłam oddać synka w ręce nauczyciela praktyka.

Rozmowa nasza miała miejsce w kancelarii szkolnej, gdzie przy bocznym stoliku siedział jeden z byłych wychowanków naszego zakładu, wykonując jakąś pracę kancelaryjną.

Po wyjściu interesantki chłopak zapytał mnie, dlaczego właściwie nie poradziłam, by malec trafił do klasy „a”:

— Pani sama ma tak dużo różnych pomysłów i tak bywało ciekawie na lekcjach. A tu pani tak od razu poradziła oddać do tamtego, co może zanudzić chłopca.

Musiałam tłumaczyć się i wyjaśnić, że na wyniku mej porady zaważyły spostrzeżenia dotyczące matki. Odniosłam wrażenie, że jest nie zrównoważona, że atmosfera w domu pozostawia do życzenia. Wydało mi się znacznie bezpieczniej umieścić małego w atmosferze rzetelnej, równej i wdrażającej do trwałych,

drobnych nawyków niż doradzenie ulokowania go w klasie, która może być prowadzona wzorowo, łatwo jednak może wytworzyć sytuacje, w których lotne i śmiałe poczynania wychowawcy nie znajdują oparcia o grunt rodzinny i w danej jednostce zniekształcą się w postać blagi i powierzchowności.

Pojęcie praktyki dużo mieści w sobie. Oczywiście, że nie sposób unifikować wszystkich pracowników o długoletnim doświadczeniu. U jednego lata pracy mogły od początku potoczyć się drogą inertnej²², obojętnej działalności, bez głębszego zainteresowania, bez wiary w możliwości postępu i lepszych metod. Inny zaś przeszedł przez wiele prób, zmagani i błędów, coraz to szukając sposobów ulepszeń i udoskonaleń.

Ale my nie stawiamy interesującego nas zagadnienia na płaszczyźnie: zły czy dobry nauczyciel z powołania, tylko wyeliminujemy od razu ludzi, którzy w ogóle nie powinni byli znaleźć się w szkole i bierzemy pod uwagę dwóch osobników o przypuszczalnie jednakowej wartości wewnętrznej. Inaczej nie wybrnęlibyśmy i danie rady byłoby tak samo nierealne, jak odpowiedź na pytanie komuś, kto pytałby się, czy ma kupić jabłko czy gruszkę — i po wysłuchaniu naszego zdania wysunąłby obawę: „A jeżeli jabłko okaże się robaczywym czy niedojrzałym?”.

Co daje doświadczenie nauczycielowi? Przede wszystkim ułatwia zastosowanie w praktyce teorii i hasła zdobyte przedtym. Pozwala przekonać się o ich przydatności lub nierealności. Daje możliwość zobaczyć, że teorie wprowadzone w życie różnią się od tamtych, książkowych, bo życie ma swoje prawa i niespodzianki. Najbardziej nawet misterny i przekonujący system abstrakcyjny nie zawsze zdaje egzamin wobec rzeczywistości szkolnej. Doświadczenie przekonuje, że należy nie tylko zrozumieć, opowiadać teorię lub zasadę, lecz jeszcze i potrafić zastosować ją do poszczególnych wypadków. Nie ma tak rozbudowanego i dokładnego systemu nauczania lub wychowania, który przewidział wszystkie możliwe warianty i odchylenie od tej średniej normy, dla której został stworzony. W praktyce swej nauczyciel sam winien nauczyć się dozowania swej wiedzy, gdyż przekonał się, że powodzenie jego wysiłków zależy od wielkiej ilości warunków.

²² Inertny — obojętny, bierny, pozbawiony chęci do działania.

Poznał on dużo różnych dzieci, nauczył się czytać pomiędzy wierszami. Wie on, kiedy dziecko mówi prawdę, wyczuwa, gdy stara się ją ominąć, uświadamia sobie nastrój gromady, zanim nawet zdąży on uzewnętrznzić się. Nie potrafi nieraz wyjaśnić nowicjuszowi, na czym polega ta jego umiejętność, ale posiada ją, tę niepiśmianą wiedzę intuicyjną. Nabyć ją można jedynie, gdy uważnie patrzymy na wiele, bardzo wiele pozornie różnorodnych dzieci, dni szkolnych, zdarzeń w klasie i nabieramy tej wprawy, która każe nam odgraniczyć zjawiska typowe od pojedynczych i sporadycznych.

Widziałam kiedyś starego pszczelarza, który przystanął zaniepokojony koło jednego ze swych uli:

— Inaczej hucz! Sam nie umiem tego wyjaśnić, ale inaczej. Tam coś dzieje się.

Tak samo nauczyciel — stary wilk szkolny wyczuje, jeżeli coś się święci. To, co na początku jego pracy szkolnej stanowiło trudność, powodowało zmartwienie, wymagało wielu borykań i walk, nie minęło bez śladu. Wysiłek pozostawił po sobie spuściznę, cenne dziedzictwo w postaci owej mocnej i fundamentalnej wiedzy praktycznej, na którą może liczyć w wypadkach, gdy staną przed nim przeszkody do zwalczania. Niepowodzenia nasze, błędy przez nas popełnione mogą stać się i często bywają istną skarbnicą, z której hojnie czerpać będziemy w latach późniejszych. Mnie osobiście wydaje się, że omyłki, do których odnieśliśmy się uważnie, uczciwie nazywając je po imieniu, dają nam więcej niż udane próby. Te ostatnie przyspieszają nam bowiem uczucia dumy wobec powodzenia, które zawsze ma w sobie leciutki posmak trującego narkotyku i tylko na wyjątkowo mocne natury nie działa ujemnie.

Niedawno zaczęłam podliczać sobie ilość swych uczniów. Jednych uczyłam lata i miesiące po kilka godzin dziennie, innych po kilka godzin tygodniowo tylko. Wśród nich dzieci w wieku przedszkolnym, malcy dopiero rozpoczynający naukę, uczniowie szkół powszechnych i specjalnych, gimnazjów i dorośli. Liczbowo armia ta przedstawia się następująco (zaokrągliłam liczby do pełnych dziesiątków):

- dzieci w wieku przedszkolnym oraz takie, które rozpoczynały swą naukę — 110,
- uczniowie szkół powszechnych i specjalnych — 2740 + 95,
- uczniowie szkół średnich — 450,
- dorośli — 860.

Razem stanowi to liczbę 4160.

Największa liczba przypada na dzieci ze szkół powszechnych, przede wszystkim zaś specjalnych, zgodnie z moją specjalnością. Stosunek ilości chłopców do dziewczynek przedstawia się tak: 76,5% chłopców i 23,5% dziewczynek. Przeważa więc płeć męska. Toteż we wspomnieniach i refleksjach pomimo mej woli na pierwszy plan wysuwają się wyniki doświadczeń z chłopcami. I to nie tylko z powodu większej liczby ich, ale jeszcze i dlatego, że pracowałam wśród nich znacznie dłużej niż z dziewczynkami. Dwadzieścia bowiem lat byłam kierowniczką lub nauczycielką szkół i zakładów męskich.

Zagadnienia związane z wychowaniem dziewczynek są mi uczuciowo bliższe, chociażby dlatego, że jako kobiet, żywo mnie obchodzą, jak również z tego powodu, że poza wypadkami szkolnymi zawodowymi, o ile można tak wyrazić się, miałam możliwość uważnie obserwować rozwój i ewolucję psychiczną swych córek i ich koleżanek.

Mimo to znam lepiej psychikę chłopców i to w wieku obowiązku szkolnego, a raczej od 10 do 16 lat, gdyż wychowankowie szkół specjalnych przeważnie byli w tym wieku. Miałam możliwość bliżej poznać dzieci miejskie — i to w większości wypadków ze środowiska proletariackiego. W doświadczeniu więc moim brakuje znajomości warunków pracy w szkole wiejskiej i refleksyj dotyczących psychiki dziecka wiejskiego. Zawsze obiecywałam sobie, że kiedyś bodaj na rok wybiorę się do głuchej wsi, by uzupełnić ten brak bodaj w części. Dotąd nie udało mi się tego zrobić.

Na nauczyciela, który kocha swój zawód, ciąży nieustanny obowiązek kształcenia się, raczej zaś nie obowiązek, lecz prawo do tego, by ustawicznie iść naprzód. Będzie to więc z jednej strony

.....

uzupełnienie i pogłębienie swych wiadomości, z drugiej rozszerzanie ram swej umysłowości i wzbogacenie życia duchowego. Nie ma dlań dziedziny życia obcej. Pedagogika, psychologia, medycyna, socjologia, prawo, sztuki piękne — wszystko to są gałęzie blisko zrośnięte z jego specjalnością. To, co musi poznać dokładnie, pogłębi on i ugruntuje. Inne dyscypliny zajmą go po drodze; nie minie ich, zatrzyma się, pozna. Dalej wyruszy już bogatszy, bardziej zasobny w wiedzę o życiu, której nigdy nie dość.

Nauczyciel ma prawo do obfitego i dobrego pokarmu swego ducha. On bowiem wciąż daje z siebie. W dziedzinie życia fizycznego winien on mieć zabezpieczone warunki bytowania. Dziedzina zaś życia psychicznego tym bardziej nie może być zaniechana. Dostęp do książki, czasopisma, biblioteki, do kształcanie się na kursach, zjazdach itd. uzupełnią jego wiedzę specjalną. Poza tym jednak, ponieważ człowiek nosi w sobie moc różnorodnych możliwości, z których niektóre tylko mógł wybrać i wykorzystać, drzemie w nim jeszcze wiele innych ukrytych sił i zainteresowań.

Dobrze jest, gdy, obok swej specjalności głównej ma nauczyciel jeszcze i inną, przez siebie ulubioną dziedzinę wiedzy lub sztuki, którą opanował, nad którą pracuje. Wzbogaca to go wewnętrznie, chroni przed zbyt wąską specjalizacją, jednostronnością.

Literatura, nauka, teatr, sztuki piękne, muzyka, sport — wszystko to może być i powinno być jak najbardziej dostępne nauczycielowi, który czuje potrzebę ich. Zdobyć wiedzę i doświadczenia w znacznej mierze ułatwia nam pracę. Czyż jednak przesądza ono jej powodzenie? Czy rzeczywiście usunie liczne trudności, które poruszyliśmy w najogólniejszych zarysach?

Ustosunkowanie nasze do trudności może być trojaki. Albo zwalczamy je, czyli uważamy za niezbędne unicestwić je, zniszczyć. Albo też przedzieramy się przez nie, posuwając się przeciwko prądowi, któremu nie pozwalamy zwalić siebie z nóg, i po przejściu przez niemiłe nam fale trudności pozostawiamy je gdzieś z tyłu, poza sobą i idziemy dalej naprzód. Albo wreszcie uznajemy, że walka ta przerasta nasze możliwości, że bezsilni jesteśmy, by usunąć to lub owe zjawisko lub zdarzenia, i godzimy się z jego istnieniem.

.....

Wiedza zarówno teoretyczna, jak praktyczna jest naszym wielkim sprzymierzeńcem w tych wszystkich wypadkach, gdzie uważamy za niezbędne przełamać i usunąć zupełnie przeszkody. Zwalczanie ciemnoty, wad i skrzywień charakteru, oporu, z jakim mogą spotkać się nasze najlepsze zamierzenia, błędów w postępowaniu dorosłych względem dziecka — oto są zjawiska, w zwalczaniu których nabyte wiadomości, łącznie z naszą wrodzoną inteligencją i intuicją, oddadzą niezmierne usługi.

W innych wypadkach trudności płyną do nas ze źródła, które nie potrafimy osiągnąć i zreformować, jak na przykład ujemne właściwości charakteru ludzi, z którymi musimy spotykać się, co związane jest z przykrościami, niemiły urzędnik instytucji, z którą nie możemy nie mieć do czynienia, wszystkie trudności związane z lokalem, wyposażeniem, budżetem szkoły, wreszcie — *last not least*^{23*}, jak mawiają Anglicy — wszystkie bolączki organizacji szkolnictwa i wady naszego społeczeństwa. Tu również będziemy bojować i walczyć, dochodząc bądź swoich praw osobistych, czy też interesów placówki, którą reprezentujemy, bądź stając w obronie drogich nam postulatów i zasad. Walczymy niekiedy pojedynczo, czasami całym zespołem grona danej szkoły albo nawet zrzeszeniem zawodowym, do którego należymy, może nawet razem z wielkim odłamem ludzkości, z którym łączą wspólne ideały. Tu nie wystarczy sama wiedza. Żeby trwać w walce o to, w co wierzymy, musimy posiadać coś ponad nią. Potrzebna nam jest siła, wytrwałość i bezwzględna pewność co do słuszności naszej sprawy. Jeżeli zaś nie wystarczy ani wiedza, ani siła z wytrwałością, jeżeli widzimy, że walka przerasta nasze możliwości? Tu istnieje niebezpieczeństwo porzucenia broni i rezygnacji, załamania się.

Wynik walki, w której nie zwyciężyliśmy przeciwnika, wcale nie musi być porażką, tak samo jak pokonanie wroga nie oznacza idealnego zwycięstwa, które może okazać się zwycięstwem *Pirrusowym*. Nasze ustosunkowanie się do niepowodzenia względem zamiarów naszych wyrazić się może w ten sposób, że odłożymy nowe ataki na czas późniejszy, obecnie zaś zajmujemy się przygotowaniem gruntu do dalszej akcji, urabiając opinię

.....

^{23*} Ang. *last not least* ‘ostatnie, ale nie najmniej ważne’.

publiczną, udoskonalając najbliższy nam odcinek życia, nabywając te cnoty, brak których w społeczeństwie wydaje nam się przyczyną zła.

Wtedy zaś gdy przeszkody i trudności, które stanęły na naszej drodze, dotyczyły nie całości pracy, lecz nas osobiście, możemy — po wyczerpaniu dostępnych nam godziwych sposobów walki — złożyć broń i przyjąć ze spokojem ten stan rzeczy, który nie dał się zwalczyć. Szukanie bólu i przykrości, cierpiętnictwa jest anomalią i zjawiskiem szkodliwym, dobrowolne zaś przyjęcie na siebie cierpienia, którego nie można było uniknąć, jest przejawem nie tylko mądrości i siły, ale i czegoś więcej — szlachetności i wierności ideałowi. W pracy swej nauczyciel wiele razy znajdzie się w sytuacji, kiedy życie wymagać będzie odeń walki bądź z przeszkodą zewnętrzną, bądź z samym sobą, żeby stanąć na drodze właściwej. I dlatego uważam za kardynalny warunek powodzenia naszego umiejętność pracy nad sobą.

Nieustannie rozszerzać i pogłębiać wiedzę swą, rozwijać siłę i odporność wewnętrzną, zwalczać własne wady i ułomności oraz wydobywać z siebie te talenty i możliwości, które posiadam, nie zawsze wiedząc o nich — oto jest to, bez czego nie damy sobie rady w walce z trudnościami i bez czego ulec im będziemy musieli.

Praca nad samym sobą jest nader uciążliwa, jest jedną z najtrudniejszych, jakie istnieją. Ciągłe trzeba zaczynać od początku, zabierać się do niej na nowo.

Czasami przychodzi mi do głowy, że nauczycielowi trudniej jest niż komuś innemu zająć się pracą nad własnym udoskonalaniem. Uwaga jego tak bardzo skierowaną jest na zewnątrz, na przezwyciężenie trudności, na dzieci, które chce poznać, zrozumieć i urobić, że dla samego siebie braknie czasu i energii. Sama ta okoliczność, że do zawodu nauczycielskiego większą przydatność wykazuje ekstrawertyk zdolny do zainteresowania i wżycia się w cudze stany duchowe, utrudnia mu wyrobienie czujności względem samego siebie. A jednak bez ciągłego samodoskonalenia wszystkie inne walory nasze, stanowiące o możliwościach skutecznej pracy nie spełnią swego zadania. Wiedza, doświadczenie, energia, hart i odporność na ciosy

z zewnątrz, wszystkiego tego za mało, by dawało w zastosowaniu do żywego materiału ludzkiego ten efekt, którego możemy się po tych bogactwach spodziewać. Muszą one przejść przez swoistą przetwórną ducha, zahartować się, nabrać zabarwienia wysiłku zmierzającego ku doskonaleniu, by móc oddziaływać skutecznie. Tylko mocna wola zrobienia wszystkiego, co robimy, jak najlepiej, nie bacząc na ujemne warunki, których nie potrafiliśmy usunąć, gwarantuje dobry wynik. Jeżeli w stosunku do trudności zewnętrznych, do przykrości i ciosów, których nie udało nam się uniknąć, przyjmujemy niekiedy postawę spokojnego, pogodnego i nawet chętnego pogodzenia się z tym, co nas spotyka, to względem trudności wewnętrznych robić nam tego nie można. Z całym nieprzejednanym uporem przeciwstawiać się będziemy każdej uświadomionej przez nas wadzie, niedoskonałości i słabości naszej. Bez zniechęcenia i znużenia rozpoczniemy pracę na nowo, ilekroć tak się zdarzy, że zauważyliśmy cofnięcie się lub upadek. Tam gdzie walka z trudnościami zewnętrznymi zupełnie wyraźnie nie udała nam się i nie mamy, zdawać by się mogło, żadnej broni zdatnej do użytku, powiemy sobie, że pozostała nam jeszcze inna, zawsze skuteczna broń — wysiłek wewnętrzny, zanalizowanie siebie, tego, co zrobiliśmy, co robimy, co należy naprawić, podnieść, polepszyć. I bardzo często z niebywałym zdziwieniem staniemy wobec zjawiska, które wyda nam się niezrozumiałym, i wysiłek nasz skierowany do własnego udoskonalenia i zbliżenia się do ideału wyda owoce gdzieś na zewnątrz, usuwając w sposób najbardziej niespodziewany to, co zdawało się przeszkodą nie do zwalczania, niekiedy nieszczęściem. Okaże się w wyniku, że stało się o wiele lepiej, niż sami sobie wymierzyć potrafilibyśmy.

Bilans pracy

.....

Po okresie ostrych zmagañ z trudnościami naszego zawodu, szukania i znajdowania środków do zwalczenia ich, następuje czas, gdy człowiek odczuwa potrzebę głębszego zastanowienia się nad swą pracą, jej znaczeniem, istotnym sensem, pragnie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy i w jakiej mierze zbliżył się do postawionego sobie celu.

Wiemy, z czym przystąpiliśmy do pracy, jakie przeszkody zwalczać musieliśmy, ile energii pochłaniała walka z nimi i przezwyciężanie ich. Im ciemniejszymi wydają się na tle przebiegu naszego życia te plamy, tym żywiej, jaskrawiej występują płaszczyzny jasne, zabarwione powodzeniem wysiłków, usiłowaniami z naszej strony, by w sposób możliwie najlepszy spełnić nowe zadanie, lub tymi chwilami, kiedy w sposób najbardziej nieoczekiwany spotkała nas jedna z licznych radości związanych z pracą.

Pierwotna pewność siebie i przeświadczenie, iż uda nam się modelować osobowość dziecka na wzór przez siebie wybrany, pozostał już daleko za nami. Przekonaliśmy się, ile czynników od nas niezależnych, bardzo często nieznanych i niedostrzeżonych, a niekiedy nawet niedostrzegalnych, oddziaływa współ z nami lub wbrew nam na „nasze” dzieci. Nie odczuwamy więc ani zarozumiałej dumy, gdy spoglądamy na dobre wyniki pracy, ani zbytniego zawstydzenia, kiedy widzimy, iż tam i ówdzie nie udało nam się zrealizować zamierzeń.

Powinniśmy jednak zapytać siebie, czy istotnie było *maximum* dobrej woli w tym, co robiliśmy, jakie były błędy nasze: czy to w stosowaniu środków, po które sięgnęliśmy, czy w założeniach, na jakich oparliśmy całość pracy.

Całość zawsze lepiej widać z pewnej odległości. Dlatego i nam łatwiej jest wydać sąd o tym, cośmy przeżywali i robili dopiero po pewnym czasie. Nasze własne czyny mają wielki wpływ na nas, każą nam bowiem naprawdę wżyć się w istotę tego lub innego przepisu postępowania, który przestaje wtedy być abstrakcją, choćby najpiękniejszą teorią. Ileż to razy zastanawialiśmy się nad jakimś zagadnieniem dopiero po tym, gdy sami wypowiedzieliśmy pozornie nieprzemyślane zdanie o zjawisku, czujemy chęć do dalszego działania, kiedy już coś uczyniliśmy odruchowo, odczuwamy głębsze uczucie dopiero po daniu czegoś z siebie^{1*}. Nasza własna czynność powraca do nas i wtedy stwarza w nas nowe wartości.

Jakim by nie wypadł nasz sąd o własnej pracy, dopóki żyjemy, nigdy nie jest za późno, by wyprostować i naprawić to, co było nie tak. Jeżeli jeszcze pracujemy w szkole, zmienimy bieg pracy na lepszy, uświadomiony sobie. Jeżeli z tych lub innych przyczyn nie działamy już czynnie, podzielmy się swym doświadczeniem z innymi. Przekażmy im to, co należy nie do nas tylko, ale do wszystkich, kto pracuje na tym samym polu.

Zrozumienie bowiem tego, że praca nad ułatwieniem rozwoju dorastającego nowego pokolenia stanowi nie moją tylko, ale naszą wspólną sprawę, nakłada na nauczyciela wyraźny obowiązek: podzielenie się owocami swego doświadczenia z innymi, ułatwić dostęp do nich tym, którzy zechcą opracowywać ten lub inny problemat pedagogiczny. Realizować to można w sposób bardzo różnorodny.

Jeden z nas w trakcie swej pracy wypowie się drogą artykułów lub referatów, gdzie umieści swe uwagi, spostrzeżenia, wątpliwości oraz przekonania. Kto inny będzie prowadził notatki dotyczące jego pracy, będzie zapisywał najciekawsze epizody, wypowiedzi dzieci, nasuwające mu się pytania, nie nadając

^{1*} Antonin-Dalmace Sertillanges, *Saint Thomas d'Aquin*, wyd. Ernest Flammarion 1931. — Antonin-Dalmace Sertillanges (1863–1948) — francuski filozof i dominikanin; należał do szeregu najwybitniejszych filozofów i myślicieli obozu katolickiego. Odznaczał się żywością zainteresowania współczesnymi problemami. Uchodził za wybitnego znawcę tomizmu.

im formy ostatecznej, ograniczając się jedynie do gromadzenia materiału, który może opracować później, gdy przyjdzie taki okres w pracy jego, kiedy odczuje potrzebę usystematyzowania swych zdobyczy. Jeszcze inny ograniczy się do zebrania materiału surowego w postaci zeszytów z wypracowaniami, rysunków i innych prac dzieci, zaopatrując je jednak w daty i adnotacje mogące ułatwić komuś innemu zorientowanie się w nich i odpowiednie zużytkowanie.

Sprawa należycie prowadzonego archiwum szkolnego, gdzie pozostają wierne ślady naszej pracy i doświadczeń, była omówiona w bardzo wyczerpujący sposób na pierwszym Zjeździe Szkolnictwa Specjalnego² przez dr Grzegorzewską³. Zgromadzenie materiału dotyczącego naszego doświadczenia, poddanie rewizji tego, co robiliśmy dotąd i robimy, zmusza nas do poważnego zastanowienia się nad niejednym zagadnieniem leżącym u podnóża naszego światopoglądu, nad uzmysłowieniem sobie całości, w którą wierzymy, do której dążymy.

Powiedzieliśmy sobie, że szkoła jest placówką, zadaniem której jest ułatwienie normalnego, wszechstronnego rozwoju człowieka. Z chwilą gdy ustaje dążenie do rozwoju, przestaje instytucja zasługiwać na nazwę szkoły i powinna by przyjąć tytuł przytułku, gdyż skupia w sobie jednostki potrzebujące opieki. Możemy wziąć pod uwagę fakt przymusu szkolnego, oparty o wyczucie przez społeczeństwo konieczności urobienia młodzieży w duchu odpowiednim dla danej epoki, wdrożenia do karności, tresury oraz nabycia pewnej sumy wiadomości. Wtedy słusznym będzie użyć dla niej określenie „koszary dziecięce”. O ile zaś ten arcywrażliwy aparat, jakim jest dziecko, zaczyna odtwarzać w czynach swych prawdziwe oblicze swego społeczeństwa, wtedy zaniepokojeni obywatele, nie chcąc poznać siebie w tej groteskowej karykaturze, wołają wielkim głosem o zastraszającej demoralizacji, jaka szerzy się wśród dzieci i dorastającej młodzieży. Słyszymy żądania usunięcia zła, konieczności zastosowania energicznych środków

² Zjazd Szkolnictwa Specjalnego — odbył się w dniach 19–22 grudnia 1925 r.

³ Mowa o referacie *Archiwum Szkolnictwa Specjalnego*.

zmierzających ku poprawie rosnącego pokolenia. W rezultacie instytucje skupiające w sobie takie wykolejone dzieci najśluszniej należałoby obdarzyć mianem reformatorium, czyli więzienia poprawczego.

Szkołą wolno nazwać tylko taką placówkę, która w założeniu swym przewiduje normalny, możliwie równomierny i pełny rozwój komórek formujących jej ciało. Z chwilą gdy etap rozwojowy, do osiągnięcia którego służy dany typ szkoły, już nastąpił, komórka taka oddziela się bezboleśnie, żeby stać się częścią składową następnej organizacji — innego, wyższego typu szkoły lub warsztatu pracy.

Świadomie użyłam zwrotu „komórka” w zastosowaniu do tych jednostek, które składają się na pojęcie szkoły. Nie nazwałam ich dziećmi lub uczniami, ponieważ chodzi mi właśnie o zaznaczenie, że organizm szkoły składa się nie z samych tylko wychowanków, lecz ze wszystkich osób biorących udział w pracy jej, a więc: dzieci, nauczycieli i personelu pomocniczego. I prawo rozwoju obowiązuje wszystkich. Nikt w szkole nie może powiedzieć sobie, że rozwój jego jest już dokonany i wykończony, że dalej, więcej nie pójdzie. Świadczyłoby to o zamieraniu komórki, w ślad za czym nastąpić musi niechybny jej rozkład, udzielający się młodszemu i mniej odpornym cząsteczkom. Praca nad własnym doskonaleniem wszystkich nauczycieli, zarówno jak personelu pomocniczego, stanowi *conditio sine qua non* normalnego życia szkoły. „Jak to? Uczyć się całe życie, wciąż rozwijać się bez końca? Ależ to absurd! — powiedzą mi. — Po co to wszystko? To, co umiemy jest aż nadto wystarczającym dla tego, by nauczać i wychowywać dzieci. Wszak napływają coraz to nowe fale, nieumiejące tego, czego nauczyły się ich poprzednicy. Nasz zapas umiejętności, którego wystarczyło dla tamtego rocznika, miałyby teraz dla takich samych dzieci okazać się zbyt szczupłym?”. A jednak tak jest. Proces oddziaływania nauczyciela na dziecko nie jest zwykłym przelewaniem raz posiadanej wiedzy i zasad postępowania. Jeszcze o ile chodzi o samo nauczanie, to, przy pewnej krótkowzroczności, można wmówić w siebie, że zapas zgromadzonej przez nas wiedzy wystarczy. Co prawda nie spotkałam nauczyciela, który by rok po roku odtwarzał swe lekcje. Nawet o ile sądzi, że to czyni,

to najczęściej nie zdaje sobie sprawy z tego, że ustawicznie coś zmienia, dopasowuje, tworzy, gdyż praca nasza jest w założeniu swym twórcza.

Opracowujemy z dziećmi, dajmy na to, jakąkolwiek regułę arytmetyczną. Większość opanowała tę umiejętność, pewna część klasy jednak ani rusz nie może zrozumieć. Próbujemy inaczej. Szukamy coraz to innych sposobów, by dotrzeć do tego umysłu, znaleźć punkty zaczepienia, wykryć luki w uprzednich wiadomościach, uzupełnić, podbudować, powiązać ze sobą niejasne urywki wiedzy, błąkające się w zamglonej świadomości takiego „złego ucznia”. Tworzymy ustawicznie bardziej lub mniej udane fragmenty metod, nie zawsze wiążące się ze sobą w przemyślaną, nacechowaną naszą indywidualnością całość. Doskonalimy z roku na rok naszą pracę, jakkolwiek często wydaje nam się, że tak nie jest, że raczej poszliśmy wstecz, że wyniki są jakieś gorsze niż te, do których już dochodziliśmy. Istotnie, nieraz nam się coś nie uda, nieraz popełnimy błąd, ale na tym właśnie polega piękno twórczości pracy, że u źródła błędów nawet leży dążenie do doskonalenia. Dlatego widzimy nieraz, jak najbardziej niespodziewanie wykwitają dobre wyniki na gruncie, który my uważaliśmy za zmarnowany. Ileż to razy w ciągu swej długiej pracy przekonałam się, że zmartwienie i obawy, jakie żywiłam, rozstając się z tym lub innym wychowankiem, do którego nie potrafiłam, zdawało mi się, znaleźć drogi, okazały się płonne. Spotykając ich po szeregu lat, już jako ludzi dorosłych, tyle razy miałam tę głęboką satysfakcję usłyszenia od nich tego lub innego zdania, które świadczyło o tym, jak wiele pozostało w nich z tego, co pragnęliśmy im wpoić. Jakże często zdarzało się, że plony okazywały się innymi niż oczekiwane przez nas wyniki, lecz były w gruncie rzeczy wcale nie gorszymi. Nie zmarnował się uczciwy wysiłek, nie zginął, tak jak nie ginie nic na świecie.

Nie ma więc momentu, w którym nauczyciel może powiedzieć sobie: „Już dość, więcej iść naprzód i doskonalić się nie potrzebuję”. Byłoby to absurdalnym z tego chociażby względu, że nie pracując nad sobą, straciłby nauczyciel siłę oddziaływania na innych w kierunku budzenia ich chęci do pracy nad własnym rozwojem. Dzieci czują to aż nadto dobrze i w okresach, kiedy mocniej, rzetelniej pracujemy nad sobą, dajemy im niewątpliwie więcej.

Zaniechanie dążenia do ideału jeszcze i dlatego jest czymś, co wzbudza naszą odrazę, że przypomina łądząco śmierć ciała, będącą najjaskrawszym wyrazem braku rozwoju danego organizmu. Może on ułatwić życie szeregowi innych istnień drobno-ustrojowych, sam zaś dalej już się nie rozwinie, ulegnie rozkładowi. Przypuszczam, że właśnie ta świadomość nieubłaganego rozkładu powoduje to uczucie grozy, jakie wzbudza zjawisko śmierci, pomimo iż niezliczoną ilość razy zetknęliśmy się z nim i wiemy, że jest nieuniknionym.

Z chwilą gdy uświadomimy sobie znaczenie postępu i naszą głęboką potrzebę wewnętrzną, by proces doskonalenia nie ustawał, sama przez się nasuwa się myśl o tym, iż ta część naszego „ja”, które jest organizmem materialnym, tylko w pewnym stopniu posiada możliwości rozwojowe, że nieuniknioną jest chwila, kiedy postęp ustać musi, dając miejsce regresowi i śmierci. Dziedzina ducha natomiast tej konieczności zatrzymania się nie zna. Proces doskonalenia się jest jej do takiego stopnia właściwy, że bez niego ustaje samo pojęcie „uduchowienia”. Możliwość wzrostu wewnętrznego, coraz to pełniejszego i bardziej doskonałego rozwoju dla dziecka samego nie ustaje nigdy. Więcej — tylko w realizacji tego, najgłębiej i najmocniej tkwiącej w nas potrzeby doskonalenia się znajdujemy prawdziwe szczęście, istotą którego jest zbliżanie się do ideału.

Każdy z nas może i powinien uprzytomnić sobie, jakim jest jego ideał. Do czego dążymy? Czego pragniemy? Jak chcielibyśmy urządzić otaczające nas życie?

Nie do pomyslenia jest ustalenie sobie własnego, logicznego światopoglądu bez tego rdzenia, tego wymarzonego celu, do którego tęsknimy. Bez niego poglądy nasze, dążenie i pragnienie pozostaną błąkaniem się po manowcach. Poszczególne elementy jaźni naszej nie dadzą utworzyć z siebie wyraźnej postaci, składając się już tylko na bezkształtną masę przypominającą te miękkie laleczki pozbawione tułowia, puste wewnątrz, gdzie główka i rączki są przyszyte do sukienki i każdy może je nasadzić sobie na palec ręki, żeby wykonywać nimi dowolne ruchy, zależne od jego pomysłowości.

W bilansie drugiej połowy swej pracy nie możemy nie odpowiedzieć sobie na pytanie dotyczące naszego światopoglądu i ideałów. My, których najbliższym zadaniem jest praca w szkole, czyli instytucji, która służy istotnemu rozwojowi człowieka, możemy do pewnego stopnia zunifikować nasze pragnienie w tej dziedzinie.

Uświadomiona sobie potrzeba nieustannej pracy nad własnym doskonaleniem wiąże się z wyrobieniem samokrytyki i uczciwości względem samego siebie. Obok tego żyje w nas niezłomna wiara w możliwość postępu jednostki i społeczeństwa. Wiara ta płynie z istotnego szacunku do dziecka jako człowieka, jego przeznaczenia i powołania. Zdajemy sobie sprawę z tego, że zadaniem naszym jest dążenie do wspomagania sił twórczych tkwiących w każdym dziecku, ułatwienie mu rozwoju zgodnie z jego możliwościami, bynajmniej zaś nie urobienie i formowanie go na własną modłę, posługując się wytworzonym przez wieki szablonem.

Ze zrozumieniem i odczuciem znaczenia oraz potrzeby karności względem prawowitej władzy, normującej i regulującej ogólne ramy naszej działalności, ściśle wiąże się tkwiące w każdym człowieku pragnienie wolności i niezależności w tym, co dotyczy życia ducha, przekonań i przeżyć osobistych, nasz głęboki wstręt do przymusu i gwałtu.

Poczucie organicznej więzi z licznymi rzeszami pracującymi na polu oświaty wywołuje w nas radosną świadomość tego, że wspólnie razem dążymy do swych ideałów, czujemy i przeżywamy te same stany wewnętrzne, że ból, radość, pragnienia moje nie są moimi tylko, lecz znajdują głęboki oddźwięk w niezliczonych bliskich, choć może nieznanych mi osobiście ludziach. W tej świadomości zaciera się zbyt ni egocentryzm, zainteresowanie się wyłącznie własną osobą. Zrozumiała stała się wzniosłość dobrowolnego cierpienia dla wielkiej sprawy, rodzi się zdolność do czynu ofiarnego, poświęcenia.

Takim widzę nauczycielstwo nasze. Takim poznałam je w ciągu długich lat swej pracy. Jednostki więcej lub mniej wartościowe, bohaterowie i biedni wykolejenci — wszyscy giną w wielkiej masie nauczycielstwa, gdzie zetraca się poszczególny człowiek i pozostaje to, co charakteryzuje ogromną większość tych ludzi, dla których szkoła stała się składową częścią ich życia.

Skądże zaczerpnie rzesza ta sił do tytanicznej swej, odpowiedzialnej i — jakże często — niewdzięcznej pracy? Jaki ideał przyświecać będzie jej wysiłkom i ruchowi naprzód?

Tylko ten, który jednoczy w sobie istotne, lepsze porywy i pragnienia nasze, wskazując na wartości trwałe, pewne i nieprzemijające.

W programach partyj politycznych z ich wzruszającą wiarą w to, iż wystarczy zastosować pewne środki, by uzyskać niezawodne wyniki, jest dużo prześlicznych fragmentów, które mogą pociągnąć za sobą natury szukające Piękna i Prawdy. Potrzeba wiary w coś lub kogoś tkwi w człowieku tak głęboko, że w dziejach ludzkości ustawicznie powtarzają się okresy bezkrytycznego oddania się tłumów wodzowi, który potrafił wzbudzić wiarę w to, iż on to właśnie urzeczywistni i wprowadzi w życie upragniony ideał.

Odchodzi jednostka lub grupa jej następców i razem z nimi blednie obraz nakreślonego ideału, stygnie wiara w jego realizację i trzeba zjawienia się nowej postaci, rozumiejącej tęsknoty i porywy współczesnej mu ludzkości, by znowu poprowadzić ją do swego celu.

Blisko stałam nieraz obok tych lub innych partyj politycznych, współżyjąc i obcując z ich zapalonymi przedstawicielami. To, co mnie zawsze zrażało i zmuszało do rezerwy, był fakt, że należenie do nich pozbawiało wolności myśli i działania. Przyjmując część programu, która spodobała się, połykało się jakby haczyk i już dalej trzeba było przyjąć całość programu, bo inaczej nie trzymał się on razem, rozpadłby się. Całość zaś tego wydawała mi się czymś bardzo krępującym, skostniałym, jakby kaftanem bezpieczeństwa. Oprócz niewoli, jaką narzucał program partyjny, uderzała mnie zawsze ta małostkowość, którą dostrzegałam u wszystkich, najszlachetniejszych nawet fanatyków programu. Podział ludzi na „swoich” i obcych, mniej lub więcej zamarkowane górnymi hasłami wysuwanie celów materialnych na pierwsze miejsce, cyniczne dążenie do tego, by kosztem jak najmniejszego wysiłku uzyskać jak największy efekt — nie, to nie wyczerpuje, nie zadowalnia istotnych potrzeb ducha.

Podczas studiów uniwersyteckich i później niejednokrotnie entuzjazmowałam się bardzo to takim to innym kierunkiem filozoficznym. Zawsze jednak po pewnym czasie stygłam w swoim zapale, dostrzegałam obok cech, które mnie porywały z początku, słabe strony. Nie znajdowałam całości, w której mieściłoby się wszystko, co interesowało, pociągało zarówno myśl, jak uczucia i dawałoby impuls do postępu i czynnej postawy wobec każdego zjawiska życia.

Coraz więcej odczuwałam, że wszystkie te misternie utkane doktryny zawierają w sobie ziarna prawdy tylko, ale nie są w stanie wskazać istotnej Prawdy. Nie mogłam nie podzielić zdania wypowiedzianego przez prof. Bode^{4*}, iż nowoczesne koncepcje nie odpowiadają ani życiu, ani naturze ludzkiej, ani prawdzie. Są one abstrakcyjne, powierzchowne i ograniczone. Jak Shylock^{5*} wycinają one kawałek żywego organizmu i znajdują się wobec czegoś oderwanego, pozbawionego krwi, martwego. Te doktryny, tak piękne w książkach, nie dają się zastosować do konkretnego życia.

Toteż szukając rozwiązania nurtujących każdego z nas zagadnień etycznych w płaszczyźnie etyki i filozofii świeckiej, nagromadzamy dużą ilość wiadomości i nie możemy nie dostrzec sprzeczności pomiędzy teoriami, z których niejedna częściowo przemawia nam do przekonania.

U Apostoła Pawła w związku z fałszywymi nauczycielami znajdujemy wspaniałe określenie odnoszące się do nich^{6*}: „zawsze się uczące, a nigdy do wiadomości prawdy nie przychodzące”.

Przeszłam w życiu swym kilkakrotnie okres żywego zainteresowania filozofią, do której podchodziłam nie abstrakcyjnie, lecz próbując znaleźć w niej takie twierdzenia i wskazówki, które by pozwoliły oprzeć na nich całą linię swego

4* Boyd H. Bode (1873–1953) — amerykański filozof znany ze swej pracy na temat filozofii edukacji *Modern Educational Theories* (1927).

5* Postać żydowskiego pożyczkodawcy z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare.

6* 2 Tm 3,7.

życia. Nie lubiłam nigdy połowiczności. W to, co robiłam — dobro i zło — wkładałam całą siebie i nie potrafiłabym zadowolnić się najpiękniejszą koncepcją, która byłaby czymś cząstkowym „od święta”. Odczuwałam zawsze potrzebę ideału moralnego i wiedziałam, że jest on jeden jedyny. W to nigdy nie wątpiłam.

Brak nam globalności, jednolitości poglądów, przekonań i czynów. Słusznie mówi Sertillanges^{7*}: „Jesteśmy rasą umysłową uformowaną w różnych szkołach, zachowującą sprzeczne tradycje, karmioną różnorodną lekturą — zbyt różnorodną — obecną przy wymianie zdań, gdzie brak związku i harmonii jest uderzającym”.

Nie wiemy, jak przejść od myśli „to ma być zrobionym” do mocnego, jasnego i wyraźnego postanowienia „ja to zrobię” i to sam, dobrowolnie, bez przymusu, bo wymaga tego coś, w co wierzę, kocham, co wypełnia moją jaźń. Podobnie radosne pragnienie niepodzielnego oddania wszystkiego bez reszty drogiej istocie zna ten, kto przeżywał głęboką, mocną miłość lub prawdziwą przyjaźń. Ponieważ w życiu mym dane mi było poznać zarówno jedno, jak i drugie, właśnie te uczucia i siła z nich płynąca stały się u mnie impulsem do rozważań nad tym, że o ile człowiek, nawet najdroższy, najmilszy nam, ale jednak człowiek tylko, może obudzić i przez lata, a nawet życie całe utrzymywać w nas podobne stany, to musi istnieć Prawda odwieczna — jedyna, do której nie poszczególne jednostki i grupy, ale cała ludzkość przez wieki dążyć i porywać się może.

Jest w Kaplicy Sykstyńskiej fresk Michała Anioła wyobrażający wspaniały pochod ludzkości ku Chrystusowi. Tylko tam bowiem w całej pełni znajdzie ona wszystko. Chrześcijaństwo łączy w sobie wszystkie najwznioślejsze dążenia nasze wraz z uważnym, pieczołowitym stosunkiem do każdej najdrobniejszej sprawy dnia codziennego. W świetle jego wszystko nabiera innych, jaskrawych i piękniejszych barw. Daje ono nam jasne, wyraźne, nacechowane miłością i zrozumieniem natury

7* A.-D. Sertillanges, *La famille et l'Egal dans l'Education*, Paris: Librairie Lecoffre J. Gabalda et Cie 1907.

.....

ludzkiej wskazówki postępowania, pozostawiając jednocześnie zupełną wolność przyjęcia albo odrzucenia ich. Głęboki, istotny szacunek do wolności człowieka nigdy i w niczym nie przejawiał się w sposób tak pełny i prawdziwy jak w naszej religii. Wszystko jest dobrowolne. Jedynie nasza zgoda, nasze nastawienie wewnętrzne, nasz akt woli warunkuje ważność i wartość tego lub innego czynu.

Gdy człowiek ukształtuje i ustali swój światopogląd, zwraca on uwagę na to, czy i w jakiej mierze wprowadza on go w czyn w tej dziedzinie, w której pracuje. Powtarzam: „Zwraca uwagę”, bo wszak stosował swe poglądy, uświadomione czy nie, już wcześniej, nawet wtedy, gdy nie zdawał sobie sprawy ze swego światopoglądu. Sprawa naszych skłonności, tej drogi, po której każda osobowość idzie do swego celu ostatecznego, jest czymś naprawdę zadziwiającym. Gdy nadchodzi chwila, w której szukamy najlepszych dróg, usiłujemy precyzować i ustalić w szczegółach główne linie naszego życia, wtedy spostrzegamy z pewnym zdziwieniem, że właściwie przez cały czas byliśmy na niej, zbaczając od czasu do czasu, ześlizgując się, dając się odwieść, ale istotne zadowolenie dawała nam nasza działalność tylko wtedy, gdy płynęła ona zgodnie z tym, co leży u podłoża naszej indywidualności. Było więc w nas mniej lub więcej uświadomione dążenie pójścia po tej drodze, która najbardziej odpowiada naszej sylwetce wewnętrznej, naszemu najlepszemu „ja”.

Robiąc przegląd swego rozwoju wewnętrznego i pracy, uprzytomniałam sobie szereg fragmentów, zasad drogich i bliskich mi, które powracały wielokrotnie, niezależnie od miejsc i okoliczności zewnętrznych, w jakich odbywała się nasza działalność, niezależnie od różnorodnego elementu, z jakim miałam do czynienia, niezależnie wreszcie od stanów wewnętrznych, które przechodziłam. Były to często nieudane i nie zawsze udane próby zbliżenia się do tego systemu, który ściśle wiąże się ze światopoglądem chrześcijańskim. System z jednej strony niezmiernie przejrzysty i prosty, z drugiej zaś posiadający niewyczerpalne możliwości pogłębienia i doskonalenia przy zastosowaniu go do konkretnego materiału dziecięcego.

Jedna z najciekawszych książek, jakie w życiu swym przeczytałam, jest dzieło P.J. Delbrel pod tytułem *Jésus, éducateur des Apôtres*^{8*}. Opierając się ściśle na słowach Ewangelii, kreśli autor przed czytelnikiem obraz idealnego Nauczyciela Wychowawcy, jakim był Chrystus. Nazywa go *Hipodidasculus* 'Nadnauczycielem'. Ze słów Ewangelii zarysowują się przed nami sylwetki apostołów wraz z ich wadami — tak bardzo ludzkimi — i niezaprzeczalnymi zaletami, sylwetki prawdziwych dzieci. Do nich to będzie stosował Zbawiciel swój program wychowawczy i metodę, jakie uznał za potrzebne urabiać w ciągu trzech lat swego życia publicznego tych, komu powierzył dalsze szerzenie swej nauki wśród ludzi.

Chrystus chce uczniów swoich widzieć doskonałymi, toteż widzimy, że żąda od nich nabycia licznych cnót. Przekazuje im pewne pojęcia, wywołuje uczucia, wskazuje i doradza sposoby postępowania i życia. Wraz ze swobodnym współdziałaniem z ich strony zamierza on osiągnąć najpełniejszy rozwój piękna moralnego w stopniu, do którego każdy z nich jest zdolny. Chce doprowadzić ich do najwyższej dostępnej im doskonałości i świętości.

Dla realizacji swego zamiaru wymaga od nich wyraźnego idealizmu, zdolności do tego, by zajęli się przede wszystkim sprawą najważniejszą — duszą swą, pozostawiając inne rzeczy na dalszym planie. Chce widzieć w nich zastosowanie pewnej hierarchii, stopniowania ważności zjawisk i celów.

Niezbędną jest poza tym głęboka i szczerza wiara w słuszność i wielkość odbieranej nauki. Toteż Nauczyciel kładzie wielki nacisk na to, by apostołowie mieli tę niezachwianą wiarę w Jego boskość i moc. Nie tylko powtarza im wielokrotnie, jak wielkim skarbem jest wiara, która potrafi góry przenosić z miejsca na miejsce, ale jeszcze dba o to, by wzmocnić i spotęgować ją drogą wzbudzenia odpowiednich przeżyć. Gdy na przykład dochodzi

8* P.J. Delbrel S.J., *Jésus, éducateur des Apôtres* (Jezus, Wychowawca Apostołów), Paris: Gabriel Beauchesne 1922. Pierwsze wydanie nosiło tytuł: *Jésus, éducateur des Apôtres. Pour les Educateurs de Prêtres*, Paris: Gabriel Beauchesne 1916. — Joseph Delbrel (1856–1927) — filozof, teolog, pedagog.

Go wiadomość o śmierci Łazarza, którego miłował, wypowiada słowa: „Łazarz umarł. I rad jestem dla was, że tam nie byłem, abyście uwierzyli. Ale idźmy do niego”^{9*}. Chce, by byli świadkami tego cudu, by przekonali się, iż nie ma dlań rzeczy niemożliwych. Potrzebne Mu jest bowiem zupełna ufność i oddanie się ze strony uczniów, by móc kierować nimi.

Z powyższego usposobienia wypływa wielka łatwość nabycia cnót, na które Jezus zwraca szczególniejszą uwagę.

Miłość bliźniego stanowi kamień węgielny etyki praktycznej i dlatego jej poświęca najwięcej czasu. Powtarza często, z naciskiem, gorąco: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się spodem miłowali; jakom was umiłował, abyście się i wy miłowali. Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim”^{10*}. Wymaga od nich również czystości sumienia oraz istotnej skromności i pokory, które każe odsuwać od siebie wszelką okazję do pychy i wyniosłości, pociągając za sobą łatwość do praktykowania posłuszeństwa.

Dobrowolne ubóstwo i zdolność do zaparcia się siebie, do chętnego znoszenia nieuniknionych trudów i ciężarów zarówno swoich, jak i cudzych, krzyża „na każdy dzień”^{11*} stanowi podłoże decydujące o sile wewnętrznej człowieka.

Ceni Zbawiciel w swych uczniach szczerość i prostotę, uczciwość i wierność, przestrzega wyraźnie przed fałszem i obłudą. Wypowiada swój zdecydowany wstręt do postaci faryzeuszowskiej, polegającej na niższości, wąskości dążeń i widoków, na zastępowaniu drobiazgowym przestrzeganiem litery prawa mojżeszowego i talmudycznego istotnych wartości ducha ludzkiego. Żadnego formalizmu, o ile chodzi o gest szeroki, szczodry i hojny względem tego, kto potrzebuje pomocy. „Miłosierdzia chce, a nie ofiary”^{12*}. „Szabat uczyniony jest dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu”^{13*} — mówi Chrystus, stwierdzając

9* J 11,14–15.

10* J 13,34–35.

11* Łk 9,23.

12* Mt 6,5.

13* Mk 2,27.

niejednokrotnie, o ile ważniejszą jest intencja, dobro wyższe od krępującego przepisu, od łatwości gorszenia się, któremu ulega ją tak chętnie natury niezdolne do głębszych przeżyć.

Jezus żąda nie formułek i krępujących przepisów, lecz czegoś niezrównanie węższego i ważniejszego niż zewnętrznych przejawów cnót — żąda On istotnej doskonałości, mającej swe siedlisko w głębi naszego ducha, w przekonaniach, woli, w sercu i uczuciach, żąda chwały Bożej w duchu i w prawdzie, nie w przejawach.

Z bogactwa wewnętrznego, rozmachu i wycucia Piękna i Prawdy wyższej, które przyświeca każdemu dobremu poczynaniu, same przez się wypłyną moc, siła i gorliwość w pracy.

Jaką metodę wychowawczą stosował Jezus, by rozwinąć w następstwach swych realizację wymienionych cnót? Mając pełnię mocy boskiej, nie używa jej, by drogą cudu przekształcić błyskawicznie wybraną małą gromadkę uczniów na doskonałych. Nie robi tego nawet wobec wielkości zadania do spełnienia — szczęścia całej ludzkości. Żmudnie pracuje nad nimi, wydobywa z nich ukryte możliwości, rozwija je, wzmacnia, toleruje wady, godzi się z tym, że nie wszyscy zostaną naprawdę uczniami, toleruje Judasza aż do końca. Szanuje ich indywidualność, wolność i godność człowieka, który sam tylko może przyjąć lub odrzucić świętość. Nie używa więc mocy swej do cudu nawrócenia, stosuje natomiast metodę przykładu, kierowania i modlitwy za dzieci swe. Daje im przykład każdego dnia, niemal godziny. Jest ustawicznie wśród nich albo w pobliżu. Dopuszcza ich do zbliżenia bardzo intymnego i ścisłego. Nie ma dualizmu w postaci rozgraniczenia: ich życie i moje życie. To, czego żąda, wykonuje sam. Jest najuboższy, najpokorniejszy, najczystszy, najbardziej ufny, szczery i pracowity spośród ich wszystkich. Nauka Jego nie jest teorią, jest życiem istotnym. Kierunek, wpływ, metoda postępowania nacechowane są stanowczością, łagodnością, miłością i szczerością.

W nauce Prawdy jest bezkompromisowy, zaznacza swój autorytet i daje pewnik tego, iż wie, czego żąda i czego naucza. „Powiadam wam, róbcie to..., nie róbcie tamtego”.

Gdy zachodzi potrzeba, nazywa rzeczy po imieniu, gani, strofuje, raz stanowczo, raz z domieszką smutku, nawet cierpienia albo ogranicza się do spojrzenia jedynie.

Nie ma tu wyjątków i niesprawiedliwości. Przeciwnie, najczęściej wymówki otrzymują najmilsi: Piotr i Jan. Z tej stanowczości wypływa jako skutek pewne onieśmienie uczniów względem Mistrza. Kochając („bali się”), krępowali się, przestrzegali pewnych form. Wychodząc z wody [brak fragmentu tekstu — Autorka zostawiła puste miejsce], opasuje się, nim pojdzie do Chrystusa. Ewangelista tłumaczy ten gest słowami: [brak fragmentu tekstu].

Jednocześnie zaś nie ma ani cienia serwilizmu. Przeciwnie, zupełnie wyrażnie padają w Wieczerniku słowa: „Już was nie będę zwał sługami, bo sługa nie wie, co czyni pan jego. Lecz was nazwałem przyjaciółmi, bo wszystko, com słyszał od Ojca mego, oznajmiłem wam”^{14*}. Więcej. Zachęca ich do ufności: „Nie bójcie się — to ja”¹⁵. Spotykamy się z wyraźnym zwrotem: „On prosił”^{16*}. Zgodnie z prorocstwem Izajasza: „On nie będzie się sprzeczał ani krzyczał”^{17*}. Jest uprzejmy, troskliwy, prosty. W stosunku do maluczkich wykazuje szacunek należny dzieciom.

Ale łagodność jeszcze nie jest miłością. Wychowawca może grupę swoją prowadzić ze słodyczą idylliczną, czyniąc to z różnych przyczyn. Może obdarzony jest temperamentem flegmatycznym, może przekonany jest, że to mu ułatwi pracę i najmniej kosztuje zdrowia. Zresztą, zdarza się, że u źródła tej łagodności kryje się obojętność co do wyników.

Chrystus uczniów swych kocha i oni o tym wiedzą. „Uczeń, którego Jezus miłował” — czytamy niejednokrotnie^{18*}. Ma dla nich dobrą serdeczną nazwę „Synaczkowie”^{19*}. Wykazuje

^{14*} J 15,15.

¹⁵ Mt 14,27.

^{16*} Łk 5,3.

^{17*} Mt 12,19.

^{18*} J 13,23; 19,26; 20,2; 21,7–20.

^{19*} Mk 10,24; J 13,33.

daleko idącą troskliwość o potrzeby doczesne swych dzieci. Gdy wracając z połowu na jeziorze, „wyszli na ziemię, ujrzeni węgle założone i rybę na nie włożoną i chleb”^{20*}. Nietrudno domyśleć się, czyje kochające ręce przygotowały posiłek znużonym rybakom. Wiedząc o mających nastąpić dniach smutku, ukazuje współczucie, stara się pocieszyć, z góry zapewnia swą pomoc, mówiąc: „Nie zostawię was sierotami” (J 14,18; 15,20–22). Sposób postępowania Zbawiciela względem apostołów nacechowany jest prawdziwą szczerością i prawością. U św. Piotra spotykamy zwrot: „*Nec inventus est dolus in ore eius*”²¹. Nie czyni im obietnic, uprzedza o czekających próbach, niebezpieczeństwach, cierpieniach, które znieść będą musieli w związku z przywiązaniem do Jego sprawy.

Do przykładu i kierownictwa dołącza swą modlitwę, czyli — będąc Bogiem Człowiekiem — szuka pomocy nadprzyrodzonej u Ojca swego, w Jego ręce składa troskę o ukochanych i wyniki swej pracy.

„Szymonie... modliłem się za ciebie”^{22*}, jak również i ta najpiękniejsza i najprostsza ze wszystkich prośb, jakie można wznieść za drogie nam istoty: „Chroń ich”^{23*}.

Przeczytać uważnie Ewangelię, wczuć się w nią, zagłębić myślą w postępowanie największego Nauczyciela, potem zaś wziąć sobie jako drogowskaz słowa Jego: „Kto chce służyć mi — niech idzie za mną”^{24*}.

Wilno, dnia 15 sierpnia 1942 roku.

20* J 21,1.

21 1 P 2,22: „On grzechu nie popełnił ani nie znaleziono zdrady w ustach jego”.

22* Łk 22,31–39.

23* J 17,11–12.

24* J 12,26.



Ilustracja 20. Natalia z wychowankami w Reymontówce (1947 r.)



Ilustracja 21. Natalia Ilgiewicz przy pracy



Ilustracja 22. Natalia Ilgiewicz przy pracy

.....



Ilustracja 23. Natalia u sióstr zakonnych

.....



Ilustracja 24. Natalia u sióstr zakonnych



Ilustracja 25. Natalia u sióstr zakonnych

.....



Ilustracja 26. Natalia u sióstr zakonnych

Listy do męża

.....

Do Ciebie, mój Rusieńku, moje Ty szczęście i życie...

.....

[1940]

13 VII

Jedyny, Ukochany mój! Dziś dobiega końca drugi dzień od chwili, gdy musieliśmy się rozstać. Wydają się wiecznością całą — tyle strasznych przeżyć dały. Mówię do Ciebie wciąż, po dawnemu zwierzam Ci się z każdej, bodaj przelotnej myśli. Czy dochodzą do Ciebie, Ruśku Ty najdroższy? Czuję, że chwilami — tak! Muszę chociaż pisać do Ciebie, jakkolwiek nie wiem, kiedy przeczytasz moje słowa. Wczoraj i dziś cały dzień szukaliśmy Ciebie: nikt nic powiedzieć nie mógł, czy też nie chciał. Dano do zrozumienia, że wywieźli Was. Niechże Łaska i Miłosierdzie Pana będą przy Tobie i strzegą Ciebie, Skarbie nasz najmilszy! Dziś była msza święta przed obrazem Matki Nieustającej Pomocy. Było dużo naszych przyjaciół: wszyscy modlili się za Ciebie. Dzieci nasze takie dobre, serdeczne i wciąż a wciąż wszyscy razem przy naszym Tatuśku jesteśmy. Gdzie jesteś? Nie wiem, ale zawsze będziemy bliscy sobie, zawsze. Dziś pisać nie mogę więcej — trochę duszą łązy, a postanowiłam być dzielną i nie mazać się — więc tylko mówię Ci „po naszemu”, z uśmiechem: „Dobranoc, Cudny, Kochany mój”.

14 VII

5-ta rano. Dzień dobry, Rusieńku. Dziś bardzo wcześnie idziemy do kościoła, bo jest bierzmowanie Dyżka, a potem głosowanie¹.

.....

¹ Mowa o wyborach do litewskiego sejmu zorganizowanych przez sowieckie władze okupacyjne. Udział w wyborach był praktycznie obowiązkowy. Po oddaniu głosu komisja wyborcza potwierdzała ten fakt stemplem w dokumencie tożsamości. Jego brak oznaczał etykietę „wroga ludu”.

Całuję Twe niebieskie, zmęczone oczy. Jesteśmy przy Tobie sercem wszyscy.

19-ta wieczór. Znowu nigdzie niczego dowiedzieć się nie można. Mówią, że jutro dopiero udzielią informacji. Tyle sprzecznych i rozmaitych pogłosek... Modlimy się wszyscy gorąco. Dzieci cię są i starają się bardzo niczym nie sprawić kłopotu.

Boże mój, Boże! Miej litość nad nami, daj siły. Jak żyć z dala od Ciebie, nie wiedząc, gdzie jesteś? Ból szarpie bezustannie. Ból i miłość najgorętsza, największa. Rusieńku, Ruśku mój.

15 VII

Dziś odrobina nadziei wstąpiła w serce. Powiedziano, że wszyscy jesteście na Łukiszkach i nikt nie został wywieziony. Czy to prawda tylko? Tyle różnych pogłosek, że serce zamiera. Żebyż to tylko tak było, jak powiedział ten dzisiejszy urzędnik: że jesteście w Wilnie i toczy się śledztwo. Tego właśnie pragnę: wtedy wypuścić powinni z całą pewnością — przecież nic a nic zarzucić Ci nikt nie może, mój Ty Przyjacielu najmilszy. Leje deszcz i ani na chwilę nie ustaje. Rano wszyscy byliśmy na mszy świętej, potem składaliśmy wraz z paniami życzenia moderatorowi. Dalej — zwykłe codzienne poszukiwania wiadomości od Ciebie i o Tobie. Poznałam dużo innych żon w tej samej sytuacji co i ja. Szczególnie miła jest pani Ziemińska. Kocha swego męża, widać, tak samo jak ja swego Rusieńka. Jedyny nasz, żebyś mógł odczuć, ile uczuć i myśli płynie z naszego skromnego mieszkania tam ku Tobie!

Przed chwilą uprzytomniłam sobie, że w środę były Twoje urodziny, Ruśku mój. Jak to się stało, że to przeoczyłam? Zupełnie straciliśmy wszyscy pamięć w ostatnich czasach. Miły mój, Skarb, Szczęście Ty moje, co dałabym, żebyś mógł Ci patrzeć w oczy i wyrazić słowami to, czego Ci życzę. Wiem, czuję całym sercem, że nic na świecie nas nie rozłączy. Kochany, kochany Ty nasz!

16 VII

Dzień dobry, Mężulku mój! Jakże przeraźliwie cicho jest w domu bez „anielskiego pienia”. Kiedy, kiedy znów je usłyszymy?

Godzina 17-ta. Z Łukiszek wróciłam dziś odrodzona. Powiedziało mi nareszcie wyraźnie, że tam jesteś. Od nikogo nie przyjmowano paczek. Jutro można będzie w kancelarii zostawić jedynie pieniędzy dla Was. Tak chciałam dać Ci coś do zjedzenia, żeby Ci smakowało i żebyś jedząc, czuł, jak Cię kochamy. Wiem, że gdy modlimy się za Ciebie, czujesz to i jest Ci lżej. Całą duszą przy Tobie jestem. Tyle ludzi modli się za Ciebie. Tyle dowodów życzliwości i przyjaźni płynie ze wszystkich stron, że nieraz głęboko wzruszają.

Godzina 22. Dobranoc, najbliższy mój Przyjacielu, Życie Ty moje. Jak zawsze kreślę krzyżyk na Twym dumnym czole. Oczywiście bezmiernie całuję. Dziękuję za to, że swą miłość mi dałeś. Śpij, Tatuśku nasz.

17 VII

Dziś, Kochanie, dostałam się do kancelarii Łukiszek, by złożyć choć kilka litów na Twój rachunek. Tak ciągnie wciąż w tamtą stronę, gdzie jesteś. Wiem, że na razie ani zobaczyć Ciebie, ani nawet pisać do Ciebie nie mogę, ale sama pewność, że tu gdzieś niedaleko jesteś, daje siły do wytrwania. Jestem bardzo spokojna: wiem, że Bóg nie opuści nas, że jesteś pod Jego Opieką.

Jutro rano msza święta na Twoją intencję, aż na Pośpieszce². Ciekawam, czy czujesz to? Muszę za chwilę iść na swój kurs litewskiego: opuściłam 2 lekcje, więcej nie można.

[...]

Jeszcze jedno: nie doceniałam kobiety polskiej. Dopiero teraz pod więzieniem widuję tak miłe, dzielne i sympatyczne typy. Bez skargi, z ogromną miłością do swych mężów. Niektóre bardzo polubiłam. Tu, niestety, jednak nie ze środowiska żon

² Pośpieszka — folwark na przedmieściach Wilna.

wojskowych. Tamte mało zmieniły się, ale przeciętna Polka inteligentka bardzo urosła ostatnio duchowo. Mój antyfeminizm mocno zmalał. Ruśku, Ruśku mój!

Późny wieczór. „Kicinki” mój! Co chwilę chciałoby się wziąć za pióro i pisać do Ciebie. Tak przyzwyczaiałam się dzielić z Tobą każdą [!] przelotnym wrażeniem, każdą myślą, że wprost nie umiem nie informować Ciebie o wszystkim.

Dziś byli państwo Bohdanowicze — ogromnie serdeczni. Krzyżañscy też są naprawdę przyjaciółmi. Wczoraj zaś — wprost drzwi nie zamykały się: Jadzia, pani Rodziewiczowa³, matka Edka⁴, ciotka Tekla i pani Sławińska. Wszyscy ze słowami, a właściwie nie tylko słowami, lecz na pewno z uczuciami niekłamanej przyjaźni. Czym zasłużyła na taki dobry stosunek ludzi? Wiem, że muszę koniecznie dużo pracować nad swym charakterem, by wykorzenić gwałtowność i bezkompromisowość, zbyt żywiołowe oburzenia i wyrobić miękkość i łagodność. Wierzaj mi, Złotko moje, że w ciągu tych męcząco długich, bolesnych „dni — wieczności” bez Ciebie poddałam sama siebie ostremu, bezlitosnemu oskarżeniu. Każdy odruch zniecierpliwienia, każdą wyrządzoną Tobie — najlepszemu na świecie — krzywdę, jakże bardzo przebolełam.

Rusieńku, Ruśku mój! Bóg Miłosierdzia wróci nam Ciebie!

Dobranoc, Skarbie! Śpij sobie spokojnie i nabierz sił na dzień jutrzejszy. Ja również postaram się położyć z pogodną myślą o tym, że nas nic na świecie nie rozłączy.

18 VII

Nareszcie siadam, by pomówić z Tobą. Dzień zaczął się bardzo wcześnie, bo przed godziną szóstą wyszliśmy, by trafić na Pośpieszkę przed godziną 7-mą. Spowiedź i msza święta na Twą intencję. Wracamy, a w domu przyjemna niespodzianka.

³ Zapewne dr med. Janina Bortkiewicz-Rodziewiczowa — pracownik Zakładu Higieny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

⁴ Edward Csató (1915–1968) — eseista, krytyk teatralny, historyk teatru. W czasie II wojny żołnierz AK. Zięć Natalii Han-Illegiewicz.

Kochana Jadzia przysłała duży bochenek wiejskiego razowego chleba, mleka, jaj, młodych kartofli i zielonego grochu. Mamy jedzenia na kilka dni. To wierny, dobry przyjaciel.

Po śniadaniu byłam w Urzędzie Śledczym przy ul. Zamkowej. Widziałam się z tym panem, który robił u nas rewizję i zabrał nam Ciebie. Śledztwo jest w toku i do jego ukończenia niczego dowiedzieć się nie można. Obiecał, że może w poniedziałek więcej nam powie. Żeby chociaż koszulę pozwolili Ci zanieść na zmianę i bodaj trochę czegoś słodkiego. Twemu choremu sercu tak tego potrzeba. Byłam wraz z towarzyszkami niedoli u posłanki Dziwickiej⁵. Przed nami, okazało się, już przychodził cały korowód żon. Jej nie było — natomiast bardzo mądra i widać dobra matka jej. Ona zna Ciebie z czasów, gdy razem pracowaliście w Komitecie Rodzicielskim gimnazjum Zygmunta Augusta⁶. We wtorek znów tam pójde.

Jakich dróg szukać? Kogo przekonywać o Twojej niewinności? Ani na chwilę mózg nie przestaje pracować w tym kierunku, ale dotąd nic nie zrobiłam — ani ja, ani większość innych żon. Są takie, które tajemniczo mówią o znalezionych drogach, którymi wydostaną mężów, ale nie chcą radzić ani zdradzić swych sposobów. Moją największą nadzieją jest to, że przecież Ty naprawdę nic w niczym nie zawiniłaś i Bóg Miłosierny obroni Cię. Nocami ktoś chodzi pod oknami i jakby podsłuchuje. Ja śpiam teraz bardzo mało, słyszę więc kroki, boję się straszliwie — czy to nie bandyta. Leżę cicho, a serce tłucze się jak oszalałe. Dopiero gdy świta — zasypiam. Jakie dziwne i straszne zrobiło się życie, mój Ruśku! Ale wszystko przeminie i wróci uśmiech Twój czarowny, ludzi będą lepsi, niż byli, zapanuje sprawiedliwość, miłość i naprawdę braterstwo.

Dobranoc — czy słyszysz mnie? Tak staram się wyobrazić sobie Ciebie!

⁵ Irena Sztachelska z domu Dziwicka (1911–2010) — lekarz pediatra, działaczka państwową. W 1940 r. poseł na Sejm Republiki Litewskiej z okręgu Wilno.

⁶ Państwowe Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta — polska męska szkoła średnia istniejąca w latach 1915–1939; w grudniu 1939 r. przekształcona w Wileńskie Gimnazjum Państwowe z wykładowym językiem polskim.

19 VII

Dziś byłam znów — jak zresztą codziennie — pod bramą więzienną. Trafiłam i do kancelarii, by zostawić dla Ciebie choć 2 lity. Powiedziano mi, że co czwartek możecie sobie kupować potrzebne Wam rzeczy w sklepie więziennym. Pytałam, czy jest cukier i otrzymałam odpowiedź, że tak. Czy aby kupiłeś sobie? Twoje zdrowie tak wymaga słodczy.

Mówią dziś, że po ukonstytuowaniu się Sejmu będzie amnestia. Wróćcie wtedy wszyscy do nas, gdzie tak Was kochamy. Ruśku, jak Ciebie kocham i jak za Tobą tęsknię — tego nie potrzebuję Ci mówić, to o tym dobrze wiesz. Ale tam przed więzieniem są biedniejsze ode mnie. Biedniejsze, bo nie umieją opanować się i zupełnie rozkleiły się. Pietraszunowa⁷ na przykład zupełnie upadła na duchu. Jutro ma przyjść do nas — może uda mi się ją choć trochę pocieszyć. Inne też tak poddają się swemu smutkowi, że wprost topnieją w oczach i nie chcą walczyć z własnym przygnębieniem. Jedna dziś zalewała się wciąż łzami i na moje rady, by przestała, ledwie wykrztusiła: „Bo ja go tak kocham”, na co ja z całą powagą zapewniłam, że ja wprost przeciwnie — nienawidzę swego męża. To odniosło pożądany skutek — babcina roześmiała się i uspokoiła.

Tak czekam poniedziałku — może pozwolą odnieść Ci zmianę bielizny. A teraz jest bardzo późno. W myśli patrzę na Ciebie z uśmiechem, kreślę krzyżyk na Twym czele i jak zawsze dziękuję Ci za dzień dzisiejszy. Ruśku, nawet gdy tam za kratą i daleko ode mnie jesteś, dajesz mi dużo. Dla Ciebie panuję nad sobą, obowiązki swe staram się wykonywać sumiennie. Dzieci też — będziesz z nich zadowolony, gdy wrócisz.

20 VII

Mój Ty najdroższy! Jeszcze jeden dzień minął z dala od Ciebie. Urząd Śledczy przenieśli z Zamkowej do gmachu Sądów — tam

7 Być może Zofia Pietraszun (1917–1987) — żona Mieczysława Waldemara Pietraszuna (1923–2020), żołnierza 6 Samodzielnej Brygady Partyzanckiej Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej, który był więźniem obozu NKWD w Ostaszkowie.

więc chodzić, by dowiedzieć się o naszych mężów, musimy. Dziś nie przyjmowano. Aż w poniedziałek można będzie. Po południe spędziła u nas pani Pietraszunowa, odpoczęła sobie na naszej ślicznej górze i uspokoiła nerwy. Dobra to kobieta i — co najwięcej cenię — dobra matka i żona. Był też instruktor introligatorstwa z naszej szkoły — serdeczny i współczujący w moim nieszczęściu. Ma nadzieję otrzymania dniówkowej pracy na kolei i obiecał postarać się i dla mnie. Bo o ile nic się nie sprzeda, trudno niedługo będzie. Ale z pewnością jakiś zarobek znajdę i wykarmię nasze pisklęta. Rusieńku, tak dziwnie zachowuje się ten nowy lokator z domu nr 10. Wciąż chodzi koło naszych okien i zagłada, i zagłada — szczególnie o ile nas nie ma w domu. Wprost pilnuje, ale czego — nie mogę zrozumieć. Jakiś niespokojny jest on w ogóle. Cała posesja zauważyła, że on coś ma do naszego mieszkania. No, co robić? Niech sobie patrzy, tylko że dzieci się go boją.

[...]

21 VII

Druga niedziela bez Ciebie! Jeszcze nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo, Słonko Ty moje. Dziś ze względu na dzień świąteczny nigdy [!] chodzić nie mogłam, by dowiedzieć się czegoś w Twojej sprawie — toteż dzień wydał się bez końca. Tak tęskno, ach jakże bardzo tęskno. Rano był Bychowski ze swym Ryśkiem⁸. Po obiedzie pani Ziemińska i jej córeczka, później nadeszła pani Rodziewiczowa. Mogłam z nimi mówić o Tobie, to już trochę ulga. Nie wolno mi padać na duchu, nie wolno załamać się, bo dzieci teraz tylko mnie mają. Chce być spokojną, pogodną, ufną w Miłosierdzie Boże. Z babcią jest źle. Jest w stanie jakiegoś ustawicznego zdenerwowania i podrażnienia. Wszystko ją irytuje i co chwila wybucha. Wczoraj jak była pani Pietraszunowa, nie chciała wyjść do herbaty, bo „nie chce znajomić się z obcymi”. Dziś obraziła się, gdy Duśka zaproponowała, że zanieśie jej do pokoju:

.....

⁸ Jan Ryszard Bychowski (1921–1943) — syn Gustawa Bychowskiego, kolega szkolny Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Zginął zestrzelony w locie nad Niemcami w 1943 r. jako lotnik Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie.

— Kto powiedział, że ja tam mam pić? Ci przybłędy mogą, a ja nie! — mówiła bardzo głośno.

Boimy się bardzo krótkiego spięcia, bo naelektryzowana jest staruszka do ostatnich granic. Szczególnie wrażliwą jest na punkcie jedzenia. O to gniewa się bardzo często. A że żywienie nasze jest bardzo skromne teraz, więc może to powoduje ten stan. Co robić? Usiłuję nie zauważać, ale tak smutno bywa. Co starość robi z ludźmi — przecież była kiedyś niewątpliwie inteligentnym, dobrze wychowanym człowiekiem i po swojemu była dobrą. Smutno mi dziś przeogromnie, pusto i samotnie. Bez Ciebie źle mi jest. A wiem, że i Tobie niedobrze.

[...]

22 VII

Skarbie Ty mój! Nie wiem już, gdzie szukać ratunku. Dziś znów po tylu staraniach tylko tyle powiedziano mi, że śledztwo potrwa najmniej dwa tygodnie. Jak Ty się tam czujesz ze swym chorym, biednym sercem, Rusieńku? Trzymam się mężnie, aż wszyscy to stwierdzają, ale chwilami rozpacz ogarnia. Kiedy zobaczymy się? Kiedy odpoczniesz, mój biedny, skołatany, na moim ramieniu? Dobranoc, Szczęście Ty moje. †

23 VII

Moja Ty Miłości, Jedyny mój! Dziś trzy kobiety z naszego grona stroskanych żon otrzymały widzenia z mężami. Jak to zrobić, jak otrzymać to pozwolenie? Będę robiła jeszcze większe starania — może uda się. Składałam podanie, motywując Twoim stanem zdrowia. Powiedziano, że lekarz więzienny winny zbadać Ciebie. Szukałam Twego Roentgena, nie mogłam znaleźć. Okazało się, że masz go z sobą. Pokazałam doktorowi. Rusieńku mój, Mężuś. Ani na chwilę nie odchodzę od Ciebie myślą. Miłość nasza jest przy Tobie ustawicznie. Dziś była wspólna msza święta za Ciebie. Pierwsza była 13-go u bernardynów przed Matką Boską Nieustającej Pomocy. Druga 16-go w katedrze przed Panem Jezusem Dobrej Nadziei. Trzecia 18 VII u Redemptorystów przed Miłosierdziem Jezusa i Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

Następnie w kościółku wschodniego obrządku 19 VII *commemoratio*⁹ za Ciebie. Dziś przed św. Apostołem Tadeuszem. Tak błagamy Pana za Ciebie, że nie może nie spełnić prośb naszych. Dzieci wraz ze mną co dzień są na tę intencję „u Stołu Pańskiego”. Tak Cię wszyscy kochamy, jakże bardzo, bardzo! Niech Cię Bóg Najwyższy strzeże i chroni tej nocy i zawsze. Uśmiecham się do Ciebie. †

25 VII

Niech Bóg ma nas w swej Opiece, Rusieńku. Tak ciężko i smutno mi, i tak tęskno. A przede wszystkim tak boję się o Ciebie. Cały dzień stałabym chętnie pod bramą Łukiszek, byle być blisko Ciebie. Rusieńku, Skarbie Ty mój! †

26 VII

Serce rwie się w bezsilnej męce. Tak kochać, jak ja Cię kocham i nic nie być w stanie dopomóc — jakie to koszmarnie.

[...]

27 VII

Sobota. A więc i nastrój jaśniejszy. Wierzę, że będzie dobrze, musi być dobrze! Mam dla Ciebie ciepłą kurtkę, jak chciałeś mieć. W poniedziałek zaniosę jeszcze jedno podanie — do naczelnika więzienia w sprawie Twego zdrowia. Są dobrzy ludzie na świecie. Spotykam ich tam, gdzie ani się spodziewałam.

[...]

28 VII

Kościół. Śniadanie. Rossa¹⁰ z dziewczynkami. Chwila u pani Ziemińskiej. Ostra Brama. Obiad. Dzieci bawią się

⁹ Łac. *commemoratio* ‘przypomnienie, pamięć’. Tu: intencja modlitwy.

¹⁰ Rossa — cmentarz na Rossie w Wilnie, gdzie pochowana była matka dziewczynek Maria Ilgiewicz.

w krokiet¹¹. Teraz leje deszcz z gradem. Oto zewnętrzna szata dnia dzisiejszego. A wewnątrz — jeden wielki krzyk tęsknoty i miłości. Coraz trudniej panować nad sobą. Rusiu, Rusiu, widzę Cię często we śnie.

[...]

Czy wiesz coś o nas? Mówią mi, że także spokojny o swą gromadkę jesteś. Ale czy to prawda? Rusiu nasz, tak Cię kochamy!

30 VII

Znowu bezskuteczne starania, odpędzanie jak nie odpędza się psa... A jednak wierzę najszczerzej, że skończy się dobrze, że przecież zrozumieją ci, co zabrali nam Ciebie (nie wiemy i nie potrafimy ustalić, kto zabrał!), że nic Wam zarzucić nie można. Gubimy się w domysłach, staramy się nie poddać nastrojowi plotki: „Ten powiedział, tamta obiecała, mówią, że...”. Żebyż choć zobaczyć, słówko powiedzieć do Ciebie można było. Usiłuję nie załamać się: dla Ciebie, dla dzieci, dla pracy umiłowanej. Jest nadzieja, że pracować będę — czy w naszej szkole — jeszcze nie wiem.

1 VIII

Trzy tygodnie. Wydaje się wiecznością. Kto to powiedział, że czas goi rany? Z dniem każdym boli więcej. I taka krańcowa bezsilność! Wszystkie starania spełzają na niczym. Wszystkie nadzieje zawodzą. Ani dowiedzieć się niczego, ani uzyskać widzenia czy też pozwolenia na przesłanie paczki — ani promyka nadziei. Traktują nas ordynarnie, wypędzają, grożą policją. Jedynie personel więzienny, choć nic nie chce — zresztą i nie może — powiedzieć, jest spokojny, nawet życzliwy. Noszę od czasu do czasu po litie lub dwa. Może doręczą Ci? Może po skończonym badaniu wstępnym będziesz mógł kupić sobie coś? Muszę Ci opowiedzieć o dzieciach. Starają się bardzo. Szczególnie

¹¹ Krokiet (ang. croquet) — gra polegająca na jak najszybszym przetożczeniu kuli krokietowej za pomocą drewnianego młotka. Zasadniczo gra plenerowa, choć są zestawy do zabawy w pomieszczeniu.

Duśka w tym ciężkim czasie jest mi naprawdę pomocą. Zaszła w tym dziecku pod wpływem naszej tragedii wielka przemiana ku lepszemu: jest pracowita, obowiązkowa i staranna. Jasiek — często zamyślona. Odczuwa bardzo nieobecność Tatki naszego. Robi, co może. Zbyszek — jak to Zbyszek. Napiszę Ci o nim innym razem. Dyzio stał się dalszym i bardziej obcym. A może to mój ból sprawia, że mi się tak wydaje? Nie odnajduje w tej twarzy i postaci Twoich rysów jak u naszej trójki — i stąd to uczucie. Jakże bardzo Cię kocham! Mój Skarbie bezcenny. Dobranoc. †

2 VIII

Dziś przyjął delegację żon aresztowanych pełnomocnik rządu. Przedstawiły mu nasze prośby: informowanie nas, pozwolenie na przesłanie Wam bielizny, ciepłego ubrania, jedzenia, pozwolenia na widzenie. Da odpowiedź w poniedziałek. Ale powiedział:

— To są dopiero kwiatki. Będzie jeszcze dużo aresztowań.

Boże, za co? Przyszedł znów jakiś człowiek i zapisywał Twoje nazwisko z księgi meldunkowej. Zdziwił się, gdy powiedziano mu, że jesteś na Łukiszkach. Pytał, z czego żyliście. Zostawiłam w kancelarii więziennej 1 lita dla Ciebie, Biedaczysko najukochańsze moje.

3 VIII

Ani na krok naprzód. Nic nowego, nic pocieszającego. Chodziłam po Zwierzyńcu, po ulicy Miłej. Stamtąd widać dobrze więzienie, mówią, że ten gmach na prawo to Wasz drugi pawilon. Nie mogłam długo odejść. Wiedzieć, że tam jesteś Ty i nie móc zbliżyć się! Wieczorem na godzinkę wpadłam do państwa Bohdanowiczów, bo ona tyle razy prosiła. Byli też i Zubelewiczowie. Wszyscy dla mnie bardzo mili i serdeczni, ale wprost chciało się chwilami wyć, jak chore zwierzę wyje. Życie bez Ciebie nie jest życiem. Rusieńku, jak my to zniesiemy? Moja Ty Miłości jedyna! †

4 VIII

Najdroższy! Dziś w kościele bernardyńskim wyszły pierwsze zapowiedzi Tereski. Miły, Drogi, Jedyny, czy na jej ślubie będziemy już razem?

5 VIII

Bardzo pomógł mi dziś konfesjonał. Inaczej duchowo trudno byłoby wytrzymać w tej atmosferze paniki, zdenerwowania i fantastycznej plotki, jaka panuje koło więzienia. Biedne, nieszczęśliwe kobiety! Z rozpaczyny nie wiedzą, co z sobą począć i same sobie do reszty zatruwają życie. Starania wszystkie spełniają na niczym. Zbywają nas wszechmocnym: „Śledztwo trwa!”. Ale wiem, wierzę niezłomnie, że będzie dobrze. Wierzę, że i Ty, Kochanie moje, Jedyny, silny, spokojny jesteś. Całuję niebieskie, jakże drogie oczy Twe. Rusieńku, wróć do nas! Chyba nikt z nas nigdy Ci już żadnej przykrości nie zrobi!

6 VIII

Jak codziennie — msza święta, wędrówka pod bramę na Łukiskach. Potem chodzenie od Annasza do Kajfasza. I nic, wciąż nic. A trzeba być dzielną, dodawać sił innym, dbać, by dzieci nie wykoleiły się i po powrocie naszego Tatki zasłużyły na pochwałę. Wszyscy musimy z każdym dniem stawać się lepszymi — oto moje hasło naczelne. Dziś kupiłam 2 m³ drzewa. Trzeba będzie teraz być bardzo oszczędną, bo czekają jeszcze wydatki w związku ze ślubem Renuśki¹². Ale damy sobie radę. Może coś sprzeda się jeszcze. Oby Ci tam tylko było lepiej! Wiem, że Bóg Miłosierny jest przy Tobie.

8 VIII

Nasz Ty jedyny, nasz ukochany! Dziś powiedziano, że za 10 dni będzie już po śledztwie i wtedy Was zobaczymy. Wiem, wiem, że wtedy wrócisz, że będziemy razem. Dziś byłam z dziewczynkami u pani Sławińskiej. Joskowa, pani Rana Bobrowa i inni Żydzi

¹² Renuśka — zdrobnienie od Teresa.

na podwórku wprost rozczulili swą serdecznością. Underszaczowa koniecznie chciała dać mi 5 litów i wymogła, by dać Basi coś do uszycia. Dobrzy są ludzie! Był dziś i inny jasny, śliczny moment. Opowiedziano mi o prof. Muszyńskim¹³. Przyjechał po niego Japończyk, by zabrać ze sobą na bardzo korzystnych warunkach do krainy wiśni i chryzantem. Spokojnie odmówił, bo „tu jest potrzebny ludziom leczącym się i chcącym zbierać zioła”. Takiego wprost chce się w rękę pocałować, prawda? Kochanie moje, śpij cicho, spokojnie. My zawsze przy Tobie jesteśmy. Aha, wiesz, kto nas dziś odwiedził? Pan Bernard Rusiecki z żoną. Co im do głowy przyszło! Całuję Cię, Radości Ty moja. †

9 VIII

Rusieńku najukochańszy! Bardzo silny wstrząs przeżyliśmy dzisiaj. Składałyśmy (żony, matki) pieniądze w kancelarii więziennej. Okazało się, że nie wszyscy uwięzieni są już tu. Kilka żon wróciło z gorzkim płaczem:

— Nie ma. Gdzie?

— Nie wiemy, nie możemy powiedzieć.

W każdej z nas zrodził się obłądny lęk: przecież to samo powiedzieć mi mogą lada dzień. Oj, jakże bezgranicznie smutne bywa życie. Że właśnie tacy ludzie jak Ty, dobrzy, spokojni, żyjący dla innych, dla rodziny — że oni tak są narażeni i cierpią — jakież to ciężkie! Wspominam każde słowo Twe, każdy ruch, spojrzenie — i dopiero teraz umiem w pełni ocenić Twoją wartość. I co bym dała, by Ci móc okazać swą miłość! Ruśku, Rusieńku, mój umiłowany!

10 VIII

Do więzienia nikogo nie wpuszczają. Informacyj nie udzielają. Pieniądzy dla Was nie przyjmują. Boże Miłosierny, zlituj się nad nami!

.....

¹³ Jan Kazimierz Muszyński (1884–1957) — polski botanik i farmaceuta. W 1921 r. organizował Oddział Farmacji na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie; po dwóch latach został jego dyrektorem. W 1937 r. mianowany profesorem.

Przecież najgorsze, najsmutniejsze życie ma koniec, a potem wieczność. Tylko trzeba być jej godnym.

[...]

10 VIII [!]

Dzień dobry, Mężulku! Dziś trochę wstydzę się patrzeć na Ciebie. Załamalam się wczoraj i wypłakałam się straszliwie. Aż biedne dzieci nie wiedziały, jak uspokoić. Ale już nie będę — muszę trzymać się dzielnie, bo ufam, wierzę niezachwianie, że skończy się wszystko dobrze. Znów jesteśmy obcokrajowcy i trzeba starać się o pozwolenie do pracy.

11 VIII

Jedyny! Jakoś niektóre żony wydostały pozwolenie na przesłanie bielizny i ubrania mężom. Mnie dotąd nie udało się. Jutro znów będę kołatała. Całuję Cię, malutki.

12 VIII

6 rano. Dzień dobry. 6-ta rano. Za chwilę idziemy jak co dzień do kościoła. Może dziś starania pójdą pomyślnie.

21 wieczorem. Udało się uzyskać widzenie z komisarzem Kozłowem i otrzymać pozwolenie na to, by zanieść Ci pewne rzeczy. Boję się, że zaniepokoisz się, gdy je otrzymasz: ciepłe zimowe rzeczy w sierpniu! Ale „strzeżonego Pan Bóg strzeże” — więc posyłam. Zresztą — tak niewielki jest wybór tego, co Wam posyłać wolno. A tyle chciałoby się posłać. Rusieńku, jutro jadę na 2½ dni do Kowna na Zjazd Nauczycieli. Nie chce mi się być teraz daleko od Wilna, ale inaczej nie mogę. Gdy wrócę, może już będziesz wolny. O Matko Najświętsza, spraw, by to się ziściło! Dziś rozpoczął się drugi miesiąc bez Ciebie.

16 VIII

Nie pisałam cztery dni, umiłowany Ty mój! Był zjazd wszystkich nauczycieli w Kownie i musiałam tam jechać. Przed

wyjazdem zanieśliśmy ze Zbyszkciem walizkę dla Ciebie, ale naczelnik więzienia przyjął tylko dwie chustki do nosa, parę skarpetek, sweter i kawałek mydła. Czy odczułeś, że dotykając się każdej rzeczy, starałam się wlać w nie cząstkę swej miłości do Ciebie? Ucieszyło mnie to, że ciepłych rzeczy nie przyjmują, może oznacza to, że niedługo wrócisz do nas? W Kownie zmęczyłam się bardzo. Gdy wróciłam, zostałam niespodziewaną nowiną: Rena i Edek pobrali się w międzyczasie. Dziś z dziećmi byliśmy u naszych młodych. Wdzięczna im jestem za ten ślub w mej nieobecności: cieszy mnie ich szczęście i miłość, a jednak nie dałabym rady nie rozpłakać się gorzko podczas ślubu, bo Ciebie obok mnie nie byłoby obecnie. Ruśku! Jakże czekam na Ciebie! Kochany mój, żebyś wiedział, jakie dobre są nasze dzieci. Jaśka wsunęła mi w rękę list. Ile skarbów uczucia znalazłam w nim! Dobranoc, Mężusiu!

17 VIII

Mój Ty Skarbie bezcenny! Dziś była Kalwaria na Waszą intencję. Tak gorąco, szczerze, z całego serca modliłyśmy się za naszych mężów, że Bóg nie może nie wysłuchać nas. Dzieci są zdrowe, miłe, serdeczne. Wieczorem wpadł Bychowski — za tydzień jadą do Ameryki, gdzie on będzie profesorem w Chicago. Nie zazdroszczę im. Niech będzie im jak najlepiej. Ja tu chcę być, tu pracować. Obyś Ty tylko był jak najprędzej z nami! Wierzę, ufam i czekam. Dziś była Kalwaria żon. †

18 VIII

Msza święta sodalicyjna. Moc, wiara i otucha w sercu. Czytam cudowną książkę *Tak, Ojcze*¹⁴. Nie boję się niczego — Bóg z nami. Jutro idę do pana Kozłowa. Może uda się uprosić, by pozwolił dać Ci coś do czytania. Mężusku! Rena i Edek są bardzo szczęśliwi. To też daje dużo radości. Jedyny mój, kocham Cię bez miary.

[Dopisek na marginesie:] Krzyżańskim urodził się drugi synek Tadeuszek.

¹⁴ Ks. Ryszard Graf, *Tak, Ojcze! Na co dzień z Bogiem*, Kraków: Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy 1938.

19 VIII

Nie dostałam się.

20 VIII

Wczoraj poczta wieczorna przyniosła dużą żółtą kopertę z policji politycznej. Wewnątrz kartka po litewsku o tym, że wolno mi doręczyć Ci ciepłe ubrania. Kopertę przyniósł mi Zbyszek do kościoła, gdzie modliłam się za Ciebie. Pędem do jednej z koleżanek po nieszczęściu. Ta już widziała analogiczną kartkę. Adresatce powiedziano, że to oznacza decyzję wywiezienia. Dorożką jadę na Łukiszki: czy można dziś jeszcze doręczyć? Dyżurny biuralista wyszedł za bramę, zapewnił, że zdążymy rano. Prawie nie spałyśmy. Dziewczynki łapkami swemi kochającymi znaczyły razem ze mną każdą sztukę przeznaczoną dla Ciebie. Słodko i boleśnie było. Prymaria. Spowiedź — słowa otuchy. Ze Zbyskiem jedziemy pod więzienie, dzieci — na nowennę. W czasie czekania na naczelnika więzienia przyszło bardzo wiele naszych żon. Jeszcze jednej kazano przynieść, reszcie nie. Doznałam od nich tyle serca i delikatnego współczucia, że są mi bliskie, jak tylko dobre siostry być mogą. Naczelnik więzienia przyjął przeszło połowę przywiezionych rzeczy. To formalista, ale porządnym, uczciwym człowiekiem. Potem — gonitwa za towarzyszem Kozłowym. 3 razy nie udało się. Jutro od świtu znów go będę łapała. Rusieńku, ufajmy, proszę nie padać na duchu. Bóg jest samym Miłosierdziem. A może nie wywiozą? Może to tylko odpowiedź na moje podanie? Dobranoc, Cudny mój. Tak cicho i pusto teraz. †

22 VIII

Od świtu wczoraj usiłowałam złapać kogokolwiek z ludzi, od których los Twój zależy. Nic. Taka już chyba niedołęga ze mnie, że nie potrafię zrobić tego, czego najwięcej pragnę. Coś zachorowałam ja, Kochanie, i ledwie nogami poruszam. Ale to nic, przejdzie — oby tylko Tobie lżej było. Już idziemy za chwilę do kościoła. Pa, tymczasem, Rusieńku mój. †

23 VIII

Kochanie Ty moje, nareszcie dostałam się do Kozłowa, który uspokoił mnie, co do tego zażądania ciepłego ubrania i upewnił, że to nie ma nic wspólnego z wywiezieniem. Inaczej dziś słońce świeci. Zaszła u nas zmiana w sposobie gospodarowania: obiadów nie gotujemy już w domu, tylko jadamy u Ady. Pranie też tam będziemy robić wspólne. Może tak będzie taniej. Tak już blisko rok szkolny. Co to on nam niesie?

24 VIII

Jakże bezbrzeżnie smutno i trudno jest żyć! Tęsknota za Tobą zżera wprost duszę. Nie wiem, co robić z dziećmi. Jasia wróci do gimnazjum. Duśka spróbuje uczyć się u Ady — czy na długo — nie wiadomo. Gimnazjum Zbyszka zamknięte. Dyziek nie trafił do szkoły rzemieślniczej. Co będzie — Bóg jeden wie.

Wieczór.

[...]

Niedziela 25 VIII

Nasz dzień dzisiejszy: wspólna msza święta w katedrze rodzin. Śniadanie naszej rodзинki. Przyszedł pan Krzyżański z małym Jędrusem i podrzucił go nam. Bawiliśmy się wszyscy z dzieckiem wybornie. Potem — obiad u pani Ady. Wpadłam do państwa Bohdanowiczów, bo jej siostra jest coraz słabsza — to już tylko cień człowieka. Potem czytałam dzieciom cudną książkę: *Obrazki z życia Zbawiciela* ks. Rostworowskiego¹⁵. Przyszła miła żona poznana pod więzieniem, dobre i zacne stworzenie. Kolacja. Pacierz. Mówiliśmy dużo o Tobie, myśleliśmy jeszcze więcej. Dzieci — w dalszym ciągu kochane. Dyzio bardzo stara się obecnie i naprawdę tęskni za Tobą mocno. Januśka nasza staje się głębszą i myślącą dziewczuszką — pokażę Ci kiedyś jej liścik do mnie — bardzo dużo mi dał radości. Zbyszek — zacna

¹⁵ Ks. Jan Rostworowski (1876–1963) — jezuita, polski pisarz katolicki i rekolekcjonista. Zesłany na Syberię opracował *Obrazki z życia Zbawiciela* w 1916 r.

fujara o złotym sercu i wielkim zamięłowaniu sybarytyzmu. Duśka nasza — no to Duśka. Wszyscy kochają Tatkę bez miary, a żona to już sam wiesz. Dobranoc, „Kicińki”.

26 VIII

Zaniosłam dziś na Łukiszki 2 lity dla Ciebie. Zastępca naczelnika, który przyjmował pieniądze, powiedział, że byłeś chory, obecnie czujesz się lepiej, jesteś na lepszym odżywieniu, obiecał pozdrowić Cię ode mnie. Daj mu, Boże, zdrowie za to. Co dałabym, żeby móc pielęgnować Ciebie, Skarbie mój bezcenny!

27 VIII

Urwanie głowy dzisiaj. W związku z przedłużeniem mego *darbo leidimas*¹⁶ cały dzień zabiera komisariat. Przysłano mi dziś wezwanie do komisariatu, bym stawiała się „z dokumentami”. Idę. Czytają mi długi papier po litewsku, z którego wynika, że ponieważ nie przedłużyłam swego prawa do pracy i pobytu, muszę płacić 1000 litów kary albo 2 miesiące aresztu. (Tymczasem upominam się o blankiet do prawa pracy już od przeszło dwóch tygodni — byłam w tej sprawie u inspektora, który telefonował do naczelnika powiatu). Pokazałam również swe *svetimšalio*¹⁷, które uzyskałam równocześnie z upływem terminu do prawa pobytu. Personel naszego komisariatu jest na ogół bardzo sympatyczny. Pomogli mi ułożyć podanie, kupiłam znaczki stemplowe i wieczorem Dusia raz jeszcze poszła do nich i zaniósła. Zobaczymy, co wyjdzie.

28 VIII

Dziś skończyła się nowenna do Pana Jezusa Dobrej Nadziei. Coś mi mówi, że w tych dniach wróćcie do swych rodzin. Tak na Was czekamy.

¹⁶ Lit. *darbo leidimas* ‘pozwolenie na pracę’.

¹⁷ Lit. *svetimšalio* ‘obcokrajowiec’. Tu: dokument wydawany osobom, którym nie przyznano obywatelstwa litewskiego.

29 VIII

Dzień dobry, Ukochanie moje! Dzieci ubierają się, więc ja kilka słów do Ciebie kreślę. Wczoraj woziałam małego Krzyżańskiego do doktora. Wszystko dobrze, dziecko będzie zdrowe. Wieczorem byłam u naszych młodych (2 tydzień po ich ślubie). Na mieście plakaty o zachowaniu się podczas ataków! Co to znaczy? Jak to wpłynie na nasze losy? — Bóg jeden raczy wiedzieć. Rusieńku złoty mój! Wiem, że będzie dobrze. Bóg taki dobry. Teraz idziemy do kościoła. Pa, Malutki.

30 VIII

Przez cały dzień wczorajszy czekałam — wciąż zdawało mi się, że wrócisz. Teraz jest ranny zmrok. Wiem, że budzą Was bardzo wcześnie, więc też spać nie mogę. Wybieramy się dziś całą rodziną na Kalwarię, na intencję naszego najukochańszego Tatuńcia.

[...]

31 VIII

Kalwaria odbyła się doskonale. Dołączyła się do nas żona jednego z aresztowanych razem z Tobą — pani Bohuszewiczowa z synem. Poznałam ją przed więzieniem. Ona знаła Ciebie z gimnazjum, bo w 3-ciej klasie nasi chłopcy byli razem. Tak gorąco modliliśmy się wszyscy za naszych najukochańszych. Będziemy czekać dalej. Dziś zaczynamy nowennę do Miłosierdzia Bożego.

1 IX

Dzień dobry, Skarbie! Wczoraj trochę rozchorowałam się i zaraz po obiedzie musiałam się położyć. Dziś jeszcze nieco kręci się w głowie, ale już zupełnie dobrze jest. Miły Ty, Kochany! Co nam dzień dzisiaj przyniesie?

2 IX

Szczęście Ty moje! Tak dziś trudno jest mi opanować przygnębienie. Czekałam, czekałam cały ten tydzień na Twój powrót.

Wydawało mi się nawet nocą, że ot — już zaraz zapukasz do okiennicy. Dziś byłam u Kozłowa. Nic mi nie powiedział, przyjął 5 litów, raczej dał na doręczenie tej sumy, szczotki do zębów i proszku swoje zezwolenie. Wisiałam wzrokiem i duszą całą na ustach jego czekając, czy nie powie mi, że wrócisz niebawem. Ani słowa! Ale nie chcę, nie wolno mi przygnębiać się. Przeczytałam cudowną książkę Grafa *Tak Ojciec*, gdzie jest nadzwyczajny rozdział o ufności w Opatrzność. Autor dowodzi, że ilekroć Opatrzność zsyła nam ból i krzyż, tylekroć dodaje odpowiednią łaskę, która pomaga udźwignąć. Martwienie się „na zapas” właśnie dlatego jest destrukcyjne dla psychiki, że zawiera całą gamę bólu i troski — minus łaska. I to właśnie łamie człowieka więcej niż same nieszczęścia. Prawda, jakie to proste i mądre? Wczoraj skończyłam *Nowego człowieka* Emila Fiedlera¹⁸, bardzo ciekawe studium etyczno-socjologiczne. Jest napisane tak dostęпно i popularnie, że daję co dzień po jednym rozdziale Zbyszkowi. Zrozumiałam jasno i wyraźnie w ciągu tych smutnych tygodni następujące rzeczy:

- a) Wszystko, co nas spotyka, jest dziełem Najświętszej Woli i trzeba przyjąć to spokojnie i ufnie wierząc, że Bóg Miłosierny na celu ma nasze dobro.
- b) Naszym zadaniem jest — zgadzając się z Wolą Bożą — unikać niebezpieczeństwa, kwietyzmu, gnuśności. Dążyć mamy do wypełnienia Woli Bożej Objawionej, czyli jak najsumienniejszym wypełnianiem przepisów naszej wiary. „*На Бога надейся а сам не плошай*”¹⁹.
- c) „Należy pracować tak, jakbyśmy mieli nigdy nie umierać. Należy modlić się tak, jakbyśmy mieli umrzeć za chwilę”²⁰. Stąd jaśniej niż kiedykolwiek celowość Twojego żądania, by każdy z nas wszystko, co robi, robił na piątkę.

¹⁸ Emil Fiedler, *Nowy człowiek: dwanaście szkiców na temat ducha nowego pokolenia*, przekład z niemieckiego, Kraków: Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy 1939.

¹⁹ Ros. ‘Ufaj Bogu, a sam bądź leniwy’.

²⁰ Nawiązanie do słów św. Jana Boski: „Pracujmy tak, jak byśmy mieli żyć wiecznie, a żyjmy, jak byśmy mieli umrzeć jeszcze dziś”.

- d) Najwyższym ze wszystkich zadań jest wyrobienie w sobie istotnej Miłości do każdego człowieka, a szczególnie do „niedobrego”.
- e) **Nie wolno** mówić źle o nikim. Obmowa to robota żuków grzebiących się w kale, którym lubią żywić się.

Oto cała moja filozofia. A dodatkowo, że tak powiem prywatnie: ze wszystkich ludzi najlepszym, najbliższym i najdroższym jesteś Ty, Rusieńku mój! Teraz dopiero w całej pełni rozwinęła się Miłość. I wiem, że to samo przeżywasz i czujesz.

[...]

3 IX

Przed chwilą powiedziano mi w sklepie, że wypuszczono pana Skwarka, który mieszka blisko nas i został zabrany tej samej nocy co i Ty. Żonę jego poznałam i bardzo polubiłam. Cieszę się z ich szczęścia. Bóg Wszechmocny da, że doczekamy się Twojego powrotu! Boże, zwróć nam naszego Najmilszego! Nie chcę, nie wolno mi dopuszczać mi do siebie myśli w rodzaju: czemu nie mój Rusiek zwolniony? Nie wolno irytować się ani denerwować. Dobroć i Miłosierdzie Boże ponad wszystko na świecie! Cieszę się za tych, komu już dobrze — czekam na zmiłowanie nad nami. Pani Skwarkowa ma dwoje małych dzieci. Tak gorąco modliła się zawsze, przystępowała do Stołu Pańskiego, tak skupiona była na Kalwarii. Jej należy się to szczęście, które ją spotkało. Ja — idę dalej służyć Panu, pracować nad swym popędliwym charakterem. Tak, Ojcze! Wszystko, co czynisz, jest dobre i mądre.

Pogłoska o zwolnieniu pana Skwarka nie sprawdziła się. Stałam dziś 2 godziny, by oddać Ci szczotkę do zębów i proszek — a okienka tak i nie otworzono. Taki deszcz padał. To nic — tylko tak chciałam, byś jak najprędzej tę szczotkę dostał, bo Twoja dawno już gubiła szczetinki²¹, a po 7½ tygodniach chyba

²¹ Ros. Щетина ‘szczecina’.

już całkiem nie nadaje się do użytku. Mój najcudniejszy! Tak staram się myślał przeniknąć przestrzeń i ten mur nieubłagalny, chcę zobaczyć chociaż w wyobraźni Ciebie. Nieudolna fantazja nie przychodzi mi z pomocą, bezsilna jestem, Rusieńku! Czy będziemy jeszcze długo razem? Dziś myśl o śmierci trapi mnie — a chcę żyć dla Ciebie i dla dzieci. Coś robi się z organizmem moim. Straciłam w tym roku 24 kg. Sił nie mam. Ludzi przerażają się na mój widok. Boję się iść do lekarza. Pójdę, ale boję się usłyszeć groźny wyrok. Będzie, jak zechce Bóg. Tylko tak chce mi się choć kilka jasnych lat jeszcze!

4 IX

Wróciłam z rannej mszy świętej. Dzieci wstały i śniadanie znalazłam starannie przygotowanym. Teraz myję naczynie. Jasia wybiera się do gimnazjum na poprawczy egzamin z litewskiego. Potem wspólnie idziemy na nowennę. Dalej — ja na Łukiszki, Zbyszek do gimnazjum zapisać się, bo jednak jest nadzieja, że będzie czynne, ale po południu. Z Łukiszek pójdę do Inspektoratu, może dziś wypłacać nam pensję. Wieczorem przyjdą do nas państwo Csató.

Pensji jeszcze nie wypłacili. Ale pakuneczek dla Ciebie oddałam w okienku. Ot — szczotka do zębów i pudełeczko z proszkiem. Ale nim je doręczyłam, ileż to razy obejrzałam przedmioty, które za kilka godzin znajdą się w Twoich rękach. Szczotkę myłam tak starannie.

5 IX

Jedyny, za chwilę idę do Zarządu Miejskiego w sprawie terminu dla Dyzia. Chcę tylko parę słów powiedzieć swemu Mężusiowi. Dziś prawie ani na chwilę nie zasnęłam — wciąż nasłuchiwałam, czy nie usłyszę Twych kroków. Rano byłam u spowiedzi. Potem — nowenna jak co dzień.

[...]

6 IX

Kochanie Ty moje. Dzień dobry! Rozpoczął się dziewiąty tydzień męczarni naszej. Znow jest piątek. Kiedy przyjdzie radość?

W kościele opowiedziały mi towarzyski niedoli, że komisarz Kozłów oznajmił, iż w najbliższych dniach rozstrzygną się losy: „Albo wrócą do domu, albo posiedzą dłużej”. Bóg nas nie opuści.

Jutro zaniosę napisane po litewsku podanie o przyjęciu Dyzia do terminu do zakładów samochodowych. Chłopak od dłuższego już czasu sprawuje się bez zarzutu — pracowity, serdeczny, przywiązany. Jak on się modli za Ciebie! Janusik złożyła egzamin poprawczy z języka litewskiego. Zacznie więc chodzić do gimnazjum. Wzrusza mnie w tym dziecku to, że ona tak głęboko pragnie, by w domku naszym wszystko szło dobrze. Wandajka jest trochę wykołejona pozostaniem na drugi rok. Pójdzie do Ady na kurs gospodarstwa domowego i tamże będzie przygotowywała się do egzaminu z 2-ch klas, by ewentualnie dopędzić Jasię. Czy uda jej się — zobaczymy. A to dziecko modli się najwięcej — tak zatruwa sama sobie życie swym uporem. Nieraz bardzo gniewałam się na nią. Teraz, jak tylko widzę przejawy jej trudnego charakteru, w duchu gorąco wzywam pomocy Matki Boskiej Dobrej Rady. I jakoś trochę lepiej trafiam do jej serduszka. Bo dobrą nasza Duśka jest niewątpliwie. A syn nasz? Rośnie w leciech, wadze... no i jest naszym kochanym Zbyskiem. Jego największą zasługą jest to, że ten gałgan tak jest do Ciebie podobny. Czasem aż łzy staną mi w oczach. Jest religijny, dobry, ma zasady prześliczne — i na 10 tylko centów woli. I to całe jego nieszczerstwo.

[...]

7 IX

Dzieci już obudziły się. Ubierają i myją się. Chcę powiedzieć Ci: „Dzień dobry!”. Wielki smutek panuje w naszej gromadce żon i rodzin uwieczonych. Znowu powiedziano kilku paniom, że mężów ich powieźli do Moskwy. Skóra wprost cierpnie na człowieku. Ratuj nas, Matko Najmilsza. Komentowałyśmy wczoraj Ewangelię Świętą — Mękę Pańską. Bardzo utkwiło mi w duszy powiedzenie: „skonał Zbawiciel pośród tych, kogo najbardziej ukochał: pomiędzy grzesznikami z obu stron”. Prawda, jakie to ładne?

[...]

Z miasta powróciłam zupełnie zdrętwiała ze zgrozy. Wczoraj wieczorem już wiało niepokojem. Dziś pod więzieniem zobaczyłam jedną z pań, z którą obecnie nawiązały się bardzo serdeczne stosunki — szczególnie po odbytej wspólnie dwukrotnie Kalwarii. Pani Bohuszewiczowa — syn jej uczył się w tym samym gimnazjum co Zbyszek. Nerwowa, porywcza, ale bardzo szlachetna i miła kobieta. Dziś widzę: idzie ona z dużą walizką do więzienia. Twarz jak z kamienia. Nie pytam o nic, uścisnęłam tylko rękę i odeszłam do grupy siedzących na stopniach kobiet. Po chwili ona podchodzi i opowiedziała, że przyszła po rzeczy męża. Pokazała kartkę od Kozłowa: „*Все вещи Богущевича И. выдайте его жене*²²”. A wczoraj powiedział jej krótko:

— Wywieźli.

— Dokąd?

— Mówię, że wywieźli.

— Ale ja chciałabym wiedzieć dokąd?

— Do Moskwy.

Jak to pogodzić? Jeżeli wywieźli, to czemu bez rzeczy? Co to wszystko znaczy? Dziś rzeczy jej nie oddali, kazali przyjsć w poniedziałek. Dopiero wtedy dowiemy się więc, jakie rzeczy

²² Ros. ‘Wszystkie rzeczy Boguszewicza I. wydajcie jego żonie’.

oddadzą jej. Niektóre kobiety pod więzieniem zaczynają robić wrażenie niepokojące. Jedna staruszka, która twierdzi, że otrzymała list z Mińska od syna, przychodzi co dzień, oczami spod czerwonych powiek wpatruje się w bramę więzienną i czeka:

— A może on stąd jednak wyjdzie?

Poza tym o wszystkim mówi rozsądnie i mądrze. Oczy popadały, spojrzenia przygaśle. Życie staje się strasznym snem. Za co nas tak skrzywdzono? My wszyscy chcemy pracować uczciwie, zawsze pracowałyśmy ciężko, mężowie nasi nikomu nic nie zawinili, więc czemu? Kto rozkazał wyrzucić nam tę krzywdę? Krzywdą straszna, wołająca o pomstę do nieba krzywdą! Ruśku, za co?

8 IX

Już po nabożeństwie i po śniadaniu. Dziś niebo jest szare i ponure, toteż i nastroje odpowiednie. Panie — towarzyszki niedoli — spłakane, zmęczone i zrezygnowane. Co czeka nas dalej — Bóg raczy wiedzieć. Tak chciałoby się znaleźć słowa pociechy, które trafiłyby do serc tych biedaczek. Szczególnie biedne są kobiety starsze. Niektóre nie mają dzieci. Stały mi się bliskie i drogie jak żadne kobiety dotąd. Jutro idziemy modlić się do Matki Bożej Nieustającej Pomocy, pojutrze — do Świętego Antoniego.

10-ta wieczór. Dziś stała się przykrość i to duża. Ktoś otworzył drutem okno babci, wlażł do pokoju i z szafy bieliźnianej zabrał całą bieliznę. Zostało to, co na pościeli i po jednej zmianie w praniu. Co zrobić? Bardzo zmartwiłam się, byłam w policji, spisano protokół. Jutro pani Kazimierzowa ofiarowuje się iść z Wandą na targ patrzeć, czy nie sprzedają. Może odnajdą — ale wątpię. Dzieci były w jadalnym pokoju, ja tylko z Jasią poszłam do Dobroczynności²³ odwiedzić panią Kalkstejnową. Babcia wyszła na mszę świętą. Przed wyjściem na obiad dzieci obeszły dom, patrzą: okno babci szeroko otwarte, pod oknem ślady drobnych stóp. Widać nie zdążyli więcej wziąć, bo w drugiej połowie tejsze szafy palto i suknie babci nie ruszone, nad łóżkiem Dyzia płaszcze zimowe dzieci — też. Dzięki Bogu i za to.

²³ Zapewne Towarzystwo Dobroczynności istniejące w Wilnie od 1807 r.

Wynosili kradzioną zdobycz przez sąsiednią posesję, bo ślady prowadzą za kłozety na górkę w kierunku ogrodu Lewkowicza. Zbyszek był na Św. Jańskiej²⁴ w policji kryminalnej. Prosił, by przyszli z psem policyjnym, ale nie mogli. Trudno. Obyś Ty był z nami, reszta nie tak ważna.

9 IX

W dodatku do bielizny — potworne awantury z mamą, która koniecznie chce dowieść, że winne są dzieci, bo ona nie może pamiętać o swym oknie. Tak strasznie smutno i ciężko.

10 IX

Wczoraj dwa razy podchodziłam do gmachu, gdzie urzęduje Kozłów — i nie miałam odwagi wejść. Kilku paniom znów powiedziano, że mężowie ich są wywiezieni. Tak potwornie lękałam się usłyszeć podobną nowinę, że nie weszłam. Byłam pod Hałami szukać skradzionej bielizny. Nie znalazłam. Natomiast widziałam naszą owocarkę Ranę Bobrową, kilku innych żydów, wszyscy bardzo serdecznie wypytywali o Ciebie. Jeden poradził mi pójść porozmawiać z pewnym adwokatem. Poszłam po obiedzie. Zrobił wrażenie bardzo mądrego człowieka, świetnie orientującego się w sytuacji. Mam znów pójść do niego w piątek.

Dziś w okienku więziennym powiedziano mi, że jesteś. Bogu niech będą dzięki. Zostawiłam 2 lity, Jedyny mój. Tak mało mogę dla Ciebie zrobić. A tyle chciałoby się.

11 IX

Dzień dzisiejszy: msza święta, śniadanie, podróżowanie z Dyżkiem w sprawie jego terminu. (Magistrat, Garaże Autobusów Miejskich przy Legionowej, Wydział Autobusowy przy Wielkiej²⁵). Poszukiwania Kazika, który podjął się wykryć herszta bandy, co nas okradła. Bo — wiesz — ta banda

²⁴ Na Św. Jańskiej — na ul. Świętojańskiej.

²⁵ Wielka — jedna z głównych ulic starówki wileńskiej.

składa się z nieletnich złodziejasków, a na czele ich „Profesor”. Czatują nadal na górze Trzykrzyskiej²⁶, nawołują się gwizdkami, śledzą nas.

Potem byłam u Janki, która umyła mi głowę. Dalej — obiad. Przyszła sama Rena, bo Edzik choruje. Po obiedzie zjawił się Kazio z częściową relacją. Później z dziewczynkami udałam się do krawcowej, by przerobić ich niebieskie sukienki w kratkę. Odwiedziłyśmy chorą panią Krzyżańską, kupiłyśmy trochę jedzenia i zaniósłamy z Dušką do Edków. Wracając, wstąpiłam do policji kryminalnej na Św. Jańską w sprawie naszej bielizny. Gdy podchodziliśmy do domu, minął nas pijany dorożkarz wiozący kupę dzieci. Koń spłoszył się i dziatwa wysypała się na bruk. Jednego pokaleczonego, pobrudzonego, a przede wszystkim wylęknionego Ryśka wzięliśmy na opatrunek i uporządkowanie do domu. Poszedł po zjedzeniu piernika. Teraz nasze pociechy szorują się po kolacji, a Twoja zmęczona żona gawędzi ze swym Mężem. Jutro Zbyszko składa podanie do gimnazjum „Edukacja”²⁷. Do Zygmunta Augusta nie udało się.

[...]

12 IX

Dzień dobry, moje Ty Szczęście! Leje od wczoraj wieczorem deszcz bez przerwy. Boję się, że u Was w celi jest zimno. Czy aby ubierasz się dość ciepło? Żeby tylko ten monotonny dźwięk spadających kropel nie działał jeszcze więcej przygnębiająco na Twoją psychikę. Ja dziś jestem dobrej myśli. Wierzę mocno, że koniec naszej udręki nastąpi. Będziemy razem i teraz już mój Rusiek będzie miał naprawdę dobrą żonę. Tak będę się starała, aby tylko dobrze Ci było! Ani jednego „tupnięcia”, ani zdenerwowania — tylko pogoda, uśmiech, miłość. Wróć — oj, wróć, moje Najmilsze!

²⁶ Góra Trzykrzyska — wzgórze w Wilnie, na prawym brzegu Wilejki. Na szczycie góry stoi pomnik — trzy krzyże, dawniej drewniane, obecnie betonowe, według projektu litewsko-polskiego architekta Antoniego Wiwulskiego.

²⁷ Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne „Edukacja”.

Wieczór. Kalendarz bólu w sercu mówi: dziś zaczął się trzeci miesiąc od chwili, gdy zabrano mi szczęście. A według innej chronologii dziś skończyło się dziewięć tygodni. Za chwilę zamkniemy okiennice. Wkrótce z różnych stron rozlegnie się miarowy oddech dzieci. Czy wtedy dochodzą do Ciebie moje wołania? Tyle Ci zawsze mówię, tyle przesyłam uczuć i pragnień, że chyba nie giną po drodze.

Chcę Ci dziś opowiedzieć o Dyziu. Nie wyobrażasz sobie, jak ten chłopak zmienia się ku lepszemu z każdym dniem. Serdeczny, subtelny, wyręcza mnie, w czym tylko może. A co mnie ujmuje najwięcej, to istotna jego tęsknota za Tobą, Rusieńku. To dziecko naprawdę kocha Cię. Cała nasza gromadka nawet nie wiedziała, jak drogi jej jest „robiący burzę” Tatko. Pamiętasz, Złotko, „aby nadążyć!”? Kochany!

13 IX

Godzina 5.15. Hop, hop! Dzień dobry, Ukochany. Śniłam Cię dziś. Taki miły i serdeczny byłeś — jak zresztą zawsze. Całuję Cię mocno. Oby dzień dzisiejszy same dobre chwile Ci przyniósł.

A teraz dobranoc! Dzień znów był bardzo pełny. Kościół. Okienko więzienne. Porządkowanie w domu. Obiad. Odwiedziny chorej Renulki. Adwokat (mówi, że jest zbyt uczciwy, by brać sprawę nie od niego zależną, ale zapewnia, że ponieważ do żadnej organizacji nie należałeś, wrócisz do nas z całą pewnością). Potem Krzyżañscy, którzy są bez grosza i którym trzeba było zanieść trochę forsy. Policja kryminalna — rozpoznawanie rzeczy odebranych złodziejom: naszych jeszcze nie ma. Kolacja. Czytanie z dziećmi. Pacierz.

Oczy kleją się. Ty chyba też już złożyłeś główkę na małej poduszeczce. Dobranoc, śpij, nasz Tatuleńku!

14 IX

Późny wieczór. Dzień był bardzo wypełniony. Msza święta, potem Bank Antokolski²⁸, gdzie powiedziałam, iż nie mogę dłużej płacić składek za zmarłych. Później do Lili. Ciotka — umierająca — wypuścili jej z jamy brzusznej 1½ wiadra wody. Obecnie jest troszkę lepiej, ale słaba bardzo. Dalej Renuśka. Chora wciąż: silne bóle w piersiach, lekarz, nacieranie terpentyną, lekarstwa. Szkoła. Jutro Rada Pedagogiczna w sprawie rozpoczęcia roku szkolnego. Obiad. Później do pani Plewińskiej, która leży przeziębiona. Znów do Renuli — temperatura podniosła się. W domu — przykrość. Jak zwykle, „nagle”, okazuje się, że Zbyszek do ostatnich granic zniszczył: wysokie buty z cholewami, ciepłe buty sznurowane, wiatrówki i nie ma co włożyć na nogi. Pan Kazimierz jest chory. Skóra niesłychanie droga, więc rozbeczałam się, nazwałam go bandytą, który nie ma na grosz litości i zamierałam jeszcze nagadać mu, kiedy przyszła pani Pietraszunowa. Pocziwa kobiecina trochę uspokoiła mnie, posiedziała parę godzin, wypila herbaty i poszła do domu. Pacierz. Nowenna do św. Andrzeja Boboli. Dzieci śpią. Dziś tak mi smutno, tak boli dusza. Rusieńku, co będzie z nami?

15 IX

Najlepszy, najukochańszy mój! Jutro rozpoczyna się rok szkolny. Oby Bóg strzegł nas wszystkich i działwę miał w opiece. Renuś wciąż bardzo gorączkuje. Znów natarłam ją, ale jestem bardzo niespokojna. Dziś Zbyszek przyszedł do mnie na dłuższą pogawędkę — mówiliśmy bardzo szczerze. To dobry chłopak, Rusieńku, musimy tylko traktować go bardziej miękko, bo to nie Ty, mój granitowy, złoty!

Dobranoc, Mężusku kochany! Daj, przytulę Cię do siebie — ot tak! — Śpij, niech Bóg czuwa nad Tobą. †

²⁸ Bank Antokolski — Chrześcijański Bank Spółdzielczy na Antokolu, istniejący od 1924 r.

16 IX

Rozpoczął się rok szkolny. Dużo dziś było przeżyć. Pan Galinis okazał mi dużo zrozumienia i dobroci. Dzieci — miłe i serdeczne. Matki dzieci szczególnie wzruszały swym stosunkiem. Znów szkoła — aż rwie się wszystko do pracy we mnie, a tu — nieustanny własny ból. Gdybyś Ty był przy mnie, ile można by zrobić! Rusiu! Jutro napiszę więcej. Pan z Tobą.

[...]

17 IX

Za chwilę wyruszymy do swych szkół. Dyzio wyruszył już pół godziny temu. Zbyszek jeszcze nie pójdzie, bo jego gimnazjum nie rozpoczęło pracy. Najspokojniejszą jestem o naukę Dusi, bo jest naprawdę pod dobrym kierunkiem. Ada nauczy ją pracować z całą pewnością. Jasia czuje się w swym gimnazjum samotnie. Wczoraj przytuliła się do mnie:

— Mušku, ja teraz będę z Mušką bardzo szczerą — bo tak mi tam w szkole jest obco.

[...]

18 IX

Nie gniewaj się, Ukochany, że mało dziś napiszę. Fala tęsknoty i rozpacz z nową siłą uderzyła we mnie. Nie przypuszczałam, że można tak przywiązać się do kogoś jak ja do Ciebie — i tak straszliwie tęsknić.

W nocy ktoś usiłował otworzyć okiennice do nas. Czuwaliśmy przy świetle na zmianę ze Zbyskiem. Ale oni jakoś nie bali się nas: przez kilka godzin kręcili się koło domu. Rušku, wszystko jest nieważne — tylko Ty. Gdzie jesteś? Kiedy zobaczymy się?

19 IX

Dziś śniłam Cię: byłam u Ciebie w więzieniu, rozmawialiśmy. Byłeś pogodny, opanowany, bardzo serdeczny. Zrobiło mi się o wiele lżej na sercu. Gorąco modliłam się w kościele. Teraz zjedliśmy

śniadanie i za chwilę wyruszamy do szkół. Jeszcze tylko spojrzę Ci w oczy — ot tak. Niech Bóg Cię ma w swojej opiece, Jedyny! Będę dziś wystrzegała się przygnębienia i rozpacz.

Wieczór. Przed chwilą wyszli Edkowie. Byli pogodni, mili. Dzieci są w nich rozkochani, więc kolacja minęła bardzo sympatycznie. Jak to dobrze, że oni się pobrali. I to przecież Ty właśnie chciałeś małżeństwa naszej najstarszej, rozumiejąc, że to na nią dobrze wpłynie. Nie omyliłeś się, Kochany. Czuję, że niedługo **musimy** znów siedzieć przy naszym okrągłym stole, ale już wszyscy **razem**. Tatuśku nasz! Jakie to będzie szczęście. Bóg go nam nie odmówi. Dziś jeszcze na odległość mówię Ci: „Dobranoc, Radości, Szczęście moje!” †

20 IX

Rusieńku! Czy Ty czujesz w danej chwili moje myśli o Tobie? Cały dom śpi. Patrę na Twoją fotografię — czy śpisz? Niechże Cię Pan Bóg obroni przed wszelką przykrością tej nocy. Kocham, tęsknię, chcę panować nad sobą, tylko bardzo, bardzo to trudne. [...]

21 IX

Woźny naszej szkoły opowiadał mi dziś, że tej nocy bardzo dużo karetek więziennych pełnych jechało na dworzec kolejowy. Wracaly puste. Nie umiem opanować się wewnątrznie... Rozpacz bez granic bierze mnie w swe panowanie. Bez Ciebie — to nie jest życie! Rusiu, mój Ty Rusieńku!

22 IX

Wczoraj szkoła urządziła pieszą wycieczkę do Puszkarni²⁹. Zmęczyłam się bardzo. Dziś wypaliliśmy się porządnie. Po obiedzie chodziliśmy złożyć życzenia babci Siemaszkowej. Zawsze

²⁹ Puszkarnia — urwisko nad Wilejką będące okazałym pomnikiem przyrody. Z platformy widokowej roztacza się widok na Wilno.

pamiętałeś o tym dniu, Kochany. Jutro idę do komisarza dowiadywać się o Ciebie. Jedyny, jak serce boli!

23 IX

Wstałam o godzinie 4 rano i przy świetle księżyca i gwiazd wyruszyłam do GPU³⁰, by zająć kolejkę, dotrzeć do zastępcy komisarza Kozłowa Abramowicza i zasięgnąć informacji co do Twojej sprawy. (Moja litera jest w poniedziałki, a już od 2-ch tygodni nie byłam. Przed 2 tygodniami stałam kilka godzin i nie zostałam przyjętą, a ubiegłym poniedziałkiem był początek roku szkolnego). Na dziś zwolniłam się ze szkoły. Po 4 godzinach oczekiwania wyjaśniło się, że dziś przyjęcia interesantów nie będzie. Poszłam pod gmach na Łukiszki. Tam dowiedziałam się, że jesteś, wpłaciłam na Twoje konto trochę centów³¹. Czy będzie już kiedy inaczej?

[...]

25 IX

Moje najmilsze Kochanie! Wczoraj dowiedziałam się, że nie jestem przyjęta do Związku Zawodowego. Galinis obiecał interweniować — zobaczymy, co wyjdzie. Byłoby przykro. Wczorzem była ciotka Siemaszkowa. Lubię ją szczególnie za to, że Ciebie tak kocha. Za chwilę ruszamy wszyscy do szkół — Dyzio już pobiegł, bo on na 8-mą. Dziewczynki splukują naczynie po śniadaniu. Zbyszek siedzi ze swym gołębiem. Oswoił jednego i ten wlatuje nam przez okno, wchodzi mu na kolana i gruchając sobie. Straszna mgła za oknem. U Was chyba zimno i wilgotno. Żebyś odczuł, jak o Tobie myślę! Nic a nic innego nie zajmuje myśli. Och, jakże tęskno, Kituśku!

Dziś nowa niespodzianka: oznajmiono nam, że już nie będzie dla nas godzin przyjęć w GPU. Jeżeli Wy zażądacie jakich rzeczy, zawiadomią nas i będziemy mogli je przynieść. Informacyj udzielać nie będą. Udało się w okienku wpłacić na Twoje imię

³⁰ Ros. Государственное Политическое Управление — Państwowy Zarząd Polityczny; policja polityczna.

³¹ Cent — waluta litewska: 100 centów składa się na 1 lit.

.....

kilka groszy. Obecnie to jedyny pozostawiony sposób kontaktu. Wydaje mi się, że otrzymując pieniądze, wiesz, że żyjemy i tu jesteśmy. Kapie deszcz — smutno, oj, jakże smutno na sercu!

[...]

26 IX

Mój Przyjacielu najmilszy! Ciężko mi bardzo. Może kiedyś opowiem Ci, jak bardzo bolą dodatkowe rany zadane przez człowieka bliskiego. Ale — bądź wola Twoja.

27 IX

Do Związku nie przyjeźli. Dziś składam jeszcze jedno podanie. Sił fizycznych coraz mniej. Moralnie czuję się tak jak nigdy w życiu. Odbija się to na wszystkim. Domku naszego nie umiem już zmontować, jak się należy. Z całą pewnością musi to być moja wina, a nie dzieci. Jestem niesprawiedliwa, zła... zresztą to od dawna wiedziałam. Oj, Ruśku! Jak żyć? Jak żyć?

Wieczór. Zdaje się, że z pracą koniec. Dziś Galinis napomknęła, że 1-go wszystkim wymówią i każą składać podania na nowo. Czy zaangażują — jeden Bóg wie. Wszystko zdrożało prawie w dwójnasób.

29 IX

Dziś weselej jest na duszy!

[...]

1 IX [!]

Przekonałam się, że gdy tęsknota dochodzi do zenitu, nawet pisać jest trudno. Spać nie mogę. Dziś całą noc czułam niewątpliwy ból w lewej ręce, przedramieniu i ramieniu. Przechodził w czwarty palec. I jak na jawie wciąż słyszałam Twój smutny głęboki głos: „Tak mnie oto tu boli”. Nikt mi tego nie mówił, ale wiem, czuję, że cierpisz znów na zapalenie nerwu. A tak chłodno bywa nocami. Nie mogę dać Ci koca, bo nie przyjmują. Rusieńku, z tęsknoty można zwariować!

2 IX [!]

Teraz na Łukiszkach dla politycznych więźniów przyjmują tylko w poniedziałki i w czwartki — akurat w dni, kiedy ze szkoły wyrwać się trudniej. Toteż jutro pójdzie Wanda zanieść naszemu Tatulkowi lita i dwie pary skarpetek. Cała uwaga, cała siła napięcia nadziei skoncentrowana jest obecnie na 17-tym — dniu święta sowieckiego. Może wtedy Was zwolnią? Już uśmiechać się chyba nie umiem, tylko gdy trzeba, naklejam na twarz jakiś grymas. Rusieńku, Mężusku!

3 IX [!]

Dziś, Kochanie, jest dzień św. Tereni od Dzieciątka Jezus. Wróciłam niedawno ze mszy świętej. Za chwilę wyruszamy do naszych szkół.

[...]

Przed godziną wyszli Edkowie. Znów było miło, pogodnie, wszyscy myślą wciąż przenosiliśmy się tam do Ciebie. W szkole czuję się nieszczególnie. Jest potworna martwota: nic, ale to nic nie ma pracy. Jest tylko nauczanie i to problematyczne, bo bez podręczników i pomocy naukowych. Nie ma społeczeństwa szkolnego, nie ma prawdziwego wychowania. Czytam *Педагогическая поэма* Makarenki³². To jest coś dla mnie. Ale czy będzie można tak pracować?

4 IX [!]

Nowy dzień zaczął się... Co przyniesie? Mamy dość duże trudności materialne, bo pensji jeszcze nie wypłacają. Wyobraź sobie, że zaginął gdzieś wysłany z Kowna order na wypłatę poborów. Szukają i znaleźć nie mogą. A tu już dość trudno robi się. Kolektyw obiadowy też cienko śpiewa. Ano na 2–3 dni chleb

³² Antoni Makarenko (1888–1939), *Педагогическая поэма* (Poemat pedagogiczny), 1933–1935.

jeszcze będzie można kupować, a dalej z całą pewnością polepszy się sytuacja. Chcę koniecznie pchnąć dalej swą książkę. Dwie tylko sylwetki mam dotąd wykończone. Obecnie pracuję nad trzecią — wiesz ten Olek Kwiatkowski. Niełatwe to zadanie, ale bardzo mi na tym właśnie rozdziale zależy. Pa, Najmilszy! Już za chwilę idziemy do szkoły. Dyzio wybiegł już przed przeszło pół godziną. Ile mi to dziecko serca okazuje — trudno opisać. Babcia nieraz wracając z ogrodu, dzwoniła mocno dwa razy — tak jak Ty. Zauważył chłopak, że mienię się na twarzy i zamieram, czekając na to, kto przyszedł. Przed kilku dniami wyskoczył i cicho zaczął perswadować babci, by dzwoniła inaczej. Staruszka obraziła się, tupiała nogą, wołała, że bezczelny. Ze swego pokoju słyszę, jak Duśka każe Dyziowi iść przeproszać. A ten z całą stanowczością:

— Ja zawsze tak zrobię! Czy nie widzicie, jak mamusia wygląda? Ktoś musi się o nią troszczyć.

Nie znaczy to, że reszta dzieci niedobra. Jasia na przykład bardzo stara się. Zbyszek, nasz fujara, miał ze mną kilka krótkich spięć — głównie na tle niszczenia ubrania, bo to mnie teraz do szafu doprowadzić może. Wanda nasza biedna.

[...]

5 X

Kochanie nasze! Sobota, święto rodzinne Ilgiewiczów, a u nas tak pusto: dziewczynki pracują jeszcze w naszym kolektywie. W domu tylko ja z Dyziem, który przed chwilą wrócił ze swych warsztatów. Zbyszek poszedł do pana Mączyńskiego, który zajmie się sprzedażą małego zegarka. Żal mi go sprzedać, ale kartofle drożeją z dnia na dzień — trzeba kupić choć 30 pudów³³, a z pensji wczoraj otrzymanej już niewiele zostało po opłaceniu mieszkania, obiadów, zapomogi młodym Csató i kilku długów. Trzeba też zaopatrzyć dziewczynki i Natkę w mufki, bo już teraz puchną palce, uzupełnić zapas drzewa. Kupić trochę tłustego — o to obecnie coraz trudniej — no i kaszy, fasoli itd. Obuwie całej gromady również wymaga gwałtownej naprawy.

³³ Pud — dawna rosyjska jednostka wagowa. 1 pud = 16,38 kg.

Moje zelówki są całkiem ażurowe. Nie gniewasz się za sprzedaż, Rusieńku? Muszę to zrobić — nie wydajemy naprawdę na głupstwa, ale tak trzeba. Pensja jest trochę podwyższona, lecz ceny podskoczyły o wiele wyżej niż wzrost pensji i w rezultacie — nasza krzywda. Ale to nic! Oby tylko Rusieniek nasz prędko wrócił! Kochany, złoty!

6 X

Tatulko nasz! Świeci słońce, ciepły jesienny dzień. Na mszy świętej byliśmy wszyscy w Ostrej Bramie. Po śniadaniu dziewczynki poszły na dyżur gospodarstwa domowego do naszego kolektywu. Ja trochę popisałam. Usiłuję opracować sylwetkę jednego z chłopców — tego Olka Kwiatkowskiego, co razem z nami był w Wielki Czwartek w kościele. Pamiętasz? Nie bardzo to łatwe zadanie. Ale może w tym tygodniu dobrnę z nim do końca. Potem poszłam pod więzienie. Stałam tam ze dwie godziny. Choć bliżej od Ciebie — wydawało mi się, że czujesz moją bliskość. Dużo było kobiet: dziś dzień dla więźniów kryminalnych. Tyle sympatycznych twarzy wśród nich. Wracając, wpadłam do Lili. Ciotka dogorywa: jutro znów będą jej wypompowywać wodę z brzucha. Taka słabiutka i zawsze miła. Stasia natomiast robi niepokojące wrażenie. Co z tej dziewczyny wyrośnie? Teraz po obiedzie chcę na chwilę wpaść do Krzyżańskich, dowiedzieć się, jak robić powidła z harbuza. Bo trzeba koniecznie zaopatrzyć się trochę na zimę. Potem pójdę do kaplicy sióstr urszulanek. Wydaje mi się, że w przyszłym tygodniu wrócisz do nas. Tak u nas ładnie, słysząc świergot ptaków, pokój nasz pełen słońca. Siedzę przy swym biurczku, przy którym lubiłeś mnie widzieć. Za te trzy miesiące włosy mi tak bardzo zbieleły. A Twoje? Ruśku najdroższy! Tak chcę dać Ci dużo, dużo pogody, troskliwości, zrozumienia i miłości. Wróć tylko, Kochany, wróć czym prędzej.

7 X

Panika „zapasowa” w mieście. Ceny podskoczyły o 100%. Mnie to martwi, bo wieśniacy nie wiozą kartofli. A to przecież podstawa naszej egzystencji zimą. Tłuszczy bardzo trudno kupić.

Pocziwa Świrska obiecuje jutro zostawić ze trzy kilogramy, bo dzieci aż przezroczyste zrobiły się. Odżywienie jest obecnie niewystarczające.

Wczoraj i dziś trwa agonia biednej pani Tymińskiej. Męczy się potwornie. Chodzimy tam pomodlić się. Rzęży, cierpi **okropnie**, ale jest przytomna. Dziś wpadł Władek Wróblewski, mój były uczeń. W sobotę zwolnili go z Łukiszek. Opowiadał, jak Wam tam ciężko. Ruśku, jakie smutne życie dla wszystkich!

8 X

Długi, długi dziś był dzień. Była ciemna noc, kiedy wybrałam się kupować ziemniaki. Kupiłam 32 pudy. Pocziwa Stasia urządziła zamianę piwnic, tak że teraz mamy jasną i przewiewną. Potem kościół św. Kazimierza. Odwiedziłam Bartoszewiczową i kupiłam u niej trochę wędlin. Podczas wolnej godziny szkolnej skoczyłam na Rudnicką i nabyłam parę kilo kaszy, fasoli i makaronu. Po obiedzie ze Zbyszkim transportowaliśmy to do domu. Poza tym — oprócz spraw aprowizacji — widziałam się z kilku żonami, mężowie których są na Łukiszkach. Tak nam smutno: żadnych wiadomości. Wiemy, że zwolnili jednego z urzędników kuratorium Ostrowskiego. Żona jego jest nauczycielką szkoły powszechnej. Bardzo ładna pani. Ale zobaczyć ją albo zwolnionego jest niemożliwością — chowa się przed ciekawością naszą. Kiedy Ciebie wypuszczą? Za co trzymają? My z Tobą — wrogowie ludu? Co za ironia losu! Rusiu! Muszę być silną, ale tak to trudno. Łamię się wewnętrznie coraz mocniej. Ale nie wolno. Gdy wrócisz, powinnam być jasną i pogodną! † Pa, Ruśku.

9 X

Wczoraj zmarła pani Tymińska. Leży cicha, taka piękna i dostojna. Chciałam posiedzieć przy niej tę noc, ale mam dość wysoką temperaturę, więc położę się. Jutro msza święta w Ostrej Bramie na Waszą intencję. Trzeba bardzo wcześnie

wybrać się z domu. A po dwóch lekcjach Galinis zwolni mnie i pójdę pod Łukiszki. Może jutro przyjmą koc dla Ciebie, Złotko Ty moje.

Dziś imieniny Dyzia. Dostał trochę drobiazgów i chodzi rozpromieniony. Dałam mu paczuszkę landrynek. W szkole rozwijam swoje śniadanie, a tam już są słodkie podrzutki. Dobrze to dziecko. Tak troszczy się o mnie, że nieraz aż łzy stają w oczach. Tu rywalizuje z naszą Jaśką, która ogromnie stara się. Starszyzna różnie sobie postępuje. Jestem dla nich bardzo wymagająca, żeby czuli mocną rękę. Prawda, że tak trzeba, mój Pestalozzi³⁴?

[...]

11 X

5-ta rano. Za chwilę idę do kościoła św. Kazimierza na mszę świętą do Andrzeja Boboli za Ukochanego. Zaczął się 14-ty tydzień naszej udręki. Jedyny, cudny Ty mój! Wczoraj zaniósłam Ci koc, mydełko i parę litów. Czy je już masz?

12 X

Mam chorą rękę w bandażu, więc dziś tylko kilka słów do Ciebie kreślę. Rusieńku, moje Ty Kochanie!

15 X

Ukochany! Dziś nasz jubileusz: dzień, w którym poznałam Ciebie. Wiem, że myślę jeszcze więcej niż zawsze ze mną jesteś. Ja ani na chwilę nie odchodzę od Ciebie, Rusieńku! Jaki Pan Bóg dobry, że spotkałam Ciebie w swym życiu! Cierpienie obecne mimo wszystko słodkie jest, bo z Tobą związane. Niech Ci Bóg wynagrodzi wszystko, co Tobie zawdzięczam. Dziś już palec dochodzi do normy: przeżyłam kilka dni wielkiego niepokoju, kiedy wydawało się, że trzeba będzie rozpiłowywać obrączkę,

34 Johann Heinrich Pestalozzi (1746–1827) — szwajcarski pedagog i pisarz; twórca pierwszej teorii nauczania początkowego.

na co za nic zgodzić się nie chciałam. No i obeszło się bez tego, choć bolało bardzo. Byliśmy u Reny, pani Kalkstejnowej i pani Staniszewskiej. Ruśku mój! Wiem, że niedługo wrócisz do nas, nie wątpię i tylko proszę Matkę Najświętszą, by po Twym powrocie już nigdy nie martwić się niczym. Ty jesteś moim życiem i szczęściem!

18 X

Mało piszę ostatnio do Ciebie, Jedyny! Opanowała mnie na nowo depresja. Nocami podobnie³⁵ jęczę i krzyczę, aż biedna babcia przerażona przybiega posłuchać, czy żyję jeszcze. Na Łukiszkach nowe zarządzenie, pieniądze wolno Wam przynosić tylko 1 raz w miesiącu. Nawet i ten łącznik między nami rozluźnia się. Tak cieszyło mnie, że jakaś iskierka wiadomości dochodzi do Ciebie, że wiesz, iż ktoś z nas był.

[...]

19 X

Taki ciężki dziś dzień. W szkole dużo nowych chłopców, co utrudnia bardzo pracę. Ogólny nastrój wielkiego rozprężenia opanować bardzo trudno. Na przerwie w „Gazecie Komsomolskiej”³⁶ przeczytałam artykuł pt. *Tajemnica Komunii Świętej*. Zrobiło się bezgranicznie smutno. Czyż ludzi nigdy nie nauczą się szanować uczucia i poglądy innych ludzi, myślących inaczej niż oni? Czy istotnie jest tak ważnym zwyciężać w wymianie zdań — nawet kosztem bryzgania błotem. Pamiętasz, jak bolały nas z Tobą metody endeków, potem taktyka Cat’a?³⁷ Dziś — takie artykuły. Oj, ludzie! Kto was zmieni? Jakie szaleństwo myśleć, że ustrój ten lub inny potrafi ujarzmić i uszlachetnić siedzące w nas zwierzę! „Ustrój” rodzin i wychowania dzieci bywa tak starannie ułożony i obmyślony, a jednak tylko część

³⁵ Podobnie — podobno.

³⁶ „Komsomolska Prawda” (ros. „Комсомольская правда”) — rosyjska gazeta wydawana od 1925 r.

³⁷ Stanisław Cat-Mackiewicz (1896–1966) — prawnik, wydawca i pisarz; konserwatywny publicysta polityczny.

natur dostosowuje się doń i korzysta. Weźmy naszą gromadkę. Na Jasię i Dyzia mam niewątpliwie wpływ. Dużo też od nich doznaję pociechy. Brak systemu i obowiązkowości naszego Zbyszka wiernie trwa przy nim — jak cień nieodstępny. Dobry, krańcowo egocentryczny, lecz nie egoistyczny, bezwolny optymistą, z głęboką wiarą w „jakoś tam będzie”. Nic nie potrafiłam w nim zmienić! A Wanda? [...] Ona nie mieści się w tej atmosferze, w jakiej żyć musi. [...] A przecież niewątpliwie kocham to trudne dziecko bardzo. W nocy często długo patrzę na jej śpiącą mordeczkę.

20 X

Ukochany! 15-ta niedziela bez Ciebie. Kocham Cię z każdym tygodniem coraz więcej. Oto teraz siedzę przy swym biurku, piszę i spoglądam w kierunku, gdzie znajdują się Łukiszki — tam jest mój świat.

[...]

22 X

Wczoraj przeleżałam w łóżku wobec temperatury i bólu gardła. Dziś już jest o tyle dobrze, że pracowałam normalnie. Była pani Rodziewiczowa, biedna ona i bardzo zmęczona. Chce nam dać kartofli i każe przyjść po nie chłopcom. Taka dobra i swoja. Jadzia przysłała kilkanaście główek kapusty — też bardzo cieszymy się z nich. Jutro — sesja Rady Pedagogicznej w sprawie święta 7 listopada. Czy do tego czasu wypuszczą Ciebie? Rusieńku, najdroższy mój!

23 X

Godzina 20-ta. Wysłałam z domu o 7.30, wróciłam przed chwilą, bo po lekcjach zaraz był obiad, a potem Rada Pedagogiczna. Zmęczona jestem szalenie. Ale to nic — oby tylko wiedzieć, że Ty wrócisz niedługo.

[...]

24 X

Rusieńku! Dziś jest czwartek. Więc chyba już dotarły do Ciebie rzeczy przesłane: skarpetki, kalesony i mydło. Tak bardzo, bardzo zawsze cała nasza gromada przeżywa przesyłanie Ci przedmiotów — tyle do nich przyczepia się myśli i uczuć naszych.

Już jest mróz. Wstawiamy podwójne ramy. Na nich napisy zrobione Twoją ręką. Przeżywamy to mocno. Bardzo Ciebie kochamy, nasz Tatuńciu! †

Rusieńku! A może tak trzeba? Może człowiekowi nie należy się zbyt dużo szczęścia na ziemi?

25 X

Z ogromnym trudem dowlokłam się dziś do szkoły, jakoś przemęczyłam się przez 5½ godzin, wróciłam do domu i obecnie, gdy tylko przygotuję materiał na jutro, położę się. Och Rusiu mój, Rusiu, jak beznadziejnie ciężkie i twarde jest życie. Gdy się jest chorym i zmęczonym — dopiero można je zrozumieć! Ciebie nie ma przy mnie. Czuję się jak samotny, nikomu niepotrzebny pies. Tak mi pusto, taka strasznie sama jestem. „My i oni”. Nie, Ruśku — dwa pokolenia razem jednak nie potrafią stać we wspólnym „my”. Jest zmaganie się w bezsilnej męce, niezadowolenie, upór, w najlepszym wypadku zewnętrzne dostosowanie się — nic więcej. Nie ma przywiązania, zaufania, prawdziwej serdeczności. A raczej — jest, tylko inne, niż my chcemy. Jestem nerwowa zmęczona i dlatego często wymagam zbyt dużo, a przecież dzieci też są przemęczone. Muszę, muszę wziąć siebie w ręce. Pół klasy w szkole jest takich, co nie umieją czytać — znaleźli się cudem w klasie V. Kilku wariatów. Część — przemili chłopcy, ale obecnie wykołajeni. Co ja im dać mogę? Jestem zerem. Och, Ruśku mój!

28 X

Kilka dni przeleżałam z dość wysoką temperaturą.

[...]

29 X

Ukochany, Przyjacielu Ty mój najbliższy! Pisałam dziś rozdział swej książki dotyczącej życia nauczycielki. Wzięłam jedną z naszych z Tobą rozmów, jaką prowadziliśmy raz u pocztowego [...] rala. Pisząc, jeszcze dobitniej uświadomiłam sobie, czym Ty jesteś dla mnie, czym jest nasza przyjaźń, nasze wzajemne uczucie. Mój cudny, bliski, jakże bardzo drogi Rusieńku! Kocham Cię nad życie.

Po kolacji. Bardzo jestem niespokojna. Dyzio nie wrócił dotąd ze swego terminu. Nigdy mu się to nie zdarzało. Bardzo boję się o tego chłopca. Co mu się stać mogło? I nie ma gdzie się dowiedzieć aż do rana, bo warsztaty są zamknięte. Nie wiem, gdzie mieszka ani jak się nazywa jego majster. Boże, chyba nie jakieś nieszczęście! On czasem wskakuje w bieli.

O, właśnie wpadł jak burza, szczęśliwy, radosny. Wyrabiają mu książkę pracy. Wziął 10 centów i popędzili ze Zbyszkciem do jakiegoś komisariatu po tę książkę. Ano, chwała Bogu — już o to dziecko spokojna jestem: będzie miało fach w rękę i zapewniony chleb. Jakiś Ty dobry, jaki dobry, że poradziłeś go wziąć do nas. Rusieńku mój!

31 X

Jutro Wszystkich Świętych! Oj, Ruśku, mój Ruśku. Gdy pomyślę, że przed trzema laty na ten dzień dobrowolnie wyjechałam do Warszawy, aż łzy dławią. Czyż choć na sekundę chciałabym od Ciebie odłączyć się?

Słoneczko Ty moje! Czy dziś czułeś, jak stałam pod więzieniem? Było tak potwornie zimno w nogi, że aż skręcało. Ale myślałam sobie: „To dla mego »Niebieskookiego«”, i zaraz cieszyłam się, że można cierpieć dla Ciebie. Zaniósłam jedynie dwie chustki do nosa. Tak chcę, by lekki zapach wody kolońskiej, który unosi się w nich, powiedział Ci o nas.

Zbliża się święto rewolucji. Czy będzie amnestia dla Was? Bóg Miłosierny lepiej wie od nas. Dobranoc, Skarbie! †

2 XI

Zaduszki! Byłam dziś na 3-ch cmentarzach i u Biskupa³⁸ w katedrze. Tak ładnie i rzewnie. Cmentarzyk wojskowy był głęboko wzruszający: biało-czerwone chorągiewki na każdym grobie i śliczne, skromne światełka. Warta z młodzieży przy płycie. Tłumy, tłumy. Rusieńku, Jedyny, Ty dziś myślą szukałeś nas w tym tłumie — czuję to. Kochany, cudny nasz.

Zbyszek nie mógł iść, bo miał zebranie klasowe. Dyzio został na gospodarstwie. Poszłam więc z dziewczynkami. Zachowywały się bardzo dobrze. Wanda od wczoraj w ogromnie podniosłym nastroju: miała wczoraj jeden ze swych napadów cichego buntu i zaciętego złego nastroju. Już dochodziło do krótkiego spięcia między nami, bo zapowiedziałam, że o ile w ciągu 5 minut nie roz pogodzi się, zostanie ukarana. Patrzę — ta sama zła twarz. I nagle — ciepły błysk w oczach i Duśka mówi:

— Dość już złego nastroju, Muśku, już nie dąsam się, już będę pogodną.

Kosztowało ją to ogromnego wysiłku — po ½ godzinie jeszcze przyznała mi się, że łydki jej drżą i ręce zimne są, tak naprężone były nerwy w chwili decyzji opanowania się. A jednak udało jej się! Właściwie, to pierwsze Dusi prawdziwe zwycięstwo nad sobą. Pomógł, zdaje się, i ksiądz Tołłoczko³⁹, u którego rano spowiadała się. A poza tym od przedwczoraj mamy w domu obraz Serca Pana Jezusa. I wydaje mi się, że w myśl Jego obietnicy, że będzie zyskał pokój dla rodzin, gdzie ten wizerunek będzie czczony, uczynił to. Rusieńku, czy czujesz Jego Miłosierdzie na sobie? Kochany, kochany nasz!

4 XI

Dziś są imieniny pani Csatowej, matki Edka. Po obiedzie poszłam więc z młodymi na Zwierzyniec. Byli bardzo serdeczni i mili. Nikogo oprócz nas nie było. O mały włos nie zrobiłabym

.....

³⁸ Zapewne ks. biskup Jan Cieplak.

³⁹ Ks. Leonard Tołłoczko — ksiądz rzymskokatolicki w archidiecezji wileńskiej.

brzydkiego kawału. Gdy siadłam przy stole na kanapie, stanęło mi przed oczyma to popołudnie, kiedy byliśmy u nich razem z Tobą i pierwszy raz w życiu zrozumiałam, że można wyć z bólu moralnego. Wiesz, naprawdę wyć zachciało się. Opanowałam się, oczywiście. Rusieńku, ja całymi dniami gram kome-dię wobec ludzi i samej siebie. Mówię, pracuję, uśmiecham się nawet, ale ani na chwilę nie ustaje ten ból. Ty naprawdę jesteś moim życiem. To nie frazes miłosnego uniesienia, to prawda. Treścią wszystkiego, szczęściem moim, wszystkim jesteś, Rusiu.

[...]

5 XI

Kochany nasz! Znowu kilka osób zostało zwolnionych. Nerwy nas wszystkich są napięte do ostatnich granic. Kiedy? Czy...? Mój Boże, mój Boże, jak bardzo Cię widzieć w domu pragnę!

Późno wieczór. Chcę Ci jeszcze opowiedzieć naszą dzisiejszą przygodę. Teraz w mieszkaniu świętej pamięci pani Tymińskiej mieszka litewski podoficer z żoną i małym synkiem. Podczas kolacji słyszymy od nich płacz dziecka. Wzmaga się z każdą chwilą i przechodzi w jakiś ryk. Po dłuższej chwili zrozumieliśmy, że mały jest sam w domu. Położyli go i wyszli, a on obudził się. Trzeba było odsuwać kredens i otwierać drzwi. Zaprzyjaźnił się z nami — miły i mądry dzieciak. Ciekawa była nasza rozmowa — uczył nas po litewsku. Na pytanie, czy chodzi do kościoła, odpowiedział, że dawniej chodził, teraz nie, bo „tu blisko nie ma ładnego kościoła”. Był u nich duży obraz Pana Jezusa, ale teraz schowali, bo „mają przyjść złodzieje”. Biedni ludzie — widać wstydzą się dziecka. Rusieńku mój!

Dziś Dyziek otrzymał pierwszą swoją wypłatę. Przyniósł duży bochenek białego chleba, bo koniecznie chciał za pierwszy zarobek kupić chleba. Miły i dobry to chłopiec. Pa, Rusienieczku mój! †

6 XI

Z godziny na godzinę rośnie niepokój i zdenerwowanie: wypuszczą czy nie? Zaczyna ujawniać nastrój zbliżony do rozpacz.

W szkole trzymałam się dzielnie, ale po akademii po powrocie do domu trochę złamałam się. Za co Cię męczą, mój jedyny, kochany, biedny? Ale jeszcze czekam!

7 XI

Rano w żaden sposób nie mogłam dostać się do więzienia. Od ul. Tartaki było już blisko, a jednak nie puszczono. Po obiedzie ruszyłam znowu. Stałam długo przed tą ciężką żelazną bramą wraz z gromadą innych kobiet. Siostry moje! Rusieńku, żadne kobiety nie były mi tak bliskie jak te. Niektóre łamią się po prostu. Jedna ma tam za kratą i męża, i syna. Mówiła dziś z nami, nawet uśmiechała się i nagle twarz jej skurczyła się i taki dziecinny szloch wyrwał się z gardła. A oczy tych kobiet! Ile cichego bólu i gorącego pragnienia, by ktoś choć iskrę nadziei im dał. Wiesz, Kochanie, że nie umiem już modlić się tylko o nas — proszę Boga o wszystkich. Czy słysząc było dziś u Was muzykę i okrzyki?

8 XI

Znowu kilka godzin przed więzieniem, by usłyszeć niechętne: „Nikogo wypuszczać nie będą”.

9 XI

Przed chwilą wróciliśmy ze mszy świętej do Serca Jezusowego na intencję opieki nad naszą rodziną. Wszyscy byli u Stołu Pańskiego. Po śniadaniu biegnę znów na Łukiszki. Może dziś w sobotę czegoś lepszego można będzie dowiedzieć się. Wczoraj dowiedziałam się o tym, że 4-go zmarła ciotka Lili. Pochowana jest w Nowej Wilejce⁴⁰. Tak mi jej i Lili żal.

Wieczór. Byłam z dziewczynkami na nabożeństwie Opieki Matki Boskiej w Ostrej Bramie. Niezliczone tłumy ludzi. Tak ładnie i podniosłe było. Wierzę, wierzę mocno, że wróci nasza ojczyzna, że Ty, jedyny, będziesz z nami, rodzina nasza

⁴⁰ Nowa Wilejka — lewobrzeżna dzielnica Wilna. Leży nad Wilejką we wschodniej części miasta.

cała będzie prawdziwie katolicką rodziną. Wierzę, że dzieci będą naszą pociechą. Wanda stara się — trudno, oj, jak trudno naszej biedulce idzie, ale idzie. Ofiarowałam jej charakter Niepokalanej i nie wątpię, że da Ona sobie radę lepiej niż ja, nieudolna. Będzie nasza dziewczynka jaśniejsza i szczęśliwsza. Pa, Tatuśku! †

10 XI

Niedziela. Po rannej mszy świętej było rodzinne śniadanie, a teraz w myśl zarządzenia władz ruszymy do pracy.

[...]

Wieczór już. Znów straszne pogłoski, którym wiary dać nie chcę, że niby nas Polaków wywozić będą. Zwalczam, gdzie tylko te wieści słyszę, a sama w głębi serca drzę na taką myśl. Boże, zlituj się nad nami! Rusieńku, książka moja posunęła się na przód — mam już 7 rozdziałów. Czy spodoba Ci się? Tak mi brak mego doradcy, z którym mogłam omówić i opracować wszystko! Wiesz, Najmilszy, wydaje mi się, że nasza Renuś jest w ciąży: mdli kobietę, osłabiona, tajemnicza. Boże, daj jej siły i zdrowia. Jak ja Was wszystkich kocham! Nieraz na dzieci pogniewam się, ale są bardzo, bardzo drogie mi. Wandulka pracuje nad sobą: dziś kłamnęła sobie, potem sama do tego przyznała się. Matko, miej naszą rodzinę w swej opiece! Poleciliśmy naszą gromadkę Sercu Jezusowemu.

11 XI

Tak dziś smutno, Kochany! Wrogi, nieufny nastrój. W gimnazjum Zbyszka zapowiadają ostre represje. Chłopcy są zdezoorientowani. Ja boję się, żeby nie skrzywdzili naszego chłopca. Wiesz, jaki on żywy, wesoły i ciekawski — toteż nie puszczam go ani na krok od siebie: gdy spóźni się z gimnazjum o kilka minut, wprost miejsca sobie nie znajduję. Dziś w więzieniu pieniędzy nie przyjmowano. Tracimy już wszelką nadzieję na to, że Was prędko zwolnią. Jak ciężko i smutno żyć! Całe życie byliśmy przecież z tymi, kto pracował, a teraz znaleźliśmy się wśród wrogów ludu. Jaka ironia! Dziś nie pójde nawet na

nabożeństwo Opieki Matki Boskiej. Może kto sprowokować zatarg, a ja tak pragnę spokojnej modlitwy. Czy kiedykolwiek ludzi będą naprawdę braćmi?

Rusieńku! Dziś usłyszałam taką pogłoskę, że dużo więźniów wywieziono. Taki lęk, taka trwoga, Mężulku mój! Nie sądziłam, że może być taki straszliwy lęk. Kochany, kochany, mój Ruśku! Jak tu żyć? Za co nas tak skrzywdzili? Co komu zrobiłeś? Całe życie pracy, skromnej egzystencji, unikania zabaw, zbytków, dbania o lud... — i za to ta męka! Gdzież sprawiedliwość tych ludzi? A więc jest tylko to, w co wierzyć nie chciałam: jest tylko ich krwiożercza nienawiść? Więc żyć mają prawo nie ci z nich, co jak my z Tobą chcą pracować dla ludzi, tylko pochlebcy, donosiciele i krzykacze? A resztę mordują i niszczą? Czy to tak? Czyż naprawdę tak?

12 XI

Stan psychiczny nie da się ująć w słowa. Zupełny upadek ducha. Całą noc nie zmrużyłam oka. Wydawało mi się, że pukają do okien. Skoro bez najmniejszej winy zabrali Ciebie, mogą tak samo zabrać mi chłopaka. Już nie mam wiary w sprawiedliwość! Zwycięża donos, znęcanie się nad bezbronnością. A tak niedawno byłam pełna energii i chęci do pracy.

[...]

13 XI

Zwolnili kilka osób. Nie znam nikogo ani wiem, gdzie mieszkają, bo pobiegłabym wypytywać się. Wiem tylko, że wrócił mąż takiej rezolutnej blondynki uchodźczyni, co miała specjalne nabożeństwo do św. Antoniego. Wrócił we wtorek. Co Bóg nam da?

14 XI

Za chwilę idę na wiec nauczycielski. Wrócę pewnie późno. Jutro, jak tylko obudzę się, pójdę na 3-go Maja, bo obiecali nam, że będą dawali informacje o Was, naszych kochanych.

Rusieńku drogi! Mam wielkie trudności ze Zbyszkciem. On taki głupiutki, dziecinny i zakłamany. Wiecznie łązi po różnych ulicach, po Mickiewicza zamiast drogą ze szkoły, po ulicy głośno wyśpiewuje, naraża się przechodniom, nie chce pomóc nic w domu. Takie „cielęce lata”. Ale może nabawić się przez głupie dziecinady kłopotu. A ponieważ kłamie jak z nut nigdy niczego od niego dowiedzieć się nie mogę i żadnej rady nie usłucha. Tak niespokojna bywam i tak mi często jest smutno.

15 XI

Przez 20 minut szukali dziś Twego nazwiska w spisie więźniów i nie mogli znaleźć. Pobiegłam na ul. 3 Maja. Tam nic konkretnego mi nie powiedzieli — wydrwili. Znów na Łukiszkach pieńiądze przyjęli. Ale taka trwoga ściska serce, taki lęk. Teraz jest 2-ga w nocy. Modliłam się, płakałam dużo. Ruśku, mój jedyny!

16 XI

Dziś inny strażnik siedział w okienku i od razu znalazł Ciebie. Nawet — o radości! — przyjął czekoladę. Z rozpaczy — gwałtowny skok w szczęście. Mężusiu, czy Ty czujesz, jak Cię kochamy?

17 XI

Mój Bliski zawsze i Ukochany! Wiem i czuję, że wraz z nami wierzysz, iż — cokolwiek zsyła nam Pan nasz — ku naszemu dobru jest. Dziś spokojna jestem — nawet napisałam cały rozdział swej książki. Mam więc już osiem rozdziałów, czyli przeszło połowę zamierzonej całości. Chcę, byś mnie pochwalił, gdy wrócisz do nas.

Jutro wprowadza się do nas mały chłopak, krewny księdza Woytakiewicza. Rodzice jego mieszkają na wsi, a dzieciak nie ma gdzie się ulokować. Nasza gromada powiększy się więc jeszcze. Ale przecież Ty sam zawsze mówisz, że nie wolno nie pomóc, gdzie zachodzi potrzeba. Chcę Ci dziś jeszcze powiedzieć, że u nas od dłuższego czasu jest pogodnie w Domku. Dzieci

jakoś bardzo mało kłóć się. Moje nerwy chwilami drgają zbyt mocno, ale przechodzi szybko, bo Bóg mieszka u nas. Rusieńku! Jak Ci dziękować za to, że dałeś mi swą rodzinę? To taki królewski dar! Mam kogo kochać, o kogo troszczyć się, czuję się potrzebną, a to jest dla kobiety najważniejsze. Mój Ty Skarbie! Kocham Ciebie i dzieci nasze ponad własne życie. Bóg nam pobłogosławi i znów zaświeci słońce nad naszymi głowami. A że moja stanie się w międzyczasie całkowicie biała — to nic. Wiem teraz, że i staruszką będziesz mnie kochał, bo nas z Tobą łączy i miłość, i przyjaźń, i szacunek, i przysięga, i wspólnie przeżyta dola, i niedola. Dziękuję Ci za Twoje uczucie do mnie. Jest ono najpiękniejszym ze wszystkiego, co miałam w życiu.

19 XI

Ukochany! Dziś był u nas ksiądz Piotr. Taki to dobry Przyjacieli! Kochany Ty mój, kiedy będziemy razem?

20 XI

Zamieszkał u nas mały Maniek Życiniec, siostrzeniec ks. Woytuniewiczza. Uczy się w szkole powszechnej. Dobre dziecko, zdaje się. Ojciec sprowadził go wczoraj. Teraz przed chwilą z domu wyszli Wanda (zając kolejkę przed więzieniem) i Dyzio (do pracy). Boli chłopca noga i wydaje mi się, że to reumatyzm. Doktor kazał drugi raz przyjść jutro. Jaki to dobry malec! Jego zarobek w tym miesiącu bardzo nam dopomógł. Zbyszek nosi wodę, Jasia krząta się koło śniadania, babcia coś pogderuje u siebie. Maniek otwiera okiennice. Życie płynie — na pozór normalnie. Jakie to dziwne i straszne! Ciebie z nami nie ma już piąty miesiąc, a na zewnątrz wszystko posuwa się. Dla mnie życie przestało istnieć. Rusieńku, co z Tobą?

24 XI

Jedyny Ty mój! Stan ducha taki, że nawet pisać do Ciebie nie mam siły. Wydaje mi się, żeś chory! Chce się skowytac z bólu, bić pięściami w bramę więzienną — a tu bezsilna jestem i tylko mogę myśleć i modlić się. Mój maleńki, skrzywdzony

Rusieńku! Wiesz, wszystko wydaje mi się krzywdą dla Ciebie: to że chodzę po ulicach swobodnie, że pracuję, uśmiecham się do dzieci w klasie, kładnę się do łóżka, podczas gdy Ty... Jak Ci pomóc?

Panie! Strzeż mego Umiłowanego! Daj mu siły i chęci do spokoju wewnętrznego. Daj wiarę silną, że męka ta przez Ciebie dana — potrzebna jest, choć nie wiemy dlaczego! Panie, daj mu odczuć naszą miłość i przyjaźń, i tęsknotę, i wiarę w Niego!

26 XI

Złożyłam podanie o widzenie się z Tobą. Za 9 dni mam zgłosić się po odpowiedź!

27 XI

Wyszłam z domu o świcie dziś — wróciłam późną nocą. Padam ze zmęczenia. Praca wprost katorżna, a jednak nie zdoła zagłuszyć tęsknoty i rozpaczki za Tobą. Ostatnio trudno mi pisać do Ciebie! Zaraz tak boleśnie chce się zapłakać na głos. Rusieńku...! †

28 XI

Mocuję się z nastrojem przygnębienia i dać sobie rady nie mogę. Gdy Ciebie nie ma — tak ciemno mi jest. Ale pomyśl tylko: do piekącego, ani na chwilę nieustającego bólu spowodowanego tęsknotą za Tobą i trwogą za Ciebie, mój nad życie Ukochany, dochodzą jeszcze takie momenty:

- 1) W szkole jest straszliwie trudna praca, bo dzieci są nerwowe jak nigdy i ja sama nie mogę sprostować ogólnej fali nieróbstwa nauczycieli, bo co gnębiło zawsze, ale wtedy miałam przy boku i takich jak pan Gustaw, Skowronek, no i Kacprowicz albo Królikowski. Podręczników nie ma! Dzienniki trzeba wypełniać po litewsku, co jest bardzo trudne.

- 2) 4 razy w tygodniu wieczorem kurs litewskiego i przynajmniej 1 raz zebranie lub wiec.
- 3) Materialnie — coraz trudniej. Ceny skaczą jak szalone, a tu nas skrzywdził jeszcze Magistrat i za dostarczone 5 m³ drzewa — bardzo zresztą lichego — od razu potrąci w jednym miesiącu. Jak przeżyjemy grudzień — Bóg raczy wiedzieć!
- 4) W domu — brudno. Nie ma czasu ani sił uprać, sprzątać, uszorować tak, jak Ty tego chciałeś.
- 5) Bezsenność wprost zabija. Zasypiam mocno dopiero nad ranem.
- 6) Dzieci? Nie ich to wina, ale walczą ze mną, jak tylko mogą, starając się robić „po swojemu”, a teraz szczególnie nie mogę popuszczać cugli i to męczy niewymownie... Ruśku! †

29 XI

Zawsze żałuję potem, jak naskarzę na biedulki swoje: trzeba ich zrozumieć — chcą swobody, a ja nie daję. Ale one i tak są dobre i kochane. Ruśku, Tatuśku nasz.

30 XI

Jutro są moje imieniny. Wiem, że Ty o tym myślisz. Jedyne. Czuję Twoje myśli koło siebie. Jakże Cię kocham i jak źle mi bez Ciebie. Nie chcę, nie chcę jutro usłyszeć ani życzeń, ani widzieć nikogo. Tak ciężko, tak strasznie jest, gdy Ciebie nie ma przy mnie. Rusiu mój, jakże bardzo, jakże potwornie ktoś nas skrzywdził. Kto? Kto to zrobił? Tyle ludzi chodzi na wolności — a my? Ja nie zazdroszczę im, mówię tylko, że znaczy: nie wszystkich Polaków mających związek z wojskiem aresztowują. Ktoś — czyjego imienia może nawet nigdy nie dowiemy się — zdecydował, że Piotra Ilgiewicza trzeba usunąć. Czy to anonimowy donosiciel? Czy jakiś organ władzy? Nie wiem, ale przecież to człowiek. I ten człowiek żyje, chodzi po Wilnie. Może spotykam go. I może nawet nie rozumie ogromu wyrządzonej krzywdy — „Jako i my

odpuszczamy naszym winowajcom” — Boże Miłosierdzia, naucz mnie przebaczać: jemu, księdzu K..., tym, co krzywdzą moich rodaków.

[...]

1 XII

Rusieńku! Czy czułeś, że stałam dziś pod bramą więzienną? Jak smutno było cały dzień! Kochany! †

2 XII

Rusieńku! Dobranoc, Maleńki! W głowie szum. W duszy zamęt. Mówią, że nie zwolnią nikogo, kto miał jakąkolwiek styczność z wojskiem. Jeżeli tej rozłąki nie przeżyjemy — wszak uczucia naszego i to nie zabije. Wiedz, Ruśku, że Tobie zawdzięczam szczęście, o jakim nie miałam wyobrażenia. Bóg Ci zapłać za nie. Coś zdrętwiało w duszy. Łez zabrakło. Chwilami łapię się na tym, że sama do siebie mówię — jak obłąkana.

[...]

4 XII

4 razy w tygodniu mamy kurs litewskiego od 19–21. Jeden raz tygodniowo wieczorem — komentowanie Stalinowskiej konstytucji. Lekcje w szkole kończą się około 15, a niekiedy i o 15.30. Nawet do Ciebie napisać kilka słów nie zawsze mogę znaleźć siły. Ale myśl nie odrywa się od Ciebie nigdy — i wiem, że Ty to czujesz, Złotko moje.

Ruśku, między naszymi paniami spod więzienia kursuje pogłoska, że ktoś został zwolniony, kto siedział z Tobą. Taka szkoda, że nie mogę tego człowieka złapać, bo podobno z nikim nie zgadza się mówić. Kazał tylko mi powiedzieć, że „mąż widać gorąco ją kocha, bo jak o żonie mówi, to inny człowiek robi się” i że dużo modlisz się. Rusieńku, taka mglista wiadomość, a już cały świat jaśniejszy wydaje się. Całuję Cię mocno na dobranoc. †

5 XII

Korzystając z dnia wolnego od pracy, stanęliśmy dziś „frontem do czystości”. Uprałyśmy z dziewczynkami 70 sztuk większej i około 30 małej bielizny, chłopcy zaś posprząтали mieszkanie, zaglądając szczególnie do kątów pod szafami, na piecy itd. Aż lżej oddychać zrobiło się, bo męczyło mnie ostatnio niewymownie to, że u nas było tak brudno i zaniedbanie. Na grudzień ułożyliśmy sobie takie zadanie: wyprać resztę bielizny (prześcieradła), doprowadzić podłogi do dobrego stanu, utrzymać ogólną czystość, poprawić stopnie (Zbyszek i Jasia mają po parę dwójek, Wanda troszkę zaległości), opanować gramatykę litewską i co najważniejsze — pójść naprzód wewnątrz. Ja zaś — skończyć książkę. Rusiu, wszystko, wszystko, co robię, robię z myślą o Tobie, najmilszy mój! †

7 XII

Choć kilka słów zamienię z Tobą, Miłości Ty moja, nim pójdę do szkoły. Byłam z dziewczynkami na mszy świętej przed obrazem Matki Nieustającej Pomocy — na naszą intencję. Nie pamiętam, czy mówiłam Ci, że od 10 dni mieszka u nas siostra ks. Wieliczki, która tu leczy zęby. Dziś poza tym nocował mój uczeń Zdzisiek Tuniewicz. Uciekł z internatu i dziś chcę go gościć z kierownikiem. Jak wrócę, opowiem Ci szczegóły tego zdarzenia. Teraz pa, mój Ukochany.

Wieczór. Przed chwilą wyszli Edkowie. Byli jak zwykle mili, serdeczni. I przez cały czas tej naszej wspólnej herbatki byłeś wśród nas, bo co chwilę o Tobie z taką miłością myśleliśmy. Rusieńku, Rusku! Dziś sobota, jutro zaraz po mszy spróbuję biec pod więzienie, by Tobie choć karteczkę od *pijamy* doręczyć. Czy przyjmą? — Bóg raczy wiedzieć. W szkole było bardzo dużo nerwowych momentów. Trzeba było godzić chłopców z rodzicami, z wychowawcami. Jakoś udało się.

Ale Kochanie, kiedy, kiedy zobaczę Cię? I to nazywa się żyć? Z dala od Ciebie! Mój Ty Cudzie! †

9 XII

Trochę przeziębiam się wczoraj, bo wprowadzono nowe przepisy pod więzieniem i teraz trzeba znacznie dłużej stać niż dawniej, bo za każdym razem wymagają podania po litewsku w sprawie przesyłanych Wam przedmiotów. Toteż wczoraj nie pisałam. Dziś wróciłam dopiero teraz do domu. Jest godzina 10-ta wieczór. Czy śpisz? Rusieńku, widziałam dziś człowieka, który siedział z Tobą w jednej celi. Małeńki mój! Jakże Cię Kocham! Opowiadał mi o Tobie, o tym, jak chorowałeś, Jedyny mój, jak opowiadałeś o nas, jak nas kochasz. Złoty, cudny mój! Ani na chwilę nie jesteś sam — my przy Tobie jesteśmy. Chłopaku duży! Duma Ty moja! Jak Ci wyrazić, co czuję dla Ciebie? †

12 XII

Jedyny! 9 godzin stałyśmy dziś z Wandą na przemian pod więzieniem i w rezultacie nie przyjęto pieniędzy dla Ciebie... Teraz jest 11-ta wieczór, wstałam o 3-ciej rano. Kłopoty okropne — trzeba przedstawiać wszystkie dokumenty władzom szkolnym, inaczej płacić będą grosze. A skąd wziąć na tłumacza? na notariusza? Kursy litewskiego trwają do późnego wieczora. Poza tym posiedzenia, zebrania, wiece... — sił już nie ma. Ale najcięższa praca ani na godzinę nie zagłusza bólu i tęsknoty. Ty wiesz, że myślą nie odstępuję Ciebie i dla Ciebie chcę trzymać się dzielnie. Chcę się pochwalić: mam już 10 rozdziałów swej książki. To będzie moja „gwiazdka” dla Ciebie — niezależnie od tego, czy w tym dniu będziesz już w domu, czy jeszcze nie. Rusieńku, nie będziesz wstydził się za swoją rodzinę, nie chcemy mazgać się. Zbyszek chodzi po lekcjach piłować drzewa i to mu robi bardzo dobrze. Jest poważniejszy, bardziej dojrzały. Dobranoc, Kicińki! †

13 XII

Dziś Edkom kazali wynieść się z mieszkania w ciągu 48 godzin. Czekam na nich, bo ze Zbyszkciem pojechali przywieźć tu saneczkami książki i drobne rzeczy. Jest godzina 10-ta. Przed chwilą wróciłam z konferencji nauczycielskiej i zastałam tę

nowinę. Kochanie moje! Życie bywa trudne. Wysłałam Ci dziś 10 rubli przekazem — czy doręczą? Mówią, że wkrótce pozwolą Wam w kantynie więziennej kupować sobie słodczye i inne rzeczy. Jak tego pragnę! Ruśku maleńki! My się bardzo kochamy i w imię tej miłości wszystko przecierpimy i przetrwamy. Prawda? Dobranoc! †

14 XII

Tylko słów kilka memu Najśłodszeemu. Nadźwigałyśmy się z dziećmi, przesuwając meble z pokoju do pokoju wobec projektowanej przeprowadzki Edków do nas. Zwolniliśmy dla nich pokój babci. W Twoim pokoju zrobiliśmy jadalnię, tamże śpią dziewczynki. Dawny jadalny podzieliliśmy na dwie części: w jednej śpią chłopcy, w drugiej ulokowała się babcia. Teraz chodzi, warczy trochę i szuka swych drobiazgów — jak zwykle przy przeprowadzce. Pa, Rusieńku! Całuję Cię mocno, bo bardzo spać mi się chce. Natuśka kocha Cię bardzo. †

17 XII

Rusiu mój! Jest noc. Siedzę i martwię się, szarpana niepokojem o Zbyszka, którego nie ma w domu. Bank Antokolski wbrew danej mi obietnicy wysłał weksel Twój do protestu, zawiadamiając mnie o tym zbyt późno. Zbych biegał tam wczoraj i dowiedział się, że trzeba wystawić nowy — no i oczywiście zapłacić koszty itd. Ponieważ ja opuszczać szkoły w żadnym razie nie mogę, dziś znów poszedł chłopak do banku. Jednak tam sprawę postawiono kategorycznie: albo płacę całe 100 rubli, albo nowy weksel musi być żyrowany. Jedyne człowiek, który obecnie zgodzi się nam żyrować, jest pan Gustaw. Wysłałam więc Zbyszka od razu po obiedzie, to jest o 16.30, do Kolonii — a teraz dochodzi 12-ta w nocy. Sama jechać nie mogłam, bo opuszczenie kursów wieczornych grozi utratą pracy. Rena z Edkiem wyrzuceni z poprzedniego mieszkania musieli dziś ręcznym wózkiem przewozić swe meble do nas i dopiero przed 2 godzinami ukończyli wożenie. O wysłaniu dziewczynek, oczywiście, mowy nie może być. Zgodziłam się na propozycję Zbyszka — no i nie ma go jeszcze. Usiłuję pocieszyć się tym,

że zimą jest mało pociągów, że mógł spóźnić się i zostać wobec tego u Malawków na noc. Ale, Rusieńku mój, Ty wiesz, co ja czuję. Boże Miłosierny! Zmiłuj się nad nami! Miej w opiece chłopaka naszego!

18 XII

Godzina 1-sza w nocy. Wrócił przed pół godziną. Pociąg spóźnił się. Chwała Ci, Boże! Dobranoc, Rusieńku!

Tego dnia wieczorem. Malutki, padam ze zmęczenia, nie mam sił pisać. Całuję tylko czule. Do jutra! †

19 XII

Na godzinkę wpadłam do domu. Po lekcjach byłam w Inspektoracie, bo trzeba tam składać dokumenty, które udowadniają, jak długo pracuje się. Inaczej pensja byłaby bardzo mała. Złożyłam oryginały nominacyj z tym, że po 10 dniach odbiorę je z powrotem, sporządzę odpisy notarialne i zamienię. Teraz notariusze są zawalenii pracą i nie zdążą zrobić, a termin dano kilkudniowy. Potem byłam pod więzieniem. Dziś rzeczy dla więźniów nie przyjmowano. Spotkałam panią Pietraszunową, jedną z żon aresztowanych. Powiedziała mi, że jej przed tygodniem odmówiono przyjęcia pieniędzy dla męża, motywując tym, że go „nie ma już tu”. Poszłyśmy razem do tego biura przepustek, gdzie dawniej przyjmowano od nas podania. Niczego nie dowiedziałyśmy się. Z tego, co mówił jeden z urzędników, którego zatrzymaliśmy, wywnioskować można było, że nie mają zamiaru dużo zwalniać. Ruśku! Jestem podłą, nędzną kreaturą — nie panuję nad sobą, męczę się sama i męczę otoczenie. Ale jak żyć bez Ciebie!? Rusiu, mój Rusiu!

22 XII

Zaniosłam dziś do więzienia paczuszkę. Przyjęli tylko nocną koszulę, skarpetki i kawałek mydła. Rano były roraty na Waszą intencję. Piszę teraz mało — nie mogę! Nigdy w życiu nie czułam się jeszcze tak jak teraz: potrafię zrozumieć ludzi,

.....

kotórzy wpadają w obłąd. Te Święta bez Ciebie, w okropnej niepewności, w smutku i przygnębieniu straszliwym — to ponad siły. Z dziećmi dzieje się też źle. Ich nerwy również nie wytrzymują. Zbigniew zrobił wczoraj atak histeryczny z tarzaniem się po podłodze. U niego okres dojrzewania przechodzi szczególnie burzliwie. Wczoraj rozpuściliśmy do domów dzieci szkolne do 6 stycznia. Jutro zaczyna się kurs dla nauczycieli, który trwać będzie przez ten tydzień po 4 godziny dziennie. 24-go do tego dojdzie ogólna konferencja nauczycielska. Rusieńku! Nie gniewaj się, że mało piszę. Mam wrażenie, że piszę, ale nie w zeszytce, tylko łzami i krwią po żywej ranie wewnątrz mnie. Och, jakże boli! Ale kocham, a ból ten jest skutkiem Miłości do Ciebie, więc błogosławię go.

24 XII

Wigilia Bożego Narodzenia. O zmierzchu byliśmy z dziećmi pod bramą Łukiszek. Tam podzieliliśmy się opłatkiem między sobą, łamiąc go w myśli z Tobą. Rusieńku! Nasz Tatku jedyny! Chcieliśmy nie robić wilii. Potem zdecydowałam się zrobić, bo to jest nasza tradycja zarówno narodowa, jak i religijna. Parę razy chciało się rozbeczeć — powstrzymałam się i dzieci miały jaśniejszą godzinkę. Teraz gromadka zmywa talerze, Edkowie są u jego rodziców, babcia drepcze po mieszkaniu, ja zaś siadłam przy swym biurczku, gdzie mnie zawsze lubieś widzieć, przełamalam raz jeszcze opłatek, patrząc na ukochaną nad życie twarz z fotki i składałam Ci życzenia, Jedyny.

Niech Cię Bóg Miłosierny i Matka Najświętsza mają w swej opiece. Obyś jak najprędzej wrócił do swej rozkochanej w Tobie gromadki. Bądź zdrow i wesół, Jedyny nasz. Niech wszystko, co złe, daleko, daleko odejdzie od Ciebie. Niech żonka Twoja ma możność udowodnić Ci, jak kocha i jak jest wdzięczną. Dziękuję Ci za wszystko, Mężuś. Wiem, że teraz z nami jesteś, że składasz nam swe proste, z serca płynące, szczere życzenia. Bóg wysłucha nas i będzie dobrze. Przetrwamy wszystko z Nim.

[...]

26 XII

Już czwarty dzień trwa ideologiczno-metodyczny kurs dla nauczycieli. Zmęczenie moje zaczyna przybierać rozmiary niebywałe dotąd. Jutro kończy się, ale nie wiem, czy nie zacznie się natychmiast jaka inna praca. Całą duszą ciągnie pod bramę Łukiszek, ale dopiero w niedzielę uda się tam pójść.

29 XII

Rusieńku! Tak cieszyłam się, że dziś zaniósę Ci paczuszkę z bielizną. Tymczasem zwrócili mi podanie przekreślane czerwonym ołówkiem. Nie przyjęli! Kochany, a Ty nie wiesz o tym i dziwisz się, czemu Natka Twoja nie przyniosła Ci nic. Dobranoc, Złotko moje! Jutro więcej napiszę!

31 XII

Przyjęli paczkę dla Ciebie, najdroższy! Tak się cieszę, że choć w ten sposób będziesz miał znak życia od nas. Wiem, że za pośrednictwem rzeczy odczujesz, jak Cię kochamy!

1941**1 I**

Rusieńku mój! Niech ten rok przyniesie Ci wolność, radość, zdrowie, zadowolenie z rodziny, spokój wewnętrzny.

2 I

Zimno tak, że palce z trudem utrzymują pióro. Pensji nie wypłacają — dali tylko małą zaliczkę. Pół dnia straciłam, by dostać pożyczkę z kuratorium, ale na razie nie udało się.

Rusiu złoty! Czy czujesz, jak brak mi Ciebie? Pisać coraz trudniej, bo najgorętsze uczucia układają się w jedne i te same słowa, a to męczy.

4 I

Dzień dobry, Jedyny! Dom jeszcze śpi. Dyzio tylko maleńki poszedł od godziny już do pracy. Mróz potworny. Czy Tobie ciepło? Widziałam się z człowiekiem, który siedział razem z Tobą do połowy października. Opowiadał, że kurtki nie miałeś. Zaniepokoiło mnie to bardzo. Przecież zaniósł Ci ją 20-go sierpnia!!! I buty też, i spodnie do nich. Czyżby to zginęło? Wierzyć się nie chce! Od 4 dni już trwa nasza nowenna przed ołtarzem św. Andrzeja Boboli. Oj, Złotko, pióra utrzymać nie mogę. Napiszę później, jak napalę w piecu.

5 I

Dziś ostatni dzień feryj zimowych. Nie tylko nie wypoczęłam, ale przeciwnie: czuję się tak zmęczoną jak rzadko kiedy. Dziś martwi jeszcze i to, że nie mogłam pójść zanieść Tobie czegokolwiek do więzienia. Przez te pół roku wyniosłam prawie wszystko, co tam przyjmują — prędko niczego już nie będzie w domu. A tak chce się, żebyś o nas nie niepokoił się. W tym tygodniu wypłacą pensję — wtedy przeszlę Ci pocztą. Pocztą również wyślę podanie do naczelnika więzienia w sprawie Twojej kurtki i reszty rzeczy. Zaraz siadam pisać. Pa, Maleńki!

12 I

Pół roku! 184 dni! Oj, Ruśku, jakże to jest możliwe? Dziś i w ogóle ostatnio jakaś taka rozpacz ogarnęła mnie, że rady sobie dać nie mogę! Kocham bardzo, ale słów nie mam! W słowa tego, co czuję, nie zmieszczę!

17 I

To, co przeżyłam w ostatnich dniach, Ruśku mój, nie da się opisać. Pogłoski o Waszej głodówce w więzieniu, potem — o pożarze na Łukiszkach, później o wywiezieniu aresztowanych do Rygi.

19 I

Cudne kazanie miał dziś w kościele ksiądz Hlebowicz. Po raz pierwszy od wielu tygodni zrobiło mi się lżej i jaśniej na duszy. Ufajmy, Najdroższy, będzie lepiej. Wiem, że dopiero od kilku dni otrzymałeś kurtkę, którą dała dla Ciebie pani Rodziewiczowa. Tak długo leżała na składzie. Niedawno napisałam podanie do naczelnika więzienia, prosząc o sprawdzenie, czy doręczono Ci wszystko to, co Ci przyniosłam, i w piątek urzędnik w okienku powiedział Wandzie, że sam osobiście doręczył Ci ciepłe rzeczy. Ruśku, kupiłam dla Ciebie sweter. Tak chcę jak najprędzej Ci go dostarczyć, ale chyba dopiero w przyszłym tygodniu da się to zrobić, bo tak często nie wolno, a w piątek dopiero posyłałam Ci paczkę. Kochanie, jeszcze jedna nowina: nasza Renulka jest w ciąży. Cieszy się z tego. Zmieniła się ogromnie ku lepszemu, spoważniała. Boję się o nią — taki ciężki czas. Ale rada jestem z ich szczęścia. Tylko że, Ruśku, my z Tobą będziemy wtedy babką i dziadkiem, co? Mój Ty Dziadku *in spe*⁴¹! Kochany Ty mój, cudny. Nie gniewaj się, że mało piszę, ale dziwnie trudne jest to teraz. Pa! †

22 I

Dziś nie ma pracy w szkole. Skorzystaliśmy z tego i stanęliśmy „frontem do czystości”. W mieszkaniu jest tak, jak nasz Tatulek to lubi — sprzątnięte. Zbyszek kaszle, więc dziś leży sobie i płucze gardło. Rena ma kilka kresek temperatury, też leży. Obecnie jest pobór. Większość kolegów Zbigniewa otrzymała karty powołania. Toteż nastrój w ich klasie teraz jest naprawdę „rekruc-ki” i trudno pracować. Boję się o Edka.

Rusiuleńku! Dziś śniłam Ciebie — taki byłeś niepodobny do siebie. Pa, Kochanie. Chcę być taką, byś był zadowolony ze swej żonki. Ale charakter mam nieznośny — to sama wiem! To zderwuję się, to zmartwię. Tyle razy przyrzekałam sobie i Tobie opanowanie, nie bacząc na zewnętrzne ukłucia lub ciosy.

[...]

41 Łac. *in spe* ‘w przyszłości’.

24 I

Jedyny! Wróciłam z pogrzebu małego chłopca Edka Sakowicza z naszej szkoły. Przed 2 miesiącami ugryzł go pies. Okazało się, że był wściekły. Ruśku, to dziecko 12-letnie utrzymywało rodzinę z 6 osób! Ojciec ma wyschniętą rękę, jest niezdolny do pracy. Edzio umierał zupełnie przytomny, dużo mówił o tym, jak chce żyć i pracować, bo są ciekawe czasy. Umarł, trzymając księdza za rękę i prosząc o ciszę, by mógł skupić się. Wiem, Złotko, że przeżywałbyś ten zgon razem ze mną, gdybyś był tu, mój Przyjacielu cudny! Całuję Cię czule.

31 I

Chora, leżę z temperaturą, bólem gardła i strasznym kaszlem. Golinis przysłał lakoniczną kartkę z żądaniem świadectwa lekarskiego. Zwlekłam się przy pomocy Duśki, dobrnęłam do przychodni. Teraz wysłałam mu świadectwo i znów klapnęłam na swoje łóżko. Kochany, pa!

1 II

Wstałam dziś, byłam w szkole, potem z Duśką poszłam do rodziny Sakowiczów. Nędza tam nie do opisania. Od państwa Krzyżańskich zaniósłam im trochę jedzenia. We czwartek da Ada, a na przyszłą niedzielę pani Pietraszunowa i jeszcze jedna z pań poznanych przed więzieniem. Może da się uratować te dzieci od zagłodzenia. Bogu dzięki, że na razie możemy dzielić się. Rusieńku mój, idę do łóżka. Całuję Cię w czubek nosa. Kochany Ty mój! Podle czuję się jeszcze. Gdybyś był, jak dobrze mi byłoby! Jedyny!

9 II

Wciąż chora jeszcze jestem! Tamto wyjście zaszkodziło mi bardzo i znów kilka dni musiałam leżeć. Ostatnich kilka dni z jękiem wprost zwlekam się rano z łóżka, idę do szkoły i wprost stamtąd wracam i kładę się. Dzieci przynoszą mi jeść. Temperatura wciąż podwyższona. Dłużej opuszczać lekcyj nie wolno

mi, bo boję się o chleb. Golinis i tak chodzi chmurny, wzburzony i zły. Boję się go coraz więcej. Rusieńku, leżąc, dużo myślę o Tobie. Czemuś wydaje mi się, że i Ty przeżywasz cięższy okres. Maleńki! Tyle już mężów wróciło. Kiedyż, kiedy Ciebie zwolnią?

Zbyszek znów strasznie zakochany. Boję się o naszego chłopaka — wybór jego zwykle niezbyt trafny. A raczej — zwykle nie on, tylko jego wybierają. Ostatnio pan Żarnowski urządził go na bezpłatne obiady. Dyzio też już sam swoje opłaca. A jednak dość trudno związać koniec z końcem. Teraz ostatnio dużo kosztowały lekarstwa. Rena też leży — grypa. W dodatku wskutek ciąży bardzo psują się zęby, trzeba leczyć. Zbyszka posłałam do lekarza. Kazał prześwietlić — płuca na szczęście w porządku, ale czemuś diafragma przesunięta w górę i w ogóle nadwątłona. Teraz rozumiem, czemu on tak, biedulek, sapie, idąc.

Dziewczynki — bladziutkie. Jasi musiałam zafundować okulary. Tamte już nie nadają się, a niebieskie jej oczęta męczą się. Ona bardzo pracuje nad sobą. Dobrze i szlachetne dziecko. Wychowawczyni chwali ją, tylko ma ogromne trudności z matematyką i niemieckim — mimo wielkiej pracy wciąż dwójki. Duśka — no Ty ją znasz tę naszą dziewczynkę, która sprawia dużo kłopotu, ale sama potem najwięcej dręczy się. Przygotowuje się do egzaminu. U Ady już nie uczy się — jeździ na Zwierzyniec do pani Rewińskiej, przemiłej starszej pani, i do młodziutkiej Wandy (zapomniałam nazwiska) na przyrodniczo-matematyczne przedmioty. Trzeba płacić, ale nie ma rady. Mój egzamin z litewskiego też zbliża się — trudno mi znajdować czas i siły do pracy. Gdybyś był tu — oj, Ruśku, jakże Ciebie brak!

12 II

Rusieńku! Ukochany! Dziś zaczął się ósmy miesiąc od strasznej nocy, gdy Ciebie zabrano. Kto zdoła opisać wszystko, co przeżyłam. Wiem jedno: miałeś zawsze rację — w każdej drobnej czy ważnej rzeczy miałeś rację. Zawsze przekonałam się później, że dobrze radziłeś, dobrze osądziłeś.

[...]

Rusieńku! W niedzielę skończyłam swoją książkę!

15 II

Wczoraj mogliśmy stracić naszą Jasieńkę! Ruśku, mój Ruśku — dreszcz grozy przechodzi, gdy się myśli o tym. Wracała dziewczynka do domu, jak zwykle roztargniona i niepatrząca pod nogi. Było to o szarej godzinie. Idzie przez most na Wilejce (przy ul. Młynowej). Z zadumy budzi ją okrzyk księdza Lachowicza⁴²:

— Proszę uważać!

W chodniku mostu ogromna dziura (przejeżdżał czołg i załamało się kilka desek) wielkości przeszło metra kwadratowego. Jasia stała o kilka centymetrów nad nią. Dołem płynie niezamarznięta część rzeczki i bryły lodu. Czyż nie opieka Matki Najświętszej? Wiem, że modlisz się za nas wszystkich. Ona i nasze modły za Ciebie wysłucha!

15 II [!]

W domu cicho. Dziewczynki poszły do kościoła na lekcje religii. Babcia śpi. Rena, która od wczoraj wstała, coś tam pierze. Ja gruntownie sprzątnęłam swój pokój i teraz siadłam odpocząć. A jakież może być lepszy wypoczynek niż gawęda z Tobą, Najmilszy? Duśka robi wysiłki w lepszą stronę. Stawiam jej minimalne wymagania na niedaleką metę. Tak jeszcze jakoś idzie. Ze Zbigniewem mam poważne kłopoty — przechodzi bardzo trudny okres. Kochliwy jest wprost anormalnie i leci za każdą spódniczką, która jego sobie wybierze. Zawsze on jest wybrany i zawsze traci głowę kompletnie. Do jego obecnego obiektu jakoś nie mam zbyt wielkiego zaufania. Wiem, że i teraz inicjatywa wyszła od dziewczyny, nie od niego. W rezultacie dużo kłamstw. Dodatkowe lekcje, próby, to, owo — aby tylko wyrwać się na kilka godzin z domu. Czasem trochę zwierza się, ale od kilku dni — już nie. Żeby nie wpadł nam chłopak. Oj — zło [...?] — być matką kochliwej dorastającej młodzieży! A Ciebie nie ma tu. †

.....

⁴² Być może ks. Stanisław Lachowicz (1904–1967) — urodzony w Nowej Wilejce, w 1932 r. wyświęcony na księdza w Wilnie, pełnił posługę w parafii Turmont. Oprócz obowiązków duszpasterskich uczył także matematyki w miejscowej szkole.

16 II

Maleńki mój! We wtorek aresztowali doktora Garniewicza⁴³, co to leczył naszego Zbyszka podczas jego ciężkiej choroby. Widziałam jego żonę dziś w katedrze.

Dziś rocznica śmierci naszego drogiego Biskupa⁴⁴. Ile wspomnień, ile myśli. Jaki Ty dobry i serdeczny byłeś wtedy! Złociutki mój, nic na świecie nie zatrze tych chwil — dobrych i smutnych — co wspólnie przeżyliśmy. Czasem, gdy siedzimy wszyscy razem z dziećmi, przesyłamy Ci myślowy „telegram”. Skupiamy całą uwagę i miłość i fala ta idzie do Ciebie. Czuję, że dochodzi tam za ten gruby, zimny mur i wchodzi do serca chorego, ale tak drogiego, szlachetnego i wiernego. Serce rycerza Dobra i Prawdy. Na Ciebie można liczyć. Ty, Ruśku, umiesz chodzić tylko dobrą, uczciwą drogą.

[...]

19 II

Byłam dziś z Renušką u lekarki. Tak, trzeci miesiąc. Jest ogromnie przejęta. Ja też. I tak strasznie chcę, żebyś Ty jak najprędzej wrócił do nas. Nie przyjęli paczki dla Ciebie. Mówią, że zbyt często przynosimy. A tu człowiek serce by swoje odesłał tam za mury te groźne.

Nowiny nasze: wczoraj pochowali pana Drzewickiego. Beznadziejnie chory pan Pożarski. Sklep ich zamknięty już od dawna. W szkole trudno — ale to nic. Egzamin litewskiego zbliża się. Uczę się dość dużo.

20 II

Kochany Ty mój! Co tu robić z Wandą? Zupełnie otwarcie odmawia już posłuszeństwa. Teraz przecież w domu nie stołujemy się. Jej praca ogranicza się do tego, że jeden raz w tygodniu

⁴³ Stanisław Garniewicz (1884–?) — podpułkownik, dowódca szpitala polowego w czasie II wojny światowej.

⁴⁴ Mowa o ks. biskupie Kazimierzu Michałkiewicz.

pozostaje na kilka godzin po obiedzie na Uniwersyteckiej, żeby pomóc zmyć naczynie. (To samo zresztą i Jasieńka). Dusia przygotowuje się do egzaminu. Jak pamiętasz, miała 5 razy więcej dwójek niż Jasia. Z powodu tego egzaminu trzeba płacić za prywatne lekcje nauczycielkom, opłacać jej autobusy, bo to na Zwierzyńcu itd. Pomiedzy obiadem a wyjściem na kurs litewskiego bywam w domu godzinę–półtorej. Na spanie wracam około godziny 10-tej. Dziś wróciłam ze szkoły trochę wcześniej, bo to „tłusty czwartek” i chciałam, żeby dzieci zjadły trochę kołdunów. By nie przeciążać Wandy kołduny obstalowałam u Ady. Wracam. Biorę za jeden, drugi, trzeci garnek — lepią się. Wewnątrz — resztki jedzenia sprzed 2 tygodni. Pokazuję jej. Odpowiedź:

— Dlaczego ja to mam robić? Ja chcę do egzaminu przygotować się.

Wymyłam sama. Od kołdunów zostało trochę ciasta. Ada je przysłała wraz z kołdunami. Chcę zrobić łązanki na zapas. Biorę stolnicę: brud sprzed miesiąca. Wanda wzrusza ramionami. Rusiu, my nie znaleźmy tej dziewczynki! Gdy tylko zobaczyła, że jestem słaba, chora, bezsilna wobec niej — wprost nie poznaję jej. Skąd tyle złości? Uporu? Ciężko mi, Jedyny, bardzo! Nie wiem, czy znajdę na nią sposób postępowania. A tak chciałam.

[...]

[Dopisek na marginesie:] Ruśku! Nie martw się — już jest lepiej. Duśka bardzo ostro przeżywa swój okres dojrzewania i dlatego jest trudniejsza, ale to przejdzie. Histeria dorastającej dziewczynki — nic więcej.

22 II

Widziałam dziś człowieka zwolnionego z więzienia. Nie zna Ciebie. Opowiadał dużo o trybie życia. Rusieńku, Ukochanie moje! Kiedy Ty do nas wrócisz? Tak nam jesteś potrzebny. Wiesz, Kochanie, Dyzio już zarabia tyle, że może sam się utrzymać. Chcę więc, by próbował stawać na własne nogi. Brać od niego pieniądze za utrzymanie — nie chcę. Niech zamieszka oddzielnie i uczy się samodzielności. Teraz szukamy dla niego lokum.

Jutro dzień Czerwonej Armii⁴⁵. Dziś były obchody w szkołach. Jutro pochody młodzieży. Jasia — niezdrowa. Iść jednak musi koniecznie. Boję się [o] naszą maleńką — taka bledziutka jest ostatnio. Dziecko obecnie mocno przeżywa sprawy seksualne. Absorbują ją mocno, nawet męczą. A że to dziewczynka i czysta, i uczciwa — więc i te sprawy są dla niej mocnym przeżyciem. Zbigniew uczy się więcej niż kiedykolwiek. Jego ukochana dziewczyna odmówiła mu dania swej fotografii, o ile nie poprawi dwójek. Więc kuje. Muszę ją poznać tę dziewczynkę. To, co słyszę o niej, dobrze o tym charakterze świadczy. O Dusi dziś nic nie napiszę. Jej samej źle z tym charakterem — trzeba ją żałować przede wszystkim.

23 II

Niedziela. O 7-mej rano wstali Zbyszek i Jaśka, bo czekał ich ten „czass”. Wypuściłam ich i znów położyłam się aż do 10-tej. Wrócił Zbyszek, bo doktor zwolnił go od marszu. Okazuje się, że ma jeszcze szmery w płucu. Na mszy byliśmy o 1-szej. Jak wspaniale mówi ksiądz Hlebowicz. Na obiedzie dopiero spotkaliśmy się z Januską. Zmęczone biedactwo straszliwie. Teraz leży na Twoim tapczanie „po nocnemu” i odrabia lekcje na jutro. Ruśku! Czy my z Tobą jeszcze kiedyś spotkamy się? Taka straszliwa myśl przychodzi ostatnio do głowy i wtedy wszystko inne staje się obojętne. Jak teraz żal każdej godziny, każdej chwili zmarnowanej na nieporozumieniach, zatargach! Jakby je wrócić? Jedyne Ty mój! Ja wiem, ja dobrze wiem, jak ciężko Ci bywa! Och, jak ja czuję Twój ból i tęsknotę, i przygnębienie — i jak to boli. Kocham Cię przeogromną miłością, Ruśku! †

24 II

Śniłam Cię dziś. Byłeś ze mną i znów gdzieś zaginęłeś [!]. Obudziłam się i długo, długo nie mogłam zasnąć. Tak dziwnie płynie nasze życie. Dzień po dniu. I wciąż nie

.....

⁴⁵ Dzień Czerwonej Armii — święto ustanowione w 1922 r. jako Dzień Armii Czerwonej i Marynarki Wojennej, obchodzone 23 lutego. Od 1995 r. funkcjonuje pod nazwą Dzień Obrońcy Ojczyzny.

nadażam wszystkiego zrobić. Tu — sprzątnąć, tu — zaszyć, tu — sprawdzić u dzieci. Nie zawsze nadażam i szkolnej robocie. Postanawiam wykonywać wewnętrzną pracę — kłapa! Wiem, że przede wszystkim miłość bliźniego. Czuję całym sercem, że tego właśnie Bóg żąda ode mnie.

27 II

Okres wzmożonych klasówek dzieci. Jakoś wygrzebują się. Zbyszek sam mówi, że nigdy w życiu tak nie pracował jak obecnie.

2 III

Dopiero dziś — w niedzielę — wyrwałam czas, by trochę obszerniej pogawędzić o wszystkim. Dominującym motywem jest coraz to wzmagająca się tęsknota i niepokój o Ciebie. Tylu już zwolnili, a mego Ruśka jak nie ma, tak nie ma. Praca absorbuje cały czas. W szkole cisną bardzo — wymagają dużo. Na ogół jestem z wyników zadowolona. Klasę mam dobrą tylko niezdolną. Za wyjątkiem kilku chłopców — reszta na pograniczu normy i niedorozwoju. Nauczyłam ich dużo, tylko z rachunkami nie możemy sobie poradzić. Litewski idzie mi powoli. Rozumiem prawie wszystko. Mówić — trudno. No bo przecież praktyki nie mam. Wątpię jednak, czy egzamin zdam.

Dzieci nasze? Zbyszek poprawił dużo swych dwójek. Na jutro pozostała mu chemia. Wczoraj bez obiadu był w gimnazjum do godziny 9-tej, zdając poprawki. Robi różne głupstewka, bo kocha się i chce się przypodobać swej *donnie*⁴⁶. Ale myje się i czyści ubranie i buty starannie. Jaśka ma kilka dwójek. Z językami nie radzi sobie zupełnie. Mam co do niej jeszcze inny kłopot: trafiła pod niefortunny kierunek jakiegoś spowiednika. Oddalił ją ode mnie, zamyka usta tajemnicą spowiedzi, wciąga w mistycyzm i ze wszystkich niedbałości drobnych, ale chronicznych błędów rozgrzesza zbyt łatwo. Wyrabia się więc powoli typ rozmarzonej, wyrozumiałej dla siebie łagodnej blondynki, odpornej na wszelkie uwagi, które znośi z miłym spojrzeniem

⁴⁶ Wł. *donna* ‘dama, pani, żona, ukochana’; tu żartobliwie ‘panna, dziewczyna’.

niebieskich oczu, ale natychmiast zapomina. Duśka nie zmieniła się ostatnio. Te same trudności wypływające z wybitnie histerycznego podłoża. Mam jednak nadzieję, że z wiekiem niejedna przywara minie jej. Część — pozostanie na zawsze, z tym trzeba się pogodzić. Niepokoi mnie najwięcej jej zakłamanie i abnegacja. Są to dwa kierunki, z którymi nie przestaję walczyć — jak dotąd bezskutecznie. Nauka jej idzie bardzo opornie. Zbyt była przyzwyczajona odpisywać od Jasi i teraz, choć w tym roku nauczyła się wiele, całości jeszcze nie opanowuje. Rena ma mdłości, jest zakochana w swym przyszłym małenstwie. Razem z Edkiem trochę pracuje naukowo, ale mniej od niego. Bardzo zmizerniała ostatnio. Babcia — ta sama. Drepce staruszka, żywo interesuje się sprawami żywienia, ciepłą wodą, wojuje z Wandą. Dyzio niedługo wyprowadza się od nas. Znalazłam mu dobre lokum blisko jego miejsca pracy i sądzę, że będzie mu tam bardzo dobrze.

Bardzo ciężko będzie w tym miesiącu finansowo. Chorowałam, więc teraz potrąca mi dużo z pensji. A wydatków strasznie dużo. Zbyszek shustał swój zielony mundur tak, że za reperację i czystkę trzeba dać do 30 rubli. Dziewczynki też muszą ogarnąć przed świętami choć trochę. Drzewo skończyło się. Toteż boję się, że marzec będzie oj — jaki kusy. Ale poradzimy sobie. Oby tylko dzieci jakoś lepiej wyglądały. Brakuje im słodczy i mleka. W niedzielę — dawnym zwyczajem — staram się karmić je bardzo dobrze i w te dni są łagodne, miłe, uśmiechnięte.

[...]

9 III

I znów minął tydzień. Ciężki, męczący tydzień. Był wyznaczony egzamin z języka litewskiego. Złożyłam pisemny. Do ustnego nie odważyłam się przystąpić, bo stosunek głównego egzaminatora (przedstawiciela Komisariatu Oświaty) do nauczyciela był niżej krytyki. Nasz Galinis zresztą potem opowiedział mi, co to za człowiek. On i wiele innych nie podaje mu ręki. Jutro — znów termin. Jednak pójdę, chociaż jego wymaganiom nie sprostam, ale nie lubię stawać w pół drogi. Zresztą — odkładać i odkładać tylko z własnej winy — nie warto.

W domku było w tym tygodniu różnorako. Dzieci na ogół starały się. Z Dušką było jak zwykle dużo trudności, ale były i momenty, gdy one wskazywały dobrą wolę. Janulka i Zbyszek byli prawie bez zarzutu. Dyzio wpadł w straszną rozpacz i łkając, błagał, by mógł pozostać u nas. Ułożyliśmy takie warunki: obiady opłaca nadal sam. Nam płaci 45 rubli miesięcznie za śniadania, kolacje i mieszkanie. Chłopak jest wyczerpany pracą bardzo. Po powrocie wali się wprost z nóg. Zobaczymy, czy jakiś inspektor pracy czy ktoś podobny nie wyda wreszcie zarządzenia, by nieletni pracowali mniej. Bo tak jak jest, długo trwać nie może.

Packę dla Ciebie w tym tygodniu przyjęli, ale zaznaczyli, że od-tąd nie będą już przyjmować tak często — najwyżej za miesiąc. Dla nich to często!

Już tak dawno nic — żadnych wiadomości od Ciebie i o Tobie. I końca nie widać. Och, jakże smutno i boleśnie żyć tak. Rusień-ku, nie dziw się, że teraz mało piszę — wprost nie daję sobie rady ze swym stanem psychicznym — walczę z rozpaczą.

10 III

[...]

Aha — egzaminu nie złożyłam — dostanę zaświadczenie z 4 klas nie z 6-ciu. Trzeba więc uczyć się dalej. Ale to mnie nic a nic nie martwi. Najważniejsze, by Bóg mi Was wszystkich zachował. Całuję, całuję Cię mocno. † Natka Twoja bardzo stęskniona.

15 III

Kilka słów tylko do Ukochanego... Zimno w domu straszliwie. Rena leży z gorączką. Duška kaszle. Drzewa napiłować nie ma czym. Ale to przejdzie — będzie wiosna, będzie lepiej.

16 III

Znów niedziela... Która to już bez Ciebie? Zatraciłam rachubę. Wiem, że od 12-go zaczął się dziewiąty miesiąc. Ale czekaj: od dnia Twego zabrania od nas do nowego roku było 172 dni

+ 31 styczeń + 28 luty i 16 marca = 247 dni, a więc 36 niedziela. Trudno w to uwierzyć, a jednak tak jest.

Tydzień ten minął bez wielkich zdarzeń. W szkole było spokojnie. Tylko młody komsomolec przysłany do nas w celu zorganizowania pioniera pogniwał się na nas i zapowiedział, że zrobi porządek z nauczycielstwem. Jest u Greli w klasie taki zawodowy łgarz Czesio Aścik — typowy przykład *pseudologia phantastica*⁴⁷. On coś tam zmyślił i naplotkował, młodzieniec uwierzył, zapewnił, że zrobił z tego należyty użytek. Ale na razie nic nie słysząc. Nawet dokładnie nie wiemy, o co chodzi — ze słów chłopców wynika, że najwięcej chodziło o kolegę Lubina.

Nasze dzieci w tym tygodniu zasługują na pochwałę. Szczególnie Zbigniew. Spoważniał, jakoś wypogodził się i zaczyna rozumieć swoją rolę starszego brata w rodzinie. Jest jakaś niejasna sprawa z parą skórkowych rękawiczek, ale na razie jej nie pogłębiam. Duśka przeziębiona. A wtedy ona robi się łagodną. Uczy się dość pilnie. Czy zda — wątpię, bo jednak, gdy trzeba od 23 odjąć 9, wychodzi u niej 7. I to po dłuższej pracy myślowej. Biedna to dziewczyna. Ninuśka — zawsze ten sam roztrzępaniec. Poprawiła w tygodniu swój stopień z niemieckiego. Jest dobrym duszkiem domu co rano, bo zrywa się z posłania pierwsza, drepcze po domu, budzi rodzeństwo, szykuje dla wszystkich drugie śniadanie. Renuś ma trochę mniejsze mdłości, ale wygląda mizernie. Należy jej się w jej stanie całkiem inna dieta — ale skąd wziąć? Dyzio — mój Boże, chciałabym bardzo, by się to dziecko urządziło gdzie indziej, ale wierzę, że jeśli na razie nie udało się, to nie ma w tym woli Bożej. Nie przyjęli dla Ciebie w tym tygodniu paczki, motywując, że za prędko, że zbyt często nosimy. Zbyt często! Nie rozumiem ci ludzie, czym jest każda godzina z dala od ukochanego.

Raz w tym tygodniu wpadłam do ciotki i pani Rodziewiczowej. Były przeogromnie serdeczne i otoczyły mnie sercem i dobrocią wielką. Ludzie dobrzy są! Pan Kazimierz na przykład

⁴⁷ *Pseudologia phantastica* — zaburzenie psychiczne objawiające się patologiczną skłonnością do opowiadania kłamstw, najczęściej pod postacią zmyślonych historii przedstawiających opowiadającego w korzystnym świetle.

— systematycznie, codziennie budzi nas o 6-tej, stukając w okiennicę, czym przyczynia się do tego, że mogę w nocy spać spokojnie bez obawy, że prześpię. Odkąd dostałam różowe mydełko — życie wydaje się różowym. Widzisz, jaka głupiutka kobieta z Twojej żonki. Ale kocha Cię ona bezgranicznie. †

18 III

Mój Ty najdroższy! Zapisałam się na jutro do prokuratora, który może poinformować co do Twojej sprawy. Będę rano w kościele — wierzę, że Pan Bóg nie opuści i teraz!

Dziś miałam list od Maryli Grzegorzewskiej i Baśki⁴⁸. Kochane, dobre przyjaciółki! One naszymi sprawami naprawdę są przejęte. Tak mnie ten list podniósł na duchu.

21 III

Informacyj prokurator nie udzielił, bo Twojej sprawy jeszcze nie dostał. Mój Jedyny! Boję się czegoś, taka trwoga w sercu! Może to ten nerwowy nastrój ostatnich dni robi — koniec trymestru! Trzeba dzieciom stopnie wystawić, przepytac. Ze Zbyszkciem — zmarwienie: nie zwolnili naszego chłopca z opłaty za gimnazjum. Trzeba szykować 200 rubli. To bardzo przykra niespodzianka: jako nauczycielka byłam pewną, że go zwolnią. Przyczynił się do tego nijaki prof. Górski, który kiedyś wykładał u jezuitów. Takie świństwo — czyż nie wie, jak trudno — ale co tam o tym myśleć!

[...]

[Dopisek na marginesie:] Dzieci ostatnio są takie miłe! Rusieńku najdroższy!

22 III

Przed chwilą widziałam się z jedną z sąsiadek, mąż której więty został teje nocy co i Ty. Dostał wyrok: 8 lat. Zostaje wysłany gdzieś na Ural. Wczoraj jej z dziećmi pozwolono zobaczyć go i dostarczyć paczki. Boże, bądź miłosierny, zmiłuj się nad nami!

.....
⁴⁸ Barbara Grzegorzewska — siostrzenica Marii Grzegorzewskiej.

24 III

Wróciłam spod więzienia. Znów nie przyjęto paczki dla Ciebie. Mówią, że sam napiszesz do nas, co Ci przynieść. Trzeba więc czekać. Trzeba trzymać się mocno i nie poddawać się rozpacz. Bóg z nami, będzie dobrze. Od dziś mamy ferie wiosenne w szkołach. Dzieci są względnie wolne. Zbyszek tylko ma dodatkowe lekcje matematyki w szkole. Dziś oprócz tego podjął się sprzątnąć śnieg u prof. Korala i ma za to dostać 10 rubli. Sprawa z tymi rękawiczkami też się tak miała, że miał zarobek w gabinecie fizycznym swego gimnazjum. Kupił sobie te rękawiczki skórzane — no i wstydził się, że na siebie wydał swój zarobek. Dlatego nie przyznawał się. To zacny, ale słaby chłopak. I teraz chcę, żeby sobie kupił cośkolwiek, o czym marzy — może nawet łakoci — niech nie sądzi, że na jego zarobek czyhamy, wszak to dziecko jeszcze. Z dziewczynkami mam lekki kłopot: obie zakochały się w jednym i tym samym chłopcu. Jest więc zgrzyt między nimi. Całe szczęście, że bohater romansu o nich nie wie i na żadną nie zwraca uwagi. Duśka w związku z miłością nawet jakoś wyszlachetniała i upewnia mnie, że teraz już będzie inna, lepsza. Cieszy mnie bardzo to, że jedna i druga zwierzają się z swych uczuć. Myszki moje kochane! Żebyż one spotkały w życiu takie uczucie jak nasze z Tobą. Od dziś zaczynam rekolekcje. Wczoraj byłam u św. Kazimierza i osłabłam bardzo: zbyt wszystko przypominało mi, jak codziennie razem z Tobą obok siebie tam modliliśmy się. Potem z dziewczynkami odwiedziłam chorą panią Plewińską. Dziwny to człowiek — nigdy nie zrozumiem jej. Po obiedzie poszłam do gimnazjum Jasi na wywiadówkę. Bardzo, bardzo słabiutko stoi dziecko. 4 z gimnastyki, dwie trójki, cztery 3-, 3= i dwie dwójki. A tak pracuje. Kiedyś narzekała, że „nie doucza się”. Biedulka, całe szczęście, że pamięć ma dość dobrą i chociaż wiersze jej lekko idą. Ta ich pani Grzybowska okazała się naprawdę życzliwą, porządną i przyzwoitą osobą. Ułatwia jej jak może i bardzo współczuje ze mną wobec naszego nieszczęścia.

Ale, złoty Kicinki Ty mój — minie i to i razem będziemy. A w domeczku naszym będzie błogosławieństwo Boże. Tylko trzeba być godnym tego. Dziewczynki piłują drzewo. Dużo pracuję nad Wandulką. Bywają krótkie spięcia. Ale wiem, że będzie dobrze.

Zauważyłam, że trochę fizycznej, męczącej pracy bardzo dobrze na nią wpływa, aby tylko niezbyt dużo. A potem — uściskać, ucałować tę szaloną główkę i dać odpocząć. Wtedy we śnie ma miłą, uczciwą dziecinną mordeczkę.

25 III

Dzień Zwiastowania Najświętszej Marii Pannie. Byliśmy z dziewczynkami (Zbyszek miał lekcję matematyki w gimnazjum) w Ostrej Bramie na mszy. Potem pod Łukiszki. Rzeczy znów nie przyjmowano. Wracając, spotkałyśmy brata tego Pazowskiego, co był razem z Tobą w szpitalu więziennym i powiadomił mnie o Tobie. Jego aresztowano po raz drugi. Potem wezwano żonę, by go zabrała, bo chory. Nazajutrz — umarł. Nie żyje też jeszcze jeden z ludzi aresztowanych jednocześnie z Tobą w lipcu — prof. Kępiński. Jego żonę znałyśmy mało, bo bywała pod więzieniem tylko na początku, potem od niej przestano przyjmować rzeczy. Teraz zawiadomiono ją, że mąż jej umarł w sierpniu ubiegłego roku. Ruśku, ile smutku! Ile łez! I za co? Całuję Twoje jasne dobre oczy. †

27 III

Trzeci już dzień z rzędu odprawiają z kwitkiem od okienka na Łukiszkach. A tak marzyłam, by zobaczyć Twoje nazwisko własnoręcznie napisane i samej podpisać się. Jak na złość w moim wolnym tygodniu nie przyjmują rzeczy. W nocy byliśmy ze Zbyszkciem na dworcu, bo powiedziano, że dziś odchodzi transport z więźniami. Nie było. Po więzieniu — poczekalnia prokuratora. Łzy i blade twarze żon i matek. Ale Bóg jest miłosierdzia pełen. Ufajmy Mu! †

29 III

Tydzień wakacyj wiosennych skończył się. Tyle sobie obiecywałam, że zrobię dla Ciebie — i nic nie udało się. Obstałowałam tylko na wszelki wypadek ciepłe „walonki”, żeby na przyszlą zimę nogi Ci nie marzły.

30 III

I znów niedziela. Skończyły się rekolekcje odprawiane u ks. Wantuchowskiego⁴⁹ w kościele św. Kazimierza. Czuję się silniejszą i spokojną. Jutro rozpoczynają się rekolekcje dla mężczyzn. Zwykle uczęszczałeś na nie. W tym roku postanowiłam przez ten okres, gdy chodziłbyś na rekolekcje, podwójnie skupić się, codziennie być u Stołu Pańskiego, czuwać nad sobą więcej niż dotychczas, ofiarowując to Panu za mego Mężulka najdroższego. Czy odczujesz to? Czy zagości jasny spokój i pogoda w skołatany Twym sercu? Ufam, że tak. Najdroższy, Bóg tak blisko nas jest! Często proszę Go: połóż rękę swą na głowie mego Umiłowanego, pobłogosław mu. Wiem, że w tych chwilach jest Ci lżej i jaśniej. Nic nas nie rozłączy, bo Pan zechciał naszego związku. Zawiniłam nieraz wobec Ciebie charakterem i językiem swym. Odpokutuję — i wróci radość i szczęście. Gdy robiłam przed spowiedzią rachunek sumienia, uprzytomniłam sobie nagle, że cały okres naszego małżeństwa nigdy nie mówiłam, klęcząc u krat konfesjonału, nic takiego, czego bym przedtem Tobie nie wyznała. Przyjacielu mój, Miłości moja! Czekajmy z ufnością, wytrwamy.

Gdy spotkamy się, niejedną nową zmarszczkę na twarzy mej zobaczysz. To nic! Wiem, że je ucałujesz tak samo, jak całowałeś, gdy była gładką. Posiwiłał głowę do siebie przytulił i pogłaskasz tak samiuteńko, jak głaskałeś starannie ondulowaną. Piękną będzie nasza wspólna jesień — treściwa, oparta o wypróbowane uczucie i wzmocniona przez błogosławieństwo Boga Najmiłosierniejszego nam i dzieciom naszym. Wytrwamy, Ukochany. †

Posłuchaj, jaki cudny wiersz Staffa (modlitwa):

„Wyszedłem szukać Ciebie o świcie i w trwodze,
Nie znajdując, myślałem, żem szedł drogą kłamną,
I spotkałem Cię, kiedym odwrócił się w drodze,
Bowiem przez całe życie krok w krok szedłeś za mną”.

49 Ks. Władysław Wantuchowski (1895–1961) — jezuita; rektor jezuickiego ośrodka studiów teologicznych w latach 1939–1942.

6 IV

Ten tydzień był na początku bolesny jak rana. I znów nie przyjęli dla Ciebie nic, mówiąc, że sam napiszesz i zażadasz... Nareszcie w czwartek po południu poczta przyniosła karteczkę, pisaną Twoją ręką. Jakże ją tuliliśmy do serca wszyscy! Dopiero na 9 IV można Ci coś przynieść. Nie wiadomo, czy przyjmą jedzenie czy nie. Pójdę sama — chcę, byś widział mój podpis w księdze. Rusieńku, Ruśku mój, tyle się o Ciebie modliłam w tym tygodniu.

W środę miałam wizytację — na razie jakoś poszło, tylko w uwagach napisano, że w klasie nie ma kącika Lenina. W tym tygodniu nie będę miała ani ranków, ani wieczorów wolnych. 4 popołudnia — litewski, 1 raz — świetlica szkolna, 1 raz — politgramota⁵⁰ w Wielkim Tygodniu 20–23 wieczorem w sobotę. Dziś u bonifratrów była msza święta za Was zamówiona przez żony tych, kogo już zwolnili. Rusieńku! Chcę być silna, nie skowycić z bólu, chcę być pewną, że minie smutek i będziemy razem. Ruśku mój cudny, najukochańszy! †

9 IV

Zaniosłam żądane przez Ciebie rzeczy do więzienia, mój Ukochany! Chciałam dać ponadto trochę żywności na święta — nie przyjęli. U prokuratora powiedziano, że wyrok w Twojej sprawie będzie za kilka dni. Bóg Miłosierny z nami. Wierzę i ufam.

Owoc ostatnich rekolekcji następujący: Dobroć, Miłość i Opatrzność Boża ponad wszystko! Nie ma granic ani końca. Tylko my tego nie umiemy zrozumieć. Sprzeciwianie się woli Boga — grzech. Sprzeciwianie się naszej woli przez Boga, gdy zsyła nam nie to, czego my pragniemy — Krzyż nasz. Jego trzeba nieść ufnie i z miłością, o ile żadnym uczciwym sposobem nie można uniknąć. Cierpiętnictwo bowiem dla samego cierpienia nie jest zasługą, tylko zboczeniem. Gdy z całą świadomością podejmujemy zesłany nam, nieunikniony Krzyż i dźwigając go, patrzymy na cel jasny i wzniosły — wykonujemy czyn. Czyn znoszenia podnosi naszą wartość. Po Krzyżu — Zmartwychwstanie. To są

⁵⁰ Politgramota (ros. *политграмота*) ‘przekaz mający na celu narzucanie odbiorcy określonych poglądów politycznych’.

dwa nierozzerwalnie powiązane momenty. Zmartwychwstanie bywa tylko tam, gdzie było przyjęcie Krzyża, którego nie dało się odsunąć po chrześcijańsku, etycznie. Każda opuszczona okazja pomocy bliźniego odsuwa Zmartwychwstanie. Rusieńku, po Wielkim Piątku będzie Niedziela!

13 IV

Nasz umiłowany! Dzień zmartwychwstania Pańskiego. A więc dzień tryumfu i nadziei. W Wielki Czwartek, jak zwykle, całą rodziną przystąpiliśmy do Komunii Świętej. W Wielki Piątek obchodziliśmy groby. W każdym kościele do Wszechmogącego wysyłaliśmy gorące modlitwy za Ciebie, nasz jedyny. Najdłużej zatrzymaliśmy się u św. Jakuba, bo to najbliższej Ciebie. Potem obeszlśmy cały blok więzienny dookoła, a myśli nasze były tuż przy Tobie. Dziwne to było, to nasze okrążenie Twego więzienia. Nikt nie mógł mówić. W niebieskich oczkach Jasi były łzy, Zbyszek szedł z zaciśniętymi ustami i zmarszczonymi brwiami. Duśka raz po raz wzdychała. A ja — wiesz, co ja czułam! Tylko trzeba, trzeba trzymać się dzielnie i mocno! A dziś: rano msza święta rozpoczynająca *novenę* do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy — w kościele św. Jakuba. Potem — pod Łukiszki, by złożyć Tobie życzenia. Rusieńku! Nasz cudny, najmilszy, jedyny na świecie Rusieńku! Święcone — skromne i — jakby z Tobą — tak bardzo czuliśmy Twe uczucia tuż przy nas. Potem przyszła ciotka, państwo Krzyżañscy, chłopcy ze szkoły. Dzień chyli się ku końcowi. Idzie już czterdziesty tydzień naszej rozłąki, bo dziś 275-ty dzień.

Boże Wielki, Sprawiedliwy i Miłosierdzia pełny! Zachowaj nam Tatuska, wiarę jego śliczną, ufność w Twe wyroki, zachowaj miłość jego i nasze rodzinne szczęście, na tle szczęścia kraju naszego. Ty, Boże, wiesz, czemu dopuściłeś na nas ten ból. Niech imię Twoje będzie błogosławione! Gdy na to zasłużymy, pocieszysz nas. Pociesz już teraz naszego Tatuska. Niech odczuje Twoją obecność w celi więziennej. Połóż rękę swoją na jego skołatanej głowie. On Cię zawsze gorąco kochał z całym swym prostym żołnierskim oddaniem. Matko Najukochańsza! Pociesz i dodaj sił i jasnej ufności. Wysłuchaj słów modlitwy jego. Zanieś je

do Syna Swego. Powiedz Ruškowi o tym, jak go kochamy. Zachowaj jego śliczne uczucie do nas! Twoim on był zawsze i jest. Strzeż go i broń, jako rzeczy i własności swej. Ty wiesz, jak on Cię kocha i czci. Bądź w tym dniu przy moim biedaku! Odwiedź go w celi jego i rozjaśnij smutek jej. Amen.

20 IV

Znów niedziela. Dopiero wstaliśmy od śniadania po mszy świętej. Przed kościołem pobiegliśmy popatrzeć na Wilię. Zalała Zygmuntofską, aż za Bibliotekę Wróblewskich⁵¹. Tydzień minął szybko, bez większych zdarzeń. To znaczy na szerokim świecie dużo się zdarzyło: skapitulowała Jugosławia. Żywo stoją przed oczyma cudowne miejscowości, które tam widziałam⁵². Rusieńku, kiedy koniec wojny? Jak wtedy wyglądać będzie świat? Jakim będzie nasz naród i Ojczyzna nasza? Czy będziemy lepsi, czy pozostaniemy z naszymi wadami? Tak chcemy polepszać się i tak trudno idzie regeneracja. Jak Ty tam? Jak czujesz się duchowo? Czy potrafisz zwalczać chwile przygnębienia? Malutki mój! Dziś ja nie bardzo jestem „w formie” — i niebo tak szare.

27 IV

Kicińki! Najdroższy mój! Porozmawiamy stylem telegraficznym o ubiegłym tygodniu.

- 1) Zbigniew wydalony z gimnazjum. Z opłaty nie zwolnili. Pożyczyć nie udało się. Na uszczuplenie żywienia dzieci on sam za nic nie chciał zgodzić się. Wstąpi na jesień po raz drugi do tej samej klasy.

⁵¹ Biblioteka Wróblewskich — biblioteka założona przez wileńskiego adwokata, kolekcjonera i bibliofila Tadeusza Wróblewskiego w 1912 r. W 1926 r. została upaństwowiona jako Państwowa Biblioteka im. Eustachego i Emilii Wróblewskich. W nazwie utrwalono imiona rodziców założyciela Eustachego (1826–1891), lekarza, badacza nauk przyrodniczych, działacza społecznego i niepodległościowego, zesłańca syberyjskiego, oraz Emilii (1830–1886), nauczycielki, których zbiory dały początek bibliotece.

⁵² Nawiązanie do podróży służbowej po Jugosławii w kwietniu 1931 r.

- 2) Grypa: Jaśka, Natka.
- 3) Cholerinka⁵³: Rena, Edek, Dyzio.
- 4) Lekarstwa dostać bardzo trudno. Czujemy się fatalnie, ale to przejdzie.
- 5) Umarł pan Pożarski. Miał raka. Wysechł jak mumia.
- 6) Edek zarabia już. Ale za to jego ojciec stracił pracę.
- 7) Grupa chłopców mojej klasy zabrała 327 rubli internatowych i wyruszyła w świat. Część już jest. Dlatego dziś 6 godzin spędziłam na badaniu w komisariacie milicji. Może uda się gałganów wyratować, ale to jeszcze niepewne.

Ruśku, cały tydzień mam temperaturę. Dlatego piszę tak krótko. Teraz — dobranoc. Piszę mało, bo źle mi jest. Ale dzieci starają się, tylko też zdenerwowane są i chore. Ciebie, Rusieńku, kocham! Bardzo!

Trochę odpoczęłam, więc jeszcze choć kilka minut chcę pogawędzić z Tobą. O naszym Zbyszku. Kochane, zacne to chłopaczysko. Chce koniecznie zarabiać, żeby pomóc w domu. Nie mogę mu tego zabronić, bo skoro przerwał naukę, istotnie lepiej, by zajął się pracą. Tym bardziej że ostatnio przeżył dużo. Nastąpiło zerwanie z jego dziewczyną. Przekonał się, że ona nie odpowiada na jego uczucie. Powiedział mi tak smutno:

— Widzę, że ja jej przeszkadzam. Trzeba to likwidować.

Kosztowało go to dużo i chodzi oswiały i smutny. Ale trzyma się dobrze. Swoje własne bóle i zmartwienia potrafi odsunąć na drugi plan. Żyje lepszymi, wyższymi ideałami i dążeniami. Niedawno zwierzył mi się z wielkiej troski: jeden z profesorów gorąco kochany przez młodzież — wykoleił się. Zakochał się — mając żonę i dziecko — w uczennicy. Jest to, zdaje się, uczucie platoniczne, mimo to chłopcy przeżywają to jak własny dramat. Nie wiedzą, jak zaradzić, ale boli ich to strasznie. „Jakby umarł — mówią — ktoś bardzo kochany”. Jakże wielką jest nasza odpowiedzialność przed młodymi!

53 Cholerinka — osłabiona postać cholery, której towarzyszą silne biegunki i wymioty; choroba zakaźna.

1 V

Święto — pochody — dekoracje. Ja w łóżku i kierownik pozwolił mi nie przychodzić. Wczoraj w szkole na obchodzie znów poczułam się tak niedobrze, że musiałam wyjść, a na korytarzu runęłam jak długa na podłogę. Rusieńku, bardzo dużo troskliwości i serca okazali mi wczoraj pan Mackiewicz⁵⁴ i pan Lubin. Chciałabym, byś im kiedyś podziękował, Kochanie moje! Od dwóch dni ze stacji odchodzą towarowe wagony z więźniami. Bywam godzinami na ul. Towarowej. Przez ma-lutkie okratowane okienka towarowych wagonów czasem mi-gnie błada twarz, ręka wysunięta. Raz ktoś machał uczniowską czapką. Jak przetrzymać, jak znaleźć siły, by ufnie patrzeć? Na-pisałam te wyrazy, a wzrok upadł na ołtarzyk, który przystro-iliśmy, by odprawiać majowe nabożeństwa, jak zwykle robili-śmy to z Tobą, Jedyny. Ona — da siły i zaopiekuje się, i obroni! Matko miłosierdzia!

2 V

[...]

3 V

[...]

4 V

Najdroższy! Stała się rzecz bardzo ciężka i smutna. Duśka po sprzeczce ze Zbyszkiem wyszła z domu, trzaskając drzwiami i nie wróciła dotąd. Stało się to przed 4 godzinami. Przedtym pogniwiała się na mnie, że nie pozwoliłam dziewczynkom dziś iść na majowe nabożeństwo. Gdy wracałyśmy z obiadu też iry-towała się za uwagę o brudnym płaszczu. Ostatnio była bardzo wojownicza, często ordynarna, ale nie przypuszczałam, że tak postąpi. Zbyszek poszedł dowiedzieć się do pani Plewińskiej,

.....

⁵⁴ Być może Józef Mackiewicz (1902–1985) — polski dziennikarz, pisarz i publicysta. W latach 1939–1940 był naczelnym redaktorem wydawanej przez siebie „Gazety Codziennej”.

czy tam jest. Kochanie moje, czy Ty czujesz, jak jesteś potrzebny nam w domu? Boże Wielki! Nie umiałam znaleźć drogi postępowaniem [!] z tym dzieckiem... a tak pragnę tego!

Godzina 11-ta w nocy. Poszłam w ślad za Zbyszkiem. W międzyczasie Wanda wróciła. Pani Plewińska zrobiła na Zbyszku wrażenie doskonale wtajemniczonej w sprawy Duśki, chociaż twierdziła, że o niczym nie wie. Bóg Najwyższy jest sędzią, nie ja. Ciężko mi będzie jutro mówić z Dusią. Te rzeczy nie powinny się powtarzać, bo dziewczynka zacznie nas szantażować, wymęczy wszystkich i sama zupełnie wykolei się. Trzeba będzie postawić sprawę jasno: albo przeniesie się na zamieszkanie tam, dokąd ucieka, albo niech to się więcej nie powtarza. Sądzę, że Ty tak samo postąpiłbyś. A teraz idę pomodlić się do naszej Matki, by nauczyła mnie wychowywać dzieci — nic a nic ja sama bez Jej pomocy nie zdołam.

5 V

Rano Wandzia nie powiedziała mi „dzień dobry”, nie zbliżyła się do mnie. Spotkałyśmy się dopiero na Uniwersyteckiej. Gniewna, zbuntowana twarzyczka. Jasińska dziś pozostaje na Uniwersyteckiej dłużej, więc przed nami z Duśką była perspektywa wspólnego powrotu do domu. Jasia, żegnając się ze mną, oznajmiła wielce zażenowana:

— Mušku, Wanda spotkała dziś babcię Plewińską i ona dała dla mnie parę jedwabnych pończoch, a dla Wandy rękawiczki.

— Oj, Ninuś, ale chyba nie będziesz teraz nosiła jedwabnych pończoch, schowasz na później, gdy będziesz starsza?

— Tak, Mušku, ja i sama tak myślałam.

Dusia — milczy, łebek zadarty go góry. Idziemy razem. Bardzo spokojnie mówię, że absolutnie nie mogę zgodzić się na takie rzeczy, jakie miały miejsce wczoraj. Przerywa głośno, ordynarnie:

— Proszę nie mnie, tylko Zbyszkowi zwracać uwagi.

— Dusiu, nie masz prawa takim tonem mówić do mnie. Nie chcę długo mówić na ten temat, bo ani przepraszałaś za wczorajsze, ani naprawiałaś tego, co zrobiłaś.

— Nie uważam, żebym zrobiła co złego — głos zły, krzyczy prawie.

Raz jeszcze podkreśliłam, że nie pozwolę na takie awantury w domu. Nie zgodzę się na krzyki i wrzaski, gdy za drzwiami mieszkają Litwini, którzy nie wiadomo co pomyślą o polskiej rodzinie. Dodałam:

— Jeżeli nie chcesz mieszkać z nami, jak krzyczałaś wczoraj, to możemy to omówić, siłą zatrzymywać Ciebie nie będę, ale nie wolno bez pozwolenia wychodzić z domu i awanturować się.

Jeszcze kilka brukowych, złych zdań rzuconych przez dziewczynkę w przestrzeń, nie odwracając głowy w moim kierunku. Dochodzimy do kościoła św. Michała. Naprzeciw mieszka jedna z jej nauczycielek, panna Wanda, do której chodzi na lekcje matematyki. Pytam się, czy zaniósł jej dane przedwczoraj za lekcje pieniądze. Półgębkiem odpowiada, że tak. Wielki żal ścisnął mnie za gardło i — może niepotrzebnie — powiedziałam:

— Wiesz, dziecko, że nawet wróbel czy gołąb w stosunku do tego, kto dba o wszystkie jego potrzeby, nie okazuje takiej nienawiści i niechęci jak ty do mnie.

Nie poskutkowało. Wzruszyła tylko ramionami. Wtedy powiedziałam, że wobec jej niegrzecznego postępowania lepiej, by szła sama do domu. Ja zaś wrócę później. Wstąpiłam do kościoła, wróciłam w pół godziny po niej i teraz siedzę smutna. Może będę żałowała, że piszę do Ciebie o tym. Za nic nie chcę, by w radosnym czasie, gdy znów będziemy razem, mąciło szczęście to, że będziesz może niezadowolony z tego biednego dziecka. Ale pisząc to, chcę wierzyć, wierzę, że może to jakieś opętanie (czy zły wpływ?) minie i zwycięży to, co w każdym człowieku, a więc i w naszej Dusieńce o piwnych oczkach i nadąsanych wargach jest dobrego i cennego.

Godzina 11-ta wieczór. Gdy przed godziną wróciłam z kursu litewskiego, Zbyszek i Jasia spotkali mnie wiadomością o nowej awanturze Dusi. Pokłóciła się przy kolacji, zaczęła krzyczeć, że nikogo słuchać nie ma zamiaru ani żadnego obowiązku, potem znów uciekła z domu. Okazało się, że stoi za drzwiami na schodach do piwnicy. Otworzyłam te drzwi. Stoi i pochlipuje.

— Duśka, idź i kładnij się spać. Porozmawiam z panią Plewińską. Jeżeli nie chcesz tu być, zamieszkaj sobie u niej. A teraz — połóż się.

Coś bąknęła, poszła do łazienki, pobyła tam z kwadrans. Przyniosła swoją pościel i teraz słyszę, że pochlipując, kładnie się spać. Nie przyszła powiedzieć „dobranoc”. Nie idę i ja. Piszę do Ciebie z myślą, że chyba telepatii jako takiej nie ma, bo inaczej nasz głuptasek usłyszałby, jak ją w duchu serdecznie wołam i namawiam, by przyszedł tu i wypłakał się na ramieniu. Dziwna rzecz: nie wiedziałam, że tak bardzo tego złośnika kocham. Może to i prawda, że matki najwięcej zawsze kochają tych, z kim najwięcej namęczyły się. Ustąpić mi jej nie wolno. Muszę zachować spokój i nazywać jej postępowanie po imieniu. Nie mogę pozwolić na robienie tego, czego ona chce. Gdyby nie pani Plewińska, poszłoby łatwiej. A to ona wciąż biega do niej i wraca tak zbuntowaną, jak tylko może.

Smutno bardzo. Dusia nie przyszła. Zasnęła z mokrymi policzkami i biedną piegowatą swą mordką. Biedna i Ninuska! Wanda żaliła się na nią przed Reginą, która robiła dziś biednej dziewczynie w gimnazjum wyrzuty. Maleńka wróciła bladziutka jak opłatek z podkrążonymi oczkami. Ruśku! Jak zrobić, by było słońce i zgoda? Tak dużo się dziś o to modliłam...

9 V

Przez wszystkie te dni tak dużo, dużo modliłam się do Marii Najświętszej. Dziś — upór Duśki znikł, przyszła i — jakkolwiek bardzo opornie — ale w końcu uznała, że jej postępowanie nie było w porządku. Ciężkie były te dni, ale, chwała Bogu, minęło na teraz. Rusieńku mój! 9-go maja 1937 roku — wiem, że dziś dużo myślisz o tym! „Łuźniki” — jedyny Ty mój! Czy wróci nasze jasne, słoneczne szczęście? Piszę te słowa, a nagle wielka, dobra cisza napełniła serce. Wróć! Dzięki Ci za niezliczone godziny szczęścia, które mi dałeś i jeszcze dasz, Ruśku!

11 V

Rusieńku nasz! Przekonałam się, że gdzieś mamy potężnego wroga, który nas nienawidzi. Sądzę, że ta sama ręka starała się przeszkodzić ongiś naszemu małżeństwu, taż sama rozpuszczała oszczercze plotki o Tobie i tenże człowiek postarał się o to, by Ciebie aresztowano. Oj, Rusieńku mój — ależ i nienawidzi on.

Dzisiejsza niedziela taka jakaś smutna... Byłam z dziewczynkami i Dyziem w naszym małym kościółku na majowym nabożeństwie. Ileż to razy tam byłam z Tobą! Ruśku mój! Pod więzieniem stałam dziś długo. Niczego, oczywiście, dowiedzieć się nie mogłam, ale zawsze lżej jakoś, gdy Ty bliżej jesteś.

17 V

W środę nie przyjęli paczki dla Ciebie, kochanie Ty nasze, ale funkcjonariusz powiedział Duśce, że jesteś tutaj. Pojutrze znów będziemy próbować. Poszlę też 10 rubli pocztą — może choć w ten sposób przekonasz się, że jesteśmy na świecie. Jak okropny ten brak łączności pomiędzy nami. Ten miesiąc — taki ciężki... Ciężki materialnie bardzo. Te 200 rubli za gimnazjum bardzo nas podcięły. Żebyż choć wcześniej człowiek o tym wiedział! Za lekcje Duśki też przed egzaminem więcej trzeba było dać. Buty zaczęły drzeć się bez miłosierdzia. A tu jeszcze choroby nie wyłażą z domu. Renuś cztery tygodnie już kwęka, Edek też, Zbych po zastrzyku antytyfusowym i Ninuś również niezbyt dobrze się czuje. Naokoło chorują — tak boję się o nasze dzieci.

20 V

Oj, Ruśku! Czy Ty wiesz, czy czujesz, jak źle jest Twej Natce? Czy możesz sobie wyobrazić upokorzenia i poniewierkę, które spotykają kobietę, którą darzyłeś taką cudną miłością i szacunkiem? Może to i lepiej, że tego nie widzisz. Jedno Ci tylko powiem, Rusieńku: gdyby wolno było człowiekowi wybierać swój los — wybrałabym Twój — nie swój obecny. Wątpię, czy kiedykolwiek od kogokolwiek dowiesz się wszystkiego — skarżyć

nie chcę, nie wolno mi tego. „Boże, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią”... Zapłata brutalnością, wrogością, walką za serce, miłość i troskliwość — to wszak nie tylko mój udział. To już było, to jest stare jak świat.

Do Ciebie rwie się dusza, by wypłakać się, wyszlochać się w spazmie bólu i rozpacz. Mój Przyjacielu! Mój Mężu! Opiekunie i Obrońco mój! Ale wszak Ty, Ty mnie nie skrzywdzisz, prawda? Ciebie mogę być pewną — czyż nie tak? Rusieńku, Słoneczko Ty moje! Od Ciebie nie doznam tego, co obecnie tak boli? Och, jakże mi źle jest! Jak ciężko i samotnie! Widać, nie zasłużyłam na nic lepszego. Sama, widać, zawiniłam — nie potrafiłam być taką, jaką trzeba było być. Tylko ja — nikt inny nie winien...

Bądź Wola Twoja! Błogosław wszystko, co mi zsyła Najwyższy. Trzeba poddać rewizji siebie — z całą pewnością gdzieś kryje się jakaś moja wina. Tak już zawsze było w moim życiu — drogo musiałam płacić za każdą winę. Więc jeżeli dziś tak mi gorzko i wydaje się, że mnie skrzywdzono, to muszę doszukać się — nie tego, co kto inny mi zrobił, tylko — co zaniedbałam zrobić mu dobrego, w czym ja zawiniłam. Wiem, że mam dużo despotyzmu, gwałtowna jestem, bezkompromisowa. To wszystko na pewno niejednokrotnie robi przykrości innym. Słusznie więc, że i mnie robią później przykrości. Wszak i Tobie, najlepszemu na świecie człowiekowi, potrafiłam przyczynić zmartwienia, chociaż tak Cię bezgranicznie kocham... Czyż mogę więc mieć za złe, że ktoś zmartwił mnie, że wydaje mi się, że obraził mnie, poniżył? Może ja podrażniłam sama, spowodowałam niecierpliwością, szorstkością zapytania to, co się stało? Wszak doznawałam tyle lepszych rzeczy od tego samego człowieka — czy wolno mi teraz zatrzymywać się na tym, że obecnie wycisnął mi łzy? Nie i jeszcze raz nie! Nie rozczulać się nad sobą, nie sądzić ludzi podług tego, co **nam** zrobili.

„Ból swój niebu trza polecić, a samemu wciąż wytrwale trzeba naprzód iść i świecić”⁵⁵. Już Twoja Natka nie płacze. Płacz nad sobą osłabia, brudzi. Patrę w przestrzeń — tam, gdzie Ty jesteś,

55 Cytat z wiersza Słonko Adama Asnyka.

i uśmiecham się do Ciebie. Pocałuj mnie — zwalczyłam złą chwilę. Kocham Cię, kocham bardzo naszego Zbyszka. Wierzej mi — to dobry chłopak. A będzie jeszcze lepszy, gdy Ty będziesz przy nas.

Matko! Pomnij, że on Twoim jest, przeto strzeż i broń go jak rzeczy i własności swej. Dobranoc, Kicinki! Ufam Ci i wierzę w Ciebie jak w nic i nikogo na świecie. I dlatego chcę żyć i żyć po Bożemu tak, by nie wstydzić się za złe chwile słabości, rozpacz i zniechęcenia.

Tak mi dopomóż Bóg!

24 V

Sobota. Dziś w szkole były ostatnie lekcje. W poniedziałek rozpoczną się egzaminy i trwać będą przez cały tydzień. W tenże dzień — pierwszy egzamin maturalny naszego Zbyszka. W tym tygodniu uzyskałam pożyczkę z kasy Kuratorium. Spłaciłam dług 200 zł zaciągnięty u Dyzia na gimnazjum Zbigniewa. Spłaciłam nasz dług, a właściwie jego resztę w Banku Antokolskim, kupiłam córkom drewniaki, bo zawsze to na lato i taniej, i praktyczniej niż skórzane obuwie, które w ten sposób zaoszczędzi się na jesień. Dziś otworzyłyśmy resztę okien w mieszkaniach — to pierwszy naprawdę ciepły dzień. Na grządkach wschodzi sałata, pokazują się rzodkiewki. Posadziłam też w tym roku trochę ogórków, trochę grochu, marchwi, buraków i po niedzieli chcę posadzić jeszcze fasolki szparagowej. W zeszłym roku, gdy krzątałam się koło grządek, patrzyłeś na mnie z miłością i nazywałeś swoją ukochaną ogrodniczką...

Słońce świeci i w okna więzienne...

Jedyny mój, nie wiem, kiedy zobaczymy się. Ale to wiem dobrze, że całą duszą, całą istotą na zawsze pokochałam Ciebie. Czy w tym, czy w przyszłym życiu spotkamy się? Ale przecież naszej Miłości i Przyjaźni nie zniszczy nic. Ślubowaliśmy sobie ją w obliczu Boga. Kocham Cię, Rusieńku, najmilszy mój!

28 V

Pierwsze upalne dni. W szkołach rozpoczęły się egzaminy. Zbyszek miał dziś drugi już egzamin. Moja klasa — trzeci. Idzie dobrze. Mogłoby być tak dobrze, a tak bezgranicznie jest smutnie. Tyle żon otrzymało wezwania, by przyjść pożegnać się ze swymi mężami. Rusieńku, co nas czeka? O każdej godzinie dnia spodziewam się takiej kartki. Boże mój, Boże! Rusieńku, jutro znów spróbujemy zanieść Ci trochę rzeczy — a nuż przyjmą? Jedyny, cudny nasz! Nie w stanie jestem pisać dziś — jakże tęskno.

30 V

Choć kilka słów do swego Najukochańszego. Czytam dziewczynkom *Pana Tadeusza* i naczytać się, jak zwykle, nigdy nie mogę tym cudem. Co dziwnego, że Ty to tak lubisz, Jedyny! Wczoraj Ninuśka stała 6 godzin pod więzieniem i wreszcie powiedziano jej, że masz już „cały skład” rzeczy i nie przyjmą więcej. A tak ogromnie pragnęłam dać Ci znak życia o nas. Rusiu, nasz Rusiu! Natce Twej źle i smutno. Czy będzie kiedy lepiej?... Gdybyś mógł być tu — jakże inaczej szłoby wszystko!

3 VI

Już czerwiec. Chłodny, wietrzny... smutny. Do szkoły chodzę co dzień — to Rada Pedagogiczna, to szczepienie przeciwtyfusowe, to coś innego. Od 1-go stołujemy się znów w domu: Ada zlikwidowała swój „interes”, bo wychodziła na nim jak Zabłocki na mydle. Rusiu — nawet pisać nie mogę — ostatnio nasz kontakt z Tobą, to modlitwa. Jakże błagam Pana!

4 VI

Dziś rano w Ostrej Bramie była msza święta na Twoją, nasz Najdroższy, intencję. Przyszła nasza kochana babcia Siemaszkowa⁵⁶. Ona Cię, Rusieńku, gorąco kocha. Zbyszek poszedł na egzamin — już piąty, matematyka (już były: polski, litewski,

⁵⁶ Babcia Siemaszkowa — babka Piotra Ilgiewicza od strony matki.

rosyjski i francuski). Dziś wrócił zadowolony: większość robiła ze ściągaczek — on rozwiązał tylko jedno, nie dwa zadania, ale za to sam. Po mieście krążą pogłoski, że znów wywieźli dużo więźniów... Nasz Tatulku... Nasz Najdroższy!

5 VI

Rozpoczęła się dziś nowenna do św. Antoniego. Powiodłam oczami po twarzach... Znekane, mizerne, blade. Psychicznie — też nie lepiej. Strwożone⁵⁷ wiadomości:

- 1) Na dworcu stoją wagony, będą wywozić naszych!
- 2) W nocy wywieźli 15 wagonów.
- 3) Pensje zmniejszą do minimum.
- 4) Żony uwiezionych⁵⁸ w ogóle nie mają prawa do pracy.
- 5) Paszporty rodzin uwiezionych mają być inne, gorsze, trzeba wybierać na nazwisko panieńskie.

Tu już trochę zgniewałam się: Ilgiewiczową jestem i Ilgiewiczową zostanę do śmierci. Żadnych fikcyjnych nawet rozwodów nie uznaję. Trzeba stać w prawdzie. Rusieńku mój, cierpieć, no to cierpieć, ale Twoją żoną jestem i chcę być zawsze. Bóg nas połączył, pobłogosławił i razem już pozostaniemy — bodaj duchem. Dzieci są zdrowe, mają apetyty, opalone. Dotąd praca i chleb były — da Bóg i nadal nie umrzemy z głodu. Szarpać nerwów „na kredyt” nie warto. Dość się kiedyś namartwiłam o to, że o rok jestem starszą od Ciebie. Jakie to teraz wydaje się dalekie, dziecinne, głupiutkie! Mężu mój ukochany, Jedyny! †

7 VI

Sobota dziś, Mężusiu! Ciepła, słoneczna. Słońce świeci i do Waszych okien. Byłam tam, obeszłam gmach więzienny dookoła. I — rzecz dziwna — szłam różnym krokiem. Patrzyłam na mury Wasze bez tego uczucia rozpacz, co zawsze. Nie chcę, nie

.....
⁵⁷ Strwożony — zatrważający.

⁵⁸ Uwieziony (ros. *уѐззму* ‘wywieźć’) — wywieziony.

wolno poddawać się przygnębieniom. Był bardzo ciężki okres ostatnio. Łamałam się wprost. Nieraz jeszcze będzie ciężko. Ale trzeba trzymać się! Dzieci mają prawo do pogodnego domu! Nasze dzieci! Mam na sumieniu tygodnie i miesiące⁵⁹ smutnych twarzy. A one tak spragnione są wesołości i śmiechu! Przełamałam więc siebie: uśmiechnięta i pogodna siedzi przy stole Twoja Natka. I dzieciaki nasze (wszyscy już dorównali lub przerosli mnie), odtopniały. Bóg mieszka z nami! Cały ten tydzień Duśka robiła wielkie wysiłki i sprawowała się dobrze. Ułatwialiśmy jej wszyscy — wyszło dobrze. Wczoraj u św. Teresy była msza święta za duszę Marysi — bo to szósta rocznica. Była pani Plewińska i Mietek. Przedwczoraj z dziewczynkami chodziłyśmy na Rosę.

Jest 9-ta wieczór. O tej porze zawsze, gdzie tylko jestem — zawsze posyłam Ci „dobranoc”. Śpij, mój Jedyny, polecam Cię Sercu Najświętszemu. W kaplicy u św. Teresy pod Ukrzyżowanym zawieszono serduszko z napisem: „Jezu, ufam Tobie”. Kiedy je Tobie pokażę? †

8 VI

Chwilkę z Toba pobędę, Rusieńku! Dziś już nie tak miło jak wczoraj. Duśka znów, zdaje się, rozpoczyna jeden ze swych histerycznych okresów. A to tak męczy wszystkich. Wtedy i Zbyszek, i Janinka, i Dyzio — wszyscy cierpią. Biedna to dziewczyna — najgorzej jest jej samej. Dziś czytałam z dziećmi *Balladynę*. Tak chciałabym, by Dusia odczuła całą ohydę zazdrości. Za chwilę pójdę do kościoła, pomodłę się bardzo za nas wszystkich, a najwięcej za tę naszą dziewczuszkę, co mąci jasny nastrój i sama najwięcej cierpi. Ja do niej nie mam żalu — kiedyś biedulka może zrozumie.

14 VI

Dziś zaczęto wywozić ciężarowymi autami ludność. Od rana — nastroje paniczne. Biedne, stroskane oczy, lęk, rozpacz. Byłam u spowiedzi i u Stołu Pańskiego. Wróciłam spokojna

59 Ros. месяцы ‘miesiące’.

i pokrzepiona. Bóg jest wszędzie i nie opuści nas. Wczoraj złożyłam w biurze paszportowym papiery. „Proszę przyjść wieczorem po odbiór paszportu”. Wtem jeszcze jedno pytanie: „A co robi Wasz mąż?”. Wiele z naszych pań na to odpowiedziało, że źle żyją z mężem i nic o nim nie wiedzą. Ja nie miałam sił ani chęci mówić takich rzeczy. Powiedziałam, jak jest. Zapisali. Co będzie, to będzie. Ale nie zaparłam się Ciebie, Biedulku, ukochany, najdroższy!

15 VI

„Święta Maria, Bogarodzico, ja, Natalia, obieram sobie Ciebie dzisiaj za moją Panią Orędowniczkę, Patronkę i Matkę moją. Postanawiam i przyrzekam uroczyście: nie opuścić Cię nigdy, nie mówić ani czynić nic takiego, co by się sprzeciwiało chwale Twojej i nie dopuścić, aby ci, którzy ode mnie zależą lub zależeć będą, w czym czci należnej Tobie ubliżyli. Błagam Cię, Matko Boża, najpokorniej: przyjmij mnie dzisiaj na zawsze za dziecko Twoje, bądź mi pomocą we wszystkich potrzebach moich teraz i zawsze, i w godzinie śmierci mojej Amen”.

Piękny jest akt sodalicyjny ofiarowania się Najświętszej Marii Pannie. Rusieńku ukochany, najmilszy mój.

Wieczorem. W dalszym ciągu dziś trwają wywożenia. Dziś było ich znacznie mniej niż wczoraj. Trudno zorientować się, według jakiego klucza to się odbywa. Biorą i inteligencję, i burżujów, i zakonnice — uchodźczynie i innych uchodźców. Plotki, plotki i plotki.

16 VI

Ze znajomych wywieziony został prof. Kościółkowski. Na ogół ludzie zachowują się spokojnie, dzielnie. Bóg jest z nami. Tak modłę się o naszego Zbyszka. Dyrektor jego nie lubi. Żeby nie przyczynił się do krzywdy chłopca ukochanego. Ale poleciłam nasze pisklęta opiece Matki Najmiłosierniejszej. Czy Ty jeszcze jesteś w Wilnie? Tak różnie mówią. Nie chcę, nie chcę, nie wolno mi poddać się lękom, trwogom, przygnębieniu! Cierpi tyle milionów ludzi. Własny ból — jest bólem tylko jednego lub kilku

ludzi. Trzeba go przemóc i być godnym próby, doświadczenia, zrobić z niego ofiarę na wyższą intencję. Ból albo podnosi, albo upodla. Dałby Bóg, by nas nie złamał, nie zdeptał w otchłań narzekania, jęków i zgorzknienia... Bóg tak chciał — tak jest, więc dobrze, tak musi być. A kochać można w największym bólu. Nie przestanę Cię kochać nigdy, Ruśku, Przyjacielu, Mężu mój!

18 VI

Jacy dobrzy są ludzie! Że rozeszła się pogłoska o rzekomym Waszym wywiezieniu — tyle zacnych, dobrych przyjaciół przychodzi... tacy są serdeczni i mili. Rusieńku, z tej próby musimy wyjść lepszymi, niż byliśmy na jej początku. Dziś w kościele zrozumiałam jasno: w duszy skalanej grzechem Chrystus nie może mieszkać, ale gdy go przyjmujemy nawet w stanie zwykłej ludzkiej czystości, a potem pozwalamy sobie w ciągu dnia na odruchy niechęci, zniecierpliwienia do bliźnich, samolubstwa, rozgoryczenia lub trwania w lęku — robimy z serca swego więzienie, w którym Jemu jest źle. Wiem, że to bardzo prymitywne rozumowanie, ale czuję, że tak jest: ostatecznie nie chodzi w tych sprawach o wyszukane dowody. Mój Ruśku, jak to dobrze być Polakiem, chrześcijaninem, katolikiem i mieć Matkę Najświętszą za szczególną opiekunkę!

Zbyszkowi pozostało tylko dwa egzaminy. Wczoraj fizykę złożył na piątkę. Kochany, najmilszy mój synek — taki jest pogodny i ufny. Wczoraj zabrano rodziców Drozdowskich. Znałam tylko pannę Miłę z uniwersytetu. Mało jest ludzi, którzy jej mogą dorównać w dzielności, uczciwości i wysokich wartościach chrześcijańskich. Tacy tam właśnie są potrzebni. Bóg jest zawsze przy nas. Dobranoc, Jedyny! †

20 VI

Rusieńku! Gdyby tak się zdarzyło, że kiedyś słowa te moje dotrą do Ciebie — mnie zaś Bóg wcześniej przeznaczy zejść z tego życia — chcę, byś wiedział, jakie dobre, uczciwe, kochające serduszko ma nasza Ninka — Jaśka. Błogosławię tej chwili, kiedy ona stała się moją córeczką. Zawdzięczam jej tyle, tyle. Pracuje

za kilka, bez narzekań, bez kłótni, bez markowania. Nie obrażała mnie nigdy lekceważeniem czy złą wolą. Ruśku, pamiętaj, że to dziecko było i jest moim słoneczkiem. Niech jej Bóg wynagrodzi za to, że smutne i ciężkie moje życie ośladza, rozjaśnia. Wiem, że Bóg jej tego nie zapomni. Ja daję jej swoje matczyne błogosławieństwo i podziękowanie.

21 VI

Zbych wrócił z ostatniego egzaminu maturalnego, trygonometrii. Dostał czwórkę, chociaż miał roczną dwójkę. W ogóle egzaminy naszemu chłopcu powiodły się. Zdolny nasz gałgan, sprytny i ma szczęście. Ściął się tylko z języka litewskiego i na jesieni będzie miał z tego poprawkę. Od poniedziałku musi chodzić na ćwiczenia sportowe, by zdobyć odznakę (GTO) „gotow k trudu i oborone”⁶⁰. Bez niej nie wydadzą świadectwa maturalne[go]. Mnie również od poniedziałku delegują na kurs rosyjskiego. Tak się chciałoby trochę odpocząć i podleczyć. Na szyi porobiły mi się jakieś guzy — lekarka mówi, że to gruczoły limfatyczne. Zaleciła zastrzyki najpierw na zmniejszenie ciśnienia, które jest jakieś nienormalnie wysokie. A tu akurat to każą chodzić po domach spisywać dzieci, to ten kurs i nie ma kiedy iść na zastrzyk. Przykro mi, że nie mam czasu ani sił zająć się gospodarstwem i ulżyć naszej Ninusce, która z miłym uśmiechem robi swoją, moją pracę i tych z rodzeństwa, którzy nie zdążą albo nie zechcą swojej dobrze wykonać. Dziewczynki mają po trzy dni w tygodniu gotowania i kuchni. Druga wtedy rankiem sprząta i przepiera. Nasza maleńka jakoś to w tym tygodniu połączyła i wyprała całą bieliznę za wyjątkiem pościelowej. Obiady były smaczne, zrobione na czas ze śpiewem, bez narzekania, bez wzywania pomocy itd. Kochane nasze Słoneczko! Rena ciężę swoją znosi bardzo ciężko. Ma nad- czy niedokwasotę żołądka, zgaga piecze ją, schudła ogromnie, oczy ma wpadnięte i podkrążone. Je mało i z trudem, zmuszając się do tego. O Dusce napiszę

⁶⁰ Odznaka GTO — odznaka sportowa „Gotowy do Pracy i Obrony” (ros. *Готов к труду и обороне*) ustanowiona w 1931 r., nadawana młodzieży przez Wszechzwiązkowy Związek Kultury Fizycznej.

innym razem. Wierzę mocno, że ciągła modlitwa za nią zrobi swoje i dziewczynka stanie się inną. Dużo trzeba kłaść na karb jej wieku, ona wciąż jeszcze przechodzi okres dojrzewania. Wtedy nie można dziwić się cechom charakteru, które kiedy indziej przerażałyby — tym bardziej zaś mieć jej za złe, to co robi.

24-go czerwca wrócił mój Ukochany!

Bogu Najwyższemu niech będą dzięki!



Ilustracja 27. Piotr Ilgiewicz, drugi mąż Natalii



Ilustracja 28. Piotr Ilgiewicz, drugi mąż Natalii

.....



Ilustracja 29. Piotr Ilgiewicz, drugi mąż Natalii

.....



Ilustracja 30. Natalia z Piotrem Ilgiewiczem
w dniu ślubu (26 czerwca 1937 r.)

RZECZPOSPOLITA POLSKA

Nr. aktu 22.

DLA CELOW URZEDOWYCH WOJNE OD
OPŁATY STEMPLOWEJ

12-KAT. PARAFIA WOJSKOWA
Św. Ignacego w Wilnie.

Nr. 052-1/39

ŚWIADECTWO METRYCZNE
Ś L U B U

Wilno, dnia 20/VI 1939 r.

z ksiąg metrycznych rzymskokatolickiej Parafii Wojskowej Wilno

Roku tysiąc dwadzieścia trzeciego naszego

dnia dwudziestego siódmego czerwca

syn Piotr Ilgiewicz por. Hermann

zawarł związek małżeński z Natalią z Michalukowicz Hanową

wdową po 1895 córka Józefa i Heleny z Budzikich

Wiarogodność powyższego aktu niniejszym stwierdzam

KŁ. KAT. DZIEKAN OKRĘGU KORPUSU NR. III

Ks. Jan Zwicki
Ks. Jan Zwicki
st. kpl. W.P.

PARAFIA WOJSKOWA
ŚW. IGNACEGO
W WILNIE

Ilustracja 31. Świadectwo ślubu Natalii Hanowej
z Piotrem Ilgiewiczem (26 czerwca 1937 r.)



Ilustracje 32-33.
Państwo
Ilgiewiczowie

.....





Ilustracje 34. Państwo Ilgiewiczowie



Ilustracje 35. Państwo Ilgiewiczowie i biskup Bohdan Bejze



Ilustracja 36. Państwo Ilgiewiczowie u sióstr zakonnych

.....

Bibliografia prac Natalii Han-Ilgiewicz

(w układzie chronologicznym)

.....

Druki zwarte

- 1) *Niežnośni chłopcy. Typy plastyczności psychicznej w diagnostyce szkolnej*, Warszawa: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1958; wyd. II 1960.
- 2) *Potrzeby psychiczne dziecka. Refleksje charakterologiczne*, Warszawa: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1959; wyd. II 1961, wyd. III 1963.
- 3) *Trudności wychowawcze i ich tło psychiczne*, Warszawa: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1961.
- 4) *W naszej szkole. Reminiscencje o warszawskiej szkole dla chłopców społecznie niedostosowanych*, Warszawa: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1962.
- 5) *Dziecko w konflikcie z prawem karnym*, Warszawa: Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1965.
- 6) *Więź rodzinna w aspekcie pedagogiki specjalnej*, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1966.
- 7) *W poszukiwaniu dróg resocjalizacji*, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1967.
- 8) *Dziecko w konflikcie z rodziną*, Warszawa: Nasza Księgarnia 1969; wyd. II 1971; wyd. III 1978.
- 9) *Gawędy o wychowaniu*, Warszawa: Nasza Księgarnia 1970.
- 10) *Mozaikowe ścieżki*, Warszawa: Nasza Księgarnia 1975.

Szkice, artykuły i rozprawy

- 1) *Kształcenie wyobraźni dziecka ociemniałego* (referat wygłoszony na I Polskim Zjeździe Szkolnictwa Specjalnego), „Szkola Specjalna” 1926, nr 2, s. 93–95.
- 2) *Ze szkoły dla moralnie zaniedbanych chłopców*, „Szkola Specjalna” 1926, nr 1, s. 52–53.
- 3) *Psychopedagogika dzieci moralnie upośledzonych* (Program wykładów i zajęć w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej z lat 1928–1929), „Szkola Specjalna” 1928–1929, nr 3–4, s. 193–194.
- 4) *Opieka nad dziećmi i młodzieżą moralnie zaniedbaną w Austrii. (Z notatek podróżnych)*, „Szkola Specjalna” 1929–1930, nr 2, s. 88–95.
- 5) *Dziecko „trudne” w Szwajcarii. (Z notatek podróżnych)*, „Szkola Specjalna” 1929–1930, nr 4, s. 242–253.
- 6) *W brukselskim sądzie dla nieletnich. (Z notatek podróżnych)*, „Szkola Specjalna” 1929–1930, nr 4, s. 253–257.
- 7) *Kurs postępowania z dziećmi trudnymi, nerwowymi i występnyymi w Londynie. (Notatki z podróży)*, „Szkola Specjalna” 1930–1931, nr 4, s. 218–221.
- 8) *Godzina u „probation officer” w Londynie. (Notatki z podróży)*, „Szkola Specjalna” 1930, nr 1, s. 57–61.
- 9) *Dziecko krnąbrne i brutalne*, „Szkola Specjalna” 1931–1932, nr 4, s. 196–201.
- 10) *Teczka indywidualna (metoda zbierania materiału obserwacyjnego)*, „Szkola Specjalna” 1931–1932, nr 1–2, s. 27–33.
- 11) *Specyficzne rysy psychiki dzieci moralnie zaniedbanych*, „Szkola Specjalna” 1931–1932, nr 3, s. 131–139.
- 12) *Konflikt dziecka z rodziną* (fragment większej całości), „Szkola Specjalna” 1933–1934, nr 1, s. 1–13; przedruk w: *Poznajemy warunki życia dziecka. Praca zbiorowa Komisji Sekcji Psychologów Szkolnych przy Towarzystwie im. Józefa Joteyko*, Warszawa: Nasza Księgarnia 1934, s. 77–93.

- 13) *Sprawozdanie z wycieczki do Włoch w kwietniu 1933 roku*, „Szkola Specjalna” 1933–1934, nr 3, s. 165–168.
- 14) *Zagadnienie kłamstwa u dzieci moralnie zaniedbanych*, „Szkola Specjalna” 1934–1935, nr 2–4, s. 216–222.
- 15) *Kradzieże dzieci a szkoła specjalna*, „Szkola Specjalna” 1935–1936, nr 1, s. 24–31.
- 16) *Nieprzewidziane*, „Szkola Specjalna” 1936–1937, nr 3, s. 147–154.
- 17) *Reminiscencje z kongresu w Szwajcarii* (Pierwszy Międzynarodowy Kongres Pomocy Dzieciom — Ofiarom Wojny w Zurychu w 1945 roku), „Zdrowie Psychiczne” 1946, nr 1, s. 81–83.
- 18) *W sprawie przestępczości nieletnich*, „Służba Społeczna” 1946, nr 1–4, s. 30–37.
- 19) *Zwalczanie przestępczości nieletnich w Szwajcarii*, „Szkola Specjalna” 1946–1947, nr 1–4, s. 54–61.
- 20) *Uczeń leniwy*, „Życie Szkoły” 1946, nr 1, s. 6–8.
- 21) *Dzieci moralnie zaniedbane przed wojną a obecnie* (referat wygłoszony na Międzynarodowym Tygodniu Studiów SEPEG w Otwocku, maj 1948), „Psychologia Wychowawcza” 1948, nr 1–2, s. 55–62.
- 22) *L'enfant delinquant avant guerre et maintenant*, „Sauvegarde” 1949, nr 28–29, s. 122–130.
- 23) *Immunitet psychiczny i jego rola w pedagogice leczniczej*, „Szkola Specjalna” 1957, nr 3, s. 129–146.
- 24) *Wychowanie instynktu rodzicielskiego*, „Ateneum Kapłańskie” 1957, nr 2, s. 200–210.
- 25) *Odrębność psychiczna kobiety*, w: *Rola kobiety w Kościele*, przedmowa M. Rechowicz, Lublin: Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego 1958, s. 67–85.
- 26) *Osobowość kobiety a jej postawa religijna*, „Ateneum Kapłańskie” 1958, nr 3, s. 337–349.
- 27) *Poradnictwo charakterologiczne w zakresie przygotowania do małżeństwa*, „Ateneum Kapłańskie” 1958, nr 1, s. 52–61.

- 28) *Zagadnienia psychoterapeutyczne w katolickim poradnictwie rodzinnym*, „Ateneum Kapłańskie” 1958, nr 3, s. 384–391.
- 29) *Zastosowanie terapeutyczne testu Szondiego*, „Rocznik Filozoficzny” 1958, nr 4, s. 39–58.
- 30) *Kształtowanie osobowości chłopca-mężczyzny*, „Ateneum Kapłańskie” 1959, nr 1, s. 17–30 (współautor: Piotr Ilgiewicz).
- 31) *Kultura miłości w procesie wychowania dziewcząt*, „Ateneum Kapłańskie” 1959, nr 3, s. 400–412.
- 32) *Z zagadnień charakterologicznych. Na marginesie prac André de Galla i Gastona Bergera*, „Szkoła Specjalna” 1959, nr 1–2, s. 106–114.
- 33) *Cisza i spokój w życiu dziecka*, „Rodzina i Szkoła” 1960, nr 11, s. 3.
- 34) *Karać czy zapobiegać?*, „Rodzina i Szkoła” 1960, nr 10, s. 4.
- 35) *Kontakt dziecka z przyrodą*, „Rodzina i Szkoła” 1960, nr 12, s. 7–9.
- 36) *Potrzeba i sztuka wypoczywania*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1961, nr 5, s. 1–11.
- 37) *Przeżycie winy u dziecka*, „Rodzina i Szkoła” 1961, nr 6, s. 5.
- 38) *Radość w życiu dziecka*, „Rodzina i Szkoła” 1961, nr 3, s. 4.
- 39) *Spełniony obowiązek*, „Rodzina i Szkoła” 1961, nr 2, s. 4.
- 40) *Technika wypoczywania*, „Ateneum Kapłańskie” 1961, nr 3, s. 244–252.
- 41) *Zagadnienie regulaminu zakładu wychowawczego*, „Szkoła Specjalna” 1961, nr 1, s. 1–10.
- 42) *Praca a charakter człowieka*, „Ateneum Kapłańskie” 1962, nr 2, s. 117–125.
- 43) *Problem radości w wychowaniu*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1962, nr 6, s. 9–15.
- 44) *Problem uświadomienia w świetle praktyki*, „Ateneum Kapłańskie” 1962, nr 1, s. 5–12.

- 45) *Sytuacje trudne w życiu dziecka*, „Rodzina i Szkoła” 1962, nr 10, s. 4–5.
- 46) *O bajkach dobrych i złych*, „Rodzina i Szkoła” 1963, nr 11, s. 4.
- 47) *O tradycji w wychowaniu*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1963, nr 5, s. 3–7.
- 48) *O właściwy rytm dnia dziecka*, „Rodzina i Szkoła” 1963, nr 2, s. 3.
- 49) *Z problematyki niedostosowania społecznego dzieci i młodzieży*, „Przyjaciel Dziecka” 1963, nr 10, s. 1–2.
- 50) *Głos w dyskusji nad komisjami wychowawczymi przy szkołach*, „Zagadnienia Karno-Administracyjne” 1964, nr 5, s. 48–49.
- 51) *O możliwościach zastosowania Lewinowskiej teorii konfliktu w akcji rewalidacji i profilaktyki w zakresie przestępczości nieletnich*, „Biuletyn Sądownictwa dla Nieletnich” 1964, nr 3, s. 4–11.
- 52) *O potrzebie zapalu*, „Przyjaciel Dziecka” 1964, nr 5, s. 3–4.
- 53) *O roli kuratora przy sądzie dla nieletnich*, „Biuletyn Sądownictwa dla Nieletnich” 1964 (numer specjalny z okazji XV-lecia sądownictwa dla nieletnich), s. 26–34.
- 54) *Refleksje pedagoga na temat wychowania młodzieży niedostosowanej*, „Nowa Szkoła” 1964, nr 7–8, s. 64–67.
- 55) *Problem indywidualizacji w wychowaniu*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1965, nr 10, s. 1–4.
- 56) *Próba analizy podstawowych założeń wychowania w zakładach dla społecznie niedostosowanych*, w: *Materiały do nauczania psychologii*, red. I. Wołoszynowa, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1965, t. I, s. 337–356.
- 57) *Więź rodzinna u młodzieży społecznie niedostosowanej*, w: *Materiały do nauczania psychologii*, red. I. Wołoszynowa, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1965, t. I, s. 292–310.

- 58) *W trosce o szczęście dziecka*, „Przyjaciel Dziecka” 1965, nr 1–5, s. 4–5.
- 59) *Korepetycje*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1966, nr 4, s. 10–13.
- 60) *Refleksje na temat koncepcji „wizji świata” Bertoliniego w świetle praktyki resocjalizacyjnej*, „Szkoła Specjalna” 1966, nr 3, s. 129–133.
- 61) *Społeczne wychowanie rodziców w ramach wychowania rewalidacyjnego ich dzieci*, „Szkoła Specjalna” 1966, nr 2, s. 74–81.
- 62) *Zła wola czy nieporadność?*, „Rodzina i Szkoła” 1966, nr 5, s. 5.
- 63) *Audycje radiowe ku czci Marii Grzegorzewskiej*, „Szkoła Specjalna” 1967, nr 3, s. 246–247.
- 64) *Czas wolny w osiedlu społecznym*, „Domy Spółdzielcze” 1967, nr 2, s. 31–32.
- 65) *O lepsze zaspokajanie potrzeb dziecka*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1967, nr 5, s. 2.
- 66) *Prawo dziecka do głosu (w systemie Korczakowskim)*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1967, nr 9, s. 5–7.
- 67) *Z doświadczeń łódzkiej szkoły dla chłopców społecznie niedostosowanych*, „Szkoła Specjalna” 1967, nr 2, s. 145–151.
- 68) *A może by tak skończyć z dwójkami?*, „Rodzina i Szkoła” 1968, nr 10, s. 3.
- 69) *Powaga zabawy dziecięcej*, „Rodzina i Szkoła” 1968, nr 5, s. 2–3.
- 70) *Aby dziecko nie było w konflikcie ze szkołą*, „Nowa Szkoła” 1969, nr 6, s. 10–13.
- 71) *Dziecko w konflikcie z rodziną*, „Rodzina i Szkoła” 1969, nr 10, s. 2–3.
- 72) *Jak to naprawić?*, „Rodzina i Szkoła” 1969, nr 11, s. 5.
- 73) *Refleksje o resocjalizacji rodzin wychowanków domów dziecka*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1969, nr 5, s. 13–19.

- 74) *Trudny przypadek*, „Rodzina i Szkoła” 1969, nr 5, s. 8–9.
- 75) *Z problematyki resocjalizacji rodzin wychowanków domów dziecka*, „Kwartalnik Pedagogiczny” 1969, nr 2, s. 185–196.
- 76) *Z problemów resocjalizacji rodzin* (fragment referatu wygłoszonego na Plenum Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w dniu 17 czerwca 1968 r.), „Przyjaciel Dziecka” 1969, nr 1, s. 2–4.
- 77) *O tzw. dwójkach bez zdenerwowania*, „Życie Szkoły” 1970, nr 1, s. 4–7.
- 78) *Prawidłowy i nieprawidłowy układ stosunków w rodzinie* (fragment wystąpienia na Międzynarodowym Sympozjum o funkcji wychowawczej rodziny w świecie współczesnym w Warszawie w 1970 r.), „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1970, nr 5, s. 8–12.
- 79) *Kilka uwag o zjawisku wychowalności* (fragment przemówienia przygotowanego na Międzynarodowe Sympozjum o funkcji wychowawczej rodziny w świecie współczesnym w Warszawie w 1970 r.), „Szkoła Specjalna” 1971, nr 1, s. 2–5.
- 80) *Uczeń trudny — istota wciąż jeszcze nieznana*, „Nowa Szkoła” 1971, nr 6, s. 48–50.
- 81) *Kontakty przyjaznej życzliwości*, „Głos Nauczycielski” 1972, nr 4, s. 9.
- 82) *Racjonalny budżet czasu podstawowym warunkiem zdrowia psychicznego*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1973, nr 3, s. 1–4.
- 83) *O potrzebach człowieka i jego postawach względem nich*, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1974, nr 4, s. II–IV.
- 84) *Przysposobienie do życia w rodzinie socjalistycznej* (wkładka), *Materiały i propozycje*, oprac. N. Han-Ilgiewicz, „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” 1974, nr 4–5, s. I–XVI.

Spis ilustracji

.....

Źródło ilustracji: Muzeum Oświaty Ziemi Łódzkiej przy Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Łodzi

Ilustracja 1. Bazyli Rudzki, ojciec Heleny z Rudzkich Michałowskiej, dziadek Natalii	59
Ilustracja 2. Wincenty Michałowski, dziadek Natalii (1891 r.)	60
Ilustracja 3. Wincenty i Ludwika Michałowscy, dziadkowie Natalii (1901 r.)	61
Ilustracja 4. Józef Michałowski, ojciec Natalii	62
Ilustracja 5. Józef Michałowski, ojciec Natalii	63
Ilustracja 6. Helena z Rudzkich, matka Natalii	64
Ilustracja 7. Helena Michałowska z dziećmi. Od lewej: Michał, Helena, Leon i Natalia (Dorpat, ok. 1903 r.)	64
Ilustracja 8. Legitymacja studencka Natalii Hanowej, studentki III roku prawa na Uniwersytecie Tomskim	96
Ilustracja 9. Natalia po uzyskaniu stopnia doktora obojga praw (wrzesień 1939 r.)	96
Ilustracja 10. Włodzimierz Han, pierwszy mąż Natalii	124
Ilustracja 11. Włodzimierz Han, pierwszy mąż Natalii	125

Ilustracja 12. Włodzimierz Han, pierwszy mąż Natalii	126
Ilustracja 13. Natalia Hanowa z córką Terenią (1917 r.)	127
Ilustracja 14. Natalia Hanowa z córką Terenią (1917 r.)	128
Ilustracja 15. Paszport uzyskany na wyjazd do Włoch (1933 r.)	155
Ilustracja 16. Natalia we Włoszech (1933 r.)	156
Ilustracja 17. Litewski dowód tożsamości (1940 r.)	272
Ilustracja 18. Brązowy medal za długoletnią służbę (styczeń 1939 r.)	273
Ilustracja 19. Rękopis <i>Nauczycielki</i>	274
Ilustracja 20. Natalia z wychowankami w Reymontówce (1947 r.)	405
Ilustracja 21. Natalia Ilgiewicz przy pracy	405
Ilustracja 22. Natalia Ilgiewicz przy pracy	406
Ilustracja 23. Natalia u sióstr zakonnych	406
Ilustracja 24. Natalia u sióstr zakonnych	407
Ilustracja 25. Natalia u sióstr zakonnych	408
Ilustracja 26. Natalia u sióstr zakonnych	409
Ilustracja 27. Piotr Ilgiewicz, drugi mąż Natalii	505
Ilustracja 28. Piotr Ilgiewicz, drugi mąż Natalii	506
Ilustracja 29. Piotr Ilgiewicz, drugi mąż Natalii	506
Ilustracja 30. Natalia z Piotrem Ilgiewiczem w dniu ślubu (26 czerwca 1937 r.)	507

Ilustracja 31. Świadećstwo ślubu Natalii Hano- wej z Piotrem Ilgiewiczem (26 czerwca 1937 r.)	507
Ilustracja 32. Państwo Ilgiewiczowie	508
Ilustracja 33. Państwo Ilgiewiczowie	508
Ilustracja 34. Państwo Ilgiewiczowie	509
Ilustracja 35. Państwo Ilgiewiczowie i biskup Bohdan Bejze	509
Ilustracja 36. Państwo Ilgiewiczowie u sióstr zakonnych	510

Podziękowania

.....

Przy opracowaniu przedstawionych tekstów wiele osób służyło mi pomocą. Szczególne podziękowania należą się pani prof. dr hab. Ewie Marynowicz-Hetce i panu prof. drowi hab. Albino-
wi Głowackiemu, których wiedzy historycznej wiele zawdzię-
czam. Serdecznie dziękuję kierownicze działu zbiorów spe-
cjalnych Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Łodzi, pani
Katarzynie Figurskiej, która ułatwiła mi korzystanie z archi-
waliów dotyczących życia i pracy Natalii Han-Ilgiewicz. Słowa
wdzięczności kieruję też do ks. Tomasza Liszewskiego, rektora
Wyższego Seminarium Duchownego w Łodzi oraz dziekana
Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego prof. dra hab.
Rafała Zarębskiego za decyzję o współfinansowaniu niniejsze-
go wydania. Szczególne podziękowania kieruję pod adresem
dr hab. Anny Lenartowicz-Zagrodnej, której wszechstronna po-
moc i ogrom pracy wpłynęły na ostateczny kształt książki. Go-
rąco dziękuję wszystkim, których życzliwemu zainteresowaniu
opracowanie to wiele zawdzięcza.

Elżbieta Umińska-Tytoń

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-237 Łódź, ul. Matejki 34a
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: księgarnia@uni.lodz.pl
tel. 42 635 55 77

Natalia Han-Ilgiewicz (1895–1978) – pedagog leczniczy, doktor prawa, wieloletnia wychowawczyni i kierowniczka zakładów wychowawczych dla chłopców społecznie niedostosowanych w Wilnie, Warszawie i Łodzi. Wykładowca kryminologii nieletnich w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Uniwersytecie Warszawskim, Uniwersytecie Łódzkim oraz Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej (obecnie Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej), charakterologii w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi i Płocku. Autorka książek i licznych artykułów o wychowaniu.



**WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
ŁÓDZKIEGO**

 wydawnictwo.uni.lodz.pl

 ksiegarnia@uni.lodz.pl

 (42) 665 58 63

Książka dostępna również
jako e-book

ISBN 978-83-8331-853-0



9 788383 318530